

Artyzmistrz fantazy i SF

Siergiej Łukjanienko

Książka i Wiedza



Siergiej Łukjanienko

Jesienne wizyty

Tytuł oryginału: Osiennyje wizyty

Przekład: Ewa Skórska

Data wydania polskiego: 2003

TMN

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA

CZEŚĆ PIERWSZA

PRZYJŚCIE

0

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

CZEŚĆ DRUGA

WERSJE

0

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

CZEŚĆ TRZECIA

MINUS PIERWSZY..

0

1

2

3

4
5
6
7
8
9
10
11
12

CZEŚĆ CZWARTA
ALIANSE

0
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14

CZEŚĆ PIĄTA
ETYKA ABSTRAKCYJNA

0
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14

CZEŚĆ SZÓSTA
MINUS DRUGI, MINUS TRZECI...

0
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14

CZEŚĆ SIÓDMA
MIŁOŚĆ

0
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14

CZEŚĆ ÓSMA
FINAŁ

0
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10

[11](#)
[12](#)
[13](#)

*Straszny on jest i groźny, od niego samego
pochodzi sąd i władza jego
Księga Proroka Awwakuma*

*Diamentowym ostrzem otworzyłem pierś.
Teraz krzyczę w głos, teraz śmieję się,
serce obnażone, serce rozłęcznione,
i czarne promienie, co nie widzą mnie.
Siergiej Kalugin*

*– To tylko słowa – powiedział Zabijający Słowem.
– Tylko wiatr, który zerwał się z twoich ust.
Naprawdę sądzisz, że przestraszę się wiatru?
Jarosław Żarow*

Usiądźcie przy mnie. Usiądźcie, to będzie długa historia. Sam nawet nie wiedziałem, jak bardzo długa, gdy zaczynałem ją opowiadać.

Lubicie straszne bajki? Ja – nie. W każdym razie tak mi się wydawało.

Ale rzadko możemy robić tylko to, co lubimy.

Najważniejsze, co musicie zapamiętać od razu na samym początku – ta bajka nie jest o Was. Ona mogła się zdarzyć i może się zdarzyć – ale nie Wam.

Jesteście bezpieczni w swoim twardym i pewnym świecie. Nie ma Was w tej bajce, i nawet, jeśli wyda Wam się, że jest inaczej, pomyliliście się. Możecie mi wierzyć.

I jeśli doczytacie do końca i poczujecie dotyk ciemności – nie bójcie się. To tylko straszna bajka, którą opowiadają straszni ludzie.

Ta bajka nie jest o Was.

Ale jeśli kiedyś w nocy w pustym mieszkaniu obudzi Was pstryknięcie włącznika, nie spieszcie się, by podnieść głowę i zapytać: „Kto to?”

Możliwe, że to będziecie Wy sami.

CZEŚĆ PIERWSZA

PRZYJŚCIE

0

Ściany były tu drewniane, ale pod niemalowanymi sosnowymi deszczułkami leżał ołów. Tylko drewno – podłoga z dębowego parkietu, ściany z sosny, głęboki, ale twardy fotel, malutki okrągły stolik. Na stoliku otwarty zeszyt, dwa zastrzone ołówki, trzy świece w wystruganym z drewna świeczniku.

Mężczyzna, który wszedł do pokoju, szczelnie zamknął za sobą drzwi i usiadł przy stole. Wziął ołówek, podniósł do oczu, tak żeby koniec grafitu zasłonił płomień świecy. Obejrzał, czy dobrze zastrzony, i przysunął do siebie zeszyt. Pod ostatnim krzywym i niedbałym zapiskiem: „Dyżur zdałem. Piąty października, osiemnasta” – starannie zapisał: „Przejąłem dyżur. Piąty października, mniej więcej osiemnasta”.

Zegara oczywiście nie było. Wojskowych biurokratów zawsze doprowadzało to do szału. Ale nie odważyli się spierać z esperami. Po co.

Mężczyzna odchylił się na wysokie twarde oparcie patrzył na płasające jęczyczki płomienia. Patrzył, powoli się rozluźniając, pozwalając płomykowi świecy wypełnić sobą cały świat. Drżący płomień wokół, a on w środku. Przejął dyżur...

Gdyby otworzyć jedyne wychodzące z drewnianego pokoju drzwi, to ukazałby się długi, mroczny korytarz. Tylko na końcu słabo świecił matowy plafon, jakby zaznaczając granicę, za którą znowu zaczynał się wiek dwudziesty. Sześć takich korytarzy zbiegało się w malutkiej sali, w której były dwie windy, zaplombowane na amen awaryjne schody, szyb wentylacyjny i stół obity blachą. Przy stole młody kapitan w mundurze wewnętrznych sił zbrojnych kartkował stary numer „Andrieja”, zostawiony nie wiadomo kiedy i nie wiadomo przez kogo. Z wewnętrznymi siłami zbrojnymi mężczyzna miał tyle wspólnego co z konduktorami. Obiekt „psi” niegdyś podlegał wywiadowi wojskowemu, ale przez ostatnie dziesięć lat działał jako osobna komórka, podlegająca bezpośrednio prezydentowi.

Przechodząc obok nudzącego się kapitana, kolejny raz zapoznającego się z historią rosyjskiej erotyki, można było wezwać windę. Zwykły czerwony plastikowy przycisk znajdował się na ścianie obok rozsuwanych drzwi. Drugi, potwierdzający wezwanie windy, malutki i prawie niewidoczny, był wmontowany w stół. W czasie trwającego trzy minuty wjazdu windy na powierzchnię znudzony kapitan miał obowiązek zadzwonić i potwierdzić, że w windzie są swoi. Ten dziwny porządek pojawił się w sześćdziesiątym dziewiątym roku (były wtedy tylko trzy korytarze, a telefon na stole wojskowy, żelazny), po tym, jak jeden z esperów udusił dyżurnego, zabrał mu pistolet, wjechał na

górze, wystrzelał ochronę i przez dwie godziny dłubał coś w stacjonarnej wojskowej radiostacji.

Oddział wartowników załatwił szaleńca bez specjalnego trudu i dalszych strat. Ale nawet trzyletnia praca jednego z syberyjskich utajnionych instytutów nie dała odpowiedzi na zasadnicze pytania: co esper, zoolog z wykształcenia, robił z radiostacją, dlaczego słabiutkie krzemowe tranzystory nie spaliły się przy napięciu dwustu siedemdziesięciu woltów, skąd się takie napięcie wzięło i dokąd odeszło z anteny, zwiniętej w kształt muszli kauri?

Teraz każdego następcę biednego zoologa powitałaby na górze w poczekalni uzbrojona ochrona, a prościutkie urządzenie po zarejestrowaniu odgłosu wystrzałów bądź głośnych krzyków zamknęłoby wszystkie drzwi i wypełniło pomieszczenie gazem łzawiącym.

Jeśli natomiast wszystko było w porządku, to po zejściu schodami z ogromnego i również podziemnego kompleksu, można było przez piwnicę dostać się do budynku Instytutu Środków Propagandy Wizualnej, przedsiębiorstwa, które miało podnosić moralnego ducha bojowników niegdyś radzieckiej, a obecnie rosyjskiej armii. Z Instytutu, już bez większych problemów, można było wyjść na starą uliczkę w centrum Moskwy. Kierownictwo obiektu „psi” było dumne z dwóch powodów: że ani jedno zagraniczne mocarstwo nie wie o jego istnieniu oraz że nigdzie, nawet w Stanach, według danych wywiadu, nie było podobnego obiektu.

Mężczyzna siedzący teraz w drewnianym pokoju był jednym z esperów „psi”. Jak mógł przypuszczać, ich grupa liczyła około czterdziestu ludzi, trzech esperów nawet znał. Gdyby się nieco wysilił, mógłby poznać dokładną liczbę pracowników, ale praca w „psi” już dawno oduczyła go dążenia do niepotrzebnej wiedzy. Co trzy dni przychodził do Instytutu, okazywał przepustkę, schodził na piętro minus pierwsze, okazywał drugą przepustkę, a następnie wygłaszał do mikrofonu wierszyk – hasło obecnego miesiąca. Kiedyś lekko schrypniętym głosem mężczyzna zadeklamował nieśmiertelną frazę o zacnym wujku, którego niemoc zwała z nóg. Leżąc pół godziny pod lufą pistoletu na betonowej podłodze, esper omal nie powtórzył losu owego wujaszka. Od kilku lat w „psi” planowano zamontować system identyfikacji siatkówki oka, ale na razie wszystko kończyło się na gadaniu. Być może dlatego, że pożytek z „psi” był nadal kwestionowany przez zwierzchnictwo.

Kiedyś mężczyzna pracował w drugim korytarzu podziemnego centrum. Przesiadując po dwanaście godzin w identycznym pokoju, zajmował się dziwną rzeczą – rozmyślał, czy w stronę Rosji nie zostały wystrzelone amerykańskie bądź chińskie pociski jądrowe. I kiedyś poczuł – z bolesną jasnością, niemal zobaczył, jak z lodowatej szarości wody wyskakują tytanowe cielska polarisów, zatrzymują się, tańcząc na ognistym słupie, i powoli wyruszają w swoją ostatnią drogę. Łykając kłujące powietrze, mężczyzna wybiegł z pokoju

Paragraf pierwszy: w przypadku przewidzenia...

i ryknął na dyżurnego, siedzącego za obitym blachą stołem,

a jeśli to pomyłka? jeśli pomyłka... żeby to była pomyłka...

spiesząc się, żeby zdążyć, chociaż, co można było zrobić, jeśli zobaczył to, co już się stało?

Dyżurny, łapiąc słuchawkę telefonu, powoli bladł. I nagle esper poczuł, że wszystko znikło,

rakiety już nie wyskakiwały z wody, za to na stalowej podłodze leżał stary mężczyzna w obcym mundurze wojskowym i krew płynęła z okrągłego otworu po kuli w skroni

że przyszłość, która nie zdążyła się wydarzyć, staje się tylko możliwością.

Potem poili go koniakiem, a wyrwani ze snu koledzy próbowali jeszcze coś z niego wydobyć. Niemal miesiąc czekał na decyzję zwierzchnictwa co do swojej zawodowej przydatności. To był bardzo długi miesiąc, w czasie którego wywiad wyławiał okruchy ściśle tajnych informacji o amerykańskim admirał, który oszalał...

Esper dostał awans, bardzo wysoką premię i został wysłany z rodziną do sanatorium.

Nie mógł już jednak wrócić do pracy w grupie przewidywania ataku jądrowego. Zbyt dobrze pamiętał szare opływowe stożki wynurzające się ze spienionej wody. Proponowano mu przejście do grupy przewidywania katastrof przemysłowych

Tak, Czernobyla chłopaki nie zobaczyli, ale Czernobyl miał być zaledwie trzecią z atomowych awarii.

albo do grupy konfliktów społecznych. Ale on wybrał najnowszy sektor – grupę zagrożeń ogólnoplanetarnych.

Jakie niebezpieczeństwa mieliby przewidzieć – tego nigdzie wyraźnie nie określono. Jak mówił jeden z esperów – od trzęsienia ziemi na Tajwanie do wygaśnięcia słońca... ale na razie, po dwóch latach pracy, wydział nie mógł sformułować żadnych prognoz.

Siadając wygodniej – dyżur miał trwać sześć godzin – esper nie po raz pierwszy pomyślał o tym, że wydział zagrożeń ogólnoplanetarnych nie był nawet daniną złożoną politycznej modzie, jak sądził na początku (bo jakie mogły być, do diabła, „ogólnoludzkie wartości” w ich organizacji?), lecz po prostu synekurą dla esperów, którzy swoje „odrobili”. Ci, którzy podobnie jak on przeżyli wyrazistą „wpadkę rzeczywistości”, nie mogli już normalnie funkcjonować. Psychika zawodziła: albo podrzucając fałszywe przeczucia, utkane ze wspomnień, albo starannie nie zauważając realnych niebezpieczeństw. Ale emerytury tu nie było. Wykluczyć ludzi z etatu, dając im ochronę i biorąc pod dwudziestoczęterogodzinną obserwację – tego nawet by nie zdzierzył budżet „psi”. No to wymyślono nowy sektor – nieszkodliwy i bezpretensjonalny.

Jedna ze świec dopalała się powoli. Mężczyzna zgasił ją – strumyczek dymu odpłynął w wywietrznik – i pomacał stół w poszukiwaniu nowej świecy. Nikt nie wiedział, dlaczego elektryczne oświetlenie oraz metal i plastik tłumiły nadnaturalne zdolności. To był aksjomat, i...

ciężar w skroniach

pomieszczenia esperów są wyposażone...

płomień, płomień przed oczami, ognik świecy urósł, przemienił się w pochodnię, co się ze mną dzieje?

co się ze mną dzieje?

wpadka

Nagle zobaczył – zobaczył tak wyraźnie, że tamta głośna wpadka z polarisami, która przyniosła mu sławę, stała się jedynie bladą akwarelą na tle różnobarwnego pejzażu. Zobaczył twarze. Tylko twarze. Sześcioro...

A za nimi śmierć.

Mężczyzna nie zdążył wyjść zza stołu – upadł twarzą w ciepły wosk zgaszonego ogarka. Stało serce – po prostu ścisnęło się i już nie chciało się rozkurczyć. Jakby postanowiło, że ma dość.

Bólu nie było. Esper zsunął się na podłogę, a przed oczami migotały obrazy – przyszłość, którą miał obserwować i śledzić, której powinien był zapobiec.

Nawet umierając, w tych sekundach, gdy pozbawiony tlenu mózg nadal żył, próbował pojąć, co takiego nappełniło go tym strasznym przerażeniem, którego imię brzmiało śmierć.

Zrozumiał.

I umarł ze świadomością człowieka, który miał szczęście, który, choć za najwyższą cenę, ale zdążył się uratować.

Anatolij Władimirowicz Szestakow, nigdy nie zakładający munduru podpułkownik, trzydziestosiedmioletni esper, którego zgodnie z tradycją „psi” nie nazywano po imieniu, leżał w drewnianym pokoju, głęboko pod moskiewskimi ulicami, i uśmiechał się.

Dopaliła się druga świeca, półmrok rozsunał ściany, przydając pomieszczeniu przestronności i

powagi.

Potem, migocząc, ścisnął się w iskrę knot trzeciej świecy. I zapadł mrok, w którym nie było ani wymiarów, ani strachu, ani czasu.

1

Człowiek, który od pół godziny stoi na zimnym półpiętrze tyłem do ażurowego szybu windy, zwykle ma ku temu powody. Może być niespieszącym się palaczem, który przed nocą zaopatruje organizm w nikotynę, może zapomniał kluczy i czeka na spóźniającą się małżonkę, albo też czatuje na dłużnika.

Ilja Karamazow nie palił i nigdy nie był żonaty. W jakimś stopniu pasował do niego wariant trzeci. Patrząc na ciemnoniebieski kolor ścian, czekał cierpliwie i obojętnie. Od czasu do czasu przymykał oczy, jakby wsłuchując się w coś w głębi siebie.

Może tak właśnie było.

Minuty płynęły powoli i mało kto by wytrzymał, nie zmieniając ani pozycji, ani wyrazu twarzy. Ale Ilja miał bogate doświadczenie w takim oczekiwaniu. Z rzadka tylko przestępował z nogi na nóg?. W pewnym momencie wzdrygnął się i gwałtownie poruszył ramionami. Jesień była zimna i długa.

Gdzieś na górze trzasnęły ciężkie drzwi i Karamazow stał się czujny. Głośne kroki na klatce, cisza, szczerk włączającej się windy. Ilja znowu się odprężył.

Praca nie lubi nerwowości.

Gdy kroki rozległy się na dole, twarz Ilji przybrała wyraz zaciekawienia i niemal dziecięcej niecierpliwości. Czekał na szum jadącej w górę windy, ale silniki milczały. Pięknie. Jego klient nigdy nie tracił okazji, by wejść na pierwsze piętro. Codzienna porcja ruchu niemłodego biznesmena, zbyt leniwego, żeby pograć w tenisa...

Ilja wyciągnął z głębokiej kieszeni płaszcz makarowa i odbezpieczył. Płynnie przesunął się wzdłuż szybu windy, tak żeby przez kratkę widzieć drzwi mieszkania numer dziewięćdziesiąt dwa. Przyjemnie jest pracować w dużych domach – to świetnie, że w ludziach, których stać na własny dom, nadal tkwi silne dążenie do niewyróżniania się.

Na schodach pojawił się człowiek – szary płaszcz, niemal takiego samego kroju jak ten, który miał na sobie Ilja, z dużymi wygodnymi kieszeniami; krótkie włosy. Karamazow zamarł w zbawczym półmroku klatki schodowej. Ten wyczuje ruch. To godny przeciwnik. Napięcie przebiegło po całym ciele klującymi iskrami.

Mężczyzna wszedł na półpiętro i stanął pomiędzy drzwiami dwóch mieszkań – dziewięćdziesiąt jeden i dziewięćdziesiąt dwa. Ilja odwrócił wzrok od jego twarzy. Mogli wyczuć się nawzajem – dwóch mężczyzn w płaszczach z głębokimi kieszeniami, których drogi przecięły się z powodu trzeciego.

Potem pojawił się klient. Ociężały, stary, ubrany z lekką nonszalancją. Niemodne palto, kapelusz chyba z radzieckich czasów.

– Do jutra, Igor – rzekł klient brzęcząc kluczami. Ochroniarz nie odpowiedział – nadal patrzył na schody. Nie widział, ale czuł. Otworzyły się ciężkie pancerne drzwi.

– Do zobaczenia, Edwardzie Pietrowiczu.

Ochroniarz poczekał, aż drzwi się zamkną, i zszedł na dół. Niepewnie, jakby czując, że nie zrobił wszystkiego, co powinien.

Ilja działał bez zastanowienia. Miał tylko sekundy, te sekundy, gdy klient zdejmuje palto i buty,

dopóki ma pewność, że jego ochroniarz jest obok. Ilja zszedł na dół po schodach, nieświadomie naśladowując tempo i ruchy ochroniarza. W momencie, gdy tamten wyszedł z klatki, Ilja znalazł się przy drzwiach klienta i nacisnął przycisk dzwonka. Gdzieś obok, słabo słyszalna za grubymi ścianami i pancerną stalą, zagrała wesolutka muzyczka.

Na dole trzasnęły drzwi wyjściowe. I jednocześnie otworzyły się drzwi mieszkania.

– Co, Igor?... – Mężczyzna urwał, widząc twarz Ilji. Karamazow pchnął go szybko i mocno, odrzucając w głąb przedpokoju. Strzelanie z tak bliskiej odległości nie było przyjemne.

Makarow wystrzelił dwa razy, najpierw prawie niesłyszalnie, potem z lekkim, niewyraźnym dźwiękiem. Edward Pietrowicz, nadal z tym samym zdumieniem na twarzy, upadł na bursztynowożółty parkiet. Ilja w zadumie popatrzył na ciało. Kontrolnego wystrzału w głowę nie robił nigdy – po pierwsze, nadawało to zabójstwu odcień braku profesjonalizmu, po drugie, pozwalało rodzinie pożegnać się ze zmarłym po ludzku. Przedtem strzelał tylko raz, ale jakieś pół roku temu dowiedział się, że niektórzy ludzie mają serce bardziej z prawej strony, i zaczął strzelać dwa razy. Na wszelki wypadek.

Pozostawała ostatnia formalność wchodząca w skład zamówienia. Powinien dopełnić jej przed akcją, ale Ilja nie widział specjalnej różnicy pomiędzy chwilą przed i chwilą po.

– To procenty wiadomego ci kredytu, Edwardzie Pietrowiczu – wygłosił krzywiąc się – co za bezsensowne i nadęte zdanie. Praca dla ekspansywnych południowców zawsze wiązała się z podobnymi idiotyzmami, ale tej jesieni nie miał zbyt wielu zamówień.

Z klatki starego „stalinowskiego” domu Ilja wyszedł dopiero po starannym sprawdzeniu, czy na płaszczu nie ma plam. Przeszedł przez długie podwórze, minął grupkę małych okupujących altankę. Brudnożółte liście usłały asfalt jesiennym kobiercem. Siąpił drobny deszczyk i przechodnie się spieszyli. Dobry dzień na pracę.

Mijając rzędy kiosków i małe bazarek, Ilja wtopił się w tłum płynący w stronę metra. Piętnaście minut jazdy od stacji Elektrozawodskiej do Komsomolskiej wystarczyło Karamazowowi, by się odprężyć. W przejściu kupił kilka gazet i z roztargnieniem przejrzał je w wagonie, spoglądając to na tekst, to na stojącą kilka kroków od niego dziesięcioletnią dziewczynkę. Dziewczynka była bardzo poważna, jej skupiona twarz pasowałaby raczej do dorosłej kobiety. Ilji się takie podobały.

Zapragnął jak najszybciej znaleźć się w domu.

2

Kirył lubił jesień.

Jaki wpływ na los człowieka może mieć upodobanie do tej czy innej pory roku? Nie wiadomo. Na pewno jakiś związek istnieje, ale jaki – na to pytanie nie odpowie nawet najbardziej utalentowany psycholog. Można kochać zimę i mieć w sobie ciepło, można lubić lato, pozostając kawałkiem lodu.

Kiryłowi podobała się jesień. Ale nie ta, purpurowożłota, opiewana przez Puszkina, lecz najzwyczajniejsza, moskiewska – z niskim szarym niebem i zimnym wilgotnym wiatrem hulającym po ulicach. Nigdy nie próbował zrozumieć, jakie struny poruszają w jego duszy chlapa i deszcz. W wieku trzynastu lat rzadko zadajemy sobie takie pytania. Ale porównanie z Puszkinem nieco mu pochlebilo. Kiedy Kirył miał cztery lata, po raz pierwszy nazwano go poetą. To może doprowadzić do wszystkiego – ale nie do zaniżonej samooceny.

Był wysokim jak na swój wiek, ale drobnym chłopcem o dziecięcej twarzy. Wielu jego rówieśników już zaczęło rozrastać się w ramionach, przemieniając się w karykaturę dorosłych z

uporem godnym lepszej sprawy. A Kirył nadal pozostawał chłopcem.

Gdyby ktoś mu powiedział, że się z tego cieszy, szczerze by się zdumiał. Ale tak właśnie było.

Kirył Korsakow bał się dorosnąć.

Wyszedł ze szkoły po trzeciej lekcji – zajęcia nigdy nie wydawały mu się czymś wymagającym szczególnego traktowania. Jakieś dziwne uczucie owładnęło nim od rana – dawno, dawno temu, gdy jeszcze nazywano go najmłodszym poetą świata, Kirył określał taki nastrój jako „wierszowy”. Używał tego słówka również teraz, gdy trzeba się było usprawiedliwić za nieodrobione lekcje albo wymigać od jakiejś pracy w domu. W szkole przestało to już działać, ale w domu... „Mamo, mam taki wierszowy nastrój...” Działo bez zarzutu.

Jedynym problemem było to, że Kirył od dawna nie pisał już żadnych wierszy.

– Gdzie idziesz? – Kolega Kiryła z klasy Maksym Sługin, który uciekł z ostatnich lekcji „do towarzystwa”, objął go za ramiona. Był to zapewne najdziwniejszy z przyjaciół Kiryła – mocno zbudowany, prostolinijny chłopak, nie wiadomo jak i dlaczego przechodzący z klasy do klasy. Z poetów znał tylko Puszkina i Kiryła Korsakowa, przy czym o słuszności swojej wiedzy był przekonany na pięćdziesiąt procent. Zachował jednak szacunek dla cudzego talentu, który pojawił się już w pierwszej klasie, kiedy Kirył jednego dnia obdarzył wszystkie dzieci złośliwymi rymowanymi.

– Do domu.

– Pisać wiersze?

Najprostsze wyjście – skinać głową. I to właśnie Kirył zrobił.

– Aha – burknął usatysfakcjonowany Maksym, wyciągając papierosy. Zapalił, nie zwalniając kroku i demonstrując spore doświadczenie. – Napijesz się piwa?

– Nie mam pieniędzy – skłamał Kirył.

– Nie szkodzi, ja stawiam.

– Zimno, gardło może rozboleć.

Maksym wzruszył ramionami. Problemów z anginami nigdy nie miał, ale na wszelki wypadek zaproponował:

– Weźmiemy mocne, leczy przeziębienie jak wódka...

– Nie mam ochoty, daj mi spokój!

– Jak sobie chcesz – Maksym się nie obraził. – Idź pisać. Potem poczytasz.

Ostatnia prośba należała do tradycji i była absolutnie niezobowiązująca. Sługin zadowolony się przyjaźnią z poetą, wiersze niewiele go obchodziły. Przy najbliższej budce oddalił się, z uwagą studiując rzędy puszek piwa.

Kirył skręcił w najbliższą ulicę, żeby dobroduszny jak cielak i lepki jak taśma klejąca Maksym nie zmienił zdania i nie rzucił się za nim w pogoń z puszką w ręku. Tracąc Kiryła z pola widzenia, Sługin po minucie zapomni o jego istnieniu, tak jak Korsakow o nim.

Kirył z rozpędu wpadł na jakiegoś mężczyznę, który rzucił za chłopcem przekleństwo, skręcił jeszcze raz i zatrzymał się za rogiem. Strasznie chciał zostać sam. Coś było nie tak, a on w żaden sposób nie mógł zrozumieć, co.

Nagle poczuł, że traci oddech. Nic takiego – po prostu na chwilę zabrakło mu powietrza. Już mu się coś podobnego zdarzało, gdy uporczywie nie wychodził prawie wymyślony wiersz. Tamto odczucie było niemal przyjemne – potem udawały mu się naprawdę dobre strofy.

Ale teraz nie chodziło o wiersze. Tylko spadła nań przytłaczająca zasłona.

– Chłopcze, źle się czujesz?

Zatrzymała się przy nim starszawa kobieta – z tych, co to regularnie piszą listy do gazet, pomagają

pijanym na przystankach wsiąść w odpowiedni trolejbus i terroryzują sprzedawców w supermarketach.

– Nie jesteś chory? Nie brałeś jakiegoś świństwa?

Kirył od razu poczuł się lepiej.

– Proszę mnie zostawić w spokoju! – krzyknął. – Nic nie brałem!

Urażona kobieta natychmiast poszła dalej. Kirył odprowadził ją stropionym spojrzeniem.

Co się ze mną dzieje?

Zaczął iść powoli, odruchowo podążając za kobietą. Ta w pewnym momencie odwróciła się i spostrzegłszy idącego za nią chłopca przyspieszyła kroku. Małoletni narkoman to niezbyt ciekawy towarzysz. Kirył opamiętał się i stanął.

Jeszcze godzinę temu miał ochotę powłóczyć się po starych ulicach centrum, ale teraz rzeczywiście zapragnął znaleźć się w domu. Zamknąć się w swoim pokoju, uwolnić się... od czego?

od dręczącego spojrzenia...

Sam był zdumiony, że rozwiązanie zagadki okazało się takie proste. Zwykle spojrzenie w plecy... Kirył odwrócił się, podejrzliwie przyglądając się przechodniom. Nikogo, kto choć przez chwilę popatrzyłby na przestraszonego chłopaka. Nikogo... i nie mogło nikogo być – to wrażenie, przytłaczające wrażenie czyjś spojrzenia prześladowało Kiryła od rana i w domu, i w szkole, narastało z każdą minutą, nadciągało jak morska fala na łagodny brzeg.

Kirył stłumił szalone pragnienie rozplakania się i pobiegł z powrotem do metra, w niejasnej nadziei, że pod ziemią, w rwącym we wszystkie strony tłumie spojrzenie zniknie.

Dziesięć minut później zrozumiał, że nadzieja była daremna.

3

Tylko młodzi mogą nazywać starość czasem spokoju.

Zrozumieją, że się mylili, gdy sami się zestarzeją.

Arkadij Lwowicz stał przy zaparowanym oknie, patrząc na mżący deszcz. Deszcz to nie ogień i nie morska fala, nie można patrzeć na niego bez końca, zatapiając się w niemal żywym ruchu. Deszcz zawsze umiera, nawet dla potopu nadszedł czterdziesty pierwszy dzień.

To była ostatnia jesień – i deszcz niósł ze sobą ostatnią gorzką pociechę.

Arkadij Lwowicz odwrócił się powoli i zaczął wsłuchiwać w siebie. Niczego – ani bólu, ani najmniejszego nawet dyskomfortu. To, co go zabije, jeszcze drzemało, zbierając siły.

– Tato, wychodzę – dobiegło z korytarza.

Arkadij Lwowicz przeszedł przez pokój, w którym niepościelone łóżko nikło pomiędzy regałami pełnymi książek. Dawno temu ktoś mu powiedział, że ten pokój przypomina dekorację do filmu o wielkim uczonym. Odpowiedział wtedy bez zastanowienia: „Sam jestem już tylko dekoracją”. I dopiero znacznie później zrozumiał, że tak było w istocie.

Zięć sznurował buty, pochylając się z męczącą desperacją otyłego człowieka. Zerknął na wychodzącego z korytarza teścia.

– Jedzenie jest w lodówce. Czajnik postawiłem na ogniu.

– Dziękuję, Andriusza.

Arkadij Lwowicz lubił zięcia, tak jak można lubić człowieka, który nie spełnił pokładanych w nim nadziei, a wobec którego nie sprawdziły się najgorsze przeczucia. Andriej ani dwadzieścia lat temu, ani teraz nie traktował swojej żony Żydówki jak nieruchomości, a teścia profesora jak odskoczni w swojej karierze. Co prawda pozostał, teraz już na zawsze, szeregowym uczonym bez talentu. Ale to

już jest dar boży, a wszystko, co dostępne człowiekowi, Andriej wykonywał uczciwie.

– Wiera zajrzy jutro – oznajmił prostując się. – Posprząta... Należałoby tu zrobić remont, Arkadiju Lwowiczu...

„Potem – pojawiło się na końcu języka – przed sprzedażą”.

Arkadij Lwowicz nigdy nie próbował zrozumieć, jaką rolę w miłości jego bliskich do niego odgrywa to mieszkanie. W każdym razie osłodzi im smutek.

– Do widzenia.

– Do widzenia, Andriej.

Zamknął drzwi i poszedł do kuchni, gdzie niespiesznie gotowała się woda w czajniku. Zajrzał do lodówki – kefir i kiełbasa carycyńska. Dobrze. Człowieka, który wie, że pozostało mu tylko pół roku życia, nadal cieszą małe radości.

Arkadij Lwowicz stanął przy kuchennym oknie. Czy to nie wszystko jedno, w którą stronę będzie patrzył człowiek stojący w deszczu? Odprowadził wzrokiem zięcia przeskakującego kałuże. Komiczny widok... Nie zawsze talenty kulinarne żony wychodzą mężowi na dobre.

Z tej strony domu okna wychodziły na krótką cichą uliczkę, nie spaskudzoną ani nadmiarem sklepów, ani szyldami biur sprzedaży wszystkiego jak leci. Przez siatkę deszczu staruszek patrzył na równy strumień przechodniów. Większość się spieszyła. Tylko na rogu, po drugiej stronie ulicy zastygła drobna chłopięca figurka – może chłopak czemuś się przyglądał, a może nagle zatonął we własnych myślach. Dziwny chłopak.

W czajniku zagotowała się woda i Arkadij Lwowicz na chwile odszedł do kuchenki. Gdy wrócił, chłopca nie było już na rogu, lecz biegł, jakby chciał się od czegoś uwolnić.

Zabawne. Dlaczego od czegoś, a nie od kogoś? Przeniesienie własnych odczuć nadciągającej śmierci na chłopca, który jeszcze się nawet nad tym nie zastanawiał? Arkadij Lwowicz odwrócił się. W chłopaku było zbyt dużo życia i niecierpliwości, patrzenie na niego było męką.

Arkadij Lwowicz przygotował nieskomplikowane śniadanie, precyzyjnie i sumiennie, jak zwykł robić wszystko. Zaparzył mocną herbatę, uśmiechając się do siebie: „Arkasza, u ciebie jak zwykle dobra herbata...” Tak. Nie żałujcie liści...

Zresztą, nie wszyscy zdążyli w opluwanych ciągle czasach sowieckich osiągnąć wystarczający sukces, by przestrzegać tej prostej zasady. Wiele osób dzisiejsza wolność pozbawiła całej aresztanckiej otoczki, która stała się taka obowiązkowa. Sam Arkadij Lwowicz nigdy nie wypowiadał się na temat polityki, za wyjątkiem tej prostej konstatacji, że każda władza to gówno. Udało mu się wstąpić na uniwersytet jeszcze za życia Stalina, obronić się za Chruszczowa, zostać profesorem i do woli pojeździć po świecie za Breżniewa. Nie przeszkodziły mu ani nazwisko Zaltzman, ani bezpartyjność. Konformizm? Możliwe. Ale jego niewzruszone przekonanie, że głupi i mądrzy pojawili się na świecie znacznie wcześniej niż komuniści i kapitaliści, wytrzymało próbę czasu.

Umył naczynia i znowu wrócił do okna. Na biurku czekał zaczęty pół roku temu artykuł. Arkadij Lwowicz starannie spłacał ostatnie długi. Malutkie szczęście wiedzy – odejść, nie zostawiając po sobie niewykonanych zadań.

Ale najpierw trzeba odrobinę sprzątnąć w mieszkaniu.

– Jakbym na coś czekał – powiedział na głos. I tym razem nie zdumiała go ta forma. Właśnie na coś.

I to przyjdzie. Wcześniej niż śmierć – może jako jej posłaniec.

– *Odsłoń mi los – powiedział człowiek.*

– *Nie masz losu – odparł sfinks.*

– *W takim razie umieraj.*

Człowiek odwrócił się od żalostnego legowiska na piaszczystym zboczach, od wyblakłych kości, kruszonych łapami potwora, od strumyczków popiołu płynących jak umierający dym. Przed nim była droga – stalowe nici na betonowym pasie i błyski zachodu słońca w szklanych igłach odłamków.

Za jego plecami starożytna jak świat istota wygięła się w konwulsjach. To, co przywykła darować ludziom, przybliżyło się do niej samej.

– *Nie... Nie, Zabijający Słowem... ja nie mogę umrzeć.*

Człowiek zaczął pogwizdywać. Melodia rodziła się i umierała pomiędzy zboczem wzgórza i nie kończącą się równiną. Potem wplotły się w nią słowa:

Wieczór przychodzi nawet do ślepców,

Do nieśmiertelnych przychodzi śmierć.

Dar umierania dostali jedni,

Drudzy witają śmierć.

Światło zrównało się z ciemnością,

Ranek zobaczy tylko proch.

Przyjmujesz swoją śmierć z godnością,

Żyjący w światach dwóch...

Sfinks uniósł się, ciało lwa – brąz sierści, i piękna kobieca twarz – złoto włosów, wszystko zostało przestłonięte mgiełką. Tylko w oczach nadal płonął wściekły żółty płomień.

– *Poczekaj, Zabijający Słowem... nie widzę twojego losu, ale powiem ci, kto go zna.*

Człowiek zatrzymał się. Cisza to muzyka śmierci. I znowu głos...

Rozkładowi – tlen, szkieletowi – ruch,

Stój, czekając ostatnich słów.

Sfinks wyprostował się, stał się wyższy od człowieka. Wściekłość, nienawiść i strach zmieszały się w jego głosie:

– *W świecie snów, niedostępnych tobie... w świecie snów, człowieku. Tam znają twoje przeznaczenie. Tam są twoje korzenie – ale ty ich nie znajdziesz.*

– *Dziękuję – rzekł człowiek i popatrzył na sfinksa – długo, pożegnajnie. – A teraz słuchaj...*

Sfinks zacharował.

Kliknięcie – i komputer połknął napisaną stronę. Jarosław nie lubił przerywać w środku myśli, ale przestało mu się „pisać”.

To nic, zdarza się.

Przejrzał tekst od początku. Zachwycił się, jak to wszystko ładnie wygląda na ekranie. Równiutkie linijki, przyjemna czcionka i tak samo gładki tekst. Każdą rzecz początkowo pisze się lekko i fantasy – bajka dla dorosłych – nie jest wyjątkiem. A te powieść, „Księgi Drogi”, Jarosław zaczął pisać

dawno temu, gdy jeszcze nie wiedział, jak włączyć komputer. Pisał wtedy gorzej. Zapewne. Ale za to jak lekko, mój Boże, jak lekko... I nie trzeba było podkreślać się kawą z koniakiem, papierosami, muzyką. Po prostu siadał i pisał – na łoskoczącej, eleganckiej jak kawał mosiądzu moskwie. I linijki były krzywe, i błędów pięć razy więcej. Ale pisało się tak lekko!

Nalał do filiżanki reszkę kawy. Szczodrze dodał cukru i koniaku. Spróbował. Tak, tę kawę trzeba będzie wypić jednym haustem. Dobrze... witaj, żołądku, jak się masz, serce, co słyhać, wątrobo? A teraz najprzyjemniejszy dodatek do kawy – papieros. Hello, płuca!

Bycie pisarzem to zajęcie z lekka samobójcze. Niektórzy radzą sobie bez stymulatorów. Innym nie wystarczają już papierosy i alkohol.

Trzy książki rocznie – inaczej nie sposób wyżyć, niechby nawet dwie z nich były chałturą, masówką, kosmicznymi operami i fantasy. Najważniejsze to pozostać w pierwszej dziesiątce. Każdy zawód ma niepisane prawo – najpierw ty zapracowujesz na autorytet, potem autorytet pracuje na ciebie. Niestety, w literaturze autorytet utrzymuje się niedługo... a właściwie nie ma go wcale, poza małymi wyjątkami. Każdy tekst to wyzwanie rzucone ludziom umiejącym czytać. Sam fakt jego istnienia wymaga od nich niezgadzenia się. I to jest słuszne. Literatura może na pewno nauczyć jednego – niezgadzenia się.

Jarosław wyszedł z windowsów, popatrzył przez chwilę na żółto-niebieskie okna nortona i włączył „Wizytę w ciemności” – ulubioną zabawkę ostatniego miesiąca. Uczciwa, niewymagająca rozrywka, polegająca na machaniu mieczem. Chałtura po chałturze...

Kiedy Jarosław wymyślał „Księgi Drogi”, nie uważał ich za masówkę. Chciał opowiedzieć o miłości i nienawiści, o chłopcu, który staje się mężczyzną, o tym, że żadne zwycięstwa nie są warte przyjaźni i miłości...

Czy stał się mądrzejszy od tamtej pory? Bardziej cyniczny?

Zabawka cierpliwie czekała. Malutka figurka rycerza stała na skraju lasu wsparta na dwuręcznym mieczu, popatrując to przed siebie, to przez ekran na Jarosława. A Jarosław palił, patrząc na płynące po ekranie obłoki, kołysaną wiatrem trawę, lśniące oczy. Narysowany świat, narysowany bohater, narysowane lęki. On zajmował się tym samym. Rysował niebezpieczeństwo i zwycięstwo, nienawiść i miłość. Po prostu umiał rysować słowami.

Rycerz na ekranie poruszył ramionami, podniósł miecz i ruszył w stronę narysowanego lasu. Nawet wymyśleni bohaterowie mają prawo wyboru.

Odchylając się na oparcie fotela, Jarosław zamknął oczy. Dziwny dzień. Niby wszystko jak zwykle – poranna wyprawa po jedzenie i papierosy, grzebanina z komputerem, tym malutkim światem samym w sobie, nowe strony tekstu – jedyne, co naprawdę umiał robić. Wszystko w porządku. Ale z jakiegoś powodu przez cały czas nie opuszczało go napięcie.

Walka. Całe życie to walka. Można odciąć się od polityki, kariery, miłości, schować się za kawałkiem płótna albo kartką papieru – a życie i tak będzie pojedynkiem, przesączy się w farby obrazu i linijki tekstu. W przeciwnym razie obraz i tekst nie byłyby nikomu potrzebne. Życie to tylko materiał, poprzez który realizuje się śmierć. Nic więcej. I żeby opowiedzieć coś o miłości, trzeba mówić o nienawiści.

Jarosław nie patrząc wyciągnął rękę i wyłączył komputer. Ledwie słyszalny szum wentylatora ucichł, zapadła cisza. Wieczór pracy dobiegł końca. W tym samym momencie zadzwonił telefon – jakby cierpliwie czekał, aż Jarosław skończy pisać. Zachłystująca się słowami telefonistka połączyła międzymiastową... Jarosław sięgnął po słuchawkę.

– Nie zechciałby pan poprosić do telefonu...

Sposób mówienia Stiepana nie zmieniał się nigdy.

– Witaj – zerknął na zegarek. Moskwianie nigdy nie pamiętają o istnieniu stref czasowych. Malutka słabość mieszkańców stolicy – zresztą Stiepan wiedział, że on pracuje do późna w nocy.

– Dobry wieczór. Nie śpisz?

– Nie.

– Ja tylko na chwilę. Pamiętasz o propozycji „Basreliefu”?

– Oczywiście.

– Zgodzili się na twoją stawkę. Podpiszesz umowę?

– Uprzedziłeś ich, że nie wierzę w parapsychologów, kosmitów i inne brednie? Daleko, tysiące kilometrów dalej Stiepan roześmiał się.

– A co ich to obchodzi? Oni też nie wierzą. Najważniejsze, żebyś przekonał czytelników. Comiesięczne artykuły w popularnym czasopiśmie... Jarosław nie miał zamiaru udawać ani przed sobą, ani przed przyjacielem.

– Dobrze. Pomyśl, jak przekazać urnowe.

– Mają korespondenta w Ałma Acie, zapisz telefon...

– Dyktuj.

– Tylko się za bardzo nie wciągaj. Zdasz skończyć swoją powieść? Jarosław zawahał się przez chwilę. „Księgi Drogi”? Zdasz, oczywiście, zawsze zdążał. Więc skąd ten niepokój...

– Dyktuj numer – powiedział.

5

Raszid Hajretdinow z miną cierpiętnika pótleżał na kanapie. Pozycja nie pasowała ani do niego – zbyt krzepkiego, by wyglądać na udręczonego chorobą, ani do drogiego garnituru, jakby specjalnie lekko pomiętego.

– Może przyjdę wieczorem? – referent był jednym wielkim współczuciem.

– To nic, Tolik, to nic... – Raszid Gulamowicz sięgnął po szklankę z ciepłą wodą mineralną i zaczął ją pić drobnymi łydkami jak lekarstwo. – Przejdzie. Mów.

– Ranking spadł niemal o dwa procent – zaczął ostrożnie referent. – Na razie jeszcze pan przechodzi, ale jeśli tendencja się utrzyma, powtórne wybory pan przegra.

– Niedobrze – Raszid odstawił szklankę. – Ale wiesz, nie zdziwiłeś mnie. Od rana to czułem. Jakie zalecenia?

– Nie uda nam się zagrać na kwestii narodowościowej – referent pozwolił sobie na przepraszający uśmiech. – W obietnice ekonomiczne nikt nie uwierzy. Tylko konkretne kwestie, podjęte w odpowiednim momencie...

– Przystępczość – zasugerował Hajretdinow. – I coś masowego. Nie napady na banki czy zabójstwa biznesmenów, lecz... – zamilkł.

– Prawo posiadania broni, kara śmierci dla gwałcicieli, izolacja homoseksualistów...

– Stare – Hajretdinow zerknął na biurko. – Terroryzm komputerowy. Pieniądze i tajemnice Rosji wyciekają za granicę – a wszystko przez komputeryzację. Kraj zubożał, wystawiony na zaoceaniczne pokusy. Każdy komputer to koń trojański. Rozumiesz, naród nie wie, z której strony podejść do tej maszyny. Dla niego komputer jest... ee... świadectwem, że on jest głupi. Gdyby opowiedzieć kilka okropnych historii – o złocie partii, które odpłynęło przez kable do Izraela, na przykład.

Referent skinął głową.

– Pomyślcie – Raszid Gulamowicz wsunął dłoń pod koszulę, pomasażował brzuch. – Policzcie. Ile

stracimy, ile zyskamy. Jak uruchomić problem i z której strony zareagować.

– Dobrze.

– No, idź już.

Odprowadził referenta serdecznym spojrzeniem. Staranny chłopak, trochę zrozumiął, ale w normie. Z takimi można długo pracować, nie spodziewając się zdrady... której należy oczekiwać zawsze i wszędzie.

Krzywiąc się, narodowy deputowany z okręgu saratowskiego wstał z kanapy. Ileż razy zarzekał się, że nie będzie pił wina... ze swoim chorym żołądkiem. Ale trudno. Za to rozmowa była długa i pożyteczna.

Drzwi gabinetu uchyliły się i usłyszał:

– Raszidzie Gulamowiczu...

– Wejdz, Tanieczka – Hajretdinow zamarł obok fotela. Długo musiał się uczyć wstawania w obecności kobiet, ale za to teraz nie robił wyjątków nawet dla własnej sekretarki.

– Dzwonią do pana, Raszidzie Gulamowiczu, a pan wyłączył telefon.

– Kto dzwoni?

– Władimir Pawłowicz.

– Łącz – Hajretdinow opadł na fotel, podniósł słuchawkę.

– Raszid?

– Słucham cię.

– Straszna wiadomość. Trzy godziny temu zabili Siemienieckiego...

– Co ty mówisz... – Raszid Gulamowicz sięgnął po papierosa, ugniótł go w palcach. Przedtem palił fajkę, ale zbyt udatnie go wyszydzone w jakiejś karykaturze, podkreślając podobieństwo do „ojca narodów”.

– Na klatce własnego domu. Zastrzelili.

– Edik, Edik... – Hajretdinow westchnął zaciągając się. – Cóż, wszyscyśmy równi przed Bogiem... Zabójcę złapali?

– Co ty... Podejrzewają, że zastrzelił go jego własny ochroniarz.

Raszid Gulamowicz uśmiechnął się. Jego rozmówca pewnie też.

– Straszne... planowaliśmy spotkanie w przyszłym tygodniu, a tu popatrz...

Rozmawiali jeszcze z pięć minut, umożliwiając złożenie raportu zwierzchnictwu tym, którzy mieli obowiązek kontrolować ich rozmowy. Zabójstwo Siemienieckiego nie wzbudzi większego zainteresowania – za tym opornym handlowcem mało kto stał. Ale zaczną szukać kozła ofiarnego... Udział ochroniarza raczej nie zostanie dowiedziony.

W głębi duszy Raszid Gulamowicz był znacznie mniej spokojny niż jego rozmówca. Na miesiąc przed wyborami nawet cień podejrzenia mógł okazać się zgubny. Raszid chciałby usłyszeć jeszcze jedną smutną nowinę – o śmierci niczym nie wyróżniającego się chłopaka spod Moskwy... Na przykład, że wpadł pod pociąg, wracając po północy do domu. Podobnie Władimir Pawłowicz, zazwyczaj cynik i ryzykant, szczerze wierzył w to, że jego wykonawca jest niezastąpiony. Albo nietykalny, co na to samo wychodzi.

Odłożył słuchawkę, włączył centralkę.

– Tania, kieliszek koniaku.

– Przecież jest pan chory, Raszidzie Gulamowiczu.

Hajretdinow nie odpowiedział. Śmieszyła go i trochę wzruszała troska tej młodej kobiety, pracującej dla niego od trzech lat. Ani razu się nie przespali – po co łączyć pracę i wypoczynek? Ktoś przecież powinien cię kochać platonicznie – to takie rzadkie uczucie...

Tania w milczeniu przyniosła koniak, chyba w najmniejszym kieliszku, jaki znalazła. Raszid Gulamowicz przez chwilę obracał go w dłoni, grzejąc trunek. Napił się. Niech ci ziemia lekka będzie, Edwardzie Siemieniecki. Bóg widzi, że tego nie chciałem. I wcale nie czuję teraz ulgi, tylko lepki, dziwny niepokój... jakby to po raz pierwszy paczka dolarów zrobiła swoją robotę.

6

Wszystko było nie tak. Od rana. Anna rozumiała, że to zapłata za wczorajszy wieczór, kiedy to upiła się w sposób haniebny. W domu, sama, jak jakaś alkoholiczka, kupując po drodze z pracy butelkę taniej bułgarskiej brandy. Ale tak jej było smętnie i ciężko na duszy. I alkohol pomógł – na jakiś czas. Jak każdy mało pijący człowiek wstawiła się szybko, nie wiadomo kiedy, i po paru minutach przeszła od trzeźwej udręki do tępej senności. Posiedziała chwilę przed telewizorem, chciała obejrzeć jakiś serial. Ale kartonowe dekoracje i marni aktorzy stali się nagle tacy śmieszni...

Teraz bolała ją głowa. Z trudem znalazła w kuchni pudełko aspiryny, połknęła dwie tabletki. Nie amerykańska, ale trudno.

Trzeba wziąć z pracy opakowanie analgetyków.

Wiedziała, skąd się bierze ten dręczący ból w piersi i nieznośny wstyd – gdy nie chce się patrzeć ludziom w oczy. Trzy śmierci w ciągu jednego dyżuru. To już nie szpital, to hospicjum, przytułek dla umierających... którzy powinni byli przeżyć. W telewizji reklamują bez przerwy dziesiątki postaci paracetamolu, jakby nazwa „panadol” czyniła go bardziej efektywnym. Reklama środków na kaca, reklama tabletek na kaszel...

A trzysta kilometrów od Moskwy umierają ludzie – bo nie ma silnych środków przeciwbólowych, nowoczesnych antybiotyków, betablokerów. A raczej wszystko jest. Ale za ceny dostępne nielicznym.

Anna nie wiedziała, czy oni rozumieją, że odmawiając kupowania lekarstw skazują się na śmierć. Chyba nie. Zbyt żywe są w pamięci czasy, gdy leczono bezpłatnie. Źle czy dobrze, ale leczono... uczciwie mówiąc: „Niech pan spróbuje zdobyć...”, gdy nie było niezbędnego preparatu.

Ale nigdy nie trzeba było wkłuwać analgetyku zamiast pantoponu chorym, którzy krzyczeli z bólu podczas ataku kolki wątrobowej.

Ubrała się w malutkim przedpokoju, oczyściła szczotką jasny płaszcz, przez chwilę oglądała się uważnie w lustrze. Nieźle. Nikt by nie powiedział, że wczoraj wychłała szklankę koniaku. Po prostu zmęczona młoda kobieta, jedna z miliona. Może nawet sympatyczniejsza niż inne.

I pewnie głupsza. Cztery lata pracy w zawodzie lekarza i do tej pory nie potrafi się przyzwyczaić do śmierci. Może gdzieś tam jest lepszy świat, ale dlaczego ten jest taki okrutny...

Autobus był przeładowany. Szpital zbudowano na peryferiach, obok starej utajnionej fabryki (ale ktoś wymyślił) i od pół roku musiała jeździć w towarzystwie robotników. Kiedyś ich zmiana zaczynała się wcześniej, więc prawie nie stykała się z tym tłumem. A teraz albo im przesunęli grafik, albo skrócili dzień pracy.

I trzeba się było przyzwyczaić. Drogi nie zauważa się tylko wtedy, gdy ludzie wokół są nieznajomi, bezosobowi, nie rozmawiają ze sobą. Ale jeśli widzi się ich codziennie, w dodatku rano, gdy myśli nie są jeszcze zajęte minionym dniem, to bardzo szybko zaczyna się odbierać podróżnych jak osobowości. Niechby cię nawet nie zaczepiali (i czymże odstraszałem przypadkowych lowelasów?) i tak mimo woli przysłuchujesz się i przypatrujesz. Na przekleństwa Anna nie zwracała uwagi. W sali operacyjnej tyle się nasłucha kolegów, że niejeden proletariusz by się zaczerwienił.

Dzisiaj rano mówili o polityce, oczywiście używając doborowego słownictwa. Anna niemal od razu przestała słuchać rozmowy. Wszystko jej obrzydło do szaleństwa. Zaczęła przyglądać się

chłopakowi, który stał obok niej w przejściu. Młody, sympatyczny, wyglądał na przodownika pracy z radzieckich filmów. Zazwyczaj nie włączał się do rozmów. I teraz też jechał w milczeniu, patrząc w okno ponad głowami ludzi.

Ciekawe, czy mogłaby się w kimś takim zakochać? A wyjść za niego za męża?

I co powiedzieliby jej znajomi na męża proletariusza?

Annę rozbawiła i zakłopotowała ta myśl. Nagle wydała się sobie starą panną, wybierającą narzeczonych „drugiej świeżości”. Na co jej przyszło...

Między odsuwającymi się (zdumiewająco uprzejmie) ludźmi, zaczęła przeciskać się do drzwi. Wsiadła na przystanku sama, poprawiła płaszcz. Było wietrznie i nieprzyjemnie przed tymi posępnymi betonowymi korpusami, wetkniętymi przez nieznanego architekta w połowie drogi między osiedlem i fabryką. Zimowymi wieczorami, gdy wcześniej zapadał zmierzch. Anna starała się nie chodzić na przystanek sama.

Dzisiaj w nocy dyżur miała Tonia, straszna bałaganiara, ale lekarz z iskrą bożą. Z tych, co wszystko robią na pół gwizdka, a chory zdrowieje z godziny na godzinę. Anna zawsze uważała to za niesprawiedliwe, że człowiek, który został lekarzem przypadkiem i nie czuje do zawodu najmniejszego szacunku, umie to, czego ona do emerytury się nie nauczy. Ale co zrobić...

Drzwi do pokoju lekarskiego były zamknięte od wewnątrz. Tonia oczywiście nie miała zamiaru robić porannego obchodu. Anna ze dwie minuty stuknęła w pomalowane na biało szkło, zanim w środku ktoś się poruszył.

– Ojej, przepraszam – wymamrotała sennie Tonia, otwierając drzwi. – Co ty tak rano, jeszcze nie ma ósmej.

– Nie chciało mi się spać – odpowiedziała Anna wchodząc. Tonia miała fartuch założony na gołe ciało, była rozczochrana i radosna. Intuicję miała absolutnie genialną. Czy trzeba będzie biec w nocy do umierającego chorego – wiedziała już wieczorem. – Nie robiłaś obchodu?

– Robiłam – uśmiechnęła się Tonia, podchodząc do szafy i zrzucając fartuch.

– Tak, wieczorem. A zapisałaś na rano.

– Kornułowa, nie udawaj ordynatora... – Tonia wcisnęła się w dzinsy i spojrzała na nią ironicznie.

– Wszystko w porządku, nikt nie umarł.

– I nikt nie ma zamiaru?

– Szedczenko – odpowiedziała Tonia bez chwili zastanowienia. – On potrzebuje hemodializy, wiesz przecież.

Anna nic nie odpowiedziała. Tymczasem Tonia skończyła się ubierać i zamarła przed lustrem.

– Komuś się pogorszyło?

– Takie tam, drobiazgi... – zbagatelizowała pytanie Tonia, wysuwając szminkę z oprawki. – Oglądałaś wczoraj wiadomości?

– Nie.

– W Dumie przyjęli ustawę o dofinansowaniu... – Tonia zacisnęła usta, skrzywiła się, patrząc, jak leży szminka – ... szpitali. Więc szykuj się do leczenia według podręczników. Uzbek jednak dopiął swego.

– Hajretdinow? A co w nim jest uzbeckiego prócz nazwiska?

– Imię – odparowała Tonia. – I wschodnia ekspansywność.

Anna wahała się przez chwilę, ale jednak odpowiedziała:

– Nie ma w nim żadnej ekspansywności, tym bardziej wschodniej. To na Kaukazie mają ekspansywność we krwi. A on tylko gra pod publiczność. Napijesz się herbaty?

– Wszystko jedno i tak zuch... Dziękuję, wytrzymam jakoś do domu.

Włożyła kurtkę, zarzuciła torbę na ramię. Zerknęła na Annę – pewna siebie, sympatyczna, ładna.

– Miłego dyżuru. Obserwuj Szedczenkę, reszta da sobie radę. Wystarczy wczorajszej trójki, i tak nas objadą w poniedziałek.

– Na razie, Toniu.

Anna została sama. Plik historii chorób na stole, cicho szumiący czajnik. Mimo wszystko trzeba będzie zrobić obchód. Tonią to mądra dziewczyna, ale różnie się może zdarzyć. Zbyt niespokojnie na duszy. Zimno za oknem, zimno w sercu. Jesień...

7

Według scenariusza szósta armia zmotoryzowanej piechoty „niebieskich” atakowała Kijów z kierunku północno-wschodniego. To było rzeczywiście najbardziej realne – powtórzenie doświadczenia drugiej wojny światowej, gdy wojska radzieckie wyzwalały Ukrainę.

Pułkownik Nikołaj Szedczenko stał nad mapą. Myśli krążyły daleko, uparcie nie chcąc powrócić do mających się wkrótce zacząć manewrów na poligonie. Zajęcie Sewastopola, obrona Krymu przed flotą rosyjską, ataki czołgów na Winnice i Lwów... bzdury. Gdyby już, nie daj Boże, doszło do wojny pomiędzy Ukrainą i Rosją, to wszystkie scenariusze zdadzą się psu na budę. Wybuchną rozruchy w Doniecku, dojdzie do rozłamu w armii i nie zdąży przyjść z pomocą korpus amerykański, który brał udział w szkoleniu...

To nieprawda, że wojna jest kontynuacją polityki. To dodatek, żaloszny i niepotrzebny. Oczywiście Rosja i Ukraina nie mają zamiaru walczyć. Ale przeprowadzić manewry na poligonie, pokazać, na co są gotowe...

Szedczenko podszedł do okna. Do licha z tymi manewrami. „Zieloni” zwyciężą, oczywiście. „Niebiescy” w hańbie cofną się do Moskwy. Wojskowy attache dobrodusznie poklepie po ramieniu dowódcę sztabu. Prezydent leniwie podpisze kilka rozkazów, rozdając medale i tytuły bohaterom.

A on w tym momencie będzie na terytorium „potencjalnego przeciwnika”, w malutkim miasteczku Sasowo, obok płaczącej siostry i siostrzeńca przygłupa. Dawno nie widział Saszki, chyba z pięć lat. Zdążył się zmienić z zadziornego chłopaczka w chamowatego młodziana – przynajmniej takie wrażenie odniósł z listów siostry. Zresztą teraz to już nieważne, Saszka jednak się doigrał na tym swoim motocyklu. Rozbił się, motor spłonął, nie wiadomo, czy uda mu się z tego wykaraskać...

Szedczenko nigdy nie był specjalnie blisko ze starszą siostrą ani tym bardziej z jej jedynym opóźnionym w rozwoju synem. Wielu przyjaciół własnego syna znał lepiej niż rodzonego siostrzeńca i uważał ich za znacznie lepszych reprezentantów młodzieży. Ale doszło do nieszczęścia i coś jęknęło w piersi, smętnie i gorzko.

Jakby to on był winien rozbitego życia siostry, jej wiecznych problemów z chłopami, kłótni z synem, nędzy szpitala, w którym próbują uratować Saszkę...

Co on w ogóle może w tamtym świecie? Jak zdoła pomóc? Pieniężmi... niezbyt dużymi... kamienną fizjonomią wojaka, który nie raz widział śmierć?

Ale jechać trzeba. Dobrze chociaż, że tak łatwo dali urlop. Wielu chciałoby spić śmietankę z tych manewrów, i idiota, który wyjeżdża w takim momencie, wywołuje tylko powszechną aprobatę. Dopiero później ktoś zacznie się doszukiwać w tym podtekście politycznego... niechęci do uczestniczenia w ćwiczeniach przeciwko „umownie rosyjskiemu” przeciwnikowi. A na razie wszyscy współczują głęboko obojętnemu im Saszce i dzielą się historiami o cudownych uzdrowieniach poparzonych i połamanych.

To nic. Nie widział siostry pięć lat i możliwe, że już nigdy nie zobaczy siostrzeńca. Żona nie

powiedziała ani słowa, gdy brał pieniądze odłożone na nowy garnitur, dzięki jej za to. Wieczorem będzie w Riazaniu, w nocy w Sasowie... może pojedzie do siostry, a może od razu do szpitala...

– Kola...

Odwrócił się. Didenko, jego zastępca, stał w drzwiach.

– Samochód czeka.

Szedczenko wziął wypchaną torbę: cywilne ubranie – śmiesznie byłoby paradować po Rosji w mundurze obcej armii; gościńce – w tym opiewaną w anegdotach słoninę.

– Dziękuję – uściskał Didence rękę.

– Nie zawieź.

Podpułkownik udawał, że targają nim emocje – i że wszystko będzie w porządku, i że bez dowódcy pułku są skazani na hańbiącą porażkę, i że on szalenie współczuje cudzemu nieszczęściu.

– Czyż nie jesteśmy ludźmi – wymamrotał.

Szedczenko skinął głową, schodząc po schodach. Pełniący wartę przy sztandarze odprowadził go szklanym wzrokiem.

Nie jesteśmy ludźmi. Jesteśmy żołnierzami. Dobrowolnymi niewolnikami. Powinniśmy być pozbawieni uczuć i ambicji. Karmią nas oficjalnymi mowami i codziennymi kpinami. „Jeden zwój, w dodatku od furazerki... po co mi teraz szare komórki, skoro dostałem stopień pułkownika?” Czy o tym wiośnie myślał, wstępując do taszkienckiej wyższej szkoły wojskowej?

Żeby tak już zobaczyć siostrę. Przerwać ten dręczący niepokój... lepszy najgorszy koniec niż to... oczekiwanie.

8

Za każdym razem, pozbywając się broni, Ilja czuł się jak zdrajca.

Wiedział, że broń, która swoje zrobiła, to właściwie jedyna nitka, po której mogą do niego dotrzeć. Ale zamiana tak doskonałej, pewnej, wystrzelanej broni w garść rdzewiejących w ziemi części – to było znacznie trudniejsze niż naciskanie na spust.

Stopniowo się z tym pogodził. Zrozumiał, że jest w tym pewna wyższa sprawiedliwość – broń powinna odejść razem z klientem. Życie człowieka jest mimo wszystko więcej warte niż czterysta gramów stali. Dostał możliwość zabierania cudzych istnień bez oddania w zamian swojego. Zapłaci pistolet.

Ale broń zasługiwała na pożegnanie.

Ilja rozłożył i dokładnie wyczyścił makarowa. Złożył go i wyjął magazynek. Położył na stole tkwiącym samotnie na środku pokoju. I zamarł, pochylony nad pistoletem, rejestrując go w pamięci, przykrywając tym obrazem – zimny metal na czystym stole – tamten niedawny, w którym rozciągnięty na podłodze klient odprowadzał Ilje gasnącym spojrzeniem.

Jego mieszkanie robiło dziwne, trochę szalone wrażenie.

Pancerne drzwi na brudnej klatce schodowej betonowego mrówkowca wydawały się wystarczająco solidne, by ukryć apartamenty godne klientów Karamazowa. Jednak za nimi było jedynie zaniedbane mieszkanie ze zburzoną ścianą pomiędzy pokojami, ze ścianami wyklejonymi pożółkłymi gazetami z czasów radzieckich, wąskim tapczanem, biurkiem i regałem na książki. Pośrodku dziwnie pustej przestrzeni magnetowid sony i wieża wydawały się zmaterializowaną halucynacją. Nie znający cyklizowania parkiet był zawałony tekturowymi teczkami z wysuwającymi się stronami maszynopisów. Praca redaktora w prywatnym cherlawym wydawnictwie dawała Ilji zarówno doskonałą przykrywkę, jak i dużo wolnego czasu.

Pozostałe rzeczy Ilja zdobywał innymi drogami.

Stał tak nad pistoletem z pięć minut. Potem podszedł do okna wychodzącego na ogromne puste podwórze i starannie zaciągnął zasłony. Przez chwilę krzątał się w ciemności, wyciągając spod teczek z dziełami naiwnych grafomanów znajomą w dotyku teczkę z nieco inną zawartością. Usiadł na tapczanie i włączył słaby kinkiet.

W ciągu tych kilku sekund zmienił się. Zsuniecie spodni rażąco zmienia mężczyznę.

Gdyby Ilja miał wybierać, którą z tajemnych stron swojego życia podać do wiadomości ogółu, wybrałby tamtą, z pistoletem w rękę. Tylko nie tę... nie fotografie, naklejone na papier, złożone na stertę w kartonowej teczce. Zdjęcia, które oglądał, były czarno-białe, na cienkim poźółkłym papierze, tej ohydnej jakości, którą daje jedynie radziecka pornografia i gazetowy offset. Na zdjęciach były dziewczynki – dużo dziewczynek w wieku od pięciu do dwunastu lat, nieskrępowanych żadnym ubraniem. Osypane strzępy papieru sprawiały, że zdjęcia przypominały nieprzyzwoity rebus, ale Ilji to nie przeszkadzało. Zawsze miał doskonałą wyobraźnię.

Teraz Karamazow nie widział już otwartej teczki. Wpatrywał się poprzez papier w mroczną dal, gdzie niewiele osób zaryzykuje zajrzeć, a o tym, co zobaczyły, pamiętają jednostki. Kropelka potu zastygła na czole, połyskując pod splątanymi włosami jak maleńkie trzecie oko.

Tam, w mroku, był taki sam pokój, tylko na zaścielonym łóżku Ilja nie był sam. Obok niego siedziała dziewczynka. Malutka dziewczynka w brązowym szkolnym mundurku zapomnianym przez wszystkich wiele lat temu. Tam, za niewidoczną granicą, Ilja ją rozbierał. Powoli i pięknie, ściągając koronkowy fartuszek, spódniczkę, rajstopki...

Odetchnął głośno, nieruchomy jak posąg, tylko palce nie przerywały wyuczony w dzieciństwie gry. Ręka z zaciśniętą teczką zaczęła szybko drżeć...

Tam, w ciemności, zdjął z dziewczynki koszulkę i położył dłonie na wąskich biodrach... Teraz...

„Głupi! – powiedziała dziewczynka w ciemności. – Nie rusz!”

Ilja wydał ni to jęk, ni to westchnienie, waląc się na łóżko i czując, jak słabną mu ręce. Teczka z fotografiami stała się śmieszna i wstrętna. Odrzucił ją na podłogę i poleżał chwilę, zasłaniając dłońmi krocze i czując, jak opada napięcie.

– Śliczna – powiedział, chwytając odchodzące fantazje.

Ale z ciemności, w którą tak dobrze nauczył się zaglądać, nikt nie odpowiedział. Wyciągnął rękę, pomacał oklejoną gazetami ścianę, wyłączył kinkiet. Po kilku sekundach już spał.

Prócz masturbacji Ilja Karamazow miał również inne pasje. Lubił grać w preferansa, oglądać w telewizji „Gwiazdę poranka”, wyszukiwać klientów. Z zamówieniami nigdy nie miał problemów – zleceniodawcy znajdowali go sami.

Gdyby istniała tabela rankingowa zabójców, Karamazow zajmowałby od wielu lat pierwsze miejsce. Przyczyna była oczywiście banalna – nie tylko wykonywał zamówienia, lecz sam wszystko organizował. Podawano mu jedynie nazwisko, nie potrzebował nawet adresu. Jego klient mógł się ukrywać, mógł opuścić miasto lub kraj, to było bez znaczenia. A człowiek, który umiał odnaleźć każdego, potrzebny był wszystkim. Kilka razy zwracali się do niego młodzi ludzie, których krótka fryzura i uprzedzająca grzeczność nasuwały niejasne domysły. Ale Ilja nigdy nie zajmował się domysłami. Nawet gdy szukał klienta.

Właśnie dlatego jeszcze żył.

...Ilja spał. Ślizgał się na krawędziach snu, to zanurzając się w różnobarwną mgłę wizji, gdzie było wszystko oprócz małych dziewczynek i strzałów, to zapadając w martwy sen. O dziwo, rozumiał, że śpi. I czekał, czekał na coś, co nadciągało zawsze po otrzymaniu zlecenia.

Ale teraz nie musiał nikogo zabijać, prawda?

We śnie leciał przez ciemne korytarze, bezcielesny, co było nieznośnie przykre. Był przecież taki dumny ze swojego wytrenowanego, silnego ciała, za którym bez sensu oglądały się baby, był dumny z szybkości reakcji, z doskonałego celownika w oku...

A teraz niosło go jak drzazgę w płynącej z rynny wodzie i nie mógł się wydostać. Pozostawało się poddać. Pozostawało czekać.

– *Patrz* – szepnęła Ciemność.

Karamazow zajęczał. To był znajomy sen. Jeszcze z tych czasów, gdy szukał klientów nie w celu ostatecznego rozliczenia, gdy jego bronią było jedynie własne ciało, a zamówienia składali drobni „biznesmeni”, których teraz nawet by się brzydził zabić.

Tak było przed każdą akcją. Ale przecież teraz dla nikogo nie pracuje. Prawda?

– *Jesteś mój* – szepnęła Ciemność. – *Pora zapłacić.*

Przed nim rozbłyskiwało światło. Nie, nie światło. Po prostu ciemność zmieniła natężenie. Tak może świecić noc.

– *Sześćcioro...*

Zobaczył twarze. Tak wyraźnie, jak nie zdarzało się przy najbardziej udanych zamówieniach. Idealnie widoczne, jakby wykute z ciemności, tylko nie wiedzieć czemu podwójne.

– *Zrozumiesz* – powiedziała Ciemność. – *Są niebezpieczni na swój sposób. Nie ustępują ci w niczym.*

Ilja próbował zamknąć oczy – ale nie miał ani powiek, ani oczu. Ciemność niosła go po kręgu, zmuszając do zajrzenia w każdą twarz.

– *Zlecenie* – szepnęła Ciemność i w bezcielesnym głosie drgnęła ironia. – *Pora zapłacić.*

Nie mógł odpowiedzieć, nie mógł krzyknąć, ale nie było takiej potrzeby. Ciemność przeniknęła go na wylot, wiedziała wszystko, co chciał powiedzieć.

– *Jesteś mój. Zabij ich.*

Obudził się z krzykiem. Koszmar jeszcze go nie opuścił i żarówka kinkietu zapłonęła słabo i bezradnie jak w strasznych snach.

– Dla nikogo nie pracuję – wyszeptał rozglądając się.

Zlecenie wykonał, pieniądze dostał. Nie miał zamiaru wsłuchiwać się we własne majaki. Może odpoczywać, dopóki nie znudzą mu się kasety wideo kupione na czarnym rynku i teczka ze starymi zdjęciami. Dopóki nie zaproponują mu obsłużenia jeszcze kogoś...

...A Ciemność, która zawsze podszeptowała, gdzie i jak – zamilknie. I killer, który oduczy się zabijania, stanie się zwykłym człowiekiem, który za dużo wie. Klientem kogoś innego, do kogo przyjdzie Ciemność.

– *Suka!* – krzyknął Ilja, cicho szlochając. – *Ścierwo!*

Ale Ciemność już skryła się za krawędzią snu. Nie słyszała albo nie uważała za stosowne odpowiadać słudze.

Cichutko pojękując, Karamazow chwycił ze stołu pistolet. Zamarł, walcząc z pragnieniem wystrzelania całego magazynku w okno, w noc. Nie będzie posłuszny!

Ale kule trzeba oszczędzać, sześciu klientów, po dwa strzały, a z jakiegoś powodu należy jeszcze raz pomnożyć przez dwa... będzie musiał dokupić kule...

– *Łajza, łajza* – szeptał, siadając na podłodze – *Udawałaś, a ty też czegoś ode mnie potrzebujesz, wszystkie czegoś ode mnie potrzebujecie...*

Wszystkie są sukami. Wszystkie. Tylko dziewczynki są dobre. Tylko dziewczynki... na fotografiach... dobre... dziewczynki...

Ilja wyciągnął się na podłodze, sięgnął po kartonową teczkę. Chwycił ją, szlochając coraz ciszej.

Wśród tych sześciu osób, które tego dnia coś poczuły, Kirył Korsakow był najbardziej zdezorientowany – i, o dziwo, najlepiej przygotowany na to, co miało się stać.

Nie ogarnęło go jeszcze przecucie nieszczęścia, które wcześniej czy później przychodzi do każdego człowieka. Po prostu nie zdążył dorosnąć do tego, żeby posiadać tę dziwną wiedzę, wzgardliwie odrzucaną przez większość ludzi, a oczywistą dla tych, którzy bywali w poważnych tarapatach. Nie niepokoiła go nielogiczność tego, co się działo. Dzieci nie wierzą w logikę. Nie rozumiał nawet, że przytłaczający go nastrój może oznaczać znacznie mniejsze nieprzyjemności, niż mogłoby się wydawać.

Resztę dnia Kirył przeżył w napięciu wojownika, którego na nocnym polu bitwy złapano w promień reflektora i który próbuje udawać trupa. I ten uświadomiony strach chronił go przed histerią jak tarcza.

Matka, nawet jeśli wiedziała, że o tej godzinie lekcje w szkole jeszcze trwają, nie powiedziała ani słowa. W głębi duszy podzielała pogląd syna, że wykształcenie niewiele daje. Takich opinii rodzice nigdy jednak nie wypowiadają na głos – to jedna z reguł rodzinnej gry. „Palenie jest szkodliwe” – mówią dzieciom, przypalając kolejnego papierosa. „Nieładnie jest się bić” – aprobujące poklepywanie po ramieniu. Dzieci i tak wyczuwają prawdę. Dopiero gdy zaczynają dorastać, pojawia się pragnienie, by słowa i prawda zlały się w jedno.

– Dzwonili do ciebie z telewizji – powiedziała matka, gdy Kirył jadł. Obiad był rytuałem, nie dopuszczającym jakichkolwiek zmian. Ludmiła Korsakowa zawsze przychodziła na obiad do domu. I rozumiało się samo przez się, że Kirył będzie postępował tak samo. Nie tylko w imię prawidłowego odżywiania, chociaż matka przywiązywała do tego dużą wagę. Najważniejsza była krótka rozmowa, dzieląca dzień na dwie części – obowiązkową, ale nie mającą żadnego znaczenia, gdy Kirył był w szkole, i tę właściwą, która stanowiła życie chłopca. Gdyby miał śmiałość wygłosić swoje własne odczucia, powiedziałby, że mama traktuje go jak jubiler ogromny diament, powoli przemieniany w lśniący brylant.

– Z jakiej? – zapytał Kirył, pospiesznie łykając gorącą zupę.

– Z lokalnej kablówki... weź chleb.

Kirył nigdy nie spierał się z mamą o drobiazgi.

– Mają zamiar robić cotygodniowy program dla dzieci. Poprosili, żebyś przyszedł, pewnie zaproponują, żebyś go prowadził.

Rok temu Kirył zerwałby się z krzesła i zaprotestował.

– Super – powiedział odkładając łyżkę. – Zadzwoń później, dobrze? Mam dziś taki dziwny nastrój...

– Wierszowy – podpowiedziała mama.

Skinął głową.

– Zapisałam numer, zadzwonisz i umówisz się na jutro wieczór. Reżyser nazywa się Paweł Walentynowicz, postaraj się zrobić dobre wrażenie.

Kirył znowu skinął głową. Oczywiście, pójdą do telewizji we dwoje. Przez telefon będzie rozmawiał sam – żeby zademonstrować swoją niezależność, ale ostateczną decyzję podejmie mama.

Jubiler lepiej wie, jak oszlifować diament.

– No cóż, ja już pójdę – Ludmiła Korsakowa wstała, popatrzyła na syna, jakby chciała powiedzieć

coś jeszcze, ale tylko pochyliła się i cmoknęła go w czoło.

– Na razie, mamó.

– Pozmywaj, dobrze?

– Dobrze, mamó.

Ludmiła wyszła z kuchni. Chłopiec siedział nieruchomo, słuchając, jak matka ubiera się w przedpokoju. Na jego twarz powoli powracało napięcie, którego nikt już nie mógł zobaczyć.

– Kiriłka!

– Tak? – Odwrócił się, znowu rozluźniając mięśnie twarzy, jakby mama mogła zobaczyć go przez ścianę.

– Nie dałbyś mi swoich nowych wierszy?

Kirił milczał.

– Chciałabym je pokazać pewnym ważnym ludziom.

– Może później, mamó. Daj im coś starego, dobrze?

Głośne westchnienie.

– Czy ty się przypadkiem odrobinę nie lenisz, Kiriłka?

– Nie wiem.

Ludmiła Korsakowa zaśmiała się cichutko.

– Poszukaj jednak, Kirił.

Trzasnęły drzwi.

Siedzący przy stole chłopiec powoli wziął łyżkę i przez chwilę siedział bez ruchu. Potem wstał. Niedojedzona zupa powędrowała z powrotem do rondelka, talerz i łyżka do zlewu. Kirił nalał do kubka zimnej herbaty i zaniósł do swojego pokoju. Potem wyszedł na korytarz i zamknął drzwi na drugi zamek.

Znowu został sam – chłopiec, który bał się dorosnąć. Samotnemu łatwiej.

Kirił był w centrum uwagi zawsze, odkąd pamiętał. Tylko dlatego, że umiał pisać wiersze już wtedy, gdy inne dzieci nie są jeszcze w stanie zapamiętywać cudzych. Trzyletni poeta... pięcioletni poeta. Ośmioletni poeta...

Przyzwyczał się.

Nie miał przyjaciół wśród rówieśników – to nieunikniona cena, którą płaci się za talent. Byłoby mu łatwiej, gdyby wiedział, że nie ma to związku z wiekiem, lecz jest charakterystyczne dla wszystkich, którzy wyrosli ponad tłum. Ale on myślał, że tak jest tylko z nim. Pomyłka każdego dziecka, uważającego wszystko, co się z nim dzieje, za wyjątkowe. Szukał przyjaciół wśród dorosłych i wybierał tych, którzy traktowali go jak równego sobie. Potem pogodził się z samotnością.

Samotnemu łatwiej.

Kirił rzucił się na łóżko, nie miał zamiaru dzwonić teraz do telewizji. Znowu poczuł dreszcze – czy to powracający strach, czy efekt rozmowy z matką? Telewizja? Tak, mógłby prowadzić program dla dzieci, czytać stworzony przez dorosłych tekst, a od czasu do czasu swoje wiersze. To byłaby nagroda – uczciwie zapracowana, ale gorzka i niepotrzebna. Zrozumiał to już rok temu. Pod żadnym względem nie jest lepszy od innych. Po prostu umiał w wieku pięciu lat to, czego inni uczyli się mając dwanaście. Gdyby odrzucić kwestie wieku, mógłby być jednym z wielu poetów znanych jedynie grupce przyjaciół, występujących na wieczorach literackich, w lokalnych gazetkach i domach kultury. Jego wiek sprawiał, że był unikatem... ale w znacznie mniejszym stopniu niż parę lat wcześniej.

Dzieciństwo to przemijająca wada.

Kirił był ciekaw, co powie mama, gdy już zrozumie. Raczej nie przyjmie tego ze spokojem.

Jubiler, który dowiaduje się, że z taką starannością szlifował kawałek szkiełka, nie zdoła się z tym pogodzić.

W pokoju zrobiło się ciemno. Poranny smutek powracał. Można go było odpędzić... jasnym światłem, głośną muzyką, ale Kirył się nie ruszył. Coś nadchodziło. Nadciągało. Smętne, niepowstrzymane, bliskie ciemności. Cień cienia, strach strachu. Zacisnął zęby. Zapewne tak umierają... albo rodzą się ludzie.

Nagle nieprzyjemne odczucia minęły. Od razu.

Świat znowu był taki jak przedtem, smutny, ale spokojny. Kirył głośno wciągnął powietrze – uświadomił sobie, że mimo woli wstrzymywał oddech, może minutę, może dwie. Złał się potem i osłabł.

co to było?

Uniósł się, sięgnął ręką do włącznika. Zamarł.

Dwa metry od niego, przy biurku – dużym, solidnym – ktoś siedział.

– No? – powiedział. – Zapal światło.

Kirył jak zahipnotyzowany pstryknął włącznikiem. Światło nie było już przyjacielem i obrońcą, zabójcą nocnych strachów. Światło go zdradziło, ukazując to, co zjawiało się w ciemności.

Przy biurku siedział chłopiec, nastolatek, szczupły, nagi, i z uśmiechem patrzył na Kiryła tak, jakby widział go nawet w ciemności.

– Zrób zdziwioną minę – powiedział chłopiec. – I uspokój się. Mamy jeszcze czas, ale jest go tak mało, że lepiej się pośpiesz.

Kirył zbyt często widział samego siebie nie na martwej, statycznej fotografii, lecz w telewizji, żeby się pomylić.

– To ja – powiedział.

Chłopiec skinął głową.

– Ty.

Wstał, spokojny, nie krępując się swojej nagości. Popatrzył na Kiryła – w zadumie, jakby go oceniał.

– Mów mi Wizytor.

10

Mówiono, że w tej willi kilka razy zatrzymywał się Stalin. Hajretdinow nigdy nie kwestionował tej informacji, chociaż w swoim czasie dowiedział się, że wodzów większych od Mikojana stare ściany nie oglądały.

Blisko Moskwy, prawie czyste powietrze, wyszkolona służba i dogodne pod względem ochrony rozplanowanie – czegoż więcej mógłby potrzebować człowiek, który zajmował się wielkim biznesem i wielką polityką?

Przez cały wieczór Raszid Gulamowicz był nie w humorze. Moknąc na drobnym deszczu, przeszedł się po ogrodzie, jeśli można tak nazwać solidny kawał lasu otoczony mocnym ogrodzeniem. Wbrew swoim zwyczajom dziś nie przeganiał ochrony. Dyrektora kompleksu gazowego, który przyleciał z Saratowa z raportem, przyjął tak oschle, że tamten wpadł w lekką panikę.

A winien był oczywiście Siemieniecki. Jeszcze jeden grzech, bez którego można się było obejść. Dwa miesiące nacisku i poddałby się sam. Ale ten idiotyczny pociąg do szybkich decyzji...

Postanowił nigdzie dziś nie jechać. Zadzwoił do Saratowa do żony i rozmawiał z nią tak czule, że na pewno utwierdził ją w przekonaniu o kolejnej zdradzie. Nawet obiecał zabrać ją za dwa miesiące

z dziećmi do Moskwy. Polityk nie może się rozprasać i rodzinę, którą musi mieć, powinien trzymać w pewnej odległości. Ale dzisiaj zapragnął – dziwne! – rodziny. Przytulności.

Nerwy siadają.

Wytyczył swoją drogę życiową trzy lata temu, kiedy zrozumiał, że same pieniądze nie dają mu już satysfakcji. Tajna, prawdziwa władza jest bardzo przyjemna. Ale i w biznesie istniały bariery, wyżej których nie podskoczysz. A żeby kroić świat według własnego gustu, trzeba połączyć tajną władzę z władzą państwową, naciskać na dźwignie samemu, a nie ramieniem kolejnego tępego polityka.

Hajretdinow trzeźwo ocenił wszystkie przeszkody na drodze swoich ambicji, poczynając od nazwiska i narodowości – ilu Rosjan zechce mieć za prezydenta obcego? Ale to tylko go podnieciło. Stanie się bardziej rosyjski od jakiegokolwiek Słowianina. W końcu mamy przykład Stalina – bez względu na popełnione błędy dla wielu pozostawał bożyszczem.

On nie powtórzy błędu „ojca narodów”. Naprawdę uczyni Rosję wielkim i potężnym krajem. Z niekłamana przyjemnością Hajretdinow wzięłby się za tworzenie imperium z innego państwa, ale niestety człowiek nie wybiera sobie tworzywa. Cóż, za dwa lata będzie przewodniczącym Dumy. Za cztery prezydentem. I pokochają go. Nie mogą nie pokochać.

Raszid Gulamowicz wszedł do gabinetu. Usiadł przed płonącym w kominku ogniem, nalał sobie kieliszek koniaku, ale nie pił. Siedział, patrząc w ogień i słuchając miarowego tykania starego zegara.

Wszystko będzie dobrze. Wszystko idzie w dobrym kierunku. Ofiary są nieuniknione, ale lepiej dziesięć czy dwadzieścia niż milion. Cel uświęca środki, bez względu na to, co mówią inni.

Chyba udało mu się uspokoić. Smutek znikł, odpłynął. Hajretdinow odetchnął głośno, sięgnął po kieliszek... i zamarł.

Już nie był sam.

Pod oknem, tyłem do niego stał człowiek. Niewysoki, mocno zbudowany, czarnowłosy, krzywonogi nagi mężczyzna.

Raszid Gulamowicz jęknął piskliwie.

Mężczyzna odwrócił się. Znajoma twarz... mój Boże, kto to jest?

– Wiem, że wszystko zrozumiesz i nie będziesz miał do mnie żalu – odezwał się mężczyzna.

Podszedł do stołu, wysunął górną szufladę. Niespiesznie wyciągnął pistolet – berettę, ładną i drogą zabawkę. Odbezpieczył.

– Kim jesteś? – wyszeptał Hajretdinow. Już rozumiał... chyba.

Mężczyzna uśmiechał się – jego własnym uśmiechem, droгим, kupionym od specjalistów od fizjoplastyki, wytrenowanym, wzbudzającym zaufanie i sympatię.

– Wezyr.

Hajretdinow nie zdziwił się. Ani swojemu dziecięcemu, dawno zapomnianemu przezwisku, nieoczekiwanie wypowiedzianemu jego głosem, jego ustami. Ani temu, że nie czuł strachu ani urazy.

– Przydam się – wyszeptał, nie wierząc we własne słowa.

– Nie – powiedział Wezyr.

Gabinet był duży i huk wystrzału utonął w drewnianych ścianach. Dom znał niemało tajemnic i nie przestraszył się dźwięku.

Ten, który nazwał się Wezyrem, podszedł do fotela. Przed sekundę patrzył na twarz, po której płynęła cienka strużka krwi. Przez włosy nad czołem, opalone oddanym z bliska strzałem, przezierająca idealnie okrągła, mała dziurka.

Wezyr przeniósł spojrzenie na kieliszek. Podniósł go, odetchnął aromatem koniaku, zabijając zapach prochu i spalonych włosów. Napił się. Potem krzywiąc się, sięgnął ze słabego, jakby

żywego jeszcze ciała szlafrok. Zarzucił na ramiona, przepasał się.

Żeby zdjąć zasłonę z okna, musiał wejść na stół. Owinął w nią ciało i podszedł do drzwi.

Dowódca ochrony był w sąsiednim pokoju. Sam coś usłyszał czy ktoś go zawołał?

– Wejdz – rozkazał krótko Wezyr.

Mocny czarnowłosy chłopak popatrzył mu w oczy, wahał się przez chwilę, a w końcu podjął decyzję.

– Raszidzie Gulamowiczu, to pan strzelał?

– Tak. Wejdz, Farhad.

Ochroniarz obrzucił spojrzeniem zawinięte ciało. Wyraz jego twarzy nie zmienił się. Popatrzył na Wezyra.

– Wasza wina – rzekł sucho Wezyr. – Gdzieście mieli oczy? Musiałem go zabić.

– Kto to?

– Tym się nie martw.

Ochroniarz wzruszył ramionami. Nie potrzebował dużo czasu, żeby rozważyć wszystkie plusy i minusy tej sytuacji.

– To bardzo poważny problem.

– I bardzo duża wdzięczność. Komu ufasz ze swoich?

Farhad pokręcił głową.

– Nikomu nie można zaufać. Będą go tu szukać?

– Nie. – Wezyr odpowiedział tak zimno i pewnie, że ochroniarz skinął głową.

– Wyjdę do ogrodu. Zdoła pan podać... to... przez okno?

– Tak.

Ochroniarz, nie odrywając spojrzenia od mężczyzny, którego brał za swojego chlebodawcę, ruszył do drzwi.

– Nie chcę żadnego hałasu, Farhad. Nie zamierzam zwałać tego trupa na ciebie.

Gdy ochroniarz obchodził dom, Wezyr się ubrał. Otworzył ciężkie okno, przerzucił ciało na szeroki parapet. Farhad w milczeniu przyjął ciężar z ciemności.

– Będiesz miał wielką ochotę spojrzeć na twarz – powiedział Wezyr. – Nie popełnij tego błędu. Będę wiedział, że to zrobiłeś.

– Zbyt tu ciemno, żeby oglądać twarze – odpowiedział Farhad. – Proszę się nie niepokoić, Raszidzie Gulamowiczu.

Wrócił po piętnastu minutach. Rozmiękną ziemię łatwo się kopało.

– Rano sprawdzę to miejsce – powiedział Farhad, patrząc na kark swojego pana, siedzącego przy kominku, w tym samym fotelu. – Wszystko będzie dobrze.

– Kto jeszcze słyszał wystrzał? – zapytał Wezyr, nie odwracając się.

– Nikt.

– Dziękuję, Farhad.

Zapachu spalonego prochu prawie nie było czuć. Farhad wahał się chwilę.

– Wytrę podłogę, Raszidzie Gulamowiczu.

– Przypomnij mi jutro, ile ci jestem winien – odparł Wezyr wstając.

Miał ogromną pokusę, by zaproponować Farhadowi jeszcze bardziej opłacalną pracę, ale nic nie powiedział. Ten chłopak to nie zabójca. Po prostu dobry pies łańcuchowy.

Zabójca spojrzałby w twarz trupa – i podzieliliby jego los.

Kilka przecznic dalej zaszumił samochód. Jarosław uchylił powieki, jakby miał nadzieję, że zobaczy na suficie błysk światła. W dzieciństwie w ten sposób odprowadzał każdy jadący nocą samochód – okna jego pokoju wychodziły na ruchliwą trasę. W tym błysku tkwiła jakaś tajemnica cudzego życia – ludzi, którzy nie śpią w nocy, którzy mają samochody.

Nie marzył już o samochodzie. To zostało w dzieciństwie, razem z pragnieniem posiadania psa i głębokim przekonaniem, że lody są smaczniejsze od kotletów. Ale noc... noc i szmer cudzych losów pozostały z nim na zawsze.

Tylko promienie reflektorów nie zaglądały już do jego okien. Cicha dzielnica, marzenie emerytów. Czasem zdawało mu się, że jest emerytem, trzydziestoletnim wolontariuszem w wojnie z iluzjami. Rzadko wychodził z domu, żył na styku dwóch światów – rzeczywistego i tajemnego, po drugiej stronie monitora. Ciekawe, co myśli o nim sąsiedzi? Samotna matka z pierwszego piętra, babcie z trzeciego? Że jest przywódcą dzielnicowej mafii, a może po prostu bogatym próżniakiem... „Nigdzie nie pracuje, a z pieniędzmi się nie liczy” – czytało się w ich spojrzeniach.

A tak w ogóle Jarosława niewiele to obchodziło. Pisarz wcale nie musi lubić ludzi – wystarczy, że lubi swoich bohaterów. Mają te same zalety i wady co ludzie, ale są mu drodzy jak własne dzieci.

Cisza przytłaczała. Z jakim trudem przyzwyczajał się do tej ciszy przez pierwsze długie miesiące po rozwodzie, jak walczył z nią włączonym telewizorem, pokonując jedynie nieszczęsnych sąsiadów. Cisza kryła się za gitarowymi akordami i trajkotem spikerów, cierpliwie czekając, aż się z nią pogodzi. Ciszy, tego całunu śmierci, pokonać nie sposób.

Nie mógł zasnąć, ale to go nie martwiło. Można przecież sięść przy komputerze i pisać dalej... usłyszeć w końcu to, co Zabijający Słowami powiedział Sfinksowi. Można wrzucić „Wizytę w ciemności” i wejść do lasu, którego jeszcze nigdy nie przeszedł. Albo wejść do Sieci, wybrać jakiś czat, gdzie omawiane jest wszystko na świecie, od broni i seksu po przepisy kulinarne i książki. Wejść w cudzy spór, podrzucić kilka prowokacyjnych idei, żeby jutro z uśmiechem poobserwować reakcję. A można przez serwery znaleźć się w Paryżu i obejrzeć prognozę pogody z francuskich satelitów – nieporównywalnie dokładniejszą niż te beznadziejne wróżby naszych kazachstańskich meteorologów... czy oni nie mają komputera i modemu?

Wszystko można. I wszystko w tamtej, wirtualnej, przestrzeni. Tylko tam człowiek jest śmiały i niemal wszechpotężny. W realnym życiu nie może zmienić nawet swojego losu, co dopiero losu ludzkości. I dlatego Jarosław lubił świat komputerów – dawał mu iluzję władzy. We wszystkich swoich przejawach, od potężnych edytorów tekstu do Sieci, nie znającej odległości, i gier, w których niszczy się cywilizacje i zwycięża galaktyki...

Słabe skrzypnięcie drzwi, jakby obok, w kuchni. Ładna mi izolacja dźwiękowa! Któryś z sąsiadów też nie może zasnąć.

Światło musnęło oczy przez zamknięte powieki. Jarosław przysiadł na łóżku.

W kuchni paliło się światło.

To nawet nie był strach – nie można bać się czegoś, co jest niemożliwe. Po prostu szalony chłód w piersi. Wiarę w to, że twój dom to twoja twierdza, niszczy tylko milicyjna rewizja i grabież.

Czy dzisiejsi złodzieje wygłodnieli do tego stopnia, że najpierw biorą się za lodówkę?

Sięgnął ręką do szafki nocnej, wysunął szufladę, zdziwił się, że nie drżą mu ręce. W kuchni wyraźnie skrzypnął taboret. Jarosław poczuł się, jakby oblano go zimną wodą. Wymacał pod plastikową torebką z dokumentami pistolet gazowy, wyciągnął z papierowej niewoli. Ciężar pistoletu jednak nie uspokajał. To tylko w jego książkach bohaterowie biorąc do ręki broń stają się odważni i

pewni siebie. I czy można nazwać bronią tę zabawkę dla tchórzliwych mężczyzn?

– Strzelanie z pistoletu gazowego w mieszkaniu to głupota – rozległo się z kuchni. Zdumiewająco nieprzyjemny głos... jakby znajomy, ale specjalnie zmieniony. – Sam się zatrujesz.

Jarosław wstał. Ogarnęło go szalone pragnienie – najpierw się ubrać i dopiero wtedy wyjść z pokoju.

– Cywilizacja wymyśliła ubranie, by łatwiej i skuteczniej się unicestwić. Iluzja ochrony, prawda? Ale my nie będziemy walczyć.

Bez względu na to, kto tam był, to jakby czytał w myślach Jarosława. I była w tym pewna złudna pociecha, wykluczająca banalnych złodziei.

Jarosław wyszedł do przedpokoju, ściskając pistolet w rękę.

Na przysuniętym do drzwi taborecie siedział mężczyzna. Młody, ciemnowłosy, mocno zbudowany, w zarzuconym na gołe ciało szlafroku. Dobrze znany. Ironicznie uśmiechnięty, przyglądał się Jarosławowi z opiekuńczą ciekawością starszego brata.

– Tylko nie strzelaj – uprzedził bez strachu. – Z tego gówna nawet w stepie nie warto strzelać. Trzymaj mnie na muszce i uspokój się.

Jarosław obejrzał się szybko. Za plecami nikogo nie było, drzwi do mieszkania były zamknięte.

– Jak tu wszedłeś?

Mężczyzna zaśmiał się.

– Wiesz, też chciałbym to wiedzieć... Jarek, czy ty mnie nie poznajesz?

Pokręcił głową.

– Piiiiisarz! – w ustach przybysza zabrzmiało to jak obelga. – Pamięć do twarzy godna neandertalczyka. Wiesz dlaczego? Oni widzieli w swoim życiu jakichś stu – dwustu ludzi. Zresztą, ty i tak wszystko rozumiesz. Po prostu nie chcesz przyjąć prawdy.

Mężczyzna wstał i Jarosław mimo woli cofnął się o krok, przywarł plecami do drzwi.

– Jednak wystrzeżę – powiedział szybko.

– Wierzę – przybysz zatrzymał się. – Agresji ci wystarczy, ostrymi też byś walnął. Popatrz w lustro, a potem na mnie.

Jarosław opuścił pistolet. Ogarnęła go nużąca bezsilność szarlatana dotkniętego chorobami, z których z takim powodzeniem „uzdrowiał” innych.

– Kim jesteś?

– Zgodnie z tradycją, powstała kilka minut temu... – człowiek, który wydawał się jego ożywionym odbiciem, znowu się uśmiechnął – powinienem wymyślić imię z rdzeniem „Wiz” albo „Weż”. Wizjoner, na przykład. Twórca obrazów. Na szczęście to nie jest konieczne. Mów mi Sława.

– Nie wierzę w ciebie – powiedział Jarosław.

– Rozumiem. Ale to już niczego nie zmieni.

Podszedł do niego, łagodnie wyjął mu z ręki pistolet.

– Uspokój się. Potrzebne mi ubranie, filiżanka kawy i rada. Potrzebna mi twoja pomoc.

12

Dzisiaj Arkadij Lwowicz po raz pierwszy poczuł ból. Szykował obiad, mieszając w rondelku zawartość kolorowej plastikowej miseczki. Taką zupę powinno się przyrządzać w mikrofalówce, ale nieskomplikowany eksperyment potwierdził względność wszystkich instrukcji. Całkiem porządna, niemal domowa zupa...

Ukłucie cienkiej igły pod prawą łopatką. Przelotny, ale jakże ostry ból... Arkadij Lwowicz cicho

krzyknął i zamarł. Ból znikł.

Więc tak to się zaczyna. Od krótkiego bólu. Od lekkiej dolegliwości. Od kaszlu rankami.

Jęknął, bezmyślnie patrząc, jak wirują we wrzątku szybko pęczniejące warzywa. Potem nalał do miseczki wrzątku z czajnika, przelał do rondelka. Postawił miskę na parapecie, na stercie pustych opakowań po jogurcie i podobnych zupach. Córce się przyda na rozsady. Ciekawe, czy on dożyje do tej rozsady?

Nie miał już ochoty na jedzenie, ale ze stoickim spokojem poczekał, aż zupa się ugotuje, i nalał pełny talerz. Nie ma co ułatwiać chorobie zadania. Organizm powinien walczyć, potrzebuje sił.

Dlaczego właśnie on?

Uraza zbladła dawno temu, straciła ostrość. Do kogo te pretensje? W Boga nie wierzył. Zawsze prowadził zdrowy tryb życia. Zwyczajny pech. Zresztą, życie już przemija, i tak by dłużej nie pociągnął, no, może zobaczyłby trzecie tysiąclecie... ale co w nim będzie nowego?

To chyba była kwestia ambicji. Każdy chce pozostawić po sobie jakiś ślad – i nie tylko kilka linijek w encyklopedii, czego już się dorobił. Człowiek to pępek świata, tak sam się odbiera, i tylko to zmusza go do życia. Gdy rozumie, że po jego śmierci wszystko będzie takie samo – tylko bez niego – nie może tego zaakceptować.

I póki jego czas się nie skończył, na przekór rozumowi wierzy, że jeszcze może zdążyć. Zostać pępkiem świata, rdzeniem cudzych losów, dokonać czegoś niewiarygodnego.

A teraz już koniec.

Ale chyba uda mu się skończyć ostatnią książkę. I całkiem możliwe, że za dziesięć lat będą się na nią powoływać tacy sami jak on, oderwani od rzeczywistości, pogrążeni w niezrozumiałych dla większości problemach. Potem zapomnienie. Słaba duma wnuków – dziadek był akademikiem... zresztą, czym się będą chlubić? Nie otrzymał Nobla, więc jest nieudacznikiem.

Roztrwonił swoje życie, przeciekło przez drżące palce, rozmienił na koniunkturalne artykułiki i drobne, nieuniknione intrygi. Nie udało mu się podejść do żadnego z tych problemów, które interesowały go w młodości. Bóg, sens życia, eschatologia – wszystko brzemiennie w nieprzyjemności. Nie chciał udawać, ukrywać pod maską zimnej akademickiej krytyki. Potem przyszła wolność i to wszystko okazało się po prostu niepotrzebne. Albo szukaj bazę dla ekonomicznych przemian, albo wstępuj w zwarte szeregi szarlatanów – pólanalfabetów, graj pod publiczność.

Za późno...

Arkadij Lwowicz nie umył naczyń. Nalał herbaty do szklanki, poszedł do gabinetu, przysunął plik żółtych kartek. Skrzywił się, patrząc na nierówny charakter pisma. Trzeba pisać starannie, po co przysparzać problemów maszynistce. Im szybciej zostanie przepisany tekst, tym więcej szans, że monografia wyjdzie pośmiertnie jako rytualny znak szacunku. „Pracował do ostatniej godziny” – powiedzą w sekcji wydawniczej akademii.

Nieprzyjemne słowo – sekcja. Wieloznaczne. Sekcja anatomiczna też go czeka...

Pisał z krótkimi przerwami pięć godzin z rzędu. Gnał, jakby uciekając przed tym smutkiem, który dopadł go jeszcze rano. Z rzadka wyciągał z półki podniszczone tomiki – kiedy pamięć odmawiała dokładnego przytoczenia cytatu z wielkich, z tych, którzy zdążyli.

Gdy linijki zaczęły się zlewać, opamiętał się i zapalił światło. Potarł twarz chłodnymi dłońmi. Szybko się męczył, bardzo szybko.

Arkadij Lwowicz znowu poszedł do kuchni, postawił czajnik na ogniu, przysunął sobie taboret i wyciągnął ręce do ognia. Wszystko wokół było nieprzyjemne i żalosne. Praca, wbrew oczekiwaniom, nie poprawiła mu nastroju.

Jakby zapadł w drzemkę, trzymając drżące dłonie przy spotniałych niklowanych bokach czajnika. Drgnął, gdy zaczął poświsztywać strumyczek pary.

Dziwny smutek przeszedł. A już do niego przywykł...

Słumiony kaszel dochodzący z korytarza był czymś tak naturalnym, że nawet się nie zdziwił. I powłóczące kroki...

– Andriej? Wiera? – Odezwał się, wiedząc już, że te dźwięki nie mają z nimi nic wspólnego. Odpowiedzi nie było.

Arkadij Lwowicz powoli wstał, wyszedł z kuchni. Krótka myśl – wziąć nóż – znikła od razu.

Dużo się nawojuje...

W gabinecie paliło się światło, a przecież wyłączył lampę. A może zapomniał?

Arkadij Lwowicz powoli zajrzał przez otwarte drzwi. Przy jego biurku siedział plecami do niego nagi staruszek. Kartkował niedawno napisane strony, szybko, ale jakby czytając.

– Wejdz – rzucił nie odwracając się.

Żadnego strachu. Wszedł, i staruszek przez chwilę popatrzył na niego przez ramię. Przewrócił jeszcze jedną kartkę, zachichotał:

– Interesujące. Naprawdę interesujące. Ostatni kopniak wielkich?

– Dlaczego?

– No, no – staruszek pogroził mu zakrzywionym palcem. – Nie kłam. A te papiery – do kosza. Będziemy musieli zająć się etyką selektywną. Znacznie bardziej pożyteczna sprawa, wiesz?

– Ubierz się – powiedział Arkadij Lwowicz. Z lekkim zdumieniem – skąd wzięło się to zapanbrackie „ty”... Zresztą, czy warto się oszukiwać... przecież on wie...

– Tak myślałem, że dojdziemy do porozumienia – powiedział staruszek wstając. – Bez hysterii i niepotrzebnych dowodów. Dobrze być starym i mądrym.

– To się tak dzieje? – zapytał Arkadij Lwowicz.

– Nie, coś ty – staruszek już wyjął z szafy jego najlepszy garnitur, teraz oglądał kiepsko uprasowane koszule. – Nie umierasz, bynajmniej. Przeciwnie, mamy szansę wejść do historii.

13

Dzień minął zdumiewająco szybko. Dzisiaj Anna nie operowała, zresztą prawie nie było operacji – prócz banalnego zapalenia wyrostka. Operował dyrektor oddziału i internista Sasza, i wszystko wskazywało na to, że żadnych powikłań nie będzie.

Mimo wszystko zrobiła obchód. Sale były prawie puste, dziwne, ale ludzie jakby rozumieli, że nie warto teraz chorować. Cztery pęcherzyki żółciowe nie wymagające operacji, dwóch rekonwalescentów po usunięciu wyrostka – całe to towarzystwo z zapalem rżnęło w karty.

Źle było tylko z Szedczenką. Chłopak miał straszne oparzenia. Wyników porannych analiz jeszcze nie było, ale Anna i bez nich wiedziała – intoksykacja narasta.

– Jak się czujesz, Sasza? – Przysiadła na sąsiednim łóżku. Sala była pusta. Chłopak popatrzył na nią, potem na siebie.

– Będę teraz wyglądał jak potwór, tak?

Anna pokręciła głową. Zupełnie szczerze..

– Nie bój się. Ślady zostaną, ale niezbyt widoczne. Najważniejsze, że twarz nie ruszona.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Cały brzuch będzie w szramach...

Szramy... mój Boże, nie tego powinien się bać...

– Jak samopoczucie?

Był młodszy od niej o dwa lata, ale teraz los wyraźnie wyznaczył role. Anna wydawała się sobie trochę matką, a trochę starszą siostrą krzepkiego chłopaka.

– Głowa mnie boli...

– Bardzo?

Chłopak przytaknął.

– Oddawałeś mocz?

– Tak, rano.

– No i dobrze. Zaraz zmierzymy ciśnienie.

Sasza zaśmiał się cicho.

– O co chodzi?

– Śmieszni jesteście wy, lekarze... Przecież jestem poparzony, serce mnie nie boli. A może musicie mierzyć ciśnienie?

– Musimy – Anna nie wdawała się w wyjaśnienia.

Ciśnienie było oczywiście obniżone. Sto na siedemdziesiąt, jak napisała Tonia w historii choroby... ale dziewczyna ma nosa...

– Normalne – powiedziała Anna, zwijając fonendoskop. – Powiem siostrze, poda ci kroplówkę z elektrolitami.

– Po co?

– Żeby głowa nie bolała. I nie wierć się, dobrze? Szramy na brzuchu nam niepotrzebne, prawda?

W pokoju lekarzy szybko wypełniła kartę zaleceń. Wyrzała na korytarz. Alfija, śliczna pielęgniarka Tatarka, trzeci rok próbująca dostać się na medycynę, z pasją grała w kieszonkowy tetris.

– Ala, wejdz...

– Podać coś Saszy?

– Wypisałam zlecenie na elektrolity.

Alfija skinęła głową, niechętnie chowając plastikowe pudełko do kieszeni. Anna stała, obserwując ją. Dzisiaj będą dyżurować razem. Ala jest staranna i ma mocne nerwy. To dobrze.

Dlaczego Tonia jest taka pewna, że chłopakowi wysiądą nerki? W końcu to tylko drugi stopień oparzenia. Najwyżej dziesięć procent skóry.

Wyciągnie go z tego, na pewno wyciągnie!

Nie pojechała do domu, jak to czasem robiła przed dyżurami. Zjadła coś w bufecie, zajrzała do pokoju przyjęć, żeby zobaczyć, kto oprócz niej dyżuruje w szpitalu.

Dyżur miał Rudolf, niezbyt stary facet, pulmonolog. Szkoda, że nie jest chirurgiem. Był z Kazachstanu, taki dziwny niemiecki imigrant, który wybrał Rosję, a nie Niemcy. Na pewno wszystkiego nauczył się w swoim stepie. Anna porozmawiała z nim, próbując sobie przypomnieć, czy widziała w telewizji Alma Atę. Coś wschodniego... a może nie, przecież u nich po trzęsieniu ziemi wszystko przebudowali...

A może to był Taszkient?

Co za różnica...

Rudolf zaproponował jej papierosa – nie odmówiła. Czasem miała ochotę zapalić.

– Przez cały dzień czuję jakiś niepokój – poskarżyła się.

Rudolf wzruszył ramionami.

– Napij się nerwosolu. Nerwy trzeba szanować, ich nie wyniesz.

Był wielkim miłośnikiem tabletek – raczej rzadkość wśród lekarzy.

– Już lepiej spirytusu – zażartowała Anna.

Rudolf zaproponował ochoczo:

– Nalać?

– Daj spokój... – zgasiła wypalonego do połowy papierosa. – Pójdę już.

– Jakby co, wołaj. Nie lubię spać w nocy – zauważył mimochodem Rudolf. Trochę dwuznacznie, ale bardzo serdecznie.

– Zastanowię się – Anna wyszła uśmiechnięta. Rudolfowi udawało się każde zdanie uczynić przyjemnym – nawet gdy kpił z chirurgów albo lekko świntuszył.

...Obudziła się gwałtownie, jakby ktoś potrząsnął ją za ramię. Przez sekundę nasłuchiwała.

Na oddziale było cicho.

Co w takim razie ją obudziło?

Nie miała żadnego przeczucia. Nie zwykła zresztą im dowierzać.

Niepokój minął jak ręką odjął. Przeciwnie, na duszy było jej tak lekko... tak lekko. Jak w jakieś święto.

Opuściła nogi na zimne linoleum, wymacała spódnicę. Bluzki na noc nie zdejmowała.

Nie chciało jej się w ogóle spać. Po co tracić taki nastrój jak teraz na sen. Cisza dzwoniła w uszach. Słabe światło księżycy w oknie – chmury odpłynęły, niebo było jasne. Może jesień postanowiła się poprawić, zostać lekką, złotą, przemienić się z umierającego lata w rodzącą się zimę?

Nawet wąty szpitalny ogródek nabrał jakiegoś wzruszającego piękna w tym przezroczystym świetle. Wstęga szosy, za którą zaczynały się opuszczone pola, wydawała się barierą oddzielającą dwa różne światy.

W takie noce ludzie nie mogą umierać...

Wydawało jej się, że może tak siedzieć do rana, o niczym nie myśląc, po prostu oddychając ciszą.

Ale jednak trzeba będzie wstać.

Anna wsunęła nogi w rozdeptane stare pantofle, które dawno już przeniosła do szpitala. Zerknęła na lśniącą czystością umywalkę. Mężczyźni na dyżurze mają łatwiej. Była pewna, że wszyscy, od solidnego Konstantego Pawłowicza do nieśmiałego okularnika Saszy, wykorzystywali ją nie tylko zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem.

Przypomniała sobie taką scenkę, że ledwie powstrzymała się od śmiechu. Kiedyś rano zastała Saszę na starannym szorowaniu umywalki proszkiem do prania. Niewinność zajęcia nie przeszkodziła mu poczerwieniec jak rak. Konstanty Pawłowicz jednak chyba nie był tak delikatny...

Nie zakładając fartucha, Anna wyszła na korytarz. Alfija oczywiście spała w zabiegowym, zawinięta w kołdrę ściągniętą z jakiegoś pustego łóżka.

Czasem człowiek nie powinien spać w nocy. Żeby zobaczyć takie właśnie światło księżycy i usłyszeć ciszę...

Anna nagle się roześmiała. Mój Boże, jaki dziwny jest człowiek! Myśleć o pięknie nocy, obudziwszy się po to, żeby pójść do toalety.

Podchodząc do drzwi służbowej toalety, nagle poczuła zawstydzenie. Lekkie i bardzo znajome. Zawsze je czuła, gdy tak wstawiała w nocy. Dzieciństwo się kłania.

Anna weszła do środka. Przelotnie spojrzała w malutkie lusterko, jakby chciała się upewnić, że jest ubrana. Idiotyczna rzecz ta pamięć. Oczarowanie nocą znikło.

Ale spać i tak jej się nie chciało.

Umyła ręce – tej umywalki raczej nikt nie wykorzystuje w innych celach, zdjęła haczyk z drzwi. Zaczęła nasłuchiwać – jakiś hałas?

Czyżby Ala się obudziła?

Anna wyszła na korytarz. Nikogo.

Dobrze, trzeba zajrzeć do sal.

Szybko przeszła korytarzem, uchylając na chwilę drzwi. Cicho, wszyscy śpią. Teraz jeszcze do siódemki, gdzie leży Szedczenko. Ciężkie przypadki zawsze umieszczali w tym pokoju, jakby szczęśliwy numer mógł jakoś pomóc lekarzom.

Tutaj też było ciemno. Ale przy łóżku stała biała postać w fartuchu.

– Ala, gorzej z nim? – zapytała cicho Anna, podchodząc.

Dziewczyna odwróciła się.

To nie była Alfija.

Anna drgnęła i zatrzymała się. Zdarzało jej się zastawać na oddziale w nocy nieznajomych ludzi. W zasadzie to normalna sprawa taka niezaplanowana wizyta przerażonych krewnych.

Przestraszyła ją jednak twarz dziewczyny. Oczy. Takich oczu nie ma.

To tak jakby patrzeć w płomień lampy. W lustro. W odbicie księżyca na wodzie. W twarz mamy.

– Siadaj – powiedziała cicho dziewczyna.

Anna przysiadła na łóżku. Nogi się pod nią ugięły.

– Kim jesteś? – zapytała.

– Nie teraz. Pomóż.

Dziewczyna wyciągnęła rękę. Anna po chwili wahania dotknęła jej.

Jakby spadać w przepaść...

– Co ja mogę? – wargi poruszyły się same. – Jak pomogę...

– Możesz wszystko. Podtrzymaj mnie. – Dziewczyna przeniosła spojrzenie na Szedczenkę.

Chłopak spał... albo był nieprzytomny. – On może odejść, Aniu, trzeba mu troszkę pomóc...

zimno... dlaczego tak zimno, jeśli jej oczy są światłem? Ona odda całe ciepło, jeśli tak trzeba...

Trwało to chyba tylko krótką chwilę. A może godzinę. Anna podniosła oczy, kiedy ich ręce się rozłączyły. W palcach był chłód i ból, ale w oczach dziewczyny znowu płonął ogień, wracały siły.

Ciekawe, czy ogniowi jest zimno, gdy płonie?

– Sasza wyzdrowieje – powiedziała dziewczyna.

Na kieszonce jej fartucha były wyszyte literki A.K. To był jej fartuch, Anny Kornilowej.

I twarz dziewczyny była jej twarzą.

– Dlaczego ja? – wyszeptała Anna. – Jestem... niegodna...

Dziewczyna pokręciła głową. Dotknęła dłonią jej policzka – i Anna pochyliła się w ślad za szybko odskakującymi palcami, tak jak bezdomny kotek wyciąga łeppek za ludzką ręką.

– Jesteś czysta.

– Nie...

– Od teraz i na zawsze – jesteś czysta, Anno.

– Myślałam, że znowu przyjdiesz jako mężczyzna... – jej głos urwał się, gdy zrozumiała, co mówi i o czym myśli.

– To bez różnicy, Anno – ona... on przesunęła dłonią przed jej twarzą, zdejmując strach. – Teraz wszystko będzie dobrze.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptała Anna.

racji?), a może Szedczenko po prostu miał szczęście.

Palił papierosa w ciemnym zimnym korytarzu. Łoskotały połączenia między wagonami, za spotniałą szybą odpływały w dal światła Kołomny. Za trzy godziny Riazan, za kolejne trzy Sasowo. Rano będzie na miejscu.

Nikołaj zmiął w palcach niedopałek i pstryknięciem odesłał do zaplutego, pogniecionego wiadra. Po chwili wahania wyjął z paczki jeszcze jednego papierosa. Co się z nim dzisiaj dzieje... zawiodły go nerwy. Już wieczorem zaczęła go boleć głowa, wspomnienie tych męczących ataków, które czasem zwały go, zdrowego chłopca, z nóg. Potem niby przeszło, ale czy na długo...

Szedczenko pstryknął zapalniczką. W ten sposób można stać całą noc. Zapominając powoli o zaczynających się za dobrą manewrach, myśląc, co też go czeka w Sasowie. A co... wyjdzie z pociągu z czerwonymi oczami i pomiętą twarzą człowieka, który nie spał. Od razu widać, że przeżywał z całej duszy.

Mysi była wstrętna i cyniczna, skrzywił się odpychając ją. Nie ma co wróżyć najgorszego. Człowiek jest znacznie silniejszy, niż można to sobie wyobrazić. Saszka wyzdrowieje i jeszcze będzie grał na nerwach siostrze i jemu, dalekiemu ukraińskiemu wujkowi. Zabrać by ich z tego zadupia, urządzić w Kijowie, bliżej siebie, a chłopaka do szkoły – od razu cała głupota wywietrzałyby mu z głowy. Tylko już za późno, kraj się rozwalił i wszyscy, którzy tylko mają ochotę, znajdują pociechę w patriotyzmie. Nawet siostra... „Jestem Rosjanką...” Rosjanka, akurat... matka Ukrainka, ojciec w ogóle nie wiadomo kto. Wszystko jedno, podzielili ich, i właściwie bez większego trudu...

Szedczenko przywarł czołem do zimnego szkła. Znowu zaczęła go boleć głowa. Stał kilka minut, czując z przerażeniem, jak narasta ból. Jeszcze mu tylko migreny brakowało, tej kobiecej choroby, której żaden lekarz nigdy nie wyleczy...

– Wytrzymać! – rozkazał sobie. – Wytrzymać!

I ból jakby posłuchał, znikł, wessał się w swoje tajemne legowisko. Tylko w skroniach łupało, ale to głupstwo. Szedczenko westchnął z ulgą. Trzeba się jednak przespać. Niczego tu nie wystoi, w tym brudnym korytarzu, przesiąkniętym wyziewami z toalety...

– Pułkowniku...

Szedczenko odwrócił się. Ale go złapało, nawet nie słyszał, jak ktoś wszedł.

Dwa kroki od niego stał rosty nagi chłop.

Szedczenko z trudem powstrzymał grymas. Jak on nie lubił tych głupków bożych snujących się po wagonach, lamentujących nad swoimi niewyobrażalnymi nieszczęściami i chorobami, wyciągających forszę od pasażerów o miękkim sercu...

Ale nie, ten na żebraka nie wyglądał. Zbyt mocny, kto by takiemu coś dał. I łożenie nago po wagonach narazi go na wielkie nieprzyjemności. Psychopata?

Dobry wzrok ma ten psychopata. Dojrzeć w ciemności pagony pułkownika...

– Zapal zapalniczkę – powiedział mężczyzna niezbyt natarczywie, ale Szedczenko posłuchał.

Jeżyk płomienia zatrzepotał między nimi.

– O kurwa... – wyszeptał Nikołaj.

Człowiek z jego twarzą uśmiechnął się.

– Pułkowniku, daj no, zarzucę płaszcz. Po co chorować, prawda?

– Kim jesteś? – Szedczenko zaczął ściągać nie zapięty płaszcz, nie rozumiejąc, dlaczego podporządkowuje się temu... temu...

– Poczekaj – mężczyzna pospiesznie włożył płaszcz i starannie zapiął. – Brakuje nam teraz tylko paniki.

– Kim jesteś? – powtórzył z naciskiem Szedczenko.
Pierwszy szok już minął.
– Ja – to ty.

CZEŚĆ DRUGA

WERSJE

0

Karamazow obudził się rozbity i nieszczęśliwy. Wczorajsze majaki pozbawiły go sił... majaki? Gdyby tak było. Dostał zamówienie od Ciemności. Sługa przemienił się w pana, pan w sługę.

A wszystko było przedtem takie proste. Kiedy musiał kogoś znaleźć, przychodziły dziwne sny, przemieniające się w pewną wiedzę. Wykonywał pracę, nie zastanawiając się właściwie, co mu pomaga – intuicja, podświadomość czy jakaś siła. Mało to tajemnic na świecie? Jedni widzą cudze choroby, inni przepowiadają trzęsienia ziemi... on znajduje klientów.

Zapłata?

Ilja po raz pierwszy uświadomił sobie, że tam, poza granicą jawy, w proroczych snach naprowadzających go na ofiarę, była nie tylko wiedza. Jeszcze i wola... która złamała go w jednej setnej sekundy, która wymagała służenia. Sześciu klientów...

Widział ich wszystkich. Jak na dłoni, sześć sztonów, które trzeba zdjąć z pola gry. Stary Żyd... może najpierw zająć się nim? Mieszka w Moskwie i opór będzie minimalny. Zresztą, chłopak też jest absolutnie bezbronny...

Karamazow skrzywił się. Zabijanie dzieci... ale robota. Kiedyś musiał zabić syna klienta, który za dobrze przyjrzał się jego twarzy. Ale tamten był starszy, no i sam się napraszał. Nie można patrzeć w twarz śmierci. Zapamiętywać szerokie kości policzkowe i błękitne oczy, lśniące od szkieł kontaktowych.

A tego chłopca szkoda. Dobrze, że to nie dziewczynka, bo gdy zobaczył twarz, zbyt delikatną jak na chłopaka, przez chwilę był przerażony. Przynajmniej tego Ciemność nie żądała, dzięki jej choć za to.

Karamazow niechętnie pościelił łóżko. Poszedł do kuchni, włączył gaz pod czajnikiem, wyjrzał przez okno. W zimnej mżawce spieszyli się do pociągu przechodnie.

Starzec i chłopiec. Łatwa praca. Co dalej?

Zaklął półgłosem.

Deputowany. I to nie z tych szeregowych... jeden z najbardziej aktywnych i popularnych... takiego nie ochraniają byle leszcze... i cała milicja stanie na rękach, gdy dostanie kulkę w łeb. Polityka, mój ty Boże, przysięgał sobie, że nie będzie się w tym grzebał...

Ukraiński wojak... też nieprzyjemnie, ale w porównaniu z deputowanym – drobiazg. Tym bardziej, że teraz jest w Rosji. Na urlopie.

Pisarz. W ogóle dziwna sprawa. Na takich zwykle zamówień nie ma. Jakiś bajkopisarz czy

fantasta... Juliusz Verneamator. Ilu takich widział na korytarzach redakcji – zrozumieli i niepewnych jednocześnie. Komu mógł wejść w drogę? To znaczy, wiadomo, komu... ale dlaczego...

I ta dziewczyna, lekarka na prowincji. Czy do niej jedzie ten Ukrainiec? Cała ta szóstka nie znających się nawzajem ludzi, którzy weszli w skład jednego zamówienia, jest ze sobą jakoś powiązana.

I cała szóstka z jakiegoś powodu się dwoi!

Karamazow zerwał się i zaczął miotać się po kuchni, czując, że traci rozum. Zamówienie, zamówienie, zamówienie! Wykonać i odpocząć. Pożyć spokojnie rok – dwa w jakiejś głuszy. Zapomnieć o chwili, gdy Ciemność zamieniła ich role.

– Dlaczego oni się dwoją? – krzyknął.

Cicho zaśpiewał czajnik. Ilja zdjął go z ognia, jakby zapominając, że można po prostu wyłączyć gaz. Stał chwilę rozglądając się i wstawił czajnik do zlewu.

Nie miał ochoty ani na herbatę, ani na kawę. Nie czuł się senny.

Wyjął z lodówki karton soku pomarańczowego i chciwie wypił całą szklanę. Soki są zdrowe, mają witaminy. Mądrzy ludzie piją soki, nie palą i nie piją alkoholu. To gwarancja długiego i szczęśliwego życia.

– Zrobię was – wyszeptał Ilja.

Nie ma sensu tego odkładać. Jeśli będzie pracował szybko, na najwyższych obrotach, wyrobi się w dwa, trzy dni. Szkoda tylko, że pisarz jest gdzieś daleko. Chyba w Azji.

Zresztą, czy tam zostanie?

Kiwnął głową do swoich myśli.

Najlepiej zacząć od staruszka. Żadnych wyrzutów sumienia – ten już swoje przeżył. Żadnego ryzyka. Konkretna i niezrozumiała dla śledczych sprawa.

Postanowione – zacznie jeszcze dzisiaj.

Musi tylko wybrać narzędzie. Co byłoby lepsze – sprawdzona taniocha czy nabyta specjalnie do tej akcji egzotyka?

Wiele osób uważa makarowa za nieudany model pistoletu. Najbardziej rozpowszechniona opinia – to broń, z której w razie wpadki będziesz mógł się zastrzelić.

Ilja używał makarowa z powodów czysto oszczędnościowych. Tańszego i bardziej dostępnego pistoletu nie było, a zgranie się z tym modelem trwało krótko. Poza tym każda akcja kończyła się niszczeniem broni, co też nie było bez znaczenia. Mimo wszystko wolałby teraz coś bardziej precyzyjnego. Dobry rewolwer na przykład. Albo steczkina.

Ale niestandardowa broń powiąże ze sobą te sześć akcji.

Karamazow posępnie obracał w rękę makarowa. Dobrze, jeszcze mu posłuży. Włożył zapasowy magazynek, stary wsunął do kieszeni. Zamknął oczy i wyobraził sobie – jasno i wyraźnie, jakby widział go tysiąc razy – stary blok, jeszcze z czasów chruszczowowskich. Biednie mieszka nasz profesor... bo przecież to profesor, prawda? Drewniane drzwi, słabe zamki, ostrożni sąsiedzi. Nie ma nawet domofonu.

Spojrzał na zegarek. Do pociągu miał jeszcze dwanaście minut. Mądrzy ludzie nie spieszą się, lecz wychodzą w porę. Ilja ogolił się, przytknął oczy, oblał się playboyem.

Pora.

Wysiadł na Dworcu Jarosławskim, bilet starannie schował do kieszeni. Wydatki za przejazdy zwracała redakcja, w której Karamazow pracował jako redaktor. Pieniądze były śmiesznie małe. Nie chciał jednak wychodzić z roli liczącego się z każdym groszem, ale lubiącego szpanować faceta.

To nie mogła być prawda. Raczej sen – nie wiadomo jeszcze, straszny czy nie. Kirył w milczeniu patrzył na swojego rówieśnika, nie próbując nawet wstać z łóżka. Wizytor.

– Ubiorę się – powiedział tamten, otwierając szafę. Kirył odwrócił wzrok. – Kiedy przyjdzie mama?

Poczuł chłód.

Wiec to tak się dzieje? Siedzisz w domu i zjawia się ktoś podobny do ciebie jak dwie krople wody. Zjawia się, żeby zająć twoje miejsce.

Nie sprytny robot-sobowtór z książek dla dzieci. Po prostu sobowtór. Taki sam chłopiec, kulący się z zimna i cierpliwie naciągający twój stary sweter. Wizytor.

Chłopiec zrobił krok w jego stronę, kucnął przy łóżku, zajrzał mu w oczy.

– Kirył, nie potrzebuję twojego życia ani twojej mamy.

– Kim jesteś? – wyszeptał Kirył.

– Kimś więcej niż ty – Wizytorem.

Nie uśmiechał się. Nie próbował mówić bardziej zrozumiale. Kirył nagle pojął – Wizytorowi chodzi tylko o jedno – żeby mu uwierzono i przestano uważać za sen.

Już to osiągnął.

– Czego chcesz?

Chłopiec wstał i popatrzył w okno – w deszczową noc. I poprzez nią, ponad nocą...

– Chcę Ziemię – powiedział Wizytor.

Znowu popatrzyli na siebie. Kirył zrozumiał.

– Jesteś... stamtąd?

Wizytor skinął głową. Wyciągnął rękę, dotykając ramienia Kiryła, lekko przyciągając go do siebie.

– Miliony światów. Szukamy ich. Wybieramy Drogę.

– Kto – my?

– Wizytorzy.

– Nie jesteś sam?

Wizytor jakby wsłuchiwał się w coś bezmiernie dalekiego.

– Nie. Nas... – zamilkł, krzywiąc się z męką, próbując znaleźć słowa, których nie było. – Nie, inaczej... Wyjaśnię inaczej. Umiesz omamiać słowami?

Kirył nie odpowiedział. To nie było potrzebne.

– Przez ciemność niebytu – powiedział Wizytor – poprzez stulecia. Uświadomiliśmy sobie swój cel, i szukamy innych, żeby pomóc.

Światło gwiazdy. Oślepiająca kula, otoczona czarnym rojem muszek. Statki kosmiczne? Czy... żywe?

Igły-kryształy, sunące przez ciemność, z dala od ciepła. Niespieszne i niepowstrzymane. Nie mają rozmiaru ani prędkości, mogą być większe od planet albo niniejsze od ziarenka piasku, mogą mknąć albo pełznąć. Nie sposób tego zrozumieć. Brak punktów odniesienia.

Życie uświadamia sobie siebie i szuka celu. Tysiąclecia fałszywych ideałów i daremnych wysiłków. Światy zrodzone, by umrzeć, żyją. Światy zrodzone, by żyć, umierają.

A tak łatwo mogą im pomóc – ci, którzy uświadomili sobie swój cel.

Ponad błękitnobiałą planetą leciała czarna igła.

Ten świat nie miał zbyt wielu celów. Najprostsze warianty. Można mu łatwo pomóc.

Sam wybierze swoją przyszłość.

Ci, którzy uświadomili sobie swój cel, niczego nie narzucają.

Spojrzenie, albo coś więcej niż spojrzenie, przesunęło się po planecie, wyszukując tych, którzy dokonają wyboru. Wchłonęło ich w siebie na mgnienie oka, które wydało się ludziom nie kończącym się dniem. Przelamało w czarnych płaszczyznach kryształu.

I odrzuciło ich odbicia z powrotem.

Wybór Drogi rozpoczęty.

Kirył westchnął, siadając na łóżku. Wizytor stał obok, nadal trzymając go za ramię.

– Przeszedłem, by wam pomóc – powiedział. – Dać cel istnienia. Twój sens życia stanie się sensem wszystkich ludzi. Cieszysz się?

Sens? Kirył drgnął.

Jaki sens miało jego życie, trzynaście przeżytych lat? Przecież każdy uważa się za centrum wszechświata. Każdy wierzy w swoją niepowtarzalność. Jego przyjaciel Maksym, nauczycielka literatury, która przeczytała mniej książek niż Kirył, wiecznie pijany sąsiad z siódmego piętra, reżyser z telewizji, który postanowił zapchać puste okienko programu dla dzieci młodym poetą... Czy oni zastanawiają się, po co żyją?

Może do nich też przyszli Wizytorzy?

– Pozostali? – zapytał.

– Oni też chcą nadać sens życiu – wyjaśnił chłopiec. – Ale oni się mylą. Wiem to. Przecież ja – to ty, a nawet więcej.

– I czego ja chcę?

Wizytor milczał. Kiedy Kirył podniósł oczy, tamten odwrócił wzrok.

– Wielu rzeczy. Możesz zostać, kim zechcesz, jeszcze nie zdecydowałeś. Dlatego to my zwyciężymy.

Kirył ostrożnie zdjął jego rękę ze swojego ramienia. Przybysz z kosmosu. Chudy chłopak. Jego własne odbicie.

– Jestem człowiekiem – powiedział Wizytor. – Boli mnie ząb, bo bałeś się pójść do dentysty.

– Nie bałem się!

Wiz tylko się uśmiechnął.

– I jestem głodny. Tak jak ty.

Kirył szybko spojrział na zegarek. Trzeba coś zjeść, zanim mama wróci z pracy. No przecież nie pokaże jej Kiryła-dwa!

– Umiesz się ukrywać? – zapytał na wszelki wypadek. – Żeby nikt cię nie widział?

– Umiem tylko to, co ty.

Co za koszmar. Przybysz z gwiazd, który nie ma nawet własnych spodni. Którego trzeba będzie ukrywać (gdzie? pod łóżkiem?), karmić ukradkiem, zdumiewając mamę potwornym apetytem... I jak długo to wszystko potrwa?

– Jak ty... my... mamy zwyciężyć?

– Ostatni z Wizytorów jest tym, który najbardziej odpowiada danemu światu... – powiedział obojętnym głosem Wiz. – A co za tym idzie, jego życiowe cele muszą dominować. Proste, prawda?

Odpowiada światu? W jaki sposób odpowiada on, chłopiec, który kiedyś umiał pisać wiersze? Który nie potrafił się bić i nie miał rodziców milionerów?

– Nie zdołają mnie zniszczyć – ciągnął Wiz. – Ludzka moralność osądza zabójstwo dziecka, a więc...

Kirył zaśmiał się, patrząc na swoje własne odbicie. Wiz nie tylko nie umiał tego, co powinien umieć każdy kosmita.

W dodatku nic nie rozumiał.

2

Ironia losu – cud zdarzył się człowiekowi, który w cuda nie wierzył. Jarosław patrzył, jak jego sobowtór nalewa kawę, nieomylnie wybrałszy spośród czterech paczek najlepszą. I pewnie tak samo się krzywi, biorąc z ognia zaparzarękę..

– Co dla jednych jest odpoczynkiem, to dla innych pracą... – powiedział w zadumie Sława. – Człowiekowi, który przez całe życie wymyśla rzeczy niemożliwe, trudno w nie uwierzyć.

– Założmy, że wierzę. Kim jesteś?

Sobowtór westchnął.

– Chcesz prawdy czy etykietki?

– Prawdy. Etykietkę naklej sobie na tyłek. – Jarosław popatrzył na wypchaną kieszeń szlafroka. – Pistolet mi zabrałeś, możesz mówić spokojnie.

– Tak się zastanawiam... – sobowtór usiadł naprzeciwko. – Ty w nic nie wierzysz, Jarek. Co ja ci mogę powiedzieć?

– Prawdę.

– Dobra. Zaczynamy. – Upił malutki łyk. – Po pierwsze – nie ty jeden siedzisz teraz przed sobowtórem. Przyszło nas kilkoro. Staruszek – uczony, deputowany, chłopiec, lekarka... Zauważasz tendencję?

Jarosław przytaknął.

– Różne grupy społeczne.

– Brawo. Niezupełnie społeczne, ale zasadniczo masz rację. Zostali wybrani najróżniejsi ludzie.

– Przez kogo wybrani? – zapytał z naciskiem Jarosław.

– Tutaj prawda się kończy. Wierzysz w przybyszów z gwiazd? W tamten świat?

Jarosław uśmiechnął się.

– Otóż to – Sława rozłożył ręce. – O tym właśnie mówię. Każdy z twoich kolegów otrzymał inne wyjaśnienie. Chłopiec...

– O kosmitach.

– Oczywiście. Dziadek profesor – o nowym prawie przyrody. Dziewczyna...

– Jaka dziewczyna?

– Lekarka... uważa, że to początek apokalipsy – Sława zaśmiał się, krzywiąc twarz. – Powierzchnowa religijność, wiesz, że to do niczego dobrego nie prowadzi.

– Ciekawe, co powiedzieli deputowanemu.

– Nic. Już go nie ma, Jarku.

Popatrzyli na siebie przez stół – dwóch mężczyzn, z których jeden nie do końca był człowiekiem.

– Wizytor nie musi zachować oryginału przy życiu – powiedział miękko Sława.

– Wychodzi na to, że miałem szczęście? – Jarosław łudził się, że słowa zabrzmiały przekonująco.

– To raczej wasz polityk go nie miał. Zdumiewające, w jakim stopniu moralni okazali się wszyscy wybrani.

– A co my mamy do tego?

– Etyka Wizytorów jest odbiciem etyki prototypów.

– Kim jesteście?

– Przecież mówię, dla ciebie nie ma właściwej odpowiedzi. Przywykłeś operować najróżniejszymi wariantami. Przekonywać innych o ich prawdziwości. Teraz za to płacisz.

– Ale ty nie jesteś człowiekiem.

– Nie do końca. Musze jeść i pić. Można mnie zabić... tak samo łatwo jak ciebie. Ale pojawiłem się na świecie pół godziny temu. Możesz mnie uznać za chodzący symbol, etykietkę, na której napisano: „Twórczość”.

– Wiesz, nie opuszcza mnie wrażenie, że śnie.

– W takim razie uznaj to za koszmar, z którego nie można się obudzić.

– Dlaczego koszmar? Rozmowa przy filiżance kawy to jeszcze nic strasznego.

– Jarku...

– Przestań mnie tak nazywać.

– Jarosławie, między nami przybyszami panuje malutki rozdźwięk. Każdy z nas uważa, że ludzie żyją w nieprawidłowy sposób.

– A kto na ziemi uważa inaczej?

– Tak, ale tylko my mamy możliwość udowodnienia swoich racji. W bardzo prosty sposób – ten, który przetrwa najdłużej, zostaje pierwszym.

Zrozumiał od razu. Życie przełamało się na pół wraz z tym nieproszonym cudem, ze skrzygnięciem drzwi w mieszkaniu. A cuda nie mogą być dobre.

Jarosław pochwycił wzrok Wizytora. Współczucie? Chyba nie. On nigdy nie umiał współczuć. To rzadkość – człowiek, który rozumie cudzy ból.

– Macie zamiar zabijać się nawzajem?

Wzruszenie ramion.

– Oczywiście, jestem przeciwny tej metodzie, ale pozostali wybiorą właśnie ją. Przecież wszyscy, wszyscy dopuszczają zabójstwo, byle w imię najwyższych celów. Obrona siebie, ojczyzny, przyjaciół – to odkupi winę. Tak? A tutaj cel jest jeszcze wznioślejszy – dać światu szczęście.

– Zrób jeszcze kawy – poprosił Jarosław. Przelotnie zdumiał go własny ton – tak rozmawia się ze starymi przyjaciółmi.

Ale przecież Wizytor był nim samym.

– Zaczynasz wierzyć – zauważył dobrodusznie.

– Za kogo ty się uważasz?

– Dobrze pytanie – powiedział Wizytor wsypując zmieloną kawę do zaparzarki. – Za pisarza Jarosława Żarowa. Popularnego twórcę literackiej pulpy.

– A poza tym?

Wizytor popatrzył na niego spode łba.

– Poza tym wiem, że jestem tylko jego kopia. Zrodzoną przez niezrozumiałą siłę, która postanowiła uporządkować ludzkie życie.

– Naprawdę nie wiesz, jak powstałeś?

Wizytor milczał tak długo, że Jarosław przestał już czekać na odpowiedź.

– Chciałbym móc ci odpowiedzieć, Jarku – w spojrzeniu Wizytora nagle pojawił się smutek. – Chcesz wiedzieć, jak to było? Zasypiałem. Przejechał samochód i otworzyłem oczy. Spojrzałem na sufit. Zrozumiałem, że nie zasnę. Postanowiłem wstać i usiąść przy komputerze.

Gwałtownie westchnął, jakby odcinając wspomnienia.

– I znalazłem się na korytarzu, nagi i bosy. I wiedziałem, że teraz jestem twoim sobowtórem, a ty, prawdziwy, leżysz w łóżku. Otworzyłem drzwi do łazienki, założyłem szlafrok, poszedłem do kuchni i zapaliłem światło.

– Więc ja zrobiłbym to samo?

– To właśnie zrobiłeś... – Wizytor odwrócił się gwałtownie, biorąc wrzącą kawę. – Nie pytało

mnie o zgodę, nie zniżono się do wyjaśnień. Ja po prostu wiem: jest nas sześcioro. Wszyscy prócz mnie dostali wyjaśnienie tego, co się stało, ale co w nich jest kłamstwem, a co prawdą – nie wiem.

Na krótką chwilę Jarosław wyobraził sobie siebie – tam, przy kuchence, w narzuconym szlafroku, uświadamiającego sobie, że jest tylko kopią. I odskoczył, jakby chwycił ręką rozpalony metal.

– Wybacz – wyszeptał.

– Nie ma w tym żadnej twojej winy. Zrozum, my już się od siebie różnimy. I z każdą sekundą oddalamy się coraz bardziej. Za kilka lat staniemy się jak bliźniacy, którzy długo ze sobą mieszkali. Jeśli, oczywiście, będziemy mieć te lata.

– Co wiesz o pozostałych?

Wizytor wzruszył ramionami.

– Wyczuwam ich. Gdzie są i co teraz mogą robić. To nie telepatia, bardziej przypomina domysły. Ty tak wyczuwasz Galinę.

To było jak cios w krocze.

– Nie wiem, gdzie ona jest – wyszeptał Jarosław.

– Daj spokój. Wiesz. Jest w domu, w tym mieszkaniu w bloku. Sama. I też nie śpi, czyta swojego ulubionego Durrenmatta.

– Bzdura.

Wizytor popatrzył na niego ze zdumieniem.

– To ty nie czujesz innych ludzi? Co robią, o czym myślą? Nawet swojej byłej żony, którą nadal kochasz?

– Nie.

W milczeniu nalewając kawę, Wizytor usiadł naprzeciwko. Spojrzał na Jarosława – ni to z ironią, ni z litością.

– Ej, stary, to jak ty piszesz książki?

– Kłamię.

3

Czy tak właśnie wyglądał? Arkadij Lwowicz z litością i pogardą patrzył na siedzącego w fotelu staruszka. Zgrzybiały nie był, i bez najmniejszego śladu łysiny. Za to grubawy, z niezdrową cerą, nadgarstkami owiniętymi niebieskimi sznurami żył. Lekko uchylone usta, spiłowane szare zęby. Profesor akademik. Do dziś znany i szanowany w wąskich kręgach.

– Czasem mam wrażenie, że lustro pochodzi z puszek Pandory – powiedział staruszek. – Ludzie nie powinni znać swojego wyglądu, przeważnie okazuje się to zbyt okrutne.

– To gorsze niż lustro – wyszeptał Arkadij Lwowicz.

– Zgadza się – pokiwał głową staruszek. – A czegoś się spodziewał po siedemdziesięciolatku, w dodatku chorym na raka?

Słowo, zabójcze i obojętne, zostało wypowiedziane i serce ścisnęło się boleśnie.

– Rozumiem, że mam prawo do szczerości i pewnego cynizmu – ciągnął staruszek. – W końcu jestem w tej samej sytuacji. Rozumiesz?

– Kim jesteś?

– Twoim odbiciem – staruszek wy dostał się z fotela i podszedł do niego. – Arkasza, nie będziemy chyba tracić czasu na rozważanie wersji, jakobym był halucynacją? To bezowocne.

Arkadij Lwowicz skinął głową.

– Pięknie – ożywił się staruszek. – Idee z szalonym bratem bliźniakiem, odnalezionym po latach,

pozostawiamy tanim komedyjkom. Przejdziemy do rzeczy.

Znowu posłuszne skinienie głową.

– Pamiętasz, jak przestałeś wierzyć w Boga?

– Siła o takiej skali nie może pozostawać bierna – rzekł Arkadij Lwowicz i odkaszlnął. – Fakt, że nie przejawia się ona w żadnych realnych faktach, jest dowodem jej nieobecności.

– A w prawa natury wierzysz?

Doktor filozofii Zaltzman uśmiechnął się lekko.

– Nie w takim przejawie.

– Poprzedni odkrywcy tego prawa nie zdołali podzielić się zdobytą wiedzą.

– Dobrze. Mów.

– Społeczeństwo nie jest jedynie sumą jednostek. Posiada ono...ee... pewną moc. I określoną wolność woli.

– Wystarczającą, by stworzyć kopie starego smutnego Żyda?

– Na przykład. I nie tylko jego.

Arkadij Lwowicz rozejrzał się.

– Nie, nie tutaj. Na szczęście pozostali są gdzie indziej.

– Co jest celem tego boskiego aktu?

– Wybór. Ludzkość niesie w sobie najróżniejsze tendencje rozwoju. Nazwijmy je wektorami. Wektor siły, wektor twórczości, wektor władzy, wektor humanizmu, wektor rozwoju i wektor wiedzy...

– Ten ostatni, jak rozumiem, odnosi się do mnie.

– Tak.

– A co oznacza rozwój?

– Wszystkie tendencje, ale w stłumionym, uspionym stanie. Joker w talii kart.

Zaltzman skinął głową.

– Dziecko?

– Tak. Nim się nie musimy martwić. Tę kartę zbijają jako pierwszą.

– Wyjaśnij.

– Jesteśmy Wysłannikami. Nie posiadamy... prawie... zdolności, wychodzących poza ramy zwykłych ludzkich sił. Jesteśmy zmuszeni dostroić się do społeczeństwa, żyć zgodnie z jego regułami – niepisanymi regułami. Ten, który jest najlepiej przystosowany do społeczeństwa, najlepiej zaadaptowany, przetrwa. Zwycięży, i wektor, który uosabia, stanie się dominujący na bardzo długi czas.

– Przecież wiesz, że ja umieram.

– Wiedza umiera. Myślisz, że wybrano najlepszych? Nie. Tylko typowych. Autor książek dla mas w roli twórcy, rozczarowany swoim zawodem wojskowy – jako Wysłannik Siły, sprzedajny polityk jako Wysłannik Władzy...

– Ja nie dożyje wiosny! – niemal krzyknął Arkadij Lwowicz. Zaczął kaszleć i ostry ból usłuznie potwierdził jego słowa.

– Pomogą nam nie dożyć zimy.

– Aż tak?

– Oczywiście. Jak wysoka jest tolerancja społeczeństwa wobec zabójców?

Arkadij Lwowicz nie odpowiedział.

– Jak sądzę, niemal wszyscy Wysłannicy dojdą do tego samego wniosku. Prócz dziewczyny i chłopca, prawdopodobnie.

– To obłąd...

– Owszem, ale zrodzony przez istniejący świat. Chcesz, aby wszystko wokół stało się twoje? Nie należące do ciebie, lecz po prostu odpowiadające twojemu wyobrażeniu o prawidłowym społeczeństwie?

– Idiotyczne pytanie.

– Pozostali Wysłannicy chcą tego samego. Pozostaje rozwiązać mały problem – czy przedstawiciele innego punktu widzenia zasługują na likwidację?

– Nie – odpowiedział ostro Arkadij Lwowicz.

– Tak sądzisz? Dobrze, zostawmy na razie chłopca, który jest nikim i niczym. Zapomnijmy o dziewczynie z jej obłąkańczą religijnością i pociąganiem do przebaczenia. Weźmy na przykład pisarza. Dobry człowiek. Stronnik wielkich imperiów, budowanych za wszelką cenę. Na krwi i kościach, na bombach jądrowych i napalmie. Dobry człowiek, który wyraźnie zdecydował – cel uświęca środki. I jeśli dla świetlanej przyszłości trzeba zniszczyć połowę ludzkości – ofiara jest usprawiedliwiona.

– Nazywasz go dobrym człowiekiem?

– Wżyciu. Ale jeśli jego kopia, Wysłannik Twórczości, zostanie tym ostatnim...

– Jak sądzę, Siła i Władza są jeszcze mniej przyjemne?

– Zasadniczo tak. Ta trójca, bez względu na to, kto z nich zwycięży, utopi świat we krwi. W imię jakich celów – to już mniej ważne. Odpowiedz – czy oni nie zasługują na likwidację? Twoje zdanie wiele przesądza.

– Etyka selektywna.

– Tak jest. Jeśli jesteś przeciwnikiem takiej przyszłości – musisz uznać etykę ich likwidacji. Jeśli uznajesz taką konieczność, chłopiec i dziewczyna stają się tylko nieuchronnym dodatkiem.

– Oni mogą dojść do władzy? W Rosji, na całym świecie?

– Po co. Zwycięży tendencja, której są wyrazicielami. Ich marzenia może urzeczywistnić ktoś inny – to już nieistotne.

– Nie mam zamiaru nikogo zabijać. Ty też tego nie zrobisz.

– Tak? Możliwe – uśmiechnął się krzywo staruszek. – Może mi powiesz, że nigdy nie zabijałeś?

4

Ilja nigdy nie miał problemów z milicją. Możliwe, że to też było częścią gry z Ciemnością, podobnie jak wyczuwanie klienta. Te cienie, snujące się po stacjach metra i lepiej oświetlonych ulicach, jakby go nie zauważały. Czasem Karamazow miał wrażenie, że gdyby na ulicy wyjął pistolet, zareagowałyby jedynie przechodnie. A stróżę porządku i prawa dalej patrzyliby poprzez niego – czujnie i nieprzekupnie.

Przyszło mu to do głowy w momencie, gdy wlewający się na ruchome schody tłum na chwilę przycisnął go do młodego porucznika, i to tak niefortunnie, że pistolet w wewnętrznej kieszeni płaszcza wbił się tamtemu w plecy.

Porucznik nie odwrócił się.

Karamazow wysliznął się z tłumy przy wyjściu, przystanął przy zawalonym gazetami i czasopismami stoliku, w milczeniu podał pieniądze i wskazał nowy numer „Skandali”. Bez szczególnej nadziei, bo czasy, gdy gazeta urządziła wernisaże fotografii nagich dziewcząt, dawno minęły. Nadal jednak kupował tego szmatławca – z lekkim uczuciem nostalgii. Ciekawe, jaki procent kupujących czuł to samo?

Podejrzewał, że spory.

Wsunął gazetę do kieszeni i ruszył, nie zważając, dokąd niosą go nogi. Ciemność poprowadzi go do celu, zawsze tak było. A potem wkraczał do gry on.

Staruszek już swoje przeżył...

Po południu jakby się przejaśniło. Deszcz przestał padać, a raczej ucichł na jakiś czas. Ilja dwa razy skręcał, za każdym razem czując, że zbliża się do klienta. Nie w linii prostej, raczej po spirali, ale to bez znaczenia... Otoczona mocnym ogrodzeniem cerkiew, którą restaurowano od pół roku. Sklep spożywczy, do przerwy obiadowej zostało siedem minut. Ilja wszedł, przespacerował się wzdłuż lad i nic nie kupując wyszedł wraz z ostatnimi klientami. Ruszył dalej. Mocny wieżowiec z cegły. A oto i trzy stare czteropiętrowe bloki, nie wiadomo jakim cudem ocalałe w tej dzielnicy. Z pozoru niczym się od siebie nie różniące. Zwolnił.

Szybkość i precyzja. Żadnego planowania, to po prostu nie było potrzebne. Dzwonek, szczek zamka, strzał. Poklepał się po kieszeni – plik przedwyborczych ulotek jakiejś partii. Całkiem usprawiedliwiony powód wizyty. A łańcuchy przy drzwiach rzadko wytrzymują uderzenie barkiem. Zresztą, staruszek mógł wcale nie zamknąć na łańcuch...

Ilja wszedł na klatkę schodową i zawahał się. Drugie piętro. Po prawej.

Odetchnął głęboko i zaczął wchodzić po schodach. Nie skradając się, ale wystarczająco cicho, by najbardziej czujna emerytka nie rzuciła się do wizjera. W sklepach naprzeciwko przerwa – małe szansę, że ktoś teraz wyjdzie z mieszkania. A do całodobowych marketów mieszkańcy takich domów nie chadzają.

Na ostatnich metrach przełożył pistolet do prawej kieszeni płaszcza i odbezpieczył. Wyjął plik ulotek, zerknął na tekst.

„Partia robotników elektrowni i sieci ciepłowniczych. Jesteśmy za Światłem i Ciepłem!”

Zdarza się...

Zadzwoił.

Cisza. Pobudka, dziadku. Odłóż swoje mądre książki albo nie doczytaną „Prawdę”. Wsuń nogi w ciepłe kapcie. Ilja przyniósł ci światło i ciepło... Ostatnie światło w twoim życiu.

Cisza.

Zadzwoił jeszcze raz, nieco dłużej.

Żadnego dźwięku, żadnego szelestu. W wizjerze słabe światło, przefiltrowane przez zasłony.

Klient wyszedł? Czy sam wyciągnął kopyta?

Ilja stropił się. Coś takiego mu się jeszcze nie zdarzyło... Nigdy. Wyszedł na cel w odpowiednim momencie. Klient powinien tu być. Przymknął oczy, wpatrując się w to, co było w nim samym. Ale Ciemność milczała.

Karamazow leciutko zastukał do drzwi. Kompletna cisza. Drzwi, jakby czekając na jego dotyk, zakołysały się, uchyliły. To było tak niespodziewane i dziwne, że cofnął się o krok. Pułapka? Przypadek?

Na świecie nie ma przypadków...

Pchnął drzwi mocniej, otworzyły się posłusznie. Słabe, niepewne drzwi, otwierające się do wewnątrz. Żadna ochrona. Zasuwka angielskiego zamka wciągnięta i zabezpieczona. Nie ma przypadków.

Czyściutki przedpokój. Nagi wieszak, żadnych śladów ubrania. Słaby zapach starego mieszkania.

Ilja wszedł, starannie zamykając drzwi. Wyjął pistolet, zawołał:

– Jest tu kto? Nic się nie stało?

Cisza.

Szedł po mieszkaniu, szybko zaglądając do kolejnych pomieszczeń. Jadalnia. Pusto. Sypialnia.

Pusto. To chyba gabinet. Też pusto. Kuchnia, łazienka, toaleta... Splunął do sedesu. Nikogo. Puste, otwarte mieszkanie. Wyglądało to na kpinę.

Może zajrzeć do szafy i pod łóżko, żeby uspokoić sumienie? Albo po prostu przyznać, że się pomylił?

Ilja wszedł do gabinetu. Półki z książkami, stół, tapczan... Staruszek chyba właśnie tutaj spał, a nie w sypialni. Nawet nie ma się gdzie ukryć.

Jego spojrzenie zatrzymało się na biurku. Stary, z czasów radzieckich magnetofon kasetowy elektronika leżał na środku. Sznur sięgał do gniazdka... Nie, bzdura, skąd u starego humanisty materiały wybuchowe i umiejętność zmontowania bomby?

Nacisnął klawisz. Magnetofon odetchnął z ulgą, zaczął ciągnąć taśmę.

– Szanowny Wysłanniku...

Ilja nawet przez chwilę nie miał wątpliwości, że kasetka adresowana jest do niego. Dziwaczny zwrot nie miał żadnego znaczenia, nagranie zrobiono dla tego, który przyszedł zabić. Starczy głos ciągnął:

– Doskonale rozumiejąc słabość swojej pozycji, mimo wszystko nie jestem skłonny pokornie czekać na twoją wizytę... Jeśli ona oczywiście dojdzie do skutku... – staruszek mówił niemal jednym tchem, jakby nie musiał nabierać powietrza. – A, jak sądzę, dojdzie... mniej więcej około czternastej. Drzwi do mieszkania nie są zamknięte, aby uwolnić pana od wątpliwości i niewygód. I ogromna prośba – proszę jeszcze raz przemyśleć całą sytuację i zastanowić się nad negocjacjami. Będę dzwonił co piętnaście minut, będzie pan łaskaw podnieść słuchawkę. Tymczasem proszę się rozgościć. W lodówce jest niezły koniak... – śmieszek – jeśli oczywiście jest pan pełnoletni. A dalej na kasecie jest piękna muzyka, mam nadzieję, że lubi pan Bacha. Do usłyszenia.

Sekunda ciszy i napór organów.

– Ty stary łajdaku... – wyszeptał Ilja. – Ty... ty...

Ryk organów. Stary magnetofon sprawiał, że piękna muzyka brzmiała jak bezmyślny szum. Inteligent, jego mać...

Karamazow wyszarpnął kabel z gniazdka i magnetofon zawył, cichnąc.

– Wiedziałaś! – krzyknął. – Wiedziałaś!

Skąd, dlaczego?

Kto włączył się do gry, kto mógł uprzedzić klienta? Cel zsunął się ze ściany strzelnicy, wymknął spod celownika. Koniak w lodówce, żeby go szlag... Nie jest samobójcą. Materiały wybuchowe to sztuka niedostępna dla frajerów, ale truciznę dałoby się znaleźć w każdym domu...

Karamazow skoczył do przedpokoju, znowu sprawdził pomieszczenia. Nikogo.

Założył łańcuch na drzwi, zamknął je na zasuwkę. Wyobraził sobie, że podnosi słuchawkę, zaczyna rozmowę... z Bóg wie kim, a staruszek, który w tym momencie wszedł, strzela mu w plecy z jakiegoś starożytnego mausera, którym jego dziadka czerwonoarmistę nagroził sam Czapajew.

Jak się dowiedział? Co tu się dzieje? Najłatwiejszy cel, który nie powinien stawiać oporu, ukrył się. To co mogą zrobić mocniejsi klienci? Zdrowi, silni faceci?

Na biurku zabrzczał telefon.

Ilja podniósł słuchawkę – ostrożnie, jak grzechotnika – i w milczeniu przysunął do ucha.

– Halo?

Nie było wątpliwości – ten sam starczy głos.

– Halo...

– Mów! – Karamazow z trudem zmusił się do odpowiedzi. Nie lubił rozmawiać z przyszłymi klientami.

Niespodziewana cisza. Słysząc jedynie szum ulicy – dzwoniło z budki.

– Mów!

– Kim pan jest? – wyraźne zaskoczenie w głosie.

– Tym, dla którego zostawiono kasetę.

Pauza.

– Pan kłamie.

– Musimy się spotkać i porozmawiać – powiedział Ilja, czując, że klient znowu mu się wymyka.

– Nie było pana – jakieś uparte niezrozumienie. – Po co pan wszedł?

Chyba należało wyjawić nieco prawdy.

– Żeby pana zabić. Ale już zmieniłem zdanie. Spotkajmy się i...

Dziwnie przepraszający ton klienta:

– Chyba czegoś nie rozumiem...

Sygnał zajętości. Cel znowu umknął.

Ilja odłożył słuchawkę na widełki i jęknął, jak od nagłego bólu. Obaj niczego nie rozumieli. Prócz tego prostego faktu, że jeden z nich jest myśliwym, a drugi ofiarą.

Najbardziej niepokojące było to, że nie czuł klienta. Nie wiedział, gdzie tamten może się ukrywać.

Do tego mieszkania staruszek nie wróci, to pewne.

Z melancholią obejrzał gabinet. Książki, książki, książki. I po jaką cholere płodzą je jedną za drugą? Komu to wszystko potrzebne? Zawsze miał ochotę zadać to pytanie w pracy, ale w ustach redaktora zabrzmiałoby co najmniej dziwnie. Zadowolony był tym, że wykonywał swoją pracę niespiesznie, z pedanterią, doprowadzając autorów do hysterii.

Podszedł do najbliższej półki, wyjął książki i zaczął je układać w stertę obok biurka. W środek wsunął grubą broszurę o głośnym tytule: „Logika jednolitego światopoglądu”.

Po zapałki musiał pójść do kuchni. Nie wytrzymał i zajrzał do lodówki. Aha, jeśli to ma być dobry koniak, to samogon jest ambrozją.

Broszura paliła się niechętnie. Ilja skręcił kilkanaście ulotek – zapłonęły natychmiast. Ciepło i światło... Posiedział chwilę, patrząc, jak płatki płomienia skaczą na nóżce biurka. Gdy spaliła się politura i zajęło się drewno, szczerze podsypał do ogniska książek z drugiej półki.

Chyba wystarczy.

Zapałki odłożył na miejsce, odkręcił kilka kurków. Stary dom, po co ma sterczeć w centrum jego ukochanego miasta. Bez pośpiechu podszedł do drzwi, wyrzwał przez wizjer. Nikogo.

Zwolnił zasuwkę, zatrzasnął drzwi i zaczął schodzić po schodach, cały czas trzymając dłoń na pistolecie. Klapa? Tak. To nic, miał nauczkę na przyszłość. Nie wolno zwlekać, nie można się odprężyć. Ciemność uprzedzała, że klienci nie należą do łatwych.

To nic. W mieście pozostały jeszcze dwa cele. I jeden z nich można zlikwidować całkiem szybko.

5

– Do biura, Raszidzie Gulamowiczu?

Wezry skinął kierowcy, zamykając drzwi. Samochód powoli wyjechał za bramę.

– Farhad – zawołał półgłosem. Ochroniarz siedzący obok kierowcy odwrócił się. – Wyglądasz na zmęczonego. Jakies problemy?

– Nie, co też pan.

– Śmiało, nie krepuj się.

– Żony dawno nie widziałem. – Ochroniarz zerknął na kierowcę.

– Ech, gdybym to ja mógł tak łatwo rozwiązać swoje problemy... – Wezyr zamilkł, patrząc na rzędy ogrodzeń za drzewami. – Bierz żonę i jedź na wakacje. W jakieś ładne miejsce, gdzie jest ciepło i morze... Macie dzieci?

– Córkę.

– Córeczkę też zabierz. Napisz podanie, wszystko opłacimy. Do jutra jeszcze popracuj, wyznacz zastępstwo i jedź. Zastanów się, gdzie chcesz pojechać. I nie krępuj się przy wyborze.

– Dziękuję, Raszidzie Gulamowiczu.

– Nie ma za co. Ludzie muszą odpocząć – Wezyr uśmiechnął się do swoich myśli. – Powiedz no, jak wy mnie nazywacie między sobą?

– Nie rozumiem...

– Jak na mnie mówicie. Przecież nie po imieniu...

Farhad zawahał się.

– Wezyr. Proszę wybaczyć, Raszidzie Gulamowiczu, tak się przyjęło, żeby klienta nazywać krótko.

– Przestań. Rozumiem. – Wezyr zamilkł.

Szkoda, że jego poprzednik tak rzadko praktykował siłowe rozwiązania. Znowu trzeba się będzie zwrócić do Romanowa.

I wyjaśnić, że przyjdzie usunąć pięć osób, włączając dziecko?

Wezyr pokręcił głową. Niedobrze. Są też inni pośrednicy, ale z nimi rzadziej pracował. A co za tym idzie – potrzeba będzie więcej czasu na przygotowanie. A Wizytorzy wiedzą, że on nie będzie zwlekał. Niedobrze.

Wyjął z kieszeni telefon, podał Farhadowi.

– Znajdź Romanowa.

Samochód przeciął obwodnicę, gdy ochroniarz oddał mu telefon.

– Sekretarka...

Wezyr wziął słuchawkę.

– Wołodię.

Sekretarka miała pamięć do głosów.

– Już, Raszidzie Gulamowiczu...

Po kolejnych kilku minutach ciszę zastąpił szum wody i głos:

– Tak, słucham...

– Wołodia? Bardzo ci przeszkodziłem?

– Nie, nic takiego – odpowiedział bez szczególnego entuzjazmu Romanów. Rano miękł w wannie wyłącznie po silnej popijawie.

– Musimy się spotkać. Jeszcze dzisiaj.

Milczenie.

– Przy kolacji?

– Wcześniej. Umówmy się... – Wezyr spojrział na zegarek – za czterdzieści minut w „Sally O'Brian”. Musisz się koniecznie napić piwa.

Romanów zaśmiał się ochryple.

– Chyba tak. Zresztą, ja już... Co ci tak pilno?

– Jest sprawa, Wołodia.

Wezyr przerwał połączenie. Upijanie się to rosyjski obyczaj. Zapijanie grzechów...

– Napięty dzisiaj będzie dzień – powiedział w przestrzeń. – Jak ja ci zazdroszczę, Farhad.

„Jeśli mama popatrzy w dół, to zemdleje” – pomyślał Kirył.

Ludmiła Borysowna, stojąc przed otwartą szafą, przesunęła dłonią po wieszakach. Wyjęła koszulę, obejrzała ją dokładnie, zarzuciła na rękę i zamknęła drzwi.

Kirył zacisnął powieki.

– Nie udawaj, że śpisz – mama nachyliła się i musnęła policzek chłopca ustami. – Uprasuję ci koszulę. Idziesz do szkoły?

„Ja też cię kocham, mamó”.

Kirył pokręcił głową, nie otwierając oczu.

– Uważaj. Sam zrezygnowałeś z trybu eksternistycznego.

„Głupi byłem”.

Mama wyszła. Chłopiec poczekał, aż zamkną się za nią drzwi, i uniósł się na łóżku.

W pokoju było cicho. Kirył ostrożnie podszedł do szafy, otworzył drzwiczki i popatrzył w dół w cichej nadziei, że nie zobaczy tam nic poza pudełkami z butami i letnimi ubraniami.

Wizytor płakał.

– Coś ty? – wyszeptał Kirył kucając.

To było straszne i dziwne – widzieć cudze łzy w swoich oczach.

Wizytor odwrócił się.

– Dlaczego płaczesz?

– Nie jestem tobą – jego głos wydawał się teraz zupełnie obcy. – Ja nie miałem matki. Nigdy.

– Wiz...

– Wymyśl mi imię. Ludzkie. Nie chce być tobą. Nie mogę! – Wizytor wyprostował się, chowając głowę w wiszących koszulach. – Daj mi imię!

– Nie umiem – wyszeptał Kirył. – Sam wymyśl...

– Umiesz tylko to, co umiesz ty – głos Wizytora stwardniał.

– Kłamiesz! Ja nie umiem tak omamiać słowami jak ty.

– Umiesz. Jak pisałeś wiersze – umiałeś. – Wizytor przestał płakać. – Nie wierzysz w siebie, to wszystko.

Przez sekundę chłopcy mierzyli się wzrokiem.

– Chciałeś mieć brata? – zapytał nieoczekiwanie Wizytor.

– Nie. Siostrę.

– Widzisz, jakiego masz pecha – Wizytor spróbował się uśmiechnąć. – Ja też. A jeden Wizytor już zabił swojego sobowtóra.

– Skąd wiesz?

– Czuję. Domyślam się. Spróbują nas dzisiaj zabić, Kirył. Jaki ja byłem głupi, że nie zrozumiałem tego od razu.

– Trzeba... – Kirył ugryzł się w język.

– Zadzwoń na milicję? I co powiesz? – Wizytor wyprostował nogi, wysuwając się z szafy, i poskarżył się: – Zdrętwiały... Mama... twoja mama niedługo wychodzi?

Kirył skinął głową.

– To ja jeszcze pośpię. Zamknij drzwi, od wewnątrz niewygodnie.

– Nie po to robili szafy.

– Mnie też nie po to robili, żebym oddychał naftaliną.

Kirył poczekał, aż Wizytor wsunie się do swojej kryjówki, i posłusznie zamknął drzwiczki.

– Potrzebna nam broń – odezwał się z wnętrza szafy stłumiony głos Wizytora.

– Co? – Kirył wyprostował się.

– To, co słyszałeś. Zastanów się.

Chłopiec, który umiał pisać wiersze, podszedł do okna i popatrzył na szary poranek.

– Nie lubię jesieni – wyszeptał.

Skrzypnęły drzwi.

– Wstałeś?

Kirył patrzył na mamę w milczeniu.

– Coś nasz Kiryłka nie w humorze... – Ludmiła Borysowna starannie powiesiła koszulę syna na oparciu krzesła. – Nie wyspałeś się?

Mamo, zjawił się mój sobowtór. On teraz płacze, bo ty nie jesteś jego mamą. Ale to głupstwo, bo tak w ogóle to on nie jest człowiekiem. I nie martw się, i tak go wkrótce zabiją. Mnie pewnie też, do towarzystwa...

– Jeszcze się nie obudziłem.

– To się obudź – mama zwichrzyła mu włosy. – Ja już uciekam. Na trzecią bądź w domu, dobrze?

– Dobrze – powiedział posłusznie Kirył.

Tylko znajdziemy gdzieś dwa automaty i zaraz wracamy...

...Mył się, słuchając, jak w przedpokoju mama zbiera się do pracy. Gdy szczęknął angielski zamek, wyskoczył z łazienki ze szczoteczką do zębów w buzi i założył łańcuch. Wpadł do kuchni, popatrzył przez okno, jak mama wychodzi z klatki. Znowu pobiegł do łazienki, wypluł pastę i pospiesznie wypłukał usta.

– Wezmę twoją szczoteczkę do zębów, dobrze? – Wizytor stał na progu. Miał na sobie ubranie Kiryła i wydawał się ożywionym odbiciem, które wyskoczyło z lustra, znudzone tkwieniem w nim każdego ranka.

– Czemu wylazłeś? Zawołałbym cię!

– Twoja mama już wyszła. Nie jestem głuchy. – Wizytor ściągnął brwi. – Mamy mało czasu.

Kirył rzucił szczoteczkę do umywalki, odsunął Wizytora i poszedł do kuchni.

I tak już będzie zawsze!

On będzie spać w jego szafie, wychodzić na śniadanie i chować się przed kolacją. Szukać broni i opowiadać o swojej... cywilizacji.

Czasem mama będzie na niego wpadać i brać go za Kiryła. Albo umówią się, że będą spać w szafie na zmianę.

I któregoś dnia mama zobaczy ich razem.

– Kirył... – Wizytor dotknął jego ramienia – jeśli chcesz, odejdę teraz? Tylko daj mi jakieś ubranie i trochę pieniędzy.

Nie odwrócił się. Milczał, łykając łzy.

– Pamiętam wszystko, co pamiętasz ty – wyszeptał Wiz. – Tylko odrobinę więcej. I wiem, że to ty jesteś prawdziwy. Nie chcę ci przeszkadzać.

– Boję się – powiedział Kirył.

– Ja też. To było nieuczciwe. Niepotrzebnie mnie wybrali. Nie mam żadnych szans.

– Słuchaj... oni wszyscy chcą cię zabić?

Wizytor zabrał rękę.

– Pewnie tak. Opowiem ci o nich.

– Mhm. – Kirył otworzył lodówkę. – Lubisz jajecznicę? Tfu! Głupi jestem.

Wizytor zaśmiał się.

– Lubię. Jeden to biznesmen. Deputowany. On już zabił swojego ziemskiego sobowtóra.

Kirył zawahał się, stawiając patelnię na ogniu.

– Teraz będzie się spieszył – ciągnął niedbale Wizytor. – Myślę, że wynajmie zabójców. Jest jeszcze profesor, mieszka niedaleko stąd, pięć stacji metra.. – zamilkł. – Wiesz, można by z nim pogadać. On jest w porządku.

– Uhu.

– Jest jeszcze pisarz. Mieszka w innym mieście. Ale przyjedzie tu. – Wizytor roześmiał się. – Ja... ty... czytałeś jego książkę...

– Tak?

– „Słoneczny kotek”? Pamiętasz?

Kirył odwrócił się, patrzył stropiony na Wizytora.

– O tym, jak jeden chłopak trafił do świata, gdzie zawsze jest ciemno?

– Aha.

– Z nim też można porozmawiać – powiedział szybko Kirył.

– Przed śmiercią?

– Niemożliwe! W książce...

– Książka to zupełnie co innego.

7

Jarosław otworzył oczy. Sen był krótki i urywany, jak po przepiciu. Przez chwilę pożałował, że się nie upił tej nocy. Ból głowy i ciało jak z waty – to by teraz idealnie pasowało.

Sobowtór spał obok.

Jarosław wysunął się spod kołdry. Cicho obszedł łóżko, starając się nie patrzeć na tego, który nadal spał. Sobowtór. Ale nerwy ma silniejsze...

– Umyj się pierwszy – odezwał się sobowtór, nie otwierając oczu. – Ja jeszcze poleżę.

Jarosław wyskoczył z pokoju, jakby dostał porządnego kopniaka. Zatrzasnął drzwi od łazienki, puścił wodę.

Bywają sytuacje, z których najlepszym wyjściem jest szaleństwo...

Co zrobiłby teraz bohater jego książki? Wyspał się, zjadł coś i wyruszył zabijać konkurentów...

A czyż on nie mówił zawsze, że jego bohaterowie to on sam w tej czy innej „inkarnacji”... Doigrał się. Teraz ma partnera.

Jarosław ochlapał twarz lodowatą wodą. Popatrzył w lustro. Czerwone od niewyspania oczy, opuchnięta twarz. No proszę, wcale nie trzeba się upijać, żeby efekt był taki sam.

Nie zakręcając wody, wytarł się i poszedł do kuchni. Zapalił gaz pod czajnikiem, posiedział chwilę.

Z pokoju dobiegały jakieś dźwięki. Pstryknięcia, szelesty, ciche brzękanie telefonu.

Wstał.

Sobowtór siedział przy komputerze. Jarosław wszedł akurat w momencie, gdy tamten przełączał się na edytor tekstu, pozostawiając pracujący w tle modem.

– Co robisz?

– Czytam, co napisałeś.

– A poza tym?

– Ściągam mapę Moskwy.

– Skąd?

Sobowtór westchnął odwracając się.

– Z biblioteki Kongresu.

– Odbiło ci? Zrzuńujesz mnie! – Jarosław zerknął na gniazdko telefoniczne, walcząc z pragnieniem wyrwania kabla. Ale nie miał ochoty podchodzić do kompa. – Nic bliżej nie było?

– Dobrej mapy nie było... – sobowtór westchnął, pokręcił głową i zadeklamował:

Wieczór przychodzi nawet do ślepców.

Do nieśmiertelnych przychodzi śmierć.

Dar umierania dostali jedni,

Drudzy witają śmierć.

Światło zrównało się z ciemnością,

Ranek zobaczy tylko proch...

– No i co?

– Mówili ci, że nie umiesz pisać wierszy?

– Czego ty ode mnie chcesz?! – Jarosław nie zauważył, że zaczął krzyczeć.

– Ciekawe, jak byśmy pisali razem? – zastanawiał się sobowtór, nie zwracając uwagi na jego reakcje. – Całkowita wspólnota...

Jarosław zachichotał.

– ...i surowa wzajemna kontrola. Dobra, nieważne. Jarosław, co robimy?

– O czym mówisz?

– O Wizytorach. Można ich również nazywać Wysłannikami, ale wole pierwszy termin. Jest taki... tymczasowy. Daje nadzieje.

– To twój problem.

– Nie powiedziałbym...

Sobowtór zamknął edytor. Niemal jednocześnie brzęknął telefon.

– Dziesięć dolicz cię nie zrzuńuje. O czym to mówiliśmy? O problemach? Jarosław, po raz pierwszy i ostatni trzymasz w ręku los. Świat. Chwyciliśmy świat za gardło.

Sobowtór wstał. Ciężki, niezgrabny w obwisłym podkoszulku i za ciasnych dzinsach, które sprawiały, że wyglądał jakby miał przerost mięśni. Podeszedł do Jarosława, położył mu ręce na ramionach.

Ledwie wyczuwalny nieprzyjemny zapach z ust. Trzeba myć rano zęby...

– Chwyciliśmy świat za gardło, Jarek. Świat jest zbyt duży, żeby nas zauważyć. Zbyt ogromny, żeby nas zdeptać. Co ci się w nim podoba, a co nie? Polityka i władza? Prezydenci wykitują na zawał, terroryści wybuchną od własnych bomb, supermocarstwa rozpadną się na stany, republiki stworzą imperia. Wszystko tak, jak będziemy chcieli. Dziwne marzenia, tajemne pragnienia, gry w szczerłość, własny kawałek sławy i grube paczki pieniędzy... Wszystko na dłoni. Czy są narody, których nie lubisz? Żal mi ich. Czy są ludzie, których gotów byłbyś udusić gołymi rękami? Jeśli zechcesz, zrobisz to osobiście. Przysięgli urzędzą ci owację na stojąco. Twoje marzenia staną się marzeniami świata. Twój punkt widzenia – punktem widzenia ludzkości. Wystarczy usunąć z pola zbędne pionki.

– Za to, że chcą czego innego?

– Czy to nie wystarczający powód?

Jarosław nie odwrócił wzroku.

– Przestań udawać, stary – wyszeptał sobowtór.

– Jesteś gnojem – wyszeptał Jarosław.

– Oczywiście. Obaj jesteśmy. W tym świecie nie ma czystych. Ile razy przekonywałeś się, że pod maską dobra jest błoto? I żeby choć raz zdarzyło się na odwrót!

– Gdzie oni są, Sława? – drgnął wymawiając to imię. Tak jakby przywiązywał sobowtóra do tego świata cienką wstążką słów, jakby sam rozrywał się na pół.

– W Moskwie. Musimy się spieszyć.

– Samolotem nie polecimy. Dokumenty...

– Pociąg będzie nawet wygodniejszy – uśmiechnął się Sława. – Zdążymy na ostateczną rozprawę, gdy słabi już zostaną wybici. Nie chciałbym zabijać chłopca czy starca.

8

Szczęknęły wagony. Szedczenko zachwiał się, przytrzymał ściany. Sobowtór złapał go za łokieć gwałtownym i precyzyjnym ruchem.

Już się ubrał, ale ani dzinsy, ani stary sweter nie mogły go upodobnić do cywila. Przy nim Szedczenko sam sobie wydawał się poborowym, który bezczelnie przyczepił sobie pułkownikowskie pagony.

– Nie denerwuj się – powiedział sobowtór. – Siostra jeszcze nie przyszła.

– Skąd wiesz?

– Domyślam się. Jest piąta rano, taksówkarze zażądaliby niesamowitej ceny. Nie denerwuj się.

Konduktorka otworzyła drzwi, owiało ich zimne powietrze. Sennie mrużąc oczy, kobieta popatrzyła na sobowtóra.

– W którym wagonie pan jechał?

– W dziewiątym – uśmiechnął się.

Zeskoczyli na peron. Konduktorka patrzyła na nich w zadumie.

– Sprawdź... – powiedział Szedczenko.

– Niech sprawdza. Idziemy do budynku.

Z pociągu wysiadło niewielu pasażerów. Wyminęli posepnych chłopaków w pomiętych ubraniach, kobietę z popłakującym dzieckiem, nie do końca wytrzeźwiałego mężczyznę z ogromnym pudłem kartonowym i weszli na dworzec.

– Wiec... tak – zaczął urywanie sobowtór. – Jeden cel jest tutaj, w mieście. To bardzo wygodnie.

– Przyjechałem do Saszki – zauważył Szedczenko.

– Nic mu nie będzie. Zmądrzeje. – Sobowtór popatrzył na niego spode łba – Kola, czyżbyś mi nie wierzył?

Wierzyć... wierzyć – nie wierzyć. Eksperyment...

– Verne'a czytałem w dzieciństwie – powiedział Szedczenko.

– Mało czytałeś. Zwinąłeś książkę Witkowi Gorczakowowi i czytałeś. Co ci jeszcze opowiedzieć? No? Jak w ósmej klasie przespałeś się z Lida i pomyślałeś, że żaden z ciebie facet, skoro ona nic szczególnego nie poczuła?

Szedczenko zwolnił i odwrócił się do sobowtóra.

– Już wystarczająco nawspominałeś. Wierze. Wiesz wszystko to, co ja.

– No właśnie.

– Ale ja nie mam zamiaru nikogo zabijać.

– Oni nie są ludźmi – zareagował gwałtownie sobowtór. – Tak samo jak ja. To informacyjne kopie.

Do budynku weszli w milczeniu. Dworzec był małej i brudny, zbudowany chyba jeszcze przed wojną. Przy jedynej czynnej kasie stało kilka osób.

– Napijemy się kawy – zdecydował sobowtór. – Na pierwszym piętrze powinien być bufet. Pamiętasz?

– Nie.

– A ja pamiętam.

Nigdy nie uważała się za kogoś szczególnego. Za osobę staranną, upartą, cierpliwą – owszem. Ale nic poza tym. Wokół niej zawsze były dziewczyny mądrzejsze i zdolniejsze, śmielsze, bardziej towarzyskie, kontaktowe i wesołe.

Każdy dostawał to, na co zasługiwał. Zapewne.

Zapewne jednak gdzieś w głębi duszy Anna Korniłowa skrywała myśl, że los przygotował dla niej jakąś szczególną rolę. Nie można tak nie myśleć. Ale nawet to marzenie-nadzieja odnosiło się nie tyle do niej, co do kogoś innego, naprawdę wielkiego. U boku tego człowieka będzie potrzebna i użyteczna.

Takie dziewczęta były idealnym materiałem na żony geniuszy. Tylko zazwyczaj geniuszy nie wystarcza dla wszystkich.

Tej nocy Anna Korniłowa odnalazła sens życia.

– Chłopiec szybko wyzdrowieje – rzekła ta... ten... to, co przyszło. – Przeżyje.

Anna skinęła głową. Bała się mówić. Cud mógłby zniknąć, odwrócić się od niej... Przecież w żaden sposób nań nie zasłużyła.

– To ty zostałam wybrana – powiedziało to, co przyszło.

– Jak mam cię nazywać?

Anię zaskoczyły własne słowa. Przecież znała imię...

Usta przybysza poruszyły się.

– Nazywaj mnie Maria.

To było dobre i słuszne. Anna skinęła głową, nie odrywając spojrzenia od jej twarzy. O, ona zna prawdziwe imię, ale jeśli On chce przyjąć imię swojej matki, będzie posłuszna Jego woli.

I całkiem możliwe, że On będzie musiał narodzić się po raz wtóry.

– Tak wiele zła – wyszeptała Anna bardzo cicho, nie skarżąc się, a jedynie zwierając. – Tyle bólu...

– Uwierz mi, wiem o bólu wszystko – odparła Maria.

Siedziały naprzeciwko siebie – dwie kobiety w białych fartuchach. W oczach jednej płonął ogień, w oczach drugiej nie zostało już nic.

– Pozwól, że naleję ci herbaty – powiedziała Anna.

Odnaleziony sens życia żądał jakichś czynów.

– Zachowuj się naturalnie – rzekła Maria.

Anna posłusznie skinęła głową, podchodząc bokiem do czajnika. Nie chciała odrywać spojrzenia od tej twarzy.

– Nie przyszłam tu sama. Słyszysz, Aniu?

Tak, słyszała. Nawet się tego domyślała.

– Sześcioro – rzekła Maria. – Zapamiętaj, nie jeden, lecz sześcioro. Odrzucają mnie. Zechcą zabić, wielu zacnie im pomagać, jedni – bo są źli, drudzy dla korzyści, jeszcze inni – bo pobłądzili.

Anna gwałtownie pokręciła głową. Nie... tylko nie to. Tylko nie to!

– Dla nich nie ma miłosierdzia – rzekła Maria.

To było tak proste i słuszne, że Anna odetchnęła z ulgą. Nie ma miłosierdzia. Nie ma wybaczenia. Oczywiście!

Maria pokręciła głową.

– Nie... wybaczone zostanie wszystkim. Ale dopiero tam. Najpierw trzeba ich powstrzymać.

– Powstrzymamy – powiedziała Anna.

– Tak. Jeden z nich jest blisko. Przybył ze swoim ziemskim bratem. On mnie czuje, ale i ja czuję jego. Chłopiec, którego uratowałyśmy, jest jego siostrzeńcem.

Anna drgnęła. Fala wstrętu przebiegła po całym jej ciele.

– On nie odpowiada za jego grzechy – Maria знаła wszystkie myśli Anny. Tak słodko i lekko – gdy decyduje za ciebie ktoś, kto zawsze ma racje. – Każdy dostanie to, na co zasłużył.

– Czy ja się przydam? – spytała cicho Anna.

– Tak. Przydasz mi się.

9

Władimir Romanów zamówił drugi kufel piwa. Guinness na czczo był trochę za mocny, ale pozostałe gatunki nie przypadły mu do gustu.

Zdaje się, że Raszid zaczął wariować. Władimir znał ton, którym ten naznaczył spotkanie. Dwa razy organizował Hajretdinowowi usługi Korektora i dostawał konkretną zapłatę – nie pieniądze oczywiście, lecz informacje i usługi w innych sferach – tam gdzie pieniądze nie działały. Teraz, dzień po akcji, Raszid najwyraźniej chciał złożyć nowe zamówienie.

Wchodzi mu to w nawyk, czy co?

Romanów tylko raz zwracał się we własnej sprawie do killera, którego znał pod tym dziwnym przezwiskiem. To zamówienie kosztowało go kilka nieprzespanych nocy – nie jest łatwo płacić pieniądze, wiedząc, że jutro zamienią się w krew znajomego człowieka. Ale to był wyjątkowy wypadek... Całkiem możliwe, że dwa dni później klient Korektora zapłaciłby za jego, Władimira, krew.

Bycie pośrednikiem nie było aż tak nieprzyjemne. Ale nie z taką częstotliwością!

Władimir upił łyk ciemnego piwa. Popatrzył na wejście ponad niewysokimi drewnianymi przegródkami, dzielącymi sale na kabinki.

Nie spieszy się, Uzbek. Gwizdnął na niego jak na chłopca na posyłki, i Władimir przybiegł z wywieszonym językiem. A sam się nie spieszy...

Najpierw zobaczył ochroniarza Hajretdinowa, chyba najbardziej oddanego z tej piątki, która zazwyczaj go ochraniała. Smagła twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi. Tatar niespiesznie wszedł do „prawdziwego irlandzkiego pubu”, rozejrzał się i ruszył w głąb sali. Lekko skinął Władimirowi – bezczelność rasowego psa łańcuchowego – i usiadł w odległym kącie, przy stoliku, gdzie ciągnął piwo ochroniarz Romanowa. Musieli się chyba nieźle znać – Władimir rzadko zastanawiał się nad takimi sprawami. Słudzy mają swój zamknięty świat, w którym obmawiają swoich panów, chwala się liberiami... Albo śmiercionośnymi zabawkami.

Raszid Gulamowicz wpłynął do sali pewnym, swobodnym krokiem. Chyba lubił tę przytulną knajpę, odwiedzaną przede wszystkim przez obcokrajowców.

Poczekaj, aż staniesz się jeszcze grubszą rybą, wtedy przyjdzie zrezygnować z narodowych przyjemności...

Władimir uniósł się lekko, Uzbek podszedł do stolika.

– Witaj, Wołodienka...

– Cieszę się, że cię widzę, Raszid – uściśnął miękką dłoń.

Kelnerce, która natychmiast podeszła, Hajretdinow lekko skinął głową. Widocznie знаła jego zwykłe zamówienie.

– Jak samopoczucie?

Władimir tylko machnął ręką, nie odrywając spojrzenia od twarzy Hajretdinowa. Pewnej siebie, jakby miękkiej.

Czego zwlekasz, przeklęty Azjato...

Przed Hajretdinowem pojawił się kufel jasnego piwa. Raszid Gulamowicz napił się, znowu przeniósł spojrzenie na Romanowa.

– Mam dla ciebie propozycję. Pięć pozycji.

Romanów omal nie wylał uniesionego kufła.

– Raszid... to dużo.

– Rozumiem, mój drogi. Ale nie od wczoraj zajmujesz się interesami, prawda? A pozycje są łatwe, damy radę.

Wyjął z kieszeni kawałek kartki, położył na stole przed Władimirem.

– Przepisz.

Romanów wziął kartkę, trochę zdumiony, że palce mu nie drżą.

Zaltzman Arkadij Lwowicz. Moskwa. Filozof.

Korsakow Kirył. Moskwa. Uczeń.

Władimir popatrzył na Hajretdinowa z niemym pytaniem, czy zaprezentowano mu właściwe pozycje. Raszid Gulamowicz skinął głową.

Szedczenko Nikołaj Iwanów. Kijów. Obecnie powinien przebywać w miejscowości Sasowo. Wojskowy.

Żarow Jarosław Siergiejewicz. Alma Ata. Powinien przyjechać do Moskwy. Pisarz.

Korniłowa Anna Pawłowna. Sasowo. Lekarz.

Romanów zmiął kartkę, podniósł kufel do ust. Napił się.

– Nie rozumiem – chrypka przebijała w jego głosie nawet po piwie.

– Czego? Mało danych? Mówiłeś, że twój współpracownik pracował już według takich...

Albo naprawdę nie rozumiał, albo się zgrywał. Filozof, uczeń, wojskowy, pisarz, lekarka... Matko Boska, po co?

– Nie rozumiem sensu propozycji – powtórzył Romanów.

– A czy to konieczne? – Hajretdinow wyciągnął rękę, wyjął z jego palców zgniecioną kartkę i troskliwie rozprostował.

– Nie, ale... – Romanów zawahał się. Jak zareaguje Korektor na propozycję zabicia pięciorga nie mających żadnego związku z biznesem czy polityką frajerów? Włączając dziecko. – Chciałbym zrozumieć sam. Widzisz... pozycje są... dziwne.

– Powiem tak – pozostawienie ich na rynku byłoby szalenie szkodliwe – Rasziu Gulamowicz znowu położył kartkę na stole, lekko przyklepał dłoń.

Informacje? Zobaczyli coś... Dowiedzieli się?

Romanów znowu popatrzył na nazwiska.

– Mój współpracownik jest na urlopie. Była... niezaplanowana praca. Pojawi się dopiero za tydzień.

Hajretdinow przyjrzał mu się bacznie.

– Ciężko się z nim skontaktować! – Romanów mimo woli podniósł głos. – Dzwonię i zostawiam zamówienie, on dzwoni i odbiera. To wszystko. Inne warianty nie zostały przewidziane. Po pracy

zawsze tydzień odpoczywa.

Uzbek chyba zrozumiał. Chwała Bogu. Romanów powiedział prawdę, ale ta prawda mogła się nie spodobać.

– Zastanówmy się, dobrze? To dobra propozycja – Raszid Gulamowicz odwrócił kartkę i skinął na kelnerkę.

Przyniesiono mu jeszcze jeden kufel. Romanów ciągle nie mógł zmęczyć drugiego.

Pięcioro. Kompletnie niespodziewani klienci. Zresztą, to wcale nie był minus. Przeciwnie. Jak potraktują zabójstwo prowincjonalnej lekarki czy ucznia z Moskwy?

Bla, bla, bla... zazdrosny mąż, przepaleni kumple...

Na takich sprawach żaden pies kariery nie robi. Nikt nie wyznaczy wielomilionowej nagrody.

Tacy ludzie nie są nikomu potrzebni, dlatego się ich nie zabija. Ale skoro Uzbek dostał amoku... Czemu by na tym nie skorzystać? Popatrzył Hajretdinowowi w oczy.

I poczuł dreszcz na plecach.

– Korzystaj – skinął głową Hajretdinow. – To będzie bardzo intratny kontrakt.

Boże, co on, nauczył się czytać w myślach?

– Dopiero za tydzień – powiedział z lekką irytacją Romanów. – Nie mam kanału zapasowego.

– Szkoda, że taka sytuacja nie została przewidziana.

– To bardzo cenny pracownik – Władimir próbował się uśmiechnąć. – Ekstraklasa. I bardzo niezależny.

– A inni?

Romanów dopił w końcu piwo. Wystarczy na dziś. Dzień będzie pracowity.

– Są – odparł niechętnie. – Gorszi, oczywiście.

– Praca nie jest trudna.

Taak... zarznąć starą lekarkę... Albo młodą, nawet łatwiej. Udusić chłopaka na klatce. Stuknąć młotkiem starego pierdziela...

Wsunął do kieszeni rękę po długopis.

– Aha – rzucił niedbale Uzbek. – Wszystkie zamówienia są podwójne. To bliźniaki.

Ktoś tu dostawał obłądu. A fakt, że Hajretdinow przestał mówić szyfrem, wyraźnie wskazywało, kto konkretnie.

– Czysto tu – powiedział Hajretdinow, przesuując dłonią po ciemnej politurze stołu. – Powtarzam – zamówienia są podwójne. Zapłata również.

– Niczego nie mogę zagwarantować – odparł Romanów.

– Nie gwarantuj. Po prostu zrób.

– Możliwe, że nie przyjmą całego zamówienia.

Raszid Gulamowicz zabębnił palcami po stole.

– Dobrze. Niechby wzięli część – pierwsze dwie pozycje. Potem zobaczymy.

10

Dwóch chłopców wynurzyło się jednocześnie z podziemnego przejścia. Chyba nikt nie zauważył, że są podobni, bo byli zbyt różnie ubrani.

– Dobra, to ja idę – odezwał się Wizytor. – Ty nie dasz rady. Nie wierzysz w siebie.

Stanęli przy rzędzie kiosków. Kirył wstrzymał oddech, patrząc na Wizytora. Szczerze mówiąc, nie miał pojęcia, co on chce zrobić.

– Postoisz tu chwilę, zjesz hot doga – zaproponował przyjaźnie Wizytor. – Szybko wrócę. Za pół

godziny będę.

– Jak się spóźnisz, idę – powiedział Kirył. – O drugiej mama przychodzi do domu.

– Nie spóźnię się – Wizytor poklepał go po ramieniu. – Tylko nie odchódź daleko.

Pobiegł. Szkoła była tuż obok, wystarczyło skręcić za róg... Kirył westchnął, odprowadzając go wzrokiem. Odwrócił się do spotniałej witryny, oglądając ściankę ułożoną z kaset wideo. Chłopak, który nudził się w głębi kiosku, patrzył na niego zamyślony.

Kirył w milczeniu oglądał tytuły.

Pięć minut później odsunął go jakiś kupujący. Kirył podszedł do następnego kiosku. Oglądanie długich rzędów butelek z alkoholem było głupie, ale musiał czymś zająć oczy.

Tutaj pracowały dwie dziewczyny. Jedna, zamyślona i smętna, paliła papierosa, druga coś opowiadała, gestykulując energicznie. Potem ta z papierosem wskazała głową Kiryła i coś powiedziała. Dziewczyny zaśmiały się.

– Idiotki – skomentował Kirył i poszedł dalej.

Gdy przeszedł cały rząd kiosków i popatrzył na zegarek, upłynęło właśnie pół godziny.

Wizytor nie wracał.

– Przecież ci mówiłem, że musimy zdążyć przed mamą! – krzyknął Kirył w przestrzeń.

Znowu zaczęło kropić. Kirył zarzucił kaptur i zaczął wracać w stronę kiosku z kasetami.

* * *

– Ale historia – powiedział Maksym.

– Tak...

Wizytor wyłowił kolegę Kiryła na przerwie. Teraz siedzieli w zakątku szkolnego podwórka, który nauczyciele po cichu uznali za szkolną palarnię. Sługin wyciągnął paczkę, ugniótł w palcach papierosa i zapalił.

– Może zawołam chłopaków? – myślał na głos Maksym. – Starszych...

– Nie trzeba – Wizytor pokręcił głową. Od daszka czapki oderwały się kropelki deszczu. – Maks, potrzebuję gnata. Z resztą sam sobie poradzę.

Nietrudno było omotać Sługina słowami. Bardzo lubił Kiryła. Intuicyjnie ostrożny w innych wypadkach, z Korsakowem tracił wszelki krytycyzm.

– Myślisz, że to takie proste? – zapytał z lekką urazą Sługin. – Ja bym dał, ale nie mam. Na cholere mi nieprzyjemności.

– Dobra, nie było sprawy – Kirył wstał.

– Hej, przestań! – Maksym chwycił go za rękę. – Kim ja dla ciebie jestem?

– Przyjacielem.

– Jakim? – zapytał natarczywie Maksym.

– Jednym z najlepszych.

– Właśnie. A ja dla przyjaciół wszystko... – Sługin wrzucił niedopałek do kałuży. – Denis Szadrin ma. Czasem przynosi do szkoły.

– Gazowy?

– A co, potrzebujesz granatnik? – powiedział Maksym z urazą. – Siedź tutaj.

Przed klatką Karamazow zatrzymał się.

Kłeska. Czuł to. Znowu nic z tego nie wyjdzie. Chłopak wyśliźnie mu się tak samo jak staruszek...

Zaklął półgłosem i wszedł do klatki. Niemal od razu usłyszał kroki – z drugiego czy pierwszego piętra ktoś schodził.

Karamazow z determinacją wduśli przycisk windy. Winda, jakby reagując na jego wściekłość, otworzyła drzwi. Ilja wpadł do środka, uderzył dłonią w przyciski. Szarpnęło.

Ósme piętro... Tutaj właśnie się wybierał.

Karamazow odetchnął głęboko. Ciemność znowu wzięła go pod swoje skrzydła.

Najważniejsza jest szybkość.

Winda stanęła. Karamazow wyrzwał na puste piętro, przełożył pistolet do kieszeni płaszcza.

Drzwi zaczęły się zasuwac. Ze złością odepchnął je łokciem i wyszedł. Popatrzył na drzwi mieszkania, do którego przyciągnęło go zamówienie.

Ktoś za nimi był. Czuł to.

Ilja zadzwonił, dość długo. Zamarł ze znudzoną twarzą – wizjer na chwilę pociemniał.

– Kto tam? – spytał kobiecy głos.

W myślach Karamazow zapisał na koncie Ciemności jeszcze jeden dług.

– Dzień dobry. Czy to mieszkanie Korsakowów?

Pauza...

– Tak. Czego pan sobie życzył?

Ilja niespiesznie wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni. Wyjął czerwoną „szmatę” – bardzo przekonującą, z dobrym zdjęciem i pięknymi pieczętkami.

– Jestem z komendy rejonowej.

Drzwi uchyliły się. Podał nad łańcuchem – porządnym, masywnym – legitymację. Kobieta obejrzała bacznie jego twarz, otworzyła legitymację. Karamazow cierpliwie czekał.

– Coś się stało? – spytała kobieta, zwracając niemal jak prawdziwy dokument.

– Przyszedłem w sprawie pani syna – westchnął. – Wplątał się w bardzo nieprzyjemną sprawę.

Drzwi otworzyły się.

– Proszę wejść, Gennadiju Olegowiczu.

Karamazow wszedł do mieszkania Korsakowych i popatrzył na kobietę. Ładna i bardzo, bardzo pewna siebie. Ani śladu paniki.

– Gdzie jest mój syn?

– W szkole, jak sądzę? – odpowiedział pytaniem Ilja. – Musimy o nim porozmawiać.

– Tu są kapcie... Zresztą, nieważne. Proszę nie zdejmować butów. Napije się pan herbaty?

– Dziękuję...

– Ludmiła Borysowna.

– Nie odmówię – z wdzięcznością skinął głową, idąc za kobietą do kuchni. Rozglądał się z ciekawością. Lubił studiować wycinki cudzego życia, spadającego w jeszcze niewidoczną dla gospodarzy otchłań.

Czysto. Stary komplet polskich mebli kuchennych – szczyt marzeń w czasach radzieckich. Zapach podgrzanych kotletów z przykrytej patelni stojącej na kuchence. Ilja przysiadł na taborecie pod oknem.

– Więc co się stało? – matka klienta postawiła przed nim filiżankę. Karamazow podniósł ją obiema rękami, grzejąc zmarznięte dłonie.

– Poprosiłbym panią, aby opowiedziała pani o chłopcu. Czy nie zauważyła pani w jego zachowaniu w ostatnich dniach niczego dziwnego?

zadowolony.

– Co byś beze mnie zrobił? Co? – Sługin stuknął go w ramię.

– Nie wiem – odparł szczerze Wizytor.

Maksym obejrzał się i wsunął rękę za pazuchę.

– Trzymaj.

Wizytor ostrożnie wziął broń. Pistolet był nieduży i lżejszy, niż się wydawało.

– Prawdziwy?

– Głupi. Gazowy. Tutaj jest bezpiecznik, a tu... – Maksym zachichotał, sam zdumiony własną

błyskotliwością – spust!

– Aha – pstryknięcie i Wizytor odbezpieczył pistolet.

– Hej, nie wygłupiaj się! To nie zabawka! – zaniepokoił się Maksym.

Wizytor posłusznie przesunął bezpiecznik. Wsunął broń za pasek, jak robili to na filmach. Zapiął kurtkę.

– Jaja sobie odstrzelisz – powiedział ponuro Maksym. – Odbezpieczy się, zaczepisz spust i pa, pa.

– Przecież to gazowy.

– I co z tego. Tutaj są naboje na przemian ze śrutem. Wystarczy.

– Ile jest nabojów?

– Osiem. Za dwa dni oddasz. Za każdy nabój, jeśli zużyjesz, po dolcu. I zapamiętaj – nic ci nie dawałem. Ja ci odpuszczę, ale kumple Denisa nie darują.

Wizytor popatrzył Sługinowi w oczy. On też mu oczywiście nie wybaczy.

– Maks, powiedz, jak chłopaki na mnie mówią?

Sługin zmarszczył brwi.

– Poeta. Co ty, nie wiesz?

– A jeszcze jak?

Maksym wzruszył ramionami.

– Nieważne. Dzięki, Maks. Muszę już iść.

– Przecież jestem twoim przyjacielem – rzekł z lekkim żalem w głosie Sługin. – Słuchaj, nie noś tak. Poważnie.

* * *

...Kirył potrząsnął ręką z zegarkiem, jakby wierzył, że zawstydzone wskazówki zaczną się cofać. Piętnaście po drugiej. Mama jest już w domu i oczywiście mu się oberwie. Może by zadzwonić? Wsunął rękę do kieszeni, wymacując żeton. I zobaczył wychodzącego zza rogu Wizytora.

– Mały!

Kirył odwrócił się do chłopaka wychylającego się z okienka kiosku.

– Wypatrzyłeś coś?

– Ma pan film o chłopcu, który zabił pięcioro dorosłych?

Chłopak patrzył na niego stropiony. Mały miał poważną minę i nawet wyglądał na zainteresowanego.

– Jaki tytuł?

– Nie wiem, jeszcze go nie nakręcili.

– Zjeżdżaj stąd – poradził chłopak, zasuwając szybkę. Kirył uśmiechnął się tym uśmiechem, który sprawiał, że dorośli miękli jak wosk.

Ale tego chłopaka trudno było uznać za dorosłego. Odprowadził bliźniaków spojrzeniem bardzo dalekim od sympatii.

– Musi mnie pan zrozumieć – Ludmiła Borysowna westchnęła. – Kirył to bardzo wrażliwy chłopiec. Bardzo utalentowany. Wie pan, że wyszedł tomik jego wierszy?

Ilja na wszelki wypadek skinął głową.

– Nawet nie wiem, skąd się to u niego wzięło. – Wydawało się, że kobieta powtarza doskonale wyuczoną rolę. – Chyba że po ojcu... – Smutny uśmiech. – Proszę pić herbatę. Dolać panu?

– Poproszę.

– Oczywiście, trochę się na tym znam, pochodzimy z inteligenckiej rodziny. Wyrosłam na klasykach i Kiryłowi czytałam – ale skąd ten dar, mój Boże! – rozłożyła ręce. – To bardzo zajęty chłopiec. W szkole niemal się nie pojawia, a egzaminy zdaje śpiewająco. W telewizji prowadzi program dla dzieci. Dwa razy w tygodniu chodzi na zajęcia w studium teatralnym.

Ilja miał wrażenie, że wciąga go w jakieś odmęty. Chłopiec stawał się coraz bardziej brylantowy.

I ciągle nie było wiadomo, dlaczego trzeba go zabić.

– Prawie nie bawi się z rówieśnikami, nawet mi go troszkę szkoda... Skąd może mieć czas na złe towarzystwo – nie mam pojęcia!

Karamazow milczał, ale kobieta czekała. Jak oni wszyscy lubią zmuszać człowieka do rozmowy. Nie potrzebują rozmówcy – tylko automatycznej sekretarki.

– Rozumie pani, Ludmiło Borysowna, pani syn po prostu dowiedział się o pewnych dość niebezpiecznych rzeczach. I ktoś może zechcieć go postraszyć. Pobić.

Kobieta lekko zbladła. A jednak.

– Nie rozumiem, czego mógł się dowiedzieć?

Ilja w milczeniu pił herbatę.

– Czy to nie jest aby związane z tym dziecięcym klubem, do którego chodzi?

– Jakim klubem?

– „Nawigator”. Tam są takie sympatyczne dzieci... ale jakby nie z tego świata. Ich wychowawca, Jurij Tikunow, proszę sobie wyobrazić, pracuje teraz za granicą, ale czasem dzwoni do Kiryłki, traktuje go jak dorosłego.

– Nie – uspokoił ją Ilja. – To tylko zbieg okoliczności. Sądzę, że najlepiej będzie, jak opowie to sam chłopiec.

Kobieta skinęła głową. Cała jej pewność siebie wyparowała.

– Życie jest teraz ciężkie – powiedziała jakby do siebie. – Pod każdym względem. Bardzo dużo czasu spędzam w pracy. Kiryłka jest taki samodzielny, sam wiele rzeczy planuje. Ale to wszystko wokół, cały ten brud, krew...

– Okrutne czasy – zgodził się Ilja. – Proszę mi wierzyć, wiem to lepiej od innych.

– Pana zobowiązuje zawód.

– Tak, oczywiście.

– Wie pan, ostatnio Kirył tak mnie zdumiał... – Ludmiła Borysowna uśmiechnęła się smutno. – Leży na łóżku, czyta Dantego...

– „Dekameron”? Czy to nie za wcześnie? – zainteresował się Ilja.

– Nie – odparła po chwili milczenia kobieta. – „Dekameron” to Boccaccio. Dante napisał „Boską komedię”.

W jej spojrzeniu odbiła się ostatecznie ukształtowana opinia o pracownikach milicji.

Ilja przepaszająco rozłożył ręce.

– Ale zasadniczo ma pan rację. Oczywiście, dla dziecka za wcześnie na taką lekturę, ale Kirył jest bardzo rozwiniętym chłopcem. Więc...

Karamazow czuł, że jego cierpliwość zaraz się skończy. Zabicie tak wszechstronnie utalentowanego dzieciaka może być nawet przyjemne.

– Czyta Dantego, a potem mówi: „Mamo, wiesz, ludzie tak świetnie wyobrażają sobie piekło. Można by mapę narysować. A raj zupełnie nie ma adresu”. I to w wieku trzynastu lat, ma pan pojęcie?

Ilja poczuł lekką ciekawość.

– Czemu tu się dziwić? Po prostu raj nie istnieje.

– To znaczy? Ja też jestem niewierząca, ale...

– Co to ma do rzeczy? – skrzywił się. – Raju nie ma. Piekło jest, a raju nie ma. Wszystko się zgadza.

– Dolać panu jeszcze herbaty, Gennadiju Olegowiczu? – zapytała kobieta po chwili milczenia.

– Nie, dziękuję.

Jakoś tak dziwnie na niego patrzyła. Bardzo dziwnie. I po co on to chlapanął... Idiota!

– Wie pan co, muszę teraz wyjść – oznajmiła Ludmiła Borysowna. – Proszę wybaczyć, może wieczorem...

Ilja wyjął pistolet.

– Niestety, na to nie mogę pani pozwolić.

Kobieta przeniosła spojrzenie z broni na jego twarz.

– Czego pan chce? Kim pan jest?

Żadnej hysterii. Tylko napięcie.

– Muszę porozmawiać z pani synem. Muszę go przekonać, by nie rozgłaszał pewnych informacji.

To była bardzo wygodna wersja. Dawła kobiecie nadzieje, powstrzymywała przed szaleństwem.

– Pan kłamie – stwierdziła Ludmiła Borysowna. – Zabije pan i jego, i mnie.

– Mam nadzieje, że będę się mógł obejść bez takich środków – Ilja poczuł się niezręcznie. Pod wpływem presji, jaką wywierała ta kobieta, jej pewności siebie, bezczelności. Suka. Wszystkie stają się sukami, gdy dorastają.

– Wobec tego może pan już iść. Ja porozmawiam z Kiryłem. Może mi pan wierzyć – jej głos po raz pierwszy drgnął. – On będzie milczał. Zmuszę go. Jestem przecież matką.

Ilja pokręcił głową.

Siedzieli tak z minutę, rozdzieleni stołem, na którym stały puste filiżanki. Ilja czuł coraz silniejszą potrzebę opróżnienia pęcherza. To wszystko przez tę cholerną herbatę, teina, płynna trucizna. Gdyby mierzył do mężczyzny, odlałby się na podłogę. Ale przy tej...

Zapragnął natychmiast nacisnąć na spust.

– Błagam, niech pan nie robi krzywdy mojemu synowi! Panie, przecież on nikomu nic nie powie! Gwarantuję to panu! Jestem matką!

Czy ona uważa swoją biologiczną funkcję za talizman?

– Niech pani podejdzie do ściany i odwróci się plecami – powiedział Ilja. Tak strasznie chciało mu się sikać, że można przywierała do brzucha.

– Nie!

– Nie mam zamiaru... – zaczął Ilja i zamilkł.

Z klatki schodowej dobiegł szum zatrzymującej się windy. Potem w zamku zgrzytnął klucz.

Karamazow przyłożył palec do ust. Ostrożnie wstał, i od razu poczuł ulgę. Oczywiście, kobieta wie, że umrze. Ale będzie posłuszna, bardzo chce wierzyć...

– Mamo, jesteś w domu?

Ilja odetchnął. Usłyszał głos klienta – dźwięczny chłopięcy głosik. Pięknie, praca się zaczęła...

– Uciekaj, Kiry! – Ludmiła Borysowna zerwała się, rzucając się na Karamazowa. Jakimś idiotycznym ruchem wyciągnęła rękę do pistoletu. Ilja zdążył się jeszcze zdziwić ludzkiemu szaleństwu. Przecież mogła mieć szansę – gdyby on nie kłamał. No tak, matka...

Wystrzelił dwa razy, z bardzo bliska, i kobietę odrzuciło na kuchenkę. Z jej ust wydarł się szloch, gdy próbowała wstać. Nadal nie odrywała wzroku od Ilji.

Karamazow wystrzelił po raz trzeci. Odwrócił się w stronę drzwi do przedpokoju. Żaden dobry chłopiec nie posłucha mamy, gdy grozi jej niebezpieczeństwo...

Nikogo. I tupot nóg na schodach.

Zgięty od rżnącego bólu brzucha, Ilja wypadł na klatkę. Pobiegł na dół, przeskakując po dwa stopnie.

Chłopak nie może uciec dorosłemu.

Przez moment widział brzeżek błękitnej nylonowej kurtki, która mignęła piętro niżej. Wystrzelił, niemal nie celując. Tłumik już zdychał, wystrzał zabrzmiał na schodach dość głośno. Wizg kuli, rykoszet od ściany.

Chłopiec nie upadł.

Ilja ominął szyb windy w chwili, gdy trzasnęły drzwi od klatki. Rzucił się do nich, przez mgnienie odtwarzając w pamięci teren przed domem.

Zdąży... to on zdąży, nie chłopiec.

Kopnął drzwi, lekko się nachylił, ściskając pistolet w wyciągniętych rękach. I zobaczył klienta.

Klientów – chłopców było dwóch. Rozbiegli się w różne strony.

– O kur... – wysapał Ilja. Lufa pistoletu szarpała się to w prawo, to w lewo. Który z nich? Zamówienie było na jednego, to czuł wyraźnie... Więc dlatego twarze się dwoiły...

Jeden z chłopców skręcił za róg, Ilja omal nie strzelił w ślad za drugim. Bez sensu z takiej odległości i z takiej broni.

Cele znikły.

Karamazow obejrzał się szybko, sprawdzając, czy ktoś jest na klatce. Idiotów nie było.

Uciekać, uciekać, czekać na noc, czekać na sen, gdy Ciemność powie wszystko o dzisiejszej pracy.

Wybiegł z klatki, nisko pochylając głowę. Dwadzieścia metrów wyżej, ślizgając się na zalanej krwią podłodze, kobieta próbowała dopełznąć do okna – i zobaczyć, czym skończyła się pogoń. Próbowała niemal minutę – bo była matką.

Ale nie zdołała – była tylko człowiekiem.

12

Jarosław otworzył drzwi. Bełkotanie telewizora było słychać już na pierwszym piętrze.

– Przycisz! – krzyknął z przedpokoju.

– Chodź tutaj! – odkrzyknął Sława.

Jarosław, nie zdejmując butów, wszedł do pokoju.

Leciały „Wiadomości”. Pokazywali jakiś dom ze zburzonym, jakby ściętym przez potworne uderzenie, rogim. Budynek otoczony był kordonem milicji, wozami straży pożarnej, ratownikami w białych kombinezonach.

Potem mignęła profesjonalnie współczująca twarz, prawie wgrzyzająca się w mikrofon.

„Za wcześniej jeszcze na mówienie o akcie terrorystycznym. Najprawdopodobniej przyczyną wybuchu był niesprawny przewód gazowy. Siedmioro zabitych, w tym jedno dziecko, troje rannych, których już przewieziono do szpitala. Oto skutek tego tragicznego...”

– Hiena – powiedział z nienawiścią Jarosław. – Ścierwojad.

– Lubisz pismaków – uśmiechnął się złośliwie Sława.

– Uwielbiam.

Miliony kuchenek gazowych, które władza radziecka uważała niemal za swoje największe osiągnięcie – ciągnął reporter – stały się w moskiewskich domach bombami z opóźnionym zapłonem...

– Inne miasta poza Moskwą w przyrodzie nie występują – zaśmiał się Sława. – Warto by jeszcze dorzucić kilka słów po adresem żarówek Iljicza, które od czasu do czasu pękają.

– Po co oglądasz to gówna? – Jarosław podszedł do telewizora, pstryknął wyłącznikiem. Podniecona twarz reportera ścisnęła się w jeden punkt i znikła.

– W tym domu mieszkał jeden z Wizytorów. Stary profesor. Po lewej stronie. – Sława nie ruszył się z fotela.

Po chwili milczenia Jarosław zapytał:

– Minus jeden?

– Nie. Nie czuję, żeby odszedł. Widocznie miał szczęście.

– A kto... i jak?

– Jak to zrobiono? Bardzo prosto. Odkręcone kurki od gazu, ognisko w kącie. Wielki wybuch, nieprzyjemna sprawa. Ale kto... – Sława rozłożył ręce.

– Nie wiem, Jarek. Nie spodziewałem się tak szybkich działań. Wiesz co, włącz telewizor.

Powiedział to zbyt późno, by zdążyli zobaczyć kobietę w zakrwawionej kuchni. Za to dowiedzieli się, jaka będzie pogoda w poszczególnych dzielnicach Moskwy, co nieco o pogodzie w Petersburgu i odrobinę o temperaturach na prowincji.

– Bilety – Jarosław rzucił na stół różowe karteczki. – Pociąg jest za trzy godziny. Zjedzmy coś.

Sława skinął głową.

– Co z tobą?

– Siedmioro.

Jarosław nie od razu zrozumiał.

– Mówisz o ofiarach?

– Tak. Zazwyczaj Wizytorzy nie działają w ten sposób.

– Zazwyczaj? – Jarosław zrobił krok w jego stronę. – Co ty o tym wiesz? Gdzie i kiedy działali?

Sława pokręcił głową.

– To tylko takie sformułowanie. Uspokój się. Nie znam prawdy, przecież ty też nigdy nie dążyłeś do jej poznania.

...Trzy tysiące kilometrów od nich Arkadij Lwowicz w milczeniu patrzył na ekran starego czarno-białego telewizora. „Wiadomości” dobiegły końca, szedł blok reklamowy.

Jego sobowtór rozpałał ogień w piecyku. Malutki domek na działce był wyziębiony i ta żalonna parodia burżujki nie była w stanie go ogrzać.

– Dziecko to pewnie Lenoczka – powiedział Arkadij Lwowicz. – Córka Zinaidy Romanowny.

– Zapewne – sobowtór stękając przykucnął. Próbował przełamać spróchniałą deskę, nie udało mu się, pokręcił głową i zaczął wsuwać ją do piecyka.

– Kto to zrobił? – wyszeptał Arkadij Lwowicz. – Co?

– Ten, z którym próbowałem rozmawiać przez telefon. – Staruszek przycisnął do twarzy brudne dłonie. – Ale kim on jest...

– Może to najemnik? – chude plecy drgnęły.

– Nie wiem. Rozumiesz, on jest jakby jednym z nas. Ale nic o nim nie wiem.

– Czy coś takiego już się kiedyś zdarzało? – W Arkadiju Lwowiczu obudziła się akademicka ciekawość. To pozwalało zapomnieć o domu, zamienionym w betonowe kruszywo, o tych, którym zwykł mówić „dzień dobry” na schodach.

– Niezupełnie. Był przypadek, że jednego posłańca długo nie można było wyczuć. On jakby sam się zorganizował. Pojawił się bez wymaganych podstaw. Ale tamten nie działał w taki sposób.

– Coś kręcisz.

– Dlaczego? Ty po prostu nie powinieneś w niego wierzyć – ani jako ateista, ani jako Żyd.

– O Boże...

– Późno sobie przypomniałeś.

– I kto zwyciężył... wtedy?

– Czy to nie oczywiste? Chrześcijaństwo pojawiło się wbrew prawom społeczeństwa istniejącego dwa tysiące lat temu.

Arkadij Lwowicz w milczeniu odszedł w kąt, położył się na metalowym łóżku, przykrytym starymi kołdrami. Nie zdejmował palta – było bardzo wilgotno. Na zaparowanych szybach kreśliły ścieżki rzadkie krople, łącząc się na parapecie w przezroczysty kleks.

– Słuchaj, muszę cię jakoś nazywać – powiedział.

– Wizard.

– Co?

– Wizard. Czarodziej. Dobrze się komponuje z brzmieniem imion innych Wysłanników.

– Naprawdę umiesz czarować. Wizard?

– Trochę.

– Powiedz, znajdą nas tutaj?

– Najwcześniej jutro rano. Wiedza przychodzi w nocy, tak się zawsze dzieje.

13

W chwili, gdy Ilja Karamazow zabił jego matkę, Kirył nie poczuł niczego. Mimo to szarpnął się na jej krzyk, chciał wbiec do środka, do pokoju, ale Wizytor złapał go za ramię i wyciągnął na klatkę schodową.

To był moment – krok, którego spodziewał się Ilja i który chłopiec powinien był zrobić, a który stałby się jego ostatnim błędem. Potem był już tylko strach.

Uciekali na dół, odpychając się nawzajem na zakrętach, a z góry dobiegał tupot nóg. Kirył został odrobinę z tyłu i kątem oka zauważył szarą sylwetkę dwa piętra wyżej. Potem wizg nad ramieniem, czas jakby zwolnił – i dostrzegł niezbyt głęboką bruzdę w ścianie, ślad po kuli.

Chcieli go zabić. Nawet nie Wizytora – jego...

Wyskoczył z klatki, potykając się, omal nie upadł. Strach dodał mu sił – dogonił Wizytora, który czekał, podskakując niecierpliwie za drzwiami.

– W prawo! – krzyknął Wizytor, zrywając się do biegu.

Kirył pomknął, zbyt późno orientując się, że sobowtór skręcił w lewo. Rozdzielili się błyskawicznie i z każdą chwilą oddalali od siebie coraz bardziej. Uciekając, Kirył próbował się domyślić, dokąd pobiegnie Wizytor, ale szybko zrezygnował. Za dużo możliwości. Mógł pobiec do placu Walki, wsiąść do tramwaju, albo wbiec do metra... Kirył nie miał pojęcia, co zrobiłby on sam, więc decyzja Wizytora była absolutnie nie do przewidzenia.

Chłopiec skręcił przy Instytucie Transportowym, biegł lawirując pomiędzy przechodniami,

stopniowo zwalniając. Uświadomił sobie, że zabójca nie będzie go prześladował na ulicy. W końcu nie jest idiotą, zauważą go, ktoś wezwie milicję...

A jednak mimo wszystko odwrócił się, próbując wypatrzeć pośród przechodniów ten szary cień, który wyciągał do niego rękę z pistoletem. Nie było nikogo doń podobnego. Uciekł.

Uciekaj, Kiry!l!

Zalała go fala zimna, gdy przypomniał sobie krzyk mamy. Zacisnął pięści, stanął, walcząc z pragnieniem powrotu. Nie, zabójcy był potrzebny Wizytor, no i może on...

Ale gdy wróci do domu...

Kiry!l pokręcił głową. Nie. Nie można, będzie tylko gorzej. Zabójca wie, gdzie on mieszka, a nie zdoła odróżnić go od Wizytora. Musi się ukrywać... może na dworcach...

Poczuł się nieswojo. Kiry!l wyjeżdżał z Moskwy tylko raz, siedem lat temu. Jedyne, co zapamiętał z tej podróży, to migające za oknem pociągu wioski i lasy, tłumy ludzi na peronach, a potem ogromne, bezkresne, ciepłe morze, do którego wyrwał się z piskiem i absolutną pewnością, że łatwo można dopłynąć do drugiego brzegu.

Teraz dworce były inne. Miotający się, zaaferowani ludzie, nie podekscytowani podróżą, jak niegdyś, ale jakby czymś wystraszeni. W kątach i pod schodami brudne istoty, które też kiedyś były ludźmi, ale szybko utraciły resztki podobieństwa do nich. Były tam również dzieci – Kiry!lowi zawsze robiło się nieswojo, gdy je widział.

Dorośli mogli być, kim chcieli – pijakami, narkomanami, nieudacznikami – w ten sposób przypominali, że w życiu łatwo można przegrać. Dzieci z zimną złością w oczach i uśmiechem zaszczytych wilczków bezgłośnie krzyczały: „Zwyczajnie miałeś szczęście. Masz dom i mamę, ale to przypadek, pomyłka. Powinieneś być z nami”. Przypomniał sobie ich spojrzenia, gdy niechcący na nie natrafiał – spojrzenia małych drapieżników oglądających ofiarę.

Nie. Tylko nie dworce.

Kiry!l włóczył się po ulicach dwie godziny. Kilka razy dzwonił do domu – najpierw nikt nie podnosił słuchawki, potem odezwał się nieznany męski głos. Przeraził się. Wskoczył spod przezroczystego kasku budki telefonicznej, nawet nie powiesił słuchawki. Więc on na niego czeka?

Dowlókł się do jakiegoś supermarketu, bez zastanowienia wszedł w wilgotne ciepło. Ludzi było niewiele. Chłopiec szedł wzdłuż półek, kupił w barze kawałek pizzy i zjadł, nie czując smaku.

Coś zmusiło go do pójścia do działu elektroniki. Było włączonych kilka telewizorów – na dwóch leciały kasety z wideoklipami, na pozostałych ustawiono miejscowy kanał.

Nie od razu poznał swój dom. To były gorące wiadomości popularnej ekipy, która latała po mieście, wsłuchując się w milicyjną częstotliwość i niemal zawsze przybywała na miejsce zdarzeń jako pierwsza.

– Nie – wyszeptał Kiry!l.

Dźwięk w telewizorze był wyłączony, pewnie żeby nie zagłuszać piosenkarza w drugim aparacie. Z nerwowym brzękiem gitary w tle Kiry!l widział kołyszące się w takt kroków operatora ściany klatki. Zbliżenie – szrama na ścianie, i tak na zawsze wryta w pamięć. Kiry!l zacisnął powieki. Gdy otworzył oczy, operator stał w drzwiach jego mieszkania. Młody chłopak w mundurze coś mówił, uśmiechając się przeproszająco. Nie wpuszczał nikogo do środka.

Potem operator odsunął się i Kiry!l zobaczył, jak wynoszą nosze przykryte białym prześcieradłem. Prześcieradło było całe w brunatnych plamach.

Nie płakał. Stał jak skamieniały, patrząc, jak wynoszą jego mamę.

Twarz operatora, znowu nieme słowa... na kilka sekund – zdjęcie na cały ekran. Jego zdjęcie.

Kiry!l cofnął się.

Głos piosenkarza, prześlizgujący się na granicy świadomości, nagle stał się bardzo wyraźny, niemal materialny. Chłopiec chwycił się go jak koła ratunkowego, twardego, zimnego, ale dającego choć cień nadziei na utrzymanie się na powierzchni.

Płacz! Odchodzimy stąd, płacz!
Lodowate niebo się kręci...
I wicher zorzy – płacz!
Nie ma nic piękniejszego od śmierci...

Kirył Korsakow, który stracił wszystko, co składało się na jego dotychczasowe życie, wyszedł ze sklepu. Nie płakał. Płakać – to byłoby zbyt mało. Stał przy telefonie w wejściu. Telefon milicji – za darmo. Włożył rękę do kieszeni. Jeśli nie ma już żetonów, wykręci numer milicji.

Żeton musnął jego palce jak okruch lodu.

Wykręcił numer. Jedyne, który mógł sobie teraz przypomnieć.

– Halo...

Było bardzo słabo słyhać.

– Wala, to ty?

Przez chwilę zapragnął, żeby Walentyna Wiesnina, którego tak jak wszystkich dorosłych z klubu „Nawigator” nazywał po imieniu, nie było w domu.

– Tak. Kirył?

– Cześć, Wala.

Przerwa.

– Kirył, czy coś się stało?

Jak to powiedzieć? Co można powiedzieć?

– Wszystko się stało.

Znowu cisza.

– Kirył, gdzie jesteś? Przyjechać do ciebie?

– Ja... ja sam przyjadę – przełknął kulę w gardle. – Wala, nie mów nikomu, że dzwoniłem, dobrze?

– Pokłóciłeś się z mamą? – zapytał ostrożnie Wiesnin.

Kirył odłożył słuchawkę. Szybko, żeby już nic więcej nie słyszeć. Żeby nie krzyknąć: „Nie mam już mamy!”

Jeszcze sekunda i by nie wytrzymał.

Płacz! odchodzimy stąd, płacz...

A jednak nie zapłakał.

14

Wezr poczekał, aż ucichną uprzejme oklaski, i pokiwał głową, patrząc na sale. W sali było prawie dwustu idiotów. Ale, zdaniem psychologa, wystąpienie we Wszechrosyjskiej Lidze Miłośników Warcabów było w jakiś sposób pożyteczne dla jego kampanii.

– Jestem bardzo wdzięczny za zaproszenie mnie do waszego kółka – kwadratu? – Raszid Gulamowicz uśmiechnął się. – Przyznam się, że pierwszą grą, w którą nauczyłem się grać, były właśnie warcaby.

Idioci w sali cierpliwie słuchali. Byli w różnym wieku, nie brakowało nawet młodych. Widać

było również kobiece twarze, w panującym półmroku kilka z nich wydało mu się sympatycznych.

– Szachy to piękna gra – ciągnął Wezyr. – Bardzo lubiana przez polityków i biznesmenów. Powszechnie uważa się, że szachy to królowa intelektualnych gier. Ale czy tak jest naprawdę? My, politycy, często się spieszymy. Zajmujemy się jedną sprawą, o innych zapominamy. Dążymy do stworzenia rozwiniętego, demokratycznego państwa, zdobywając nasze ojców pozostawiając w cieniu. Podobnie jest z waszą sztuką. Teraz jest w cieniu – niezasłużenie...

Kilku korespondentów (pewnie z jakiegoś tam „Dziennika Rosyjskich Warcabistów”) w zadumie krążyło wokół sceny, spoglądając na Wezyra przez celowniki swoich aparatów fotograficznych.

– U nas, w Rosji – ciągnął Raszid Gulamowicz – przyjęło się sądzić, że warcaby to uproszczone szachy. Czyżby z powodu podobnej planszy? A o stupolowych, międzynarodowych warcabach niektórzy nawet nie słyszeli! Wydaje mi się to pewną anomalią... Rosjanie wymyślili warcaby na planszy szachów i od razu jakby przyznali się do naśladownictwa. Ślepe kopiowanie czasem niweczy nasze przedsięwzięcia. A przecież, jeśli się zastanowić, nie ma drugiej takiej gry, która łączyłaby prostotę i ucztę intelektualnej myśli, tak jak warcaby. W szkołach uczą grać w szachy, a o warcabach wszyscy zapomnieli!

Audytoryum siedziało nieruchomo. Martwa publiczność. Nie sposób ich rozhuścić. Wezyr przelotnie pomyślał, że trzeba będzie przedyskutować z psychologiem kolejne punkty wystąpień.

– Wprawdzie nie jestem jeszcze prezydentem... – w końcu słabe uśmiechy na sali – ale mogę trochę pomóc. Dzięki korporacji Wołżański Mazut mam zaszczyt przekazać waszej lidze czek na., ee... pewną sumę. Myślę, że to umożliwi remont tej wspaniałej sali, w której pół godziny temu mnie rozgromiono... W ładnym pomieszczeniu będzie się przyjemniej grało. Młodzież zainteresuje się waszą piękną grą. A dzieci w moskiewskich szkołach, nasza przyszłość, poznają wkrótce piękno gambitów Garalskiego i obrony Szochina...

Za plecami Wezyra, w małym prezydium, wiceprezes ligi odchrząknął i powiedział półgłosem:

– A potem New Wasiuki staną się ośrodkiem wszechświata...

Raszid Gulamowicz zanotował w myślach, że trzeba będzie wyjaśnić sens analogii. Z czymś mu się kojarzyła, ale nie mógł sobie przypomnieć z czym.

Z oklaskami sali w tle, tym razem znacznie bardziej szczerymi, Wezyr przekazał czek przewodniczącemu idiotów.

* * *

Trzy kilometry od Wezyra wypełniające kolejne pole na planszy swojej przedwyborczej gry chłopiec, o którego przyszłość tak wzruszająco troszczył się polityk i korporacja Wołżański Mazut, wyskoczył z trolejbusu. Stał chwilę, rozglądając się w wieczornym półmroku. U Wiesnina był dwa razy, ale za każdym razem nie sam, i drogę pamiętał słabo.

Wieczorem rzędy nowych bloków straciły resztkę indywidualności. Kirył ruszył niepewnie na spotkanie głównemu strumieniowi przechodniów.

...Wśród przyjaciół miał wielu dorosłych. I w studium teatralnym, do którego chodził dwa razy w tygodniu, i w młodzieżowym klubie literackim, gdzie był już uznaną gwiazdką. Klub „Nawigator”, uważany przez mamę za coś w rodzaju organizacji skautowskiej o charakterze literackim, nie był wyjątkiem. Najśmieszniejsze jest to, że w „Nawigatorze” nigdy dzieci nie było. Kirył był chyba jedynym dzieckiem zjawiającym się od czasu do czasu na posiadówkach kilkunastu młodzieńców i dziewcząt. Członkowie klubu interesowali się przede wszystkim literaturą dla dzieci, a kontakt z prawdziwymi dziećmi wywoływał zakłopotanie. Czasem Korsakowowi wydawało się, że oni nie nabawili się w dzieciństwie, i nie udało im się tak naprawdę dorosnąć. W świecie dziecięcych

książek, który nawet Kiryłowi wydawał się nienaturalny jak zza różowych okularów, czuli się znacznie pewniej.

Błądząc między blokami, Kirył podszedł w końcu do ośmiopiętrowego domu, długiego i wygiętego, wyglądającego jak przewrócony wieżowiec. Wiesnin mieszkał w drugiej albo trzeciej klatce.

Wala Wiesnin był programistą, i to rodem z amerykańskich filmów sensacyjnych – lekko przygarbionym i chudym okularnikiem. Na literackich spotkaniach zazwyczaj milczał, uśmiechając się tylko ironicznie przy szczególnie zaciekłych sporach. Za to z Kiryłem rozmawiał swobodnie, godzinami opowiadając o jakiejś grze komputerowej. Miało się wrażenie, że zupełnie go nie interesowało, czy Kirył pisze wiersze, czy chodzi do studium teatralnego, czy po prostu się wygłupia.

...Kirył wszedł na drugie piętro po schodach, nie chciało mu się czekać na windę. Musiał się ruszać, bez przerwy, jak automat. To pozwalało mu zapomnieć, wpaść w lekkie otępienie.

Miał dobrą pamięć mechaniczną. Czuł, że podszedł do właściwych drzwi – po prawej stronie, idąc od windy. Nie był tylko pewien, czy to w tej klatce. Chyba drzwi Wiesnina były trochę inne...

Kirył zadzwonił.

Rozległy się kroki i już wiedział, że się pomylił. Ale głupio byłoby teraz uciec.

Drzwi otworzono od razu, o nic nie pytając. Kirył Korsakow zobaczył chłopca, rówieśnika, rozczochanego, w spranym podkoszulku. Ten najwyraźniej spodziewał się kogoś innego.

– Pomyliłem się – powiedział Kirył. – Przepraszam.

– Kogo szukasz? – spytał chłopiec z jakimś śmiesznym wyzwaniem. Z głębi mieszkania do przedpokoju weszła kobieta w podomce, wycierając ścierką mokre ręce. Obrzuciła Kiryła podejrziwym spojrzeniem, zapytała:

– To do ciebie, Roma?

– Ja... pomyliłem się... – powtórzył Kirył, robiąc krok do tyłu. Drzwi się zatrzasnęły. Usłyszał stłumiony głos kobiety:

– Tyle razy ci mówiłam, nie otwieraj...

Kirył chlipnął i zaczął zbiegać po schodach. To było nieuczciwe. Nieuczciwe.

Walentyń Wiesnin zapisał program, odchylił się na oparcie fotela, patrząc na monitor. Filmik reklamowy rynku hurtowego... Gdyby dwa lata temu powiedziano mu, że będzie robił reklamę bazaru, uśmiełby się setnie. No i dobrze. Praca nieskomplikowana, za to dobrze płatna. Sięgnął do myszki i włączył podgląd.

Nie wymagano od niego dużo. Nałożyć na cyfrowy obraz nieco poloru. Błysk w oczach klienta, nienaturalna jaskrawość ubrań i soczystość owoców na straganach. Drobiazgi nieobecne w życiu. Połysk na farbie dnia codziennego...

Zatrzymał film, obejrzał aktora łąącego po bazarze z miną człowieka, który nie widział owocu bardziej egzotycznego od pomidora oraz ubrania bardziej eleganckiego niż waciak. Dobry aktor. Walentyń pamiętał kilka filmów, w których on grał – z większym talentem, za to z mniejszym entuzjazmem...

W przedpokoju brzęknął dzwonek. Wiesnin wstał. Podszedł do drzwi, zerknął w wizjer.

Kirył Korsakow patrzył na drzwi z takim samym nienaturalnym błyskiem w oczach, jakiego Walentyń dopiero co przydał aktorowi.

Wiesnin otworzył drzwi.

Chłopiec nadal stał, nie próbując wejść.

– Wejdz, Kirył.

Korsakow w milczeniu wszedł.

– Co się stało? – zapytał Walentyn.

– Zamknij drzwi – poprosił cicho Kirył.

Przez chwilę Wiesnin poczuł się dziwnie. Zamknął na oba zamki, odwrócił się do Kiryła, który stał obok, nie zdejmując kurtki. Chyba przed chwilą płakał, ale teraz jego twarz była nieruchoma.

– Co jest?

– Mogę u ciebie przenocować?

Walentyn poprawił okulary. Ostrożnie zaczął:

– Kirył, jeśli pokłóciłeś się z mamą, to wystarczy zadzwonić i...

Twarz chłopca drgnęła:

– Nie rozumiesz.

Ich spojrzenia spotkały się i Wiesnin poczuł pragnienie – rozpaczliwe, do bólu – by nadal nie rozumieć.

– Muszę gdzieś przenocować – Kirył powiedział to poważnie, nie po dziecięcemu. – Jeśli u ciebie nie można, to tylko zadzwonię do kogoś innego, dobrze? Skończyły mi się żetony i mam mało pieniędzy.

Wiesnin poddał się prawie bez walki.

– Możesz przenocować. Tylko mi wyjaśnij... nie, najpierw się umyj i...

Kirył pokręcił głową.

– Wala, nic ci nie będę wyjaśniał. Zupełnie nic. Nie dlatego, że ci nie ufam. Po prostu nie chcę cię w nic wciągać.

Wiesnin milczał, patrząc, jak Kirył zdejmuje buty i starannie wiesza kurtkę.

– Załóż kapcie, podłoga jest zimna.

Kirył posłusznie skinął głową.

– Nie jesteś maluchem i na pewno mnie rozumiesz – spróbował jeszcze raz Wiesnin. – Jeśli nie zadzwonię do Ludmiły Borysowny, to wyjdę na idiotę... który nie rozumie, że ona się denerwuje.

– Zaraz wyjdę – powiedział równym głosem Kirył.

Wiesnin skapitulował po raz drugi.

– Zrobię herbatę.

Kirył w milczeniu wszedł do pokoju. Walentyn odruchowo odsunął w kąt porzucone przy drzwiach trampki. Postać chwilę, spoglądając na telefon.

Gdy po minucie wrócił z kuchni, Kirył siedział na łóżku, patrząc na odtwarzaną po raz kolejny reklamówkę.

– Puścić ci jakiś film? – zapytał Wiesnin.

Kirył nie zdążył odpowiedzieć – zadzwonił telefon. Walentyn w milczeniu wycofał się do przedpokoju i podniósł słuchawkę. Był pewien, że wie, czyj głos zaraz usłyszy.

Telefon matki Kiryła był najlepszym wyjściem z sytuacji.

– Halo, Wala?

– Dobry wieczór... – rzekł Wiesnin, nie odrywając spojrzenia od Kiryła.

– Słuchaj, jesteś sam?

– Nie – odparł drewnianym głosem Walentyn. – Ty u mnie siedzisz.

– Aha. Jasne. W takim razie wszystko w porządku. Powiedz jakąś cyfrę.

– Siedemdziesiąt dziewięć – powtórzył posłusznie Walentyn.

– Siedemdziesiąt dziewięć. To po to, żebyś nie myślał, że rozmawiasz z magnetofonem. Cześć.

Wiesnin opuścił słuchawkę na widełki.

– Nic ci nie będę wyjaśniał – powtórzył obojętnie Kirył. Ten Kirył, który siedział obok.

– Dobrze – zgodził się szybko Walentyn. Granica pomiędzy rzeczywistością i szaleństwem okazała się nieoczekiwanie cienka... a przekroczenie jej zdumiewająco łatwe.

CZEŚĆ TRZECIA

MINUS PIERWSZY..

0

Nadchodziła. Bez twarzy. Wszechpotężna. Niewybaczająca.

Ciemność.

Karamazow jęknął.

Gdy przychodziły takie sny, nie mógł się obudzić z własnej woli.

– *Uprzedzałam cię* – rzekła Ciemność.

Twarze. Znowu tych sześcioro...

– *Są tobie równi...*

Znowu ciągnęło go przez mrok. Lot poza kierunkami. Bezgraniczna wolność... wolność niewolnika na długim łańcuchu.

– *Patrz...*

Jak rozbłyśki w Ciemności. Twarze.

– *Zabij najsłabszych* – szepnęła Ciemność. – *Wszyscy oni będą zabijać się nawzajem. Czas pracuje na twoją korzyść, jeszcze o nas nie wiedzą. Poszczuj najsilniejszych, zlikwiduj łatwe cele.*

– Kim oni są?

Karamazow nie od razu zrozumiał, że krzyknął. Zaczął rozmawiać z Ciemnością. Przebił ścianę, która przemieniała go w milczącego słuchacza.

– *A kim ty jesteś?* – spytała Ciemność odchodząc.

Nie czekała na odpowiedź. Im... im wszystkim niepotrzebne są odpowiedzi...

...Ilja oderwał twarz od poduszki. Chciwie wciągnął powietrze.

Ten koszmar nie mógł trwać długo.

Albo zwariuje, albo zniszczy klientów. Innej możliwości nie ma.

Z jakiegoś powodu wydawało mu się, że gdy tylko dopadnie pierwszego celu, będzie łatwiej.

Wypełził spod kołdry, przez sekundę patrzył tępo na zasypaną rękopisami podłogę. Dzisiaj powinien zjawić się w pracy.

Do diabła!

Dzisiaj wyeliminuje chłopca i staruszkę.

Już wiedział, gdzie są.

Teraz nie da im szansy.

Ilja poszedł do łazienki, ogolił się starannie. Potem nalał soku do szklanki, zawahał się, otworzył

wiszącą na ścianie apteczkę. Tabletki to trucizna. Ale czuł się zbyt rozbity jak na czekającą go pracę.

Popatrzył posepnie na papierową torebkę. Wytrząsnął z niej małą białą tabletkę, wsunął do ust, szybko popił. Podobno amfetaminę biorą marynarze floty podwodnej, gdy nie mają czasu na odpoczynek. Teraz będzie mógł ścigać klientów przez całą dobę, nawet dwie, bez snu, z wyostrozonymi do granic możliwości zmysłami i nadludzką wytrzymałością.

– Bez snu – uśmiechnął się, przypominając sobie Ciemność. Spróbuj mnie osiągnąć, jeśli nie zasną.

Trzeba było zrobić wiele rzeczy. Dogadać się co do broni – dobrej broni, z którą dopiero zajmie się prawdziwą, trudną pracą. Pojechać na działkę, gdzie schował się staruszek. Odwiedzić koleśia, u którego ukrył się mały.

Może nawet wymacać najtrudniejszy cel...

1

Weszli do wagonu, stukając się ramionami. Jakby nie zauważyli się wzajemnie. Sława uśmiechnął się, wrzucił torbę na górną kuszetkę.

– Dobry wieczór.

Jarosław skrzywił się mimo woli, słysząc jego głos. Nienaturalny... zbyt rażny i serdeczny. Czy on tak zawsze mówi, wchodząc do przedziału?

Stara Kazaszka siedząca przy oknie serdecznie pokiwała głową. Chyba po rosyjsku nie rozumiała ani słowa. Mężczyzna – syn? – stojący obok skinął im głową, zamiast powitania.

– Daleko jedziecie?

– Do Moskwy – odparł Jarosław, zdejmując kurtkę. W przedziale od razu zapachniało uliczną wilgocią.

– A... – w podróżnych wywołało to jakieś własne skojarzenia. – Stąd?

– Stąd. – Sława w zadumie poklepał zbity brudny materac. Spod zsuniętego kraciastego koca wyskoczył karaluch i uciekł po ścianie. Jarosław odwrócił się.

Zaczynały się przyjemności podróży.

– Babcia jedzie do Saksauła – oznajmił mężczyzna. Po chwili milczenia dodał: – Tam po nią wyjdą.

– Pięknie – Sława podciągnął się, wskakując na kuszetkę. Obejrzał żarówkę lampki, skinął głową, zsuwając się na dół. – Idziemy zapalić, bracie?

Jarosław wyszedł za nim w milczeniu. Odeszli kilka kroków i Sława cicho zaklął.

– Wiedziałem, że tak będzie. Ale przedział.

– Za późno kupiliśmy bilety.

– Teraz przez całą drogę będziemy mieć na głowie babki i małolaty z narkotykami... – Sława kopnął drzwi przeciskając się na korytarz. – Może zapłacimy konduktorowi, żeby za Saksaułem nikogo nie dosadzał?

Jarosław wzruszył ramionami. O dziwo, złość Wizytora gasiła jego własne rozdrażnienie.

– Słuchaj, jakie to ma znaczenie wobec celu naszej podróży?

– A co znaczył twój rozwód wobec rewolucji światowej? – Sława podał mu papierosa. – Dobra, masz rację... przemęczymy się jakoś.

Do wagonu weszło jeszcze dwóch mężczyzn dyskutujących o czymś z ożywieniem. Jarosław złapał pospieszne spojrzenia, rzucone w ich stronę – bliźniacy są jednak rzadkim zjawiskiem...

– Dobry pomysł – odezwał się półgłosem Sława.

Jarosław ze zdumieniem podniósł oczy.

– Cywilizacja, w której bliźnięta są normą. Jak odbiłby się taki malutki biologiczny szczegół na psychice ludzi, na porządku społecznym?

– Nijak. Bliźniaki zazwyczaj starają się od siebie odróżnić.

– Nie opowiadaj. To wpływ społeczeństwa, do którego się adaptują. A jeśli jedynacy są wyjątkami? Jeśli wszędzie wybiera się dwóch prezydentów? Jeśli rodziny składają się z dwóch identycznych par kobiet i mężczyzn? Jeśli śmierć jednego z bliźniąt wywołuje taki szok, że drugi po prostu nie może tego przeżyć?

Sława zaciągnął się papierosem i mówił dalej:

– A główny bohater jest jedynakiem. Od urodzenia albo w wyniku nieszczęśliwego wypadku.

Jarosław odpowiedział po chwili.

– Interesujące. Tylko ja bym nie sprzedał takiej powieści.

– Miecze i blastery są oczywiście ciekawsze i ważniejsze ze społecznego punktu widzenia – skinał głową Sława. – Wyalienowanie to problem dla jajogłowych idiotów.

– Nie masz racji. Mnie to też znacznie mniej interesuje.

– To oczywiste. Jesteś produktem środowiska. Adaptujesz się. Tłumisz swoje kompleksy i urazy. Zarąbać kilku bandytów w średniowiecznym zamku to znacznie bardziej zajmujące niż naprawdę myśleć.

– Można by pomyśleć, że ty jesteś inny.

– Jestem. Jestem niedoskonały, ale wszystko, co możesz ty, we mnie rozwinięte jest do maksimum. Ty nie rozumiesz żywych ludzi. Łapiesz dwa *szczegóły* i lepisz swoje odbicia. Ja mógłbym mówić o prawdziwych ludziach. Ty rozdmuchujesz każdy życiowy problem do konfliktu wszechświatowego. Ja mógłbym mówić o świecie w całej jego różnorodności.

– Dzięki za komplement.

– To dopiero początek – Sława uśmiechnął się, otworzył drzwi wagonu, wrzucił niedopałek w szczelinę pomiędzy wagonami. – Chodźmy, pociąg zaraz ruszy.

Jarosław odczekał chwilę. Czuł się tak, jakby mu napluto w twarz, niechby nawet ani jedno słowo Wizytora nie było dla niego zaskoczeniem. „Myśl wypowiedziana jest kłamstwem...” Skąd. Myśl wypowiedziana jest policzkiem.

– Bez kompleksów – rzucił przez ramię Sława. – Jeśli zwyciężymy, napiszemy taką książkę...

– Ty napiszesz.

– Nie, dlaczego – razem. Mogę tylko to, co możesz ty. Podciągniesz się.

Staruszka już zadomowiła się w przedziale. Stoliczek zapełniły foliowe torebki z boursaką, mięsem, kurtem, kazy i nieodzownymi w drodze jajkami na twardo – chyba był to najbardziej wyrazisty przykład styku kultur.

– Wygrzebałem całą zawartość twojej lodówki – oznajmił Sława. – Ale nie było tego dużo.

Zdjął torbę z kuszетки, rozsunął suwak.

– Ale koniak znalazłeś.

– Oczywiście...

Jarosław przyglądał się bez słowa, jak Sława zdziera akcyzę, zdejmując metalową zakrętkę, plastikowy korek, krzywi się, wacha szyjkę...

– Ujdzie. To co, jedziemy?

Staruszka weszła na kuszettę z nogami i obojętnie ich obserwowała.

– Wasze zdrowie, babciu – powiedział Wizytor.

Jarosław przyjął od niego butelkę z krzywym uśmiechem.

– Przecież są szklanki, potworze.

– To nic, sami swoi. Pij, zawsze wierzyłeś, że alkohol dobrze robi na stres.

Koniak był mimo wszystko kiepski. Ultradźwiękowa sublimacja dębowych trocin... francuski winiarz dostałby zawału, gdyby zobaczył, jak robi się koniak w Azji.

– Myślę, że nie zdążymy się już rozpić – Sława przyglądał mu się z uśmiechem. – Więc śmiało...

– Jak sądzisz... – Jarosław złapał oddech, oddał butelkę. – Kto będzie pierwszy?

– Wczoraj wytypowałbym chłopca i staruszka.

– A dzisiaj?

Wizytor wzruszył ramionami.

– A dzisiaj nie chcę o tym myśleć, Jarek. Ale jedno mogę powiedzieć na pewno – zanim dojedziemy do Moskwy, lista będzie krótsza.

2

Przyjaciele Władysława Samochina za plecami nazywali go tajniakiem. Rzeczywiście pracował kiedyś w tajnych służbach. Zwolnienie, choć niestety nie na własną prośbę, niezbyt go zasmuciło. Życie dawało teraz przedsiębiorczemu, niegłupiemu, niechby nawet niemłodemu człowiekowi wystarczająco dużo możliwości. Na świecie było pełno frajerów, nie umiejących bronić swoich praw i brać tego, co do nich nie należało, oraz przyjaciół, potrafiących i jedno, i drugie.

W zacisznej niszy handlu nieruchomościami firma, której był współwłaścicielem, zajmowała niewielkie, ale bardzo ciepłutkie miejsce.

Stosunki Władysława z jedynym przełożonym Gennadijem Morozowem były scementowane wieloma sprawami – przede wszystkim udanymi operacjami przejęcia moskiewskich mieszkań. Moskwianie w podeszłym wieku przepisywali swoje lokale na agencje nieruchomości i po dwóch, trzech miesiącach otrzymywania obiecaną emeryturę umierali. Własną śmiercią, oczywiście. Jak mogłoby być inaczej.

Zdrowie starego człowieka jest bardzo kruche. Czasem aż dziw, jak niewinne przyczyny mogą doprowadzić do śmiertelnego zejścia.

Szkoda tylko, że w ostatnim czasie staruszkowie woleli umierać z głodu, niż podpisywać dokumenty na swoje nieszczęsne metry kwadratowe...

Dzisiaj rano Samochin przyjął dwóch klientów. Nie wzbudzili w nim szczególnego zainteresowania, ale mimo wszystko wysłał chłopaków na wizje lokalną, niech ocenią mieszkania. Jedno w Miedwiedkowie, drugie w Wychinie. Nawet na takich wariantach można coś niecoś zarobić.

Morozow, który zjawił się w biurze po południu, na sprawozdanie Samochina machnął tylko ręką.

– Potem. Chodź zapalić.

Zawsze akuraty, wysoki, o wypielęgnowanej, nieco nerwowej twarzy, Morozow zwykle nie wysiadał się na palenie poza gabinetem. Porządny włoski klimatyzator doskonale radził sobie z dymem.

Władysław nie potrzebował więcej wyjaśnień. Sam nie palił od pięciu lat i propozycja Morozowa mogła być jedynie pretekstem do wyjścia na podwórko. Morozow, przedtem dziennikarz w jakiejś przyhołubionej prowincjonalnej gazecie, panicznie bał się podsłuchu. Może i nie bez powodów, czasem FSB i KNB* przeprowadzały pokazowe rozprawy z takimi firmami jak ich „Kompromis”.

Stanęli pośrodku pustego podwórka-studni. Ludzie chodzili wtedy rzadko, woleli wchodzić do klatek z ulicy. Idealne miejsce na spokojną rozmowę.

– Byłem u Romanowa – oznajmił Morozow wyjmując papierosa.

Samochin stał się czujny. Romanów był ważną postacią. Faktycznie to on krył ich firmę w różnych tarapatach, czasem sam, a czasem z pomocą własnych opiekunów, stojących jeszcze wyżej.

– Bierz – Morozow podsunął mu papierosa. Samochin skrzywił się, przypalił i odsunął rękę z papierosem na bok. Niech się wypali. – Więc tak...

Gennadij najwyraźniej nie wiedział, jak przejść do rzeczy.

– Romanów zapytał, czy nie zajęlibyśmy się kilkoma sprawami... za dobrą zapłatę. W zasadzie już się zgodziłem...

Samochin zrozumiał.

– Za kogo on nas ma, Giena?

– Po prostu zna naszą... metodykę. – Gennadij najwyraźniej nie wiedział, gdzie podziąć oczy. Teraz nie był starszym kolegą i dyrektorem firmy, tylko drobnym, kłamliwym dziennikarzyną, który trafił na rozmowę do śledczego.

– Zuch – Władysław pokręcił głową. – Brawo. Widziałem takich amatorów w poprzedniej pracy. Sami się w ręce pchali.

Morozow wypuścił powietrze.

– Dobrze. W takim razie posłuchaj, jaką zaproponował sumę...

Cyfra zamknęła Samochinowi usta. Na wszelki wypadek zapytał:

– W dolarach?

Morozow skinął głową i wyjął drugiego papierosa.

– I to tylko za jednego... za jedno zamówienie. A jest ich pięć.

– Kto to jest? – zapytał gwałtownie Samochin.

Takie pieniądze płaci się tylko za bardzo grube ryby.

– Drobnica.

Władysław z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Patrz – Morozow podał mu wyrwaną z notesu kartkę. – Przepisałem.

Chwilę później Samochin podniósł oczy na szefa.

– Romanów nie był pijany?

– Był zdziwiony. To nie jego inicjatywa. Zrozumiałem to tak, że na niego naciskają.

– Jasne... – Władysław spostrzegł, że papieros dawno się dopalił, wyrzucił go ze wstrętem. – Coś tu nie gra...

Morozow skinął głową.

– Zajrzymy do kartoteki.

Gdy wchodzili na drugiego piętro, gdzie ich firma rok temu wykupiła mieszkanie na biuro, myśleli o tym samym. Strach i pieniądze.

Pieniądze mimo wszystko wygrywały.

Szedczenko dopił lurę, którą w bufecie nazywano kawą, i popatrzył na sobowtóra uśmiechającego się do bufetowej. Uśmiech był przelotny, niekonkretny i niczego nie obiecujący, ale zaspana kobieta jakby właśnie na to czekała. Szybkim gestem poprawiła włosy, wyprostowała się.

– Nigdy nie potrafiłeś zrozumieć, jak łatwo przyciągać ludzi – powiedział półgłosem sobowtór. – A to cecha niezbędna wodzom.

– Politykom. – Szedczenko zerknął w okno, za którym rozpalał się blady świt.

– Nie. Politycy grają z tłumami. Konkretny człowiek ich nie interesuje. Prawdziwy wódz powinien podobać się jednostkom.

– Czego ty chcesz?

– Tego samego co i ty. Porządku. Pokoju. Żeby cały ten bajzel – z głosu sobowtóra przebił wstręt – znikł. Żeby ci, którzy grabią skarb państwa, rąbali las na Syberii, żeby armia broniła kraju, a ludzie nie bali się jutra.

Szedczenko prychnął.

– Gdzieś ty wcześniej był, taki mądry?

– Nigdzie. Eksperyment rozpoczęto dziesięć godzin temu. Przedtem po prostu nie istniałem.

Nikołaj znowu popatrzył mu w oczy. Nie wierzył... nie mógł uwierzyć.

A jednak... kim jeszcze mógł być ten człowiek, wiedzący o nim wszystko, podobny do niego jak dwie krople wody...

– Opowiedz mi o tym jeszcze raz.

– Sprawdzian? – sobowtór wzruszył ramionami. – Dobra. Trzydzieści lat temu, jeszcze w czasach Związku, zaczęto eksperymenty ze skopiowaniem psychicznej składowej rozumu...

Nawet głos mu się zmienił. Jakby robił wykład studentom... „Nasza odpowiedź potencjalnym przeciwnikom. Najnowsze opracowania wojskowe”.

– Po co? – przerwał mu Szedczenko.

– Stworzenie idealnych żołnierzy. I nie tylko żołnierzy. Lekarzy, inżynierów i kogo tylko chcesz. Sądzono, że psychommatryce informacyjne można będzie nakładać na świadomość innych ludzi i oni będą dążyć do ideału. Nie wzięto pod uwagę tylko jednego – psychommatryca nie jest bierna.

Sobowtór zakłysał szklanką z resztką kawy rozpuszczalnej. Wycedził przez zęby:

– Kiedy matryce zostały stworzone, samodzielnie ukształtowały ciała. Przy czym nie w owym utajonym instytucie, lecz obok prototypów. I prototypy dwóch matryc już były martwe. Matryce nie zdołały ożyć. Takie kandelabry...

Szedczenko skrzywił się, słysząc własne idiotyczne powiedzonko, które przyłgnęło do niego dawno temu i od czasu do czasu wypływało w rozmowie. Kandelabry. Z takich powiedzonek chichoczą studenci uczelni wojskowych, potem zaczynają żyć w anegdotach. Kandelabry...

– Dalej.

– Nie jesteśmy do końca ludźmi – rzucił niedbale sobowtór. – Gdy przy życiu zostanie tylko jeden z nas, przejmie siłę pozostałych. Umiejętność oddziaływania na ludzi, na ich świadomość, marzenia. Umiejętność rządzenia.

Znowu, jak godzinę temu w przedziale, gdy słuchał tego po raz pierwszy, Szedczenko pokręcił głową.

– Nie mam zamiaru tego robić. Nie jestem zabójcą.

Sobowtór popatrzył na niego z ironią i litością.

– Ja też nie. I nie mam zamiaru robić krzywdy dziewczynie, która była prototypem. Ale z tą, która do niej przysłała, z kopią, sprawa wygląda inaczej, jej credo brzmi: świat stanie się lepszy, jeśli będziemy dużo mówić o dobru. To bzdura. Gdy tępi politycy wezmą się za łby, gdy znowu rozkażą ci prowadzić wojnę...

Szedczenko zamknął oczy. Nie. Do niczego takiego nie dojdzie. Nigdy.

– Gdy naszego Romka... – Nikołaj drgnął słysząc imię syna – wysłał z automatem w rękę...

– Dostyc tych bzdur!

– Bzdur? – sobowtór pochylił się nad stołem. – No pewnie, ty syna uratujesz! Jeśli będzie wojna, wyrzekniesz się zasad. Niech inni idą umierać! A wszystko dlatego, że chcesz wojować rękami osiemnastoletnich pętałów! Widzieć tylko strzałki na mapie i cyferki w raportach! Rosja rozpadnie się na kawałki i cwaniaki w Kijowie przypomną sobie o Wielkiej Ukrainie! Na jednej szóstej

kontynentu będzie taki bigos, że cały świat drgnie i zawyje!

Przestraszona bufetowa patrzyła na nich zza lady. Sobowtór zamilkł, wyprostował się.

– Zresztą – powiedział posepnie – załatwię wszystko sam. Spróbuję załatwić. A ty pamiętaj – ja to jednocześnie ty. Wiem, o czym myślisz. Wiem, że teraz wyjdiesz bez odpowiedzi. Ale gdy za pięć lat odejdiesz od mapy ze strzałkami, wypijesz pół szklanki wódki, resztę wlejesz do lufy pistoletu i wsuniesz ją do ust...

Na chwilę zamilkł, łapiąc oddech.

– Wtedy, zanim naciśniesz spust, przypomnij sobie moje słowa. I sześć cieni, które trzeba było rozwiązać, żeby nie zapadła noc.

3

Arkadijowi Lwowiczowi nie udało się wyspać. Piecyk nie dał rady wytworzyć nawet namiastki ciepła. Dziwne, jeszcze dziesięć lat temu czasem tu nocowali, nawet zimą, i chyba specjalnie nie marzli...

Obudził się wcześniej niż Wizard. Ten nadal spał obok, zawinięty w jakieś szmaty, świszcząc pochrapując. Ogień dawno zgasł. Zaltzman założył buty i wyszedł na werandę. Było nienaturalnie cicho. Mżył deszcz. Co za jesień... ani jednego pogodnego dnia...

Rozglądając się na boki – chociaż wątpliwe, żeby ktokolwiek poza nimi nocował tu późną jesienią – profesor filozofii rozpiął pogniecione spodnie i wysikał się z werandy. Wrócił do domku.

Jego sobowtór już się obudził. Siedział w milczeniu, patrząc z napięciem w okno.

– Dzień dobry – wymamrotał Arkadij Lwowicz. Śmiesznie witać się z samym sobą.

– Źle – powiedział bardzo cicho Wizard.

– Co się stało?

Wizard ledwie zauważalnie wzruszył ramionami.

– Ktoś nas szuka. Ale nie mogę poczuć kto.

Arkadij Lwowicz milczał.

– Rozumiesz – ciągnął półgłosem Wizard – wszyscy wyczuwamy się nawzajem w różny sposób. Na przykład pisarz operuje obrazkami, scenami. Może odtworzyć naszą rozmowę. Dziewczyna... po prostu wie.

Zaczął kasłać.

– Ona jest straszniejsza od wszystkich, Arkasza.

– Przecież mówiłeś...

– jej religijna maska? Dureń ze mnie, Arkasza. Nie ma nic straszniejszego od ślepej dobroci, połączonej z absolutnym przekonaniem o własnej słuszności. Przypomnij sobie stopy inkwizycji i wyprawy krzyżowe. Ona... jakby stamtąd przyszła. Powinienem był zrozumieć od razu – nic nie wraca niezmienione. Istota pozostaje ta sama, ale zmienia się znak.

– To ona nas szuka?

– Nie. Ona jest daleko. Wojskowy i pisarz też... to najemnik, Arkadiju, ale dziwny najemnik...

– Zjedzmy śniadanie.

Wizard skinął głową. Arkadij Lwowicz poczekał chwilę, ale jego sobowtór nie drgnął. Zaltzman westchnął, wyciągnął z kąta starą torbę ze skaju. Rozsunął suwak, wyjął kiełbasę, nóż, puszkę konserw.

– Ile czasu zajmie ci otwieranie tych kilek? – zapytał Wizard.

– To szprotki.

– Nieważne. Ile minut będziesz pruł blachę, żeby dostać się do środka? Ile razy skaleczysz się ześlizgującym się nożem?

– Jeśli dobrze cię zrozumiałem... – Arkadij Lwowicz wyłożył jedzenie na stół – niepokoi cię nasza słabość fizyczna?

Wizard kiwnął głową.

– A na co liczyłeś wczoraj?

– Na sojusz z którymś z Wysłanników. Jednym z tych, których zwycięstwo nie będzie katastrofą. On mógłby pozwolić nam... dożyć.

– W takim razie warto się z nim skontaktować.

– Gdyby ktoś chciał się do nas przyłączyć, poczułbym to.

– Nikomu nie jesteśmy potrzebni?

Wizard przytaknął.

– Wiedza jest bezsilna, Arkasza. Mogę wymyślić setki planów zniszczenia Wysłanników. Dobrych planów. Ale realizacja najprostszego z nich...

– Gdybyśmy mieli broń...

– Nie masz dwudziestu pięciu lat, Arkadiju. I nie jesteś w Budapeszcie.

– Wystarczy! Nie musisz mi tego przypominać! – Zaltzman stuknął pięścią w stół. Uderzenie odezwało się bólem w zgrabiących z zimna palcach.

– Nie osądzam cię. To przecież byłem również ja... – Wizard podniósł wzrok. – I nie ma co się kajać. Wierzyłeś w słuszność komunizmu. Widziałeś, co wyprawiał tłum na ulicach. A jeśli odmówiłbyś strzelania, dalszy los młodego żydowskiego dysydenta byłby przesądzony.

– Po prostu by go nie było.

– Rzecz nawet nie w zgrzybiałości, Arkadij. My nie umiemy bez rozkazu. Bez bata, wskazującego kierunek i usprawiedliwiającego każdy krok. Wiedza, rozum – to tylko służą władzy. Taka jest prawda... daj, pomogę ci.

Wziął od Arkadija nóż, przyłożył do puszki, przymierzył, uderzył dłonią w rękojeść. Olej prysnął na stół.

– A ty możesz teraz umyć ręce – rzucił Arkadijowi Lwowiczowi. – Nie myśl, że brzydzę się samym sobą, ale nie warto się zapuszczać.

4

Anna nucąc cichutko układała na talerzu zrobione jeszcze wczoraj rano kanapki. Jak smutno jej wtedy było, jak ciężko i beznadziejnie. Teraz wszystko się zmieniło. Świat był światem. Świat był światłem i radością. Wszystko wokół stało się proste i zrozumiałe.

Jak mogła żyć wcześniej?

Popatrzyła na kozetkę, na której spała Maria. Anna się dziś nie kładła – i tak nie mogłaby zasnąć. Ale jemu... jej... potrzebny był sen. Sama tak powiedziała. Nocą, w ciszy i spokoju, przychodzi prawda.

Cichutko, na bosaka, żeby nie hałasować, Anna podeszła do szafeczki, na której stał czajnik. Włączyła go po raz kolejny, przysiadła obok, cierpliwie czekając, aż Maria się obudzi. Zastygła, nie odrywając spojrzenia od poduszki. Mogłaby tak siedzieć wiecznie.

Maria poruszyła się. Uniosła głowę, popatrzyła na nią, uśmiechnęła się.

Anna poczuła, że świat wokół jakby ścisnął się do jednego punktu – tego spojrzenia, tego uśmiechu. Wszystkie kolory świata zlały się w jedno.

– Dzień dobry – wyszeptwała.

– Dzień dobry, siostró – Maria wysunęła się spod kołdry i przeciągnęła, uśmiechając się filuternie do Anny. – Chłodno, prawda?

Anna skinęła głową.

Jaka ona piękna... jaka czysta...

– Teraz pojedziesz po ubranie dla mnie – powiedziała Maria. – I zostawisz mi coś swojego, żeby nie było tak widać...

Anna pospiesznie ściągnęła przez głowę bluzeczkę i podała Marii. Zastanowiła się chwilę i zaczęła zdejmować pończochy.

– Wystarczy – zdecydowała Maria. – Tylko się pospiesz. Weź taksówkę.

Anna posłusznie pokiwała głową. Popatrzyła z żalonym uśmiechem na stół, potem na Marię.

– Dziękuję, chętnie coś zjem. – Maria włożyła pończochy, zaczęła wkładać bluzkę. Anna z trudem oderwała od niej spojrzenie i wyszeptwała:

– Wybacz...

– Co, Aniu? Nie ma nic wstydliwego w pięknie. I ty jesteś piękna, bo przecież ty – to ja.

Anna pokręciła głową. Oczywiście, była wdzięczna za te słowa. Ale przecież sama wiedziała – w niej nie ma światła. W niej nie ma ratunku dla świata. Jest tylko bladą kopią, brudnopisem, z którego stworzono cud.

– Wszystko jest dobrze, tak? – zapytała.

Maria westchnęła. Anna poczuła, jakby ktoś pchnął ją nożem.

– Jeden z przybyszów jest obok. Przyszedł ze swoim sobowtórem i obaj chcą mojej śmierci.

Anna drgnęła.

– Nie bój się – powiedziała twardo Maria. – Potrafię się obronić. Uwierz.

– Wierzę...

– Teraz pojedziesz do domu – powtórzyła Maria. – Poczekam na ciebie.

Szedczenko siedział w kuchni. Siostra krzątała się, ustawiając coś na stole.

– Dzwoniłam rano, doktor powiedział, że Sasza czuje się znacznie lepiej. Że niebezpieczeństwo minęło... – otarła oczy. – Wybacz, że cię zmusiłam do przyjazdu... Okropnie się przestraszyłam. Sam wiesz, że tylko do ciebie... – znowu chlipnęła.

– Przestań, Taniu – Szedczenko zmarszczył z irytacją brwi. Jak on nie lubił tych babskich lamentów. Samooskarżenie i pretensja. „Ty jeden się wybiłeś, ty jeden jesteś moim obrońcą...” – Już dawno powinienem był przyjechać. Prawie zapomniałem, jak wyglądasz.

Tatiana kiwnęła głową.

– Zjesz coś i pójdziemy...

– Taniusza... – Nikołaj zająknął się. – Wybacz... Pamiętasz, jak się urodziłem?

Siostra popatrzył na niego stropiona.

– No, ja miałam wtedy siedem lat... Pamiętam, jak cię przynieśli ze szpitala.

– Taniu, czy ja nie miałem brata?

Tania zamarła.

– Mów.

– Skąd wiedziałeś?

Szedczenko poczuł ulgę. I złość, i zaskoczenie. A jednak to już nie było takie straszne. Nie tak potworne i nieodwracalne jak eksperyment...

– Wychowywał go ojciec? Tak? Dlaczego nic mi nie powiedzieliście?

Siostra pokręciła głową.

– Co ty mówisz, Kola? Co tu ma do rzeczy ojciec? Kostia umarł, zanim skończył roczek.

Kostia...

– Mój brat?

– Nasz brat...

Nikołaj patrzył na siostrę przez kilka chwil, potem sprecyzował:

– Mój brat bliźniak?

Na twarzy Tatiany malowało się całkowite zaskoczenie.

– Nie, dlaczego? Był dwa lata młodszy od ciebie. Nie pamiętasz... A mama tak rozpaczała...

Starałam się jej nie przypominać i nic ci nie mówiłam, gdy podrosłeś. Sama prawie zapomniałam.

Niech Bóg mi wybaczy...

Nikołaj opuścił oczy.

– Wybacz. Idiotycznie wyszło.

– Kola, co ty? Skąd się dowiedziałeś? Dlaczego bliźniak?

– Przypadek, Taniu. Spotkałem człowieka na ulicy... Podobny do mnie jak dwie krople wody. I taka głupota przyszła mi do głowy.

Siostra uśmiechnęła się słabo.

– Nie, Koleńka. Urodziłeś się sam.

Jakie rodzinne tajemnice wychodzą na jaw – przypadkiem... Nikołaj sięgnął po filiżankę. Tak. Brat. Jednak miał brata. Ale nie bliźniak. I ostatnia szalona próba niewierzenia runęła w gruzy.

Sobowtór był już pewnie w szpitalu. Siódma rano, personel jeszcze nie przyszedł. Zrobi to, co uważa za słuszne.

Ciekawe, jak dalece rzeczywiste jest ciało sobowtóra? Czy jego trup nie rozpułynie się w powietrzu, gdy to, co zastępuje kopiom życie, odejdzie na zawsze?

– Nie jestem głodny – oznajmił wstając. – Ubieraj się, Taniu. Idziemy.

– Kola, u nas rano kiepsko z komunikacją...

– Weźmiemy taksówkę. Ubieraj się wreszcie! – Po raz pierwszy w życiu Szedczenko krzyknął na siostrę, która w wieku dziesięciu lat zastąpiła mu matkę. Tania cofnęła się pospiesznie, posłusznie kiwając głową. Przez chwilę Nikołaj czuł wstyd.

Ale na wstyd nie było czasu.

5

Jarosław obudził się. Pociągiem trzęsło, w okno biło światło. Zbyt jasne, nieznośnie rażące. Odwrócił się i popatrzył na nie kończący się step. Szarozółte martwe chwasty, pagórki w oddali, coś słabo przypominającego wiejską drogę. Jęknął – z bólu rozwalającego głowę, z nieznośnego, bezkresnego niczym przestrzeń wokół znużenia.

– Weź – Sława wychylił się ze swojej kuszетки, podał mu tabletki przeciwbólne. – Najlepiej od razu dwie, jedna nie pomoże.

– Dawno się obudziłeś?

– Pół godziny temu.

Chciewie połknął tabletki, popił ciepłą, pozbawioną smaku wodą mineralną z otwartej wieczorem butelki. Zerknął na dół na staruszkę. Siedziała w tej samej pozycji co wczoraj, jakby się wcale nie kładła. Pradawna i obojętna jak step.

– Nienawidzę tego – Jarosław wskazał głową okno. – Tu nie da się żyć...

– Nawet tutaj ludzie żyją. – Sława wzruszył ramionami. Chyba już się uwolnił od bólu głowy, ale pomięta twarz zdradzała wypity wczoraj alkohol.

– To nie jest życie...

– A twoi tatarscy przodkowie? – Sława uśmiechnął się. – Łuk za plecami, i hajda przed siebie na rączym wierzchowcu...

– Dlatego właśnie hajda, żeby wydostać się ze stepu – burknął Jarosław. – Daleko do Saksauła?

– Po południu dojedziemy.

– Porozmawiaj z konduktorem, dobrze?

Sława skinął głową.

– Rozumiemy się bez słów. Porozmawiam.

Jarosław leżał na swojej kuszecie jeszcze ze dwadzieścia minut, chowając oczy w brudnej poduszce i czekając, aż ustanie ból. Sława zdążył pójść się umyć, wrócił dobronuduszny i odświeżony. Klepnął go w ramię.

– Wstawaj. Wystarczy tego cierpienia.

– Chciałbym obudzić się jeszcze raz... – wyszeptał Jarosław.

– Wybacz, ale to się nie uda. Nie mogę zniknąć. Wstawaj.

Zeskoczył z kuszетки, próbując trafić prosto w buty. Sława patrzył na niego ze współczuciem.

– Nie będziemy więcej pić – obiecał. – Musimy przyjechać do Moskwy zdolni do pracy.

– O, to na pewno...

– Nie mamy innego wyjścia, Jarku. – Sława poklepał go po ramieniu. – Zbieraj się. Ja zaparzę herbatę i pogadam z konduktorem.

Mężczyzna był po cywilnemu, ale postawa zdradzała w nim wojskowego.

Szczerze mówiąc, on sam nie uważał się za człowieka. Ale to przecież drobiazg. Miliony żywych istot na tym świecie uważają się za ludzi, nie mając do tego żadnych podstaw.

Sobowtór Nikołaja Szedczenki szedł przez szpitalny ogród, zahaczając o gałęzie, strząsając fontanny zimnych kropli. Jesień...

Wszedł do szpitala przez niedomknięte okno toalety na parterze. Czuć było tutaj silny zapach papierosów, przebijający się nawet przez typowy dla tego miejsca smród. Sobowtór pułkownika umył ręce, ubrudzone odpryskującymi od ramy kawałeczkami łuszczącej się farby i nie wiadomo dlaczego rdzą. Stał chwilę, patrząc na uchylone drzwi. W szpitalu panowała cisza, pasująca raczej do kostnicy.

Szedł zimnym korytarzem w stronę schodów. Zatrzymał się przy drzwiach izby przyjęć – słychać było cichą rozmowę, a od czasu do czasu rozlegał się kobiecy śmiech. Sobowtór wzruszył ramionami i zaczął wchodzić na pierwsze piętro.

W pokoju lekarskim na chirurgii młoda kobieta, która była człowiekiem nie bardziej niż Szedczenko, podeszła do lustra. Poprawiła włosy, przesunęła zimną dłonią po twarzy. Patrząc na swoje odbicie, wyszeptała:

– Daj mi siłę...

Lustro milczało. Umiało tylko jedno – odbijać obraz. Nikt i nic nie czaiło się w amalgamacie – prócz prawdy, niemej jak każda prawda.

Sobowtór Szedczenki cicho otworzył drzwi zasłonięte od wewnątrz białą zasłonką i wszedł na oddział. Zawahał się, spoglądając na drzwi do pokoju lekarskiego. Potem odwrócił się i wszedł na salę, którą wytypował tak samo łatwo, jak znalazł drogę do szpitala.

Młody chłopak, jedyny pacjent na tej sali, otworzył oczy.

– Witaj, Saszka – wyszeptał sobowtór Szedczenki.

- Witaj, wujku.
 - Jak się czujesz?
 - Kieprawo – chłopak uśmiechnął się. – A gdzie mama?
 - Przyjdzie później. Wyrosłeś.
 - Ale nie zmańdrzałem.
 - To nic. Tym zajmiesz się później. – Sobowtór Szedczenki, który nie uważał się za człowieka, musnął ramię chłopca twardo, niezgrabnie.
 - Nie wierzyłem, że przyjedziesz.
 - Wiesz... kocham cię, idioto. Śpij.
 - A ty?
 - Muszę porozmawiać z lekarzem – dziwnie się uśmiechnął. – Dobra, mały, śpij.
- Chłopak skinął głową.
- Od razu mnie poznałeś? – zapytał mężczyzna, odwracając się od progu.
- Aleksander Szedczenko kiwnął głową.
- To świetnie.

Mężczyzna wyszedł, szczelnie zamykając za sobą drzwi, popatrzył na szary świt, wpełzający na korytarz przez mętne szyby okien. Głośno, nie kryjąc się, podszedł do pokoju lekarskiego, pchnął drzwi.

Stojąca przy oknie kobieta w białym fartuchu popatrzyła na niego w milczeniu i bez zdziwienia.

- Przyszedłem – powiedział ten, który nie bał się uważać siebie za nieczłowieka.

6

Maria patrzyła na tego, który został zrodzony przez zło i ciemność, nieruchomym wzrokiem, bez słowa.

W oczach mężczyzny nie było nic ludzkiego. Tylko chłód zawodowego zabójcy. Och, wiedziała, że on umie zabijać. Wystarczająco dużo walczył, zasłaniając się rozkazami i pięknymi słowami, kiedy bezkarnie odbierał ludziom życie. I co z tego, że większa część jego wojen była prowadzona tam, na Wschodzie, skoro ani jedna z nich nie była wojną za wiarę. On nie umiał nieść światła.

- Przyszedłem – powiedział ten, który przyjął postać wojskowego.

- Wiedziałam, że przyjedziesz.

Maria zmusiła się do odpowiedzi. Nawet jego trzeba kochać. Ale kochać, nie znaczy wybaczać.

- Wiesz sama, co musi się teraz stać – rzekł mężczyzna.

- Wiem. Musisz się pokajać – albo umrzeć bez przebaczenia.

Mężczyzna uśmiechnął się – jakby miał prawo do uśmiechu.

- Głupia dziewczyno... Sądzisz, że niesiesz światło...

- Niosę światło. Ale mogę pozbawić go tych, którzy są go niegodni.

– Co zrobisz ze światem, jeśli do niego wejdiesz, jeśli zwyciężysz? – mężczyzna powoli przesuwiał się na środek pokoju. Maria zastygła przy oknie.

Daj mi siłę...

- Dam światu miłość.

– Świata nie da się uratować miłością, dziewczynko. Miłość była zbyt często zdradzana, zbyt często usprawiedliwiano nią zło.

- Kim jesteś, by osądzać, co jest dobrem, a co złem?

- Ja? Jestem sługą.

– Jesteś sługą Ciemności.

– Nie, ludzkości. Tych, którzy mają siłę, by kochać, ale nie mają jej, by nienawidzić. Jestem strażnikiem pokoju. I to nie moja wina, że pokój chroni tylko Siła.

– Tak, to nie tylko twoja wina. Ale i sługa odpowiada za to, co robi na rozkaz.

– „Słudzy... bądźcie posłuszni panom na ziemi... Albowiem, co podoba się Bogu...” – mężczyzna znowu się uśmiechnął.

– Możesz wybrać: Światło czy Ciemność.

– „Czy Światło, które jest w tobie, nie jest Ciemnością?”

– Wiem, że umiesz kusić – powiedziała Maria. – Słowo to broń. A kłamliwe słowo to broń Ciemności. Twój dar to dar wypaczania słów.

– Mój dar to służenie.

Mężczyzna obrzucił spojrzeniem pokój. Wziął ze stołu nóż.

– Nie chciałbym tego robić – odezwał się półgłosem. – Możemy się jeszcze połączyć. Są inni... I w nich jest prawdziwa Ciemność. Najpierw zapobiegijmy temu, co najgorsze, a potem będziemy się zastanawiać.

– Pozbawiam cię Światła – powiedziała Maria. Mężczyzna zamarł, niepewnie podnosząc dłonie do oczu. Potem zaśmiał się i pokręcił głową. Zrobił jeszcze jeden krok w stronę Marii.

– Nie wierzę w ciebie – i nie możesz mnie oślepić. Wybieraj, dziewczyno.

– Nawet twój ziemski brat odstąpił od ciebie. Jak możesz wierzyć w swoje racje?

– A gdzie jest twoja siostra, dziewczyno?

Maria patrzyła tylko na niego. Nie odrywając wzroku, żeby nawet w jej oczach nie pojawiło się odbicie Anny, która bezszelestnie weszła do pokoju.

– Moja siostra jest już uratowana, jej wybaczone wszystko, co było i będzie. Moja siostra jest miłością.

– Mówisz o miłości, nie umiejąc kochać.

Maria nawet się uśmiechnęła do tych słów, tego całego kłamstwa, które w nich było.

– Nie można kochać ludzkości, nie kochając pojedynczego człowieka – powiedział ten, który był kłamstwem i Ciemnością. – A ślepa miłość gorsza jest od nienawiści. Przebaczenie to droga, którą przychodzi Zło.

– Wybaczam nawet tobie – rzekła Maria w momencie, gdy Anna, która znalazła się za plecami sobowtóra Szedczenki, wyjęła z kieszeni palta nóż i wbiła go w plecy Wysłannika Zła.

Świat zawirował. Sufit przekrzywił się i ześliznął na podłogę, podłoga wybrzuszyła się, uderzając w twarz. Ten, który uważał się jedynie za kopię człowieka, upadł na śliskie linoleum. Sweter przemókł niemal natychmiast, krew biła z rany, pulsując. Dziewczyna z nożem w ręku stała nad nim i patrzyła. Była podekscytowana, ale nie bała się.

– Nie zrobiłaś nic złego – powiedziała ta, która przyniosła światu Światło. – Powstrzymałaś Zło.

– On... Nie zostanie uratowany? – wyszeptowała Anna.

– Nie wiem. Wszystko teraz zależy od niego. – Ta, która niosła Światło, pochyliła się nad sobowtórem Szedczenki. Mógł widzieć jej twarz – patrzeć w oczy, w których było tyle światła i ciepła... co w wielkim piecu. – Mogę cię uratować.

Nie odpowiedział. Dziwne, ale teraz myślał o czymś zupełnie innym. Nie o świecie, gdzie Siła już nigdy nie stanie się ochroną, nie o tej dziewczynie, której dobroć będzie straszniejsza od wszelkiego zła. Nie o tym, jak bez sensu przeżył swój jedyny dzień.

Sobowtór Szedczenki myślał o siostrze, której nie zdoła już zobaczyć, o rodzinie, która nigdy nie

była jego rodziną.

– Mogę dać ci przebaczenie i życie – powiedziała kobieta, patrząc w jego twarz. – Możesz odejść w pokoju albo pokajać się i pójść razem ze mną. Wystarczy, że cię dotknę i rana się zasklepi.

– Siła nie służy, ona tylko służy – wyszeptał.

– I gdzie jest teraz twoja Siła?

Przed jego oczami zawirowały białe płatki. Pamiętał je jeszcze z czasów, gdy był człowiekiem, ale wtedy przyjaciele zdążyli go wciągnąć za na wpół zawalony róg glinianej chaty i syjąc gradem przekleństw zacisnęli opaskę na przebitym kulem ramieniu.

– Ona odejdzie ze mną – wyszeptał ten, który nie nazywał się człowiekiem. – Nie dostaniesz jej.

– A jednak ci wybaczam – na twarzy kobiety nie drgnął ani jeden mięsień.

– Udław się... swoim wybaczeniem...

Już spadał w tę studnię, która wcześniej czy później czeka wszystkich. A głosy kobiet cichły, zostając tam, gdzie był tak krótko...

– Będziemy musiały coś zrobić z ciałem.

– Przebaczone mu?

– Tak. Przynieś nosze...

Wysłannik Siły próbował otworzyć oczy.

Ale nawet na to nie starczyło mu już sił.

7

Pociąg przyjechał do Saksauła zgodnie z rozkładem. Leżąc na swojej kuszetce, Jarosław patrzył, jak napływają brudne domki, betonowe ogrodzenia upstrzone sprejowymi hasłami, stragany zastawione butelkami z tęczowymi etykietkami. W Azji nawet podrobiony alkohol niesie w sobie jakiś harun-ar-raszidowski przepych.

– Pam-param-pam – zanucił Sława, patrząc w okno. – Piękne miejsce. Chciałbyś tu mieszkać? Cisza, spokój. Można myśleć i pisać o rzeczach ponadczasowych. A pociągi idą ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód.

Jarosław nie zareagował. Podróż pociągiem przez step zawsze budziła w nim tęsknotę i smutek.

– Jak myślisz, czy moskwianie uwierzą, że istnieje miasto Saksauł?

– Najpierw będą sobie długo przypominać, co to takiego.

– Pewnie masz rację.

Staruszka zebrała swoje rzeczy już godzinę temu. We wnętrzu ogromnej torby znikło nie tknięte jedzenie, bezkształtne grube palto narzuciła na plecy. Sława popatrzył dobrodusznie na kobietę. Zaproponował:

– Pomóc pani wysiąść?

– Dziękuję – odpowiedziała po rosyjsku bardzo czysto i pokręciła głową. Jarosław drgnął zaskoczony. Wrażenie, że staruszka nie znała rosyjskiego, zdążyło się już w nim utrwalić.

Pociąg hamował, za oknami zaczęły biegać handlarki z torbami i troskliwie opatulonymi garnkami. Jarosław poczuł dreszcze. W tej krzątaninie na zagubionej w stepie stacji było coś chłodnego i beznadziejnego, nużącego i nieskończonego, trwającego, zdawałoby się, od zarania dziejów i niezdolnego skończyć się nigdy. Pomyślał, że najstraszniejsze w każdej podróży pociągiem są te maleńkie stacje i miasteczka, w których żyją – zmuszeni są żyć – ludzie.

– Pamiętasz, co mówił Gennadij? – zapytał nieoczekiwanie Sława.

Jarosław kiwnął głową. Wracał wtedy do domu z Syberii, z jednej z tych konferencji pisarzy, na

które w jakimś momencie mecenat wydziela kilka tysięcy zielonych. Część drogi jechał z Gennadijem Martowem, fantastą z Nowosybirsk. Gdy mijali takie samo miasteczko, tyle że nie zatopione w stepie, lecz zagubione w tajdze, Gennadij, patrząc w okno na snującego się po peronie zawiadowcę z pełną siatką troskliwie zebranych butelek, powiedział: „A przecież to ja mogłem tak iść... Z piętnem zwyrodnienia na twarzy”. Okazało się, że pochodzi właśnie z tego miasteczka. Oczywiście, patrząc na imponującego Martowa, który nawet piwo z butelki pił z miną zmęczonego arystokraty, trudno było wyobrazić go sobie na peronie w porwanym waciaku. A Jarosław, wtedy jeszcze kompletny szczeniak, który dopiero przywykał do mistrzów poklepujących go dobrodusznie po ramieniu, patrzył na niczego nie podejrzewającego mężczyznę wlokącego się po peronie i wyobraził go sobie w przedziale, leżącego leniwie na kuszetce i opowiadającego: „Kiedy byłem w Kuala Lumpur, miałem okazję spróbować tego słynnego owocu durian...”

– Kto mógłby to zmienić? – spytał Jarosław.

– Nikt – odparł obojętnie Sława.

Szarpnięte drzwi wagonu odsunęły się. Staruszka wstała, kiwając na wchodzących mężczyzn.

– Ty też miałeś taką szansę – zauważył Sława, obserwując, jak wchodzący wyciągają spod kuszetki ogromne torby. – Zostać na zawsze w malutkim miasteczku zagubionym pośród stepów.

– To moja wina, że wybrałem co innego?

– Nie. Przynajmniej nauczyłeś się dawać nowe życie. Wszystkim, którzy wezmą w rękę twoją książkę... I na dzień, dwa wyrwą się z drzemiącej w stepie osady.

– Dokąd? W równoległy świat z mieczami i smokami? W kosmos?

– I co z tego? Od kiedy to zacząłeś mieć kompleksy? Myślisz, że więcej pożytku przyniosłoby opisywanie rzeczywistości? Tego miasteczka, gdzie wiatr unosi pył zmarnowanego życia, gdzie odmierzone są wszystkie drogi, a ludzie zmuszeni są żyć małymi radościami losu, który im przypadł w udziale? Po co? Słowo może im dać to, co nie jest dostępne nikomu?

Staruszka już wypłynęła z przedziału. Mężczyźni zarzucili torby na ramiona i przeciskali się przez drzwi. Ten, który wychodził ostatni, skinął im głową.

– Losu nie ma, Sława.

– Oczywiście...

– A raczej – sami go tworzymy.

– Tylko bez takich banałów. Milion czynników wpływa na każdy nasz krok, na możliwość jego uczynienia. Raczej wątpię, żeby wola czy marzenia odgrywały większą rolę niż przypadek.

Zamilkli na długo. Nawet gdy pociąg odjechał ze stacji Saksaul, ani Jarosław, ani Wizytor nie powiedzieli ani słowa. Patrzyli na jesień, która nieubłaganie nadciągała na step.

Nadciągała niezauważalnie, albowiem sam step był jesienią.

8

Samochin zatrzymał łądę, gdy tylko zjechali z drogi. On i Morozow popatrzyli na siebie, jakby decydując, czy nie zrezygnować ze swojego planu.

– Idziemy – zakomenderował Morozow.

Wysiedli z samochodu jednocześnie i jeszcze raz na siebie popatrzyli. Mimo wszystko takimi rzeczami nigdy wcześniej się nie zajmowali. Nawet to, że staruszków było dwóch, bardzo zmieniało przyjęte schematy. Jednoczesny zawał u dwóch mężczyzn – to już zbyt dziwny zbieg okoliczności.

– Do licha – Samochin znowu skoczył do samochodu. Wyjął z bagażnika litrowy słoik z grzybami, wrzucił do sportowej torby. Morozow w milczeniu czekał. – Na lewo – powiedział Samochin

podchodząc do niego. – Ulica nazywa się Jabłoniowa, szukamy domu numer siedemnaście.

Działki w ten powszedni jesienny dzień były ciche i smutne. Żadnego dźwięku, żadnego ruchu. Powoli szli po mokrym żwirze dróżki, patrząc na numery.

– Mam nadzieję, że się nie myliłeś – zauważył Morozow. Samochin skrzywił się słysząc ten oskarżycielski ton.

– Gdzie jeszcze mógł pojechać? U córki go nie ma, przyjaciele sami w strachu. Najbardziej mnie niepokoi, dlaczego wybuchł dom.

– Gaz...

– Ja też mam w mieszkaniu gaz i nikt w powietrze nie wylatuje. Czy Romanów mógł jeszcze kogoś wynająć do tej... pracy.

– Powiedziałby. Ale on jest tylko pośrednikiem.

– Diabli wiedzą, co z niego za pośrednik. I dlaczego mówił o bracie bliźniaku – w dokumentach takiego nie ma?

Zatrzymali się przy niziutkim drewnianym ogrodzeniu, patrząc na mały domek, zbudowany prawdopodobnie ze dwadzieścia lat temu. Rzadkie drzewa o nagich gałęziach, przekrzywiona wygodka w rogu działki...

– Akademik... – burknął Morozow. – Patrz! – chwycił Władysława za ramię.

Ten już zauważył lekki dymek snujący się z komina. Skinął głową.

– I kto miał rację, Gena?

– Idziemy. – Morozow pchnął furtkę. – Dostyc tego gadania.

Czując nieprzyjemny chłód w piersi, Samochin ruszył za nim. Trzeba było rano chlapnąć jednego... Dla kurażu. Zawsze go brakuje w takich momentach.

Większą część drogi Karamazow pokonał pociągiem podmiejskim. Potem przeszedł przez lasek. Nie bał się, że zabłądzi – gdy drogę wskazywała Ciemność, nogi same niosły do celu.

Jesienny las uspokajał, przynosił ukojenie. Las zasypiał, by narodzić się po zimowych chłodach. Las znał tajemnicę wiecznej śmierci, dzielił się nią z Ilją.

Kiedyś, dawno temu, jako uczeń brał udział w ekologicznym ruchu Zielona Ścieżka. Wtedy oczywiście jeszcze nikt nie znał słowa „ekologia”. Ale z całego tłumu nastolatków Ilja był chyba jednym z najbardziej zagorzałych małoletnich ekologów, oczyszczających strumienie, z nieumiejętnymi przekleństwami na ustach zasypujących trawą miejsca po ogniskach i zbierających w podmoskiewskich lasach puste puszeki po konserwach. Dla jednych oznaczało to możliwość wypraw, dla innych – rzucenia w twarz osłupiałym turystom: „Zielony patrol! Zgasić ognisko!”. Ilja należał do tej nielicznej grupy, która traktowała całą sprawę bardzo poważnie. Zostało mu to na całe życie – poważne podejście do pracy... I może jeszcze lekka satysfakcja, gdy klientem okazywał się dyrektor jakiejś fabryki zatruwającej środowisko.

Ilja bardzo lubił las.

Po drodze napił się ze źródełka czystej, zimnej aż do bólu zębów wody. Stał chwilę, walcząc z pragnieniem, żeby pobyć w ciszy, wsłuchać się w lekki, nie kończący się szmer płynącej wody.

Nie ma czasu. Teraz jest w pracy...

Poprawił starą kurtkę ze zwisającą, obciążoną zwykłym ciężarem kieszeni i poszedł dalej. Przy działkach znalazł się dziesięć minut później niż dwaj dyletanci, ale on nie musiał tracić czasu na poszukiwania potrzebnego domu. Po prostu szedł do niego – nie czując ani strachu, ani zdenerwowania. Połknięty rano stymulator wywołał lekką euforie, ale nie podniecenie.

Karamazow wiedział, że dzisiaj wszystko pójdzie tak, jak powinno.

Samochin pociągnął za drzwi werandy. Skrzypnęły otwierając się.

– Wchodź – wyszeptał Morozow.

Wewnętrzne drzwi domku też nie były zamknięte. Władysław powoli wszedł do pokoju. Miał nieprzyjemne, dręczące przecucie. Gdyby okazało się, że domek wypełniony jest funkcjonariuszami milicji, Samochin nawet by się nie zdziwił.

Ale w pokoju znajdował się tylko chudy łysawy staruszek, siedzący na zapadniętej kanapie. W kącie cicho mamrotał telewizor, ale staruszek nie patrzył na ekran – przeglądał jakieś pogniecione papiery.

– Dzień dobry. – Samochin próbował nadać twarzy oficjalny, surowy wyraz. – Arkadij Lwowicz Zaltzman, jeśli się nie mylę?

Staruszek popatrzył na niego bardzo spokojnie.

– „Dzień dobry” to niezły początek. Ale to tylko początek, prawda?

Władysław poczuł się nieswojo. Morozow, który stanął obok, dodał mu pewności.

– Arkadij Lwowicz? – powtórzył.

– Sądzę, że wiecie, kim jestem – odparł staruszek.

– Jesteśmy z organów bezpieczeństwa – włączył się do rozmowy Gennadij. Zrobił lekki ruch, jakby miał zamiar wyciągnąć z kieszeni nie istniejącą legitymację. – Szukaliśmy pana z powodu wybuchu w pańskim mieszkaniu.

Staruszek uśmiechnął się.

– Jakże dzielną mamy milicję... Mimo wszystko chciałbym spojrzeć na wasze dokumenty.

– Czy pański brat również tu przebywa? – zapytał Morozow, jakby go nie słysząc.

– Powinniście wiedzieć, że nie mam brata.

Zapadła męcząca cisza. Samochin zrobił kilka kroków w stronę staruszka.

– A pan powinien wiedzieć, o kim mówimy.

– Szukajcie... – staruszek rozłożył ręce. – Pokój jest jeden, dużo czasu wam to nie zajmie.

– Pewnie uciekł – skomentował z tyłu Gennadij. – Dobrze, dosyć tego.

Samochin miał wrażenie, że jego szef też się denerwuje. Jakby na nich obu nasuwał się jakiś cień, tak ogromny i zimny, że strach było spojrzeć w niebo.

– Będzie pan musiał odpowiedzieć – poinformował staruszka. Ten pokręcił głową, starannie odkładając papiery.

– Niestety, nie mogę tego zrobić... Nawet jeśli sprawicie, że zacznę marzyć o odpowiedzi. Nie wiem, gdzie jest ten, o którego pytacie.

– Gena – Samochin zrobił krok w stronę starca – on chyba rzeczywiście nic nie wie. Nie mamy czasu.

O dziwo, Morozow nie zareagował na to, że nazwał go po imieniu.

– Postaw słoik na stole – polecił półgłosem. – I otwórz, tam leży nóż.

Staruszek niemal obojętnie przyglądał się, jak Samochin otwiera słoik.

– Bardzo interesujące – odezwał się w końcu. – Chcecie mnie zmusić do zjedzenia grzybów?

Zapewne będą miały wyjątkowy smak.

Samochina przeszył dreszcz.

– Śmiały jesteś, dziadku.

– Już się w życiu nabałem, wnuczku.

Karamazow chwilę stał na werandzie. Wolałby obejść dom i choćby rzucić okiem na działkę... ale

z domku dobiegał jakiś hałas. Wyjął pistolet, pospiesznie pokonał werandę i otworzył drzwi na oścież.

To, co zobaczył, przypominało scenę z taniego thrillera. Dwóch mężczyzn – jednemu dał na oko czterdzieści lat, drugi był chyba trochę starszy – przyciskało do kanapy stawiającego słaby opór staruszka. Młodszy mężczyzna wyjął z kieszeni palta ampulkę z mętnym płynem i zaczął otwierać, trzymając jak najdalej od siebie. Ilji wystarczyło kilka sekund, żeby ocenić zamiary konkurencji i cel stojącego na stole słoika z grzybami.

– Toksyna botulinowa? – zapytał.

Mężczyźni odskoczyli od staruszka jak rozrzućeni wybuchem. Ampułka poturlała się pod nogi Karamazowa. Staruszek uniósł się na łokciach i zaskoczony patrzył na Ilję.

– Który z was jest szefem? – zapytał Karamazow, przyglądając się mężczyznom. W oczach starszego mignęło przerażenie połączone ze zrozumieniem.

– Ja! – wypalił.

Ilja uśmiechnął się, słysząc to paniczne kłamstwo, które zdumieniem odbiło się na twarzy drugiego bandyty. Zresztą, szybkość reakcji zasługiwała na pewne uznanie.

Wystrzelił dwa razy i palto bardziej tępego spuchło na piersi, jakby przebite od środka, choć było odwrotnie. Ilja popatrzył, jak przewraca się na plecy, i przesunął lufę na pozostałego przy życiu konkurenta.

– Nazwisko? – zainteresował się.

Mężczyzna chwycił powietrze ustami, nie mogąc mówić.

– Dobra, to szczegół – zawyrokował Karamazow. – Dla kogo pracujesz, padlino?

Mężczyzna nadal nie mógł odpowiadać. Kula, która uderzyła w podłogę przed jego nogami, przyniosła pewien efekt.

– Dla Ro... Romanowa.

– Władimira Pawłowicza? – zapytał Ilja z lekkim zainteresowaniem. Mężczyzna szybko pokiwał głową. – Zabawne... zabawne...

Podszedł do ściany, mógł teraz obserwować przez okno teren przed domem.

– Co wam zlecił?

Konkurentowi zaświtała nadzieja.

– Usunąć... pięcioro bliźniąt.

pięcioro?

– Dlaczego tak się boisz słowa „zabić”? – zainteresował się Ilja. – Sens pozostaje ten sam... Nazwiska!

– Zaltzman... – Mężczyzna zerknął na staruszka, tkwiącego nieruchomo na kanapie. – Korsakow... Szedczeko... Korniłowa... Żarow...

– Po co?

– Nie wiem, jestem tylko pośrednikiem.

– Mhm. Nie zapomniałeś o szóstym nazwisku?

Mężczyzna pokręcił głową tak energicznie, jakby chciał odkręcić ją od ramion. Zresztą, mała strata...

– Gdzie jest brat staruszka?

– Wyjechał... on tak powiedział! – mężczyzna znowu popatrzył na milczącego uczestnika rozmowy.

– Czyli toksyna botulinowa... Staruszkowie najedli się grzybów... – Ilja kopnął nogą ampulkę. – „A dlaczego teściowa ma siniaki? Nie chciała jeść grzybów, ścierwo...”

Mężczyzna zachichotał zgodnie.

– Masz pewien wybór – rzekł Ilja. – Możesz podnieść tę ampułkę i zjeść jej zawartość...

– Nie! – wykrzyknął mężczyzna.

Ilja wzruszył ramionami.

– Wybrałeś.

Trzy kule weszły w pierś byłego prawnika. Władysława Samochina, dobrego ojca dwójki dzieci, czulego dziadka trzyletniej wnuczki, zadowolonego z siebie i życia zabójcę amatora, odrzuciło pod ścianę. Nadal widział tego, który przyniósł mu śmierć, człowieka z zimnymi błękitnymi oczami i niebrzydką, nieco toporną twarzą, widział przez ból i gęstniejącą Ciemność. W ostatniej sekundzie miał wrażenie, że Ciemność widzi nie tylko on.

– Przekaż jej pozdrowienia – rzucił Ilja, odwracając się od trupa.

Staruszek patrzył na Ilję bez słowa.

– Gdzie jest twój brat? – zapytał bez złości Karamazow.

– Naprawdę nie wiem – odparł staruszek. – Wyjechał rano, zaraz po śniadaniu. Zapewne do Moskwy. Jak sądzę, nie powinienem się specjalnie cieszyć ze śmierci tych łajdaków?

– Nie powinienes. Po prostu nie lubię dyletantów... i tych, którzy widzieli mnie przy pracy.

– To pan doprowadził do wybuchu w moim mieszkaniu, tak?

– Tak.

– Zginęli tam niewinni ludzie. Dzieci.

– Uwierz mi, żałuję tego – powiedział szczerze Ilja. – Ty też masz wybór, staruszk.

Jego nowy klient popatrzył na leżącą na podłodze ampułkę.

– To wstrętne... – wyszeptał.

Ilja ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Kula jest lepsza. To męska śmierć i męska broń. Naprawdę mi przykro, że tak wyszło.

– Czy mogę prosić, żeby nie podpalał pan domu?

– Dlaczego? Chyba działka jest ubezpieczona?

Staruszek wskazał papiery.

– Książka. Prawie skończona, może ją wydadzą. „Ekologia duszy”.

Karamazow poczuł do staruszka niejasną sympatię.

– Zbyt dużo tu śladów, dziadku.

– Jeśli pistolet nie jest dla pana zbyt cenny, może go pan włożyć w moją rękę – zaproponował staruszek sucho, jakby omawiając abstrakcyjny problem. – Jakbym to ja zastrzelił tych dwóch, a potem skończył ze sobą.

Ilja podszedł w milczeniu do staruszka i przystawił mu do skroni lufę zakończoną tłumikiem. Dlaczego by nie? Mężni ludzie zasługują na małe prezenty... zwłaszcza, jeśli są korzystne dla ofiarodawców.

– Możesz się pomodlić – zaproponował.

– Niestety, nie wierze Boga – głos staruszka po raz pierwszy drgnął.

Ilja nacisnął spust.

– Nie miej żalu, staruszk – rzekł odchodząc od ciała. Nieprzyjemna praca. Nikczemna. Dla takich padalców jak ci dwaj. Na szczęście kula dobrze weszła.

Gdy kwadrans później Ilja wyszedł z domku, nie od razu zrozumiał, co się zmieniło. Rozglądał się dobrą chwilę, zanim to do niego dotarło.

Drzwi wygodki były otwarte.

– Kurwa! – skoczył do wygódki, zaglądając do środka poniewczasie. A to spryciarz. I jak przekonująco mówił! Przez chwilę zapragnął wrócić do domku i podpalić go – ale podziw dla bezbronnego przeciwnika był silniejszy. – Pół klienta – pozwolił sobie na uśmiech. Karamazowowi jeszcze nie zdarzało się zabijać klientów po kawałku. To nawet w jakiś sposób zabawne.

Do pociągu podmiejskiego wracał przez las. Spodobał mu się smak źródlanej wody.

9

– Ktoś chory? – zapytał kierowca, gdy podjeżdżali do szpitala. Nikołaj skinął głową, nie wdając się w wyjaśnienia. Szpital wydawał się uśpiony. Żadnych samochodów policyjnych, zaaferowanych ludzi. Poczł nieśmiałą nadzieję, że sobowtór nie zdążył się pojawić.

Szedczenko zapłacił ze skąpego zapasu rosyjskich pieniędzy – na razie nie wymienił dolarów na ruble – i wyszedł ze zdezelowanej toyoty. Pomógł siostrze wydostającej się przez szerokie drzwi tak niezgrabnie, jak czynią ludzie, dla których taksówka to niedostępny luksus.

– Kolka, dlaczego się tak spieszysz?

W głosie Tani był strach. No tak, ona myślała tylko o Sasze.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Chodźmy.

Nie od razu znaleźli drzwi do izby przyjęć, znajdujące się za rogiem budynku. Szedczenko długo naciskał przycisk nasłuchując, jak we wnętrzu budynku rozlega się alarmujący dzwonek. W końcu dały się słyszeć kroki. Szedczenko trochę się odsunął, żeby przez wizjer było widać nie tylko jego, ale i siostrę.

– O co chodzi? – zapytał ktoś czujnie zza drzwi. Nikołaj nie zdziwił się. Lekarze widzieli, że karetka nie podjeżdżała, a wizyty narkomanów liczących na zdobycie działki miały miejsce z reguły nad ranem.

– Proszę pani, tu leży mój syn – powiedziała siostra, nieoczekiwanie płacząco, prosząco. – Sasza Szedczenko... w ciężkim stanie. Brat przyjechał z Kijowa, proszę pozwolić nam wejść, bardzo proszę...

Zapadła cisza. Gdy po minucie drzwi się otworzyły, stała za nimi nie tylko pielęgniarka, ale i lekarz – mocny, wysoki mężczyzna. Uważnie obejrzał Szedczenkę i przerzucił wzrok na Tanie.

– Kiedy przywieziono pani syna?

– W poniedziałek wieczorem. Leży na chirurgii.

– I przez trzy dni nie zdążyła się pani nauczyć, kiedy są godziny odwiedzin? Ósmej jeszcze nie ma...

– Słuchaj! – Szedczenko wszedł, odsuwając lekarza. – Z chłopakiem jest bardzo źle. Pozwólcie mi chociaż na niego spojrzeć.

– Przecież jest pan wojskowym – odezwał się niewzruszenie lekarz. – Powinien pan rozumieć, co to takiego dyscyplina i porządek. A może to obowiązuje tylko szeregowców?

– Jak się do pana zwracać?

– Rudolf. A może potrzebuje pan nazwiska, żeby wiedzieć, na kogo złożyć skargę?

– Nie. Panie Rudolfie, bardzo pana proszę. Nie jest już tak wcześnie, lekarza dyżurnego nie obudzimy, proszę pozwolić nam wejść.

Lekarz milczał.

– Rozumiem, że nie powinien pan nas wpuszczać. Ale proszę, niech pan będzie człowiekiem. Nie spałem całą noc. Teraz powinienem być na poligonie i robić swoje. Zamiast tego stoję tu i pana proszę.

– To pański siostrzeniec? – zapytał Rudolf.

– Tak. Jedyny.

– Wejdźcie – lekarz odsunął się. Weszli, jakby natychmiast przenosząc się do innego świata.

Zapach szpitala, przygnębiający, ciężki zapach lekarstw i bólu...

– Jeśli pan chce, zostawię dokumenty – zaproponował Szedczenko.

– Nie trzeba. Tu możecie się rozebrać.

Szedczenko pomógł Tani, powiesił swoje palto. Lekarz patrzył na niego w zadumie.

– Pułkownik?

– Tak, armii ukraińskiej.

– Widzę, że mundur nie nasz... Lida, zaprowadź państwa na oddział.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Ale jeśli następnym razem zjawi się pan tak wcześnie, nie wpuszczę pana.

– Rozumiem. Dziękuję, doktorze.

Prowadzeni przez pielęgniarkę, weszli na pierwsze piętro. Pielęgniarka po cichu robiła Tani wymówki. Szedczenko słyszał, jak siostra nieśmiało się usprawiedliwia, ale nie włączał się do rozmowy. Czuł się nieswojo. Skłamał, wykorzystał chorego Saszkę jak przepustkę, niepokojąc się nie tylko i nie tyle o niego...

Tak naprawdę martwił się o samego siebie.

Drzwi na oddział były otwarte. Lida stukając obcasami ostrożnie podeszła do pokoju lekarskiego i zapukała. Otworzono jej od razu, jakby czekali pod drzwiami. Szedczenko zamarł, widząc dziewczynę w białym fartuchu.

Czy to jest ta kopia, którą chciał zabić jego sobowtór?

Sympatyczna, młoda, o delikatnej twarzy... o takich mówi się czasem: jasna twarz...

– Przepraszam, Anno Pawłowna, ale... – pielęgniarka wskazała na nich. – Dobijali się tak, że musieliśmy wpuścić. To krewni chorego Szedczenki.

Anna i Nikołaj patrzyli sobie w oczy.

Ona widziała jego... mnie...

– Nie ma powodu do niepokoju – powiedziała cicho Anna. – Z pana siostrzeńcem jest wszystko w porządku. Jego stan znacznie się poprawił.

Za plecami Szedczenki Tania chlipnęła z ulgą.

– Skąd pani wie, że to mój siostrzeniec? – zapytał Nikołaj.

– Domyśliłam się. Lida, dziękuję ci, możesz odejść...

Pielęgniarka popatrzyła na nią z niezadowoleniem i poszła. Chyba miała nadzieję, że lekarka zatrzyma przedwczesnych odwiedzających na drugiej linii obrony.

– Chce pani iść do Aleksandra? Chyba jeszcze śpi.

– My tak cichutko – powiedziała żałośnie Tatiana. – Anno Pawłowna, bardzo proszę...

– Chodźmy...

Szedczenko poszedł za nimi jak zahipnotyzowany.

Nie od razu poznał Saszkę. O dziwo, siostrzeniec nie zrobił na nim wrażenia tego młodego nicponia, które dawno temu utrwalił w swojej świadomości. Może z powodu krótkiej fryzury i spokojnego spojrzenia. Chłopak nie spał.

Jego własny syn bardziej pasował na kandydata do wyścigów rockersów, kończących się ostrym wirażem i wybuchem baku.

– Cześć, mamó – powiedział Sasza. I skinął głową Nikołajowi.

Jakbyśmy się już widzieli...

– Saszeńska, wujek przyjechał. – Tania przysiadła na brzegu łóżka.

– Wiem. – Lekko zaskoczony Aleksander popatrzył na matkę, potem na Szedczenkę.

Nikołaj przeniósł spojrzenie na Annę.

– Gdzie on jest?

– Kto?

– Niech się pani nie wygłupia. Wie pani, o kim mówię.

– Nie było tu żadnego innego człowieka – lekarka uśmiechnęła się do niego zwyczajnie. – Czego pan chce?

czego on właściwie chce? Sam odmówił pójścia do szpitala z sobowtórem. Dokonał wyboru. Do licha z mistyką i wątpliwościami. Życie jest takie, jakie jest... tylko tyle...

Szedczenko przeszedł się po sali. Podszedł do okna, jakby coś go tam popychało.

W głębi podwórka dojrzał mały parterowy budynek z wysokim, pięciometrowym kominem z cegły. Z komina szedł gęsty dym.

– Co tam macie?

Lekarka nawet nie spojrziała w okno.

– Kostnicę.

– Z krematorium?

Tatiana popatrzyła na niego z przestraszeniem.

– Po amputacji – oznajmiła sucho Anna – pozostaje materiał biologiczny, który ulega likwidacji.

Szedczenko poczuł mdłości. Odwrócił się do lekarki, i ta zobaczyła w jego oczach coś takiego, że się cofnęła.

– Nie radziłabym kontynuować tej rozmowy – powiedziała szybko Anna. – Stan pańskiego siostrzeńca bardzo się poprawił. Ale to niestabilna poprawa i nie należy jej niszczyć.

Nikołaj podszedł do niej, bardzo blisko. Ledwie dosłyszalnie wyszeptał:

– Zabiła go pani?

– Miał wyjście. Podobnie jak pan teraz.

– Kim pani jest?

– Marią.

– Kim pani jest?

– Światłem. Pokojem. Miłością.

– To kłamstwo.

– Nie ty będziesz decydował, co jest kłamstwem, a co prawdą. Bez niego jesteś nikim. Ale teraz jesteś wolny i możesz dokonać wyboru. Stań po naszej stronie. Pomagaj nam. I wejdiesz w świat, który będzie jutro. Nie jesteś potrzebny temu światu, ale pomożesz mu przyjść, zasłużysz na wybaczenie i spokój...

– Kola! – wykrzyknęła Tatiana. Szedczenko drgnął, odwracając się od Marii.

Siostra i siostrzeniec patrzyli na niego. Ze zdumieniem i strachem.

miłość, pokój, światło

– Saszka, muszę wyjechać na kilka dni – powiedział dotykając ręki siostrzeńca. – Trzymaj się, chłopcze.

– Wujku, a ty się dobrze czujesz? – Saszka patrzył w zadumie na Szedczenkę.

– Już nie – odparł spokojnie Nikołaj. Wyjął z kieszeni portfel, odliczył pięć zielonych setek. – Tania, masz, przydadzą wam się.

– Ty...

– Ja muszę na jakiś czas wyjechać.

Nie powiedział ani „żegnaj”, ani „do widzenia”, bo nie mógł dokonać wyboru pomiędzy słowami.

– Przekonałam pana? – zapytała ta, która przybrała imię Maria.

– Przypomniała mi pani, że istnieje wybór.

– Prototypy nie prowadzą własnych gier. Mogą tylko pomagać tym, którzy przyszli.

– Rozumiem.

Szedczenko wyszedł na korytarz, odprowadzany zaskoczonym, nierozumiejącym spojrzeniem siostry, lekkim kiwnięciem ręki Saszki i smutnym wyrzutem w oczach Marii. Na korytarzu spojrzął na drzwi do pokoju lekarskiego. I zobaczył jeszcze jedną kobietę w białym fartuchu – jakby odbicie Marii. Tylko w jej spojrzeniu było wiele smutku.

– Zrobiłaś głupstwo, dziewczyno – wyszeptał. Anna, prawdziwa Anna, osłupiała na jego widok.

– Ja to zrobiłam.

Teraz Szedczenko zrozumiał, dlaczego jego sobowtór zginął.

– W nim było więcej miłości niż w was obu. On nie mógł zabić kobiety.

– Więc i ty nie zdołasz.

– Znajdę kogoś, kto zdoła.

Zbiegł po schodach, ociężały, starzejący się mężczyzna w obcym mundurze. Ludzie napotkani po drodze – personel szedł do pracy – odsuwali się pod ściany.

Pod jednym względem Maria miała rację. Szedczenko pamiętał nazwiska i teraz miał wybór.

10

Walentyn Wiesnin nie kładł się tej nocy. Ten milczący, zamknięty w sobie mężczyzna, dwudziestopięcioletni specjalista od grafiki trójwymiarowej, popularny w wąskich kręgach twórca klipów reklamowych nie mógł usnąć.

Kirył Korsakow nic mu nie powiedział. Zresztą Walentyn nie miał najmniejszej ochoty go wypytywać. Zrobił Kiryłowi kolację. Chłopiec był wyraźnie głodny, ale jadł obojętnie i powoli, jakby wykonywał przykrą, lecz niezbędną czynność. Wiesnin pościelił mu swoje łóżko i Kirył tak samo obojętnie skinął głową i bezbarwnie zapytał:

– A ty gdzie będziesz spał?

– Mam dużo pracy.

– Jasne – Kirył ściągnął sweter. – Wala...

– No?

– Nie myśl, że oszalałem. Ten, który dzwonił, to też ja. Tylko inny.

– O której cię obudzić? – Zapytał Wiesnin po chwili.

– O siódmej. Albo jak znowu zadzwonię.

Walentyn skinął głową, odwracając się do monitora. Pentium sto dwadzieścia melancholijnie odtwarzał gotowy filmik. Wiesnin zastopował obrazek, nasłuchując, jak Kirył wchodzi pod kołdrę. Chłopiec położył się i wymamrotał:

– Wybacz, że cię w to wciągam. Po prostu jestem bardzo zmęczony. Jutro sobie pójdę.

jak zakłęcie – jutro sobie pójdę...

Przez kwadrans Wiesnin siedział bez ruchu. Potem wyszedł z 3D Studio, odczekał chwilę i włączył modem.

Telefon w przedpokoju cienko zadzwieczał, wtórując wybieranemu przez modem numerowi. Wiesnin drgnął, zerkając na łóżko, ale Korsakow się nie obudził.

Połączył się z Internetem już za pierwszym razem, zawahał się, zastanawiając się, gdzie

najszybciej dostanie informacje. Było kilka hostów ze świeżymi miejskimi wiadomościami. Ale nie miał teraz ochoty przebijać się przez górę plotek. Walentyn przełączył się na „Rozmowy stołeczne” – stały czat, pracujący w realnym czasie. Zerknął na okienko, teraz na linii gadało siedemnaście osób. Rozmawiano o polityce, o mających się odbyć wyborach, o ostatnich wypadkach kandydatów. Rozmowa była gorąca, czatowało dwóch komunistów, z zacięciem odpierających ataki ideowych przeciwników.

Wiesnin poprawił okulary, przebiegł palcami po klawiaturze.

„Witajcie. Przepraszam, wszedłem z pytaniem. Czy ktoś może mi opowiedzieć szczegółowo o dzisiejszym wypadku?”

Pstryknął klawiszem myszy, wysyłając pytanie do sieci. Rachunek był prosty – dziwne wypadki nie zdarzają się same. I na pewno znajdzie się kilka osób, przypartych w dyskusji do muru, które chętnie zmienią temat.

„Cześć. Mówisz o wybuchu w bloku?”

„Witaj, o czym mówisz?”

„Rozmawiamy o czym innym...”

Wiesnin znowu dotknął klawiszy.

„O bloku też. Chyba nie tylko o polityce można tu rozmawiać, obrzydło...”

Przerwa. Sieć reagowała niespiesznie, nie tylko z powodu pasywności rozmowy, która wielu czatującym zdążyła się znudzić, ale również prędkości modemów, zakłóceń na starych ateesach...

„O czym tu mówić? Gaz wybuchł, dziesięć osób się spaliło. Na odbudowę świątyni pieniądze są, ale na remont instalacji – ni cholery...”

Aha, ściągnął na siebie komunistę...

„Dzień jak co dzień, nic szczególnego. Na Dworcu Kurskim dzieciaki oblały benzyną bezdomnego, w jednym bloku wybuchł gaz, cała klatka w drobny mak. Jakiś psychopata załatwił kobietę i próbował zastrzelić jej syna. Wesoly dzień”.

Wiesnin drgnął. Ręce same spoczęły na klawiszach.

„Jaką kobietę?”

„Włączaj czasami telewizor. Nie pamiętam, gdzieś w centrum. Korsakowa, jeśli się nie mylę”.

„Co tu się dziwić? Pewnie chłopak ćpał. Narobił długów, przyszli z nim pogadać, a matka się nawinęła...”

Walentyn popatrzył na Kiryła. Spał z twarzą zarytą w poduszkę.

narkoman... pewnie... Kirył nawet nie pali. Czyli Ludmiła Borysowna...

Popatrzył na ekran. Pochwycił spojrzeniem pełną linię:

„To samo było za komunistów. Tylko wtedy milczeli...”

„Tam podobno mieszkał jakiś stary pierdziel. Pewnie odkręcił gaz i zapomniał podpalić...”

Wiesnin przerwał połączenie. Niech sieć omawia szczegóły bez niego. On już dowiedział się tego, co najważniejsze – dlaczego Kirył do niego przyszedł.

Więc naprawdę ktoś go prześladował! Dlaczego?

Walentyn poszedł na palcach do przedpokoju. Spojrzał przez wizjer na puste piętro. Dotknął zamków, jakby wypełniając jakiś rytuał.

Kirył Korsakow. W miarę samodzielny, ale żadne tam dziecko ulicy, stracił matkę i stał się obiektem czyjegoś polowania. I, co już było zupełnie niezrozumiałe, jeszcze się przy okazji rozdziwił.

Wiesnin zamknął drzwi od pokoju i poszedł do kuchni. Kawa i oxazepam – dziwne połączenie – ale teraz potrzebował właśnie takiego zestawu.

Kirył obudził się, dokładnie wiedząc, gdzie jest. Może z powodu cichego szumu komputera, nie milknącego całą noc, a może ciągłych wędrówek Wiesnina, nie takich znowu bezszelestnych, jak się temu wydawało. Sen był płytki, ale Kirył mimo wszystko czuł się wypoczęty.

– Kirył... – Wiesnin, zgarbiony na krześle przed komputerem, patrzył na niego czerwonymi rozpalonymi oczami.

On wie...

– Bardzo mi przykro, Kirył. Naprawdę...

Chłopiec chlipnął, błyskawicznie przechodząc od senności do wczorajszej beznadziei. Wiesnin niezgrabnie usiadł obok i położył mu rękę na ramieniu.

– Kirył, uwierz mi, masz wielu przyjaciół. Pomożemy ci.

– Nikt nie może... mi pomóc...

– Kirył, to ogromne nieszczęście, ale teraz musimy pomyśleć o tobie. Rozumiesz?

Chłopiec skinął głową. To było straszne, ale on naprawdę rozumiał. Teraz chodziło o jego życie.

– Kto cię szuka? Za co?

– Nie wiem.

– Wplątałeś się w jakąś historię?

– Tak. Nie mogę o tym opowiedzieć...

– Kirył, w takiej sytuacji najlepiej zwrócić się do milicji.

– Nie! – Chłopiec drgnął. – Wtedy to już naprawdę koniec ze mną.

– Kirył, jestem twoim przyjacielem.

Ręka Walentyna była nienaturalnie napięta. Kirył poruszył ramieniem, i ten pospiesznie zabrał dłoń.

– Właśnie dlatego nie pytaj.

– Kirył, pomóc to przede wszystkim zrozumieć.

– Chcę się umyć.

– Nie uciekaj przed odpowiedzią. Jestem od ciebie dwa razy starszy i coś niecoś wiem o życiu.

– Czasem nie trzeba rozumieć, tylko uwierzyć – Kirył patrzył mu w oczy przez płynące nieubłaganie łzy. – Możesz mi uwierzyć?

– Tak.

– W takim razie uwierz, że lepiej będzie, jak nic nie będziesz wiedział.

Wiesnin przygryzł wargę. Wpadł w pułapkę własnych słów. Pułapkę bez wyjścia.

– Dać ci szczoteczkę do zębów?

– Daj – Kirył sięgnął po dzinsy i zaczął je szybko wciągać.

– Ciągłe chcesz sobie pójść?

Kirył zawahał się.

– Nie wiem. Poczekam, może zadzwoni Wiz...

– Wiz?

– Może ja znowu zadzwonię...

W oczach Wiesnina błysnął płomyk szaleństwa.

– Słuchaj, jestem w stanie uwierzyć, w co tylko chcesz. Nawet w to, że KNB przeprowadził eksperyment i ty się rozdziwiłeś.

– Głupoty – skomentował Kirył, zapinając koszulę. – Obiecałeś mi szczoteczkę do zębów.

Walentyn pokornie wstał.

Duma zajmowała się swoją zwykłą pracą – przelewaniem z pustego w próżne. Dyskutowano nad jakimiś mizernymi zachodnimi kredytami. Na co je przeznaczyć, jakie gałęzie zasilić. Rolnictwo czy prace komitetu nad tymże rolnictwem.

Wezyr był przekonany, że jedynym sensownym wyjściem z sytuacji byłoby zjawienie się Chrystusa, który zdołałby nakarmić siedmioma bochnami chleba cztery tysiące głodnych, nie licząc oczywiście kobiet i dzieci. Pół godziny siedział, przeglądając ramówkę dnia przygotowaną przez referenta, od czasu do czasu wsłuchując się w bredzenie zabierających głos. Wreszcie po cichu wyszedł z sali obrad i zszedł do bufetu.

Jadło tu śniadanie kilkunastu deputowanych i tyle samo dziennikarzy. Wezyra zmierzającego z filiżanką kawy do wolnego stolika odprowadziły liczne spojrzenia.

– Można?

Wezyr podniósł oczy na mężczyznę, który stał nad nim z filiżanką.

– Witaj, Albert. Siadaj, mój drogi.

– Zmęczony debatami?

– Nawet jeśli, nie jest to informacja dla prasy – Wezyr uśmiechnął się do redaktora naczelnego „Naszej Rzeczywistości”. – Powiem, że zmęczony, a jutro przeczytam w gazecie, że wybraliśmy słabeuszy, którzy nie mają nawet siły słuchać.

Albert Daniłowicz rozłożył ręce.

– Od tego jest czwarta władza, Raszidzie Gulamowiczu. Prezydenta się nie boicie, więc może my się na coś zdamy?

– Od tego jest i wilk w polu... zapewne.

Wezyr cedził kawę małutkimi łyżkami. Kiepska kawa, nie ma co.

– Czemu nas ciągle podgryzacie, wilki pióra? – burknął. – Znowu się przyczepiliście do Wołgazu.

– Już pan czytał? – Albert Daniłowicz zaciekawiał się. – Coś się nie zgadza? Proszę dać sprostowanie.

– Jakie tam sprostowanie, powiedzieliście prawdę... jak zawsze – Wezyr obdarzył redaktora naczelnego smutnym uśmiechem. – Ale nie całą. Żebyście chociaż raz byli w mieście gazowników, popatrzeli, jak u nas umieją troszczyć się o ludzi.

– Ciężko wszystko ogarnąć. Małutki punkt korespondentów, jeden samochód, stary faks, starożytny komputer. Wie pan, jak władza lubi gazety opozycyjne.

– Wiem. – Wezyr zawahał się. – Mam sugestię – spróbujcie podejść do kwestii wszechstronnie. A co do sprzętu – pomożemy. Prasie pomagamy bez żadnych warunków i uraz.

Albert Daniłowicz stał się czujny.

– Niestety, nie możemy przyjmować pomocy od przeciwników ideowych.

– A od sprzymierzeńców? Jeśli pomoże wam Szełganow?

– I tak nam pomaga, jak może.

– A my pomożemy jemu.

Albert Daniłowicz w milczeniu dopijał kawę.

– Szełganow to uczciwy i porządny człowiek – powiedział w końcu.

– Z innymi nie współpracujemy. Przeciwnie.

Redaktor naczelny wzruszył ramionami i podał mu rękę.

– Miło było porozmawiać. Jak pan będzie głosował, jeśli to nie tajemnica?

– Nie tajemnica. Ale to i tak nie zmieni sytuacji.

– Zgadza się.

Wesyr odprowadził redaktora zamyślonym wzrokiem. No tak, poparcia wielkiej gazety, za którą stoi ogromny elektorat, tak łatwo się nie kupi.

Ale można sondować grunt na temat współpracy.

Mają go za grubą rybę – pięknie. Wilk-samotnik. Skryty, porywczy rosyjski szowinista azjatyckiej krwi.

Trzeba przyznać, że Raszid Gulamowicz wybrał udany image. Należą mu się podziękowania.

Wiesnin otworzył pojemnik na pieczywo i prychnął. Za bardzo go wczoraj pochłonęła praca, nawet nie poszedł do sklepu.

– Kirył, skoczę po chleb – powiedział. – Poczekasz?

– To ja pójde – zaproponował Kirył.

Walentyn poprawił okulary.

– Myślę, że to nie jest dobry pomysł. Chyba sam rozumiesz?

– Kto mnie tu może szukać?

– Ale to ja mimo wszystko jestem dorosły...

Chłopiec zaśmiał się cicho.

– Pamiętasz, co zawsze mówiłeś, gdy w „Nawigatorze” dyskutowano o książkach dla dzieci?

– Dużo rzeczy mówiłem.

– Że wiek to jeszcze nie wskaźnik odpowiedzialności i nawet mając dziesięć lat człowiek ma prawo podejmować dowolne decyzje. Ja mam trzynaście.

– Nie o to chodzi – skrzywił się Wiesnin. – Któremu z nas łatwiej zaryzykować?

– Mnie. Sam mówiłeś, że nie mógłbyś zabić człowieka, nawet jeśli on chciałby zabić ciebie.

– A ty mógłbyś?

Kirył zawahał się.

– Prawie.

Wiesnin powinien powiedzieć, że pomiędzy „prawie” i „mogę” jest czasem przepaść. Ale nie powiedział. Dla niego nie istniało nawet „prawie”, i doskonale o tym wiedział.

– Wala, pójde do sklepu.

– Dobra – Wiesnin sięgnął do kieszeni, wyjął pieniądze i podał Kiryłowi. – Kup chleb i mleko.

– Mam pieniądze.

– Kto tu jest u kogo w gościach? O, i kup coś do herbaty.

Kirył wziął pięćdziesiąt tysięcy rubli i wsunął do kieszeni.

– Zaraz będę...

– Wiesz, gdzie jest sklep?

– Wczoraj przechodziłem obok niego, znajdę.

* * *

Karamazow nie pojechał do domu, żeby się przebrać. Trochę ubrudził kurtkę, ale wypranie nylonu nie było trudne. Teraz najważniejszy był czas. Raz się chłopakowi udało uciec i pewnie sądził, że nie można go znaleźć. Ciemność jednak podpowiedziała, gdzie szukać.

Szkoda tylko, że miejsce, w którym ukrywał się cel, było rozmazane, migotliwe. Wcześniej takie rzeczy się nie zdarzały. Może chłopcy się rozdzielili? Jeden ukrył się u znajomych, a drugi po prostu włóczył po mieście? Ilja dopuszczał taką możliwość. Cóż, tym bardziej trzeba usunąć choćby jednego, zmniejszyć nieokreśloność.

Nie tracił czasu na metro, złapał okazję, co niebawem zdumiałoby jego kolegów z redakcji. Wysiadł z samochodu cztery ulice od celu.

Tym razem szedł do pracy bez broni. To nie problem, sam był bronią straszniejszą niż jakikolwiek pistolet. O trzeciej po południu miał spotkanie z jednym z dostawców narzędzi. A na razie muszą wystarczyć ręce i cienki sznurek w kieszeni.

Najwyraźniej znowu trzeba będzie usunąć świadka. Do licha... Jakie to dziwne i jednocześnie logiczne, że najbrudniejsza robota padła na najbardziej bezbronnych i niewinnych klientów. Słabość prowokuje. Słabość jest przestępstwem.

Karamazow szedł w stronę długiego ośmiopiętrowego bloku tak pewnym krokiem, jakby tu mieszkał. Przeskakując wypełnione błotem wyboje w asfalcie, nie oglądając się na boki. Chyba żaden przypadkowy przechodzień nie zapamięta go...

– Hej!

Ilja drgnął. Nie na skutek krzyku, lecz znajomego głosu. Zatrzymał się, odwrócił.

Kirył Korsakow, jego małoletni cel, stał dwadzieścia metrów od niego, w przejściu pomiędzy domami. Dwoma rękami ścisnął reklamówkę wypchaną niezbyt ciężkimi rzeczami.

– Gad! – krzyknął chłopiec.

Ilja zrobił krok, drugi, zaczął biec. To było niesłychane. Co za bezczelny gówniarz. Mysz, która ryknęła na kota.

A przecież on tylko wykonuje swoją pracę!

Chłopiec odwrócił się i rzucił do ucieczki.

* * *

Kirył poznał zabójcę od razu. Nie twarz, której przecież nie udało mu się wtedy na klatce dojrzeć, nie ubranie – teraz mężczyzna przypominał wracającego z działki mieszkańca blokowiska. Po prostu coś zakłuło go w piersi i Kirył zatrzymał się, ściskając reklamówkę z zakupami.

Znowu ktoś szedł, by go zabić.

To było idiotyczne i nierealne. W biały dzień, na podwórku ogromnego domu, obok ulicy, po której mknęły samochody, człowiek, który zabił jego matkę, szedł do klatki Wiesnina.

Jak się dowiedział?

Kirył cofnął się. Powinien uciekać, póki zabójca nie spojrzy w jego stronę. Przypomniawszy sobie nawet wizję kuli nad ramieniem.

Uciekać...

Ale zabójca wejdzie po schodach i zadzwoni do drzwi. Będzie wiedział, co powiedzieć. Wala otworzy...

I znowu kołyszająca się kamera chciwie zajrzy do mieszkania.

– Hej!

Zdziwił go własny okrzyk. Postać w burej nylonowej kurtce zastygła w pół kroku.

– Gad!

Kirył nie zdziwił się, gdy zabójca rzucił się w jego stronę. To był ciąg dalszy strasznych snów, w które przemieniło się życie. Snów, w których przestępcy nie uciekają przed milicją, a uczciwi ludzie ratują się ucieczką przed bandytami. Czyżby to stało się normą?

Kirył rzucił się do ucieczki.

Kątem oka dostrzegł, jak kobieta idąca z naprzeciwka z ciężką torbą szybko i zdecydowanie skręciła do klatki, którą już minęła; jak z balkonu pierwszego piętra znikła postać dziewczyny, która wyszła zapalić, w kurtce narzuconej na ramiona. Słusznie. Gdy mały chłopiec ucieka przed zabójcą,

nie warto patrzeć na takie smutne widowisko...

Kirył skręcił w stronę rzędów garaży, słysząc, jak z tyłu przybliżyła się śmierć. Znalazł się jakby w wąskim korytarzu – z lewej strony budynek, z prawej betonowe pudełka garaży, przed nim stalowe pręty ogrodzenia otaczającego nagie drzewa i małe altanki. Przedszkole?

Pobiegł do przodu. Zabójca nie wydał ani jednego dźwięku. Po prostu go doganiał – powoli i nieuchronnie. Kirył pomyślał ułamkiem świadomości, że dzieci niesłusznie uważają, iż dorośli nie umieją biegać. Umieją – jeśli trzeba.

Pięć metrów przed ogrodzeniem Kirył spostrzegł z jakąś fotograficzną dokładnością, że dwa pręty są odgięte – pewnie miejscowe dzieciaki zrobiły sobie wygodne przejście na teren przedszkola. Taki sam przełaz był również w ogrodzeniu przedszkola obok jego domu. Wieczorem w małych altankach chłopaki zbierali się, żeby spokojnie zapalić, napić się i pogadać o dziewczynach. Kirył skoczył w wąskie przejście.

Uderzył się w ramię i omal nie utknął w przełazie. Z tyłu zaklął prześladowca i chłopcu wydało się, że owiał go wiatr od ostatniego ruchu zabójcy. Szarpnął się, przeciskając się przez wąską szczelinę, i upadł na rozmięktą od deszczu ziemię. Odwrócił się przerażony, spodziewając się zobaczyć czarne oko lufy.

Zabójca próbował precyzyjnie się między prętami. Wyciągnął się jakoś dziwnie, wsunął głowę, ale szerokie ramiona uparcie nie chciały przejść, obalając starą prawdę: „Najważniejsze, żeby przeszła głowa”.

Kirył zerwał się i już miał dać nura w głąb terenu przedszkola, ale się odwrócił. Popatrzył na zimne zmrużone oczy. I podskoczył, kopiąc prześladowcę w twarz. Podeszwa z chrzęstem przejechała po policzku.

Mężczyzna zawył z bólu, wyszarpując się z przełazu. Z przekrzywionego nosa ciekła ciemna krew, mieszając się z lepkim błotem, które spadło z podeszwy adidasa Kiryła.

– Gad... – wyszeptał chłopiec.

Mężczyzna wytarł twarz dłonią. Popatrzył na niego uważnie, jakby zapamiętując. Bardzo spokojnie powiedział:

– Chodź tutaj. Nic ci nie zrobię.

Kirył zaśmiał się histerycznie.

– I tak nie uciekniesz – powiedział zabójca. – Gdzie drugi?

Chłopiec cofnął się, strach, który na sekundę znikł, wrócił. Wydawało się, że gdyby uderzył mocniej, tak żeby zedrzyć skórę, zobaczyłby pod nią metal. Przed nim stał nie człowiek, lecz jakiś robot, terminator z filmu.

– Co się dzieje?

Zza garaży wyszedł mężczyzna. Rosły, krzepki, w porównaniu z nim zabójca wyglądał jak chłopak. Francuz w jego ogromnej łapie sprawiał wrażenie zabawki. Na chwilę Kirył poczuł, jak stojący na głowie świat staje na nogach.

– Kompletnie tym chuliganom odbija. – Zabójca odwrócił się. – Wsadził mi łapę do kieszeni, gnojek. Próbowałem go złapać...i proszę. – Znowu otarł twarz.

– On chciał mnie zabić! – krzyknął Kirył. Mężczyzna zmierzył go spojrzeniem, potem popatrzył na okrwawioną twarz zabójcy.

– Ja go rozumiem – oznajmił. – Chodź no tu, szczeniaku!

Kirył rzucił się do ucieczki.

Nie, świat nie miał zamiaru normalnieć. Stanie na głowie było dla niego bardziej naturalną pozycją.

Z tyłu posypały się przekleństwa. Ogrózenie przedszkola było wysokie i kompletnie nie nadawało się do przechodzenia. Ale w każdym płocie jest furtka...

Kirył pobiegł w stronę budynku przedszkola. Bawiło się tutaj ze dwudziestu maluchów pod okiem przedszkolanki, która zmierzyła intruza posępnym, nieprzyjemnym spojrzeniem, ale nic nie powiedziała. Kirył pobiegł dalej, do bramy, ale poślizgnął się na błocie i upadł. Reklamówka wypadła mu z rąk, prosto pod nogi pięcioletniego chłopca.

Dzieci zaśmiały się. W tym wieku nic tak szczerze nie cieszy, jak czyjś upadek w kałużę.

Kirył powoli wstał. Podszedł do reklamówki, z której wypadł chleb i czekolada...

do herbaty...

– Uciekasz? – zapytał maluch.

– Uciekam – odruchowo odpowiedział Kirył.

Chłopczyk w zadumie oglądał upaprany błotem chleb, popatrywał, jak Kirył wyciera tabliczkę czekolady.

– Lubisz? – zapytał.

– Nie. Chcesz?

– Chcę – przyznał się maluch bez zbędnej skromności.

– Bierz – Kirył wsunął mu do ręki czekoladę i pobiegł do bramy.

12

Był już wieczór, gdy pociąg wjechał na stację w Aktiubińsku. Ani Jarosław, ani Sława nie rozmawiali więcej o tym, co czekało ich w Moskwie. Droga dawała odpoczynek i nudę – jedyne, co mogła dać.

– Konduktor obiecał, że jakby co, nikogo nie dosadzi – powiedział Sława, tasując karty. – Dobrze by było dojechać tylko we dwóch.

– Pamiętasz te wyprawy do Moskwy po książki? – zapytał nieoczekiwanie dla samego siebie Jarosław.

– Z Walerką? Pamiętam. Fajnie było, nie?

– Zero zysku, za to podróż się zwracała, można się było upić z przyjaciółmi i wszystkie nowinki były nasze...

Sława roześmiał się.

– Rosyjski biznes. Zero zysku.

– Już lepiej ukraść skrzynkę wódki, sprzedać, pieniądze przepić...

– Nienormalny jesteś – rzekł z wyrzutem Sława. – Ale mi się trafiło... Inni Wizytorzy mieli interesujące życie.

– Aha, już do nich strzelają.

– Nie dowcipkuj. Obawiam się, że dzisiaj niektórzy odeszli.

– Dowiesz się w nocy?

– Tak... Poczuję.

Jarosław zaczął się wiercić na kuszetce.

– A jednak niezły z ciebie sukinsyn. Ty coś wiesz o swoim pochodzeniu. Po prostu nie chcesz powiedzieć.

– Nawet gdyby? Pamiętasz swoje wędrówki po sieci? Gdy czytelnicy omawiali niedopowiedziane momenty w twoich książkach? A ty chichotałeś, czytając ich wersje, potem wybierałeś tę, którą wypowiedział najbardziej sympatyczny rozmówca, i podpierałeś ją autorytetem autora. Dlaczego

niałbym być gorszy od ciebie?

– Skończ – Jarosław nieco się stropił.

– Dobra. Idę zapalić na peronie.

– Dlaczego ty?

– Ty wychodziłeś na poprzedniej stacji, gdy ja dyżurowałem w przedziale.

– Też porównanie – rozjazd i miasto!

– I co z tego?

Sława rzucił karty na stół, zdjął z wieszaka kurtkę i powiedział pouczająco:

– Są dwa błędy, które można popełnić w podróży. Pierwszy – wypić za dużo. Drugi...

– Wypić za mało? Nawet o tym nie myśl.

– Tiu-tiu-tiu – Sława uśmiechnął się, wychodząc na korytarz.

Konduktor, starszawy niski Kazach, zamknął służbowy przedział, zerknął na Sławę i skrzywił się, coś sobie przypominając.

– Zdaje się, że to ty prosiłeś, żeby do przedziału nikogo nie dosadzać?

– Mhm. Ja i brat.

– Słuchaj, jest taka sprawa, rozumiesz... za dużo biletów tu sprzedali. Kogoś będę musiał dosadzić.

– Szefie, ile trzeba?

Konduktor pokręcił głową.

– Nic nie trzeba. Trzeba się posunąć.

– Szefie, a ja myślałem, że się umówiliśmy.

– Nie musisz mnie obrażać. Dobrego podróżnego ci dosadzę. Staruszki i dzieci rozrzucę po innych przedziałach. Kogo ci dać? Dziewczynę?

– Dawaj – powiedział Sława, wyciągając z paczki papierosa.

– Rosjankę dosadzić?

– Ładną dosadź.

Konduktor wykrzywił się w uśmiechu.

– Kto cię tam wie, jaka dla ciebie ładna. Mnie się wyda ładna, a ty przez okno wyskoczysz.

Sława roześmiał się.

– Dosadź Rosjankę. W porządku?

– W porządku. Słuchaj, weź mi na peronie papierosy. Nasze weź, nie mogę palić tych rosyjskich.

– Zrobione, szefie.

Poszedł w siad za konduktorem i przecisnął się obok niego, gdy ten opuszczał schodki. Rozpychając tłoczących się przed wagonem pasażerów i handlarzy, odszedł kilka kroków, zapalił. Rzędy handlarzy, którzy rozsiedli się na ziemi wzdłuż peronu, wydawały się ciągnąć bez końca. Na widok Sławy sprzedawcy zaczęli gadać jeden przez drugiego. Podeszedł do staruszka, obok którego leżała góra arbużów i dyń.

– Ile?

– Bierz. Dobre...

– Ile za ten?

– Dziesięć – sprzedawca uśmiechnął się chytrze.

– Pomyłka. Jadę do Moskwy, nie z Moskwy. Pięć.

– Bierz...

Sława wsunął mu pięć tysięcy, z wysiłkiem podniósł arbuza i zapytał:

– Gdzie można kupić alkohol? Normalny alkohol?

Staruszek machnął ręką w stronę budynku dworca. Sława spojrział szybko na zegarek.

– Hej, po co chodzić? – Podskoczył do niego dwudziestoletni chłopak. – Bierz tę. Bierz, dobra wódka!

Machnął przed twarzą Sławy butelką. Żółta, krzywo naklejona etykieta głośno – „Oryssa arak”^{*}.

Sława chwycił go za kołnierz, przyciągnął do siebie.

– Tę wódkę – powiedział wyraźnie – wlej sobie w tyłek. Jasne? Techniczny spirytus z kanistra, matka nalewa, ojciec zakręca, ty sprzedajesz. A ty, bydlaku, będziesz to pił?

Chłopak już otworzył usta, żeby się odciąć, ale popatrzył w oczy Wizytora i nie odezwał się. Szarpnął się, uwalniając kurtkę, i zaczął się cofać.

– Rozbij – polecił zimno Sława.

Chłopak rozejrzał się niepewnie.

– Słyszałeś?

Niczym zahipnotyzowany chłopak podniósł butelkę i grzotnął w żelazny słupek na wół rozwalonego ogrodzenia. Z przerażeniem wpatrywał się w usypaną szkłem kałużę. Brzęk tłuczonej butelki zgromadził wokół nich pięciometrowy krąg osłupiałych handlarzy, w milczeniu przyglądających się niewiarygodnemu wydarzeniu.

– Rozbij wszystkie – polecił Wizytor odwracając się.

Postój miał trwać piętnaście minut, na dworzec trzeba będzie biec.

Jarosław, obserwujący całe zajście z okna, jako jedyny rozumiał, co się stało.

Wizytor trenował.

Nieszczęsny bootlegger miał po prostu pecha. Wizytorzy, jak powiedział Sława, niemal nie posiadali nadnaturalnych zdolności.

Teraz młodociany handlarz podrobioną wódką odczuwał na własnej skórze owo „niemal”.

Co było jedyną bronią jego, pisarza? Jeśli nie liczyć taniego pistoletu gazowego, spoczywającego na dnie torby?

Słowo.

Wizytor władał dziwną alchemią przemieniania słowa w czyn. Władał czymś więcej niż hipnoza, czymś w rodzaju sztuczek Messinga.

Jarosław westchnął, odwracając się od oszalałego chłopaka, tłukącego o ogrodzenie trzecią butelkę. Ludzie omijali go starannie.

Ciekawe, jakie cuda potrafią robić inni Wizytorzy?

Ktoś szarpnął drzwi. Jarosław zdumiony podniósł oczy, ale to nie był Sława. Konduktor mrugnął do niego chytrze, niczym spiskowiec.

– Ma pan gościa, niech się pan odrobinę posunie, dobrze?

Dziewczyna, może dwudziestoletnia, w płaszczu na mechatym sweterku i w jasnobłękitnych dżinsach niepewnie weszła do przedziału.

– Dzień dobry – Jarosław podciągnął nogi siadając.

– Dzień dobry – dziewczyna obejrzała się na konduktora, ale ten już znikł, niczym diabeł w pudełku. – Jedzie pan sam?

– Nie, z bratem. Dolne kuszetki są wolne, może pani wybrać.

– Aha – dziewczyna postawiła niewielką walizkę. Sympatyczna, jasnowłosa, ale z tym lekkim piętnem prowincjonalizmu na twarzy, którego Jarosław tak nienawidził w sobie samym. – Daleko pan jedzie?

– Do końca.

– Wspaniale! A ja już pięć lat w Moskwie nie byłam. Jadę do Saratowa.

Trochę się denerwowała. Pewnie naczytała się w brukowcach opowieści o gwałtach w pociągach. Jarosław sam kiedyś takie klecił, dorabiał. Dwadzieścia dolców za opowiadanie. „I wtedy czterech mężczyzn kaukaskiej narodowości jednocześnie zgwałciło dziewczynę czterema różnymi nienaturalnymi sposobami...” Jarosław prychnął, tłumiąc śmiech.

– Pomóc pani postawić walizkę?

– Co? Dziękuję. Ja zaraz, tylko wyjmę...

Pociąg szarpnął wagonami. Jarosław niespokojnie spojrzął w okno, na przesuwaną się peron. Ale będzie numer, jak Wizytor tu zostanie. A co on sam będzie robił w Moskwie?

Zajęcie zawsze się znajdzie. Napije się wódki ze Skicyńem, wina z Ozierowem, pogada o fantastyce i wysłucha stołecznych wiadomości. Wyprosi w jakimś wydawnictwie zaliczkę na kolejną książkę. Jaką książkę? Nigdy nie miał problemów z wymyśleniem.

Poczuł ulgę. Wizytor znikł z jego życia jak zły sen. Zagubił się w miasteczku na północnych obrzeżach Kazachstanu. Przywyknie, przy grucha miłą dziewczynę, znajdzie pracę...

Znowu zachciało mu się śmiać.

Do przedziału wsunął się Sława. Z arbuzem pod pachą i ciężką, żałośnie brzękającą torbą w rękę.

– Co, zgubił?... Dzień dobry.

– Dzień dobry – dziewczyna popatrzyła na niego zaskoczona, potem na Jarosława, znowu na Wizytora. Uśmiechnęła się niepewnie.

– Poznaj mnie z gościem – powiedział Sława, kładąc arbuz na siedzeniu.

– Sam się jeszcze nie zdążyłem poznać.

– Dżentelmen... Jestem Sława. A ten opóźniony towarzysz to Jarek.

– Tonia. Jesteście bliźniakami?

– No, w pewnym stopniu. – Wizytor skinął głową. – Ja jestem młodszy, on starszy. Mądrzejszy i smutniejszy, ale proszę się na niego nie gniewać.

Tonia zaśmiała się.

– Ojej, ale mnie stropiliście. Nigdy nie znałam dorosłych bliźniaków.

– Już pani naprawiła ten błąd.

– W naszej szkole jest para bliźniaków, ale kompletnie do siebie niepodobni, niebo i ziemia.

– Pani jest nauczycielką?

– Tak, języka rosyjskiego i literatury.

Sława zamachał rękami.

– Proszę mnie nie straszyć, Tonia! Zawsze bałem się wypracowani. Mogę usiąść?

– Proszę, niech pan siądzie, Sława – Tonia bez powodzenia próbowała przybrać surowy ton. – Ojej, ale śmiesznie...

– Prawda? Może przejdziemy na ty?

– Oczywiście.

– Tonia, wypijemy za znajomość?

Wizytor gestem sztukmistrza wyjął z reklamówki butelkę szampana i butelkę wina. Odłożył torbę opróżnioną zaledwie do połowy.

– Chłopaki, ja nie piję.

– My też nie. Zabijamy czas. Jarek, nie siedź jak słup, dobra? Wyjmij kiełbaski i czekoladę dla Toni.

– Mam kurę, jeszcze gorącą – wtrąciła szybko dziewczyna.

– Tonia, jesteś czarodziejką. Kura w pociągu to ptak szczęścia – odparł poważnie Sława.

– Niebieski – wyszeptał Jarosław, otwierając torbę.

CZEŚĆ CZWARTA

ALIANSE

0

Spotkali się w malutkiej kawiarence, z której Ilja często korzystał w podobnym celu. Nie tracił czasu: zdążył zjeść obiad, zanim do jego stolika przysiadło się dwóch mężczyzn – młody chłopak o twarzy nie skażonej intelektem i szary, niepozorny człowiek.

– Witaj, Korektorze – rzucił mężczyzna i skinął chłopakowi: – Zorganizuj coś do jedzenia.

Ilja kiwnął głową, nie odrywając się od talerza. Głodny był strasznie, pewnie po tym stymulatorze, który też tłumił ból w opuchniętym i chyba złamanym nosie, że prawie się go nie czuło. Krew przestała płynąć już dawno, Karamazow miał doskonałą krzepliwość.

Zabawne, że Plugawy poznał jego roboczy pseudonim. Zabawne...

– Witaj, Harin – Ilja odsunął talerz. – Jak tam, remont skończony? W chacie zrobiło się przyjemniej?

Mężczyzna drgnął i pokręcił głową. Z lekkim zachwytem powiedział:

– Twardy jesteś, Korektor. I śmiały.

– Ci, których się boję, długo nie żyją.

Harin popatrzył mu w oczy i odwrócił wzrok.

– Jak poznałeś moje nazwisko?

– Ja cię o to nie pytam. Przejdźmy do rzeczy.

– Do rzeczy... łatwo powiedzieć. Szkoda, że o bazukę nie poprosiłeś.

– Może jeszcze poproszę. Z taką prośbą sobie poradziłeś?

Harin rozejrzał się szybko, zniżył głos:

– Steczkin i klin... klina nie ma.

– Szkoda.

– Kedr weźmiesz?

– Nie pracowałem z nim.

– Równie prosty, za to lepszy.

Ilja wzruszył ramionami – zobaczymy...

– Ile?

– Dwa.

Karamazow pokręcił głową.

– Mówiliśmy o innej cenie. O zupełnie innej.

– Czas, przyjacielu, czas. Ekspresowe zamówienie.

– Zejdź na dwie setki. Zostanę bez grosza.

Harin aż rozłożył ręce, słysząc tak niepoważną propozycję.

– Coś ty, Korektor? Ochłoń. Po dwa magazynki na gnata!

– Opuść setkę. Więcej nie mam.

– Nie mogę, uwierz.

Ilja w milczeniu zdjął z nadgarstka zegarek i położył na stole przed Harinem. Ten zaskoczony popatrzył na tarczę.

– Wpół do czwartej... O co chodzi?

– Wart dwie setki. I tysiąc dziewięćset daję gotówką.

Harin zaśmiał się nerwowo.

– Coś ty, pomidorami na bazarze handlujesz?

– Przecież mówię, że nie mam więcej przy sobie! Mówiłeś, że będzie tysiąc sześćset, pamiętasz?

– Spotkamy się jutro.

– Muszę mieć dziś. Nie żartuję.

Wrócił ochroniarz Karina z tacą. Handlarz w milczeniu wziął szklanekę soku, podejrzliwie obejrzał kawałek mięsa na talerzu, wbił w nie widelec. Zapytał:

– Możemy pójść na rękę dobremu człowiekowi?

– Dobremu? – zainteresował się dobrodusznie ochroniarz, siadając obok. – Możemy.

– Brakuje mu sto dolarów, oddaje zegarek – oznajmił Harin, znęcając się nad befsztykiem. –

Widocznie kompletnie go przycisnęło.

Ochroniarz wziął zegarek, poobracał w rękę.

– Co to?

– Platyna.

– Syn mi żyć nie daje, kup mu dobry zegarek i kup mu dobry zegarek – zastanawiał się na głos ochroniarz. – Naprawdę platyna?

Karamazow zmierzył go pogardliwym spojrzeniem.

– Wezmę – zdecydował się ochroniarz. – Będę winien setkę, dobra?

– Nie zdejmą zegarka z twojego chłopaka?

– Z mojego nie zdejmą – zarozumiałym tonem oznajmił ochroniarz.

Ilja uśmiechnął się. Wyznawał teorię, że do każdej sprytnej nakrętki można dopasować śrubę, ale nie miał zamiaru się nią dzielić.

– Nawet smaczne – zauważył Harin. – Popatrz no, niby taka spelunka, a jedzenie dobre.

– Życie jest pełne niespodzianek.

– Masz rację, masz rację. – Harin zaczął się spieszyć. – Pieniądze.

Ilja wyjął portfel, demonstracyjnie wytrząsnął zawartość na stół.

– Rzeczywiście więcej nie ma – przyznał Harin, przeliczając pieniądze. – Dobrze, Korektor.

Posiedź tu kilka minut.

Wstał, ochroniarz też się podniósł, popatrując pobłaźliwie na Ilję. Głupiec. Karamazow mógłby go załatwić gołymi rękami w pięć minut. Na niego jeszcze nie wymyślili strzały...

Gdy jego rozmówcy wyszli, Ilja wziął z tacy nie tkniętą drugą szklanekę z sokiem i chciwie wypił. Grejpfrutowy. Bardzo zdrowy.

Pięć minut później przysiadł się do niego jeszcze jeden chłopak. W pośpiechu, dławiąc się, zjadł ciastko i wyszedł, zostawiając przy stoliku zwykłą skajową dyplomatkę. Po chwili wstał również Karamazow, zabierając dyplomatkę z jej ciężką zawartością.

Skoro okazało się, że nawet najłatwiejsze cele potrafią gryźć, trzeba wymacać najtrudniejszy. Teraz miał przynajmniej odpowiedni ekwipunek.

1

Tonia upijała się bardzo szybko. Żłudna delikatność muskatu kupionego przez Sławę była dla niej nowością.

– Chłopcy – zaśmiała się chwytając Jarosława za rękę. – Powiedźcie, naprawdę jesteście pisarzami?

– Trzymaj – Sława wyciągnął z torby książkę i podał jej. – Jarosław Żarow. „Cienie snów”. Widzisz?

– No...

– A tu masz dowód Jarka...

– A twój? – zapytała ze śmiechem Tonia. Siedziała na kuszetce naprzeciwko „braci”, po wschodniemu, w kucki. Jarosław za każdym razem, gdy na nią patrzył, mimo woli zatrzymywał wzrok na opiętych dzinsami biodrach.

– Ja nie mam dowodu. Piszemy obaj pod jednym pseudonimem.

– A tak można?

– Można, można...

– „Cienie snów” – odczytała uroczyście Tonia. – Ciekawe... chciałabym przeczytać...

– Prezent – zgodził się lekko Sława. – Nie sposób ci odmówić, Toniu.

– W takim razie autograf!

– W tej chwili. Jarek, napiszesz?

– Sam napisz. Lepiej ci wyjdzie.

Sława uśmiechając się wyjął długopis. Zawahał się na moment, drapieźnie celując w stronę tytułową. Jedną z przyjemności autora – bezkarne bazgrolenie na książkach...

– Tylko... – Tonia zachwiała się, straciła równowagę, zawisła na ramionach Wizytora. – Tylko bez poufałości! Mój mąż to straszny zazdrośnik!

– Jak ja go rozumiem. – Sława pisał szybko, zamaszyście. – Trzymaj, Tonieczka!

Jarosław z ciekawością patrzył, jak Tonia czyta długą, na pół strony, dedykację. Przez chwilę wydało mu się, że wytrzeźwiała.

– Ojej... dziękuję... – zacerwieniła się. Ciekawe, jak Sławie udało się uzyskać taki efekt przestrzegając zakazu poufałości? – Dziękuję...

Opuściła nogi na podłogę i wyprostowała się nad Sławą. Ten patrzył na nią z uśmiechem.

Tonia nachyliła się, pocałowała go w usta. Znacznie dłużej, niż wymagałaby tego zwykła wdzięczność.

– A mnie? – zapytał Jarosław.

– Ciebie też! – zgodziła się wielkodusznie Tonia. Usiadła pomiędzy nimi, obejmując Jarosława, ten odruchowo zamknął objęcia. Pocałowali się – głęboko, z namiętnością, która zaskoczyła Jarosława. Po chwili Tonia odsunęła się. – Chłopaki, wy się absolutnie identycznie całujecie!

– My we wszystkim jesteśmy jednakowi – powiedział Jarosław lekko schrypniętym głosem. Tonia ściągnęła brwi, pogroziła mu palcem.

– Jarek! A jak zechcę sprawdzić?

– Sprawdzaj. Nawet palić nam się chce w tym samym czasie – oznajmił Sława. – Jarek, idziemy?

Wychodząc z przedziału, Wizytor nie zapomniał wlać do szklanki Toni resztki szampana i zabrać

pustej butelki. Wagon już cichł, szykował się do snu. Tylko z jednego z przedziałów, gdzie też widocznie zabijano czas, dobiegały okrzyki zagłuszające stukot kół.

– Do czego zmierzasz? – zapytał Jarosław, patrząc na plecy Wizytora.

– Ja? Co masz na myśli?

– Zachciało ci się przygód w podróży?

– Dlaczego by nie? – Zatrzymali się w zimnym zadymionym przedsionku. – Jarosław, nie rozumiem cię! Zdaje się, że ostatni raz spałeś z kobietą miesiąc temu?

– Jest nas dwóch!

– No to co? Dziewczynę najwyraźniej właśnie to pociąga.

– Sława...

– Co, Sława? – Wizytor podniósł głos. – Ja chcę żyć, rozumiesz? Nie tylko twoimi wspomnieniami, wyschniętymi ogryzkami emocji! Sformułuję to tak – chcę stracić niewinność! Jeśli chcesz – weź butelkę i przyłącz się do innego towarzystwa, na pewno cię przyjmą. Albo posiedź u konduktora, z nim się napij.

– A dlaczego ty nie miałbyś skorzystać z tej rady?

– Z jakiej niby racji? Ta sympatyczna dziewczyna Tonią wypowiedziała się wystarczająco wyraźnie. Jeśli rogi jej męża wydłużą się podczas naszej podróży o kilka centymetrów, na pewno nie będę miał wyrzutów sumienia.

– Ja też, ale jest nas dwóch...

– Cóż, rogi będą symetryczne... Ocknij się! Co ci przeszkadza? Zazdrość czy wstręt do seksu grupowego? W naszym wypadku te powody są co najmniej śmieszne.

Wyrzucił niezapalony papierosa.

– Idę do przedziału. Decyduj się.

Jarosław wyjął powoli swoją paczkę papierosów. Zapalił. Za zaparowanym oknem przepływała noc.

Jak dziwnie i smutno. Jak zwyczajnie i wstrętne. Wystarczy, że człowiek stanie przed swoim odbiciem, przed fantomem, zrodzonym przez Bóg wie co, a połysk moralności leci w diabły.

Lustra nie kłamią. To śmieszne – tłuc lustra dlatego, że nie spodobało ci się odbicie.

Papieros sparzył mu palce. Wypuścił niedopałek, dotknął zimnego szkła, uciszając chwilowy ból.

Ciekawe, czy na tej nie istniejącej wadze, na której umieszczone zostaną wszystkie nasze grzechy, te noc uznają Toni za jedną zdradę czy za dwie?

Szybko poszedł korytarzem. Ostrożnie pociągnął drzwi przedziału, odsunęły się lekko.

Sława ściągał z Toni bluzkę. Dziewczyna drgnęła, podnosząc oczy na Jarosława, i uśmiechnęła się zakłopotana i podniecona jednocześnie. Zamknął drzwi, przekręcił zamek, przysiadł na drugiej kuszetce. Tonią, którą nadal rozbierał Wizytor, nie odrywała od niego spojrzenia. Uniosła się na łopatkach, pomagając Sławie rozpiąć biustonosz, i zapytała:

– Czy ja... czy ja ci się nie podobam?

– Pociągasz mnie – przyznał się Jarosław.

– Chodź... chodź tutaj – wyciągnęła do niego rękę. – Chłopaki... chcę was obu naraz... jeszcze nigdy tak ze mną nie było...

– Ze mną też – odpowiedział Jarosław wstając.

Tonią tylko się zaśmiała.

Przykucnął w wąskim przejściu pomiędzy kuszetkami, a Tonią zaczęła rozpinąć mu spodnie.

To śmieszne – tłuc lustra...

Kirył pamiętał jeszcze pięć czy sześć telefonów ludzi, którzy mogliby go przenocować. Chłopaki z „Nawigatora”, piętnastoletni niedźwiedziowaty Alek, z którym kilka razy zagrał w reklamach i trochę się zaprzyjaźnił. Maksym...

Ale do żadnego z nich nie miał prawa przyjść.

Zabójca znalazł go u Wiesnina, znajdzie w innym domu. To tak, jakby na Kiryła nałożono przekleństwo, zabijające wszystkich, którzy znaleźli się obok niego.

Przekleństwo było całkiem materialne. Nazywało się Wizytor.

Kirył zatrzymał się dwa metry od witryny jakiegoś eleganckiego sklepu, popatrzył w niebo. Gwiazd nie było widać, zbyt dużo świateł. Przypomniał sobie moment, gdy Wizytor omotał go słowami – dwoma rzuconymi niedbale słowami...

Bezkresna ciemność bez lęku wypełniona życiem, czarne statki sunące między planetami. Uświadomić sobie swój Cel... dać go Ziemi...

I jaki on może mieć cel? Kirył chciał, żeby mama go kochała, nie tylko za to, że jest taki dobry i mądry, ale tak, po prostu. Żeby Maksym przestał się zadawać ze swoimi kumplami kryminalistami i zainteresował się czymś normalnym. Żeby jego przyjaciel Roman, który wyjechał rok temu z rodzicami do Kanady, szybko odpowiedział na kolejny list. Żeby trafiła mu się taka książka, od której nie chciałoby się oderwać nawet na sekundę! Żeby dostać w prezencie psa – z wyglądu wielkiego i strasznego, którego on wychowałby na dobrego i łagodnego. Wiele rzeczy chciał. Ale nic szczególnego w tych marzeniach nie było. Nie marzył, na przykład, żeby skończyły się wszystkie wojny i wszyscy byli szczęśliwi...

A może marzył? Po prostu rozumiał, że takie marzenia są śmieszne...

Czy on po tym wszystkim będzie mógł – kiedykolwiek, choćby przez chwilę – być szczęśliwy?

A jeśli on i Wizytor jednak zwyciężą?

Kirył znowu drgnął – to nadzieja nierealna i złudna.

Mama nie umarła...

Przecież on tego nie chce! Marzy, żeby wszystko było jak przedtem!

Czy może się tak zdarzyć, jeśli wszyscy wrogowie umrą?

Przyjdzie na milicję – i okaże się, że mama została tylko ranna. Że jest w szpitalu, ale na pewno wyzdrowieje. Czy byłoby to możliwe, gdyby zwyciężyli?

Kirył wszedł do sklepu, uchylając się przed spieszącym do środka i wylewającym się na zewnątrz tłumem ludzi. Podniósł słuchawkę automatu, wrzucił żeton, który dostał jako resztę rano w budce z hamburgerami.

– Halo!

Wiesnin prawie krzyczał.

– To ja, Wala.

Chwila ciszy, zmęczony głos:

– Który?

– Ten, który u ciebie nocował – wyjaśnił pokornie Kirył.

– Gdzie jesteś?

– Daleko. Wala, ja nie mogę wrócić. Wyśledzili mnie. Ledwie uciekłem.

– To ciebie gonili przy przedszkolu?

– Tak. Skąd wiesz?

– Całe osiedle obleciałem jak idiota...

– Wy „Nawigatorzy” wszyscy jesteście nienormalni. Powinieneś się cieszyć, że masz kłopot z głowy.

– Jesteśmy nienormalni – przytaknął ochoczo Walentyn. – Umówmy się tak, że ja do ciebie przyjadę. Wymyślimy, gdzie cię ukryć. Dobrze?

Kirył omal nie uległ pokusie. To byłoby takie proste i naturalne – zgodzić się na czyjąś bezinteresowną pomoc. Pozwolić się ratować...

– Nie. Nie mogę, Wala.

– Ale dlaczego?

– To moja gra – powiedział bardzo wolno Kirył.

– Jaka, do cholery, gra?!

– Jestem jeszcze dzieckiem, zapomniałeś?

– Mały chłopczyk – Wiesnin zaśmiał się nerwowo. W słuchawce piknęło ostrzegawczo. – Kirył, masz jeszcze żetony?

– Nie.

– Dzwoniłeś ty, ten drugi. Powiedział, że czeka na ciebie na Dworcu Kazańskim o dziesiątej, przy informacji.

– Dziękuję! Wala, pieniądze oddam ci później, dobrze?

– Zapom...

Połączenie zostało przerwane. Kirył postął chwilę, patrząc na słuchawkę.

Dlaczego nie ma przyjaciela-zabójcy? Jakiegoś gościa ze specnazu... Żeby mu uwierzył i pomógł.

Zerknął na swój elektroniczny zegarek. 21:11. Metro jest obok, zdąży.

I zada Wizytorowi najważniejsze pytanie: czy to, co się stało, może się zmienić, jeśli oni zwyciężą?

Jeśli tak, gotów jest zabijać.

Wezyr wyjął z kieszeni puszczący telefon, nacisnął przycisk. Samochód jechał spokojnie, nie wylałaby się nawet herbata z filiżanki. Szum silnika był niemal niesłyszalny.

– Tak?

– Raszid?

– Nie od razu poznał głos Romanowa. Władimir był chyba porządnie pijany.

– Witaj, mój drogi. Coś pilnego?

– Nie oglądasz telewizji, deputowany?

Wezyr zignorował drwinę w głosie Władimira i odpowiedział sucho:

– Miałem bardzo ciężki dzień. Sam rozumiesz, kraj jest w kryzysie.

– Naprawdę?!

– Zapewniam cię. – Wezyr już miał się rozłączyć.

– Dziwna rzecz się dzisiaj zdarzyła – rzekł Romanów, jakby wyczuwając jego ruch. – Na jednej z podmoskiewskich działek znaleźli profesora. Martwego.

Wezyr zamarł, czekając na dalszy ciąg.

– A obok niego dwóch gości. Może ich trzasnął, a potem sam się zastrzelił, Rambo skapcianiły?... Tylko kto potem dorobił nogi pistoletowi? Powierzyłeś sprawę jeszcze komuś, szakalu?!

– Prześpij się – odparł Wezyr, przerywając połączenie. Pokręcił głową. Idiota!

Gadać takie rzeczy przez komórkę! Oczywiście operatorzy gwarantują poufność rozmów, ale...

Nikommu nie powierzał likwidacji staruszka, z tym miały sobie poradzić pacholki Romanowa. Kretyn. Pijane rosyjskie bydlę. Starzy ludzie powiadają: „Zaprzyjaźniłeś się z Rosjanami –

spodziewaj się nieszczęścia”... Ale przecież nie z Uzbekistanu będzie tworzył Wielki Kraj!

Ten mól książkowy nie mógł załatwić dwóch chłopów! A nawet gdyby to zrobił, nie zastrzeliliby się. Ci inteligenci tylko w gębie są tacy wrażliwi.

Czyli do akcji włączył się któryś z Wysłanników.

Dziewczyna i wojskowy byli w Sasowie. Pisarz w pociągu, będzie się jeszcze telepał półtora dnia. Chłopak? Bzdura!

Wezyr zaczął się wiercić na wygodnym siedzeniu.

Może Wysłannik Wiedzy poszedł za jego przykładem? Uznał, że dobrze będzie usunąć prototyp?

Nie, to do niego nie pasowało...

Który to już raz zwierali się w tej bezlitosnej walce?... Czyjeś linie znikwały na zawsze, zamiast nich pojawiały się nowe, ze swoją prawdą i swoją wiarą... Zdarzało się, że szli latami, całymi dziesięcioleciami, prowadząc swoje gry wśród bezbronych ludzi, manekinów, pokornie biegnących, gdzie im kazano. Ileż to razy on prawie zwyciężał – prawie...

...Szum armii perskiej... jak szum morza... Czy Władza zwycięża przewagą liczebną? „Nie kradnę zwycięstwa!” – w twarze doradców, już pogodzonych z klęską. Oni nie mogli, nie powinni byli go powstrzymać!...

...Step dudnił pod kopytami konnicy, która obłąkanym morzem wychlusnęła z brzegów, a w skośnookich twarzach nie znających strachu odbijały się płonące miasta... pancerz zakładali tylko na pierś, nie ma ratunku dla wojownika, który odwrócił się do wroga plecami...

...„Wiwat, Imperator! Wiwat!” Noc nad płonąca Moskwą i ucieczka przez śniegi. I władza. Nad kawałkiem skały na oceanie.

...Spodobał mu się ten kraj – po tamtej kiesce. I jakieś sto kilkadziesiąt lat później uczynił z niego kolosa, i stał w proch tego Wysłannika, który chciał sprzeciwić się Władzy, a nad spaloną Kancelarią III Rzeszy załopotiała czerwona flaga. On po prostu nie zdążył, przecenił siebie, swoje okaleczone ciało, a kolos kroczył jeszcze czterdzieści lat, ale nie było już tej wiary, tej miłości, którą on umiał dać swoim niewolnikom, i Imperium rozpadło się w proch...

...I znowu musiał dźwignąć ten kraj z ruin – albowiem nie ma na tym świecie kraju, który tak by go kochał, kochał, sam o tym nie wiedząc, nie komunizm i nie kapitalizm, nie swojego i nie obcego, ale po prostu Władze, smagającą jak pański knut i łagodną jak uśmiech wodza...

Nowa linia?

Siódmy!

Kto?

Czyj moment teraz nastał, czyj dzień wypiastrzony losem, kto chodzi w mroku, niewidoczny dla nich, odwiecznych konkurentów i graczy, znających tylko swoją stronę prawdy, gotowych dać ją światu, skręconemu poprzednimi zwycięstwami w węzeł sprzeczności i nienawiści?

Samochód zwolnił, skręcając w boczną drogę, równiejszą i bardziej zadbaną niż szosa...

I w przednią szybę uderzył ołów.

3

Kedra niemal nie czuło się w rękach. Zdumiewająco słaby odrzut – piękna koncentracja ognia. Długa seria zmieliła szybę i Ilja zobaczył, jak kierowca rzuca się, jakby skacząc na spotkanie kulom.

Mercedes skręcił, na chwilę przyspieszając – widocznie umierający kierowca w agonii docisnął pedał gazu. Potem silnik zamilkł i samochód miękko zjechał na pobocze.

Ilja leżał, wpatrując się w puste wnętrze samochodu – ci, którzy przeżyli, schylili się. Było jeszcze dwóch – klient i ochroniarz. Karamazow miał wrażenie, że drasnął ochroniarza, ale używając automatu, trudno być pewnym precyzji strzału.

Odczekał minutę, potem jeszcze jedną. Po szosie przejechał samochód nie zwalniając, chociaż kierowca musiał zauważyć mercedesa, wspartego maską o drzewo.

Ilja uniósł się. Trzask wystrzału i kula przeleciała nad jego głową, ścinając ostatnie jesienne liście. Na policzek Ilji, znowu leżącego na ziemi, opadł miękki wilgotny liść.

Psiakrew. Ochroniarz żyje i wcale nie spanikował. Nawet zauważył, z której strony spadł na samochód potok ognia...

Karamazow przesunął lufę, dał po samochodzie jeszcze jedną serię. Zasyczały przebite opony, popękały pozostałe szyby. Ani jednego krzyku. Ani siadu paniki, nikt nie wyskoczył z mercedesa, nikt nie wybiegł na szosę, żeby stać się celem...

Psiakrew. Ilja po raz pierwszy pożałował, że nie ma granatów.

– Wezyr, niech się pan nie rusza – wyszeptał Farhad.

Skulił się na przednim siedzeniu obok martwego kierowcy, którego twarz zamieniła się w krwawe mięso.

– Mocno oberwałeś, Farhad?

Wysłannik Władzy leżał na podłodze, przyciskając policzek do brudnej wykładziny. Garnitur do wyrzucenia. Szkoda, taki dobry garnitur, zaledwie tydzień temu uszyty...

Wezyr odłożył telefon, wsłuchał się w ciężki oddech ochroniarza, w świst przebitych opon. Atakujący wybrał idealne miejsce na zasadzkę – miał ich jak na dłoni...

– Głupstwo – ochroniarz spojrzał na przebite przedramię. – Żeby tak przewiązać...

Pchnął drzwiczki, z krzaków znowu odezwał się automat. Zastaniając twarz rękami, Farhad przeczekał szklany deszcz ostatnich szyb. Z lekkim zdumieniem uświadomił sobie, że Hajretdinow okazał się nieoczekiwanie śmiałym człowiekiem. Teraz najstraszniejszą rzeczą byłaby panika.

– Raszidzie Gulamowiczu, to jeden człowiek. Wszystko będzie dobrze. On nie zaryzykuje i nie podejdzie.

– Chcę go mieć żywego, Farhad.

Ochroniarz miał wrażenie, że się przestyszał.

– Wyjmij kierowcy pistolet i daj mnie.

Farhad przekręcił się, kładąc trupa na sobie. Opryskała go krew, zacisnął zęby, odchylił połę marynarki i przez chwilę walczył z kaburą. Atakujący chyba nie zauważył krzątania.

– Rzucę na siedzenie.

Makarow załsniał słabo, przelatując nad siedzeniem. Tym razem atakujący zareagował – kolejna seria przeszła przez samochód, teraz już z innego miejsca... Farhad wyprostował się, strzelając przez otwarte drzwi. Żadnej reakcji...

– Hej! – krzyknął Hajretdinow. – Nie chcesz pogadać?

Rzecz jasna, żadnej odpowiedzi. Farhad do bólu w oczach wpatrywał się w noc. Wyciągnął rękę, pstryknął przyciskiem, wyłączył w samochodzie światło.

Kolejny strzał. Zdążył zauważyć błysk – zabójca znowu się przesunął, podchodząc bliżej. Farhad wystrzelił.

Cisza.

– Wezwałem ochronę – powiedział niegłośnie Hajretdinow. – Będą za trzy minuty. Dobra. Osłaniaj mnie, Farhad...

– Co?!

Hajretdinow otworzył drzwi i wyturlał się z samochodu.

Ilja miał wrażenie, że traci rozum.

Cel przeszedł do ataku!

Poznał go od razu – postać ze snu, deputowany, klient, krępy Uzbek, który z jakiegoś powodu nie spodobał się Ciemności. Wyskoczył z samochodu, ciemna sylwetka prześliznęła się na tle merca. Karamazow strzelił, ale klient już się rozpląszczył na ziemi, osłonięty jakimś nieszczęsnym wzgórkim...

– Nie strzelaj! – krzyknął. – Pogadajmy!

...ochroniarz w samochodzie, klient nieco z boku, jeden ruch i on wystawi się na kule...

Ilja cofnął się, odpełzając w krzaki. Gdy jego pozycja stała się mniej wystawiona na ciosy, uniósł się na łokciach. Wycelował automat w samochód.

– O czym mamy gadać?

– Wiesz, o czym! Nie zabijesz mnie, bez względu na to, kim jesteś!

– Zobaczymy!

– Stań po mojej stronie! Jeszcze nie jest za późno!

...znowu te brednie... i staruszek, i deputowany brali go za kogoś innego. Myśleli, że on wie coś, co było dostępne tylko im. Nie mówili wszystkiego, twardo przekonani, że on rozumie... co ich łączy?

– Kim jesteś?

Hajretdinow milczał. Gdy odpowiedział, w jego głosie było zdumienie.

– Nie rozumiesz?

– Co jest twoją stroną?

Pauza...

– Władza. Podporządkuj się, póki nie jest za późno.

– Chodź tutaj!

Ilja nie spodziewał się tego, co się stało. Klient wstał – wyraźny cel w tej leśnej strzelnicy – i ruszył w jego stronę – spokojnie, bez strachu. Jak pan, pewnie idący do psa, który się zerwał z łańcucha... który nie może ugryźć...

On nie jest psem!

Ilja podniósł automat i zawahał się – palec zastygł na spuście – nie czuł się na siłach wysłać klienta na spotkanie Ciemności.

Zza samochodu wysunął się ochroniarz. Najwidoczniej wysiadł z tamtej strony i czekał do ostatniej chwili – do szaleństwa, które ogarnęło jego klienta. Strzelać zaczął jeszcze w ruchu i kule uderzyły całkiem blisko, Ilja szarpnął się, tracąc cel. Karamazow widział, jak jego klient znowu pada, zrozumiał, że dialog został przerwany. Ale nie było czasu, żeby go zabić...

Krótką serią, i ochroniarz zgiął się, poleciał ze zbocza.

– Niepotrzebnie zabiłeś mojego człowieka – głos deputowanego był niemal spokojny. – Niepotrzebnie. Miałeś szansę.

– Ty jej nie masz – Karamazow wyjął z kurtki nowy magazynek i przeładował automat. – I nie miałeś.

– Jesteś pewien?

Ilja nie odpowiedział. Usłyszał szum silników. Ten gad mimo wszystko zdążył wezwać ochronę z willi. Ochrona pewnie zawiadomiła milicję...

I teraz go okrążają. Nie byle jaki cel... wsadził kij w gniazdo os.

Karamazow odpełził na bok, wstał i rzucił się do ucieczki. Niech spróbują go wziąć w lesie.

Wezyr, już się nie kryjąc, podszedł do Farhada. Słyszał, jak napastnik ucieka, a był pewien, że działał sam.

kim, kim on jest...

– Wezyr... – wzrok Farhada był zamglony. Jednak znalazł w sobie siłę, by mówić.

– Wybacz, mój drogi – Wezyr przykląkł, wziął ochroniarza za rękę. – Dziękuję ci, Farhad.

– Umieram?

– Tak.

– Rodzina... Wezyr...

– Zatroszczę się o nich. Uwierz mi. Zawsze nagradzam za wierność.

– Wezyr... kim jesteś?

– Co?

– Kogo ja... w ogrodzie?

– Hajretdinowa.

Nie było sensu kłamać. Zbyt dobrze znał śmierć, by skłamać człowiekowi, który już nie będzie żył.

– Nie rozumiem – wyszeptał Farhad.

Samochody hamowały – jeden, nie dojeżdżając do merca, drugi – lekko go wyprzedzając. Wezyr nie patrzył na wysypujących się z nich ludzi... niech wykonują swoją pracę...

– Nie musisz rozumieć – powiedział łagodnie. – Odejdź w pokoju.

Na chwile jego palce zacisnęły się na gardle Farhada. Szybko i niemal niezauważalnie.

Jego słudzy zasłużyli na spokój.

4

To na pewno był najbrudniejszy i najgłośniejszy z moskiewskich dworców. Dlaczego? Czy był temu winien kierunek, w którym odjeżdżały pociągi, czy po prostu piętno, które zawisło nad dworcem – Kirył nie wiedział. Na Kazańskim był tylko raz, zresztą przypadkiem. Szczerze mówiąc, z przyjemnością by się tu więcej nie pojawiał.

Do informacji podszedł za pięć dziesiąta, ale Wizytor już czekał. Kirył zatrzymał się, patrząc na swojego sobowtóra.

to on jest wszystkiemu winien...

Dziwne, ale Wizytora jakby coś łączyło z tą ogromną zimną salą. Akurat – ny, sympatyczny chłopiec o czujnym, uważnym spojrzeniu. Swój pośród obcych. A przy tym... ludzie omijali go, jakby jakaś siła utrzymywała ich w pewnej odległości.

– Kirył...

Wizytor podszedł do niego i Kirył poczuł tę obcość, tę niewidoczną barierę, która narzucała dystans pomiędzy przybyszem i ludźmi.

– Kirył, mnie też jest źle.

Wziął go za rękę i zajrzał w oczy.

– Wierzysz?

Wierzy – nie wierzy...

– Tak.

– A ty jak... normalnie?

– A ty? Gdzie nocowałeś?

– W Domodiedowie. Na lotnisku. – Wizytor uśmiechnął się. – Omal mnie mendy nie złapały w środku nocy. Potem dwie godziny na Dworcu Paweleckim. Potem na Kijowskim. Jak metro puścili.

– Po co?

– Ruch. Wyczuwamy się nawzajem we śnie. Jeśli ktoś miota się z miejsca na miejsce, trudniej go wyśledzić.

– No, ja się nie miotałem!

– Wybacz. Nie pomyślałem o tym, Kirył. Słowo honoru – Wizytor zamilkł. – Przestraszyłem się. Chodź, siądziemy gdzieś.

Kirył zerknął na ogrodzoną barierką poczekalnię.

– Trzeba będzie pokazać bilety...

– Chodź.

Rzeczywiście ich wpuścili. Młody mężczyzna w kamuflażu popatrzył na nich z ciekawością, ale nie powiedział ani słowa.

– Umiesz być obcy – rzekł nieoczekiwanie dla samego siebie Kirył.

– Tak. Ty też. Po prostu nigdy nie zwracałeś na to uwagi. Tam jest wolne miejsce.

Usiedli na twardej zimnej ławce pomiędzy owiniętą w chustkę babulinką o smagłej twarzy, rozglądającą się obojętnie, i chłopakiem drzemiącym w otoczeniu starannie przewiązanych sznurkiem kartonów.

– Taki jestem zmęczony... – powiedział półgłosem Wizytor. – Gdy śpisz w ubraniu, to tak jakbyś w ogóle nie spał.

Kirył nie czuł nawet cienia współczucia. Ani zakłopotania, że sam nocował w łóżku i zjadł normalną kolację.

– Wiz... – zająknął się. Bał się zadać pytanie, rozstrzygające wszystko.

– Wiem, o co chcesz zapytać – powiedział szybko Wizytor. – Kirył, będziemy wszechpotężni w ramach rzeczywistości. Jeśli mama... – zamilkł na chwilę. – Jeśli mama żyje...

Znowu zamilkł.

– Mów – zażądał Kirył. Rozpacz nie znikła, przerodziła się we wściekłość.

– Nie wolno nam się niczego o niej dowiadywać, dopóki nie zwyciężymy. Potem... wszystkie odpowiedzi będą takie, jak chcemy. Rozumiesz?

– Tak.

– Ani słowa, Kirył. Nie dzwoń na milicję, nie oglądaj telewizji. Póki nie uwierzyłeś, wszystko jest nierealne i płynne. Wszystko dopiero się zdarza.

– Rozumiem, Wiz.

– Nie jesteś na mnie zły?

– Jestem.

– Za pistolet?

– Za jaki pistolet? – Kirył podniósł oczy. Przypomniał sobie dopiero po chwili.

– No... przecież mogłem strzelić. Trzeba było zacząć się przy drzwiach i gdy ten gad wyskoczył, to prosto w twarz... pół głowy by mu urwało.

– To dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Nie mogłem.

Kirył skinął głową. Wiedział, że sam też by nie mógł. Wtedy. To jednak jest inaczej niż w filmie...

– Wiz, kim on jest?

– Nie wiem. – Wizytor sposepniał. – Albo nie należy do nas, albo jest nowy.

– To znaczy?

– No... – nie zdążył dokończyć.

– Chłopcy...

Podnieśli głowy, na pewno myśląc o tym samym. Ale przed nimi stał milicjant. Niemłody, o zmęczonej twarzy, przyglądał się im dobrodusznie, ale z pewną ciekawością.

– Daleko jedziecie?

– Nie, blisko! – Wizytor uśmiechnął się.

– Sami?

Nie umawiając się, pokręcili głowami.

– Dobrze – zgodził się milicjant, nie mając jednak zamiaru odejść. – A gdzie rodzice?

Kirył poczuł nadciągającą beznadziejną udrękę. Zatrzymają ich. Przeszukają w milicyjnej izbie dziecka. Wizytorowi zabiorą pistolet. Obejrzą zdjęcie, już na pewno mają list gończy. I powiedzą, że mama...

– Czy coś się stało, kapitanie?

Chłopcy odwrócili się na dźwięk głosu. Skądś z boku podszedł staruszek. Kirył uważał za starców wszystkich powyżej czterdziestki, ale ten był rzeczywiście stary. Z bardzo zmęczoną twarzą, w ciemnym wełnianym palcie i w dziwnym berecie, ale wyglądający inteligentnie.

– Ci chłopcy...

– To moje wnuki. Jedziemy do Ałpatiewa. Co przeszkrobali?

Milicjant zawahał się.

– Nie, nic. Pozwoli pan, że spojrzę na pańskie dokumenty?

Staruszek w milczeniu wyjął i podał mu dowód. Kapitan szybko go przejrzał.

– Arkadiju Lwowiczu, proszę mi wybaczyć, ale szukamy podobnego chłopca.

– Obu? – zainteresował się staruszek.

– Niejednego. – Kapitan uśmiechnął się, widocznie uświadamiając sobie paradoks sytuacji. – No tak, oczywiście, on nie miał braci. Przepraszam. Po prostu są podobni.

– Wszystkie dzieci są do siebie podobne – staruszek położył rękę na ramieniu Kiryła. – Lewuszka, posuń się.

Kirył posłusznie przysunął się do Wizytora. Ten siedział jak skamieniały. Staruszek przysiadł obok nich, zakasłał cicho, zasłaniając ręką usta.

– Szczęśliwej podróży – milicjant w końcu podjął decyzję, poklepał Wizytora po głowie. – Coś się tak nadał, mały? Do kogo jedziecie?

– Do wujka – powiedział ochryple Wizytor. – Na wesele.

Chyba lekko stracił panowanie nad sytuacją.

– Wujek się żeni?

– Nie. Lidka, jego córka, wychodzi za męża. Już drugi raz, a ma dopiero dwadzieścia lat!

Wizytora poniosło...

Milicjanta chyba oszołomił taki natłok informacji.

– No to szczęśliwej podróży.

I pospiesznie odszedł, odprowadzany uśmiechem staruszka. Kirył przełknął ślinę i popatrzył na nieoczekiwanego zbawcę.

– Nazywam się... – no, jak widać, Arkadij Lwowicz – rzekł. – Ty jesteś Kirył.

– Skąd pan wie?

Ale „jak widać Arkadij Lwowicz” już na niego nie patrzył. Poklepał Wizytora po ramieniu.

– Witaj, konkurencie!

Wizytor odwrócił głowę i powiedział drewnianym głosem:

– Dzień dobry, Władze.

– Nie bój się. Proszę, nie bój się mnie.

– Dlaczego?

– Dlatego, że chcę ci pomóc.

– Dlaczego? – powtórzył wyzywająco Wizytor.

– Mój prototyp został zabity. – Staruszek objął Kiryła za ramiona. – Dziś rano. Rozumiesz?

– Jeszcze nie.

– Sam nie dam rady, chłopcy. Wy też nie. A pozostali... konkurenci... są bardziej nieprzyjemni. –

W głosie staruszka zadźwięczały prosiące nutki. – To był ten sam człowiek, który przyszedł do was do domu.

W Kiryła coś pękło. Może sprawił to głos, w którym było współczucie i zrozumienie. Może obejmująca go ręka. Chlipnął, wtulając twarz w palto staruszka.

– Trzymaj się, trzymaj się, chłopcze – Władze pogładził go po plecach. – Nie rozklejaj się, proszę cię. Teraz kupię wam bilety do tego Alpatiewa i wsiądziemy do pociągu. Będziemy mogli się wyspać i pogadać. A potem wrócimy do Moskwy, akurat rano. Dobrze, Wizytor?

– Tak... nie zdołają nas znaleźć...

– Niekoniecznie. Ale mimo wszystko to jest najlepszy wariant. Nie wierzę w los, ale nie na darmo się spotkaliśmy.

– Niech pan poczeka – Wizytor zawahał się. – Nawet jeśli zawrzemy alians... jak wybierzemy pomiędzy sobą? Będziemy ciągnąć losy?

– Mam raka – oznajmił spokojnie staruszek. – Do wiosny umrę. A ty zwyciężysz. Pomogę ci.

5

Anna wyszła ze szpitala pierwsza. Zaraz za tym szalonym wojakiem, który nie chciał uwierzyć w Światło. Nie bała się, niczego się już nie bała. Maria jest z nią. Maria przyniosła pokój i dobro.

szare, okopcone ceglane ściany, wycie pieca, ciało na noszach, nóż w rękach Marii...

Nie! Nie trzeba tego wspominać. To uwolniło świat od istoty, która pragnęła tylko jednego – krwi i cierpienia. Od zabójcy, przestępcy, psychopaty... który nawet nie był człowiekiem.

Anna wskoczyła do prawie pustego autobusu, jadącego z fabryki. Siadła przy oknie, nie widząc nic wokół, zatopiona w swoich myślach. Do domu, szybko do domu. Przygotować śniadanie – Maria na pewno jest głodna.

– Dzień dobry. – Ktoś usiadł obok niej. Zaskoczona popatrzyła na młodego sympatycznego mężczyznę.

– Dzień dobry...

– Czasami rano jeździmy razem.

– Naprawdę?

– Tak, tylko pani wcześniej wysiada. No i tak... tak sobie pomyślałem, że może warto się poznać?

Chłopak uśmiechnął się. Bezcelny typ.

– Po co?

– Choćby po to, żeby móc mówić sobie „dzień dobry”. Nazywam się Piotr.

Anna uśmiechnęła się złośliwie, odwracając się do okna. Chłopak wahał się chwilę, a potem powiedział:

– Przepraszam, nie chciałem pani obrazić. Nigdy nie zawieram znajomości w autobusie...

– Niech pan nadal przestrzega tej zasady, Piotrze – odparła Anna, nie odwracając się.

Chyba się zmieszał.

– Przepraszam.

Słyszała, jak chłopak wstaje i przesiada się na inne siedzenie. Po chwili o nim zapomniała. Mało to facetów zaczepiających ładną kobietę.

Dwadzieścia minut później wysiadła na swoim przystanku, nie spojrzawszy nawet na młodzieńca, który odprowadził ją spojrzeniem...

Najpierw sklep. Kupowała szybko, nie patrząc na ceny, dobrze, że pensja była niedawno i pieniądze jeszcze są... Dobrze, kielbasa, śmietana, pudełko cukierków... Mój Boże, czy Maria będzie piła szampana? Anna mimo wszystko wzięła butelkę, czując się grzeszna i zła, ale nie mogła odmówić sobie tej małej oznaki święta. Mają przecież dziś święto, święto, które przyćmiewa wszystko inne na świecie!

W mieszkaniu z lekkim przerażeniem popatrzyła na bałagan, który został po wczorajszym wieczorze. Zrzuciła płaszcz, pantofle i nie przebierając się, wzięła się za porządki. Niedopity koniak do lodówki... może wylać? Dobrze, potem. Zamieść, zetrzeć kurze, zebrać porozrzucone wszędzie ubrania, postawić czajnik na gazie...

Dwadzieścia minut później stanęła, rozglądając się bacznie. Nieźle. Lepiej, znacznie lepiej. A jednak wstyd – za wyblakłe, wybrzuszone w rogach tapety, za ciekący w kuchni kran, za pustą lodówkę. Jednak już lepiej. Anna spociała się, ciężko oddychała, ale nie czuła zmęczenia. Jeszcze tylko wyrównać książki na półkach, przetrzeć szyby...

W ostatnim momencie przyszło jej do głowy, żeby szybko przejrzeć półki z książkami. Czując, że się czerwieni, wyszarpnęła kilka idiotycznych romansideł, kupionych i przeczytanych nie wiadomo po co. Co jeszcze może być dla Marii nieprzyjemne? Na wszelki wypadek wyjęła „Mistrza i Małgorzatę”, pobiegła do kuchni, wysypała książki do śmieci. Zerknęła na zegarek. Wpół do dziesiątej. Dlaczego, dlaczego jej jeszcze nie ma? Adres zna, wszystko na świecie zna. Drugi klucz Anna jej dała...

Znowu obiegła mieszkanie, ale wszystko, co można było zrobić naprędce, już zostało zrobione. Dobrze. Teraz jeszcze siebie doprowadzić do porządku...

Drzwi do łazienki nie zamykała, żeby od razu usłyszeć, gdy otworzą się wejściowe. Ściągnęła sukienkę, wrzuciła bieliznę do miski, weszła do wanny, puściła wodę. Chwilę postąła pod gorącym prysznicem.

włosy pachniały spalenizną...

Anna szybko wyciągnęła szampon loreal, prezent od mamy na urodziny. Ogromna piana na włosach, spłukać, jeszcze raz. Zapach znikł. A może wcale go nie było? Po prostu jest głupią, nerwową dziewczyną, której nagle objawił się cud.

Anna chlipnęła. Spojrzała w lustro. Nie, nie jest taka zła. Przecież ma dobre oczy, wszyscy jej to mówili.

– Tak u ciebie przytulnie, Aniu.

Krzyknęła zaskoczona, odwróciła się do drzwi i w przestachu przycisnęła rękę do piersi. Maria stała na progu, uśmiechała się, patrząc na nią, i od tego uśmiechu strach znikł.

– Tak cicho weszłam? Przepraszam, siostró.

Anna pokręciła głową. Nie trzeba jej przepraszać, nie trzeba...

– Też jestem zmęczona – powiedziała Maria. – Umówiłam się co do urlopu bezpłatnego. Powiedziałam, że mama zachorowała. Będziemy musiały pojechać do Moskwy, siostró. Zdamy wszystko załatwić w ciągu tygodnia.

- Oczywiście.
- Mogę też wziąć prysznic?
- Tak, tak... – Anna schwyciła ręcznik, chcąc wyskoczyć z wanny.
- Nie trzeba, możemy razem.

Maria ściągnęła bluzkę, zaczęła rozpinąć spódnicę. Anna patrzyła na nią jak zaczarowana. Ona nie brzydzi się myć razem z nią. Jest taka dobra...

- Jesteś najpiękniejsza na świecie – wyszeptwała.
- I ty jesteś piękna. – Maria stanęła obok niej, wzięła z jej rąk prysznic, włożyła w uchwyt umocowany krzywo na ścianie. Na podłogę przyskała woda, ale Anna nie zasunęła zasłonki.
- Pozwól, że cię umyję – wyszeptwała.
- Nie, siostrze. Pozwól zrobić to mnie.

Jej dłonie dotknęły mokrych włosów Anny... to było jak prąd... dreszcz przeszedł po całym ciele. Ręce ześliznęły się na ramiona, delikatne, gorące, kochane ręce.

- Mario...
- Nie bój się.

Patrzyła w jej oczy i strach zgasł, tylko na dnie duszy tliła się wątpliwość.

- Mario... to chyba źle...
- Co może być złego dla nas, siostrze?

Anna poczuła, że słabnie. Ręce Marii... były takie czułe... wiedziały, jak trzeba dotykać jej ciała.

- Mario...
- Zaufaj mi, siostrze moja umiłowana...
- Mario...

Nogi uginały się pod nią, zawisła na rękach Marii, zwiotczała, trzymając się resztką sił...

- Zaufaj...

Krzyknęła, obejmując Marię mocno, kurczowo, ale tamta miała znacznie więcej siły i utrzymała ją do końca, do tego słodkiego szaleństwa, długiego i oślepiającego, spalającego wstyd i wątpliwości...

– Siostrze moja umiłowana i żono moja – odezwała się Maria. Anna wstrzymała oddech, podniosła oczy. Zapytała nieśmiało, niepewnie:

- A ty...

Maria tylko się uśmiechnęła, nie przestając jej pieścić, i lśnienie znowu zaczęło nabierać siły. Anna przysunęła się do jej twarzy, całując w usta, odrzucając strach. Jak dobrze.

i tylko włosy pachniały spalenizną...

6

Kirył wyciągnął się na kuszetce, zamknął oczy. Super.

Staruszek dobrze wymyślił z tym pociągiem. Niech spróbują ich teraz znaleźć na stacji Łąki.

Wizytor zajął dolną kuszetkę, obok Arkadija Lwowicza. Zdjął adidas, usiadł w kucki i mówił, mówił. Kirył nie słuchał, ale widocznie to wcale nie było konieczne. Wizytor omamiał staruszkę i Kiryła pochwyliła ta fala.

...Na prędkości bliskiej prędkości światła międzygwiazdny wir wybucha na sitowych ekranach naszym zabląkane fajerwerki. Czarne igły tych, którzy uświadomili sobie Cel, płynęły przez wieczną noc; czasem znikając bez śladu, czasem płonąc w krótkich starciach z tymi, których istotą była śmierć – krótkich, bowiem ci, którzy uświadomili sobie Cel, nie umieli zabijać. Oni tylko

nieśli świadomość – i planety drgały, gdy zawisała nad nimi czarna igła, kołysały się w równowadze możliwości, by runąć do przodu, w nieskończoność rozwoju, wypełnić sobą jedną z nisz albo zginąć w ślepym zaułku samobójstwa.

Ci, którzy uświadomili sobie Cel, niczego nie narzucali. Byli tylko lustrem, obojętnym i niewzruszonym. Czasem próbowano ich zniszczyć, ale zawsze znajdowali się ci, których Celem była ochrona, którzy szli do walki zamiast nich, których statki towarzyszyły czarnym igłom w ich wędrówce przez wszechświat.

I Ziemia była tylko krótkim przystankiem, malutkim punktem, drżącym w równowadze wyboru...

– Ci, którzy uświadomili sobie Cel – powiedział staruszek. – Ładnie brzmi.

Kirył zwiesił się z kuszетки, patrząc na Wizytorów.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał ostro sobowtór Kiryła.

– Widzisz, chłopcze, dla mnie tego wszystkiego nie ma.

– A co jest dla ciebie?

– Zbyt długo musiałbym wyjaśniać. Powiem tak – cywilizacja rodzi nas sama z siebie. Bez żadnych kosmicznych przybyszów i czarnych statków wiszących nad planetą.

– Więc według ciebie kłamie? – Wizytor uśmiechnął się.

– Nie, dlaczego. To twoja linia. Twój wektor prawdy. Jeśli ty zwyciężysz, ona stanie się rzeczywistością. Wszystkie te czarne statki... – staruszek zakasłał. – To nie jest jeszcze najgorszy wariant, przyznaje. Dlatego ci pomagam.

– Więc kim jestem według ciebie? Kim jestem – patrząc z twojej strony prawdy?

– Wysłannikiem Rozwoju. Z mojego punktu widzenia przychodzisz nie po raz pierwszy, mały. Już się spotykaliśmy.

– To dlaczego ja tego nie pamiętam? Dlaczego dla mnie wszystko jest pierwszy raz?

– Nigdy jeszcze nie byłeś taki jak teraz. Łączysz przeszłość z pomocą z zewnątrz. Jesteś pomocą, która ma przyjść z nieba, nie z tych Olimpów i kryształowych sfer, co niegdyś, lecz z prozaicznego kosmosu. Ludzie zmęczeni się wiarą w siebie i oduczuli się wierzyć w Boga. Wierzą w ogień i metal, w statki kosmiczne i galaktyczne imperia. O to warto byłoby zapytać waszego przyjaciela pisarza, gdybyśmy mogli stanąć po jednej stronie barykady.

– Nie możemy?

– W żaden sposób. Ty masz wspaniały dar, chłopcze. Omamiasz. Sprawiasz, że to, co niebywałe, staje się rzeczywistością, jeśli w to wierzysz. Mógłbyś uwierzyć, że pozostali Wizytorzy zginęli?

– Nie mogę – powiedział cicho Wizytor.

– Tak. Niestety – Arkadij Lwowicz podniósł oczy na Kiryła. – Twój prototyp niezbyt w siebie wierzył. W swoją wyjątkowość, nietykalność, w to, że będzie żył wiecznie.

– Tylko głupcy w to wierzą – odparł szybko Kirył.

– Nie obrażaj się, chłopcze. Nie tylko głupcy. Jeszcze dzieci i poeci.

– Nie jestem już ani jednym, ani drugim.

– Czyżby? – Staruszek sięgnął po reklamówkę, zaczął wykladać na stolik zawinięte w papier kanapki. – Głodni?

– Tak – odpowiedzieli jednocześnie.

Arkadij Lwowicz skinął głową, wyciągając wąskie butelki fanty. Zamarł na sekundę, potem wyjął z dna torby pistolet.

Kirył zauważył, jak wzdrygnął się Wizytor, ale sam się nie przestraszył. W ruchu staruszka nie było zagrożenia, pistolet trzymał tak samo obojętnie, jak przed chwilą kanapki.

– Z niego zabito mój prototyp – rzekł cicho Arkadij Lwowicz. – I, jak rozumiem, z niego strzelano

do waszej mamy.

– Niech pan milczy! – krzyknął Kirył.

– Milczę. Rozumiem. – Staruszek pochylił się, wsunął pistolet do kieszeni wiszącego na wieszaku palta. – Niewiele zdołam ci pomóc, Wysłanniku Rozwoju. Ale broń to już coś. Zwłaszcza broń wroga. Zastanówmy się, co możemy zrobić.

Och, jak Wezyr nie lubił tego całego zamieszania!

Siedzący naprzeciwko major był zdenerwowany do szaleństwa. Pewnie, taka głośna sprawa, taka szansa zrobienia kariery.

– Raszidzie Gulamowiczu, niech się pan jeszcze zastanowi... może jednak ostatnio były jakieś, choćby nawet najmniejsze, groźby?

– Proszę o to zapytać referenta, dobrze? Idiotyczne listy i głupie telefony są zawsze. Ale czy można je uznać za groźby? – Wezyr pocmokał językiem.

– Każdy ślad jest ważny – powiedział z goryczą major.

– Pozwoli pan, że podpiszę protokół i położę się spać? – spytał Wezyr.

Major patrzył na niego przez chwilę, potem niechętnie podsunął mu kartki. Zapytał:

– A więc pan nie strzelał?

– Nie. Chwyciłem pistolet kierowcy, Farhad mi go podał. Rozumie pan, naturalna reakcja... – Wezyr szybko przejrzał protokół zeznań. – Ale atakującego nie widziałem, a strzelanie w ciemność byłoby śmieszne. Tu też mam podpisać?

– Tak, na każdej kartce. Zostawimy w willi naszych ludzi, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu...

– Mam. Ufam mojej ochronie.

Major wzruszył ramionami.

– Niemniej jednak ludzi zostawimy.

– Po co w takim razie pytał pan o moją zgodę? – Wezyr odchylił się na oparcie fotela. – Dobrze. Niech pan zostawi. Dzisiaj nie będę już niepokoił ministra, zadzwonię jutro.

Śledczy sposepniał. Wezyr był pewien, że kwestia ochrony stała się nieaktualna, ale nie naciskał. Niech facet zachowa twarz.

– Raszidzie Gulamowiczu, przed wejściem jest kilkunastu dziennikarzy... – Referent podszedł do niego, gdy tylko śledczy opuścił gabinet.

– Proszę im powiedzieć, że wziąłem środek nasenny i położyłem się spać. Żadnych komentarzy.

Referent skinął głową, zawahał się i dodał:

– I jeszcze jakiś idiota czeka na przyjęcie.

– Tolik – Wezyr zerknął na zegarek – gdybym chciał się dowiedzieć o każdym idiocie na świecie, nie starczyłoby mi czasu nawet na... Dobrze. Idź. Podaj mu godziny przyjęć, powiedz, gdzie ma się zapisać.

Referent ruszył do drzwi.

– Chwileczkę. Jak się nazywa ten idiota?

– Nikołaj Szedczenko. Prosił, żeby przekazać panu jego nazwisko.

– To czemu od tego nie zacząłeś?! – Wezyr prawie krzyknął. Referent zamrugał oczami, kompletnie zbity z tropu.

– Nie ma go na listach tych, o których należy meldować.

Wezyr milczał, przygryzając wargi. Rzucił:

– Jest na innej liście, Tolik. Dobrze. Poczekaj, aż mendi się wyniosą i przyprowadź go. I postaraj się to zrobić niezauważalnie. Zresztą, to i tak niemożliwe. Niech ochrona przeszuka go od stóp do głów, nigdy nic nie wiadomo. Dzień był ciężki, petent późny. Mam rację?

Referent lekko skinął głową.

– No to się cieszę. Idź.

Reporterzy odprowadzili Szedczenkę spojrzeniami głodnych kundli, gapiących się przez szybę na obiad dla tłustego kota syjamskiego. W ślad za odprasowanym, przylizanym mężczyzną, takim podręcznikowym pomocnikiem polityka, Szedczenko wszedł do jasno oświetlonego budynku. Niczego sobie domek...

Znowu się zastanowił, czy nie popełnia fatalnego błędu.

Chłopak w kamuflażu, stojący nieruchomo przy wejściu, obejrzał go uważnie i odsunął się. Wewnątrz czekało kolejnych dwóch.

– Przepraszam, Nikołaju Iwanowiczu, ale środki bezpieczeństwa...

– Proszę bardzo. Rozumiem. – Szedczenko rozłożył ręce i tak je zostawił, odsunięte od ciała. – Sprawdzajcie.

Przeszukali go szybko i profesjonalnie, wyjątkowo starannie, bez cienia delikatności. Nikołaj cierpliwie czekał.

– Broni nie mam – oznajmił Szedczenko ochroniarzom.

– Sami widzimy – odezwał się bez złości jeden z nich. Nerwy mają chłopaki na postronku. Ich dowódcę dopiero co sprzątnęli, a oni nic, trzymają się.

– Proszę zaprowadzić petenta – pomocnik wyjął paczkę kentów, zapalił. Miał zmęczone oczy, nie spodziewał się chyba, że przyjdzie mu siedzieć w pracy do północy.

Szedczenko ruszył za ochroniarzami. Przez otwarte drzwi widać było gabinet, przytulny, utrzymany w stylu czasów radzieckich. Żadnych komputerów, na stole lampa z zielonym abażurem, prościutki telefon...

– Proszę wejść – zawołano niegłośnie z gabinetu. Ochroniarze zostali, Szedczenko zrobił krok do przodu, spojrzał przelotnie na Hajretdinowa – deputowany siedział w fotelu, obracając w rękę szklankę z wodą – i opuścił oczy.

Chyba już go kiedyś widział... rosyjska telewizja lubi transmitować skandale w Dumie.

– Szedczenko. Nikołaj Iwanowicz. Pułkownik – powiedział urywanie Hajretdinow. – Mam rację?

– Tak – przełknął kule w gardle. – Właśnie Szedczenko.

– Nie spodziewałem się, przyznaje. Nazywam się Wezyr.

– Jak widzę, obaj zostaliśmy sami – odezwał się cicho Szedczenko.

– Taak? A co się stało z pańskim... gościem?

– Pomylił się. Przecenił... dobro.

– A to niespodzianka – rzekł z lekkim zainteresowaniem Raszid. – Dziękuję. Dowiedziałbym się nieco później, ale czasem każda godzina się liczy.

– Czasem ważna jest nawet minuta.

– Niech pana siada, niech pan siada, Nikołaju. Rozmowa będzie długa. Mam rację? – Zerknął na ochroniarzy, jakby wrośniętych w próg. Szedczenko usiadł.

– I cóż pana do mnie przywiodło?

– Jest pan jedynym, którego zdołałem odnaleźć – przyznał się Szedczenko. – Pozostałych ogarnął szal przemieszczania się.

– Gra w pełni, czemu się dziwić? Jak rozumiem, został pan sam i w sporze już pan nie bierze udziału. Tak?

– Nie całkiem.

Wezyr zmarszczył brwi. Szedczenko miał wrażenie, że ochroniarze stali się czujni.

– Chciałbym poznać pańską platformę polityczną – powiedział szybko.

– Ach tak? Bywało, bywało...

– Przepraszam? – Teraz z kolei zdziwił się Szedczenko.

– No, poprzednio. A! – Wezyr zaśmiał się. – Jak widzę, nie jest pan do końca zorientowany?

– W czym?

– Chciałbym poznać wersję pańskiego niedawnego gościa, ale z tym jeszcze zdążymy. A więc, moja platforma. – Wezyr odstawił szklankę i z chrzęstem złączył pulchne palce. – Wyłącznie silna władza, silne państwo zdolne jest ochraniać szeregowych obywateli. Tylko wielki kraj może powstrzymać przelew krwi na obrzeżach, przerwać wyprzedawanie bogactw narodowych. Proszę nie brać tego za ideologię komunistyczną, nie jestem jej przychylny. Władza – oto, czego nam brakuje. Silna Władza, ale nie władcza Siła – rozumie pan?

– Tak. Chyba tak – Szedczenko próbował pochwycić wzrok rozmówcy. – A kwestie narodowe?

– Mam nadzieję, że pan rozumie – powiedział z ironią Wezyr – że moim jedynym wyjściem jest internacjonalizm. Jeśli panu nie przeszkadza analogia – jak dla Józefa Wissarionowicza.

Szedczenko pokręcił głową.

– Ryzykowny przykład w naszych czasach. Stalin jako internacjonalista...

– Co ty wiesz o wodzu, mój drogi? – Wezyr podniósł głos, nieuchwytnie zmienił akcent. Szedczenko aż drgnął od karykaturalnego podobieństwa. Wezyr roześmiał się i ciągnął poprzednim tonem: – Łatwo wam teraz osądzać. Nie osądzaj – a nie będziesz osądzony.

– Jak dalece mogę wierzyć pańskim deklaracjom?

– A jak dalece ja mogę wierzyć pańskiej wizycie?

– Może pan sprawdzić w nocy, prawda?

– Tak. A ty możesz tylko uwierzyć.

Szedczenko skinął głową. Tak, tylko uwierzyć. Tak, stań po tej stronie, po której pozwalają ci stać.

Zęby tylko dziewczyna z płonącym światłem w oczach nie została ostatnią w tej grze...

– Jestem zmuszony panu wierzyć.

7

Ranek wsuwał się do przedziału... albo to pociąg wjeżdżał w ranek. Jarosław leżał na górnej kuszecie, wpatrując się w kratkę sufitu. Żadnego bólu głowy. Seks to doskonałe antidotum na kaca.

– Zapamiętam was na zawsze – obiecała Tonia. – Zwłaszcza ciebie.

Sława rozłożył ręce, jakby odsuwając niezасłużony komplement.

– Napijesz się wina?

– Coś ty! Mąż mnie kontroluje! – Tonia zachichotała, jakby potwierdzając całą głupotę tego usprawiedliwienia. – I tak żuję gumę, żeby zabić zapach...

– Są specjalne tabletki – zauważył Sława. – „Antipolizei”^{*}.

– Masz przy sobie?

– Nie.

– Szkoda.

Wyraźnie nie czuła skrępowania po wczorajszym wieczorze. Siedziała w negliżu, układając włosy w surowy, nauczycielski kok. Jarosław pomyślał, że za pół godziny, gdy pociąg będzie dojeżdżał do Saratowa, Tonia ulegnie metamorfozie. Będzie spokojna i poważna – wierna żona i nudna

nauczycielka. Jakby dwie różne osoby. Wszyscy jesteśmy różni – nocą i dniem.

Może właśnie dlatego on zawsze lubił zmierzch.

– A tak w ogóle, to mamy jeszcze trochę czasu – powiedział w zadumie sobowtór. Tonia aż pisnęła od udawanego oburzenia.

– Nie, nie, nie! Mąż na mnie czeka, rozumiesz? Jest taki zazdrosny!

– Biedaczek – westchnął Wizytor.

– Sławek, a wy, pisarze, wszyscy jesteście tacy?

– Aha – potwierdził poważnym tonem sobowtór. – Widzisz, gdy się pisze, nie można uprawiać seksu. Żeby nie tracić energii twórczej.

– Biedacy. Jarek, a ty mniej piszesz, tak?

– W dzieciństwie dużo chorowałem – Jarosław zmusił się do odpowiedzi.

– Biedny mój – Tonia podniosła się i szybko cmoknęła go w usta. – I tak jesteś dobry.

– Dziękuję.

– Nie gniewaj się! – Tonia cały czas się ubierała. – Teraz wszędzie będę szukać waszych książek. I mężowi dam, żeby przeczytał, ale będzie śmiesznie, jak mu się spodoba...

Jarosław zamknął oczy. Tonia jeszcze długo trajkotała, przenosząc całą uwagę na Sławę, a on był wdzięczny Wizytorowi za odczucie odpowiedzi. Który z nich jest prawdziwy, a który jest kopią? Kto jest prawdziwym pisarzem, a kto chałturnikiem?

...Wcześniej wyszła na korytarz i Jarosław pomógł jej wynieść walizkę. Konduktor, kopący jakieś niemiłosiernie śmierdzące papierosy, mrugnął do niego. Jarosław udał, że tego nie widzi.

– Już, już, już – Tonia zabrała mu walizkę. – Uciekaj. – Zerknęła na konduktora, ale mimo wszystko pocałowała Jarosława. – Bądź trochę weselszy, Jarek! Dobrze?

– Postaram się.

– Zuch – pokręciła głową i jakby się przeobraziła. Spoważniała, stała się bardziej skupiona. Jarosław zachwycił się tym przejściem od wesołej dziewczyny bez cienia kompleksów do poważnej żony.

– Zegnaj, Tonia – powiedział. – Życzę ci szczęścia.

Na korytarzu hamującego już pociągu przyłapał się na tym, że prawie biegnie. Cholerny moralista... Szarpnął drzwi przedziału, wszedł z twardym postanowieniem powiedzenia Wizytorowi kilku przykrych słów.

Sława siedział, obejmując głowę rękami i kołysząc się do przodu i do tyłu.

– Co z tobą?

– Dziewczyna... ale jestem głupi...

– Wstyd ci się zrobiło?

– Nie mówię o tym – odezwał się szeptem Sława. – Nie o Toni.

– Nie rozumiem.

– Anna – Maria. Wysłanniczka Dobra. – Sława zachichotał, nie odrywając dłoni od twarzy. – Ale ze mnie idiota! Kretyn! A ja jeszcze chciałem ją za sprzymierzeńca!

– Co się stało?

– Co? Pomyliłem znaki... nie ja jeden. Jarek, jeśli uda nam się powstrzymać tę dziewczynę, należałoby nas kanonizować za życia.

– Możesz mówić normalnie? – Jarosław złapał się półki, gdy pociąg szarpnął ostatni raz i stanął.

– Nie. Na razie nie... posłuchaj, jaki jest nowy rozkład sił. Zabity został Wysłannik Siły. Przez Wysłanniczkę Dobra... – znowu się zaśmiał. – Jego prototyp zawarł alians z Wysłannikiem Władzy. W talii kart pojawił się joker. Ktoś siódmy. Na razie go nie widzę... to się zdarza. On usunął

profesora... prototyp. Wysłannik Wiedzy uciekł i zawarł alians z chłopcami. Możliwe, że to da im szansę.

– Przecież wolałeś mówić: „Wizytorzy” – zauważył nie wiadomo po co Jarosław.

– Wizytorzy? To ja jestem Wizytorem. Blotką, którą może zbić każdy.

– Uspokój się!

– Jestem spokojny. – Sława oderwał dłonie od twarzy. Oczy miał suche. – Skocz po wódkę, dobrze?

– Gównu! – Jarosław potrząsnął nim. – Dostyc tego! Weź się w garść. Ty też coś niecoś potrafisz – nie myśl, że nie zauważyłem twoich doświadczeń w Aktiubińsku!

– To za mało, Jarek!... To za mało dla naszego świata.

– Chcesz się poddać?

– A czy ty się kiedyś poddawałeś?

– Nie.

Sława kiwnął głową.

– Więc będziemy szli do końca. Ale jeśli stchórzę, nie zatrzymuj się. Nie ma odwrotu. Nie ma. Tym razem wypadł bardzo kiepski układ.

8

Wizard nie spał. Spanie w pociągach to nie dla staruszków.

Na dworcu w Ałpatiewie wysiedli w środku nocy. Kiryła szybko otrzeźwiło świeże powietrze, ale Wizytor drzemał idąc. Mieli szczęście – pół godziny później już wsiadali do pospiesznego do Moskwy. Tym razem w przedziale nie byli sami – jakiś zagrzebany w koc mężczyzna zerknął na nich podejrzliwie, ściągnął z wieszaka marynarkę, położył ją między sobą i ścianką i zasnął. Chłopcy wspięli się na górne kuszetki, Wizard położył się na dole.

Oto jego alians... pierwszy i pewnie ostatni w tej grze. Umierający starzec i dwoje bezbronnych dzieci. Czy tego właśnie chciał?

Wiedza umiera. Wiedza służy Sile i Władzy. Wiedza nie może zmienić świata.

Czy nie przekonywał się o tym za każdym razem? Stając się coraz silniejszy z każdym swoim pojawieniem się, i po raz kolejny nie umiając wykorzystać swojej siły...

A teraz mógłby zlikwidować Wysłannika Rozwoju. Nie, nie zrobi tego, i moralność nie ma tu nic do rzeczy. Powstrzymuje go cień nadziei, że Wizytor stanie się kimś mu bliskim, połączy obie linie. Oczywiście pod warunkiem, że Wiedza może jeszcze w tym pojedynku coś dać.

Co...

Pociąg z łoskotem dojeżdżał do Moskwy. Bezmyślna podróż, rozpaczliwy fortel skazańców, próba wyrwania się spod kontroli...

Trzeba zasnąć. Trzeba pozwolić wiedzy przyjść; dowiedzieć się, co stało się tego dnia. Zebrać okruchy potęgi, którą zdolna jest dać wiedza. Jego prototyp trzymał się do końca, udało mu się zagadać zabójcę, przekonać go, żeby zostawił broń. Trzeba być godnym staruszka.

Jeśli nie ma się nic prócz godności, nawet ona może stać się siłą.

Karamazow miotał się po mieszkaniu. Wściekłość domagała się ujścia. Ale nie było tu nikogo prócz niego.

Co za klienci trafili mu się tym razem? Nawet chłopak uciekł, i w dodatku rozkwasił mu nos! Ta tłusta świnia Hajretdinow wziął pistolet i szedł wprost na niego. A Ilja nawet go nie zabił! Głupio byłoby usprawiedliwiać się oszalałym ochroniarzem – Karamazow po prostu nie mógł strzelić do

celu. To nie był zwykły człowiek, wyznaczony przez Ciemność na stracenie. Za klientem też stała siła, niezrozumiała i groźna. Może niedorównująca Ciemności, ale większa niż ta, którą miał Ilja. Hajretdinow sam był siłą, Ilja tylko sługą. Na tym polegał problem. Za staruszką też stała siła, i za chłopcem... Nie czuł jej tak wyraźnie, ale ona była, broniła siebie, swoich ludzkich wcieleń.

I obroniła...

Przeklęty stymulator. A rano wydawało się to takim dobrym pomysłem – nie spać, uciec przed Ciemnością, wykonać połowę pracy bez jej wskazówek. Teraz okazało się to naiwnym szaleństwem. Sam nie potrafi nic zrobić. I nie uda mu się, nawet jeśli otrzyma radę.

Potrzebuje prawdziwej siły. Dorównującej tej stojącej za klientami.

Uderzył ręką w ścianę, nie czując bólu. Patrzył na pożółkłe gazety z radzieckich czasów, ponaklejane na beton. Wszystkich znajomych, którzy u niego bywali, strasznie bawiły te ściany, pasujące raczej do mieszkania nałogowego alkoholika. Nikt z nich nie myślał, jak ważny jest dla Karamazowa jego wizerunek – redaktora-dziwaka, pracującego w dziwnym wydawnictwie, oszczędnego i skrytego, ślęczącego wieczorami przy gołej żarówce i starannie poprawiającego teksty. Korektor... cóż, przewisko jak każde inne. Tak, jest staranny. I bardzo dokładny w pracy. Dbą o swoje zdrowie. Jest romantykiem i dlatego jest samotny.

Jakie piękne kolorowe opakowanie, osłaniające jego prawdziwą pracę.

Walczył dłoń w ścianę, zaszlochał cichutko jak dziecko.

Trzeba zasnąć, zasnąć, zasnąć i usłyszeć Ciemność.

W przedpokoju zaterkotał dzwonek. Ilja drgnął, przeleciał spojrzeniem po pokoju. Kędzior wyczyszczony i załadowany...

kiedy zdążył?

leżał na stole na jakimś rękopisie.

Chwycił broń, rozglądając się w popłochu. Otworzył szufladę biurka, wcisnął tam automat – w porównaniu z tym modelem słynny żydowski uzi stopiłby się ze wstydu.

Skoczył do drzwi – centymetr pancernej stali, przyspawane do futryny, poprzeczna zasuwa spełniająca rolę łańcucha i pozwalająca uchylić drzwi na wąską szczelinę, studolarowe szwajcarskie zamki, do których nie każdy moskiewski kasiarz potrafiłby dopasować klucz. Dla znajomych było to jeszcze jedno świadectwo jego dziwactw – pancerz pustego mieszkania. Instalujący go robotnicy pokładali się ze śmiechu na widok tych apartamentów, które miały zaszpuntować ich najlepsze wyroby.

– Iljuszeńka...

Karamazow przez chwilę patrzył w peryskopowy wizjer

...wygięty kanał optyczny, „łapacz kul”, strzelasz, nie strzelasz – w oko gospodarzowi nie trafisz...

na dobroduszną, pulchną twarz Siergieja Kamczackiego.

– Zaraz... – wychrypiał, odsuwając zasuwy.

Kamczacki był korektorem w ich wydawnictwie – prawdziwym, nie tylko z przewiska. Dobrym korektorem, utalentowanym, który umie poprawić zarówno nie kończąca się serię fantasy „Droga mieczy”, jak i akademickie wydanie Platona, nie wiadomo po co przyjęte do planu przez szefa firmy.

– Iljuszka, to ja... nie przeszkadzam? Co? – zapytał Siergiej, przeciskając się przez drzwi.

W jego wypowiedziach roiło się od wstrząsającej, jak na człowieka jego zawodu, liczby słów-pasożytów, wtrętów i zająknień.

– Nie. Wchodź – Ilja odsunął się od drzwi, potwornym wysiłkiem wchodząc w swoją zawodową rolę. – Z pracy?

– Tak. – Kamczacki zrobił lekki ruch, jakby przymierzał się do zdjęcia butów. Ilja nie powstrzymywał go i Siergiej sapiąc przykucnął i zaczął rozsznurowywać buty. – Czemu dzisiaj nie przyszedłeś? Czekaliśmy na ciebie, narada, rozumiesz... szef o ciebie pytał...

– Zachorowałem – odparł krótko Ilja, cofając się. – Albo grypa, albo zwykły bronchit.

– Tak? Grypa? – Kamczacki zawahał się, ale chyba uznał, że już nie wypada się wycofać. – Ja tylko na chwilę. Muszę się poradzić.

– Dobra, dobra, wchodź.

Karamazow wszedł do pokoju sam, zostawiając przyjaciela w trakcie poszukiwania kapci w stercie zwalonego w kącie obuwia. Jeszcze raz bacznie obejrzał mieszkanie.

Gilza!

Kopnął ją, potoczyła się pod wąskie łóżko. Kiedy ją upuścił?

– Ilja, widzisz, jest taka sprawa... – Kamczacki dreptał na progu. – Zacząłem pracować nad Koroliewem...

– Nad kim?

– No, od dwóch lat u nas leży...

Ilja skinął głową, przypominając sobie.

– Ile tam jest błędów!

– Co chcesz, komercja – odpowiedział słabo Ilja. – W dodatku kupiona za grosze.

– Tak, tak, oczywiście, dobry interes. Ale może ja bym najpierw wpuścił w to dziewczyny? Niech spojrzą, poprawią, co mogą, powstawiają przecinki, bo mi się w oczach mieni! – Kamczacki oburzony rozłożył ręce.

– Kto u nas jest starszym korektorem? – Ilję rozśmieszył ten tylko dla niego zrozumiały kalambur. – Daj dziewczynom.

Siergiej skinął głową z wdzięcznością.

– Dobrze, w takim razie już pójdę. Wracaj do zdrowia.

– Napijesz się? – zapytał gwałtownie Ilja.

Kamczacki zawahał się:

– Późno już... prawie pierwsza...

– Powiesz mamie, że cię w pracy zatrzymali. Szef ma stalinowski styl, co zrobić.

Kamczacki stęknął.

– No, nie wiem. Najwyżej odrobinę.

– Jasne – Ilja odsunął nogą rozrzucone na podłodze rękopisy

...*Siergiej skrzywił się boleśnie...*

i podszedł do stojącego w rogu kartonu, jego prywatnego barku. Alkohol to trucizna. Ale teraz musiał się podtruc, żeby się dowiedzieć. – Absolut. Czarna porzeczka – oznajmił, wyjmując litrową butelkę.

– Słuchaj, trochę mi niezręcznie, to przecież droga rzecz – zaprotestował słabo Siergiej.

– Niezręcznie to się parasol w tyłku otwiera – oznajmił Ilja. – Przeziębienie trzeba leczyć wódką.

Kamczacki kiwnął głową.

– Tak, chyba tak. Widzę, że nos nieźle ci spuchł.

– Nic nie mów – odpowiedział ze złością Ilja, podważając palcami aluminiową zakrętkę. Siergiej gapił się na współpracownika wytrzeszczonymi oczami.

– Ee...

Ilja cofnął rękę, zrozumiał, że wychodzi z roli.

– Nie dam rady, mocna sztuka. Chodź do kuchni.

Anna otworzyła oczy.

Sufit.

Biały.

Jak dobrze.

Nie chciało się myśleć. Nic się nie chciało. Ciało osłabione szaleństwem, ciągnącym się pół nocy... pół życia.

Oblizwała spieczone wargi. Popatrzyła na podłogę – obok łóżka stała pusta butelka po szampanie i butelka z resztką podrabianego koniaku.

Panie mój... czy poddawałeś mnie próbie? A może to było słuszne?

Anna przeciągnęła się, podnosząc słoneczny brzeg. Łyknęła palącego, pachnącego wanilią i kawą płynu. Zerknęła przez ramię na Marię.

Śpi.

To dobrze.

– Ojczy nasz... – wyszeptała i urwała – Maria poruszyła się we śnie, cicho jęknęła. Też była zmęczona... taka zmęczona... – Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami...

Ciepła dłoń musnęła jej wargi.

– Miłości moja – powiedziała cicho Maria. – Co cię trwoży?

Co? Już... nic...

– Tak inaczej. Tak dziwnie – odparła Anna nie odwracając się.

– Wszystko było słuszne – wyszeptała Maria. – Teraz wstaniesz i umyjesz się. Przygotujesz śniadanie.

– Tak.

– Do Moskwy pojedziemy jutro rano. A dzisiaj będziemy odpoczywać, nabierać sił. Czas pracuje dla nas, wrogowie już zaczęli się nawzajem zabijać. Niech uwikłają się w swoje gry. Zapomną, kto jest z kim, zaczną liczyć na to, że my się wycofamy, usuniemy w kąt. Niech przestaną traktować nas poważnie. Tylko jedno mnie martwi, Anno. Mężczyzna, który wczoraj odszedł, zaczął służyć najstraszniejszemu wrogowi. A on nas nienawidzi, wstrętne mu wszystko, co mieni się dobrem.

– Poradzimy sobie?

– Tak. Jak możesz wątpić?

– Wybacz...

– Rozluźnij się – powiedziała Maria. – Rozluźnij.

– Tak trzeba, prawda?

– Tak.

Za Saratowem już im nikogo nie dosadzali. Konduktor tym razem dotrzymał słowa.

Jarosław po raz kolejny poszedł po herbatę. Nie kupowali więcej alkoholu – jutrzejszy dzień miał zdecydować o wielu sprawach. Sława, gryząc długopis, gryzmolił coś na kartce.

– Plan obrony domu? – zainteresował się Jarosław. Sobowtór ku jego zdumieniu nie zrozumiał cytatu z filmu „Kevin sam w domu”.

– Rozkład. Patrz, są dwa alianse, nazwijmy je Władza i Rozwój. Bojownikowi o szczęście narodu pomaga ukraiński strateg; chłopakom niedoszły geniusz filozofii światowej. Wysłanniczka... – Sława zająknął się – trzyma się z boku. Chyba nie potrzebuje pomocników. Taak... ona już nikogo nie

potrzebuję. Absolutnie samowystarczalna osobowość.

– O czym mówisz?

– O rzadkim przypadku narcyzmu. Dobrze, to nie ma nic do rzeczy. Gdzieś poza schematem jest Iks. Możliwe, że niepotrzebnie panikuję, a to po prostu zręczny najemnik. Ale bardzo aktywnie załatwił trzy figury.

– Chłopiec, staruszek i...?

– Deputowany. Nasz zagadkowy Iks próbował go zastrzelić, ale nie zdołał.

– Słuchaj, będziesz się ze mną dzielił informacjami czy nie? – Jarosław usiadł obok.

– Wybacz, nie pomyślałem... Sytuacja wygląda tak. My dla wszystkich Wysłanników jesteśmy na razie niewiadomą. Czy zaczniemy pracować sami, czy dołączymy do kogoś – nikt tego nie wie, bo my sami jeszcze nie zdecydowaliśmy... Standardowym, spodziewanym zagranem byłoby przyłączenie się do słabszej grupy – dzieci i starców. Próba usunięcia dziewczyn...

– Coś ich nie lubisz.

– Nie moja wina. A zatem, zlikwidować dziewczuchy, spróbować rozbić alians Władzy i usunąć się, pozwalając Iksowi zapolować na niedobitki. Następnie – zlikwidować jego.

– Strateg. Daleko ci do pułkownika – Jarosław pokręcił głową. – Czarny pas w karate, co, zabójco? A kurę kiedyś zabiłeś? Z automatu strzelałeś?

Sława milczał. Dziwnie milczał.

– Będąc tobą – odpowiedział w końcu – nikogo nie zabijałem. Tylko na papierze. Przecież wiesz.

– Ciekawy początek. A nie „będąc mną”?

Wizytor popatrzył mu w oczy.

– Różnie bywało.

– Po raz który przychodzicie?

Sława potarł czoło.

– Tak cię to interesuje?

– Tak. Bardzo. Ciekawość zawodowa, rozumiesz?

– Nie po raz pierwszy.

– Aha. A zwyciężyłeś już kiedyś?

– Bardzo dawno. Prawie siedem stuleci temu.

– Nie wierzę.

– Nie wierz. Kto ci broni?

– A co z wersją, że jesteś kopią mnie?

– Podtrzymuję ją. Nie przeżywałem żadnego życia, Jarek, ale wiem, że żyłem kilkakrotnie i to wszystko. Mogę się domyślać, dopowiadać szczegóły. Ale nie mogę sobie przypomnieć.

– W takim razie po cholere panikujesz? Jeśli wszystko już było? Zwyciężałeś i przegrywałeś, a świat stoi i olewa wasze gry... Wizytorzy...

– Od czasu naszej ostatniej wizyty świat zyskał nową cechę. Teraz może ulec samozagładzie – raz na zawsze. Jest coraz bardziej niestabilny – nie widzisz tego? Dotarł do krawędzi, do linii Władzy. Jeśli przedłuży się jej cykl, koniec z Ziemią.

– A jeśli zwycięży Dobro?

– Jarek, opamiętaj się! – Sława uśmiechnął się paskudnym uśmiechem człowieka, który zna jakąś nieprzyjemną tajemnicę. – Naprawdę uważasz, że dzień dzisiejszy niesie w sobie tę linię? Dobro?

– Dlaczego nie? Greenpeace, hospicja...

– Snickersy i pampersy! Opamiętaj się! Tym razem ta linia w ogóle nie weszła do gry!

– A dziewczyna?

Sława popatrzył na niego ironicznie. Potem postukał palcami w ściankę.

– Jesteś niepoprawnym optymistą. Pewnie dlatego otrzymałeś wątpliwy zaszczyt wzięcia udziału w tej grze.

– Dobra, z dziewczyną już chyba rozumiem. – Jarosław zerknął na Wizytora, ale ten nie skomentował jego słów. – A dziecko?

– Dzieci nie są ani dobre, ani złe – pora, żebyś to zrozumiał. Chciałbyś widzieć nasz świat takim, jakim widzą go dzieci?

– Uchowaj Boże.

– Otóż to. Nie jesteś beznadziejnym przypadkiem – Sława poklepał go protekcyjnie po ramieniu. – Lepiej się przygotuj. Coś mi się zdaje, że to właśnie my będziemy musieli usunąć chłopców.

10

Jak cicho...

Szedczenko leżał z otwartymi oczami. Pokój, w którym umieszczono go na noc, nie był duży. Może właśnie dlatego przy całym swoim nieuchwytnym charakterze niezamieszkania zachował cień przytulności.

Stare masywne meble. Abażur – czerwony, ale staromodny. W kącie, niczym fantom z dziecięcych wspomnień, stare radio estonia. Duże, na cienkich polerowanych nóżkach. Dobre radio. Zerżnięte z jakiegoś grundiga lat pięćdziesiątych, ale...

Nikołaj odchylił kołdrę, wstał, podszedł do radia, ostrożnie pokręcił gałką. Radio pstryknęło i ożyło. Zaświeciła się skala, zatrzepotał zielonymi „skrzydełkami” wskaźnik. No nie! Działa!

Tak, trudno wyrzucić taki antyk, zamienić na błyszczące sony...

Pokręcił gałką, patrząc, jak strzałka sunie po skali, łączy Helsinki i Berlin, Ottawę i Bukareszt. Mój Boże, komu przyszedł do głowy ten dziwny pomysł, żeby skalę oznakować nazwami miast, mamiącymi szeptami odległych krajów? Czy nieznaną projektant zdawał sobie sprawę, że przez dziesiątki lat tysiące chłopaków będzie klęczało przed radioodbiornikami, z twarzą przyciśniętą do skali, próbując wyłowić wśród brawurowych marszy i opowieści produkcyjnych obce słowa, zapach odległej włóczędzy, dźwięk zegarów na gotyckich wieżach i szelest fal przy niedostępnych brzegach...

Szedczenko zatrzymał się, gdy w głośnikach zawibrowała melodia, delikatna i smutna, która przebiła się przez szum zakłóceń i skrzyp atmosfery. Pozdrowienia z dzieciństwa. Z lat pięćdziesiątych, gdy świat był taki prosty i zrozumiały. Gdy tak lekko było marzyć, i miało się przed sobą jedynie światło...

Skrzypnęły drzwi. Szedczenko odwrócił się. Uprzytomnił sobie, jak śmiesznie musi wyglądać – niemłody, nieogolony mężczyzna, w slipkach i podkoszulku, który przywarł do starego odbiornika.

– Dobry sprzęt – powiedział chłopak, który stanął w drzwiach. Jeden z wczorajszych ochroniarzy. – Moja babcia taki miała. Zawsze próbowałem złapać coś niezwykłego.

Szedczenko w milczeniu skinął głową. Jakby połączyła ich cienka nić przerzucona przez dziesięciolecia.

coś niezwykłego...

– Raszid Gulamowicz pana wzywa – oznajmił ochroniarz, ale bez nacisku. – Powiem, że się pan myje. W łazience wszystko powinno być przygotowane.

– Dziękuję. Już. – Szedczenko wstał, z żalem wyłączając estonię.

– Potem niech pan przyjdzie do gabinetu – dodał ochroniarz. – Pamięta pan drogę?

– Tak.

Patrząc na zamykające się drzwi, Szedczenko pokręcił głową. Proszę, zaufanie.

Wysłannik Władzy widzi go na wylot.

Zdumiewające... a przecież on sam nie zawsze siebie rozumie...

Wyszedł dziwny koktajl – dwie szklanki wódki i poranna dawka amfy, z którą organizm jeszcze nie zdążył się uporać.

Gdy Karamazow odprowadzał Kameczackiego do wyjścia, było po trzeciej. Do przystanku niedaleko, chyba nic mu się nie stanie.

W głowie dźwięczał kryształ, skrawkiem świadomości przelatywały myśli, szybkie niczym rozbłyski, nie do zarejestrowania. Ciało jak naładowane elektrycznością – chce się działać, biec, strzelać. Ściany wydają się odległe, jakby odchodziły w nieskończoność, a każda literka na wyblakłych gazetach jest wyraźna i pełna tajemniczego sensu.

– Wychodź – krzyknął Ilja, przecinając pokój. – Czekam na ciebie!

Goła żarówka na sznurze oślepiała. Karamazow podniósł rękę, dotknął rozgrzanego szkła, zacisnął dłoń. To przecież najprostsza metoda przegonienia światła, prawda?

Żarówka trzasnęła pod palcami. Otworzył dłoń, nie czując ani oparzeń, ani drobnych, krwawiących ranek. Potykając się, włókł się po bezkresnym pokoju, aż wreszcie upadł na tapczan. W oczach wirowały różnokolorowe kręgi. Ale to już nie było światło. To nadchodziła Ciemność.

– Wychodź! – wyszeptał płaczącym się językiem Ilja.

Rozbłysk. Rozbłysk Ciemności, wdzierającej się przez zamknięte powieki.

– *Jesteś słaby...*

– Nie! – Karamazow nie zdziwił się, że nie trzeba było czekać na sen. Wszystko się zmieniało. Wszystko było inaczej. – Okłamałaś mnie!

Żałość w bezcielesnym głosie, czy tylko mu się zdawało?

– Nie. Przeceniłam cię. Ale jesteś najlepszy, jakiego mam.

– A oni? Kto stoi za nimi?

– Czy to nie wszystko jedno?

– Ktoś im pomaga! Bardziej niż mnie!

– Niepotrzebnie piłeś. Wyrzuć z siebie wszystko. Wyrzuć brud.

To był rozkaz. Albo coś silniejszego od rozkazu. Ilję zrzuciło z tapczanu, zastygł w kucki, coraz silniej szarpany wymiotami, wywracało go na nice, a od zapachu wódki, która nie zdążyła się wchłonąć, mdliło znowu...

– *Wystarczy – Czego ci brakuje?*

Ilja wstał, łapiąc oddech. Popatrzył w Ciemność.

– Siły!

– *Dałam ci wszystko, co było potrzebne.*

– Nie! To za mało! Za mało!

– *Masz w sobie wszystko. Nie widzisz siebie.*

– Oni uciekają! Oszukują! Są silniejsi ode mnie!

Znowu ironia...

– *Jeszcze nie zetknąłeś się z głównymi wrogami. Może pomyliłam się w wyborze?*

– Nie! Daj mi siłę!

Już nie prosił, lecz żądał. Ciemność przestała mu służyć, ale również przestała nim władać. Ilja stał z rozrzuconymi rękami, a brzęcząca mgła wokół była tylko jego częścią.

– Daj mi siebie! – wyszeptał. – Przyjdź! Zrobię wszystko!

Czy to był strach w Ciemności?

– Dlaczego milczysz?

– *Podajmy decyzję.*

– Tyle lat... – stał, chwiejąc się, ale już nie od alkoholu, zapomniał nawet, że dziś pił – tyle lat ci służy, a myślałem, że ty służysz mnie. Nie milcz teraz! Nie milcz!

Wczepił się palcami w kołnierz – koszula dusiła. Pociągnął, zatrzeszczał materiał, guziki przestraszonym gradem uderzyły o ścianę. Szarpnął się, wydostając się z ubrania, wypełzając z dżinsów, ze spoconej bielizny, sycząc cicho jak żmija zrzucająca skórę. Miał erekcję, ale nawet tego nie czuł. Stał, chwiejąc się, łowiąc dłońmi Ciemność, ale Ciemność wyslizgiwała się, kołysała wokół.

– Suczko – niemal czule powiedział Karamazow. – Przyjdź!

Odrzuciło go na ścianę – to Ciemność weszła w niego, wessała się w pory, czarnymi błyskawicami wbiła w źrenice. Ilja zawył, zgiął się wpół.

Dużo... dużo siły... zbyt dużo... ale nie można mieć zbyt dużo...

Przez minutę tarzał się po podłodze, wyginając się w konwulsjach, rwąc zgiętymi palcami porzrzucone rękopisy. To było niczym obłąkańczy akt, zespolenie z Ciemnością, z pustką, z siłą, która na niego runęła. Potem zachrypiał, zamarł, nie mogąc wypuścić płonącego powietrza, i ono niczym ognista kula poruszyło się w płucach. Trwało to zaledwie mgnienie, ale Ilja znalazł się na granicy, tej samej, za którą tak często wysyłał innych...

Potem Karamazow zaczął oddychać. Równo i spokojnie.

Spał.

Śnił mu się pociąg, w którym jechali pisarze, drugi pociąg, w którym profesor próbował zasnąć, a chłopcy spali od dawna, śniły mu się dwie dziewczyny obejmujące się przez sen na wąskim łóżku...

wszystkie są takie same...

i politykier siedzący w gabinecie przy lampie z zielonym abażurem...

Karamazow uśmiechał się we śnie.

Nie można mieć za dużo siły.

11

Ostatni dzień podróży jest najcięższy. Dojada się zabrane na drogę zapasy, na picie nie ma już sił, karty wydają się najbardziej idiotycznym wynalazkiem ludzkości.

Jarosław leżał na kuzetce. Obracał w rękach notes, przeglądał cienki plik wizytówek. Dawno nie był w Moskwie. Prawie rok. Rzadkie rozmowy przez telefon i poczta elektroniczna nie zastąpią kontaktu z żywymi ludźmi.

– Będziemy potrzebować pieniędzy – powiedział Sława. – Ze dwa tysiące dolców. Trzeba kupić broń...

– Takie to, myślisz, proste...

– A co za problem? Ja pójdę do Loduru, ty do BTU. Sprzedamy się awansem. „Piszę teraz powieść, sądzę, że temat świetnie się sprzedaje...” – nadał głosowi zmieszany i jednocześnie przeproszający ton. – Podpiszemy umowę, wypłacą nam zaliczki...

– Nie o tym mówię. Od kiedy to w Moskwie sprzedaje się broń?

– A od kiedy się jej tam nie sprzedaje! Zdejmij różowe okulary! Nie pasują do zarostu.

– Nie jestem pewien, czy będziemy zdolni użyć broni.

– A... inteligentkie wątpliwości?

– Sława! Sądzę, że nie jesteśmy w stanie usunąć najgroźniejszych przeciwników. Maksimum, co zdołamy zrobić...

– Już nieźle.

– Nie wyobrażam sobie siebie w roli zabójcy.

– Powiedz lepiej, że moje słowa cię przestraszyły – że chłopców będziemy musieli usunąć my.

– Tak. Niby dlaczego?

– Ujrzałem taki obrazek. Pisarz Żarow wyjmując pistolet, odbezpiecza. Z przeproszającym uśmiechem przystawia lufę do tyłu głowy chłopca. Mówi: „Tak trzeba”. I naciska spust.

– Zamilcz.

Sława wstał, położył mu rękę na ramieniu, powiedział cicho:

– Wybacz, jeśli cię obraziłem. Ale wiem, że możemy zabić, kogo zechcemy. Jeśli przekonamy siebie o moralności danego postępu. Wszystko, czego chcę – to żebyś rozumiał: nie ma dla nas kobiet, mężczyzn i dzieci. Tylko cele.

– Jak jesteś taki mądry, to wyjaśnij mi... – Jarosław odwrócił się, popatrzył w twarz Wizytora. W swoją twarz. – W jaki sposób zagraża światu chłopiec? Kim on jest, młodocianym psychopata?

– Nie. To sympatyczny, dobrze wychowany dzieciak. Ale on już wszedł do gry, Jarek. Wcześniej niż my. Znalazł się w sytuacji, gdy całe jego wyobrażenie o świecie, życiu i ludziach zostało wywrócone do góry nogami. To wszystko zmieniło się dla niego zbyt gwałtownie. Już nigdy nie będzie taki jak przedtem. I świat, jego świat, jeśli chłopiec zwycięży, będzie pełen niepewności i strachu, chłodu w oczach i obojętności.

– Taki właśnie jest nasz świat.

– Tak. Oczywiście. Chłopiec jest Wysłannikiem Rozwoju. Jest najbardziej plastyczny z nas wszystkich, nie próbuje zmienić świata – świat zmienia jego. Nie można pozwolić, by cała obojętność naszego życia ucieleśniała się w nim, umocniła się, weszła w przyszłość. Jego świat nie będzie marzeniami o przygodach i podróżach kosmicznych. Już nie.

– Nie zdołam.

– Zdołasz. Wiem lepiej. Nie jestem obciążony twoimi lękami i kompleksami. Nie mam żadnej przeszłości, i nie będę miał przyszłości, jeśli jej nie stworzę. Widziałem więcej niż ty. Stosy, na których płonęły dziesięcioletnie wiedźmy, zakatowane niemowlęta. Baraki zadżumionych i obozy koncentracyjne.

– Nie tylko to było, Sława. Zwłaszcza w naszym zawodzie.

– Dostojewski i Tołstoj! Ha!

– Cynik.

– Lustro, Jarek. Lustro. – W jego uśmiechu była kpina. – To śmieszne – tłuc lustra.

Wizard patrzył na podpływający budynek dworca. Znowu padał deszcz. Kropił, mżył, bębnił po dachu wagonu, nakładając się na stuk kół, mętnymi łzami spływał po szybie, przesączał się do przedziału przez liczne szczeliny.

– Chłopcy, jesteście gotowi? – zapytał nie odwracając się.

– Teraz tak – odparł niemal wesoło Wizytora. Zatrzeszczał zasuwany zamek jego kurtki. Wizard nauczył się już rozróżniać chłopców nawet po głosach. Wysłannik Rozwoju i jego prototyp różnili się od siebie coraz bardziej. Działo się to znacznie szybciej niż w wypadku jego i Arkaszy. Nic dziwnego. Ich wspólna pamięć jest krótsza. Nie koniec życia, lecz początek...

– Wydaje mi się, że nikt na nas nie czeka – powiedział Wizard. – Ale mimo wszystko nie traćcie

czujności, dobrze?

Odwrócił się. Ich niewyspany, posepny towarzysz podróży zmierzył go wzgardliwym spojrzeniem. Wstał, odepchnął Wizytora i wyszedł z wagonu, poprawiając swoją cenną marynarkę.

– Ale dziwny typ – odezwał się cichutko Kirył.

– Zwyczajny – poprawił go Wizard. – To my jesteśmy według niego dziwni. Chodźcie,

W piersi znowu zatrzepotał ból. Czy lekarz nie był zbyt optymistą z tą półroczną prognozą? No, dwa tygodnie pociągnie na pewno, a tym razem wszystko powinno pójść szybko. To nie średniowiecze, kiedy to podróż wojskowego z Kijowa trwałaby dwa miesiące, a pisarza z Azji – pół roku.

– Pojedziemy do mojego przyjaciela, starego przyjaciela, nie będzie zadawał zbyt wielu pytań – powiedział półgłosem Wizardu, wychodząc z wagonu. Położył rękę na ramieniu Wizytora. – A ty, chłopcze, musisz wziąć prysznic.

– Tak? – chłopak z urazą pokręcił głową.

– Tak mi się wydaje. Ja na przykład czuję się brudny jak świnia.

Ilja Karamazow odczekał, aż staruszek i chłopcy wyjdą z wagonu. Uśmiechnął się. Stał na peronie, w pewnej odległości od nich, niewidoczny w tłumie witających i przyjeżdżających prowincjuszy. Wszystko jest takie proste.

Dwóch klientów i padalec, który kopnął go w twarz.

Karamazow pochwycił spojrzenie jakiejś dziewczyny wychodzącej z wagonu. Takie miłe zainteresowanie młodym, sympatycznym mężczyzną. Uśmiechnął się, leciutko pokręcił głową i podążył za klientami. Jasny płaszcz, miękki kapelusz, dyplomarka – zbyt się wyróżniał w tym dworcowym tłumie. Tacy jak on podróżują samolotami, biznesklasą.

Ale maskowanie się nie było już potrzebne.

Siła... miał jej teraz dużo. Nawet zbyt dużo... ale nie można mieć zbyt dużo siły.

12

Stółówka była jeszcze jednym okruczem czasów radzieckich. Szedczenko nawet powiódł wzrokiem po ścianach, szukając portretów Marksa i Lenina. Widywał je na Ukrainie – w bocznych pomieszczeniach struktur władzy. Czy to autoironia demokratów... zresztą, oni rzadko są do niej zdolni. A może wstydliva inercja świadomości? Tak zapewne stały figury Peruna w szopach kijowskich domostw po Chrzcie. Niby rzucone na drwa, a z drugiej strony nie sposób spalić.

Nie było żadnych portretów. Tylko tkane paneau, wiszące tu wystarczająco długo, by wydawały się znajome.

– Siadaj, Kola! – Hajretdinow uniósł się za stołem, uśmiechając się dobrodusznie. – Zjemy śniadanie i wypijemy za spokój duszy.

Szedczenko podszedł, rozpaczliwie próbując się rozluźnić. Takie pomieszczenia zawsze go przygnębiały.

– Czyjej, Raszidzie Gulamowiczu?

– Niewolnika bożego Arkadija. A nie, nie można. Nie był chrześcijaninem, to żyd. Za Farhada też nie można.

– Profesor?

– Tak, Kola. Dopadli go. Siadaj. Zjesz rybę? – Raszid Gulamowicz usługiwał mu, nie tracąc przy tym ani odrobiny godności. Wzorzec wschodniej gościnności.

– Raszidzie Gulamowiczu...

– Mów mi po prostu Raszid. Dobrze?

– Będziemy chyba musieli wypić bruderszaft – powiedział z pewnym wysiłkiem Szedczenko.

– Dobry pomysł!

Nikołaj usiadł obok Hajretdinowa. Owalny stół nakryty dla dwóch osób był suto zastawiony. A byli sami.

– Przemyślałem wszystko. – Hajretdinow nalał do kieliszków wódkę. – Lepiej zjedzmy zimne przystawki, za to porozmawiamy spokojnie. Mam racje?

Uśmiechnął się. Do licha. Ładny uśmiech. Chciało się w niego wierzyć.

– Oczywiście.

– No, Nikołaju Iwanowiczu...

Hajretdinow wstał, splełli ręce. Śmieszny rytuał męskiej przyjaźni, zastępujący braterstwo krwi. Wino jest krwią, a krew winem.

...a wódka jest zapewne koncentratem krwi...

– Będziemy żyć, Kola...

Pocałowali się trzy razy i Szedczenko ze zdumieniem pojął, że nie czuje nienawiści do tego człowieka. I nawet nie uważa go za pana, za polityka-idiotę.

Cóż to, czy to ma być los Siły? Służyć???

– Ze wszystkich Wysłanników ten, który przyszedł do ciebie, był mi najbliższy – powiedział Wezyr. – Możesz mi wierzyć. Tym razem nie miał szczęścia, ale możliwe, że następnym... Niech mu ziemia lekką będzie. Teraz my powinniśmy uratować świat.

– Zrozumiałeś?

– Dziewczyna. – Hajretdinow skinął głową, jego twarz drgnęła. – Do diabła... tfu! Dlaczego ich nie stuknąłeś, Kola?

– Dlatego, że on też nie mógł. Nie jestem w stanie zabić kobiety.

– Co za brednie! – Wezyr siadł. – Europa, niech ją szlag... Święta kobieta! Nie ma żadnej różnicy, gdy przychodzi śmierć. Co zrobimy?

– Ty decydujesz. Ty jesteś Wysłannikiem.

– Tak, tak... dobrze, nie ma co ronić łez. Wypijmy za spokój duszy twojego...

Wprawnie nalał wódki do kieliszków. Popatrzył na Nikołaj a.

– Nie byłeś człowiekiem, ale kto decyduje, w kim jest dusza – zaczął szybko, wyraźnie mówić. – Nie chciałeś zła. Pokój prochom, pokój temu, który jeszcze powróci. Będziemy żyć.

Wypili, nie stukając się.

– Za Farhada pić nie będziemy. Później, wieczorem. Co ja będę dziś miał za dzień – nie życzę nikomu. – Wezyr uśmiechnął się. – Pooglądaj telewizję. „Zamach na deputowanego, lidera niezależnych” – och, ach! Słuchaj, Kola, nie martwisz się o karierę?

– O czym mówisz? – Szedczenko nałożył sobie cienkie plasterki polędwicy.

– Ukraina to oczywiście kraj nędzy. Ale specsłużby mają się dobrze. Twoja wizyta u reakcyjnego polityka rosyjskiego – jak zostanie odebrana?

Szedczenko uśmiechnął się.

– Jeśli zwyciężysz, będzie to najbardziej udany krok w mojej karierze.

– A jeśli nie?

Nikołaj nalał sobie wódki, znacznie szczodrzej, niż robił to gospodarz. Dobra wódka. Nie przywykł pić rano, ale teraz wszystkie przyzwyczajenia się zmieniały.

– Wtedy nie będzie po co żyć. Widziałem jej oczy.

Hajretdinow drgnął.

– Powstrzymamy ją. Nie po raz pierwszy, wierz mi.

– Daj Boże.

– On jest po naszej stronie, Kola.

– Raszid, muszę zadzwonić do domu.

– Nie ma sprawy – dzwoń. – Hajretdinow wyjął z kieszeni telefon, podał Szedczenca. Gubiąc się w obfitości przycisków, Nikołaj włączył telefon.

Dlaczego w armii nie ma czegoś takiego? Łączność kablowa jak za czasów drugiej wojny światowej, hańba i wstyd...

– Halo?

Nina odebrała sama, jakby spodziewała się telefonu.

– Koleńka?

– Jak się czujesz, kochanie? – starał się zapomnieć o Hajretdinowie. Tak, jest żonaty od dwudziestu lat i nadal kocha żonę. Można to uznać za zboczenie. Ma dom i rodzinę, a nie tylko wesołe dziewczynki ze sztabu.

– Dobrze, a ty? Czemu nie zadzwoniłeś wczoraj?

– Byłem zajęty, Nino. Bardzo zajęty – Szedczenko zamknął oczy. – Teraz... teraz już wszystko dobrze.

– Co z Saszką?

– Czuję się znacznie lepiej. Pozdrowienia od Tani.

Przerwa.

– Kola, naprawdę wszystko w porządku?

– Tak. Tak, kochanie.

Szedczenko popatrzył na Hajretdinowa, ale deputowany sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego kanapką z jesiotrem.

– Lepiej niż kiedykolwiek.

13

Jakie to dziwne.

Świat się nie zmienił.

Świat był taki sam!

Kirył prawie biegł, nie mogąc nadażyć za Arkadijem Lwowiczem i Wizytorem, którzy o czymś po cichu rozmawiali. No nie, nie po cichu – spróbuj rozmawiać po cichu w długim przejściu podziemnym pomiędzy dwoma stacjami metra. Ale te kilka kroków, których Kirył nie mógł pokonać, tłumilo słowa na amen.

na amen...

Ludzie, wszędzie ludzie. Setki, tysiące. Ciekawe, co myśli człowiek, który po raz pierwszy przyjechał do Moskwy z małego miasteczka? Miliony – oto one. Dziewczynki, trochę tylko starsze od Kiryła – ale zupełnie inne, całkiem dorosłe, tak dalece, że czuje się słodkie ómienie w piersi – biegną z naprzeciwka, lecz ich spojrzenie nawet nie muska chłopca, a przecież mogłoby się uczyć w jednej klasie. Puchowe kurtki, jaskrawe spodnie, umalowane oczy... dlaczego wszyscy nie dorostają jednakowo?

Jakaś kobieta z dwoma wyładowanymi wózkami. Popycha je przed sobą, jak taran, i tłum ustępuje niczym morską falą przed kilem promu. Grupa nastolatków, starsi od niego, nawet nie rozmawiają,

ale łączy ich jakaś niewidoczna siła, wzajemne przyciąganie, którego prawa nie chce się rozumieć, i tłum rozstępuje się przed nimi tak szybko, jak woda przed kutrami patrolowymi, które drapieżnie wyszczerzyły broń...

Zakłopotani, uśmiechający się przeprasząco, na próżno próbujący przydać sobie choćby ułamka stołecznego pośpiechu – nie-moskwianie. Obcy.

Kirył przyspieszył kroku, próbując w końcu dogonić Wizytora i Arkadija Lwowicza. Czy zupełnie o nim zapomnieli? Kosmici!

Potknął się, przebiegł kilka kroków, próbując utrzymać równowagę, i mimo woli się obejrzał...

Zabójca stał w odległości pięciu metrów. Surowa męska twarz. Tylko spuchnięty nos psuł obraz.

Pod Kiryłem ugięły się nogi. Upadł na wytarty brudny marmur, ludzie odsunęli się, omijając go, zabójca zastygł. Patrzyli sobie w oczy.

Jakby patrzeć w noc...

Kirył chlipnął i podnosząc się nie odrywał wzroku od człowieka, który... nie, nie wolno myśleć o tym!

Zabójca pokręcił głową. Surowo i ze smutkiem. Nie odrywając spojrzenia, nie robiąc ani kroku. Potrząsnął ściskaną w rękę dyplomatką. Otworzyła się posłusznie, jakby pragnąc wysypać swoją zawartość na zdeptaną podłogę, ale zabójca już pochwycił plastikowe wieko i podpierając dyplomatkę kolanem, przytrzymując przed sobą, wyciągnął z niej coś... lśniącego i ciemnego, kwintesencję siły, ujętej w surowe linie, śpiący, drapieżny kanciasty cień.

Więc to tak się dzieje?

Nie film, nie fantazja, nie straszny sen. Automat, podrzucony silnymi rękami, celujący w oczy. Zaraz rozbłyśnie płomyk przy lufie, wcale niestraszny, jak wianuszek przy palniku gazowym, i świat drgnie, wybuchnie, wyrzucając z siebie jego, Kiryła Korsakowa, trzynastoletniego chłopca, do którego przyszedł Wizytor...

– Nie! – krzyknął Kirył, ślizgając się na brudnej podłodze i odpełzając, ale nie odrywając wzroku od zabójcy i jego narzędzia. – Niiieee!

Nad ramieniem coś huknęło – głośno, przeciągle, przerywając koszmar, i zabójca przysiadł, przesuwając lufę automatu z Kiryła na kogoś innego...

– Uciekajcie! – krzyknął Arkadij Lwowicz. Stał, ściskając pistolet, i to był tak śmieszny i dziwaczny widok – staruszek z bronią w rękę – że Kirył aż poczekał chwilę, by zapamiętać na zawsze tę scenę, ale Arkadij Lwowicz wystrzelił jeszcze raz, mrużąc oczy, z jakimś bezlitosnym uśmiechem na ustach, upodabniającym go do zabójcy, i Kiryła jakby podrzuciło do góry. Wpadł na Wizytora i przez chwilę biegli razem, ale tłum wokół ożył, pokonał szok, przestał być tylko zbiorowiskiem ludzi podążających podziemnym korytarzem...

Tłum.

Tłum rządzi się swoimi prawami.

Kieruje się własnym rozumem.

Wycie. Wzbiło się do sklepienia, i niczym reakcja łańcuchowa pochwyciło tych, którzy strzałów nie słyszeli... I ruch... we wszystkie strony jednocześnie... To się nazywa ruchy Browna, prawda, Władimirze Pietrowiczu, nauczycielu fizyki w naszej szkole?

widzi pan, jaki jestem mądry – gdy do mnie strzelają?

Kirył biegł. Znowu, jak w strasznym śnie, wszystko się powtarzało. Zamiast klatki – przejście podziemne. Zamiast mamy – ten śmieszny staruszek.

Trzask automatu. Nawet nie tak straszny jak wystrzał z pistoletu.

Uciekaj, Kirył, uciekaj!

Znowu trzeba uciekać. Całe życie. Wszystko się powtarzało, tak już będzie zawsze. Nikt się nim nie przejmował – ani tłum, w którym setki silnych mężczyzn rozbiegło się pod ołowianym gradem, chociaż tak samo ryzykując mogliby zdeptać człowieka z automatem, ani kosmita biegnący obok, ani Arkadij Lwowicz, który też przecież ucieka przedzierając się przez oszalały tłum, zapominając o swoim wybuchu odwagi, czy też rozczarowany własną celnością.

Uciekaj, Kirył, uciekaj!

To wszystko, co ci zostało. Strach i ucieczka. Na zawsze.

Karamazow nachylił się, gdy pierwsza kula przeleciała mu nad głową.

Makarow. Jego własny. Poznał go, nie po strzale, lecz dzięki wyostrzonym do granic zmysłom, podarowanej przez Ciemność sile. Och, staruszkowie-rozbójnicy... Wysłannik wrócił do pełnego trupów domu i wyjął broń z ręki nieboszczyka. Żegnaj, wersjo o samobójstwie. Witaj, stary znajomku.

Nadal krzywo strzelasz. Trzeba się było zapoznać z bronią!

Jeszcze jeden wystrzał – Ilja przesunął się do ściany, przepuszczając kulę.

Wokół wybuchła panika, ludzie miotali się, jeszcze nie rozumiejąc, skąd strzelają, i nie wiedząc, dokąd uciekać. Jakaś gruba, bezwymiarowa kobieta zasłoniła starca i Karamazow, który już nacisnął spust, ściał ją długą serią. Co najmniej pięć kul... a co one, czy grzęzły w tej chodzącej słoninie?

Kobieta nadal biegła, śmiesznie przebierając nogami, niczym bohater filmów rysunkowych, komiczna postać z thrillera. Z ran na plecach tryskała krew, a ona jeszcze nie upadła, mało efektywne kule, cholera!

Staruszek opuścił pistolet, rzucił się w bok. Postrzelił go czy nie? Ilja przesunął lufę, ale tłum już napierał, i nie dało się wycelować. Że też chłopak musiał się potknąć. Karamazow miał zamiar załatwić ich w wagonie, brudno, ale pewnie, kilkanaście trupów... wagon trupów pomiędzy stacją Komsomolska i Prospekt Mira...

Karamazow otworzył ogień. To był zwykły instynkt samozachowawczy, nikt nie może mieć cienia wątpliwości, normalna reakcja człowieka, wokół którego szaleje tłum.

Tak?

Strzelał krótkimi seriami, kładąc tych, którzy biegli w jego stronę. W tłumie zadziałał jakiś zbiorowy rozum, tłum opamiętał się i z wyciem rzucił w obie strony tunelem, zmiatając tych, którzy szli ze strony przeciwnej. No i na pewno ruszyły się męty, okupujące wszystkie wejścia.

Cholera, przy wyjściu będzie syf!

Jak załatwi kilku z patrolu, gliny staną na rzęsach.

Karamazow przeładował broń. Ostatni magazynek. I już nie ma co liczyć na Harina. Jak się dowie o rzezi w metrze, zmyje się do Szwajcarii albo Austrii...

Sukinsyny!

Ilja wykrzywił twarz, przechodząc przez jęczące, wijące się ciała. Wielu przeżyje. Trudno. Nie jest psychopata. Jego twarzy i tak nikt nie zapamięta – za duży szok.

– Wujku...

Zamarł, patrząc na malutką, pięcioletnią dziewczynkę o przerażonych oczach. W pomarańczowym kombinezonie, błękitnym włóczkowym bereciku, bardzo ładna. Ilja uśmiechnął się do dziewczynki, przykucnął:

– Jak masz na imię, malutka?

Dziewczynka milczała.

– Gdzie twoja mama?

– Uciekła... – słabe machnięcie łapką. Ilja pokręcił głową. A to suka! Dziecko zostawiła. Powiedziałby, co o niej myśli, ale nieładnie mówić źle o rodzicach przy dzieciach. To bardzo, bardzo szkodliwe dla dziecięcej psychiki.

– No to biegnij za nią! – rzucił wesoło Karamazow. – Dogoń!

– Mogę? – spytała cichutko dziewczynka.

– No pewnie. Biegnij... biegnij, biegnij...

Zrobił krok za dziewczynką i jeszcze zdążył ją klepnąć w pupę, gdy zaczęła biec, lawirując pomiędzy ciężkimi, porozrzucanymi dziwnie ciałami. Uśmiechnął się, patrząc na nią, i zerknął na swoją dłoń. Jakby go przeszył prąd.

Czas wracać do domu.

Tak bardzo chciałby znaleźć się teraz w domu.

Karamazow pobiegł z powrotem do wyjścia z dworca. Będzie gorąco. Będzie bardzo brudno.

To nic.

Najważniejsze, by wyrwać się z podziemnej pułapki. Tłumu przed trzema dworcami nie rozproszy nawet wybuch jądrowy. Da radę uciec.

Żadnych wątpliwości, żadnego strachu, irytacji, że zawalił sprawę.

Nie można mieć zbyt dużo siły.

14

Szedczenko pół dnia snuł się po willi. Pograł z ochroną w ogromny bilard, przypominając sobie stare czasy i demonstrując prawdziwy, wojskowy styl gry. Chyba pozwolono mu na wszystko... stał się jakimś dziwnym gościem gospodarza, nieoczekiwanym zaufanym szanowanego pracodawcy.

Naprawdę szanowanego! Skąpe wypowiedzi ochrony nie zostawiały miejsca na wątpliwości – Hajretdinowa rzeczywiście lubiano.

Czyli nie był to taki zły wybór.

Siemion, ten chłopak, który przyszedł po niego rano, przyniósł zgrzewkę piwa. Szedczenko rozpiął koszulę – trochę jednak zaczynał się męczyć – siadł z boku, otworzył puszkę. Piwo było zimne i mocne. Dobre.

Jakiż dziwny i niespodziewany urlop mu wypadł...

Siemion zerkał na niego, zatrzymując wzrok na szramie ciągnącej się nad obojczykiem, i krótko zapytał:

– Czeczenia?

Szedczenko pokręcił głową. Tak, niedługo chłopaki będą pamiętać tylko jedną wojnę...

– Afgan. Czeczenia to wasza zabawa.

– Zabawa – prychnął ochroniarz. – No tak, jesteś Ukraińcem.

– Już sam nie wiem, kim jestem – odparł Szedczenko popijając piwo. – Ale walczyłem o Związek.

– Jasne – Siemion nadal na niego zerkał. – Rzeczywiście jesteś pułkownikiem, Nikołaj?

– Tak.

– W rezerwie?

– Na urlopie.

Jeden z ochroniarzy lekko się wyprostował. Niedawno z wojska, czy co?

– A na nasze stopnie to jak? – Siemiona nie opuszczała ciekawość.

– Tak samo.

Pewnie wypytywaliby go jeszcze długo. Nikołaj był w nastroju i chętnie by odpowiadał... gotów

byłby nawet zdradzić Wielką Tajemnicę Wojskową Ukrainy, gdyby takowa występowała w przyrodzie.

– Chłopaki! – Do sali bilardowej wpadł mężczyzna w kamuflażu. Resztką świadomości dowódcy polowego Szedczenko rejestrował reakcję ochrony. Siemion był całkiem niezły. – Włączcie telewizor! Szósty!

Ktoś chwycił pilota. Malutki sony włączył się niemal natychmiast.

– ...naturalnie, nie są udzielane żadne komentarze. Udało się nam obejrzeć miejsce tragedii, wejście od strony dworców jest zamknięte, ale wsiadając do metra na stacji Kurska, nasz operator spokojnie dojechał...

Szedczenko utkwiał wzrok w ekranie.

Jatka. Inaczej tego nazwać nie można. Ludzie dźwigający nosze, ludzie, którzy badali na podłodze ciała tych, którym medycyna już nie pomoże.

Krew, krew... obiektyw przesuwiał się po kałużach krwi, po bryzgach na ścianie, po kobiecie w brunatnym, nasiąkniętym krwią palcie... czy ten operator jest człowiekiem, czy tylko statywem do swojej kamery?

– Najprawdopodobniej terrorystów było trzech. Świadkowie twierdzą, że bandyci bez żadnej widocznej przyczyny otworzyli ogień, strzelając z broni automatycznej. Spanikowani ludzie próbowali się ratować, ale zabójcy nie znali litości. Skończyli swoje krwawe żniwo i opuścili przejście podziemne przez Dworzec Kazański. Trzech pracowników OMON-u* i dwóch milicjantów próbujących powstrzymać złoczyńców...

– Kurwa mać! – zaklął głośno Siemion. Zerknął na Szedczenkę, jakby szukając poparcia. – Nawet ich nie złapali! Czy u was też tak się dzieje?

Szedczenko pokręcił głową. Nie.

Ale teraz pewnie zacznie.

To był któryś z nich. Czuł to całym sobą. Wizytorzy prowadzą swoje straszne gry. A ci, którzy znaleźli się na ich drodze, są z góry skazani.

I nikt nie zdoła ich powstrzymać. Ani milicja, ani OMON, ani grupa Alfa, którą na pewno teraz zaalarmują. Dopiero wtedy, gdy z sześciu zostanie jeden, rzeź dobiegnie końca.

Wszystko jedno, kto to będzie. Uzbek zachowujący się jak rosyjski nacjonalista? Dlaczego nie? Nie będzie usypywał góry trupów. Będzie oszczędzał swoich poddanych.

– Zadzwońię do domu – rzucił niespokojnie Siemion, wyjmując z kieszeni komórkę. Pozostali chyba nie mieli. Jakby ich wymiotło z pokoju. Szedczenko siedział wpatrzony w telewizor. Rozwścieczeni milicjanci napierali na operatora, a głos za kadrem skarżył się na deptanie wolności słowa.

– Znajdę cię – wyszeptał Szedczenko do ekranu. – Obiecuję ci to, gnido.

– Lenka? – krzyczał Siemion do telefonu. – Jesteś w domu? Słuchaj, leć do przedszkola, zabierz Kostię! Tylko nie metrem, przejdźcie się! Tam jakieś sukinsyny urządziły rzeź... oglądasz? Dobra, zabierz Kostie! I siedźcie w domu! Nie wiadomo, co jeszcze się wydarzy...

Szedczenko przycisnął dłonie do twarzy. Palce miał jak z lodu. Za co tak... dlaczego? Tak, jest służą. Strażnikiem. I wszystko jedno, że jest na obcej ziemi, ona nigdy nie będzie dla niego obca. Nigdy. Dlaczego nie znalazł się tam, obok nie ludzi, w których rękach była śmierć? Dlaczego grał w bilard i pił piwo, podczas gdy ołowiany wiatr hulał po korytarzu, szukał ścian i natrafiał na ciała...

– Znajdę... – powtórzył Szedczenko. – Znajdę.

CZEŚĆ PIĄTA

ETYKA ABSTRAKCYJNA

0

Jak niewiele potrzeba, żeby znowu poczuć się człowiekiem. Jeden dzień nie pić, ogolić się, przebrać, rozpuścić kawę w szklance...

Sława jeszcze spał. Jarosław pogrzebał w torbach, spokojnie wybrał najlepszą koszulę, oblał policzki wodą po goleniu. Wizytor jęknął przez sen.

– Prześpisz Dworzec Kazański – trącając go, powiedział Jarosław.

– Co? – Sława uniósł się, zerknął w okno, na zegarek i pokręcił głową. – Jeszcze trzy godziny...

Czego chcesz?

– Nudzi mi się. Wstawaj.

– A... – Wizytor spuścił nogi, potarł twarz. – Trzeba się ogolić. O, a ty już świeżutki i gotowy do czynów...

– Wstawaj, wstawaj – Jarosław pił kawę, z uśmiechem obserwując proces własnego budzenia się.

Wizytor przeciągnął się, zabrał mu szklankę, napił się.

– Cholera. Miałem wesolutki sen.

– Nocne wydanie CNN? Opowiadaj.

– Nie ma co opowiadać, wszyscy żyją i wszyscy są w Moskwie.

– No to co się stało?

– Metro... – Sława wymacał na stole papierosy, zapalił, wpatrzony w dal. – Śniło mi się metro.

– Coś ty? Czemu palisz w przedziale?

Sława jakby go nie usłyszał. Zaciągnął się chciwie, łyknął kawę:

– Ona nie lubiła Moskwy.

– Jaka ona?

– Nie lubiła Moskwy. Bała się. Zbyt tam głośno, za dużo ludzi, i w dodatku wszyscy ciągle się spieszą. A jej przychodziło to z trudem. Nadwaga od dzieciństwa. Niby w życiu jej to nie przeszkodziło, i mąż się trafił dobry, i serce jak dzwon, nigdy się nie skarżyła. Ale biegać po metrze z ciężkimi torbami, stać się częścią tłumu – to nie dla niej. Gdy bywała w Moskwie przejazdem, zawsze tak kupowała bilety, żeby się za długo nie zatrzymywać. Prezenty można kupić nawet na dworcu. Tym razem też, ledwie przyjechała, od razu na Sawelowski, do metra. Godzinkę na dworcu, odpocząć, i na drugi pociąg, do siostry, do Murmańska. To pewnie śmieszne, jeździć na zimę do Murmańska, ale tak już się u nich utarło – siostra na południe z północy przyjeżdżała latem, a ona z południa na północ – zimą. Nie spieszyła się, chociaż szła, jak na siebie, szybko. Przed nią szło

dwóch chłopców bliźniaków, ze staruszką. Siostra też miała bliźniaki, tylko młodsze. Czekają pewnie, może na nią, a może na prezenty. Ale i tak lubią swoją ciotkę. Potem jeden chłopiec potknął się, aż się skrzywiła, sama bardzo nie lubiła się przewracać. A chłopiec siedział na ziemi i patrzył gdzieś do tyłu, przez jej ramię, i w jego oczach było takie przerażenie, że serce po raz pierwszy się szarpnęło, zatrzymało na chwilę. Odwróciła się – za nią szedł mężczyzna, przystojny, dobrze ubrany, z inteligentną twarzą. I wyjął z dyplomatki coś, czego nie dostrzegła, ale wyczuła – broń. Potem zaczęli strzelać – nie mężczyzna, ktoś inny, i ona zaczęła biec – po raz pierwszy od wielu lat. Toreb nie porzuciła, nie dlatego, że szkoda, przecież trzeba było się ratować, a nie dowieźć prezenty, ale był tłum, ścisk, ludzie zaczęli się o nie potykać, przewracać, tratować nawzajem... a biegło się tak lekko, tak niespodziewanie lekko, nawet jej się spodobało, być szybką, być częścią tłumu, zostawić strach i śmierć daleko, daleko za sobą. Tak łatwo się biegło... i jakby coś pchało w plecy, raz za razem, biegło się coraz lżej, ciało stało się nieważkie, jak w dzieciństwie, ale mimo wszystko upadła, i w żaden sposób nie mogła wstać... tak przykro być grubą i niezgrabną, gdy nie ma się jeszcze czterdziestu lat. Wystrzały grzmiały, ale już słabiej, a potem nastąpiła cisza; to znaczy, że wszystko w porządku, wszystko straszne już się skończyło. A ona dalej leżała, nawet zamknęła oczy, tak się zmęczyła, taka straszna historia, siostra złapie się za serce, jak się dowie, ale ona, ona serce ma zdrowe, zdrowe i mocne, zaraz ją podniosą, pomogą wstać, trzeba będzie zaproponować pomoc, jeśli ktoś został ranny, kiedyś pracowała jako pielęgniarka...

Wizytory rozsunął palce i niedopałek upadł na podłogę, rozsypując biały słupek popiołu.

– Kto to był, Sława?

– Siódmy – Wizytory patrzył na zaciśniętą pięść. – Siódmy, Jarek. Wysłannik Ciemności. Dawno... dawno się nie spotykaliśmy.

– Ale...

– Sam się zorganizował. Nie ma prototypu. Jest perfekcjonistą w swojej pracy. Najlepszy zabójca Rosji... Korektor.

– Dlaczego w takim razie nie zdołał zabić chłopców? I staruszka? Wysłannika Wiedzy, tak?

– Tak. On gra, Jarek. Teraz, kiedy uświadomił sobie swoją moc, zwyczajnie gra. Kot i myszy. Nie chce się do tego przyznać, przywykł uważać się za dokładnego i szybkiego posłańca śmierci. Ale zawsze chciał właśnie tego – grać. Polować, gonić ofiarę, wypuszczać i znowu zaciskać szpony. Ale długo to nie potrwa. Zrozumie, że wystarczy usunąć wszystkich – i świat stanie się jego grą. Na wiele lat. Na zawsze.

1

– Wiesz co, Arkasza, ja jestem stomatologiem, a nie chirurgiem. – Rościsław Śnieżniewski z lekkim przestachem obejrzał rękę Wizarza. – Rana jest powierzchowna, ale...

– Po prostu opatr. Chyba was tego uczyli?

Siedzieli w kuchni, przy zasłoniętych oknach. Jak w latach sześćdziesiątych... odważni dysydenci... którzy zebrali się, żeby przejrzeć „Posiew”.

– Ile ty masz lat, Arkasza? Osłabiony organizm, niska odporność. W twoim przypadku nawet na usunięcie zęba nie zdecydowałbym się od razu.

Wizytory uśmiechnął się. Śnieżniewski nie przestawał kłąć, odmawiać, a jego palce ostrożnie obmacywały przedramię, rozsuwały krwawiące tkanki.

– Nie masz zawrotów głowy?

– Nie. Od razu założono mi zacisk, nieduży upływ krwi.

– Trzeba zdjąć tę opaskę... No nie, dlaczego ja ci pomagam? Musiałeś narozrabiać, skoro nie chcesz iść do szpitala!

– Ranili mnie w metrze, w tej strzelaninie.

– To czego się boisz?

– Będą mnie ciągać po sądach... jako świadka...

– Nie kłam! – Śnieżniewski podniósł głowę, błysnął okularami. – Znam cię, stary poszukiwaczu prawdy! Z wielką przyjemnością wypełniłbyś swój obywatelski obowiązek!

– Zmądrzałem.

– Za późno dla ciebie na mądrzenie. Chociaż... rzeczywiście się zmieniłeś. Przedtem byle pryszcz na czole, i już wpadałeś w panikę. A teraz siedzisz, uśmiechasz się... Dobrze. Tętnica cała. Wytrzymaj.

Odkręcił buteleczkę z wodą utlenioną, polał ranę. Wizard skrzywił się. Brudna, brunatna piana na ranie. Śnieżniewski zaczął szybko i mocno przyciskać do rany tampon.

– A skąd się wziął chłopiec?

– Chłopców w ogóle było dwóch. Jeden został w tłumie, niestety.

– Żartujesz sobie ze mnie? Jak on się nazywa?

– Nazywaj go Wizytor.

– Wizytor to jego imię? Nie, żartujesz, tak?

Rościsław położył na ranę poduszeczkę gazy i zaczął bandażować.

– Po prostu nie chcę cię w to wciągać – Wizard sam tego nie wiedząc powtórzył słowa Kiryła do Wiesnina. – Dziękuję za pomoc.

– Podziękujesz chirurgowi, jak ci będzie rękę amputował! Nalegam, żebyś zwrócił się po wykwalifikowaną pomoc.

– Pomyślę o tym, Rostik. Ale na pewno nie dzisiaj.

W drzwiach pojawiła się chłopięca sylwetka. Śnieżniewski zerknął na Wizytora.

– Sio stąd!

– Może pomóc? – nie ruszając się, zapytał chłopiec.

– Pomóc? A jaką masz specjalizację, kolego? Rany postrzałowe to dla ciebie bułka z masłem?

– Trochę. To ja zakładałem opaskę.

Rościsław uniósł brwi.

– Tak? Założona dobrze. Gdzieś się nauczył?

– W szkole. Pokazywali nam.

– Albo jesteś przyszłym Hipokratesem, albo masz pamięć absolutną i stalowe nerwy... – burknął Śnieżniewski. – Weź ze stolika gazetę – tylko nie „Komsomółkę”, jeszcze jej nie przeczytałem! – i przynieś tutaj.

Wizytor znikł i wrócił z „Argumentami i Faktami”.

– Może być?

– Żeby ukryć fakty – idealna. Zawień to i wyrzuć do kosza.

Przez chwilę obserwował, jak Wizytor wygrzebuje z emaliowanej miseczki zakrwawione kawałki waty i gazy, w końcu pokręcił głową.

– Idź na medycynę. Będiesz dobrym lekarzem.

– Ja w ogóle jestem dobry.

– Straszne pokolenie rośnie... – wyszeptał Śnieżniewski, oglądając założony opatrunek. – Poruszaj palcami... tak... tak ich nie złamiesz!

Wizard patrzył na Wizytora, który wyniósł gazetę.

– Przedwczoraj chłopakowi zabili matkę.

– C-co?

– Nie mów o tym przy nim. Chłopiec musi mieć nadzieję, że ona żyje.

– Arkadij, w co ty się wplątałeś? Co się dzieje?

– Los.

Wrócił Wizytor. Śnieżniewski wstał, zebrał porozrzucane na stole lekarstwa i bandaże do kartonowego pudełka i postawił je w szafce. Umył ręce w umywalce.

– Jesteście głodni?

– Jesteśmy – odezwał się Wizard, narzucając zdjętą koszulę. – Rostik, gdzie tu w pobliżu można kupić ubranie? Wiesz, palto z dziurą po kuli to niezbyt modny fason.

– W supermarkecie, jeśli macie pieniądze.

– Na razie mamy. Nakarm chłopca, a ja zaraz wrócę.

Śnieżniewski potarł nos.

– Tak... jeśli za godzinę nie wrócisz, zadzwonię na milicję,

– Nie zadzwonisz. Zresztą, wrócę. – Wizard wyszedł do przedpokoju, ściągnął z wieszaka płaszcz.

– Na razie założę twój.

– Oddasz bez dziur, dobrze?

– To twoje poczucie humoru... wyrwizębie... – Wizard niezgrabnie sięgnął lewą ręką do swojego palta, zaczął wyjmować coś z kieszeni, upuścił...

– Arkasza! – Śnieżniewski szybko poszedł za nim. – To... co to jest?

– Makarow. Parszywy pistolet – Wizard podniósł broń, wyjął magazynek, pokręcił głową. – I tak już nie mam nabojów...

– Weź z mojej kurtki – krzyknął z kuchni Wizytor. – W prawej kieszeni. Gazowy, ale pociski są ze śrutem, podobno można zabić.

Rościsław zaczął kręcić głową, z przerażeniem patrząc to na chłopca, to na staruszkę. Obliznął wargi.

– Wyjdźcie stąd. Obaj. Nie mam ochoty być uczestnikiem...

– Rościsławie Iwanowiczu, niech się pan nie denerwuje – Wizytor podszedł do nich nie wypuszczając zmywaka, którym wycierał stół. – Jutro sobie pójdziemy. Wszystko będzie dobrze. A teraz nie możemy. Musi nam pan pomóc. W przeciwnym razie nas zabiją. Wszystko panu wyjaśnię...

Wizard w milczeniu włożył do kieszeni pistolet gazowy, otworzył drzwi. No, mały, nawijaj...

staraj się go omamić, niech granica pomiędzy rzeczywistością i wymyśleni będzie płynna; spraw, by stary tchórzliwy Rościsław stał się odważniejszy, uruchom wszystkie sprężyny ludzkiej duszy, strachy, kompleksy, marzenia...

2

– A ty lubisz to miasto? – zapytał Sława.

– Wolę Petersburg – Jarosław wzdrygnął się. Po co Wizytor mu przypominał?

Ona nie lubiła Moskwy...

– Mhm. „Jakże naiwnie i bez wzajemności kocham to miasto...” – Sława pochylił się przy oknie i kręcił głową, jakby czegoś wypatrywał.

Na co tu patrzeć? Szyny, peron, domy – podmiejskie osiedla, a może już przedmieścia Moskwy... ludzie...

Ludzie wszędzie są tacy sami. I w zasypanej śniegiem syberyjskiej wsi, i w kazachstańskim aule, i

na Arbacie, ono i tak jest – piętno degeneracji na twarzy. Nieważne, jaką formę przybierze – pijaczyny z siatką pustych butelek, krzepkiego chłopaka, biegającego wzdłuż pociągu i sprzedającego denaturat, czy wymalowanej dziewczyny, która idzie na awangardowy spektakl, ale nie przeczytała w życiu ani linijki.

Piętno degeneracji. Płask, płask, płask... on również go nie uniknął. Może tylko ma odwagę podnieść wzrok i zobaczyć to, czego nie widzą inni. Zobaczyć piętno na sobie.

Pociąg podjeżdżał do stacji, zwalniając bieg. Jarosław patrzył na twarze ludzi na peronie. Skrzywienie zawodowe. Wiedział, że i tak ich nie zapamięta, a jeśli nawet zapamięta, nigdy nie zdoła opisać, tchnąć w nie życia. Ale zarejestruje szczegóły. Drobiazgi, które wcześniej czy później przerodzą się w słowa.

– Myślę, że od razu się rozdzielimy – powiedział niedbale Wizytor. – Ja uderzę do BTU, a ty do Loduru. Musimy wycisnąć z nich jak najwięcej forsy.

– Skąd ta niewzruszona pewność?

– Z całkowitego braku takowej. Przeciwiństwa się przyciągają. Zgadzasz się na ten układ? BTU to twardszy orzech, ale mogą więcej zapłacić.

– A potem?

– Jeśli wszystko pójdzie szybko, od razu wynajmiemy mieszkanie, na jakiś miesiąc. Sprawa może się przeciągnąć. A jeśli dzisiaj nie zdobędziemy pieniędzy, zadzwonię do Ozierowa, przenocuję u niego. Ty możesz się wprosić do Stiepana. Ale lepiej ich nie informować, że Jarosław Żarow jest w Moskwie.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej. Po co wystawiać chłopaków na cios. Przecież widzisz, że konkurenci się nie certolą. Są dobrze wyposażeni... słuchaj, postaraj się nie sprzedać zbyt tanio w wydawnictwie.

Jarosław skinął głową.

– Szokujesz mnie, Wizytor. Ratowanie świata i wyciskanie pieniędzy.

Sława zachichotał.

– Podczas poprzednich wizyt zaszokowałbym cię jeszcze bardziej. Ratowanie świata i zbójcecki proceder na trakcie – na przykład.

– Kim bywałeś, Sława? – zapytał Jarosław.

– Minstrelami i poetami, pisarzami i malarzami. Myślę, że nazwiska nie są ważne.

– Następnym razem możesz się okazać reżyserem. Albo autorem gry komputerowej.

– Tak. Jeśli następny raz w ogóle będzie.

– Jeśli będzie, pamiętaj o mnie.

Sława skinął głową.

– Wspominać nie umiem. Wymyślę cię, Jarek.

– Dzięki choć za to. Sława, za kogo się weźmiemy?

– Najchętniej za Korektora. Ale obawiam się... że jesteśmy za ciency.

– Czym jest Ciemność, Sława?

– Nie spodziewałem się takiego pytania... od ciebie.

– A możesz odpowiedzieć?

– Ciemność to po prostu brak światła, Jarek. Nie kpię! To brak granic. Wolność kierunków, prawo bycia niezależnym od innych i od świata.

– Po prostu?

– Tak. Ciemność to wieczne dziecko, taki nie dorastający Piotruś Pan. Nie kończąca się gra. Wolność wszystkich kierunków – oto jej wizytówka. Weź Ciemność za rękę i idź w nicość. Nie

zatrzymuj się przed niczym i przed nikim. Ciemność to „ja chce” zamiast „ja powinienem”. Ciemność to wiara w siebie. Ciemność to niemożność popatrzenia na siebie z boku. Ciemność jest zawsze przy tobie. Ciemność czeka na swoją chwilę. Ciemność tobą włada, ale wystarczy być posłusznym, a stanie się sługą. Usprawiedliwi wszystko.

– Zrozumiałem.

– Spróbowałbyś nie zrozumieć! Ratuje nas tylko jedno. Nie ma linii, która poszłaby na układ z Ciemnością. Ona zawsze jest sama. Zawsze przeciwko wszystkim. Dlatego przegrywa.

Wizytor zamilkł, zmrużył oczy, patrząc w okno.

– Na razie zajmujemy się Wysłannikiem Rozwoju. Wiesz, dlaczego? On może stać się tym, czego tak nienawidzi. Ciemnością. A dwóch Wysłanników Ciemności nie pokonamy.

– Sława, a nie wydaje ci się, że tym razem Ciemność przyszła w siódmkę?

– Mam nadzieję, że to miał być kiepski dowcip – odparł Wizytor, nie odwracając się.

– Wiara w swoje racje, w brak granic to również twoje hasło. „Wiemy, że mamy rację i pokonamy pozostałych!” Nie jest tak?

– Nie. W nas nie ma obojętności, Jarek. My nie uważamy, że świat stworzono dla naszej przyjemności, my próbujemy dać szczęście innym – choć każdy postrzega je inaczej. Wierzysz?

– Chciałbym wierzyć.

– Nie porzucaj mnie, Jarek – powiedział cicho Wizytor. – Nie porzucaj. Gdy prototypa rozczaruje własna linia, gdy przestaje w nią wierzyć, Wysłannik jest skazany. Tak zginęła Siła. A to nie był najgorszy z nas.

– A więc i my coś niecoś możemy.

– Oczywiście.

3

Czy wiele czasu potrzeba na pakowanie, jeśli poprzednie życie stało się śmieszne i niepotrzebne?

Anna biegła po mieszkaniu, sprawdzając, czy czegoś nie zapomniała. No trzeba przecież trochę posprzątać po wczorajszym dniu. Szalonym dniu, ale takim pięknym. Znowu piły szampana, znowu się kochały... tak, kochały! Już się tego nie wstydziała, rozumiała, jak piękne i słuszne było to, co się działo. Jakie mogą być granice miłości – tym bardziej dla niej! Wszystko jest równe przed nim...

Wczoraj Maria poszła do fryzjera. Nie na długo, ale Anna strasznie się denerwowała, zanim zabrzmiał dzwonek do drzwi. Maria obcięła się na krótko, przefarbowała na jasny kasztan. Przeobraziła się, stała się jeszcze piękniejsza, jeśli to możliwe. Oczywiście, wygląd zewnętrzny był jej obojętny, ale prototypy, ci, którzy ich nie widzieli, będą czujnie wypatrywać bliźniaczek. A teraz nie są zbyt podobne. Ale Wysłanników nie oszukasz. Oni wyczuwają siebie i prototypy. W nich jest potęga zła, ale one i tak zwyciężą...

– Nie lataj tak, dziewczyno! – Maria założyła nogę na nogę i obserwowała ją. – Zdążymy. Wyłącz gaz, zakręć krany w łazience, uczesz się i pójdziemy.

Anna spojrzała na nią z wdzięcznością. Tak, oczywiście, nie ma sensu się denerwować. Popatrzyła na Marię, ubraną w spodnie i sweter. Wysportowana, silna, pewna siebie. Taka powinna przyjść na świat, bez dwóch zdań. Każdy czas ma swój kształt. Tylko istota się nie zmienia, dobro jest dobrem, zło – złem.

– Wiesz, mamy niewiele pieniędzy – odezwała się niepewnie. – To śmieszne, ale pieniądze o wielu rzeczach decydują, prawda?

– Niestety – Maria wyjęła papierosa, zapaliła, popatrzyła na nią z uśmiechem. – I co

proponujesz, siostrze?

– Mogę przebiec się po sąsiadach. Pożyczyć, kto ile może. U nas mieszkają przeważnie starsi ludzie, ale zawsze... nieraz im pomagałam, robiłam zastrzyki. Nie odmówią mi.

Maria milczała.

– Mogę powiedzieć, że ktoś umarł, mama na przykład – zaproponowała Anna w natchnieniu. – Pobiec?

Maria bez słowa pochyliła się, zdejmując ze stoliczka skórzaną torebkę. Kupiła ją wczoraj, chyba wracając od fryzjera. To nawet dziwne, skąd miała pieniądze na taką ładną rzecz, a przecież był jeszcze i szampan, i czekolada...

Maria pstryknęła zamkiem, wyjęła pogniecione banknoty...

– To wystarczy, jak sądzę?

Anna stropiona dotknęła pieniędzy. Dolary. Nigdy nie udało jej się tyle odłożyć, żeby kupić walutę...

– Wystarczy... tu jest bardzo dużo. Skąd masz?

– Kto śmiałyby mi odmówić?

Rzeczywiście. Jaka ona głupia. Pieniądze dla Marii to nic. Pył. Kto, prócz Wysłanników Zła, oprze się jej spojrzeniu i słowom? Wystarczy, że powie człowiekowi, że pieniądze są niczym, i on zrozumie. Wyrzuci albo odda.

– To nie trzeba iść do sąsiadów?

– Myślę, że nie, siostrze. Szkoda czasu. W razie czego zdobędziemy pieniądze.

Anna skinęła głową, pobiegła do łazienki. Czesła się szybko. Och, jak bardzo chciałyby się ostrzyć tak jak Maria. Ale nie można, bo znowu stałyby się podobne...

– Mario, w pociągu... – zająknęła się.

– Naturalnie. Weźmiemy przedział na dwie osoby, siostrze. Szybciej!

Anna wyskoczyła z łazienki.

– Już, jestem gotowa.

Maria wstała, wrzuciła niedopałek do kieliszka z niedopitym szampanem.

– Ja wyjdę pierwsza, ty zamkniesz.

Przespacerowały się. Do pociągu było jeszcze trochę czasu. Maria nawet wzięła ją za rękę, i to było takie piękne – iść niczym siostry, uśmiechać się do siebie i rozumieć, jaki piękny jest ten świat, piękny, bez względu na wszystko, a one podarują mu jeszcze więcej radości, podarują nieskończoną radość i czystość, śmiech i szczęście, miłosierdzie i przebaczenie.

– Szkoda, że nie ma słońca – powiedziała Anna, zaglądając w oczy Marii. – Bardzo lubię lato i słońce.

– Czy ze mną nie jest ci jasno?

Roześmiały się obie, ale Anna z przestachem zrozumiała, że omal nie uraziła najdroższego na świecie człowieka. Nie, ona jednak jest głupia. Niegodna.

– Kupię szampana – oznajmiła Maria, gdy przechodziły obok sklepu, jedyne pewne, który mógł w tym mieście nosić nazwę supermarketu. – Poczekaj.

Anna posłusznie zatrzymała się przed drzwiami. Odprowadziła Marię wzrokiem. W wejściu był przywiązany pitbull, okropny, wielki szczur doświadczalny, z obciętymi uszami i pokrytą szramami mordą. W kagańcu, co prawda, ale i tak... po co pozwalają trzymać takie straszne psy-zabójców? Żeby tylko nie rzucił się na Marię.

Ale pitbull był spokojny. A może poczuł płynące od Marii dobro? Gdy przechodziła obok niego,

położył się na brudnej podłodze, podstawił brzuch. Zdumiewające! Jak mały piesek... Anna westchnęła, odwracając się. Nieco dalej paliło dwóch mężczyzn, albo sprzedawcy, albo może tragarze, mówili o jakimś Witku z kantoru przy sklepie, który wczoraj wieczorem, gdy przyjechali po kasę, strzelił sobie w łeb. Roztrwonił pieniądze – w kasie było pusto – i skończył ze sobą. Mężczyźni zastanawiali się, co było powodem – karty, baby czy jedno i drugie.

Anna westchnęła. Proszę... brud, zło, śmierć. I ostatni grzech – samobójstwo. One zmieniają to wszystko.

Dadzą światu dobro.

4

Co to za nowa maniera – nadawać wydawnictwom nazwy mitologiczne?

Co to za dziwna gra, znak czasów, kiedy to się stało modne?

A może to tylko poszukiwanie dźwięcznych słów?

Argos, Lodur, Gryf...

Jarosław szedł do Lodura od strony Tagańskiej. W sumie chyba nie lubił Moskwy, ale z jakiegoś powodu wystarczyło, że przejechał jedną stację metra i już czuł się tak, jakby nigdy nie opuszczał tego miasta.

Ciekawe, czy mógłby tu mieszkać? Zaadaptować się nie do rytmu życia, który w pełni mu odpowiadał, nie do wody, smakującej, jakby już ją pito, nie do drobnych cech moskwian, nie do rozmiarów tego miasta w kształcie kleksa, lecz do twardego przekonania, że „homo moscovitus” to następny stopień ewolucji po „homo sapiens”?

Zapewne mógłby. Psychologia grupy.

Lodur miał swoje biuro w domu mieszkalnym. Jarosław zadzwonił do pancernych drzwi, postął, czekając, aż obejrzą go przez wizjer i podejmą decyzję. Ochroniarz w milczeniu otworzył drzwi, skinął głową, widocznie nie mógł się zdecydować, do jakiej kategorii należy petent.

– Dzień dobry, ja do Lidii Wasiljewny.

– Był pan umówiony?

– Nie.

Ochroniarz zawahał się.

– Niech pan wejdzie...

– Jarosław Żarow. Wasz autor.

– Proszę poczekać.

Poczekał, oglądając ściany, na których wisały oprawione w ramki okładki wydanych książek, plakaty reklamowe, prospekty zapowiedzi wydawniczych. Uśmiechnął się na widok własnych „Cieni snów”. A oto i koledzy. „Wielkie waterpolo”... „Tutaj, nad Styksem”... „Przestrzenie sprawiedliwych”.

W sąsiednim pokoju ktoś tłukł w klawiaturę komputera – powoli i zbyt mocno, widocznie jeszcze się przestawił z maszyny do pisania...

Trzeba będzie poprosić o „Waterpolo”... Andriej ciągle zapomina mu podarować, już niezręcznie się upominać. A kupować książki tych, z którymi czasem pije się wódkę i rozmawia o literaturze, jakoś śmiesznie.

– Niech pan wejdzie – ochroniarz wrócił z pokoju redakcyjnego i uśmiechając się usiadł w fotelu przy drzwiach. Zerknął na ścianę, widocznie szukając „Cieni snów”. Nowy. Jeszcze lubi popatrzeć na pisarzy.

Może nawet przeczyta...

Żarow podszedł do otwartych drzwi. Lidia Wasiljewna już wstawała na spotkanie, uśmiechając się.

– Dzień dobry, Jarosławie! Co pana do nas sprowadza?

– Jestem przejazdem – odpowiedział pospiesznie i wzdrygnął się jak oparzony. Co za lichy? Przecież nie przyszedł prosić o jałmużnę, tylko się sprzedać, to jednak dwie różne rzeczy. Czy już zawsze będzie czuł zdziwienie, że za pracę, która daje radość, jeszcze mu płacą? – Pracuję nad nową książką... Chciałem wam zaproponować...

Lidia Wasiljewna skinęła głową i niepewnie zapytała:

– To szalenie interesujące. O czym jest książka?

– Jak zawsze. O Ciemności.

* * *

Wizard wrócił dokładnie po godzinie. Nie żeby przejmował się Rościslawem – Wizytor zdoła go powstrzymać od dzwonięcia na milicję. Ale lepiej dotrzymywać obietnic.

Śnieżniewski, który wyskoczył, żeby otworzyć drzwi, był podekscytowany.

– Arkasza... – szybko wyjrzał na klatkę, zaczął zamykać zamki. – Dlaczego nie chciałeś mi powiedzieć?

Oho, ciekawe, co mu napłótnął Wysłannik Rozwoju?

– Nie chcę, żebyś w to wchodził.

– Co? Nie wchodził? Czy ty chociaż rozumiesz, co się dzieje?!

Przeholowałaś, maty...

– Nie.

– O, jeszcze sobie żartuje! Zuch, bohater, bohater... – Śnieżniewski klasnął w ręce. – Musisz wyjechać z tego idiotycznego kraju. I to natychmiast. Pożyczę ci pieniądze na bilet.

– Dokąd?

Rościslaw zmrużył oczy.

– Do Tel Awiwu! Z chłopcem trudniej, ale i jego gdzieś przierzucimy... Wiesz, Mosad na pewno będzie zainteresowany tym, co się stało, zapewnią ci ochronę... tylko nie mów, że nie masz obywatelstwa.

– Nie mam.

– Dlaczego?

– Uspokój się, Rostik.

– Dlaczego jesteś taki głupi?

– Miałem zamiar przeżyć resztę życia tutaj. Lepiej umierać tam, gdzie żyłeś.

– No, twoje marzenie się spełni... – Śnieżniewski już biegł do kuchni. – Wiz, chłopcze, jesteś mądrzejszy niż mój na wpół martwy przyjaciel! Wyjaśnij mu, że musi uciekać!

– Wcale nie jestem tego pewien. – Chłopiec wyszedł na korytarz. Ledwie zauważalnie mrugnął do Wizarza, ten pokręcił głową. Dzieci nie mają poczucia umiaru. Zdolność omamiania to zbyt silna broń, by wypróbować ją na staruszkach.

– Trzymaj – Wizard rzucił mu torbę. – To ubranie – Nie jestem tylko pewien, czy to twój rozmiar.

Wizytor z ciekawością zajrzał do paczki, wyciągnął zawiniętą w folię bieliznę. Rozwinął podkoszulek, strzepnął.

– Za dwa lata będzie w sam raz.

– No wiesz, nie jestem projektantem mody. Synów nigdy nie miałem. I tak grzebałem w tym koszu

jak stary fetyszysta.

Wizytor prychnął i wrzucił ubranie do torby.

– Zamiast o higienie, pomyślałbyś lepiej o bezpieczeństwie – Rościsław złożył ręce i popatrzył na niego. – W przeciwnym razie przybędzie ci dziurek.

– Już pomyślałem – Wizard potrząsnął drugą torbą. – Masz neuroleptyki?

– Za kogo ty mnie bierzesz?

– Za starego zapobiegliwego lekarza. Co masz? Trankwilizatory, preparaty do neuroleptanalgezji, narkotyki?

– Co za znajomość terminologii! – Śnieżniewski przeszedł do pokoju, odkrzyknął: – Czego właściwie potrzebujesz?

– Pokaż wszystko – Wizard zdjął buty. – Wszystko, co masz. Nie ja cię będę uczył, że różnica pomiędzy trucizną i lekarstwem jest w dawce.

5

Nieudany zamach – masełko na chleбку reporterów. To nawet lepsze niż udane zabójstwo polityczne, którego nikt nigdy nie wyświekli. Jeśli uda się przeprowadzić wywiad z oszołomioną uratowaniem ofiarą, to na masełku pojawia się górka kawioru...

Ochrona odparła ataki kilku najbardziej nachalnych dziennikarzy i Hajretdinow z kamienną twarzą przeszedł do pokoju wypoczynkowego, dokąd reporterzy nie mieli wstępu. Nie było tu zbyt tłoczno. Kiwano głowami, wypowiadano jakieś współczująco-gratulacyjne frazesy. Solidarność klanu... nawet najbardziej zaciekłych przeciwników nie cieszyła wieść o tak bezczelnym zamachu na deputowanego. Na pewno wielu z nich wzmocni ochronę.

– Raszidzie Gulamowiczu... – Albert Daniłowicz przerwał rozmowę z jakimś rzutkim młodym człowiekiem i wyszedł mu na spotkanie. – Proszę mi wierzyć, bardzo się cieszę, że nic się panu nie stało.

Hajretdinow skinął głową, ściskając podaną dłoń.

– Mnie to też cieszy.

Zaśmiali się obaj, taka brawura starych żołnierzy na polu bitwy.

– Ma pan nerwy z żelaza – zauważył redaktor naczelny. – Patrząc na pana, trudno uwierzyć, że wczoraj był pan w takich opałach.

– Daję słowo, że napór pańskich kolegów był straszniejszy.

Albert Daniłowicz rozłożył ręce.

– To nasza praca. Ode mnie też pan tak łatwo nie ucieknie.

– Przed panem kapituluję.

– A jeśli nie przede mną? – Albert Daniłowicz skinął głową w stronę niedawnego rozmówcy. – Nowy kierownik działu kroniki parlamentarnej.

– Stawiacie na młode kadry?

– Naturalnie. Rozumiem, że nie chce pan wspominać wczorajszego wydarzenia, może więc zwykły wywiad... Wczorajszego możemy w ogóle nie poruszać.

– Dlaczego? Możemy poruszyć. W ogólnym kontekście rozmowy.

Mężczyźni popatrzyli na siebie. Albert Daniłowicz powiedział:

– Pod wieloma względami się nie zgadzamy, ale pańska uczciwość mi imponuje. Chodźmy, przedstawię panu naszego młodego wilka redakcyjnego i zostawię pana na rozszarpanie... Właśnie, Raszidzie Gulamowiczu! Rozmawiałem wczoraj z Szełganowem... Chyba chce pomóc naszemu

oddziałowi korespondentów. Więc niech się pan szykuje, że będziemy przetrząsać pańskie fabryki na nowym poziomie technicznym.

– I słusznie. Proszę się zastanowić, może są jakieś inne problemy? Mamy w kraju wielu partnerów...

Pod zamyślonymi spojrzeniami kolegów podeszli do młodego „gazetowego wilka”, który rozpaczliwie próbował nadać twarzy niewzruszony wyraz.

Zbliżenie najbardziej wpływowego z niezależnych deputowanych i przedstawiciela największej partii opozycyjnej było bardziej niż demonstracyjne. I dawało do myślenia.

Czekanie na Wezyra było dla Szedczenki udręką. Ochrona cały dzień przeżywała poranną rzeź w metrze, służba w willi jakby złożyła przysięgę milczenia albo po prostu nowy człowiek już im się opatrzył.

Hajretdinow wrócił około szóstej. Zły i energiczny, jakby czymś zdenerwowany. Zresztą, przyczyna wyjaśniła się szybko.

– Słyszałeś o metrze? – Wezyr objął Szedczenkę i pociągnął do gabinetu. – A to bydlę...

– Kto to był?

– Jak sądzę, właśnie ten Siódmy. Wysłannik Ciemności. Widocznie polował na staruszka albo na chłopców, albo na wszystkich naraz. Kretyn.

– Tak...

– Obejrzałem listę ofiar – naszych tam nie było. Jak to możliwe, że spudłował! Skosić dwadzieścia osób i nie trafić w cel! Idiota! A mnie się wydawało, że jest zręczniejszy...

Nikołaj przygryzł język. Oczywiście. Cynicznie, ale uczciwie. Może zdarzyć się tak, że to jemu przyjdzie zabić dzieci i starca.

A może nie? On ma główny cel – kobietę ze światłem w oczach. I tego łajdaka, który strzelał w metrze.

Ale czy łatwo będzie się zatrzymać? Co zrobi ze światem oszalały ze strachu chłopak albo gabinetowy naukowiec ze swoim sztucznym rozumieniem życia? Jakże kompleksy ma pisarz? Dlaczego oni mieliby być lepsi? Wiek, zawód... bzdura.

Wszystko w tym życiu jest kłamstwem. Tylko śmierć jest prawdziwa.

Weszli do gabinetu, Hajretdinow padł na fotel przy biurku, zrzucił marynarkę, rozwiązał krawat. Szedczenko siadł przy kominku.

– Raszid, ja załatwię tego gada.

– Sam? Czy to warto, mój drogi pułkowniku? Co innego kreślić strzałki na mapie i decydować, gdzie zdobyć dla żołnierzy tanią kaszę, a co innego szukać i pilnować ofiary w mieście.

– Walczyłem już.

– Wiem, Afgan. Ale wtedy byłeś dowódcą. Tutaj potrzebny jest zawodowiec.

– Masz takich?

– Jak ci to powiedzieć, Kola... polityka jest czasem gorszym szambem niż wojna.

– Tylko bez usprawiedliwień.

– Oczywiście. Miałem. Dwóch idiotów, których ktoś załatwił. I chyba już teraz wiem kto. I dobrego, bardzo dobrego specjalistę. Możliwe, że najlepszego w Moskwie. Korektor. Ale trudno się z nim skontaktować.

Szedczenko zmusił się do zachowania spokoju. A czego on się spodziewał? Polityka to bagno.

– Raszid, czy naprawdę nie masz znajomych w kręgach mafijnych? Nie uwierzę. Myślę, że lista nie kończy się na dwóch idiotach i jednym nieuchwytnym specu.

- Zwracanie się do mafii to szaleństwo. Uwierz mi – Wezyr uśmiechnął się. – Zawsze będą mieli na mnie haczyk. Albo pracujesz z niezależnymi najemnikami, albo liczysz na własne siły.
- W takim razie nie ma innego wyjścia. Myślę, że twój udział w... walce... to jeszcze większe szaleństwo.
- Nie sądź, że jestem zakulisowym intrygantem – Wezyr spojrzał na Szedczenkę i ten odwrócił wzrok. – Dobrze. Masz rację. Co ci potrzeba?
- Broni.
- Najchętniej z prawem posiadania, mam rację?
- Oczywiście.
- Załatwimy. Pomyśl, czego przywykłeś używać. Ale nie rozpędzaj się za bardzo... na broń potężniejszą niż automat nawet ja nie otrzymam pozwolenia.
- Szedczenko kiwnął głową.
- Wystarczy mi pistolet. Dobry. Zresztą, pistolety bywają różne... niektóre od automatów różnią się tylko nazwą.
- Zdobędę dla ciebie steczkiną. Dobra maszynka.
- To lepiej niż dobrze. Ale...
- Nazwisko i adres?
- Tak.
- Rano, Kola. Siódmy się zdradził, do rana powinienem go poczuć. Wieczny problem z tymi Wysłannikami Ciemności... możesz się śmiać, ale oni zawsze są we mgle. Dobra. Wystarczy o interesach. Trzeba coś zjeść, odprężyć się. Co powiesz na łaźnię?
- Szedczenko skinął głową.
- Zaraz wydam polecenia. I musimy porozmawiać o naszej przyszłości. Jaki chcielibyśmy widzieć świat? Możliwe, że mnie w pewnych kwestiach przekonasz, co?
- Taki jesteś pewien zwycięstwa, Raszid?
- Hajretdinow popatrzył na niego ze zdumieniem.
- No coś ty, przyjacielu? Jeśli nie my – to kto?

6

Jarosław pomylił wyjścia z metra. Poszedł na niewłaściwy koniec peronu, nie chciało mu się stać, kręcąc głową w poszukiwaniu napisów informacyjnych, jak jakiś prowincjusz. Wracać mu się też już nie chciało. Wyszedł przy Dworcu Jarosławskim, szybko spojrzał na zegarek, miał jeszcze dużo czasu, ruszył więc wzdłuż rzędów handlarzy. Babcie i młode dziewczyny z butelkami lemoniady i kartonami kefiru, stoliki z książkami – o, tu jest dla nich najwłaściwsze miejsce, lektura do pociągu...

Na trzecim stoliku zobaczył „Cienie snów”. Zrobiło mu się cieplej na sercu.

Jednak przyjemnie, cholera...

Jarosław wyciągnął spod folii tomik, starannie otworzył na stronie tytułowej. Jarosław Żarow. „Cienie snów”.

– Interesuje pana fantastyka? – zapytał sprzedawca, bystro na niego spoglądając. – Niech pan bierze, dobra książka.

– Naprawdę?

– Pewnie! Widział pan „Obcych”?

– A co tu mają do rzeczy „Obcy”?

– Też różne potwory...

– No tak. Może... – przekartkował książkę, zatrzymując się od czasu do czasu. Czy naprawdę on to napisał? Często tak bywa. Mija rok i książka wydaje się nieznojona. Obca...

– Gwarantuję, że się panu spodoba – powtórzył sprzedawca. – Rewela...

– Nie. Chyba mi się już nie spodoba... – Jarosław odłożył ją na miejsce. – Dziękuję.

– Daleko pan jedzie? – Sprzedawca nie tracił nadziei.

– Bardzo. Bardzo daleko. – Przeglądał książki, uśmiechając się do znajomych nazwisk i zazdrośnie porównując ceny.

– Niech pan weźmie „Nocne spojrzenie”. Wspomnienia hollywoodzkich prostytutek. Ręczę, że potem będzie pan inaczej patrzył na pejzaże.

– Do pociągu? Wspomnienia prostytutek? Przyjacielu, jesteś sadystą!

Uśmiechnęli się jednocześnie, sprzedawca wzruszył ramionami. Kiepski klient... chociaż wesoły. Pewnie niczego nie czyta. A on przywykł być dumny ze swojej pracy, w końcu nie sprzedaje bananów i skarpet – tylko książki.

Kulturę.

Żarow snuł się po placu. Schodzić do przejścia mu się nie chciało, przeszedł na Kazański przez ulice.

Po jakie licho Wizytor wyznaczył mu spotkanie na dworcu? Zawsze wolał stacje metra...

Gliny przy wejściach, złe spojrzenia, najwidoczniej z powodu strzelaniny. Dobrze, że się ogolił i nie ma zbyt pomiętego ubrania, do obcokrajowca trzeciej kategorii przyczepić się najłatwiej. Żarow zanurkował w wilgotne wnętrze dworca i snując się wzdłuż lad spoglądał na barykady papierosów i cytadele piwa, stoliki zawalone walkmanami i kasetami wideo. Na Sławę poczeka jeszcze co najmniej pół godziny.

Trzeba było wziąć jakąś książkę.

Wsunął rękę do kieszeni, wyjął pomięte banknoty. Trzysta tysięcy – niepoważna suma. Setka mniej, setka więcej...

Jarosław wrócił do straganu z walkmanami.

– Chciałem obejrzyć philipsa.

Jak umierać, to z muzyką.

Kupił odtwarzacz, paczkę baterii i kilka kaset, nie zwracając specjalnej uwagi na tytuły. No, teraz może czekać. Ciekawe, czy Sława będzie miał więcej szczęścia niż on? Na wszelki wypadek Jarosław podszedł do okienka informacji, ale Wizytora oczywiście nie było. Chłopiec o zmęczonej twarzy studiował jakieś wywieszane przepisy. Stało dwóch obywateli narodowości kaukaskiej o bardzo potulnym wyglądem. Każdy akt terrorystyczny w pierwszej kolejności odbijał się na nich – seria drobnych nieprzyjemności to już tradycja.

Żarow podszedł do okienka bufetu. Kupił importowane parówki bez smaku i kawę. Włożył kasetę do walkmana, zespół Dzikie Polowanie. Dobra, posłuchajmy...

Słuchawki były inne, niż lubił. Łuk, a nie „guziki” na kabelkach. Ale dźwięk całkiem znośny...

Jadł z niespodziewanym apetytem, dopóki jedno słowo piosenki nie zmusiło go do wsłuchania się w tekst.

Rozbijam lustra, by nie widzieć wzroku sobowtóra...

Ha...

W życiu nie ma nic oryginalnego. Woda została wypita, słowa wypowiedziane, miłość przeżyta, nienawiść umarła i narodziła się znowu.

Jarosław przyłożył dłonie do skroni, odgradzając się od nie kończącego się szumu dworca.

Okradnę twoje życie, sobowtórze-wrogu.

Zostanę sam na tym i tamtym świecie,

Runą przede mną przegrody ze szkła...

A jeśli nie ma szkła? Jeśli „czarny człowiek” stoi obok i uśmiecha się, i rozumie twoją duszę, aż do najciemniejszych, najbardziej ukrytych jej zakamarków? Nie wyrывa się do ciebie przez lustrzane granie, nie, już przyszedł, już zwyciężył, już stał się główny w tandemie.

Jarosław zdarł słuchawki. Nie teraz. Nie ma nastroju na słuchanie człowieka, umiającego patrzeć przez lustro.

Żeby ten Sława wreszcie przyszedł.

Od sąsiedniego stolika wstało kilku młodych mężczyzn w skórzanych kurtkach. Tacy mocni, tacy weseli i pewni siebie. Może dworcowa mafia, może bandyci – przejazdem? Wypili butelkę wódki na czterech – szybko, ze smakiem. Zaśmiali się z czegoś, widocznie bardzo wesołego.

Jak lekko jest żyć, gdy nie patrzysz przez lustro...

Do jego stolika podszedł dwunastoletni chłopiec z kartonowym talerzykiem kiełbasek
...tak samo kartonowych...

w ręku. Ten sam, który stał przy informacji. Pewnie też na kogoś czeka.

– Można?

Jaki kulturalny nastolatek. Jarosław skinął głową. Jak na pisarza, który wiele razy pisał o dzieciach, zdumiewająco nie umiał i nie lubił z nimi rozmawiać.

To jak ty piszesz?

Kłamię...

Na widok Sławy Żarow szybko dojadł kiełbasę i zaczął łykać wystygłą kawę. On pojawił się od strony wejścia na perony, przebił przez tłum, mimochodem zerknął na informację, i skierował się od razu do stolika. Jarosław pomachał ręką. Albo Wizytor go czuje, albo po prostu wyobraził sobie wszystkie jego możliwe działania. Co jest dla niego rzeczywistością? Czy jest różnica pomiędzy tym, co się dzieje, a tym, co on odtwarza w świadomości, kreśląc przyszłe wydarzenia i wspominając poprzednie wizyty?

– Wzruszają mnie moskiewskie ceny wynajmu mieszkań – oznajmił Sława, opierając się łokciami o stół pomiędzy Żarowem i chłopcem.

– Gratuluję – Jarosław odstawił szklankę. – Jesteś głodny?

– Dziękuję, kolację zjemy w domu. Teraz już nie jesteśmy żulami. Jedliście już coś?
wy?

Chłopiec odwrócił głowę – powoli, niczym we śnie – i popatrzył na Sławę. Ten się uśmiechnął.

– Witaj, Kirył. Sądzę, że czekanie na twojego Wizytora tutaj nie ma sensu. On wie, że zjawianie się drugi raz na miejscu spotkania jest niebezpieczne.

Chłopiec jakby wrósł w podłogę.

– Do licha... – Jarosław podniósł wzrok na Sławę. Ten wzruszył ramionami, znowu odezwał się do Kiryła.

– Słuchaj, mały, nie jesteśmy w metrze. I ja nie jestem tym gościem z automatem. Uspokój się.

– Jest pan pisarzem?

Głos miał cienki, zaczynający się łamać.

– On jest pisarzem. A ja... sam wiesz.

Chłopiec skinął głową. Zerknął na Jarosława.

– Czytałem pana książki.

- Świetnie. Spór literacki odłożymy na później, dobrze? Muszę skontaktować się z twoim Wizytorem.
- Macie zamiar mnie zabić?
- Sława wzruszył ramionami.
- Nie wiem. Wszystko może się zdarzyć. Przecież rozumiesz.
- Rozumiem.
- Pójdiesz z nami? Nie chcę cię straszyć, ale nocując na dworcu, ryzykujesz znacznie bardziej. W najlepszym razie trafisz na milicję, a to dla ciebie tak samo żadne wyjście, prawda?
- Chłopiec patrzył na Jarosława.
- Nie zrobimy ci krzywdy.
- Kłamiecie – powiedział cicho chłopiec. Znowu spojrzął na Wizytora. – Ten, który był w metrze, to wasz wróg?
- Tak. W to możesz śmiało uwierzyć.
- Pójdę z wami.

7

Ilja uwielbiał kaszę perłową. Tej miłości nie wykorzeniła z niego ani armia, ani kpiny znajomych. Idioci, nie rozumieją, że najważniejszy jest nie smak, lecz wartości odżywcze.

Kaszę na kolację gotował już trzeci raz. Powinien dłużej ją potrzymać, pozwolić jej „dojść” w pięknym garnku zeptera. By stała się tą boską, królewską kaszą, którą jest. Ale za bardzo chciało mu się jeść.

Karamazow nałożył sobie pełny talerz, umieścił na wierzchu kawałeczek masła o niskiej zawartości cholesterolu, pozachwycał się swoim dziełem. Nalał pełną szklankę soku pomarańczowego, siadł przy stole.

W pokoju mamrotał telewizor. Znowu mówili o metrze. Już nie ma innego tematu? Nawet o deputowanym zapomnieli...

Jadł z apetytem, spoglądając w okno na migające pomiędzy drzewami pociągi, na biegnących ludzi. Maniak, zabójca. Przecież nie miał innego wyjścia! Tłum by go zmiażdżył, stratował w swoim szaleństwie. Obląkani ludzie. W Ameryce w podobnej sytuacji wszyscy po prostu padają na podłogę i zasłaniają głowę rękami. Ile razy widział takie sceny na wideo. Od razu poznać kulturę. Umiejętność orientowania się w sytuacji. A tutaj... pierwsza reakcja – lecieć z wytrzeszczonymi oczami.

Nałożył sobie jeszcze pół talerza. Miał ochotę na więcej, ale wolał się na noc nie objadać. Ale soku, soku można wypić całą szklankę. Witaminy. Przeczyścić jelita pektynami. Niektórzy boją się hiperwitaminozy. Głupki. Naturalne produkty nie wyrządzą szkody. Witamina C w ogóle nie ma maksymalnej dawki, możesz zjeść skrzynkę cytryn i nic ci nie będzie.

Umył talerz i poszedł do pokoju. Rozciągnął się na tapczanie. Co zrobić z nabojami? Ten sukinsyn Harin więcej się nie odezwie...

Zresztą... nie przyjdzie góra do Mahometa, Mahomet będzie miał wariant zapasowy... Ilja zerknął na zegarek i sieknąwszy wstał.

Pociąg za dziewięć minut. Zdąży.

Na stacji metra Smoleńska Ilja wysiadł około ósmej. Ileż tu było glin – ludzkie słowo nie opisze. Jakby zagonili pod ziemię całą moskiewską milicję, wzmocnioną OMON-em i innymi oddziałami specjalnymi.

Reakcja godna najwyższego uznania. Brawo. Czyżby ci na górze doszli do wniosku, że wszystkie strzelaniny przeniosą się z ulic do metra?

Ominął patrole, uśmiechając się na widok napiętych twarzy glin. Hej, jestem tutaj! To ja miałem broń, i teraz też ją mam przy sobie, w dyplomatce, z ostatnimi nabojami w ostatnim magazynku.

Oczywiście, nikt go nie zatrzymał. Siła... nie może być jej zbyt wiele.

Harin wybrał sobie niezłe miejsce na norę. Bardziej niż niezłe. Nie, żeby zazdrościł temu handlarzowi, w końcu sam ma dom w Hiszpanii i mieszkanie w Genewie. Zwykła ostrożność, mało to rzeczy może się zdarzyć w Rosji. Ale dlaczego ten handlarz bronią może sobie pozwolić na mieszkanie w centrum Moskwy, a on boi się takie kupić? Na czym polega różnica między nimi?

Karamazow przeszedł przez zaułek Wojewodina, wyobrażając sobie ich rozmowę. Czy uda się poprzestać na słowach?

– *Nie...* – szepnęła Ciemność. Już nie bała się światła, ukryła się w nim. Dobrze mieć prawdziwego przyjaciela.

Cóż, zobaczymy na miejscu...

Skręcił na Staropieskowski, przeszedł przez podwórze, na którym dzieci grały w piłkę. Piłka doturlała się do niego, kopnął ją odruchowo i wpakował pomiędzy słupki bramki. Chłopcy wydali okrzyki zachwyty. Ilja uśmiechnął się, podchodząc do klatki. Szybko wybrał kod.

Psiakrew. Trzy dni temu dostał numer i już nieaktualny.

Uruchomił się domofon.

– Tak? – nerwowy głos ze stalowej kratki zasłaniającej głośnik.

– Harin, to ja. Musimy pogadać.

– Co za ja?

– Korektor.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi.

– Harin, ja i tak wejdę. Znasz mnie.

– Spróbuj.

Ilja zerknął przez ramię. Zaryzykował:

– To nie twój chłopak gra w piłkę na podwórku?

Cisza i pstryknięcie otwierającego się zamka.

– Właż, sukinsynu.

Karamazow zaśmiał się wchodząc. Do każdej sprytnej nakrętki znajdzie się śrubka...

Drzwi otworzyły się od razu, nawet nie zdążył zadzwonić. Ochroniarz Harina stał z pistoletem wycelowanym w brzuch Ilji.

– Nie mam broni – powiedział Ilja.

Ochroniarz cofnął się, zachowując dystans. Pod lufą Karamazow wszedł do pokoju. Harin stał przy oknie, wypatrując wśród biegających dzieciaków swojego syna. Odwrócił się, mierzając Ilję złym spojrzeniem.

– Co ty wyprawiasz, Korektor?

– O czym mówisz?

– O metrze! Użyto tam kedra!

– Dobry automat – przyznał Ilja.

– Deputowany to też twoja sprawka?

Karamazow skinął głową.

– Tak. „Akela spudłował” – Harin zabębnił palcami po szybie. – Jestem kretynek, powinienem przewidzieć, że skoro nie prosisz o makarowa, to zaplanowałeś coś... niebywałego...

– W metrze też spudłowałem – przyznał Ilja, zerkając na ochroniarza. Mężczyźnie drgnął policzek, i Ilja usiadł w fotelu. – Harin, nie sądziłem, że masz taki dobry gust. Skąd meble?

– Holenderskie... Korektor, mam dla ciebie jedną jedyną propozycję – wynoś się stąd do diabła. Weź pod uwagę, że jutro już mnie tu nie będzie.

– Harin, uspokój się. W Genewie też będziemy sąsiadami, jeśli już o tym mowa. Trzy kilometry brzegiem jeziora będziemy do siebie chodzić na herbatkę.

– Bydlaku! – Harin szarpnął się jak od uderzenia. – Psychopata. Wynoś się.

– Poznałbyś mnie chociaż z żoną.

– Jest w swoim pokoju i nie wyjdzie. Nie ma po co oglądać twojej twarzy.

– Logiczne. Potrzebuję naboju, Harin. Potem sobie pójdę.

– To nie sklep z bronią. Ty zamawiasz, ja dostarczam. Nie trzymam tu towaru.

– To powiedz, skąd wziąć. Daj mi cały łańcuszek. Albo zostań w Moskwie dzień dłużej.

– Ilja, przekraczasz wszelkie granice.

– Wczoraj wieczorem przekroczyłem. Harin, dogadajmy się po dobroci.

– Po dobroci już się nie da – Harin rzucił ochroniarzowi szybkie spojrzenie.

Karamazow padł, przewracając masywny fotel i zasłaniając się nim. Dwa wystrzały utkwily w drewnie. Chwilę później już był przy ochroniarzu. Podbił rękę z pistoletem, wykręcił w sufit; wystrzał rozbił kryształowy żyrandol na brzęczący wodospad odłamków. Ochroniarz wypuścił pistolet – broń upadła na podłogę – widocznie zrozumiał, że go nie utrzyma, i uderzył Ilję kolaniem w krocze. Karamazow nawet nie poczuł bólu. Siła była w nim, siła była wokół, niewidoczna tarcza, śmiertelny miecz. Zacisnął ręce na szyi ochroniarza, prześliznął się w bok, wykręcając mu rękę, zajrzał w rozszerzone bólem źrenice i pochwyił na ich dnie aprobujący uśmiech Ciemności.

Chrzęst kręków i ciało zmiękło, przemieniło się w ciężki manekin, lalkę z mokrej waty. Ilja opuścił je i nachylił się, podnosząc pistolet. Popatrzył na Harina. Ten stał jak skamieniały, tylko palce stukały nerwowo po szybie.

– Zdobędę naboje, Korektor...

– Nie, Harin – Ilja nachylił się, wymacując puls ochroniarza. Pulsu nie było. O, a to co? Przecież obiecał zrobić synowi prezent... nikomu nie można wierzyć. Ilja rozpiął bransoletkę swojego zegarka i ściągnął go z martwej ręki. – Oddasz mi dostawców.

– Korektor, tyle razy ci pomagałem...

– Ten będzie ostatni. Wybacz.

– Korektor – Harin oblizwał wargi. – Żony nie ruszaj. Ona nic nie widziała. Nie musisz się jej bać.

Karamazow wzruszył ramionami.

– Nazwiska, Harin. Nazwiska.

8

Wezyr umiał korzystać z łaźni. Jak na człowieka wschodniej narodowości robił to nawet z ostentacyjną przyjemnością. Szedczenkę biczował z takim zapałem, jakby było to jego powołaniem.

– Teraz dębowymi – oznajmił przyłożywszy mu ostatni raz. – Wytrzymasz, pułkowniku?

Leżący na półce Szedczenko wyburczał coś niezrozumiałego.

– Dobrze. Przerwa – Wezyr usiadł, poklepał się po włochatej piersi. – Kola, czy przyszło ci do głowy, gdy wyruszałeś z Kijowa, że za dwa dni rosyjski deputowany uzbeckiego pochodzenia będzie ci polerował tyłek różgą?

– Wiesz co, Raszyd, wolałbym pójść do łaźni w Kijowie.

Wezyr zaśmiał się.

– Nie spieram się. Wszystkie zmiany na świecie to zmiany na gorsze. Bez wątpienia. Ale w sytuacji krytycznej dokonałeś najlepszego możliwego wyboru, uwierz mi.

– Nauka nie idzie w las – Szedczenko wstał, przeszedł na wyższą półkę. – Raszid, nie myśl, że cię idealizuję. Jesteś sprzedajny jak wszyscy inni. Masz niejedno na sumieniu.

– Uczciwy z ciebie człowiek – Wezyr potarł policzki. – O, zaraz trzeci pot pójdzie...

– Raszid, dlaczego zabiłeś swojego prototypa?

Wezyr westchnął.

– Władzy się nie dzieli, mój drogi. Siła rośnie, wiedza się pomnaża, ale władzy na dwóch podzielić się nie da. Słabszy musi odejść. On odszedł.

– Nie żal ci go, Raszid? Przecież on – to ty.

– Właśnie. Raszid Hajretdinow znalazł swoją kontynuację we mnie. Jego marzenia są moimi marzeniami. Kocham jego dzieci i troszczę się o jego żonę. Nikt nigdy nie zauważy różnicy.

– Wierzysz w Boga?

– To wywiad? – Hajretdinow przesunął dłońmi po ciele, jakby pomagał otworzyć się porom. – Raszid wierzył. Ja nie. Rozumiesz, Kola, kiedy żyjesz po raz setny, trudno przyjąć dogmaty religii. Chrystus... fajny był z niego facet. Sympatyzowałem z nim i nie moja wina, że tak wyszło. Jak on nas wszystkich...

Hajretdinow zaśmiał się.

– Naprawdę, to było piękne. Przemienić swoją klęskę w zwycięstwo... chylę czoło. To było wspaniałe, czyste zwycięstwo... – zerknął na Szedczenkę – tylko nigdy więcej nie udało mu się przyjść. Gdy ludzie chcieli dobra i miłosierdzia, gdy nie było żadnych podstaw – on się spalił. A teraz... jemu, nazwijmy go Światłem, nie udaje się ponownie wejść do gry. Nie ma podstaw. Nie ma prototypa. Za to na Ciemność kandydaci znajdowali się zawsze.

Wstał.

– Dobra, chodźmy ostygnąć...

– Raszid... – Szedczenko położył mu rękę na ramieniu. – A ty sam, za kogo ty się uważasz? Komu jesteś bliższy?

Wezyr zmrużył oczy.

– Chcesz prawdy, Kola?

– Jeśli możesz ją powiedzieć.

– Tłumem bandytów i bydląt nie można kierować. Ludźmi, którzy uważają się za szczęśliwych, kieruje się łatwiej niż doprowadzonymi do rozpaczyny desperatami. Oto moja moralność.

Szedczenko kiwnął głową i wyszli z parówki.

Nie wyglądały już na bliźniaczki. Po prostu siostry. Jedna starsza, ładna, pewna siebie, odprowadzana męskimi spojrzeniami. Druga, stropiona, przestraszona, niczym dziecko łapiąca ją za rękę.

Wsiadły do taksówki i Anna pochwyciła szybkie spojrzenie kierowcy. Wzdrygnęła się. Jak on może tak patrzeć... jak śmie tak otwarcie pragnąć!

Oczywiście brud jego spojrzeń nie dotknie Marii. Ale i tak to było nieprzyjemne. Anna przywarła do jej ramienia i od razu poczuła ulgę. Maria leciutko pogładziła ją po policzku. Jak dobrze...

Kierowca przestał się oglądać. Pewnie pomyślał o nich coś wstrętneho. To nic, gdy Światło zapłonie nad światem, on też zrozumie. Jeszcze będzie dumny, że je wiozł.

– Jak przyjedziemy do hotelu – odezwała się łagodnie Maria – pójdiesz paciulki. A ja będę się

musiała przejść.

– Po co? – Anna uniosła głowę. – Dokąd?

– Potrzebujemy wielu rzeczy, Aniu. Wokół są wrogowie. Muszę coś zrobić.

– Pójdę z tobą!

– Nie, ty będziesz spała. Wrócę za dwie godziny i obudzę cię. Rozumiesz?

Anna przytaknęła. Tak, ona nie może się z nią spierać. Ale zasnąć też nie zdoła. Będzie leżeć w ciemności i modlić się. Czekać...

9

Kirył siedział naprzeciwko pisarza i sobowtóra. Wagon był prawie pusty, do końca linii zostały już tylko dwie stacje, a godzina szczytu dawno minęła.

Wizytora

...przecież on też jest Wizytorem, tylko innym

chyba nie trwożyło, że on może uciec. Wziął od pisarza walkmana i teraz siedział z miną nastolatka, który dorwał się do ulubionej zabawki. A Jarosław to patrzył na Kiryła, to odwracał wzrok, gdy ich spojrzenia się spotykały.

nie skrzywdzimy cię...

W sumie, co za różnica? Jak nie ci, to inni. Ktoś go w końcu zabije. Do towarzystwa Wizytorowi. Bo na świecie nie ma dwóch prawd, jest tylko jedna, dla każdego człowieka inna. Staruszek też by ich zabił, gdyby trochę bardziej w siebie wierzył...

Kirył czuł się strasznie zmęczony.

Nie wolno się tak męczyć.

Zamknął oczy. Wagonem trzęsło, pociąg to hamował na jakichś podziemnych zakrętach, to znowu przyspieszał. Droga w ciemności.

Może by tak poprosić tych dwóch – niech wszystko skończy się dzisiaj. Byle szybko.

Był taki zmęczony...

Ktoś poklepał go po ramieniu i Kirył drgnął, ocknął się z drzemki. Wizytor – rozróżniał ich tylko po ubraniu – kiwnął głową.

– Chodź, dojechaliśmy.

Kirył powlókł się za mężczyznami. Z pociągu wynurzali się ostatni pasażerowie, chłopak w mundurze pracownika metra snuł się wzdłuż wagonów, zaglądając do środka.

Stacja końcowa. Pociąg dalej nie jedzie.

– To niedaleko – rzucił przez ramię Wizytor. – Nie zostawaj w tyle.

Wyszli na ciemny plac przed stacją. Wizytor zerknął na pisarza.

– Pijemy dzisiaj?

– Tak. Opijamy twoją umowę. Co im naobiecowałeś?

– Space-operę.

– O Boże... mdli mnie od nich.

– Dobrze, ja napiszę.

– A jak cię stukną?

– Wtedy to wszystko nie będzie już miało znaczenia, Jarek... Kirył, kupić ci coś do picia?

– Piwo. Mocne. – Kirył nie rozumiał, co nim kierowało – czy głupie wyzwanie, czy naprawdę chciał się napić alkoholu.

– Oho, mężczyzna... Nasz człowiek, co Jarek? – Wizytor poszedł do budki, Kirył został z

pisarzem. Ten znówu na niego zerknął i szybko powiedział:

– Nie bój się, potrzebujemy sprzymierzeńców. To wszystko jest strasznie zagniatwane, sam rozumiesz...

– A pan rozumie?

Pisarz wzruszył ramionami. Rzeczywiście wyglądał dobrodusznie.

wszyscy wydają się dobrzy – na początku...

– Niech pan powie, napisał pan dalszy ciąg „Słonecznego kotka”? – zapytał Kirył. Pisarz pokręcił głową.

– A napisze pan?

– Nie. Wybacz, nie pisze już o dzieciach.

– Szkoda – powiedział szczerze Kirył.

– Przeczytasz jeszcze wiele książek – rzekł cicho pisarz. – Co za różnica, kto je napisze i jakie będą miały tytuły?

– Jak to „co za różnica”? Ja lubię pana książki. Lubię ich bohaterów.

Pisarz poczuł dreszcze, zapiął kołnierz.

– To głupie – powiedział niezrozumiale. – Nie można lubić bohaterów książek. W życiu jest wystarczająco dużo prawdziwych ludzi.

– Oni są gorsi.

Pisarz popatrzył na Kiryła.

– Nie mogą być lepsi czy gorsi. Są żywi.

– A pan jest dziwny – Kirył uśmiechnął się. – To po co pan pisze książki?

– Nie umiem robić nic innego. Ty przecież też piszesz wiersze, prawda?

– Dawno nie pisałem.

– Szczęściarzu – pisarz wyciągnął rękę i niezgrabnie poklepał go po ramieniu. – Obiecuję ci, że ani ja, ani Sława cię nie ruszymy. Twojemu Wizytorowi nie mogę tego obiecać, ale tobie tak.

– Oduczyłem się wierzyć.

Jarosław kiwnął głową.

– Na tym właśnie polega problem, rozumiesz? Jeśli twój sobowtór zwycięży, nasz świat stanie się światem, w którym nie ma zaufania.

– A czy to nasza wina?

– Oczywiście, że nie. – Pisarz popatrzył na wracającego Wizytora i wymamrotał: – A może do diabła z tym całym zaufaniem...

10

Mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze. Weszli po schodach, Wizytor wyjął klucze, otworzył.

– Ile kosztowało? – zainteresował się Jarosław.

– Niedużo. Trzy setki. Zaliczka była znacznie bardziej odczuwalna...

– To ile wywalczyłeś?

– Zaliczki? Półtora tysiąca.

Jarosław pokręcił głową.

– Słuchaj, gdzie byłeś przedtem?

– W nigdzie.

Weszli. Jarosław skrzywił się na widok jasnego światła, małego abażur prawie nie zasłaniał zbyt

silnej żarówki.

– Przynajmniej nie oszczędzają na elektryczności – zauważył Wizytor.

Jarosław mrużąc oczy popatrzył na brudną podłogę, wieszak z połamanymi haczykami, okropną tapetę.

– Co się gapisz? – zaśmiał się Wizytor. – Za te pieniądze mogłem wynająć porządny pokój w hotelu. Na jeden dzień.

– Telefon chociaż jest?

– Oczywiście. Jest jeszcze stół, łóżko, kanapa, dwa krzesła, cztery taborety, szafa...

– Dziękuję.

– ...przedpotopowy, ale kolorowy telewizor i zastawa stołowa z różnych kompletów. O! Jest jeszcze pościel.

– Luksus.

– Amator przytulności... – Wizytor skinął głową Kiryłowi. – Przywykł, uważasz, do komfortu i czystości... Coś ty, nie zdejmuj butów! Kapci tu nie ma.

Kirył wyprostował się posłusznie.

– Chodźcie do kuchni – Sława gościnnie machnął ręką. – Pogadamy. Rosyjska tradycja nakazuje rozwiązywać problemy przy stole.

– Już tu byłeś? – Jarosław zajął do pokoju, pokręcił głową, rzucił torbę na podłogę.

– Pewnie. Wpadłem w ciągu dnia. Kirył, umiesz zaparzyć herbatę?

Chłopiec w milczeniu wziął paczkę herbaty i poszedł do kuchni. Wizytor pogwizdując podążył za nim.

Jarosław przeszedł się po mieszkaniu. Dotknął skrzypiącego żałośnie łóżka, przesunął zasłony. Śliczne mieszkanie, nie ma co. Tradycja umeblowanych pokoi powróciła do Rosji.

– W torbie została kiełbasa, przynieś! – krzyknął Sława.

Jarosław wyjął z torby reklamówkę z resztą zakupów i wszedł do kuchni. Kirył krzątał się przy czajniku, Sława palił, jedną ręką wyciągając z torby jakieś puszki, keksy w celofanie, butelki.

– Nie paliłbyś przy dziecku – skarcił go Jarosław. Wizytor skinął głową i zgasił papierosa na spodeczku pogodzonym już z rolą popielniczki.

– Masz racje. Z boku lepiej widać... Kirył, gdzie mogą być twoi przyjaciele?

Chłopiec nie odwracając się, wzruszył ramionami.

– Wierze. A w przybliżeniu? Jacyś ludzie, z którymi mogli się skontaktować?

Kirył odstawił czajnik.

– Pójść i zadzwonić?

– Idź. Nie nalegam, żebyś mi zaufał i podał numer.

Jarosław usiadł obok Wizytora. Popatrzył mu w twarz.

Jaka spokojna pewność siebie...

– Sława, chłopca nie ruszymy. Umowa stoi?

– O którym z chłopców mówisz?

– O tym!

– A jak zareagujesz na próbę zabicia mnie!

Pisarz skinął głową.

– Rozumiem. A jeśli Kirył zgodzi się wyjść z gry?

Z korytarza dobiegł ich zduszony szept. Sława przechylił głowę, nasłuchując.

– Aha, Wala... to pewnie u niego chłopak ukrywał się dwa dni temu. Jarek, na Boga, działaj. Namów Kiryła, żeby zrezygnował z samego siebie, zaakceptował to, co się z nim stało. Stracił

nadzieję, że jego matka żyje.

– Przecież ona zginęła.

– To nasze zdanie. Nasza rzeczywistość. Wszystko jest niepewne, Jarek, wszystko jest chwiejne. Świat stoi na rozdrożu. Twoje marzenia mogą się stać rzeczywistością. Jego marzenia też mogą się nią stać. Chłopak, który lubi zabijać, może uformować ludzką moralność na swoją modłę. Wszyscy jesteśmy wszechpotężni. Nie wszystkim można dogodzić. Nie ma dwóch ludzi pragnących tego samego.

– Sława, a możesz zapragnąć, żeby z chłopcem było wszystko w porządku?

– Zapragnąć – tak. Ale uwierzyć? – Wizytor wzruszył ramionami. – Dobrze, dajmy temu spokój.

Wysunął szufladę w stole, pogrzebał, wyciągnął dwa kieliszki i szklanki.

– Zastanowimy się, Jarek. Ale wybaczone, na razie przyszłość nie maluje się w różowych barwach.

Wszedł Kirył. Jarosław wolał na niego nie patrzeć. Chłopiec raczej niczego nie słyszał, ale chyba i tak wszystko rozumiał.

Znacznie lepiej niż on...

– Zadzwoń do przyjaciela – oznajmił. – Nocowałem u niego przedwczoraj. Ale Wiz do niego nie dzwonił.

– Przynieś tu telefon – zarządził Sława. – Sznur jest długi, powinien sięgnąć.

– Po co?

– Będziemy dalej dzwonić. Przynieś.

Jarosław otworzył butelkę finlandii, nalał sobie i Wizytorowi. Zapytał:

– I co teraz? Jak masz zamiar szukać Wysłanników?

– Zobaczysz. Dobrze, za przyjazd do stolicy...

Wypili i jednocześnie odstawili kieliszki. Wizytor uśmiechnął się.

– Przyjemnie pić z człowiekiem, który pije tyle samo i tak samo jak ty. Nalej.

Kirył wrócił z telefonem, w milczeniu postawił go na stole, wysunął taboret, usiadł pomiędzy mężczyznami. Zerknął na Wizytora.

– A gdzie moje piwo?

– W torbie.

Jarosław popatrzył na Sławę zdumiony. Potem na Kiryła, który wyjął butelkę piwa, przeczytał na głos:

– „EKU dwadzieścia osiem”. Takiego nie próbowałem...

– Oszalałeś? – Jarosław szturchnął uśmiechającego się Wizytora w ramię. – Dla chłopaka to jeszcze gorsze niż wódka!

– Niech się rozluźni. Kirył, daj, otworzę ci...

– Nie pij! – Jarosław wyciągnął rękę, próbując zabrać butelkę.

– On tego potrzebuje nie mniej niż my. Nie wariuj!

Kirył w milczeniu wziął szklankę i wypił ciężkie żółte piwo. Skrzywił się i powiedział:

– Mocne, ale bez przesady.

– Za pięć minut poczujesz to „bez przesady” – Jarosław odwrócił się. – Sławek, jesteś bydlę.

– Jestem tobą. Zapomniałeś? Kirył, dokąd jechaliście, gdy Wysłannik Ciemności was zaatakował?

– Wysłannik Ciemności?

– Tak, właśnie Ciemności.

– Gdzieś na północny zachód.

– A dokładniej?

– Chyba do Strogino.

– To wszystko?

– Tak – Kirył wziął szklankę i niepewnie podniósł do ust. – Szukałbym sam, gdybym coś więcej wiedział.

– Rozumiem. Wybierz numer. Na przykład dziewięć cztery cztery.

Kirył podniósł słuchawkę. Wykręcił.

– Chcesz się skontaktować z Wizytorem? – zapytał ostro Sława.

– Tak.

– Dzwon dalej. Nie patrz na tarcze, po prostu kręć.

– Jakie cyfry?

– Dowolne!

– Ja tak nie potrafię – Kirył odłożył słuchawkę.

– Wszystko potrafisz, chłopcze – Sława złapał go za rękę. – Świat to tylko to, co sobie wyobrazasz. Numer to tylko etykieta. Linie telefoniczne, ateesy, centrale – to tylko kupa złomu. Jak często myliłeś numer, gdy gdzieś dzwoniłeś? Teraz pomylisz się we właściwą stronę.

– Tak się nie dzieje... – powiedział niepewnie Kirył.

– Wszystko może się stać – nie ma rzeczywistości, nie ma reguł, triumfuje przypadek. Wiesz, że tamtego dnia, gdy dopiero czułeś zbliżanie się Wizytora, stałeś pod oknami Arkadija Lwowicza, a on patrzył na ciebie, tak samo czując, że przychodzi jego Wysłannik? A jakie było prawdopodobieństwo, że czytałeś naszą książkę? Jaką miałeś szansę, że potkniesz się tak szczęśliwie, że zobaczysz Wysłannika Ciemności nie w klatce wagonu, lecz w przejściu, gdzie miałeś szansę uciec? Dzwon!

Kirył wziął szklankę i krzywiąc się wypił połowę. Jarosław patrzył jak zaczarowany na Wizytora i na chłopca, widział, jak skrzyżowały się ich spojrzenia.

– Numer... – poprosił Kirył.

– Dziewięć cztery dwa... dalej! Wykręcaj!

Kirył przekręcił tarczę siedem razy. Podniósł słuchawkę do ucha.

to szaleństwo, takie rzeczy się nie zdarzają. Nawet, jeśli zgadzają się pierwsze trzy cyfry...

jedna szansa na dziesięć tysięcy...

Jarosław jednym haustem wypił wódkę.

– Halo... przepraszam, czy mogę rozmawiać z Wizytorem...

Cisza.

– Proszę powiedzieć, że dzwoni jego brat...

Sława wziął swój kieliszek, drwiącym gestem uniósł przed twarzą Jarosława – na zdrowie...

– Wiz, to ja. Ty... tak. Tak. Z pisarzem i jego... Wiz, ty...

Kirył popatrzył na Sławę.

– Chce rozmawiać z panem...

– Dawaj – Wizytor przytrzymał słuchawkę ramieniem, wyciągnął z paczki papierosa, pstryknął palcami w stronę Jarosława. Ten jak zahipnotyzowany wyjął zapalniczkę. – Witaj, konkurencie. Tak, oczywiście. Na dworcu. A gdzie jeszcze mógł pójść, skoro boi się wystawić przyjaciół? Ciebie nie umiał znaleźć. Siedzimy tu sobie, piwo pijemy. Nie mam zamiaru cię szantażować, i tak nic z tego nie wyjdzie, nawet gdybym torturował Kiryła przy telefonie... Pogadajmy spokojnie, dobrze? Proponuję...

Wizytor głośno wypuścił dym i Kirył lekko się odsunął.

– Proponuję alians. Was jest dwóch i jeśli my się przyłączymy, nasza grupa będzie najbardziej liczna. Jarek, nalej mi. Wizja nie blefuję. Zrozumiesz to do rana. Uczciwy sojusz, przynajmniej

przeciwko Wysłannikowi Ciemności. Oczywiście. No, to już inna sprawa. Zdecydujemy potem. Rzucimy monetę. Albo połamiemy jedną zapałkę na trzech. Nie, mówię poważnie. Dobrze. Daj mi staruszka. Na razie, mały.

Sława na moment przymknął oczy. Znowu się napili. Jakby wlewał paliwo... Jarosław wzdrygnął się, widząc, jak zmienia się jego twarz. Nie, nie fizycznie...

– Witaj. Jak mam cię nazywać? Jakiś ty staromodny. Wizard... dobrze... nie bądź złośliwy, dobrze? Ile razy szliśmy ramię w ramię?

Wizytory zaśmiał się do jakichś swoich wspomnień, niezrozumiałych dla prototypów, wyniesionych z przeszłości...

– Daj spokój, takie stare dzieje, Wizard... bądźmy realistami. Ani wy, ani ja nie mamy szans. We trójkę będziemy silniejsi. Poczujesz Siódmego? Dowcipniś... mocno cię ranił? Tak... niestety, nie zachowałem znajomości języka. Wizard, pogadaj z chłopcem, dobrze? On jest rozemocjonowany i nie umie sobie przypomnieć. Nie czepiaj się słów. Ty wiesz, ja się domyślam. Chłopiec nie umie ani jednego, ani drugiego. Więc – co postanowiłeś?

Sława długo, bardzo długo wsłuchiwał się w słowa niewidocznego rozmówcy.

– Na to nie nalegam. Może być rano. Słuchaj, podaj mi chociaż numer, dodzwoniliśmy się przypadkiem, Kirył może nie powtórzyć tej sztuczki. Asekurant... to groźba? Cieszę się. Miłych snów. Co? Możesz nie wątpić. Na razie.

Wizytory odłożył słuchawkę. Chwilę milczał.

– Daj telefon, mały.

Szybko wykręcił numer. Jarosław zauważył, że w odróżnieniu od Kiryła Sława obserwował proces wykręcania numeru.

– Halo. Przepraszam... tak, mam zegarek. Poproszę do telefonu Wizarada. Dziękuję, i pan w to samo miejsce.

Sława nacisnął widełki.

– Nie ten. Rzeczywiście przypadkowe połączenie.

Wydawał się wykończony.

– Nie zdecydowali się na sojusz? – spytał Jarosław.

– Poczekają do rana. W ciągu nocy wyczują, czy nie kłamałem, i rano zadzwonią.

– Tutaj?

– Oczywiście. Wizardowi jest łatwiej, do niego fakty przychodzą w czystej postaci. Cóż, będziemy kontynuować nasze święto.

– Mogę pójść spać? – zapytał cicho Kirył.

– Idź. Zostaw nam kanapę, połóż się w drugim pokoju.

– Dziękuję. – Kirył wstał i trochę go zakotyssało.

– Czego się boisz? – zapytał szeptem Jarosław Wizytora, patrząc na wychodzącego chłopca.

– Że rano nie zadzwonią.

11

Śnieżniewski mrugając powiekami patrzył, jak Wizard miesza proszki.

– Czekaj, gdzieś mam miedziany moździerz.

– Po co? Co tu rozcierać?

– Nic, po prostu ostatecznie upodobniłbyś się do alchemika...

Wizard zaśmiał się. Przełamał ampułkę, wylał zawartość na proszki.

– Musiałbym się jeszcze przebrać. I zasmarować twoją kuchnię niezrozumiałymi symbolami.

– Na to nie pozwolę. Ale moździerza mogę poszukać.

– Miedziany się nie nadaje – powiedział Wizard, mieszając na spodeczku szarą kaszę. – Nigdy się takich nie używało – reakcje uboczne są nieuniknione. Potrzebny byłby ceramiczny.

Śnieżniewski patrzył na niego zdumiony. Ale o nic nie zapytał.

– Ja wprawdzie nie jestem farmaceutą... ale skąd ci przyszło do głowy, że to świństwo będzie silniejsze od pierwotnych komponentów?

– Wiem.

– W takim razie nie rozumiem twojego spokoju. Prawie mieszasz palcem.

– Sublimacja. Jeśli wrzucisz tę mieszanekę na palnik gazowy, wszystko zrozumiesz. Tylko ja najpierw wyjdę. Na klatkę.

Śnieżniewski odsunął się od stołu i uśmiechnął nerwowo.

– Bardzo przekonujące, Arkasza... gdzie zdobyłeś recepturę tej trucizny?

– Nigdzie. Nikt jej nie zna.

– W takim razie... czy ty masz pojęcie, ile ona może być warta? Błyskawicznie działający środek, powodujący rozluźnienie mięśni poprzecznie prążkowanych... bez skutków ubocznych, o prostej technologii produkcji! Broń do samoobrony, no i w medycynie... jesteś pewien, że nie powoduje rozluźnienia mięśni gładkich?

– Jestem. Ale do samoobrony niewygodne. Zbyt niska koncentracja efektywna. Odetchniesz tym przy wystrzale i padniesz obok przeciwnika...

– Prawie ci wierzę, Arkasza.

– Dobrze robisz. Gotowe... wiesz, co będzie najtrudniejsze? Wytrącić Si-En, żeby zastąpić go tym... kitem. Przydałoby się digestorium.

– Można na balkonie – zaproponował Śnieżniewski.

– Chyba tak zrobię. Dziękuję.

Zadzwoił telefon. Rościsław popatrzył zaskoczony na stary budzik tykający na lodówce i wstał. Wizard odsunął spodeczek, słuchał.

– Halo? A... kto go prosi? Brat? – Śnieżniewski przycisnął do brzucha słuchawkę i zdumiony powiedział: – Do Wizytora... jakiś chłopiec!

Wizard wstał, podszedł do Rościsława, ale Wizytor był szybszy – widocznie jeszcze nie zasnął. Chwycił słuchawkę, przebierając bosymi nogami na zimnej podłodze.

– Kiry! Gdzie jesteś? Kogoś spotkałeś? Kto? My w porządku! Daj mi go!

Spojrzał na Wizarę.

– Kiry!ka jest z pisarzem i jego sobowtórem!

Wizard skinął głową. Należało się tego domyślić. Jedyne, który widzi wydarzenia obrazami. Zdolny ekstrapolować przyszłość, domyślać się działań przeciwników.

Jemu nie wystarczało faktów, by zrozumieć, dokąd pobiegnie chłopiec. Pisarz po prostu się domyślił. I wziął zagubionego, przestraszonego chłopca gołymi rękami.

– Dzień dobry... jest pan tym, który przyszedł do pisarza?

Wizard oparł się o ścianę. Zerknął na stropionego Śnieżniewskiego. Wizytor będzie musiał omamić go jeszcze raz...

– Znalazł pan Kiry!a na dworcu? Wiedziałem, wiedziałem!

– Stało się coś złego? – zapytał szeptem Rościsław. Wizard skinął głową.

– I co, będzie pan nam teraz groził? Łajdak! Niech pan tylko spróbuje!

Wizytor zamilkł, ściskając słuchawkę. Potem zdumiony zapytał:

– Z nami? – Zasłonił mikrofon i wyszeptał: – Proponuje alians!

Wizard wzruszył ramionami. Cóż, nie najgorszy początek negocjacji, biorąc pod uwagę sytuację.

Kirył w niewoli, on jest bezbronny, znikąd pomocy.

– Kłamie pan. Ten, który był w metrze?

Wizy tor patrzył na Wizarą. Zapytał:

– A co potem, pod koniec, gdy zostanie nas dwóch?

Wizard zamknął oczy. Proszę. Sam się usunął i teraz nawet chłopak nie bierze go pod uwagę w negocjacjach. Cóż, mały, spróbuj sprzymierzyć się z człowiekiem, którego pracą jest kłamanie na poziomie zawodowca. Głupi chłopak...

– Żartuje pan? Musimy pogadać. Nie róbcie krzywdy Kiryłowi, dobrze? Wizarą? Daję.

Wysłannik Wiedzy westchnął i wyciągnął rękę. Wziął od Wizytora słuchawkę. Mój Boże, komu on ma pomagać... rozczochrany chudy pętał, kompletnie nieprzystosowany do życia. A przecież to jedyny porządny sprzymierzeniec.

– Witaj, wrogu – powiedział.

Śnieżniewski patrzył na niego z otwartymi ustami.

– Mów mi Wizard... Oczywiście, że staromodny, przecież przychodziłem wcześniej od ciebie... chyba nie zaprzeczysz? Jeśli nie masz nic przeciwko temu, będę cię nazywał Giotto. Pochlebię twojemu jedynemu zwycięstwu. Szliśmy ramię w ramię... i czym kończyły się te aliansy?

– Arkadij, z kim ty rozmawiasz? – zapytał słabo Śnieżniewski. – Co? Chcę wiedzieć. A jeśli telefon jest na podsłuchu?

Wizy tor chwycił go za rękę, pociągnął.

– Ja panu wyjaśnię.

Wizard patrzył, jak chłopiec ciągnie Śnieżniewskiego do kuchni.

Omamiał, omamiał...

– Nie oceniałbym naszej pozycji tak pesymistycznie... Siódmego poczułem na własnej skórze. Postrzelił mnie, Giotto. Obejdę się bez twojego współczucia. Może przejdziemy na włoski? Nie zapomniałeś? Wybacz, nie pomyślałem... Giotto, my też nie potrafimy sobie przypomnieć. Do mnie przychodzi wiedza, do ciebie obraza. A chłopiec przyszedł pierwszy raz.

Z kuchni wyskoczył Wizytor, postawił obok niego taboret i uciekł z powrotem. Wizard usiadł, potarł skronie.

– Nie wiem, kolego. Musisz zrozumieć, że słowom nie wierzę, i teraz nic postanawiać nie będę. Ranek jest mądrzejszy od wieczoru, prawda? Numeru nie podam. Jeśli Kirył mógł się dodzwonić, to Wizytor tym bardziej. Zresztą, do rana będę znał telefon, adres i wszystko, czego będę potrzebował. Nie, nie grożę. Tobie też życzę spokojnej nocy... Giotto, sądzę, że nie znizysz się do poziomu Wysłannika Ciemności? Mówię o chłopcu, o prototypie. Nie zabijaj go, jeśli nasz alians nie dojdzie do skutku!

– Co on powiedział na końcu? – Wizytor chwycił go za rękę, kiedy Wizard odłożył słuchawkę na widełki.

– „Możesz nie wątpić”.

– Jak to rozumieć?

– Koniak pachnie pluskwami czy pluskwy koniakiem? Rozum, jak chcesz, w zależności od stopnia optymizmu.

Wizytor opuścił oczy. Wizard poprawił mu zsuwający się podkoszulek.

– Jutro kupisz swój rozmiar. Widocznie chciałbym widzieć cię starszego, niż jesteś...

– Dlaczego nazwałś go Giotto?

- Pod tym imieniem kiedyś przyszedł. I udało mu się zwyciężyć. Odrzucając drobiazgi, to było dobre zwycięstwo... Warto być za nie wdzięcznym.
- Przecież my nie przychodziliśmy wcześniej! To się nie zdarzyło!
- Mnie i Giottowi tak. Najśmieszniejsze, że kiedyś zjawiliśmy się pod tą samą postacią, Wiz. Bardzo dużo zrobiliśmy, ale do czystego zwycięstwa nie doszliśmy. Ciemność nas zdławiła.
- Więc on nie jest taki zły? – zapytał cicho Wizytor.
- Jak ci to powiedzieć, mały? To, że kiedyś tworzył dobro, w żaden sposób nie gwarantuje, że jego nowe zwycięstwo wyjdzie świata na dobre. Czasy się zmieniły. Kiedyś uważałem, że broń automatyczna uczyni wojnę niemożliwą.
- I tak panu nie wierzę – wyszeptał Wizytor.
- Nie musisz, mały. Wierz w swoją linię. Może rzeczywiście nadszedł jej czas. Jak Rościszaw?
- Zaraz dojdzie do siebie... chyba za dużo naplotłem – Wizytor uśmiechnął się przeproszająco.

12

Nie siedzieli długo, zaledwie do drugiej, i nie wypili dużo, ale głowa ciążyła jak ołów, a w ustach miał pustynię. Aklimatyzacja, strefy czasowe. Jarosław oderwał głowę od poduszki.

– Halo?

Bardzo, bardzo cicho. Kirił stał przy telefonie, zasłaniając słuchawkę dłonią. Ciekawe, do kogo dzwoni...

– Czy mógłbym z Wizytorem... przepraszam.

Chłopiec położył słuchawkę, podniósł znowu. Jarosław stłumił śmiech. Wczorajsza sztuczka najwyraźniej się Kiriłowi spodobała.

– Halo... czy mogę... Wiz!

No proszę. Dodzwonił się.

Jarosław uniósł się na łóżku tak cicho, że chłopiec nie usłyszał.

– Dzwonię sam. Nie, śpię... – Kirił zrobił ruch, jakby chciał się odwrócić, i Żarow wiedział, że nie uda mu się udawać śpiącego. – Co? – Kirił zamarł. Przystąpił próg, wychodząc do przedpokoju, zamknął za sobą drzwi. Jarosław wstał i czując się jak kompletny idiota podkradł się do drzwi, nasłuchiwał. – Naprawdę kłamię?

Bardzo długa cisza.

– Obiecał, że mnie nie ruszą. Nie, prawdziwy pisarz. Tak?

Znowu cisza.

– Spróbuję. Podaj numer, zadzwonię z automatu, jak mi się uda wyjść. Dziękuję, Wiz.

Jarosław przywarł czołem do ściany.

Czy on – ja – kłamał?

Nie ma moralności, gdy ważny jest cel. Wszelkie środki są dozwolone. Wziąć Kiriła za cienką szyję

wzruszającą cienką – odpowiedział usłudźnie z głębin pamięci zawsze gotowy do pracy zestaw pisarskich sztam

i zabić.

Tak?

Drzwi otworzyły się, Kirił na palcach wszedł do pokoju, przyciskając do piersi telefon, i zamarł.

– Odchodzisz bez pożegnania? – zapytał cicho Jarosław.

Chłopiec milczał.

Nie zrozumie... „Niekończąca się opowieść” to film mojej młodości, a nie jego dzieciństwa.

– Lubię dzieci – ciągnął.

– Na śniadanie? – odparł poważnie Kirył. – Oglądałem taki film.

– Czytałeś książkę?

Kirył pokręcił głową. Jarosław zabrał mu z rąk telefon, postawił na podłodze i wypchnął chłopca z powrotem do przedpokoju.

– Obiecał pan – powiedział wyzywająco Kirył.

– Pamiętam. Twój Wizytor nie ma racji.

Chłopiec pokręcił głową.

– Wiesz, Sława myśli, że to właśnie on albo ja zabijemy ciebie i Wiza – rzekł Jarosław. –

Uważam, że to bzdura.

Kirył wzruszył ramionami.

– Przekaż Wizowi, że jest głupim chłopcem o zimnych ze strachu uszach. – Jarosław wziął Kiryła za podbródek. – Dobrze?

Ani słowa.

– Przyniosę ci twoje ubranie i wyjdiesz.

– Nie wierzy mu pan?

– Nie.

– To znaczy, że sobie też nie.

– Nie prowokuj mnie, dobrze? – Jarosław wszedł do pokoju. Popatrzył na śpiącego Wizytora, podkradł się do sypialni i wziął z krzesła starannie, po dorosłemu złożone ubranie. Wrócił do przedpokoju. Wizytor nie poruszył się.

Kirył czekał na niego, z zimna obejmując się rękami.

– Ubieraj się.

Jarosław wyminął chłopca i poszedł do kuchni. Popatrzył na opróżnioną do połowy butelkę wódki – nawet nie schowali do lodówki... skrzywił się. Wziął wczorajszą szklanekę Kiryła, chciwie wypił resztkę ciepłego piwa. Dobrze.

– Nie miałem zamiaru dzwonić – Kirył, płacząc się w rękawach koszuli, zajrzał do kuchni. – Szedłem do łazienki. A potem pomyślałem, a nuż...

– Rozumiem. – Jarosław usiadł, popatrzył na chłopca. – Dobra, leć. Widocznie ten alians nie był nam pisany.

– Drzwi są zamknięte – powiedział przepraszająco Kirył. – Jeden zamek jest na zatrask, a drugi nie.

– Cholera...

Jarosław znowu wrócił do pokoju, starając się nie hałasować wyciągnął ze spodni Wizytora klucze, otworzył drzwi. Kirył już się ubrał, zapiął kurtkę i stał milczący i napięty.

– Idź.

Kirył zawahał się.

– Dziękuję.

– Do metra trafisz?

– Aha.

Kirył podał mu rękę.

– Do widzenia.

Jarosław pokręcił głową, zanim uścisnął chłopcu dłoń.

– W takim razie – żegnaj. Rozumiesz?

– Oczywiście. Lepiej by było, żeby w ogóle nie przychodzili, prawda?

– Prawda, Kirył. Ale co zrobić?

Patrzył na chłopca, dopóki ten nie zszedł piętro niżej. Zamknął drzwi i już się nie skradając, wrócił do pokoju. Wizytor leżał na plecach, ręce podłożył pod głowę. Odezwał się półgłosem:

– Humanizm to piękna rzecz, dopóki nie przywodzi do ofiar, znacznie straszniejszych niż te, które trzeba było złożyć na początku. Minie kilka dni i zabijesz obu chłopców, staruszką, wojaka... wszystkich, częściowo dla nas sympatycznych. Albo oni zabiją ciebie, a ich linie utopią świat we krwi. Dostojewski, zręcznie manipulując słowami, wysunął tezę o łzie dziecka i szczęściu świata. Czy łza jednego dziecka warta jest łez wszystkich dzieci świata? – Na takie pytanie znacznie trudniej odpowiedzieć.

– Zamknij się. To czemu mnie nie powstrzymałeś?

– Wyszłaby szalona i śmieszna scena... nie lubię głupich scen. Za to wzruszające – uwielbiam.

– Podśluchiwałeś.

– Wyobraziłem sobie. Przynieś piwo, w torbie jest kilka butelek.

Pili w milczeniu piwo, potem Wizytor wyszedł z łóżka, podrapał się po brzuchu.

– O rany... która tam?

– Dziesiąta. U nas siódma.

– Dzięki, bo już się liczyć oduczyłem... dzisiaj to dopiero będzie coś, Jarek. Na ring wejdą Ilja i Nikołaj.

– Co za Ilja?

– Wysłannik Ciemności. Objawił się, degenerat... zejda się, obaj tego chcą. W zasadzie Ilję bardziej interesuje deputowany, ale ten wystawił naprzód pułkownika.

– Włączamy się?

– Oszalałeś? Niech się rozszarpia. Stawiam na Ilję.

– To chyba ty oszalałeś.

– Chciałbym go sam zabić – powiedział niemal z rozmarzeniem Sława. – Stare porachunki.

– Nawet Kirył nie gadał takich głupot.

– Pewnie masz rację. Ale ja naprawdę chciałbym zabić go osobiście. Wizytor wstał, przeszedł się po pokoju, przeciągnął.

– Teraz tableteczka przeciwbólowa i można zadzwonić do chłopaków.

– O czym mówisz?

– Chcę pójść w gości. Do Skicyna albo do Ozierowa. Pogadać o tym i owym. Nie o metodach zabójstwa niemowląt i staruszków i nie o losach świata. Napić się wina...

– Wiesz co, doskonale cię rozumiem. – Żarow pogrzebał w torbie, wyjął tabletki. – Łap. Tylko będziemy musieli poczekać do wieczora.

– Dzisiaj jest sobota, Jarek.

– Racja. Kto do kogo pójdzie?

– Rzucimy monetą.

13

Z Bibiriewa do Dworca Rzecznego najwygodniej dojechać metrem. Tak sądził Sława. Poza tym najwidoczniej zadziałała u niego niechęć do wypytywania o drogę. Dojechał do linii obwodowej, na stacji Białoruska znowu wrócił na linię radialną.

Jeszcze kwadrans, a potem siedem minut autobusem. Cóż to była za genialna myśl, żeby wziąć

wolny dzień. Ciekawe, czy konkurenci są tego samego zdania? Czy ktoś włączy się do pojedynku prototypu Siły i Wysłannika Ciemności?

Zapomnieć, precz, precz... jak na jeden dzień wystarczy jednej głupoty. Fakt, że prototyp Rozwoju wymknął im się z rąk, był już wystarczająco przykry. A przecież wszyscy na pewno spisali chłopca na straty. Zdziwią się jutro rano, kiedy zrozumieją, że Wysłannik Twórczości okazał się mazgajem. Chociaż, nie ma tego złego... Przesaną traktować ich poważnie. Przesaną się z nimi liczyć... marzyciel-humanista nie jest przeciwnikiem. Może uda się wyciągnąć korzyść z tej wpadki.

Ale dlaczego on go wypuścił? Do Jarosława nie można mieć pretensji, jeszcze nie raz wyrznie mordą w błoto, zanim nauczy się iść do celu. Ale on, on sam! Leżał, słyszał ten niewyraźny szept za drzwiami i widział wewnętrznym wzrokiem obrazek: „Obiecaliście mi!” „Nie kłamałem, idź, puszczam cię...”

I puścił. Dumny z własnego człowieczeństwa, upojony własną szlachetnością. Idiota. Albo nie pchaj się do gry Wysłanników, albo nie rób między nimi różnicy. Nie można być tylko trochę w ciąży. Nie można dążyć do szczęścia ludzkości i kapitulować przed łzami niewinnego dziecka. Chłopiec nie będzie się litował, gdy przyjdzie jego czas. I trudno tu winić Kiryła, on ciągle ma nadzieje, że wróci poprzednie życie, dzieciństwo, które odeszło na zawsze; chce zagrać z rzeczywistością w ciuciubabkę. Wcześniej było łatwiej. Dużo łatwiej. Przeciwnicy wyraźni, niczym wykuci w granicie. Granice dobra i zła wytyczone raz na zawsze. Rzucali się w bój albo zaczajali, zbierali siły, tworzyli imperia i tajne sekty, loże masońskie i partie rewolucyjne, żeby wcześniej czy później uderzyć w przeciwnika nie tyle siłą fizyczną, ile wiarą, ideą, oddaniem stronników – ludzi.

Tym razem pozbawieni są przyjemności długiej gry. Wszystko ograniczy się do najprymitywniejszych starć. Ale co zrobić, skoro nie można zbierać sił i prowadzić intryg, bo świat stoi na krawędzi. Pozwól deputowanemu ze zdobytą przez niego Siłą Władzy spędzić na Kremlu choćby pół roku! Koniec. To, do czego jego prototyp chciał dążyć cztery lata, temu podadzą na tacy. A to już nie jest ten świat, do którego przywykła Władza. Nie legnie u stóp władcy. Zbyt dobre lekcje dawała Władza podczas swych poprzednich wcieleń, zbyt wielu pojawiło się zdolnych uczniów. Nie oddadzą swojego kawałka władzy nowemu panu. I ten, zawiedziony, oprze się na Sile. Nie na darmo się zeszli – Wysłannik Władzy i prototyp Siły...

Wizytor wstał, gdy pociąg się zatrzymał. Wynurzył się wraz z tłumem na powierzchnię, zmrużył oczy od jasnego światła. Jesień zrobiła sobie przerwę. Wizytor podniósł głowę.

Popatrzył spod przymkniętych powiek na tarczę słońca. Dobry znak dla Szedczenki... może...

W kiosku zaopatrzył się w butelkowe czeskie piwo... szczerze mówiąc, niewiele lepsze od przeciętnej bawarii. Ale Skicyn był stały w swoich upodobaniach.

Dobra, napijemy się ulubionego piwa sapersa Vodicki.

Nie czekał długo na autobus. Przejechał dwa przystanki, wyskoczył przy spożywcym, w torbie żałośnie brzęknęły butelki. Na chwilę się rozluźnił, spróbował wyobrazić sobie Jarka. Ten jeszcze był w metrze. Pewnie znowu pół godziny łąził wokół stacji, palił, pił piwo, setny raz odtwarzał w pamięci dzisiejszy ranek. Sława poczuł lekkie współczucie. Jak mu się udaje pisać, z jego kompleksami, nieumiejętnością projektowania rzeczywistości w siebie...

To nic. Jeśli zwyciężą, nauczy się. Da radę..

Nie bez powodu został prototypem...

Szybkim krokiem przeszedł przez ulicę, pomaszerował wzdłuż długiego wielkopłytowego bloku. Wszedł do czwartej klatki, stuknął w guzik starej windy. Szczęknięły silniki, jakby próbując dostarczyć windę z parteru na parter. Sława zamknął się w kabince upiękzonej sadzą z zapalniczki. Szóste czy siódme... Jarek zawsze zapominał piętro. Znow musiał przywołać obraz, odprysk

przeżytej rzeczywistości, żeby sobie przypomnieć. Siódme.

W tym samym momencie pojawił się obraz Wysłannika Ciemności. Poczul ucisk pod sercem, nie strach, lecz napięcie, palące i słodkie jak przed walką.

...szare ściany, ciemność skrywa freski i gobeliny, ciemność – jego czas, ale nie można zwlekać, on jest ostatnim z przeciwników, jak dobrze, że tym razem ręka bardziej nawykła do szpady niż do pióra... srebrzysty amalgamat na ostrzu, ulotny i śmieszny, gdy patrzy się z perspektywy wieku dwudziestego, ale wtedy należący do reguł gry. To dzięki Wysłannikowi Wiedzy, już rozkładającemu się w swojej pustelni, udało się jednak nałożyć srebro na stał. Czarny ołtarz, odwrócony krzyż, dziewczyna na kamiennej płycie, jak śmiesznie, jak żenująco wygląda to z perspektywy dwudziestego wieku, po thrillerach i horrorach hollywoodzkich reżyserów... Ale wtedy to wcale nie było śmieszne, choćby nawet nie było strachu. Zostało ich dwóch, Siła oddała się Ciemności, i jego ostrze odbijało ich wypady, a srebrzysta warstwa migotała w blasku czarnych świec, osypując się, ostrze traciło swą mistyczną moc i wybór zawężił się do jednego – wtedy on skoczył do przodu, czując, jak szpada Wysłannika Siły wchodzi mu pod żebro, bardzo powoli, ale on jednak sięgnął i zadał cios, i młodzieniec o wąskiej bladej twarzy zawył, a w jego głosie nie było nic ludzkiego. Jego ciało zaczęło się rozpadać, przemieniać w zieloną ciecz, dziewczyna krzyczała, a Wysłannik Siły wypuścił szpadę i cofnął się o krok, ciemny blask zgasł w jego oczach. Miałaś szczęście, dziewczyno. Mimo wszystko. Znamienity rycerz to zawsze lepiej niż biedny minstrel Wybaczysz rycerzowi i zapomnisz o mnie. Niech tak się stanie. Niech zwycięży Siła.

Byle nie Ciemność.

Ocknął się, gdy zrozumiał, że winda stoi od kilku minut. Jak jasno. Jak boli. I niech sobie staruszek ironizuje na temat jednego jedyne zwycięstwa. Ta klęska warta była setki zwycięstw.

Wizytor wyszedł z windy, czując jak drga mu twarz. Precz, precz, precz.

Nowe czasy. Nowe gry. I wcale nie jest lżej.

Zadzwoił. Skicyn otworzył od razu, jakby podszedł do drzwi wcześniej, słysząc szum windy, i stał, nie rozumiejąc i czekając na dzwonek.

– Wchodź, wchodź – Skicyn zaczął się przesuwac wzdłuż korytarza, robiąc mu miejsce.

Przy Skicynie Żarow zawsze czuł się zgrabny i lekki, niczym najbardziej małośni z jego bohaterów. Ale trzeba przyznać, że Skicyn umiał nosić swoje kilogramy z gracją zagorzałego grubasa.

– Tak – Stiepan założył ręce na brzuchu i obserwował go. – Witaj. Bardzo się cieszę, że w drugiej dobie pobytu w Moskwie udało ci się wykroić minutkę dla starego przyjaciela.

– Wczoraj był koszmarne dzień – czując, że zaczyna się usprawiedliwiać, Wizytor skrzywił się. To była reakcja Jarosława.

– Koszmarne, mówisz? A ja głowę bym dał, że zajrzałeś do Ozierowa i urządziliście degustację muskatów. Szczerze mówiąc, tak właśnie sądziłem. Ale jak się okazało, on spodziewa się ciebie dopiero dzisiaj. Lada moment. Nieładnie, Jarek. Chociaż zadzwoń do Timy, powiedz, że trochę u mnie posiedzisz...

cholera...

– Już dzwoniłem. Umówiliśmy się na jutro.

– Tak? No to się cieszę. Moglibyśmy zaprosić Ozierowa. Albo pojechać do niego.

– Nie warto, on ma dzisiaj jakichś ważnych gości.

– U... – Skicyn precisnął się obok niego, zakręcił przy kuchence. – Idź do pokoju, rozgość się, przygotuj się moralnie do odpoczynku, ja za moment przyjdę. Moi są dzisiaj na działce, postanowili

skorzystać z ładnej pogody. Możemy sobie poszumieć.

Wizytor skinął głową, przechodząc do pokoju. Usiadł na zapadniętej kanapie, zerknął na szafkę z kasetami.

– Stiepan, naprawiłeś wideo?

– Jasne. Włącz, jak masz ochotę.

Sława przykucnął, przesunął dłonią po kasetach.

– O, masz „Władcę much”?

Skicyn wpłynął do pokoju, pchając przed sobą barek. Z dumą skinął głową:

– Tak, udało się. To rzadkość. Amerykańska wersja jest oczywiście gorsza, ale ją też mają mi zdobyć. No dobrze. Jesteś w stanie pić?

– Mam w torbie piwo.

– Proponowałbym coś mocniejszego, ale możemy zacząć od piwa – Skicyn bardzo powoli, ostrożnie opadł na fotel. – Aha, na tamtym fotelu nie siadaj, zaczął się kiwać...

– A od czego to? – Wizytor wstał. – Trzeba będzie pogrzebać w twojej kolekcji.

Zaczął wyjmować piwo, Stiepan patrzył na niego ironicznie.

– No, opowiadaj.

– Co mam opowiadać?

– Jakie wiatry przyniosły cię do Moskwy? We wtorek byłeś w Ałma Acie i nigdzie się nie wybierałeś. Samolotami latać nie lubisz, to znaczy, że wyjechałeś w środę. Co się stało?

– Nic. Dawno mnie tu nie było.

– Coś ściemniasz, Jarek... – Skicyn pokręcił głową. – Dobra, sam opowiesz... o, nareszcie poznałeś się na dobrym piwie. A ja mam czeski ser, będzie idealnie pasował. Lubisz czeski ser? Plesniwiec? Jaka nazwa, co?

– Trochę się w Moskwie oderwaliście od rzeczywistości.

– Coś ty, u nas też tego nie ma. Niedawno byłem w Pradze, zrobiłem sobie zapas. Prosit!

Wypili, Skicyn stęknął, zatarł dłonie.

– Opowiadaj.

– Ale co?

– Jak tam „Księgi Drogi”?

Sława skinął głową, przypominając sobie.

– A... w porządku. Piszę.

– Przywiozłeś wydruk?

– Nie.

– A plik?

Sława pokręcił głową.

– Jesteś potworem – oznajmił Skicyn. – Tak się nie robi. Dobra, Jarek, jak nie chcesz...

– Słuchaj, mów do mnie Sława. Tak mi bardziej pasuje.

Stiepan przyglądał się mu badawczo.

– Dobrze, Sława. A brody przypadkiem nie zapuszczasz? Żeby całkiem zmienić image?

– Rozważam taką możliwość.

– Tak... coś się z tobą stało. Kryzys trzydziestolatka?

– Psycholog.

– Wiesz co, może jednak coś włączę. „Archiwum X” albo coś w tym stylu.

– Dobrze, byle nie mistykę. Obrzydło mi.

– OK – zgodził się Skicyn. – O, „Oliviera” nagrałem. Świetny musical.

Zaczął grzebać w kasetach. Wizytor dopił piwo i odchylił głowę. Jak dobrze. A co z Ilją i Nikołajem?

Pstryk, pstryk... jak przełącznik. Obrazki, obrazki... jeszcze się nie spotkali. Powodzenia, Szedczenko. Jarek miał racje, to głupota pragnąć walki z Wysłannikiem Ciemności. Tym razem nie jest zdolny do równego pojedynku.

– A ja – powiedział Skicyn, znowu pakując się w fotel – poznałem bardzo zabawnych ludzi. Klub miłośników literatury dziecięcej „Nawigator”. Chcesz, zawiozę cię do nich?

Wizytor wzruszył ramionami.

– Jesteś jednym z ich ulubionych autorów – ciągnął Skicyn. – Zameczyli mnie pytaniami o ciebie.

– Pisarz nie powinien kontaktować się z czytelnikami. I kto im powiedział, że jestem pisarzem dla dzieci? Nie mam książek dla dzieci. Mam książki dla dorosłych, w których dzieci występują.

– Występują stale! – Skicyn zachichotał. – Prawda?

– No to co?

– Teraz planuję napisać dla nich wykład – znowu zachichotał Skicyn. – „Dzieci w twórczości Jarosława Żarowa”.

– Interesujące.

– Teza pierwsza: „Dlaczego Żarow nie lubi dzieci”.

Wizytor skinął głową.

– Dzięki. Doczekałem się. I dlaczego to?

– Będę pisał, przede wszystkim posługując się metodami psychologii, a nie krytyki literackiej – oznajmił Skicyn. – Cóż począć, tak wyjdzie znacznie ciekawiej.

– Dobra, nie tłumacz się. Razem wprowadzaliśmy tę metodę. Nawijaj.

– W większości twoich książek bohaterami są nastolatki, na które bezustannie spadają nieszczęścia i tragedie – zaczął Skicyn, nalewając piwa. – O, zrób głośniej, to świetny chór! Kontynuuj. Żarow jakby przyjął za swój nadrzędny cel wylewanie na swoich nastoletnich bohaterów całego draństwa życia. Od zabójstw począwszy – tu pisarz zezwolił dzieciom nie tylko na zabijanie dorosłych łajdaków, co ma uświęcone tradycje w powieściach pionierskich, ale i siebie nawzajem – na zboczeniach seksualnych różnego rodzaju skończywszy.

– Hard s-f for children. – Sława sięgnął po papierosy. – Wyjdę zapalić.

– Nie uciekniesz mi! – Skicyn rzucił się do kredensu, wyjął sterylne czystą popielniczkę. – Na czas wykładu wspaniałomyślnie pozwałam ci palić w pokoju. Złożę zdrowie na ołtarzu prawdy. A więc, postulat pierwszy – gdyby Żarow pisał dla dzieci, mógłby usprawiedliwiać się tym, że uczy młodzież okrutnej prawdy życia. Ale on, zgodnie z własnym oświadczeniem, pisze dla dorosłych. A przekonywanie dorosłych, że życie jest gównem, nie ma sensu. Oni i tak to wiedzą.

Wizytor otworzył kolejne dwie butelki. Wielikopopowicki kozieł z czeskim serem był naprawdę niezły. Życie to gówno. Ale zdarzają się przyjemne momenty.

– Dawaj dalej.

– Postulat drugi – cała literatura światowa jawi się jako próba pokonywania przez pisarzy własnych kompleksów. Bez względu na to, kogo weźmiemy...

– Ja bym tak kategorycznie nie...

– Myślę, że te przypadki, w których nie jest to tak oczywiste, po prostu wymagają bardziej szczegółowego zbadania. Czyli – co takiego pokonuje Jarek, tfu, Sławek? Jeśli zagłębimy się w tajniki psychoanalizy i potraktujemy teksty literackie jak opowieści pacjentów, dojdziemy do smutnego wniosku: nasz bohater ma poważne problemy psychologiczne, sięgające korzeniami do dzieciństwa.

– Wspaniale. Poruszysz stadium embrionalne?

– Nie... idziemy dalej. Co mogło być przyczyną tak silnego niezaadaptowania się u dziecka pochodzącego ze szczęśliwej – w zasadzie – rodziny? Prawdopodobnie samotność, brak poczucia kolektywu, powiedzmy nawet – stada. To się zdarza, jeśli u dziecka występują silne fizyczne czy też umysłowe defekty, ale tę wersję z oburzeniem odrzucamy. Wówczas pozostaje zawyżona samoocena bądź zawyżone wymagania wobec otoczenia, przede wszystkim wobec rówieśników. Dane przypadki, znane nam skądinąd, mogą doprowadzić do idealizacji otoczenia: „Nie miałem szczęścia, nie spotkałem dobrych ludzi, ale świat jest piękny”. U ciebie doszło do odwrotnej reakcji: „Świat to gówno, a tym, którzy tego nie rozumieją, zaraz to wyjaśnię”. Ponieważ w dorosłym życiu osiągnąłeś określoną popularność i szacunek, to bezceńszisz dzieciństwo. Pograżając kolejne dziecko w wielkim kotle z wrzącym smoczym łajnem, po prostu usprawiedliwiasz własną młodość. Oznajmiasz: Jak ona mi się strasznie nie podoba. Uważam pierwszą połowę swojego życia za zmarnowaną i nieszczęśliwą, ale to ogólny przypadek.

– Brawo! – Wizytor po raz pierwszy popatrzył Skicynowi w oczy. Żarow powinien być szczerze zainteresowany. – Ile ci jestem winien za seans psychoanalizy?

– To droga zabawa, zbankrutowałbyś. W ten sposób nasz potworny pogromca dzieci przemienił się w człowieka raz po raz zabijającego własne dzieciństwo. No i jak ci się podoba?

– Rewelacja.

– No, no... – Skicyn poklepał go po ramieniu. – Nie gniewaj się. Żartowałem. W rzeczywistości niczego takiego nie myślę.

– A wykład zrobisz?

– Jeśli pozwolisz... piwo się skończyło, co pijemy? Mam dobre wytrawne wino, mam smirnowa... prawdziwego, rosyjskiego.

– Wódkę. Stiepan, chce ci zadać idiotyczne pytanie. W filmie „Zabawka”: „Kto jest większym potworem: ja, który każe wam zdjąć spodnie, czy wy, gotowi obnażyć własny tyłek?”

– Aha, tuś mi! Oczywiście, że ty. Napisałeś, zainteresowałeś, zmusiłeś, byśmy uwierzyli. My, czytelnicy, jesteśmy słabi, podatni na wpływy, łatwowierni, no to czytamy z otwartą buzią.

– Tak, zwłaszcza ty.

– Co ja? – Skicyn wstał. – Ja swoich kompleksów nie kryję, ja je pieszczę i pielęgnuję! Taki zawód!

Pstryk...

Wizytor zamknął oczy. Ależ mu się poszczęściło z prototypem.

Obrazki się nałożyły. Nikołaj i Ilja zobaczyli się.

Powodzenia, prototypie Siły.

14

Szedczenko wziął lodowaty prysznic, wytarł się ręcznikiem. Dobrze, że wczorajsza łaźnia nie zakończyła się piwem, tylko zieloną herbatą. Wcale nie jest gorsza... zwłaszcza następnego ranka.

Ubranie przyniesiono mu pewnie wtedy, gdy się mył. Nie przywykł do cywilnego garnituru, ale ten był cholernie wygodny, miał sportowy krój. Szedczenko ubrał się, obejrzał w lustrze. Chyba nawet nie wyglądał na wojskowego. Były sztangista, który stara się trzymać formę.

Jednak przytył za biurkiem w sztabie...

Pukanie do drzwi. Zanim Nikołaj zdążył odpowiedzieć, Hajretdinow już wszedł. Był skupiony i rzeczowy. W milczeniu położył na rozłożonym łóżku dyplomatkę, skinął głową.

– Otwórz.

Szedczenko odchylił wieko. Wyjął pistolet, podrzucił na dłoni, oceniając ciężar broni. Steczkin.

Dobra maszynka, przez nieporozumienie nazywana pistoletem.

– Dzięki, Raszid... trudno było?

– Dość trudno. Po jakie licho jesteś obywatelem Ukrainy?

Nikołaj wzruszył ramionami, podniósł pistolet, celując Raszidowi w głowę.

– Ostrożnie, nabity!

– Będę musiał potrenować.

– W piwnicy jest strzelnica. Tylko szybko, Kola. Wysłannik Ciemności chce się z tobą zobaczyć.

Szedczenko drgnął.

– Nazywa się Ilja Karamazow. Jest najemnym zabójcą i, jak rozumiem, doskonałym specjalistą.

Nie mogłem się tylko dowiedzieć, gdzie mieszka. Zawsze tak jest z Ciemnością. Nic nie jest do końca jasne. Ale poczuliśmy się nawzajem.

– Wyzwanie?

– Tak. Możesz to uznać za pojedynek. Będzie na ciebie czekał w południe, na WDNCH*.

Szedczenko popatrzył zdumiony na Wezyra.

– Nie ja wybrałem miejsce. Postawił mnie przed faktem dokonanym, Kola. Zaprosił, żeby przyjść.

Przez główne wejście i do pawilonu Kosmos.

– Tak nie można, Raszid. Tam są ludzie. Dużo ludzi!

– Komu ty to mówisz? Ale jeśli ja nie przyjdę, on i tak zacznie strzelać. Uwierz mi, nie mamy innego wyjścia.

– Raszid, ta broń – Szedczenko znowu podrzucił pistolet na dłoni – jest legalna?

– Tak. Ale jeśli kogoś zabijesz, będę miał masę problemów. Lepiej będzie, jak uciekniesz przed glinami. Milicja z reguły nie spieszy się na miejsce zdarzeń.

– Południe – zerknął na zegarek Nikołaj. – Dobrze, jeszcze mamy czas. Raszid, czy muszę działać sam?

Hajretdinow zastanowił się.

– Weź jednego z moich chłopaków. Który ci się najbardziej spodobał?

– Siemion.

– Bardzo dobrze... zaraz wszystko dogadamy. Pójdzie jako twój ochroniarz. I będzie mógł zabić

Wysłannika całkiem legalnie.

– Raszid, czy któryś z was tam przyjdzie?

– Czort wie. Wysłannik Twórczości chyba się odstresowuje. Wczoraj wzięli chłopca.

– I?...

– Wysłannik Twórczości blefował, próbował zawrzeć alians z Rozwojem i Wiedzą. Kłamał.

Wszyscy to zrozumieli. Wypuszczenie chłopaka byłoby głupie.

– Zabił go?

– Prawdopodobnie. Jutro rano powiem ci dokładnie. Co cię tak przeraziło, wojaku? Wiesz, ile dzieci znika w Moskwie codziennie? I co się z nimi dzieje? Zarzucone na szyję prześcieradło to wcale nie najgorszy sposób odejścia z tego świata.

Hajretdinow podrapał się w nos.

– Zresztą, bądź zły. Gdy nastanie czas pisarza, przypomnisz mu to. Znam ja was, wojskowych. Kultura zawsze was onieśmielała... a ona buty o was wyciera i z błotem was miesza.

– To jej praca.

– No, no. Chodźmy na śniadanie. Potem zajmiemy się twoją garderobą.

Maria wróciła dopiero nad ranem.

Anna to zapadała w krótki, niespokojny sen, to znowu się zrywała. Jak szybko odzwyczaiła się spać sama...

Apartament był zbyt luksusowy: trzy pokoje, ogromne łóżko, nienormalnie wielkie, można było rozłożyć ręce i się nie zwieszały, można było położyć się w poprzek, po przekątnej – jak się chciało.

Zachodni telewizor z pilotem usianym kolorowymi przyciskami. Anna straciła z dziesięć minut, zanim zdołała go włączyć.

Nawet wanna ją przerażała – okrągła, bardzo głęboka, dzakuzi, o którym wcześniej tylko słyszała...

Zdawała sobie sprawę, że to słuszne, że tak właśnie powinno być. Czym jest dla Marii luksus? Pył na wietrze. I przecież nie o siebie się troszczyła, tylko o nią, głupią prowincjonalną dziewczyninę.

Anna czuła się strasznie samotna.

Maria kazała jej zamówić kolację do pokoju, ale ona długo się wahała – zaryzykować? W końcu jednak podniosła słuchawkę i starając się mówić wyraźnie i pewnie zamówiła. Pięć minut później kolację przyniesiono, ale nie była głodna, wypiła tylko trochę wina.

Gdzie jesteś, siostró moja i pani?

Gdy Anna przez sen usłyszała, jak otwierają się drzwi, szybko zerknęła na zegarek – wpół do piątej. Rzuciła się do Marii, w samej koszulce nocnej, przytuliła do zimnych policzków, wtuliła w pachnące drogimi perfumami włosy...

– Wszystko w porządku – powiedziała Maria ze zmęczeniem, odsuwając się. – Wróciłam.

Anna skinęła głową, powstrzymując się od pytań. Maria siadła przy stoliku, bez słowa naalała sobie wina, napiła się...

– Gdybyś wiedziała, siostró, ile tam brudu i zła.

Anna przykucnęła obok niej. Tak, ona wiedziała. A jeśli nie wiedziała, to wierzyła.

– Szukałam pomocnika – oznajmiła Maria. – Niestety... nie wszystko możemy zrobić same.

Uklucie w piersiach, w gardle zimna kula. Ale Anna milczała. *Ona* wie lepiej.

– Nikogo nie znalazłam, siostró. Bydło. Pożądliwe bydło – Maria patrzyła na nią w zadumie. – Bez umysłu, bez siły, bez duszy... może będziemy musiały porozmawiać z innymi Wysłannikami. Dać im szansę uratowania się. Dać im miłość.

CZEŚĆ SZÓSTA

MINUS DRUGI, MINUS TRZECI...

0

Stacja metra Tagańska była nabita ludźmi. Kirył stał na środku i rozglądał się na boki, cierpliwie znosząc szturchnięcia przechodzących. Tak strasznie nie chciał schodzić na dół... przypominać sobie. Do końca życia będzie się bał podziemnych przejść. Ale Wizar miał rację, tutaj najłatwiej oderwać się od prześladowców.

Podeszli do Kiryła sami. Z tyłu, najwidoczniej rozejrzeli się i upewnili, że nie ma ogona. Chłopiec odwrócił się i zamarł, patrząc na Wizarę i Wizytora.

– Bardzo się cieszę, mały – Wizar dotknął jego policzka. – Bardzo.

Kirył podszedł do Arkadija Lwowicza i przytulił twarz do sztywnego materiału płaszcza.

Dobrze, że jest ktoś, kto nie kłamie.

– Jak uciekłeś, Kirył?

Wizytór wziął go za rękę i Kirył odwrócił się, popatrzył na siebie – innego, gwiazdnego, odbicie czarnych igiel kosmosu. Uśmiechnął się.

– Nie uciekłem. Wypuścili mnie.

Arkadij Lwowicz wziął go za brodę, zadarł ją do góry, niespokojnie popatrzył w oczy.

– O czym ty mówisz, chłopcze?

– Wypuścił mnie Jarosław. Ten prawdziwy. Powiedział, że mi obiecał...

Wizar obejrzał się szybko, niemal wciągnął ich do nadjeżdżającego pociągu.

– Kirył, Kirył... jesteś pewien, że nikt cię nie śledził?

Tylko wzruszył ramionami. Jak mógł być pewien? Co on jest – Stirlitz albo James Bond? Po prostu poszedł do metra, wsiadł do pociągu, dojechał do Taganki...

– Giotto kłamał, kłamał, rozumiesz? – Arkadij Lwowicz wydawał się naprawdę zdenerwowany. – Taką ma pracę – kłamanie! Miałem nadzieję, że jest inaczej, ale w nocy zrozumiałem – kłamanie! Nie chce aliansu, chce zwycięstwa, chce naszej śmierci. My wszyscy jesteśmy pionkami w jego grze...

– Ale Jarosław...

– Dlaczego on miałby być lepszy? Święta naiwności, z kim ja się sprzymierzyłem...

Dojechali do Kitajgorodu, przesiedli się na Kałusko-Ryską linię, wysiedli na Sucharewskiej, wyszli z metra. Wizar rozglądał się na boki, nie wyjmując rąk z kieszeni, i Kirył poczuł nieznośny wstyd za tego starego człowieka, który tak panicznie się bał.

– On nie kłamał, Arkadiju Lwowiczu...

– O Boże, chłopcze, nie wiesz, kim on już był w życiu! Jak kłamał i co mówił!

Wizard odciągnął jego i Wizytora od stacji metra. Doszli do ulicy Gilarowskiej i Arkadij Lwowicz zaczął się uspokajać.

– A kim był, Arkadiju Lwowiczu?

Wizard popatrzył na Wizytora.

– Dla ciebie tego po prostu nie było, przyjacielu.

– Niech pan powie!

Arkadij Lwowicz wziął ich za ręce – krzepki dziadek, prowadzący na spacer ukochane wnuki.

– Gdyby to on zwyciężył poprzednim razem, spacerowalibyśmy teraz po dnie morza.

Wizytora zrozumiał pierwszy. Stał, patrząc badawczo na Wizarda.

– No? No, co? Dziwne? Adolf był artystą i świetnym malarzem. Grał do ostatniej minuty, sukinsyn.

Cóż począć, w tamtym czasie Twórczości daleko było do obrazów i książek. Lepszym rozwiązaniem wydawała się zonglerka ideami i umysłami. Gdyby nie zaatakował Wysłannika Władzy, gdyby wszedł z nim w alians... koniec wszystkiego. Na bardzo długi czas.

– On nic takiego nie mówił – wyszeptał Kirył.

– To naturalne. Nawet prototypowi tego nie powie... do czasu. Wstyd odsłaniać takie reinkarnacje. Znacznie przyjemniej wspominać włoski renesans albo romantyczne przygody w średniowieczu. Tak to wygląda, Kirył.

– Wizard, a zdarzyło się, że ty byłeś kimś... takim?

Arkadij Lwowicz ugryzł się w język. Odwrócił wzrok, jakby nagle szalenie zainteresowała go kolorowa flaga przy bramie ambasady afrykańskiego państewka.

Kirył czekał.

– Chłopcze, nie odpowiadamy za nasze poprzednie wcielenia. Świat kroił nas według swoich miar. Świat naklejał etykiety i wyznaczał role, kto ma być łajdakiem, a kto świętym. Zachowanie Siły, Wiedzy i Twórczości... to tylko pochodne. Nie usprawiedliwia nas to, ale i nie hańbi.

– A co próbował mi pan udowodnić pięć minut temu? – zapytał Kirył.

Arkadij Lwowicz klasnął w ręce.

– Próbowałem ci wyjaśnić, że nie można budować opinii o Wizytorach opierając się na zdolnościach! Mamy tylko jednego wspólnego wroga – Ciemność. To chaos i śmierć! To koniec. Pozostali mogą chcieć dobra albo zła niezależnie od roli.

Kirył skinął głową.

– Nie przekonałem cię?

– Mnie przecież wypuścił?

Wizard westchnął.

– Dobrze, chłopcze. Ten spór nie ma sensu. Jeszcze zrozumiesz. Teraz mamy inny problem.

Kirył popatrzył pytająco na staruszka.

– Wysłannik Ciemności wyzwiał Władzę na pojedynek. To w jego stylu, gdy nie udają się ciosy zza rogu, proponuje uczciwy pojedynek. Którego i tak nie uznaje.

– Kto ma więcej szans? – zapytał Kirył.

– Ciemność, bez dwóch zdań. Jeśli, oczywiście, nie zaczniemy swojej gry.

– Wizard – powiedział poważnie Wizytora – jesteś starszy. Decyduj.

Arkadij Lwowicz westchnął, przyciągnął Wizytora do siebie.

– Gdybym ja wiedział, chłopcze... każdy postępek będzie błędem.

– W takim razie trzeba postąpić tak, jak się chce – stwierdził Kirył.

Ukraińska delegacja przyjechała jeszcze wczoraj. Ale wczoraj Wezyr nie znalazł wolnej chwili na spotkanie. Nie znane ludziom gry wymagały wielu sił... ale o starych sprawach też nie wolno zapominać.

Podjechali do hotelu Moskwa, kierowca zaparkował samochód, popatrzył na Wezyra.

– Czekał – polecił Wezyr. – Pawlik, idziemy.

Ochroniarz wysiadł z samochodu pierwszy, rozejrzał się ponuro, poszedł do wejścia. Wezyr potarł czoło, ruszył za nim. Za chwilę Szedczenko wyjdzie z domu. Żeby tylko nie zawiódł. Najtrudniejszy cel – Ilja Karamazow. Jeśli dojdzie do nieszczęścia, trudno będzie znaleźć nowego specja.

Wezyr westchnął. Zatrzymał się, oglądając dziwaczny budynek. To był taki mały eksperyment – czy słudzy zaryzykują i poproszą o sprecyzowanie rozkazu Władzy? Towarzysz Stalin podpisał się dokładnie na linii dzielącej dwa różne projekty przyszłego hotelu. Nikt nie zaryzykował, nikt nie spytał, co właściwie miał na myśli. Architekci, tracąc rozum, połączyli to, czego nie można było połączyć... Tak powstał hotel Moskwa – równie absurdalny, jak samo miasto.

Rozbawił go wtedy ten dowcip, nawet nikogo nie ukarał. Ale czy ktoś zrozumiał, że Władza też ma poczucie humoru?

– Raszidzie Gulamowiczu, czy powinienem być obecny przy rozmowie? – Pawlik był akuraty jak pierwszoklasista stawiający pierwsze literki.

– Nie – uciął Wezyr. – Wyjdzie ci to na zdrowie.

– Mam instrukcje.

Hajretdinow odwrócił się, popatrzył mu w oczy i potężny ochroniarz jakby zmalął.

– A ja mam głowę na karku.

Nie oglądając się już na potulnego ochroniarza, wszedł do westybulu. Okazał ochronie legitymację deputowanego – przepuścili go, od razu tracąc zainteresowanie. W „Moskwie” mieszkało wielu deputowanych, lubiących zadrzeć sobie ze swej przystani. Kiedyś hotel nafaszerowany był mikrofonami, teraz instalowano je wybiórczo. Hajretdinow miał dokładne dane, w których pokojach można spokojnie rozmawiać, a w których nie.

– Pawlik, poczekasz w holu – powiedział Wezyr. – To długo nie potrwa... jeśli za pół godziny nie wyjdę, zajrzysz, przypomnisz mi. Dobrze?

Pawlik skinął głową. Nietrudno go było podporządkować. Zbyt prosta psychika, za mocno tresowali chłopaka w specnazie i na kursach ochroniarskich. Wezyr lubił brać takich do osobistej ochrony, ale do niczego więcej zazwyczaj się nie nadawali.

Dobry sługa powinien być trochę wrogiem...

Drzwi ozdabiała tabliczka „Nie przeszkadzać!”. Wezyr zakołysał nią, uśmiechnął się. Odpoczywają po wczorajszych przygodach. Niby polityk, a przyzwyczajenie radzieckiego inżyniera w delegacji nie stracił.

Zastukał, po minucie drzwi otworzono. Dorodny, wypielęgnowany mężczyzna stojący na progu zmierzył Hajretdinowa pytającym spojrzeniem.

– Twój pan już wstał? – Wezyr nie zwracał sobie głowy uprzejmością. Dorodnego skrzyknęło.

– Ma pan na myśli pana mera?

– Zawołaj go – polecił krótko Raszid.

Mężczyzna cofnął się w głąb korytarza. Najwidoczniej pojął, że wygląd zewnętrzny Hajretdinowa nie świadczy o jego statusie. Po cichu powiedział:

– Kimie Rodionowiczu...

Wezyr ominął go z niesmakiem, wszedł do holu, szukając wzrokiem Dobrecowa. Natknął się na blask pochylonej nad stołem łysiny. Wydawało się, że mer bada wewnątrz kryształowej popielniczki. Pokój wyglądał, jakby nie sprzątno go od tygodnia.

– Witaj, Kimuszka.

Kim Dobrecow powoli podniósł głowę. Pomięta, jakby przeżuta twarz rozkwitła w uśmiechu.

– Raszid... Raszid! – zachichotał, wydostając się z fotela. – A ja dopiero co dzwoniłem, powiedzieli mi, że wyjechałeś. Gdzie byłeś wczoraj?

– Interesy. – Wezyr cierpliwie zniósł zaśliniony pocałunek, przelotnie pomyślał, że Dobrecow wcale go nie szukał. Przeciwnie, pewnie zaklął, gdy usłyszał o nieudanym zamachu.

– Siadaj, siadaj, Saszkę już poznałeś?

Wezyr zerknął na dorodnego. Ten, uśmiechnięty od ucha do ucha, był uosobieniem uprzejmości.

– Tak.

– Sasza, to Raszid. Mój najlepszy przyjaciel, wspaniały człowiek, utalentowany polityk. Zresztą, co ja ci mówię, przecież wczoraj rozmawialiśmy o Raszidzie Gulamowiczu. Raszid, to Saszeńka... najlepszy z naszego młodego pokolenia. Mój referent i konsultant, wkrótce sam zostanie wybrany do parlamentu.

– Jasne. – Raszid usiadł, zmiotł popiół ze stołu przed sobą, popatrzył na Dobrecowa badawczo, z ciekawością. Ten zamilkł. Rozchylił usta, odsłaniając zepsute pożółkłe zęby.

– Raszid, coś cię martwi?

– Trochę – zerknął na Saszeńkę. – Wyjdź, chłopak.

– Nie można tak do młodej zmiany – powiedział z wyrzutem Kim. Wyciągnął rękę, wziął ze stołu butelkę taniej whisky.

– Niech wie, czyj chleb je – powiedział cicho Wezyr.

– Wypijmy za spotkanie – Dobrecow postawił przed nim czysty kieliszek, drugi taki sam przed sobą, przechylił butelkę.

– Nie piję. Ty też nie pij, merze. Nie jesteś w domu, stracisz twarz.

– Ech, Raszid... – Kim Rodionowicz nalał sobie i westchnął. – Kieliszek będzie w sam raz... żeby odzyskać twarz.

– Twoja sprawa – Wezyr demonstracyjnie spojrział na zegarek. – Tak, Kimie Rodionowiczu. Nie będę ci zabierał czasu. Kilka pytań.

– Słucham?

– Miałem telefon z Saratowa. Z Wołżańskiego Mazutu. Pytali, dlaczego tak długo nie ma przelewu za reeksport benzyny.

– Jaki reeksport? – Kim odwrócił wzrok. – Ja się interesami nie zajmuję...

– Nie kręć, przyjacielu. Twój pokój jest czysty, możesz mówić spokojnie.

– Raszid... – Dobrecow wypił alkohol jednym haustem, skrzywił się, nachylił nad stołem. – Problemy z tankowcami. Dosłownie na dniach udało się wszystko załatwić.

– Kimie Rodionowiczu – Wezyr nieco się odsunął, Dobrecowowi nieznośnie śmierdziało z ust. Inteligent, polityk, kandydat nauk – Bożeż ty mój... – Potrzebowałem wpływowego przyjaciela w portowym mieście. I pomogłem ci stać się tym wpływowym przyjacielem.

– Raszid, przecież wiesz, jaki jestem ci wdzięczny – odezwał się szybko Dobrecow.

– Bierz pod uwagę, że tracąc moją przyjaźń, stracisz swoje wpływy. Postaram się o to. Nawet poświęcę kilka pionków... żeby rada miasta zjadła cię z gównem. Rozumiesz?

– Raszidzie Gulamowiczu – w głosie Dobrecowa pojawił się nieudawany smutek. – Jeśli w jakiś sposób cię zdenerwowałem albo wyrządziłem materialną szkodę... mogę to tylko naprawić. Czy nie

będę zbyt natrętny, jeśli osobiście wszystko skontroluję i zorientuję się w roszczeniach korporacji? Myślę, że nasze przyjacielskie stosunki pomogą...

– Pomogą. – Raszid wstał. – Dobrze. Musze iść. Jeszcze się zobaczymy.

– Na razie, Raszid – Dobrecow wstał. – Zadzwoń wieczorem, wszystko omówimy...

Ledwie Hajretdinow wyszedł, przepaszający smutek znikł z twarzy mera. Klasnął w ręce, zerknął na Aleksandra, który wyszedł z drugiego pokoju.

– A to uzbecki sukinsyn... a to sukinsyn. I jeszcze jakieś pretensje, co?

Konsultant skinął głową, ale wołał się nie odzywać.

...Wezyr stał przy windzie, z tyłu głośno oddychał ochroniarz. Krótka wizyta, a nieprzyjemnie. Wytarł rękę o spodnie, pokręcił głową. Wyszeptał:

– Pajac. Błazen. Frajer.

Po raz pierwszy poczuł urazę do swojego prototypu. Już naprawdę nie mógł kogo innego postawić na jednym z ważniejszych odcinków pracy? Skusiła go reputacja populisty i niska cena, jakiej zażądał Dobrecow.

Ludzie, którzy tanio ci się sprzedają, nie przegapią okazji, by cię sprzedać. Trzeba przygotować dla Kima zastępstwo.

– Gdybyś ty wiedział, Pawlik, jak trudno znaleźć ludzi zasługujących na zaufanie – powiedział półgłosem. I dodał: – Trzeba ratować ten świat... Ratować, nim będzie za późno.

2

Na wystawę byłych osiągnięć byłej gospodarki narodowej Ilja Karamazow przyszedł o wpół do dwunastej. Nie bał się zasadzki. Siła była w nim, siła podpowiedziała, że zasadzki nie będzie.

Oczywiście, Wezyr nie przyjdzie. Trzymać broń w ręku to nie jego rola. Władza woli zabijać cudzymi rękami – zawsze znajdzie się ich wystarczająco dużo.

Ale prototyp Siły to też niezły cel. Ilja szedł wzdłuż szeregu małych sklepików. WDNCH, doprawdy, idealne miejsce na handel... obejrzał się, oceniając trasy ucieczki.

Powita Szedczenkę tutaj. Nikt nie powinien włączyć się do pojedynku, w każdym razie w nikim nie wyczuł takiego pragnienia. Tylko pogoda zawiodła. Słońce kłuło w oczy.

Zajrzał do jednego ze sklepików – same ścierki, w drugim żarcie dla psów, smycze i inne głupoty. W trzecim miał szczęście.

Z dziesiątka okularów przeciwsłonecznych wybrał wąskie i bardzo ciemne. Jeśli nawet sprzedawczynię zdumiał nie pasujący do sezonu zakup, to w żaden sposób tego nie okazała. Klient ma zawsze rację – w swoim dążeniu do pozbycia się zbędnych pieniędzy.

Ilja w milczeniu przymierzył okulary. Przejrzał się w lustrze. No tak, stał się bardziej charakterystyczny. Za to świat pogrzyżył się w półmroku.

– Pasują panu – odezwała się dziewczyna.

Karamazow skinął głową, wyjął pieniądze, zapłacił. Nie jest złodziejem ani grabieżcą.

Jest Wybrańcem. Wysłannikiem Ciemności.

– Nie nudzi się pani tutaj? – zapytał. Dziewczyna uśmiechnęła się pytająco. – Mówię o tym – wyjaśnił Karamazow – że każdy dzień jest taki sam jak poprzedni. Przychodzą ludzie, kupują różne duperele, wychodzą zadowoleni, pensja, prowizja, przyjaciółki z sąsiednich sklepików, właściciel-idiota... każdego dnia to samo.

– Każda praca jest taka. – Dziewczyna była wyraźnie zaintrygowana. Innych klientów nie było, a

ten chłopak wydał jej się sympatyczny. – Proszę powiedzieć, czy w pana pracy jest inaczej?

– Inaczej.

– No, u nas też nie jest nudno. Na przykład takiego klienta jak pan nigdy nie było.

Ilja przytaknął.

– Tak, nie jestem zwykłym klientem.

Dziewczyna przestała się uśmiechać. W głosie sympatycznego mężczyzny pojawiło się coś takiego...

– Gdyby dziś był normalny, zwyczajny jesienny dzień – wyjaśnił Ilja – nie musiałbym kupować ciemnych okularów. Nie zobaczyłaby mnie pani... i nie zapamiętała.

– Mamy tu tylu klientów, chceć każdego zapamiętać... – dziewczyna wyraźnie się przestraszyła.

Ilja rozłożył ręce.

– Mnie by pani zapamiętała. Wiem to. – Przechylił się przez ladę i dziewczyna odskoczyła pod ścianę. – Powiedz, czy w dzieciństwie byłaś grzeczną dziewczynką?

– Nie... chyba... – rozejrzała się zaszczutym wzrokiem. Pomiędzy nią i wyjściem stał Ilja. Do drzwi prowadzących do magazynu musiałaby przebiec obok niego.

– Tak właśnie myślałem. – Rozpiął płaszcz. Dziewczyna patrzyła na jego ręce jak zahipnotyzowana. Przez głowę przemknęło wszystko, co kiedykolwiek czytała i słyszała o psychopatach. Jak ich oszukać, jak zmusić, by ci uwierzyli?

– Podobasz mi się – powiedziała szybko. – Jesteś bardzo sympatyczny... umówmy się...

Twarz Karamazowa drgnęła.

– Wszystkie chcecie tylko jednego – wyszeptał. – Tylko jednego.

Wyciągnął z kabury pod pachą pistolet, i oczy dziewczyny rozszerzyły się, pociemniały.

– Proszę, nie... – wyszeptała.

– Czy ja tego chciałem? – zapytał ze zdumieniem Ilja. – Ale ty mnie zapamiętałaś. I od razu chciałaś mnie poniżyć... zdrwić. Tak?

Kiwnęła głową, już nie rozumiejąc słów, nie widząc nic prócz broni. Z psychopatami trzeba się zgadzać, nie wolno się spierać.

Ilja wystrzelił. Na steczkina tłumika nie miał, aż szarpnął się od dźwięku wystrzału, jakby to do niego strzelano. Czy było słyhać na zewnątrz? Rzucił się do okna, nie patrząc na upadającą dziewczynę. Tak, ten dzień był dla niej niezwykajny...

Obok sklepiku przechodził Szedczenko. Blisko, w odległości pięciu metrów. Chyba się zatrzymał... ale i tak nie popatrzył w jego stronę.

Ilja pokręcił głową.

To zbyt proste.

Otworzył drzwi, wyszedł na światło, obrzucił spojrzeniem ludzi wokół. Nie było ich dużo. Zacznie się panika i nikt go nie zapamięta.

– Nikołaj – powiedział Karamazow za plecami Szedczenki. Pułkownik zrobił jeszcze krok, zatrzymał się. Powoli, niezgrabnie się odwrócił.

Utuczyłeś się, pułkowniku. W sztabie powinieneś siedzieć, a nie walczyć.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem Szedczenko wyciągnął spod poły płaszcza pistolet. No nie. I on ma steczkina. Władza wyposażyła swojego psa.

Karamazow wystrzelił od pasa. To było takie łatwe, jak ze złośliwą sprzedawczynią... Nie ma godnych przeciwników, gdy wewnątrz ciebie jest Ciemność.

Szedczenko zachwiał się, przewrócił na plecy. Karamazow podrzucił steczkina, dał krótką serię w niebo, trochę salut, trochę ostrzeżenie dla przechodniów. Przechodnie docenili ten gest – rozbiegli

się we wszystkie strony. Karamazow opuścił broń i podszedł do pułkownika. Pochwycił jego spojrzenie.

– Witaj, padlino – powiedział Szedczenko, celując w pierś Karamazowa.

Garnitur na piersi pułkownika był cały w strzępach, ale krwi nie było widać.

Kamizelka!

Nieuczciwa gra!

W oczach Szedczenki nie było ani wątpliwości, ani chęci kontynuowania rozmowy.

Ilja obłąkanym wzrokiem patrzył, jak palec pułkownika naciska spust.

To niesprawiedliwe!

Ciemność obiecała!

Uderzenie, nie wiadomo dlaczego w plecy, wybuch bólu. Karamazowa rzuciło na asfalt obok Szedczenki, który już zaczął strzelać, ale cel przemieścił się i kule przeszły po witrynach sklepów, po parasolach nad pustymi stolikami małego baru. Ciemne okulary, kosztujące sprzedawczynię życie, spadły, zachrzęściły na asfalcie. Padając, Ilja zdążył kopnąć pułkownika, i ten przekreślił się na bok, przerywając ogień. Niezgrabnie podniósł się w niewygodnej, pewnie trzeciej klasy ochrony, kamizelce kuloodpornej.

Ilja wstał, próbował się odwrócić, dobić wroga, to nic, że lewa ręka zdrętwiała i obwisała, ale obok zaświstała kolejna kula.

Prototyp Siły nie przyszedł sam.

Po raz pierwszy w życiu Karamazow rzucił się do ucieczki. Nie wycofywał się z miejsca akcji, ale właśnie uciekał, ratował życie.

3

Wizard wydawał się zakłopotany i jakiś taki skulony, bezbronny wśród rzędów błyszczących, drogich samochodów. Młodzi sprzedawcy, uśmiechnięci i wyglansowani, nie podchodzili do nich.

Staruszek z dwoma maluchami na klientów nie wyglądali.

– Kiedyś były tu sputniki i pojazdy księżycowe – powiedział bezradnie. – „Wostok” Gagarina. Dużo interesujących rzeczy.

– „Wostok” sprzedano Stanom, do muzeum kosmonautyki – zauważył Kirył.

Arkadij Lwowicz popatrzył na niego bezradnie.

– Naprawdę? O, tutaj... tutaj stał.

Wizard przesunął spojrzenie na bladoliliowego forda. Wymiana wartości kulturowych... może tak powinno być? Jeśli naród sprzedał swoje gwiazdy, niech marzy o autostradach, taniej benzynie i miękkich siedzeniach.

– A gdy podnosiło się głowę, przez kopułę można było zobaczyć niebo – wyszeptał. Popatrzył w górę. Część szyb zastąpiono dyktą.

– Zrobili tu dyskotekę – odpowiedział znowu Kirył. – Podobno były takie potężne kolumny, że szyby pękały. Arkadiju Lwowiczu!

Staruszek zakasłał, potrząsnął głową.

– To nic, mały, to nic. Przejdzie. Profesor Zaltzman dawno nie wychodził ze swojej gawry...

Kirył dotknął ręki Wizytora i zapytał:

– Słuchaj, u was też takie były? Statki, sputniki?

Wiz pokręcił głową.

– Przecież nie jesteśmy ludźmi.

– To znaczy?

– W ogóle nie jesteśmy z białka – powiedział z roztargnieniem Wiz. – Nasza cywilizacja ma inną życiową podstawę. Tak w ogóle, to nie musimy się nawet bać próżni...

– A ty?

– Ja jestem człowiekiem – oznajmił z urazą Wiz. – To znaczy chłopcem...

Stojący za ich plecami Wizar westchnął. Oczywiście, dla staruszka wszystkie te słowa to bajka. Nie ma żadnych czarnych statków lecących pomiędzy planetami, nie ma kosmicznych walk, nie ma innych cywilizacji.

– Kirył, czy ty chociaż wiesz, kim był Gagarin? – zapytał Arkadij Lwowicz.

– Wiem.

– A kiedy poleciał w kosmos?

– Dwunastego kwietnia sześćdziesiątego pierwszego roku.

Wizar zaśmiał się gorzko.

– Zdumiewające. Miałem gorsze zdanie o młodzieży.

– I pewnie niezbyt się pan pomylił – Kirył nie odwracał się. – Po prostu jestem trochę inny niż moi rówieśnicy.

– Prototypy zawsze były osobowościami niestandardowymi – przyznał Wizar. – Pod pewnymi względami typowymi, ale w ramach swojej grupy wysuwali się ponad zwyczajną masę. Niestety, nie zawsze na plus... chodźmy, chłopcy. Już piętnaście po dwunastej.

– Nie pojawią się?

– Obawiam się, że walka już się odbyła. Urządzenie zasadzki byłoby typowe dla Wysłannika Ciemności. Może to lepiej, że się go nie doczekaliśmy?

Chłopcy i staruszek wyszli z pawilonu Kosmos. Niemal od razu Wizar zatrzymał się, wczepiając się w ramię Wizytora.

Milicja. Kilka oddziałów, podnieconych i napiętych. Z automatami.

– Coś się stało – powiedział Wizar. – Poczekajcie.

Przez kilka sekund przyglądał się stróżom porządku. Ciekawe, czy chłopcy rozumieją, że on też się czasami boi? I czasem bardzo chciałby się wycofać, odwlec spotkanie z wrogiem, choćby o dzień, o godzinę...

Podszedł do najbliższego mundurowego. Spostrzegł, że prawie do niego celują. Czy stary człowiek mógł wyglądać tak wojowniczo?

– Przepraszam, czy coś się stało? – zapytał Wizar zwracając się do starszego sierżanta.

Milicjant zdenerwowany pokręcił głową, ale odpowiedział niemal uprzejmie:

– Lepiej niech pan jeszcze raz obejrzy pawilon.

– Ale...

– Była strzelanina przy wejściu. Wszystko już jest pod kontrolą.

Wizar kiwnął głową z wdzięcznością, zbierając siły. Potrzebował tylko informacji.

I dostanie ją.

– Wszystko rzeczywiście jest pod kontrolą, i przestępcy zostali rozbrojeni?

Przez chwilę twarz sierżanta wyglądała jak ulepiona z plasteliny...

– Przestępcom udało się ujść na teren ogrodu botanicznego... – powiedział półgłosem. – Jest ich trzech.

– Dziękuję – Wizar cofnął się o krok. – Lepiej pojedziemy do domu.

Sierżant pokręcił głową, popatrzył na zaskoczonych szeregowców.

– Lepiej, żebyś się stąd nie ruszał, dziadku... – nie mógł pojąć przyczyny własnej szczerości, ale

wolał się nad tym nie zastanawiać.

Zrozumiał – nie warto.

Karamazow biegł. Pistolet ciążył, ciągnął do ziemi jak odważnik. Brakowało mu tchu. Powinien się zatrzymać, założyć opaskę uciskową na postrzeloną rękę, która nadal krwawiła. Ale nie było czasu.

Szedczenko nie przerwie pogoni, póki go nie zabije. Pies znalazł godną siebie pracę.

Wbrew sobie Ilja czuł podziw. Prototyp Siły wiedział, że Karamazow będzie na niego czekał i wystrzeli pierwszy. I znalazł jedyne słuszne wyjście z sytuacji – wystawić się na strzał, wykorzystać uczciwość Ilji, zawsze strzelającego w serce.

Oto ludzka podłość.

Tak go zdradzili...

I Ciemność go zdradziła, pozwalając wyjść słońcu, które wyciągnęło ludzi na ulice, do parków. Karamazowa widziały już nie dziesiątki wystraszonych pasażerów metra, lecz setki. Ludzie wprawdzie odskakują na boki i nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, żeby zbliżyć się do rannego człowieka, biegnącego z bronią w rękę...

Ale i tak go zapamiętają. Połączą ze strzelaniną w metrze. Wywieszają wszędzie portrety. Żaden lekarz nie pomoże mu za żadne pieniądze...

Podbiegł do parkanu ogrodu botanicznego. Strach go wyprzedzał, strach zrzucał ludzi z drogi, nie musiał strzelać. Przecisnął się przez rozgięte pręty żelaznej bramy, która zawsze, odkąd pamiętał, była zamknięta. Postał chwilę, łapiąc oddech. Przypomniawszy sobie nagle, jak uciekał przed nim chłopiec... i dokładnie tak samo się zatrzymał. Czyżby w oczach Ilji też gorzał szalony płomień paniki?

Bydlaki!

Zęby to była gra jego i Szedczenki, nie przestraszyłby się. Założyłby opaskę, legł, poczekał na pułkownika i jego przydupasów... wsadziłby mu kulę między oczy. Jest silniejszy, znacznie silniejszy od wszystkich przeciwników.

Ale niestety jest jeszcze Władza. I teraz zrywają się z miejsc samochody milicyjne, patrole otaczają teren, telefony wyszarpują z mieszkań omonowców i żołnierzy Alfy... wszystkich, kogo tylko Władza może spuścić ze smyczy. Huzia, huzia! Podniósł rękę na świętość, na tabu, zaatakował pastwisko Władzy – Moskwę, jej psy łańcuchowe – milicję i tłuste owieczki leniwie spacerujące po parku.

Położyć się, czekać na prototyp Siły, oznaczałoby skazać się na kulę w łeb, wypuszczoną przez snajpera...

Ilja wyszczerzył zęby. Nie. Nie...

Ucieknie, zdoła uciec...

Karamazow pobiegł na wschód. Ogród botaniczny to nie las pod Moskwą. A jednak tu będzie mu łatwiej. Kocha przyrodę, jest tu swój wśród nagich drzew, na dywanie pożółkłych liści.

Szedczenko go nie dogoni.

Żeby tylko do gry nie włączyli się pozostali...

Żadne kodowane zamki nie ochronią klatek schodowych przed bezdomnymi. Wchodząc po schodach, Żarow ze wstrętem ominął górę szmat pod ścianą. Kiedyś; jeszcze w dzieciństwie,

przerażała go maniera pisarzy, lubianych i poważanych, nazywania ciał nieboszczyków słowem „szmaty”. Dopiero niedawno zrozumiał, jak adekwatna jest ta charakterystyka...

Szmaty...

Dom był stary, z czasów stalinowskich, z szerokimi schodami i grubymi ścianami z cegły. Pewnie na klatkach takich domów nocuje się przyjemniej niż w wielkopłytowych wieżowcach...

Bezdomny podniósł głowę. Popatrzył... popatrzyła na Jarosława z czujnym lękiem. Kobieta, dość młoda, z resztkami urody. Z głębi szmat wysunęła się malutka rączka. Kobieta nocowała tu z dwu-, może trzyletnim dzieckiem.

Żarow odwrócił się.

Zimno i pusto.

Nie wolno tak żyć. Jest pewna niewidoczna granica w losie każdego kraju i jeśli zostaje przekroczona, przychodzi zapłata. Może krwawa i niesprawiedliwa. Może bardziej przestępcza niż wszystkie poprzednie niesprawiedliwości.

Ale jeśli przekroczono granicę – zapłata jest nieuchronna.

Drzwi otworzyły się. Żarow w milczeniu popatrzył na Ozierowa.

Timofiej Ozierow był wysoki, co sprawiało, że wydawał się niezgrabny. Zawsze trochę nieobecny, jakby rozmyślał jednocześnie o czymś innym... na przykład rozwiązywał twierdzenie Fermata.

– Witaj, Tima.

– Wchodź – Ozierow zachowywał się tak, jakby widzieli się tydzień temu. Wyjrzał przez ramię Jarosława, w milczeniu cofnął się do mieszkania, pokręcił głową. – Tak... wchodź.

Niepewnie zadreptał w długim, ciemnym przedpokoju, jakby to on przyszedł w gości, a nie Żarow. Wyciągnął spod wieszaka stertę kapci, potarł czoło.

– No... wchodź na razie...

Ozierow ruszył korytarzem do swojego pokoju z taką miną, jakby musiał ukryć przed obcym wzrokiem radiostację szpiegowską albo maszynę do drukowania fałszywych dolarów.

Jarosław zmienił buty, odsunął się od drzwi. Z pokoju gościnnego wynurzył się wielki rudy pies i jakby w zadumie podszedł do niego. Zdaniem Ozierowa był kundlem, ale Jarosławowi przypominał raczej owczarka kaukaskiego. Ci, których pan wpuszczał do mieszkania, byli chwilowo wyłączeni z kategorii „zdobycz”.

Podstawił rękę psu, ten wtulił w nią pysk, wałąc ogonem w ściany. Potężny pies. Jarosław takie uwielbiał.

Ozierow wrócił, odsunął psa i powiedział:

– Skicyn cię szukał. Chyba sądził, że dziś do niego zajrzysz.

– Stiopka jest dzisiaj zajęty – skłamał bez zastanowienia Żarow.

– Aha... wchodź do pokoju, co tu stoisz... – Timofiej popatrzył na niego. – Słuchaj, jak ty wyglądasz... jesteś chory?

– Zmęczony po podróży.

– Będziesz pił wino?

– Masz wątpliwości?

Ozierow uśmiechnął się. Miłość do „plebejskich” słodkich win była ich wspólnym konikiem.

– A jak tam srebrzysty muskat? Znalazłeś?

Jarosław pokręcił głową.

– Zapomnij o tym. Dowiadywałem się u głównego winiarza Kazachstanu. Winnice wycięte, srebrzystego się nie przewiduje.

– Przykre – powiedział szczerze Timofiej.

Żarow usiadł w fotelu, na podłodze obok natychmiast klapnął pies, przyciskając mu nogi.

– Dobra, będziemy pić madere. I opowiesz, co cię przyniosło do Moskwy. – Ozierow wyszedł.

Jarosław popatrzył na psa. Zapytał cicho:

– Będziemy kłamać?

Pies milczał, sapiąc głośno i patrząc mu w oczy.

– Będziemy – przetłumaczył jego spojrzenie Żarow. – Taka praca.

Skicyn, o ile pamiętał Jarosław, nie upijał się nigdy albo prawie nigdy. Prawdopodobnie z powodu swojej masy.

Teraz, rozlewając do kieliszków resztkę wódki, mówił z pasją:

– Po powtarzających się zbiegach okoliczności postanowiłem zająć się analizą tekstów pod kątem ich podobieństwa.

– Wyłapywać plagiaty? – Wizytor sięgnął po kieliszek.

– Dlaczego plagiaty? Plagiaty to wy u siebie wyszukujecie, to wasza choroba zawodowa i ulubiona rozrywka... zaraz... – Stiepan otworzył biurko i zaczął w nim grzebać, wyciągając jakieś niesamowite starocie – zeszyty, zwoje różnokolorowych kabli, szyszki, pęk zardzewiałych kluczy, szklane kulki.

– Podobne skarby zbierałem w pierwszej... no, może drugiej klasie – zauważył Wizytor.

– Mniej więcej od tamtej pory to wszystko tu leży – Skicyn wzruszył ramionami. – Jakoś nigdy nie mam czasu wyrzucić... jest!

Wyciągnął jakąś kartkę, usiadł i triumfalnie podniósł palec.

– Słuchaj i porównuj!

– Zamieniam się w słuch.

– „Czasem we śnie chcę zabić. I wiecie, co się dzieje? Trzymam na przykład pistolet. Celuję na przykład w spokojnego wroga, przejawiającego obojętne zainteresowanie moimi poczynaniami. Wprawnie naciskam spust, ale kule, jedna po drugiej, wytaczają się na podłogę z nieposłusznej lufy”.

– Pięknie – przyznał Wizytor. – No i co?

– Fragment numer dwa! – rzekł Skicyn. – Porównaj! „Pistolet huknął niegłośno i jakoś tak niechętnie, wypluwając blady ogień. Zamek wrócił na swoje miejsce, wyrzucił gilzę i z wysiłkiem wysłał do lufy następny pocisk”. Tak, tak, tak, tak... Jest! „Znowu wyskoczył żółty języczek ognia, w ślad za nim kula. Uderzyła w mokre palto...”

– „I spadła na śnieg” – dokończył Wizytor. – Bohater wystrzelił po raz trzeci i pistolet znowu zadziałał z meczącą bezsilnością.

– Brawo – Stiepan odłożył kartkę, skrzyżował ręce na brzuchu. – Nieźle, co?

– I co z tego? Każdy pisarz uważa się za pana rzeczywistości... gdy pisze. I rozumie, że jego marzenia, żeby kule wyskoczyły z lufy i skakały po śniegu, nie spełnią się.

Skicyn uśmiechnął się złośliwie.

– Dobrze, nie czepiaj się. Chcę zrobić taki zbiór – jak panowie pisarze, niezależnie od siebie, wykorzystują podobne obrazy w emocjonalnie znaczących momentach książki. To będzie artykuł!

– Doczekasz się, że panowie pisarze, powodowani emocjami, zrobią zrzutkę i wynajmą killera. Żeby postraszył znanego psychologa.

Stiepan westchnął.

– Żądnięcie krwi, literaci... jeśli już wynajmujecie, to żeby zabił. Wyjdzie taniej.

– Poważnie?

– Oczywiście. Postraszyć, złamać kilka żeber to nie jest akcja jednorazowa. Trzeba przyjść co najmniej dwa razy. A to podnosi cenę.

– Nie przypuszczałem. Skąd wiesz?

– Od jednego klienta. Ma na tle biznesu taką neurozę... aż mi szkoda faceta... trochę.

– Stiepan... – Wizytor odchylił się w fotelu. W głowie mu szumiało. Było posępnie i smutno. –

Podoba ci się nasz świat?

– O czym mówisz?

– O życiu.

– Czy wyglądam na idiotę? Nie.

– A co byś powiedział na sytuacje, gdy jeden człowiek dostaje w swoje ręce władzę nad światem?

Dobry człowiek, który dobrze światu życzy.

– Co to, horror? – Stiepan ożywił się. – Odniosłbym się do tego bardzo negatywnie. Historia pełna jest takich marzycieli. Wymienić ci dziesięć nazwisk ludzi, pragnących powszechnej szczęśliwości?

– Nie trzeba. Stiepan, nie mówię o dyktatorze czy proroku. Żadnej przemocy... nawet żadnej wyraźnej władzy. Po prostu świat zaczyna się mimowolnie dostrajać do konkretnego człowieka. Odpowiadać jego wyobrażeniom o szczęściu.

– Jeszcze gorzej – odparł szybko Skicyn. – Jawnego dyktatora-dobroczyńcę można przynajmniej zastrzelić... albo ukrzyżować na pospiesznie zbitym krzyżu. Tajny władca narzucający swoją wolę ludzkości jest znacznie straszniejszy.

– Dlaczego?

– Dlatego! Kogo chciałbyś widzieć w tej roli?

– Siebie.

Skicyn zamilkł, przechylił głowę, przyglądając się Wizytorowi.

– Ach tak... wybacz. Nie doceniałem cię. Taki koszmar wymyśliłeś, że aż mnie pot oblał.

– Dlaczego? Nie chciałbyś się stać rdzeniem cywilizacji? jej duszą?

Stiepan skinął głową.

– Chciałbym. Ale nie daj Boże. Ani mnie, ani tobie.

– Stiepan, trochę konkretniej.

– No coś ty, Jarek... Sławek. Odbiło ci? Mechaniku naszych dusz, zastanów się chwilę! Władza nad światem! A w rękach nie czołgi i debile w hełmach, lecz sprężynki poruszające naszymi czynami. Wiesz, jak odbije się na miliardach fakt, że w dzieciństwie nie chcieli z tobą grać w nogę, a w młodości oblali cię na egzaminie?

– Nie wiem.

– Ja też nie wiem. Wszystko, wszystko, co się z tobą kiedykolwiek działo, żyje w tobie. Nie znikło. Jest gdzieś tam, w zakamarkach duszy, do których normalni ludzie nie zagląдают! I władać będzie nie twoja wyraźnie ukształtowana i cnotliwa myśl, lecz ten uśmiech ciemności, który tkwi w podświadomości każdego człowieka! Każdego! Od papieża po skazanego na śmierć maniaka! Człowiek nie jest bezgrzesznym Panem Bogiem... zresztą, to też wątpliwa kwestia. Wymyślić piekło, nie grzesząc samemu – mało prawdopodobne!

– Błuznierca.

– Sceptyk. Jarosław, taki świat stałby się koszmarem.

– Nie byłbym taki pewien. Powiem tak – w historii ludzkości były osobowości, które stały się taką właśnie duszą cywilizacji. Choćby nawet nie całej – ograniczało ich ogólne zacofanie świata...

– Oho, doszliśmy do Chrystusa. Ogólne zacofanie... Hm. Sława! – Skicyn przechylił się nad stolikiem. – W pewnym artykule wyczytałem piękny przykład... pamiętasz opowieść o doktorze

Jekyllu i mister Hyde?

– No...

– Co robił straszny i okropny Hyde, który uosabiał dla Stevensona wszelkie możliwe wady ludzkiej duszy?

– Zabił kogoś.

– Tak. Zabił. A poza tym kopnął dziecko. Nie wydaje ci się znamienne, że dobremu pisarzowi, wspaniałemu fantascie, jakim był Stevenson, nawet do głowy nie przyszło, że straszny Hyde może zabić dziecko? Im dalej rozwija się cywilizacja, im wyższy staje się jej normalny poziom moralny, z całą tą troską o ekologię, przeziębione wieloryby, bezdomne kotki i innych staruszków, tym potworniejszy staje się biegun przeciwny. Dopuszczalne zło. Wyobrażalne zło! Tak, ludzie w ogóle stają się lepsi, czystszej, bardziej miłosierni. Ale jako zapłata za przyjętą przez wszystkich moralność, za deklarowane wartości i przykazania rośnie ciemność, kryjąca się w duszy. Mam koleżankę po fachu, bardzo fajna dziewczyna. Kiedyś dyskutowaliśmy na podobny temat... i ja pytam: „Za jaką sumę mogłabyś zabić człowieka?” Omawialiśmy kandydaturę, mówiliśmy nawet o mnie, jako jednostce sympatycznej i miłej. Oceniała mnie na milion dolarów. W zasadzie zrobiło mi się przyjemnie. Killerzy pracują za jedną dziesiątą procenta tej sumy... potem omawialiśmy kwestię zabójstwa niewinnego dziecka. Tu już chyba zażądałaby więcej. Ale! Rozumiesz, w czym rzecz? Dla współczesnego człowieka wszystko jest dopuszczalne! Wszystko. Za zwykłe dolce, które może zarobić! Co tam inkwizycja i gestapo! Oni przynajmniej mieli jakieś usprawiedliwienie – to heretycy, to podludzie! A my nie potrzebujemy żadnych usprawiedliwień, powiedz tylko cenę! Żebyśmy mogli stworzyć sobie malutki, osobisty raj i ucieszyć niezaspokojone marzenia. A jeśli przed tobą będzie leżał nie worek z forszą, lecz władza nad światem... Sławek! Wszystko jest dopuszczalne! Wszystko! Bez ograniczeń!

Skicyn złapał oddech. Wstał, otworzył drzwiczki barku, w zadumie popatrzył na butelki. Cicho powiedział:

– I dlatego właśnie mam nadzieję, że nikt i nigdy nie da mnie... ani tobie... możliwości tworzenia dobra w skali światowej. Szczęście dla wszystkich... i żaden nie odejdzie pominięty...

5

Jak cicho i dobrze...

Anna trzymała Marię za rękę. Szły po ogrodzie botanicznym i nikogo, nikogo wokół nie było.

– Jesteśmy jak siostry... – powiedziała Anna. – Prawda?

Maria skinęła głową w roztargnieniu i zadumie. Coś ją dręczyło i Annę jej smutek bolał bardziej niż jakiegokolwiek własne nieszczęście.

– Może nie będziemy się dzisiaj... spotykać z nimi?

– Będziemy – Maria popatrzyła jej surowo w oczy. – Nie wolno unikać swojego losu.

– Ładny dzień – powiedziała żałośnie Anna. – Przecież nie tutaj mają się spotkać, prawda?

– Przyjdą tu. Wysłannik Ciemności będzie ranny, będzie uciekał. Już ucieka, a Szedczenko idzie za nim. – Maria zatrzymała się, objęła ją za ramiona, przyciągnęła do siebie. – Anno, musimy dokonać wyboru...

– Jakiego?

– Jest bardzo wielu wrogów. Możemy zwyciężyć... możemy ich zabić. Ale jest jeszcze inne wyjście, siostró.

– Rozumiem – Anna skinęła głową. – Ale on nas tak nienawidzi...

- Szedczenko nie jest zdolny do miłości. Nie zapragnie wybaczenia i światła.
- Nie rozumiem – powiedziała cicho Anna.
- Zrozumiesz – obiecała Maria.

Karamazow nie miał już sił. Zatrzymał się, zawiązał opaskę na rannej ręce. Ale stracił zbyt dużo krwi.

Chciało mu się spać, jak po najbardziej wyczerpującym treningu. Czy pułkownik go dogoni, wysledzi... przecież on też musi się kryć przed milicją.

Wszystko jedno. Nawet jeśli ogród jeszcze nie został otoczony, jeśli uda mu się wyjść i złapać taksówkę... nie, bez sensu. Nikt nie weźmie zakrwawionego człowieka.

Z beznadziei i bezsilności chciało mu się krzyczeć. Już nie uciekał, szedł, przed oczami robiło mu się ciemno. Potem zobaczył dwie dziewczyny i zatrzymał się.

Wysłanniczka Dobra.

Jednak pozostali postanowili się włączyć.

Ilja podniósł steczka i wyszczerzył zęby w gorzkim uśmiechu. Mimo wszystko wykona część zadania.

Wysłanniczka szła powoli w jego stronę. W ślad za nią, zostając nieco w tyle, wyraźnie przestraszona podążała dziewczyna-prototyp.

– Umierasz – odezwała się Wysłanniczka. Bez tego nacisku i przekonania, bez tej wiary, która była jej bronią. Po prostu konstatowała fakt.

– Możliwe – Ilja zrobił krok i oparł się o drzewo. Znowu się uśmiechnął. – Ale nie sam!

– Mogę cię uratować.

Zabrzmiało to zbyt zwyczajnie, zbyt prosto jak na oszustwo. Znowu – fakt.

– Co mi to da? – Ilja poruszał lufą. – Stój. Bliżej... nie wolno.

Wysłanniczka zatrzymała się.

– Życie. Wybaczenie.

– Niczemu nie jestem winien.

– Wiem. Sam jesteś ofiarą, Ilja. Mogę dać ci wybaczenie... wybaczenie i życie, nową służbę.

– Ja już służę!

– Nie wszystko jedno, komu służysz?

– Nie. Ja niosę światu wolność... prawo bycia sobą. Bycia niezależnym... od dogmatów... Ty...

– Co ty o mnie wiesz? – Dziewczyna przykucnęła, zaczerpnęła dłonią mokrych liści. – Siadaj, ciężko ci...

– Pamiętam twoje poprzednie wizyty...

– Naprawdę pamiętasz, Ilja? – Dziewczyna patrzyła z ironią, z drwiną... Wszystkie sobie drwią. Ale dlaczego nie czuł zwykłej wściekłości...

– Tak! Kochaj bliźniego swego... wybaczajcie sobie... przestrzegajcie moich przykazań... – Karamazow zaśmiał się. – Nie zabijaj... nie pożądaj... nie kradnij... dlaczego tak dużo „nie”? Gdzie one teraz są, te twoje przykazania? Czczą je... niczym starocie w muzeum. Kto wierzy w twoje przykazania?

– Kto ci powiedział, że są moje?

Karamazow milczał.

– Był już czas tamtej dobroci. Nastal czas innej.

– Jaka to różnica?

– Nie przynoszę tablic. Niosę wolność... wolność dobra i miłosierdzia. Światło nowej dobroci,

której pożąda świat. – Wysłanniczka Dobra wyciągnęła rękę i musnęła jego policzek. – Przyjdź do niej, do mojej wiary. Do mojego dobra. Do mojej miłości.

Ilja potrzęsął głową. Mgła gęstniała przed oczami... nie ciemność – mgła... szarość, brak koloru.

– Oszukujesz mnie – powiedział. – Oszukujesz!

– Po co? Prawda to moja broń. Prawda jest lepsza od kłamstwa, Ilja. Bardziej przekonująca.

– Zapragniesz praw... zasad... reguł...

– Po co? Moja miłość nie zna granic. Moje miłosierdzie wybacza wszystkim. Moja dobroć nie zna różnicy pomiędzy niewinnym dzieckiem i tobą. Ani różnicy, ani pobłażliwości.

Dziewczyna nachyliła się nad Ilja, odsuwając broń i zagładając mu w oczy. Karamazow drgnął pod jej dotykiem.

– Głuptasie... – szepnęła. – Ani ja, ani ty nie zwyciężymy w pojedynkę. Jesteśmy skrajnościami... ludzie się nas boją... Tylko razem, tylko jeśli się połączymy, damy światu prawdę. Nową Dobroć i nową Wolność.

– Które z nas zwycięży?

– Ani ty, ani ja. Twoja ciemność stanie się światłem, a moje światło przemieni w ciemność. Po co nienawidzić, kiedy można kochać? Damy go światu... prawdziwego pana i Wysłannika. I on zatrze granice pomiędzy Światłem i Ciemnością. Przyniesie taką miłość i wolność, jakiej oni pragną.

– Nie zdołam – wyszeptał Ilja. Bał się przyznać, ale mimo wszystko dokończył: – Ja... ja nigdy nie mogłem...

– Ze mną będziesz mógł... – w oczach Wysłanniczki była obietnica. – Nie bój się. Razem będziemy mogli wszystko.

Ilja zamknął oczy. Wyszeptał:

– Ale ja umieram.

– Uratuję cię.

6

Arkadij Lwowicz szedł przodem. Kirył pomyślał nagle, że Wysłannik Wiedzy przypomina starego psa myśliwskiego, który rozpaczliwie próbuje złapać trop.

Ogród był ogromny. I zdumiewająco pusty jak na nieoczekiwanie pogodny dzień. Czego tu szukają? Zabójca już dawno się schował, rozplątał pośród ulic.

– Kirył – Wizytor dotknął jego ręki. – Nie myśl tak.

Chłopiec nie odwrócił się. Nadal szli za Wizardem, dwóch nastolatków w jesiennej ciszy. Słysząc było tylko, jak Arkadij Lwowicz powłóczy nogami... Zmęczył się nie mniej niż oni.

A może znacznie bardziej. Przecież jest chory.

I został sam...

– W dodatku znasz moje myśli – powiedział w końcu Kirył.

– Tak.

– Wiz, ja nie chcę... żebyśmy go znaleźli. Boję się.

– Wiem.

– To głupie. Nic nie możemy zrobić.

– Kirył, powinniśmy...

– Wiz, nie zdołamy...

Wizard drgnął. Jakby usłyszał albo zobaczył coś niedostępnego dla nich. Odwrócił się, pokręcił głową, smutnie, beznadziejnie.

– Chłopcy, dalej pójdę sam.

– Dlaczego? – zapytał ostro Wizytor.

– Dlatego, że tak trzeba – Arkadij Lwowicz wyjął pistolet, odbezpieczył. – To już niedaleko. A wy nie zdołacie mi pomóc.

– To po co tu szliśmy? – wydawało się, że Wizytor koniecznie chciał coś zarzucić staruszkowi.

– Żeby zobaczyć, oczywiście... – Wizard przykucnął, zamilkł, patrząc to na Wizytora, to na Kiryła.

– Chłopcy, wszyscy się przeliczyliśmy... I Siła, i Władza, i Twórczość. Nie wolno było mierzyć starą miarką, ale tak bardzo się tego chcieli...

– Arkadiju Lwowiczu, o czym pan mówi? – zapytał cicho Kirył.

– O tym, co się teraz dzieje. – Staruszek wyciągnął lewą ranną rękę i dotknął jego policzka. – Rozumiesz, dobro zawsze było dobrem, a zło złem. Coś mogło się zmieniać, czasem chcieliśmy różnych rzeczy... ale od zarania dziejów istniał wariant awaryjny... było komu oddać zwycięstwo. Była strona, po której można było stanąć.

Wydawał się teraz bardzo, bardzo stary. Nieuleczalnie chory. Wymęczony, jakby wyspany przez straszny smutek...

– Arkadiju Lwowiczu... – wyszeptał Kirył.

– Wiedziałem, że jej dobro staje się gorsze od zła – powiedział, jakby nie słysząc, Wizard. – Ale nie sądziłem, że ich alians jest możliwy. Chłop

Dziwne, nie zwracał się teraz do Wizytora, lecz do Kiryła.

– Chłopcze, chcę ci powiedzieć... straszną rzecz, ale muszę ją powiedzieć. Nie wierz w dobro. Nie wierz ani słowom, ani czynom. Dopóki nie zrozumiesz, do czego one prowadzą. Miłosierdzie i przebaczenie, miłość i przyjaźń – wszystko może być oszustwem. Idź naprzód, pomyśl, do czego prowadzi dobro, i wtedy decyduj.

Opuścił głowę.

– Idzie pan umrzeć – powiedział nagle Wizytor. Potępiająco, natarczywie.

– Tak. Tak, mój mały konkurencie. Spróbuję, ale nie dam rady. Wiem to tak samo dobrze jak ty. Ale nie chcę się cofać.

– Dlaczego?

– Dlatego, że się boję... dalej żyć.

Wstał, zerknął na Kiryła, na chwilę odzyskując poprzednią pewność siebie i ironię.

– Chłopcze, jak sądzisz, co bym zrobił, co próbowałbym zrobić, gdyby zginęli wszyscy pozostali Wysłannicy i zostalibyśmy we trójkę?

Kirył nie odpowiedział.

– Właśnie... za chwilę zacznie się cyrk. Ale mam jeszcze kilka minut... do wyjścia na arenę.

Kirył, ty przecież piszesz wiersze?

Nie powiedział, że pisał, tylko wzruszył ramionami.

– Powiedz mi coś... na drogę.

Wizytor uśmiechnął się krzywo. On doskonale wiedział, jak Kirył tego nie lubi.

– Po co? – zapytał Kirył.

– Chciałbym się dowiedzieć, co jest w tobie.

Kirył westchnął. To głupie. Nie na miejscu. W głowie mętlik, fragmenty wierszy, zdania. Ale staruszek czekał, patrzył na niego, i Kirył cicho zaczął:

I ciągle w górę... lecz co przed sobą mam?

I tylko w górę, ponieważ przez czas.

Snią mi się schody, porzucone przez was,
Ja biegnę po nich nieodmiennie sam.

Wizytor uśmiechnął się, odwracając spojrzenie. Niech tam. Kirył napisał ten wiersz trzy lata temu.
Gdy jeszcze nie było przybysza z czarnych gwiazd...

Lecz przyjdzie dzień, i ze snu się obudzę,
I pójdę naprzód, stąpając z ostrożną.
Ja dobrze wiem – zawrócić już nie można.
Już nie zawrócę – gdy przez czas przechodzę.

Jedne – te same schody czasu dla nas.
Wszyscy idziecie i ja idę z wami.
Samotny w tłumie. W górę się wspinamy,
Obok ze świstem przelatuje czas.

Arkadij Lwowicz skinął głową.
– Teraz rozumiem. Dziękuję, Kirył.
– Chodźmy razem – poprosił cicho Wizytor.
– Nie, chłopcy. Żegnajcie.

Wizard wyprostował się, próbował zakręcić pistolet na palcu, jak w westernie. Omal go nie upuścił, uśmiechnął się i nie oglądając, poszedł przed siebie.

– Nikołaju Iwanowiczu! – Siemion chwycił go za rękę. Mocno, bez cienia subordynacji. – To szaleństwo...

– Musimy go znaleźć – powtórzył Szedczenko. Deptali Wysłannikowi Ciemności po piętach, wyprzedzając milicję, która przede wszystkim postanowiła otoczyć miejsce zdarzenia. Dwa razy ludzie wskazywali im kierunek – ochoczo i z podnieceniem. Niewielu jest chętnych, żeby leżeć pod kule, ale pomoc gotowi są wszyscy. – Raniłeś go, Siemion. Brawo. Nie ucieknie daleko.

– O czym pan mówi? To nie wojna! Bronić się przed napastnikiem to jedno, ale urządzać samosąd?! Jeśli go zabijemy, nawet Wezyr nam nie pomoże!

– Możesz odejść – zaproponował Szedczenko.

– Nie chcę odsiadywać wyroku!

– Odejdź.

Siemion odwrócił wzrok. Nauczili go wielu rzeczy... jak bronić klienta, jak działać w chwili niebezpieczeństwa i jak udzielić pierwszej pomocy.

Ale nikt nie wpadł na to, że chroniony obiekt rzuci się z automatem w rękę za napastnikiem.

– Nikołaju Iwanowiczu, zwariował pan...

– Dokąd byś uciekł na jego miejscu?

Siemion wzruszył ramionami.

– Nie wiem... na wschód? Nie znajdziemy go. Albo sam zdechnie, albo już uciekł!

– Muszę się przekonać.

– Pan wiedział, że będzie atak – powiedział ze złością Siemion. – Wiedział pan!

– Tak. I nie tylko o ataku. Ten człowiek zabił kierowcę i twojego zwierzchnika. Rzeź w metrze to też jego robota. Ja go nie wypuszczę.

– Nikołaju Iwanowiczu – odezwał się po chwili milczenia ochroniarz. – Nie boli pana przy oddychaniu?

– Nie, żebra są całe. Dobra kamizelka. Idziemy, Siemion.

7

Oczywiście, Wizard pożegnał się z chłopcami nie tak znowu blisko Wysłannika Ciemności. Szedł szybko, wiedział, dokąd ma iść – moc, która była w nim, wybuchła, przeniknęła ciało, i nie potrzebował już nocy, żeby poczuć kierunek.

A noc rozpościerała się nad światem, nie bojąc się już blasku słońca.

Jakie to dziwne. Nawet w najbardziej odległych czasach, gdy jego wiedza była słabą iskrą, w którą mało kto wierzył, gdy w pustelniach i podziemiach alchemików przemieniał wbrew wszelkich prawom natury ołów w złoto, czynił szkło sprężystym, a ogień zimnym, nie czuł się tak bezsilny jak w tym czasie.

Czasie, kiedy Wiedza była wszędzie. Dostępna, hojna, nieskończona. Tylko brać i korzystać. Poszerzać horyzonty. Zapisać wzór dowolnego cudu.

Wiedza stała się powszechnie dostępna i przestała być siłą.

Ten czas wierzył tylko w dobrą Ciemność.

I dobra Ciemność przyszła.

Najpierw zobaczył Annę. Dziewczyna stała tyłem do niego, patrząc w ziemię. W wyblakłym workowatym palcie wydawała się zmęczona, szara, nieszczęśliwa. A jednak nie czuł dla niej współczucia.

Każdy ponosi odpowiedzialność za to, co przychodzi na świat poprzez labirynt jego duszy.

Arkadij Lwowicz szedł, nawet się nie kryjąc. Po co. Wysłanniczka Dobra zajęta była swoją pracą – rozdawaniem miłosierdzia.

Ilja Karamazow pólleżał na ziemi, wsparty na łokciach. Patrzył w oczy Marii. Nie w transie ślepej wiary, jego siła była wystarczająco wielka, by ochronić swojego Wysłannika. Po prostu kontaktowali się wzrokiem, gdy dłonie Marii przesuwają się nad jego ciałem, zasklepiając ranę, uzupełniając straconą krew, ratując.

Jej dobroć nie ma granic...

Wizard musiał podejść na trzy, cztery metry. Dla pełnej gwarancji. O ileż lepsze byłyby zwykłe kule... ileż pewniejsze.

Anna odwróciła się, krzyknęła, śmiesznie klasnęła w ręce, chwyciła Marię za ramię.

Wizard zatrzymał się, podniósł pistolet. Twarz Marii pozostała spokojna, tylko Karamazow wyszczerzył zęby, macając ręką po liściach.

Ale jego pistolet był zbyt daleko.

– Dlaczego nie jesteś z nami, staruszkule? – zapytała Maria wstając.

Wysłannik Wiedzy nie odpowiedział.

– Przyjdź do nas – Maria zrobiła krok w jego stronę. – Wyciągam do ciebie rękę, Wizard. Nie odrzucam nikogo, sam widzisz. Dlaczego nie jesteś z nami?

– Dlatego, że nikogo nie odrzucasz.

– Każdy zasługuje na przebaczenie. Każdy jest godzien miłości... – Maria szła do niego, jakby nie widząc wycelowanego pistoletu. – Kim jesteś, że odrzucasz brata swego?

– On nie jest moim bratem. Mój brat został zabity jego ręką.

– I na twoich rękach jest krew. Ale nadszedł czas wybaczenia. Stań się czystszy, Wizard.

Wybacz swojemu wrogowi, tak jak ja wybaczyłam tobie. Obejmij go.

Karamazow zaśmiał się wstając. Zakrwawioną, przebitą ręką poruszał lekko i swobodnie.

– Hej, stary! Byłeś twardy. Gotów jestem cię objąć.

– A ja nie – Wizard nacisnął na spust.

Od Marii dzieliły go najwyżej dwa metry. Lufa pistoletu zakwitła bladym wyrzutem strumienia gazu, który uderzył Wysłanniczkę Dobra w twarz. Anna krzyknęła cienko, rzucając się do nich.

Wizard wstrzymał oddech, cofnął się o krok.

Maria zatrzepotała opalonymi rzęsami.

– Staruszk, przecież ty nawet nie masz broni... prawdziwej. Ta trucizna... – zaśmiała się. –

Żebyś sam nie wciągnął w płuca.

Karamazow nachylił się, podnosząc z ziemi pistolet. Zapytał:

– Mario, zabić go?

– Poczekaj, bracie. Każdy ma prawo do błędów. – Nie odrywała spojrzenia od twarzy Wizarada. –

Dlaczego wy wszyscy mi nie wierzycie? Dlaczego odrzucacie miłość i przebaczenie? Przecież jesteś chory, to spadek po twoim prototypie. A ja mogę cię uratować. Przeżyjesz jeszcze wiele lat. Wierzysz?

Wystrzelił po raz drugi, już wiedząc, że to beznadziejne. Ale sam proces przynosił mu chwilową ulgę, moment nadziei, gdy pistolet drgał w rękę i w oczach Wysłanniczki odbijał się blady płomień.

– Zabij go – Maria cofnęła się. – Zabij go, bracie!

Szedczenko zobaczył ich wszystkich w momencie, gdy Karamazow wycelował w staruszk. Staruszek to musiał być Wizard, Wysłannik Wiedzy.

Kobiet nie zapomniałby nawet na łożu śmierci.

Wystrzelił w kierunku Ilji, trochę zaskoczony żwawością killera. Do licha, czy on w ogóle był ranny?

Chybił. Nie, Wezyr miał rację... nie nadawał się do akcji. Minęły czasy, gdy major Szedczenko zabijał własnymi rękami.

Karamazow zareagował natychmiast. Przesunął się w bok, za drzewo, skulił się tam, oceniając sytuację. Szedczenko upadł na ziemię. Obok położył się Siemion, wysuwając rękę z pistoletem i próbując wycelować w killera. Z jego pukawką bliskiego ognia nie da się prowadzić takiej partyzantki... ale niech pohłasuje, stworzy przynajmniej złudzenie ognia.

Maria nadal stała, spoglądając na Wizarada. Chyba coś mówiła. Co z nią, czy ołów jej się nie ima? Powoli, jak w dręczącym koszmarze, Szedczenko wycelował w nią, i już wiedząc, że strzeli zbyt nisko, nacisnął spust.

Wizard patrzył na celującego w niego Karamazowa. Koniec. Ranna ręka płonęła bólem, jakby chciała zapoznać ciało z tym, co zaraz nastąpi.

Strzały uderzyły z boku. Krótka seria... i Karamazow skoczył, przywarł do pnia drzewa, błyskawicznie tracąc zainteresowanie Wizaradem. Twarz Marii drgnęła – tak krzywi się człowiek na widok irytującej, ale drobnej przeszkody.

– Dobrze – powiedziała półgłosem. – Ty i tak umierasz, staruszk. Twój lekarz mówił o wiośnie... to dobry człowiek. Arteria płucna zjedzona przez metastazy. Zaraz pęknie i zachłyśniesz się własną krwią. Zegnaj, staruszk. Twoja wiedza nie potrafi nawet leczyć.

– Nie wierzę – powiedział Wizard. Wszystko stało się głupie, nieważne. Karamazow, Maria, Wizytor, Szedczenko – wszyscy oni byli gdzieś daleko, bardzo daleko. Po tamtej stronie życia.

– Nie musisz wierzyć. Wystarczy, byś wiedział, że może się tak stać... prze...

Znowu szczęk wystrzału i oczy Marii rozszerzyły się. Zakręciło ją, chwyciła się za biodro, gdzie na porwanych błękitnych dżinsach rozpląwała się ciemna plama.

– Razem – powiedział Wizard. – Nie spodziewałaś się?

I wtedy pierś przebił ból. Wypuścił niepotrzebny pistolet z bezużyteczną trucizną w pociskach. Padł na kolana – niemal jednocześnie z Marią. Ale bez strachu. Szedczenko jednak usunął jedno z dwóch nieszczęść... usunął.

– Jednak się zdecydował – powiedziała Maria, patrząc na niego. – Wojak...

– Doigrałaś się? – Wizard chwiał się, próbując nie upaść. Ból w piersiach przygasł, ale zaczęła napływać słabość i ciężar, ciężar pod sercem.

Podbiegła do nich Anna. Obrzuciła Wizarą szalonym spojrzeniem, jakby zastanawiając się, czy to nie jego wina. Pochyliła się nad Marią, mamrocząc coś, całując jej twarz. Ojej... dziewczynko... jakże złamała cię dobroć...

Wizard upadł na wznak. Ile minut mu zostało? Pięć, dziesięć? A taką miał nadzieję, że zobaczy wiosnę...

– Kochasz mnie? – nawet nie pytanie, natarczywy krzyk, rozkaz w głosie Marii.

– Tak, tak, tak!

– Połóż rękę...

Wizard odwrócił głowę, popatrzył na leżącą obok dziewczynę. Z rany Marii, zaciśniętej ręką dziewczyny-prototypu, już nie płynęła krew.

Widocznie nie była w stanie uratować się sama. Ale tak... odbić swoją siłę w drugim człowieku... za wcześniej się ucieszył, stary optymista. Maria pochwyciła jego spojrzenie, mrugnęła i cicho spytała:

– Nie zmieniłeś zdania?

Wizard patrzył w niebo. Szarobłękitne, zasnuwane pajęczyną chmur. Jakże krótka była ta dobra pogoda...

* * *

Tylko ją ranił. Tylko ranił i to było straszne. Teraz trzeba będzie dobić, wykonać najstraszniejszą żołnierską robotę. Szedczenko widział, że staruszek upadł, chyba bez żadnej przyczyny, pewnie słowa Wysłanniczki Dobra były straszniejsze niż kule. Anna skoczyła do Marii, on odprowadził ją lufą, ale nie wystrzelił, czując palący wstyd.

Dziewczyna nie jest winna. Gdy Maria umrze, będzie miała szansę dojść do siebie. Na pewno będzie miała.

Zaświstały nad nim kule, wtulił się w pachnące, opadłe liście, jakby próbując wciągnąć głowę w kamizelkę kuloodporną. Sekunda przerwy i nowa seria. Nie w niego, lecz w próbującego wstać Siemiona. Wymienili krótkie spojrzenia – nic, obaj cali...

Karamazow strzelał z kilkusekundowymi przerwami. Krótkie serie, po trzy kule. Steczkin mimo wszystko to nie automat, mniej pocisków w magazynku...

Do licha, przecież on się wycofuje... albo osłania odwrót!

Szedczenko poderwał się, strach go opuścił, i pułkownik zdążył zobaczyć, jak dziewczyny znikają pośród drzew, uciekają, lekko, swobodnie, a w ruchach Marii nie ma nawet śladu kulenia. Karamazow też odchodził, trochę zostając w tyle. Ich spojrzenia spotkały się – i killer wystrzelił. To znowu przypominało sen – powietrze wokół gwizdało ze wszystkich stron jednocześnie, kule śpiewały, jakby Szedczenko stał pośród zaniepokojonego roju pszczoł...

Ale ani jedna go nie drasnęła.

Karamazow opuścił zachłystujący się automat i znikł w ślad za kobietami. Szedczenko powoli opuścił oczy, obejrzał się dokładnie. To niemożliwe. W gorączce walki czasem nie czuje się ran.

Ale on naprawdę był cały.

Siemion wstał, twarz miał brudną, chyba obejmował ziemię mocniej niż on. Tępo patrzył na Szedczenkę.

– Przecież ją pan postrzelił...

Nikołaj skinął głową.

– A tamtego ja zraniłem – powiedział Siemion z powątpiewaniem. – No to jak?

Szedczenko milczał. Patrzył na staruszkę rozciągniętą na trawie, na białe szczapki pod nogami.

Będą mieli gliniarze robotę – wydlubywanie pocisków z brzoź.

– Nie będę za nim leciał – powiedział po cichu Siemion. – Pan jak chce... ja mam żonę.

– Ja też nie będę – Szedczenko powoli szedł do Wizarada.

8

Niebo krążyło nad nim, niebo na niego czekało.

Znowu...

Jakże krótka droga wypadła mu tym razem.

Wizard usłyszał ostrożne kroki. Potem zobaczył Szedczenkę.

– Co ona panu zrobiła? – pułkownik chyba próbował mówić ze współczuciem. Kiepsko mu to wychodziło, ale Wizard był wdzięczny za tę próbę.

– Pomogła mi umrzeć... – w piersiach coś zbulgotało.

– Lekarze nie zdołają pana uratować? – Szedczenko pochylił się nad nim, zasłaniając niebo. To nic, nie na długo.

– Nie. Dziękuję.

– Dlaczego nie przyszedł pan do mnie i Hajretdinowa? Dlaczego? – W jego głosie był jednocześnie cień żalu i wyrzut... lekka, charakterystyczna dla wojskowych irytacja na tępych cywilów. Za Szedczenką majaczył jakiś blady, brudny chłopak z pistoletem. Pewnie ochroniarz...

– Ja mam swój alians...

– Chłopak? Ależ z pana dureń, profesorze.

– Zapewne... – zakaszał. Kaszel był inny, nie suche zrywy bólu w rozpadających się płucach, lecz męcząca próba wydalenia zalewającej je krwi. – Nikołaju... proszę pana... niech pan odejdzie.

– Dlaczego? Chłopiec jest gdzieś tutaj?

Wizard nie odpowiedział. Dlaczego Nikołaj mówił o dzieciach w liczbie pojedynczej?

– Nie sądzę, żeby to była słuszna decyzja – Szedczenko jakby podsumował własne rozmyślenia. – Nie sądzę.

– Pułkowniku, Ciemność i Światło zawarły przymierze. Wszystko się teraz zmieni... niech pan pomówi z Wezyrem. On powinien zrozumieć. Wszyscy musicie się połączyć. Wszyscy. Znajdźcie ich, a potem rozstrzygajcie między sobą.

– Jak ją zabić, Wizard? Z granatnika? Srebrną kulą? – zapytał Szedczenko z goryczą. – Widział pan przecież...

– Powiem... chłopcom... jeśli pan odejdzie.

– Chłopcu, nie chłopcom – niezrozumiale, ze złością powiedział Szedczenko.

Więc o to chodzi. On uważa, że Kiryła już nie ma... Wizard nie tłumaczył mu – nie było czasu.

Nikołaj obejrzał się, potem zapytał:

– Dlaczego?

– Powiedzmy tak... jako rekompensatę za to, co mógłbym zrobić. Oni wierzyli mi bardziej... niż na to zasługiwałem.

Przez chwilę Nikołaj patrzył mu w oczy, potem skinął głową.

– Idziemy, staruszk. Nie miej żalu.

Wizard nie odpowiedział. Brakowało mu sił. Nawet zamknął oczy, ale niebo i tak zostało nad nim, przeświecając przez powieki, wirując, przyzywając. Jeszcze chwilę... jeszcze chwilę poczekaj...

Wiedział, że minęło mniej niż pięć minut, nim jego twarzy dotknęła dziecięca ręka. Ale minuty wydawały się wiecznością. I w tej wieczności był tylko ból, ostatni podarunek odchodzącego życia. Tylko martwi nie czują bólu.

– Arkadiju Lwowiczu...

Wizard zmusił się do uniesienia powiek. Kirył i Wizytor... jakby dwoiło mu się w oczach.

– Odchodzę... – Poczul, że nie może oddychać, przekręcił się na bok, wycharkując krew. Kirył krzyknął cofając się, Wizytor przytrzymał staruszkę za ramiona, pomagając się wyprostować. – Dziękuję – wyszeptał Wizard.

– Dlaczego?

– Tak wyszło, mały. Wiedza jest martwa... bezsilna... nie ma w niej ratunku.

– Arkadiju Lwowiczu, nie trzeba tak...

Wizard uśmiechnął się. Jakie głupie bywają mimo wszystko dzieci. Jakby on tego chciał...

– Jeśli zwyciężycie, to jeszcze kiedyś wrócę. Żeby pospierać się z waszą prawdą. Tak wyszło...

Wizytor pokręcił głową, milczący brak zgody. Niech tam. Na świecie jest wiele prawd...

– Nie płacz, Kirył – powiedział Wizard. – Pamiętasz, jak mówiłeś... i przyjdzie dzień, ze snu obudzę się... gdy nastanie mój czas... gdy stanę się potrzebny...

– Co możemy zrobić? – zapytał Wizytor.

– Zwyciężyć. Zabić... dziewczynę.

– Jak? – twarz Wizytora nawet nie drgnęła.

– Nie wiem. Ona jest nietykalna... dopóki ją kochają, dopóki jej służą. Pożera cudzą miłość i siłę. Jest... niczym krzywe zwierciadło, w którym odbicia zostają, ale wykrzywione. Jest najgorszym złem... albowiem przyszła pod maską dobra.

– Arkadiju Lwowiczu...

– Pozbawcie ją miłości – wyszeptał Wizard. – Nie wiem jak. Ale dopóki ją kochają, dopóki prototyp w nią wierzy – ona zwycięża.

Kirył skinął głową przez łzy, albo rozumiejąc, albo próbując pokazać, że słucha.

– A teraz odejdźcie – poprosił Wizard. – Już pora... za siedem minut będzie tu milicja. Idźcie, cała dzielnica pełna jest milicji.

– A pan?

– Chłopcze, niech martwi chowają swoich martwych. Nie bój się o mnie, ja już prawie jestem tam.

Zamknął oczy, nie chciał widzieć, ale i tak wiedział, że Wizytor odciąga Kiryła, że chłopcy odchodzą. A niebo wirowało, schodząc coraz niżej. I jakby drwiąc z niego, siła, jego siła rosła coraz bardziej, sięgając zenitu, który odprawi go w bardzo daleką drogę. Zaczął widzieć to, co jeszcze się nie stało. Urywkami, rozbłyskami. Jego twarz wykrzywiało to grymas cierpienia, to uśmiech. Potem osiągnął szczyt.

Paradę allee.

Zamknięcie sezonu cyrkowego.

– Ścierwo... – wyszeptał, gdy zdołał pojąć, co dzieje się tam, w przyszłości.
W tym momencie niebo go dotknęło.

9

– Truciciel – powiedział Skicyn. – Ohydny i niemądry, trujesz mnie i siebie.

Wizytor zaciągnął się w milczeniu. Siedział na klatce schodowej obok brudnego zsypu.

Uśmiechnięty Skicyn stał obok, rękami podparł się pod boki i lekko się kołysał, niczym schodzący do lądowania sterowiec.

– No to idź, ja zaraz przyjdę – odpowiedział w końcu Sława.

– Dobra, wytrzymam... słuchaj, dlaczego wziąłeś się za horror?

– Ja się wziąłem?

– No, te wszystkie opowieści o dyktatorze...

Sława zgasił papierosa o betonową podłogę, zastanowił się sekundę, po czym wyjął drugiego.

– Nie bój się. To tylko tak... nocne bredzenie.

– Sława, po jakie licha przyjechałeś do Moskwy?

– Napić się z tobą wódki.

– Powód został przyjęty, ale jako drugoplanowy.

– Potrzęsnać wydawnictwami.

Skicyn z powątpiewaniem pokręcił głową.

– No, no... na ile wynająłeś mieszkanie?

– Na miesiąc.

– To znaczy, że masz zamiar długo tu sterczeć. Sława, nie jestem głupi. Zachowujesz się inaczej niż zwykle.

– Wiem. – Wizytor podniósł głowę, popatrzył na Skicyna. Pokusa była boleśnie paląca, sadystycznie przyjemna. „Stiopa, zadzwoń no do Ozierowa, zapytaj, czy teraz ze mną pije...”

– Stiopa, chodź, napijemy się jeszcze.

Stiepan wzruszył ramionami.

– Tylko pod warunkiem, że nigdzie nie pojedziesz. Przenocujesz u mnie.

– Nie.

Skicyn chwilę milczał.

– Dobrze. Jesteś dorosły, sam decydujesz, kiedy umierać.

Ozierow rył w „barze”. Trzy kartonowe pudła były wypełnione winem najróżniejszych gatunków.

– Tak...nie, tego nie będziemy pili. Nie warto. Po co ja to kupiłem? To prostackie... o, to będzie dobre.

Po chwili zastanowienia Ozierow odstawił jednak butelkę na miejsce.

– Wypijemy, jak wyjdzie twoja książka. Do tego wina potrzebny jest poważny powód...

– Mogę usiąść do twojego kompa?

– Aha – Timofiej w końcu znalazł w swojej kolekcji coś odpowiedniego. – Bastardo magaracz. Co ty na to?

– Super! – Jarosław wszedł do sieci. – Słuchaj, skorzystam z twojego adresu, dobrze?

– Dawaj, dawaj...

Jarosław włączył edytor tekstu. FidoNet. Amatorska sieć łączności komputerowej, stworzona dziesięć lat temu, objęła cały świat. Zasadniczo bezpłatna, żywiąca się entuzjazmem uczestników.

Ulubione miejsce kontaktów.

Co on chce napisać tym wszystkim ludziom, z którymi się przyjaźni, dyskutuje, kłóci w wirtualnym świecie elektronicznych etykietek? Tym, którzy znają jego książki, zanim pojawią się na rynku. Z piekącymi od wpatrywania się w ekran oczami spierają się z autorem, prawią komplementy albo złośliwie zauważają: „wcześniej pisałeś lepiej”... Kim są dla niego, bez wieku i twarzy, żyjący gdzieś w Twerze czy Abakanie, lubiący ten idiotyczny gatunek literatury, z którym on złączył się raz na zawsze?

„*To nie Timofiej Ozierow, to Jarek Żarow. Pozdrawiam wszystkich*”.

Po chwili wahania dodał jeszcze jedną linijkę.

„*Jestem zmęczony*”.

W przedpokoju zadzwonił dzwonek, Ozierow postawił butelkę i wyszedł. Jarosław dotknął klawiatury i zapisał ten krótki list.

Jednak nie przywykł do wódki.

Tak niedawno weszła do obiegu – trzy, cztery wizyty, dziesięć może dwanaście pokoleń temu...

„*Jestem bardzo zmęczony*” – wystukał na klawiaturze. Popatrzył, jak migoczą linijki na ekranie monitora ładującego jego list. Skicyn zakasłał za jego plecami.

– Słuchaj, mówię poważnie, nigdzie dzisiaj nie pojedziesz. Wiesz, co się teraz dzieje w Moskwie? Strzelanina za strzelaniną. Dzisiaj w ogrodzie botanicznym zastrzelili jakiegoś dziadka.

– Nie zastrzelili go, Stiopa – Wizytor wsunął rękę za połą marynarki i wyjął pistolet.

– Oho – Ozierow wziął broń. – Gazowy?

– Niestety.

– Oszalałeś? Kazachstańska licencja w Rosji jest nieważna.

– Wisi mi to. – Wizytor wziął broń, wstał. – Pójdę już, Stiepan.

– Nie radzę – Skicyn wydawał się zaniepokojony. – Co za nonsens, nocuj u mnie! Mama i siostra na działce, jaki to problem – pokręcił głową. – Wyprawiasz jakieś głupoty, Jarek.

– Wiem – Wizytor skinął głową. – Wszystko jest teraz głupie. Walka z durniami, przyjaźń z mądrymi, pisanie książek i leczenie ludzi – wszystko nie na czasie. Już nie na czasie.

– W takim razie co uważasz za słuszne?

Sława popatrzył w okno.

– Wziąć świat za gardło. Rzucić na kolana, żeby każdy zrozumiał, gdzie jego miejsce. I zagonić do przodu, ku szczęściu. Kopniakami.

Stiepan milczał, patrząc na niego. Cicho powiedział:

– Zachowujesz się tak, jakby właśnie objawił ci się anioł. I oznajmił, że Pan Bóg bierze urlop, a tobie powierza nadzór nad ludzkością.

– A jeśli nawet, co w tym strasznego?

– Nic. Po prostu weź pod uwagę, że kopać trzeba będzie również mój wielki tyłek. A mnie się bardzo nie podoba, gdy prowadzą mnie ku jasnej przyszłości.

Wizytor skinął głową.

– To mnie właśnie martwi. „Czym jest szczęście – każdy z nich rozumiał po swojemu”... Pójdę już, Stiepan.

– Odprowadzę cię do stacji – Skicyn odwrócił wzrok. – Jeśli naprawdę nie chcesz kontynuować posiadówki.

– Muszę coś napisać. Wybacz.

Czy mu się wydawało, czy to Wizytorzy już zdążyli tak nabałaganić w mieście? Jarosław jechał w

prawie pustym wagonie metra. Ludzie wydawali się zastraszeni. Jakby stracili wiarę nie tylko w jutro, ale nawet w następną godzinę.

Żarow chciał się dowiedzieć, jak skończyła się walka. Chciał usłyszeć złośliwy komentarz Sławy i zapaść w sen. Nieźle sobie posiedzieli. Zwłaszcza po tym, jak do Timy wpadł Pticyn z okrzykiem: „Gdzie mój ukochany pisarz?”. A Wołodin dał mu kuksańca pod żebra i powiedział: „Przyjechałeś, potworze...”

Fajny wieczór. Obgadali z dziesięciu kolegów po piórze, opłotkowali krótkowzrocznych wydawców i przygłupów z księgarń, z których delikatnie wyłączono obecnych.

Jarosław wyszedł z metra około północy. Pora szkodliwa dla zdrowia. Przywarł do małej grupki ludzi, podążających w tym samym kierunku, i doszedł z nimi prawie do samego domu. Zanurkował w słabo oświetloną klatkę schodową, szybko pokonał schody, otworzył drzwi.

Głupio byłoby dostać teraz w kark od jakiegoś napalonego małolata.

Paliło się światło. W całym mieszkaniu. W przedpokoju, w kuchni, w pokojach.

Było bardzo cicho. Zamknął drzwi.

– Sława!

Cisza.

Nie rozbierając się, wszedł do pokoju. Nikogo. Zapisana drobnym pismem kartka na stole, przyciśnięta walkmanem. Obok pistolet.

Jarosław usiadł przy stole. Wytrzeźwiał od razu, jakby wsadzono mu głowę pod strumień zimnej wody. Wziął kartkę, na której jego pismem napisane były cudze słowa.

Jarek!

Chyba obaj wiedzieliśmy, że to się stanie.

Prawda?

Przecież nie jesteś zdziwiony. Ty – to ja. Ale na twoje szczęście, ty żyjesz pierwszy i ostatni raz. Kiedyś, jeśli jeszcze coś będzie, wrócę już z częścią ciebie w duszy. Ale, ale – nie pochlebiaj sobie.

Ty żyjesz tylko raz.

To zawsze jest trudne – odejść. I mało który z nas, Wizy torów, jest do tego zdolny.

Jarosław wyciągnął z paczki papierosa, zapalił, nie odrywając spojrzenia od kartki.

Czas, Jarek, czas. On nie lubi tych, którzy umieją patrzeć w jutro. A jednak nas potrzebuje – tak wyszło. Czas to wielki zdrajca. Wielki oszust.

Po raz pierwszy złożyło się tak, że nie jesteśmy mu potrzebni.

Kiedy i gdzie się to stało, Jarek? Nie znam odpowiedzi – I boję się jej. Czym stał się twój wiek, skoro nie daje nadziei?

Rzadko byłem tak całkiem kiepski, Jarek. Oczywiście, byty wizyty, o których wolałbym nie pamiętać. Których boję się wspomnieć.

Czas to zdrajca, czas wybiera nam los...

A jednak, uwierz, nie jestem najgorszy z tych, którzy przyszli tym razem.

Choćby dlatego, że sam wychodzę Z gry.

Nie mów, że jestem zdrajcą. Po prostu jestem zmęczony. Po prostu w nic już nie wierzę. Zbyt wyraźnie zobaczyłem to, co już się nie zdarzy.

Nie chcę kłamać samemu sobie.

Moje – nasze – zwycięstwo stałoby się koszmarem. Tworzenie... tak, to zawsze było ryzyko. Nie

zwyczajne dobro, lecz krok poza wyznaczone ramy. I bardzo często byłem obcy, przedwczesny, straszny. Mówiłem o tym, co było niepotrzebne. Wyprzedzanie swojego czasu – to raczej piętno twórczości, jej motyw. Ale ja przynajmniej wierzyłem w siebie. I, przychodząc po raz kolejny, widziałem – świat przyjął mnie poprzedniego.

Tym razem wszystko jest nie tak. To w tym wieku wszystko jest nie tak. Trzecia wizyta w dwudziestym stuleciu – z nie zaryzykuję, nie podam swoich poprzednich imion. Dlaczego tak się stało, dlaczego wszystko zamieniło się miejscami, dobroć stała się podłością, a twórczość oszustwem? Tylko Ciemność jest niezmienna... ale my staliśmy się zbyt jej bliscy... nie wiem, nie wiem. Zbyt pospieszny wiek, zbyt dużo bólu. Zbyt wielka pokusa prostych rozwiązań i szybkich zwycięstw. Wrośliśmy w ten czas, w jego ból i rozpacz. Nie przekonamy nikogo do dobra – jeśli nie ma go w nas.

Ty nie zginiesz, jeśli będziesz się umiał przystosować. Beze mnie nie jesteś zagrożeniem dla innych Wysłanników. Przeciwnie – ewentualnym sprzymierzeńcem. Wybierz tego, który zwycięży, i służ mu. Nawet jeśli wybierzesz Ciemność, ona zejdzie tak powoli, że świat zdąży przywyknąć. A ty staniesz się jej nadwornym śpiewakiem, Jarek. Taki już nasz los – sprzedawać się.

Nic nowego.

Żegnaj.

Podpisu nie było. Nic więcej nie było.

Jarosław zgasił papierosa o blat stołu, wziął walkmana, założył słuchawki. Przewinął taśmę do tyłu. Cicho powiedział:

– Nie jesteś” zdrajcą, Sława...

Wiedział, gdzie ma iść, ale tak bardzo bolało. Taka beznadziejność. Taka samotność.

Co się z tobą stało, Wizytorze, tego dnia? Co ci powiedział Stiepan, co stało się na WDNCH, co zobaczyłeś po drodze? Jaki ból odbił się w twojej duszy, jeśli ona jest... była w Tobie...

To jak ty piszesz? Kłamię...

Nie, teraz go widzi. Siedzącego przy stole, pogwizdującego fałszywie jakąś melodię. Starannie dopisującego list, wahającego się, czy się nie podpisać. Ale pewnie dużo imion ległoby na papierze, znajomych i zapomnianych dawno temu, rosyjskich, angielskich, arabskich, żydowskich, chińskich; etykiety dusz, które znikły, pokonanych granic tego, co zwyczajne...

Jarosław włączył walkmana.

Ślepy czas ciemniejących luster

Mój oddech wody ogarnęły.

Wyszedł do przedpokoju. Zawahał się przed drzwiami do łazienki.

– Nie jesteś zdrajcą...

Tutaj też paliło się światło. Jasne i czyste.

Wizytor zawiązał sznur na rurze. Pewnie węzeł był pod samym sufitem, ale pod ciężarem ciała zsunął się, zdzierając łuski odpadającej farby. Teraz Wizytor niemal klęczał, oparty czołem o ścianę. Jedna ręka zwisała bezwładnie, druga chwyciła pętlę zaciskającą szyję. Jakby w ostatniej chwili Wysłannik Twórczości rozmyślił się...

– Nie jesteś zdrajcą – powtórzył Jarosław – po prostu jesteś tchórzem... zawsze byłeś tchórzem. Natarczywym, głośnym, energicznym tchórzem...

Nóż wziął z kuchni. Ostry, starannie naostrzony przez kogoś z poprzednich mieszkańców. Sznur

poddał się od razu, rozdarł, ledwie nacięty. Martwy Wizytor usiadł na podłodze. Oczy miał otwarte. Jakby do końca wpatrywał się... w co? I uśmiechał się. Kpiąco i triumfalnie.

– Tchórz – powtórzył Jarek. – Tchórz.

Na podłodze była tylko mała kałuża. Wizytor pewnie się wysikał, zanim stanął na brzegu wanny i założył pętlę. Przecież nie jest głupcem, ten Wysłannik Twórczości. Widywał samobójców: starał się, żeby Jarosław miał jak najmniej kłopotu.

Otworzenie żył w gorącej wodzie w wannie byłoby znacznie przyjemniejsze... Ale bez wątpienia znacznie brudniejsze.

Jarosław przykucnął, dotknął twarzy. Jeszcze ciepła. Spóźnił się minimalnie.

– Rozumiesz – odezwał się – to przecież nie jest wyjście. Nigdy nim nie było. Nic nie rozwiązywało. Czas, mówisz... czas jest winien... ale przecież to również ty go takim uczyniłeś...

Pokonując ciężką zasłonę północy,
Uchyliłem powieki, otworzyłem oczy.
I wówczas przez obłoków szkarłat ciemny
Zrozumiałem znaczenie snów tajemnych.

Przejrzałem. Ale wtedy nagle mnie olśniło,
Uświadomiłem sobie to, co we mnie było,
Swoją istotę, wychwalaną w przełamaniu chleba,
I krzyknąłem: Panie! Nie jestem godzien nieba!

Głos piosenkarza zagłuszał wszystko. Jakby Żarów mówił w pustkę, w obłok waty. Jarosław ściągnął słuchawki, położył grającego walkmana na ciele.

– To też twoja robota, Wizytorze – powiedział. – Trzeba się bardzo postarać, żeby śmierć stała się pieśnią... mówić, że świat jest zły, a my jesteśmy błotem – to takie łatwe i prawdziwe. Ale przedtem nie szukałeś piękna w śmierci. Nie szukałeś ratunku w ślepych uliczkach.

Wizytor uśmiechał się, patrząc poprzez niego. Uciekł od wyrzutów i sporów. Zostawił go, żeby szukał wyjścia sam.

Wskazał jedną z dróg.

– Nie – powiedział Jarosław. – Mimo wszystko nie.

W przedpokoju krótko zaśpiewał dzwonek.

10

– Komandos – Wezyr kroczył po gabinecie, zakładając lewą rękę za plecy, mówił krótko, urywanie, jakby szczekał. – Rambo... Towarzysz Hajretdinow powierzył ci operację, która przełamałaby równowagę sił. Na naszą korzyść.

Szedczenko miał wrażenie, że świat wokół niego płynie.

Czy to, co się działo, było realne?

Stare ściany, stare meble, wszystko wokół niczym dekoracje do filmu z czasów drugiej wojny.

– Co powinien być zrobić towarzysz Szedczenko w zaistniałej sytuacji? – Hajretdinow wyciągnął z kieszeni papierośnicę, wyjął papierosa bez filtra.

Nikołaj nawet się nie zdziwił. „Hercegowina Flor”...

– Towarzysz Szedczenko powinien być skupić się na głównym przeciwniku. Zabójcy. Odciąć go

ogniem. Rozkazać Pieczkinowi podejść do niego bliżej...

– Raszidzie Gulamowiczu... – Siemion wstał z kanapy. Chłopak był wyprostowany jak struna, twarz lekko mu pobladła. – To nie należy do obowiązków ochroniarza...

– Siadajcie. Siadajcie, towarzyszu Pieczkin. Z wami porozmawiam później.

Siemionowi zaszklily się oczy. Powoli opadł na kanapę.

– Ale... – Wezyr zapalił – towarzyszu Szedczenko wołał strzelić do dziewczyny. Naprawianie swoich błędów – bardzo chwalebne. Ale... czy ona była w tym momencie bezpośrednim zagrożeniem?

– Ona coś zrobiła ze starcem, Raszid.

Wezyr podrzucił głowę, przyglądając się Nikołajowi.

– W jaki sposób groziło to nam? Owszem, gdyby Wizard właściwie ocenił sytuację, uznał swoją pomyłkę, stanął po naszej stronie, bronienie go miałoby sens. Ale tak się przecież nie stało. Czy dobrze mówię, towarzyszu Szedczenko?

Nikołaj skinął głową. Wszystko się zgadzało. Księżyc zrobiony jest z żółtego sera, a ziemia z kaszy manny. Na zewnątrz jest rok czterdziesty pierwszy i czołgi Guderiana rwą do Moskwy. Zaraz Hajretdinow pokręci głową i powie: „Lawrentiju Pawłowiczu, proszę zwrócić uwagę...” W kącie błysną binokle...

– Nikołaju Iwanowiczu, jak można popełniać podobne błędy?

– Nie dopuszczałem myśli, że kule nie mogą zrobić jej krzywdy.

– Powinien był pan dopuszczać! Miał pan obowiązek dopuszczać! I że ona umie latać, i że wasze kule zrobione są z łajna.

Hajretdinow westchnął, usiadł przy biurku. Zapytał:

– I co ma teraz zrobić towarzyszu Hajretdinow? Osobiście rzucić się w pogoń?

– Krwią odkupię swoją winę...

Czy naprawdę on to powiedział? Cholera? On, który nigdy nie oglądał się na dowództwo i dlatego ciągle był pułkownikiem, a nie kolejnym ukraińskim generałem. Skąd, z jakich otchłani wypłynęły te słowa... pięćdziesiąt lat – czy to mało? Pokolenia – czy to nie dystans? Czy to on tu stoi, czy jego dziad, który do śmierci był dumny, że widział towarzysza Stalina?

Hajretdinow potarł twarz. Zdumiony popatrzył na swoją lewą rękę. Potrząsnął głową.

– Dobrze, nieważne – powiedział innym już tonem. – Za późno na dyskusje... Siemion!

Pieczkin zerwał się. Ciągle na baczność, w oczach szkło...

– Idźcie, odpocznijcie... zrobiliście wszystko, co było można. Jestem z was dumny.

Siemion otworzył usta, jakby chciał coś krzyknąć – „ku chwale ojczyzny” na przykład... Szedczenko skrzywił się – tylko nie to.

– Dosyć – powiedział ostro Hajretdinow. – O tym, co się stało, nikomu ani słowa. Możecie odejść, poruczniku.

– Rzeczywiście jest porucznikiem? – zapytał Szedczenko, gdy Pieczkin wyszedł.

– Nie wiedział pan? Wódz... tak. Wyrzucili go z armii, redukcja. Rok chłopak służył.

Hajretdinow opuścił głowę, poruszył szczęką, zataczając krąg gasnącym papierosem.

– Co zrobimy, Kola?

– Pan decyduje...

– Wiem, że ja – Hajretdinow nie podnosił wzroku.

– I co pan zrobił z chłopakiem?

Hajretdinow skrzywił się, niechętnie odpowiedział:

– Złamałem go. Przypadkiem. To się szybko dzieje z wojskowymi. Wystarczy, że poczują Władzę.

– Pan naprawdę był nim – wyszeptał Szedczenko.

– Byłem. Nie osądzaj mnie tylko, Kola. Towarzysza Stalina łatwo osądzać. On chciał dobrze.

Ziemia – jak ogród. Naród – radziecki, język – rosyjski. Chuligani rąbią las, ludzie uczciwi pracują, a potem wypoczywają nad Morzem Czarnym. Dajmy spokój... Narąbał towarzysz Stalin drew. Miał problemy z głową... ale Władzę, Władzę – znał!

Hajretdinow wstał, podszedł do Szedczenki, krótko, ostro polecił:

– Zapomnij wszystko, co mówiłem. Głupota. Inne czasy, inne metody. Gdzie raniłeś sukę?

– W biodro.

– Ile czasu zajęło jej uratowanie się?

– Dziesięć, dwanaście sekund. Ale to nie ona, to druga dziewczyna postawiła ją na nogi.

– Wysłanniczka po prostu odbiła w niej swoją siłę. Ech, jak się wszystko komplikuje...

– I jak ją zabić?

– Wsadzić jak najwięcej kuł. Żeby ją rozerwało na kawałki. Albo pozbawić siły. To jest najpewniejsze.

– Jak?

– To już mój problem – zrozumieć jak. Dobrze chociaż, że uciekliście. Nie daj Boże, żeby was dorwali ci ze specnazu... Chcesz coś obejrzeć?

Hajretdinow podszedł do biurka, z hukiem wysunął szufladę, rzucił Szedczence złożoną we czworo kartkę.

– Proszę!

Nikołaj rozłożył ją i drgnął.

Skąpymi, czarnymi kreskami narysowany był jego portret.

– I to mieli pokazywać dziś w telewizji! I to mieli dać każdemu psu! Anie tego... degenerata z wykrzywioną szczęką...

Szedczenko milczał.

– Spaliłeś się kapitalnie – powiedział mściwie Wezyr. – Wiesz, ile mnie kosztował ten portret? Dokładnie tyle, ile rok temu etiuda Riepina!

Wyrwał kartkę z rąk Szedczenki, podszedł do kominka, zgniótł, rzucił w ogień.

– Odpręż się, żołnierzu... przeszło bokiem. Pokazywałem ci swoją kolekcję?

– Jaką? – zapytał cicho Szedczenko.

– Etiudy mistrzów. Zbieranie obrazów... tym niech się zajmują nowi Rosjanie... czego w nich szukać, są zakończone... A szkice, etiudy... zobaczyć, co mistrz chciał zrobić ze swoim płótnem... to naprawdę ciekawe. Mam prawie sto szkiców. Riepin, Iwanów, Szyszkin, Kramskoj...

– Z zasady zbiera pan tylko rosyjskich malarzy? – zapytał Szedczenko.

– A w jakim kraju żyję, Kola? Jest takie słowo: patriotyzm! – Hajretdinow odwrócił się od kominka. – Dobrze. Nosił wilk razy kilka... nie martw się. Minus Wizard. Już nieźle. I minus Kirył, prawdopodobnie... chcesz hwanczkary?

Szedczenko wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc, nigdy nie próbowałem.

– Ej... dużo straciłeś. Więcej dostaniesz. – Hajretdinow pochylił się nad stołem. – Za zdrowie i za spokój duszy. Nie martw się, żołnierzu. Na pohybel naszym wrogom!

której przecież autor nie dążył. Przykladać to, co powiedziano z całkiem innego powodu i w innym czasie, do naszego dnia.

Plakat nad drzwiami wagonu głosił: „Czego nie należy robić, tego nie rób nawet w myślach. Epiktet”.

Kim był Epiktet, Kirył nie wiedział. Jakiś starożytny Grek... gdyby znalazł się w metrze, pewnie straciłby cały swój filozoficzny spokój i rzucił się z krzykiem do ucieczki. Pewnie by pomyślał, że trafił do piekła.

Ale za to w historii z Wizytorami pewnie by uwierzył. Starożytni bogowie lubili pożartować z ludźmi.

Czego nie należy robić...

– Wiz. Czy można nie myśleć o tym, o czym myśleć nie należy?

– Można – powiedział obojętnie Wizytor. – Ja nic innego nie robię.

– To znaczy?

– Nie myślę.

Kirył mimo woli zachichotał.

– Kirył, jesteś pewien, że dobrze robimy? – zapytał Wizytor.

– O czym mówisz?

– O kim. O pisarzu.

Nie od razu odpowiedział.

– Nie wiem. Ale przecież mnie wypuścił.

– To mogło być takie posuniecie. Widzisz, Wysłannik Twórczości odgaduje nasze działania. Widzi je, jak obrazki. Jeśli wszystko zobaczył, to wypuścił cię specjalnie. Żebyśmy sami wpadli w pułapkę.

Kirył poczuł dreszcz.

– Wiz, mamy inne wyjście?

– Tak. Hajretdinow. Władza. Ale on nie potrzebuje wariantów. On jest taki... okrutny z konieczności. Ciebie by chronił. Pewnie chciałby z kimś szczerze pogadać. Ale ja jestem dla niego konkurentem.

– W takim razie nie mamy innego wyjścia.

– Dziękuję – powiedział poważnie Wizytor. – Ale... mimo wszystko pamiętaj o tym.

Jechali do Żarowa i jego sobowtóra. Cały dzień włóczyli się po mieście, wymyślili i odrzucili górę planów, jak wystawić milicji zabójcę i kobietę. Można było zadzwonić i podać nazwiska – teraz pewnie uwierzyliby nawet w telefon od dziecka. Był tylko jeden problem – gdyby tamtych rzeczywiście aresztowali, gdyby powiązali strzelaninę w metrze i na WDNCH z Kiryłem Korsakowem, to i jego zaczęliby szukać na poważnie.

O tym, że nie mogą dać się złapać, wiedzieli obaj.

Nie wierzyć. Nie dopuszczać nawet w myślach niczego nieodwracalnego...

W wagonie jechała grupa nastolatków. Nie wyglądali na chuliganów, ale co rusz na nich popatrywali. I po co się włóczą po nocy, chyba mają gdzie wrócić... Kirył odetchnął z ulgą, gdy wreszcie wysiedli we Władykinie.

Dziwne, przedtem Kirył nigdy nie bał się na ulicach. Nawet późno wieczorem, nawet z dala od domu. Pewnie dlatego, że wtedy miał dom.

– Pamiętasz drogę? – zapytał Wizytor.

– Czyżbyś nie umiał trafić?

– Umiałbym. Ale musiałbym długo szukać. Nie chcę.

Popatrzyli na siebie ze zrozumieniem. Wizytor czuł to samo co on.

Też bał się nie tylko konkurentów, ale i ludzi.

– Pamiętasz, jak kiedyś oglądaliśmy jakiś amerykański horror, gdzie chłopaka gonił manekin? – zapytał Kirył. – Z ludźmi z „Nawigatora”. Wiesnin potem powiedział, że ciekawie by było popatrzeć na tego chłopaka dwa lata później, zobaczyć, czy nie zwariował.

– Nie, było inaczej – poprawił Wizytor. – On powiedział: „Ciekawe, jak bardzo chłopak zwariował”... Trzeba będzie zadzwonić do Wali. Pewnie się martwi.

Kirył skinął głową. Zawahał się chwilę, po czym zapytał:

– Jak myślisz, ile osób się o nas martwi?

– Z dziesięć – odpowiedział Wizytor bez zastanowienia. – Sługin na przykład. Ale nie tylko o nas, jeszcze się denerwuje pistoletem. Sam się sobie dziwi, po co się w to wplątał. No, Wala, jeszcze ktoś z „Nawigatorów”. Sąsiadka, Olga Pawłowna.

– Tak?

– Aha. Tylko ona denerwuje się tak... po swojemu. Dzwoni do swoich przyjaciółek staruszek, opowiada różne rzeczy. Zapewnia je, że już dawno jacyś bandyci sprzedali cię do Stanów, żeby twoje serce i nerki oddać milionerom.

Kirył wzdrygnął się.

– Przestań...

– Dlaczego? Tak jest. Oczywiście, żal jej ciebie. Taki grzeczny chłopczyk, a związał się z bandytami... ale byłoby ciekawiej, gdyby rzeczywiście stało ci się coś strasznego. Wtedy można by obwiniać cały świat, od prezydenta i milicji do dozorców, ale ona nawet przed sobą się do tego nie przyznaje. To dobra staruszka... Chodź, Kirył.

Wyszli z metra wraz z ostatnimi pasażerami. Rano, uciekając od pisarza, Kirył trochę błędził, teraz łatwiej było znaleźć drogę.

– Jeśli nas zabiją, to jesteś głupi – powiedział Wizytor, gdy podchodzili do domu. Niby żartował, ale mówił to zbyt głośno.

Kirył skinął głową.

– Umowa stoi.

Na klatce było jasno, żarówki wprawdzie słabe, ale paliły się na każdym piętrze. Pod drzwiami popatrzyli na siebie. W mieszkaniu było cicho... może tam nikogo nie ma? Za to u sąsiadów puszczała rocka z taką energią, jakby gospodarze postanowili koniecznie ogłuchnąć do rana.

– Dzwon. – Wizytor wsunął rękę do kieszeni. – No...

Kirył dotknął przycisku. Dzwonek zajęczał cienko. Odczekali z minutę, ale za drzwiami nadal panowała cisza. Wizytor odsunął Kiryła, nacisnął na dzwonek sam, długo i natrętnie, potem z krótkimi przerwami. Tak Kirył dzwonił do siebie do domu, gdy wracał zimą zmarznięty, bez klucza.

– Jak się pospieszymy, zdążymy dojechać do Wali... – powiedział Wizytor. – Albo i nie zdążymy... Jest tutaj strych?

Kirył nie miał zamiaru nocować na strychu. Nie dlatego, że bał się ciemności, zimna czy bezdomnych. Po prostu to już byłby koniec. Granica, za którą nie można być takim jak przedtem.

Samotność.

Znowu zadzwonił, czując rozpacz. Cisza i pustka – to nawet gorsze od strachu, gorsze od wrogów. Z nimi nie można walczyć. Jakie to głupie... cały wieczór spierali się, czy jechać do pisarza, czy można mu zaufać, a nie pomyśleli o najstraszniejszym.

O żalonym, jak skomlenie psa, dźwięku dzwonka w pustym mieszkaniu...

Pospieszne kroki. Szczęk zamka.

Drzwi się otworzyły.

Chłopiec, który dzwonił do drzwi, to był Kirył.

Chłopiec stojący za jego plecami był Wizytorem.

Jarosław otworzył, nie zastanawiając się nawet, kogo zobaczy. Nie spojrzał przez wizjer.

Z jakiegoś powodu miał wrażenie, że przyszedł Wysłannik Ciemności. Na pewno czarujący, wysportowany, młody...

O oczach w kolorze płynnego ołowiu.

– Wejdźcie – Żarow odsunął się.

Kirył wszedł od razu, Wizytor sekundę dreptał na progu. Zamknął za sobą drzwi, popatrzył Jarosławowi w oczy. Powoli podniósł rękę i przekręcił zamek.

– A gdzie Władca? – spytał Żarow.

– Zabili go. – Wizytor nadal nie odrywał od niego spojrzenia. Lewą rękę trzymał w kieszeni.

Jarosław skinął głową. Ani odrobiny zdumienia.

Kpili z siebie, obrzucali błotem wzajemne zwycięstwa, ale ich bliskość była niewątpliwa. Wiedza i Twórczość.

Intelektualne odpadki życia.

Powiązane niewidoczną wspólnotą.

– Jeśli przyszedłeś strzelać, strzelaj – powiedział Jarosław. – Albo wyjmij rękę z kieszeni.

Dostanę nerwicy.

Wizytor wyjął rękę i podał mu.

– Dobry wieczór.

Żarow w milczeniu skinął głową. Bardzo dobry wieczór, nie ma co.

Cudowny.

– Jest pan chory? – zapytał Kirył. – Ma pan takie oczy...

– Po prostu jestem pijany.

Kirył z powątpiewaniem pokręcił głową.

– Byłem pijany – poprawił się Żarow. – Chodźmy.

Wszedł do pokoju, usiadł na nie pościelonej kanapie. Chłopcy stali w przedpokoju, patrząc na siebie.

– Jarosławie Siergiejewiczu... – Wizytor najwidoczniej postanowił wziąć rozmowę na siebie. – Chcemy omówić alians...

– Alians... – powtórzył w zadumie Żarow. – Tak.

– My... – Wizytor wszedł do pokoju, rozejrzał się szybko – my rozumiemy, że pan specjalnie wypuścił rano Kiryła. Ale i tak nie mamy innego wyjścia.

Jarosław podniósł głowę. Początkowo nie zrozumiał.

Potem poczuł rozbawienie.

Odchodzisz bez pożegnania...

No tak, czego można się spodziewać po człowieku, którego zawodem jest kłamanie. Żonglowanie barwnymi girlandami słów.

Tak, rano wymyślił piękne posunięcie. Prowokacja. Wypuścić drugoplanowego przeciwnika, żeby przyciągnąć ważniejszego.

– Ale jednak omówmy możliwość współpracy, choćby tymczasowej.

Wizytorowi z pewnością wydawało się, że jest teraz dorosły i poważny. Godny partner dla

dorośli Wysłanników.

– Mówię poważnie – w głosie Wizytora drgnęła żałosna nutka. – Omówmy...

Znowu wsunął ręce do kieszeni, ale pospiesznie je wyjął i założył za plecy. Tak bardzo chciał zrobić dobre wrażenie.

Do pokoju wszedł Kirił. W milczeniu ominął Wizytora, stanął przed Żarowem.

– Wierzysz, że zwaбіłem was w pułapkę? – zapytał Jarosław.

Kirił niezdecydowanie pokręcił głową.

– Prawie nie wierze.

– Dziękuje.

– To Sława... pewnie o tym myślał. Jest tutaj?

– Tak, w łazience – to było takie samo kłamstwo, jakby powiedział, że go nie ma, ale Jarosławowi bardziej podobała się twierdząca odpowiedź.

Chłopiec zapytał z potępieniem:

– Jeśli on zechce nas zabić, przeszkodzi mu pan?

Żarow pokręcił głową. W piersi zakłuła zimna tępa igła. Dziwne, na co jak na co, ale na serce nie skarżył się nigdy.

– On już nie zechce, chłopcy.

– Skąd pan wie? – zapytał ostro Wizytor. – Wczoraj wieczorem kłamał!

– A dzisiaj wieczorem się zabił.

Żarow nie odrywał spojrzenia od Wizytora, dopóki chłopak nie opuścił oczu, uwierzył. Przycisnął dłonie do twarzy. Palce jak lód, a tętno biło jak po biegu.

Znacznie bardziej utalentowany, cynicznie uczciwszy był Sława. Ze wszystkimi swoimi wymyślono-prawdziwymi istnieniami... rysunkami naskalnymi i średniowiecznymi freskami, z pieśniami na lutnię i fugami organowymi, które stworzył, mrocznymi soborami i wspaniałymi pałacami, które zbudował, ze zmurszałymi manuskryptami i opasłymi księgami, które napisał.

Całe zło i całe dobro, które było w Wizytorze... do licha z tym! On był nim. On wiedział o nim wszystko.

Nikt i nigdy nie da rady przedrzeć się przez zakamarki jego duszy tak, jak mógł on. Zresztą, Jarosław nie wpuściłby nikogo. Tylko Sławę – który był nim.

Ale w jakimś ciemnym zakamarku duszy, pośród połamanych krzesel i rozbitych jego kopii, Wizytor zobaczył zakurzone lustro, czekające na jego dłoń. Starł pył, zapalił świecę i długo patrzył na odbicie.

A potem zabił to, co mógł przynieść światu. Jedyńm dostępnym mu sposobem.

– Proszę, niech pan nie płacze – Kirił usiadł obok, zaglądając mu w twarz. – Przecież jest pan dorosły.

– Chcesz powiedzieć, że widzisz łzy? – zapytał Jarosław.

– A czy to konieczne?

13

Dobrze pracowała Wysłanniczka Dobra. Profesjonalnie.

Wyciągnęła ich z ogrodu. Ilja i Anna czekali z boku, gdy Maria łapała samochód. Uśmiechała się chwilę do kierowcy starego żiguli, powiedziała coś i już machnęła im ręką, wesoła i pewna siebie.

– Am! – rzucił Karamazow do Anny, która patrzyła na niego przestraszona... i jak taka piękna Wysłanniczka może mieć taki bezbarwny prototyp? Anna wzdrygnęła się, jakby się naprawdę

spodziewała, że Ilja ją ugryzie.

Kierowca samochodu, starszy człowiek, łysawy, najwyraźniej został złamany. W ciągu kilku sekund. Obrzucił spojrzeniem zakrwawionych pasażerów i przestraszoną Annę tak szczęśliwym, błogim spojrzeniem, że Ilja zapragnął dać mu w mordę.

– Spotkał cię wielki zaszczyt, możesz uratować niewinnych – powiedziała Maria. – Bądź godzien. Do „Budapesztu”.

Dobrze sobie żyją dziewczynki... Ilja mrugnął do Anny, ta znowu się wzdrygnęła.

– Aneczko, daj mi swój płaszcz – odezwała się Maria z przedniego siedzenia. – Muszę zasłonić ranę.

– A co ja mam zrobić? – Ilja dotknął poszarpanej dziury w rękawie.

Na skórze już pojawiła się blizna w kształcie gwiazdy.

– Wymyśl coś. Nie jesteś dzieckiem.

Karamazow odwrócił rękę i przycisnął do piersi dziwnym, ale niezbyt podejrzanym gestem. Teraz dziury w płaszczu nie było widać.

– Wymyśliłem – powiedział bez entuzjazmu. – Bydlaki... taki dobry płaszcz i kupiłem niedrogo...

Maria zaśmiała się cicho i Ilja drgnął.

Wszystkie sobie drwią...

– Cóż znaczą dla nas te szmatki? – Maria odwróciła się do kierowcy, poklepała go po ramieniu. – Cóż znaczą?

Kierowca z gotowością oderwał wzrok od drogi, uśmiechnął się bezmyślnie.

– Prowadź – rzuciła wzgardliwie Maria.

Dojechali do hotelu bez przygód. Kierowca zaparkował zawadiacko pośród mercedesów i bmw i odwrócił się do Marii, czekając na polecenia.

– Nie można go wypuszczać – powiedział pochmurnie Ilja.

– Nie denerwuj się, idźcie.

Dogoniła ich bardzo szybko, rozmowa z kierowcą była krótka. Żiguli z piskiem wyskoczył z parkingu. W ten sposób daleko nie zajedzie...

Ilja poczuł lekką zawiść. Wysłanniczka Dobra pracowała czysto.

Gdy Maria okazywała przepustkę, ochroniarze zerkali na Karamazowa, ale bez szczególnej podejrzliwości. Ilja niczego innego się nie spodziewał.

Ciemność go chroniła. Bez względu na wszystko. Gdyby i na WDNCH nie spasowała...

Apartament, który zajmowały dziewczyny, robił spore wrażenie. Ilja szybko przeszedł się po pokojach, badając teren, jak zawsze w nieznanym pomieszczeniu. Wrócił do pokoju gościnnego, w którym Anna stała przed Marią, mamrocząc jak uczennica, która coś przeskrobała...

– Masza... nie chciałam cię obrazić...

– Głupia dziewczynka – rzuciła z irytacją Maria. Popatrzyła na Uje. – No i jak?

Karamazow wzruszył ramionami.

– Ładnie mieszkacie.

– Normalnie.

Maria podeszła do niego i złapała za kłapy marynarki.

– Nie denerwuj się.

– Nie denerwuję się.

– Teraz już wszystko dobrze. Jesteś ze mną. Zostało ci wybaczone.

Karamazow skrzywił się. Nie potrzebuje żadnego wybaczenia.

– Jak twoja ręka?

– Boli. A jak twoja noga?

Maria uśmiechnęła się.

– Też boli. Ale to drobiazg – teraz.

Anna patrzyła na nich w milczeniu, z obłędem w oczach. Ilja odwrócił się. Po jakie лихо Maria cacka się z prototypem?

– Muszę iść. Mieszkam daleko, muszę jeszcze dojechać pociągiem.

– Ilja! – Maria odrobinę się odsunęła. – Nie musisz nigdzie iść!

– Nie mogę zostać i z wami nocować – powiedział tępo.

Maria pokręciła głową.

– Dlaczego? Ilja, Ilja...

Zmierzwiała mu włosy.

– Potrzebuję cię. Ty potrzebujesz mnie. Od tej chwili jesteś czysty, bracie mój. Przyniesiemy światu prawdę – razem. Potrzebuję... ciebie.

Karamazow zrozumiał. Wszystko, czego nie powiedziała. Wszystko, co obiecała.

– Ty... prosisz niewłaściwego człowieka – cofnął się o krok. – Przecież mówiłem... nigdy... nie mogłem!

...śmiech... śmiech. To ona się z niego śmieje – sprzedajna suka! Pieprzyła się z całą klasą, każdemu dawała, a z niego się śmieje! Najmniejszy członek, jaki widziała...

Na zawsze – jak piętno. Nedorobiony, niepełnowartościowy.

Impotent...

Żadna kobieta nie zechce iść z nim do łóżka.

Żadna...

– Bracie mój – ręce Marii przesuwają się po jego ciele. – Znałeś tylko złość i kpiny... ja daję ci miłość... nie bój się.

Rozbierała go – i Karamazow stał posłusznie, łykając powietrze.

Niczego, niczego nie zmieni... niczego. Zaraz zobaczy i też zacznie chichotać...

Zawrzała w nim żądza, która jeszcze nigdy nie znalazła normalnego ujścia. Członek stanął, ale i tak był malutki, niedobry, niedorobiony...

Ilja próbował wczepić się w slipki, gdy Maria zaczęła je z niego zdejmować. Ale gdzieś w środku poruszyła się Ciemność i szepnęła – pozwól...

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała Maria.

Nie śmiała się.

Karamazow przyciągnął Wysłanniczkę Dobra do siebie. Rozdzierał jej bluzkę, wbijając zęby w pierś, całując, a może gryząc.

– Weź mnie, weź mnie – Maria wygięła się, ściągając zakrwawione dzinsy. – Daj mi swoją siłę...

Anna stała nieruchomo, patrząc na niego, i w tym było jeszcze więcej rozkoszy, ekstazy, zachwyty; wiedzieć, że cię widzą nagiego i nie śmieją się, przeciwnie, boją, a twarz Anny jest taka żałosna jak twarze małych dziewczynek na zdjęciach pornograficznych. Ilja krzyknął powalając Marię na podłogę, nie odrywając spojrzenia od Anny. Obie... gdyby można było wziąć obie – naraz...

– Siostro! – krzyknęła Maria namiętnie, przywołujące. – Siostro!

Anna podeszła do nich, posłuszna, bezwolna... To dobrze, że ona też tu jest, z jej twarzą dziecka i ciałem dorosłej kobiety...

Maria pomogła mu wejść i okazało się to takie proste, a on zawsze bał się tego momentu, nie potrafił go sobie nawet wyobrazić, jak słodko...

Wyprężył się, chwytając rękę Anny, wchłaniając w siebie strach tłukący się w jej oczach, a

rozkosz już sięgnęła zenitu, zawrzała i runęła.

Bezwolnie opadł na ciało kobiety. Maria kręciła głową i cicho, bezgłośnie się śmiała.

Ale Ilja nie bał się już śmiechu.

14

Za nic nie poprosiłby o pomoc. Tym bardziej dzieci. W samej myśli było coś wstrętnego i nikczemnego.

Wizytor wszedł do łazienki, kiedy Jarosław podnosił ciężkie ciało.

– Pomóc?

– Wyjdź! – prawie krzyknął Żarow.

– Niech się pan nie boi, mam mocne nerwy – Wizytor zacisnął usta.

Jarosław już miał powiedzieć, że nie tylko o to chodzi i że bardziej niż mdlejący chłopak niepokoi go fakt, iż ktoś będzie patrzył na jego pogrzeb, ale się rozmyślił.

– Potrzyмай za nogi – poprosił ze złością. Wizytor lekko pobladł, ale posłuchał.

We dwóch przerzucili ciało do wanny i nie umawiając się, jednocześnie podeszli do umywalki.

– Umyj się! – Jarosław zerwał z haczyka ręcznik, narzucił na twarz nieboszczyka, odszedł. Wizytor starannie mył dłonie. – Będziemy się musieli obywać bez prysznica.

– Jest zimno, ale jutro albo pojutrze będziemy się musieli obejść również bez sedesu – powiedział ochryple Wizytor. – Szkoda, że toaleta i łazienka są razem.

Jarosław drgnął. Znowu zapragnął zerwać się, skrzyczeć, opieprzyć chłopaka. W porę zrozumiał, że cały ten rozsądny cynizm to tylko żalosna obrona.

– I tak musimy stąd odejść. – Żarow oderwał spojrzenie od ciała. – Wiz, co się z wami dzieje po śmierci?

– Skąd mam wiedzieć? Pewnie to, co z każdym.

– A w czasie poprzednich przyjsć?

– Nie było żadnych poprzednich przyjsć! – głos Wizytora załamał się. – Nie było, to wymysł!

– Dobrze, uspokój się – powiedział zmęczony Jarosław. Tak. Wygodne by to było, gdyby Wizytorzy znikali po śmierci... albo chociaż rozkładali się w mgnieniu oka.

I zabijałoby się ich łatwiej – jako jawnych nieludzi...

Wiz poczekał, aż on się umyje, i razem wyszli. Kirył stał w kuchni przy oknie, milczący i żalony. Popatrzył na Żarowa, niby bez strachu, ale...

Czym stanie się świat bez zaufania?

Czym stanie się świat bez nadziei?

– Chodź, Kirył. – Wizytor zatrzymał się przy drzwiach, wyjaśnił: – Boi się sam wejść.

Jarosław wszedł do kuchni. Otworzył lodówkę, zaczął wyjmować jedzenie.

To pewnie też było cyniczne – jeść kolację, gdy obok, za cienką ścianką leży jego własny trup.

Pokroił chleb i kielbasę, otworzył puszkę szprotek. Chłopcy wyszli z łazienki. Kirył był blady, ale w sumie nieźle się trzymał. Żarow zarejestrował, że ani Wiz, ani Kirył nie gasili w łazience światła...

– Zjecie kolację? – zapytał.

Kirył na moment zamknął oczy, przełknął ślinę.

– Tak.

Jarosław postawił czajnik na kuchence, wyjął ostatnią fantę i puszkę piwa. Wizytor skinął głową, jakby pytano go o pozwolenie.

– Niech pan pije, my rozumiemy.

– Opowiedz, jak to było. – Żarow napił się piwa. Smakowało jak lemoniada. Do diabła z tym wszystkim, kaca i tak ma zagwarantowanego. Albo przeciwnie, kac mu nie grozi – organizm pewno zachłystuje się adrenaliną. Jarosław wyjął resztkę wódki. Dla jednego wystarczy.

– Wizard zastanawiał się, czy warto iść na Wystawę... – Wizytorowi udawało się pochłaniać kanapkę i mówić jednocześnie, jak umieją tylko dzieci. – A jednak postanowiliśmy...

Jarosław słuchał, patrząc na Kiryła. Chłopiec wyglądał na zgnębionego. Dlaczego? Przecież Sława naprawdę był dla nich niebezpieczny.

– Wzięliśmy pistolet i poszliśmy. No. Potem długo myśleliśmy i mimo wszystko postanowiliśmy się z panem spotkać.

– Wiz, czemu się tak dobrze trzymasz?

– Co? – Wiz zamarł z podniesioną do ust kanapką.

– Niczym nie można cię poruszyć – wyjaśnił cierpliwie Jarosław. – Kirył jest jak przejechany, a tobie zwisa.

– No i co z tego?

– Od tego zależy, czy zostaniemy sprzymierzeńcami.

– A ma pan jakieś inne możliwości? – zdumiał się szczerze Wizytor.

– Oczywiście. Przynajmniej jedną.

Wizytor skinął głową.

– Rozumiem... Kirył wolniej się przyzwyczaja, to wszystko. Potrafię tylko to, co on. Ale on potrafi, jest śmiały. Przywyknie.

Kirył zerknął na sobowtóra, ale nic nie powiedział.

– Jasne, dzieciaki. Więc trupy w szafach już wam niestraszne?

Wizytor energicznie pokręcił głową.

– On kłamie – powiedział cicho Kirył. – Są straszne. Gdyby pana tu nie było, ucieklibyśmy.

– Chociaż tyle... – Jarosław odchylił głowę, opierając kark o zimną szybę.

– Wiz, więc dziewczyna i killer zawarli alians?

– Aha. Arkadij Lwowicz mówił, że dopóki prototyp jej wierzy, nie można jej zabić. Albo prawie nie można. Gdyby strzelać z bazuki, pewnie by się dało...

– Albo z BFG 9000.

– Z czego?

– Z niczego... w jednej komputerowej grze jest taka broń.

– Lubię gry – powiedział Wizytor. – Tylko mało gram.

Jarosław w milczeniu patrzył na chłopców. Czyj świat stanie się straszniejszy...

– Cóż, pogramy razem... – powiedział w końcu.

To oznaczało zgodę.

Już nic więcej nie omawiali, zabrakło im sił. Jarosław położył się na kanapie w pokoju gościnnym, chłopcy w sypialni. Leżąc w ciemności, Żarow słyszał, jak od swojej strony podpierają drzwi krzesłem.

Chciał wierzyć, że bardziej boją się trupa w łazience niż jego.

CZEŚĆ SIÓDMA

MIŁOŚĆ

0

Dzwonił telefon.

Uporczywie, ale cicho. Sam przyciszył wczoraj dzwonek.

Jarosław wstał z łóżka, pokręcił głową. Nie boli, no proszę. Seks albo stres – oto najlepsze lekarstwa na kaca, gdzie tam do nich amerykańskim tabletkom.

Wstał, spróbował wsunąć nogi w buty, ale pogodzony z klęską boszo podszedł do telefonu.

– Halo?

Głos po drugiej stronie był uprzejmy i silny. Dobry głos.

– Jarosław Siergiejewicz Żarow?

– Tak.

– Dzień dobry. Chciałbym złożyć swoje kondolencje... z powodu śmierci Sławy.

Ucisk w piersi. Jarosław zerknął na zegarek. Piętnaście po szóstej.

– Kim pan jest?

– Może mnie pan nazywać Raszid Gulamowicz. To najbardziej prawidłowe.

– Wezyr... – Żarow usiadł na zimnej podłodze. – Cóż, dzień dobry.

– Podziwiam pańskie opanowanie i dziwię się słabej woli Wizytora.

– Nie mówmy o tym.

– Jak pan sobie życzy. Jarosławie Siergiejewiczu, nie sądzi pan, że warto by się spotkać?

– Dziękuję, chciałbym jeszcze trochę pożyć.

Hajretdinow-Wezyr zaśmiał się po drugiej stronie.

– Jaki pan naiwny, Jarosławie. Wystarczyłoby, żebym zadzwonił pod inny numer... i za pół godziny leżałby pan na podłodze w kajdankach. Oskarżony o zabójstwo Sławy, może nawet o zabójstwo chłopców.

– Bredzi pan, Wezyr. Oni żyją.

– Oczywiście. Ale czy żyliby, gdybym zadzwonił do kogoś innego?

Żarow mimo woli skinął głową. No tak. Hajretdinow był szczery.

– Czego pan chce?

– Teraz chce się tylko położyć i jeszcze z godzinkę przespać – Wezyr zaśmiał się cicho. – W moim wieku niewysypianie się jest szkodliwe. Ale mogę wysłać po pana samochód po południu. Spotkalibyśmy się. Tylko na rozmowę.

– Dobrze, ale jakie mam gwarancje, że mnie pan puści? Jeśli nie pójdę na układ?

– Pójdzie pan, pójdzie – Wezyr był łagodny i nieugięty. – Przecież nie będzie pan zawierał układu z dziewczynkami-lesbijkami... ani z Wysłannikiem Ciemności.

– Już wybrałem, po czyjej stronie...

– Jarosławie, bardzo pana proszę! Proszę mnie nie rozśmieszać. A co do gwarancji... niech się pan nad tym zastanowi. Ja postaram się zebrać argumenty. – Wezyr znowu zachichotał, chyba był w doskonałym humorze. – Jest pan człowiekiem inteligentnym i ambitnym, więc będę szczery. Zaproponuję to, co rzeczywiście mogę dać.

Jarosław milczał.

– Dzieci nie muszą uczestniczyć w naszej rozmowie – rzucił niedbale Wezyr.

– Pod tym względem jesteśmy absolutnie zgodni – Żarow uśmiechnął się do niewidocznego rozmówcy. – Niech pan na to nie liczy. Od dawna nie robię nic z czystej przekory.

Wezyr zaśmiał się.

– Brawo! Brawo, Jarosławie. Wprawdzie wolałbym spotkać się z Wizytorem... Dobrze, nie przeciągajmy tej rozmowy. Proszę pomyśleć o gwarancjach, a ja jeszcze zadzwonię. Do widzenia.

Żarow odparł po chwili:

– Do widzenia, Wezyr.

Wstał, położył słuchawkę na widełki. No i tak. A mogli ich wziąć gołymi rękami. Chłopakom kula w łeb, jemu pistolet do ręki, a dalej już jak wyjdzie. Pisarz fantasta – maniak morderca. Zastrzelony podczas próby zatrzymania albo przyznał się na przesłuchaniu. To już w zależności od decyzji Wezyra.

Nie ma sensu biec z szablą na czołgi.

Zerknął na drzwi do drugiego pokoju – były uchylone. Pewnie musieli wychodzić w nocy. Jarosław zajrzał przez szczelinę – chłopcy spali, przytuleni do siebie. Bajuj baj.

Żarow wyjął z kurtki papierosa i zapalniczkę, po cichu uchylił drzwi od balkonu. Było ciemno i wilgotno. W powietrzu wisiała mglista mżawka. Zastukały kroki. Jakaś kobieta szła szybko po chodniku. prostytutka wracająca z pracy...

Cholera. Dlaczego zaczął widzieć we wszystkim brud?

Jaka, do licha, prostytutka? Dlaczego nie studentka medycyny, która postanowiła pouczyć się w prosektorium przed zajęciami? Albo po prostu kobieta, która ma pracę na drugim końcu miasta?

Przechylił się przez poręcz, popatrzył na kobietę z tyłu. Króciutka spódniczka, czarne pończochy, skórzana kurtka...

Taaak. Może i studentka...

Żarow zapalił, zadrżał z zimna. Gdyby porządnie zmarzł, mógłby spróbować znowu zasnąć. A gdyby przechylił się bardziej przez poręcz, mógłby olać Wezyra, Wysłannika Ciemności i chłopca, który sądził, że jest kosmitą...

Skrzypnęły drzwi i Wizytor wyszedł na balkon. Zaspany, obejmując ramiona rękami.

– Dzień dobry – powiedział Żarow.

– Mhm... i jak się pan dogadał z Wezyrem?

– Podśluchiwałeś?

– Nie. Spałem.

– Ach, no tak – Jarosław przytaknął. – Ma jeszcze zadzwonić.

Wizytor dreptał w miejscu. Jemu, chudemu jak kociak, na pewno było zimno.

– Zmarzniesz – Jarosław zaciągnął się ostatni raz i posłał niedopałek w dół, ku chodnikowi.

– Nieważne... Hajretdinow gotów jest wziąć pana do drużyny. On nie kłamie.

– Jaka jest moja wartość?

– Może być z panem szczerą. Myśli pan, że to wesoło, gdy nikt nie zna o tobie prawdy?

– Ty wiesz lepiej.

– Nie skrzywdzi Kiryła. Generalnie Kirył nie jest mu potrzebny, ale jeśli można się obejść bez zabójstwa, Wezyr się obejdzie. Nie jest maniakiem...

– Tylko politykiem – zakończył Jarosław. – Ale ty jesteś dla niego przeciwnikiem.

– Oczywiście.

– No to o czym gadamy? Wchodź, wystarczy odmrażania sobie tyłka.

– Nie jest mi zimno...

– Ale mnie jest! – Żarow wepchnął Wizytora do pokoju, zamknął drzwi. – Kirył śpi?

– Aha.

– Chyba musimy go obudzić. Postanowimy, co zrobić.

Wizytor nie ruszył się z miejsca.

– Jarosławie Siergiejewiczu... czemu pan mnie nie lubi?

– Dlaczego tak myślisz?

– Widzę.

– Skoro widzisz... – Żarow westchnął. – Jesteś pułapką. Chudą chodzącą pułapką na ludzkość.

Jaki stanie się Kirył, gdy dorośnie? To w sumie nieważne. To raczej nie będzie miało wpływu na losy świata. A jeśli zwyciężysz ty – Bóg wie, co się stanie.

– Wszystko dlatego, że jest pan pisarzem – powiedział Wizytor. – Przywykł pan opisywać różne horrory. I od razu mnie pan zaliczył do wrogów, a Kiryła do niewinnych ofiar.

– A tak nie jest? Gdybyś się nie pojawił, chłopak wybierałby się teraz do szkoły, a ja spokojnie pisałbym książkę.

– Dlaczego nie chce pan zrozumieć, że ja jestem taki sam! – Wizytor zacisnął pięści. – Taki sam jak on! Trochę szybciej się adaptuję, trochę szybciej wszystko chwytam, poza tym nie ma żadnej różnicy!

– Szybka adaptacja to czasem bardzo zła rzecz, chłopcze. Zwłaszcza gdy przyzwyczajasz się do śmierci i nienawiści. Obudź Kiryła. Przygotuję coś na śniadanie.

– To jest pan po mojej stronie czy nie? – zażądał odpowiedzi Wizytor.

– Ile jeszcze razy zapytasz? Nie jestem po twojej stronie. Jestem przeciwko pozostałym.

1

Noc minęła jej jak w gorączce. Jakby patrzyła na wszystko z daleka, nie biorąc w tym udziału. Dwa razy na krótko zasypiała, po prostu wyłączała się ze zmęczenia, i za każdym razem, gdy otwierała oczy, widziała to samo.

Ilja i Maria pieścili się.

Ona już w tym nie uczestniczyła. Tylko na początku Ilja potrzebował jej ręki, jej spojrzenia, jej strachu. Teraz zadowalali się sobą.

Anna rozumiała, że nie powinna być zazdrosna.

Jej miłość jest wielka. Wystarczy dla wszystkich.

Ale dlaczego właśnie w ten sposób?

Ilja wydał się jej nieludzko wytrzymały. A może tak powinno być, tylko jej zawsze trafiali się słabeusze? Anna nie wiedziała, jej doświadczenie seksualne było tak znikome, że nie mogła wyciągać żadnych wniosków.

Dopiero nad ranem kochankowie zasnęli objęci. Anna leżała na brzegu łóżka, patrząc na lśniące plecy Karamazowa. Sen nie przychodził i światło w duszy też już zgasło. Pustka.

Cichutko zsunęła się z łóżka, ubrała, bojaźliwie zerkając na śpiących. Wybiegła na szeroki korytarz hotelowy. Obie windy były zajęte, musiałyby czekać. Tutaj pewnie życie nie cichnie ani na sekundę. Restauracja, kasyno, ktoś przyjeżdża nad ranem, ktoś inny wyjeżdża przed wschodem...

Anna nie wiedziała, dokąd iść. Wybiegła z hotelu w wilgotny jesienny ranek. Zatrzymała się na chwilę, oddychając łapczywie.

Dlaczego tak ją przeraża miłość i dobro, które wkrótce spłyną na świat?

Żarow doskonale wiedział, że kompletnie nie umie rozmawiać z dziećmi.

Mało tego, ludzie, którzy znajdowali przyjemność w podobnym kontakcie, zdumiewali go. Jego zdaniem, różnica pomiędzy dziećmi i dorosłymi była tak ogromna, że przywodziła na myśl dwie konkurujące ze sobą rasy, na szczęście, stale zasilające szeregi przeciwnika.

Kirył przynajmniej był bardziej rozwinięty niż rówieśnicy. A jednak dziecięcość co i rusz w nim przebijała, i Żarow po raz kolejny się zastanawiał: czy to był słuszny wybór?

– Mogę wziąć keczup? – zapytał Korsakow.

Jarosław w milczeniu podsunął mu butelkę. Chłopiec nachylił się nad kanapką i zamarł, jakby olśniony nagłą myślą.

– A gdyby tak wypić cały, to co się stanie?

– Dostaniesz biegunki – powiedział Wizytor.

– Ale nie, naprawdę Jarosławie Siergiejewiczu? Co się stanie?

– Spróbuj, dowiemy się – Żarow patrzył na Kiryła, nie wiedząc, czy ma przed sobą tego samego chłopca, który wczoraj powiedział: „a czy to konieczne?” Który, zdaniem Sławy, pisał naprawdę dobre wiersze. Który trzy razy uciekł przed zawodowym zabójcą.

– Nie, nie wypiję – Kirył teatralnym gestem odsunął keczup. – Chcę, ale nie wypiję. Jarosławie Siergiejewiczu, niech pan opowie, co było dalej w „Słonecznym kotku”? Bo przerwał pan w najciekawszym momencie!

– Kirył, a może zadeklamujesz nam swoje wiersze? Głośno, z uczuciem?

Chłopiec nadął się.

– Właśnie. – Żarow pokiwał głową. – Nie myśl, że opowiadanie własnych książek jest ciekawsze niż deklamowanie własnych wierszy.

– Nic dalej nie było – zauważył złośliwie Wizytor. – Po prostu pan nie wymyślił. Książki to nie wiersze. Wiersze powstają same. A książki się pisze. Siada się przy klawiaturze i myśli: „Dzisiaj napiszę o tym, jak statek wylądował na planecie, a jutro, jak bohaterowie spotykają się z kosmitami”.

Pomyślał chwilę i dodał:

– Przesadzam, oczywiście.

– Zapomniałeś powiedzieć, że najpierw pisze się plan, jak w szkolnym wypracowaniu – Jarosław poczuł bojowy zapach, jak zawsze podczas dyskusji z czytelnikami, co prawda dorosłymi. Kilka razy zdarzało mu się występować w dziecięcych bibliotekach, ale to nie było to samo... Wstawiała dziewczynka w wyprasowanej sukience albo rozczochrany chłopiec i mówili: „Przeczytałam, przeczytałem pana książkę i bardzo mi się podobała. Ja naprawdę w niej żyłam... żyłem. Bardzo chciałam, chciałem znaleźć się na miejscu bohaterów. Szczególnie spodobało mi się miejsce, gdy...” Żarow z jakimś kolegą po piórze uśmiechali się uprzejmie do dziewczynek – chłopczyków, starając się nie dostrzegać lekkiego zamieszania i przerzucania notatek. Wystrojone i podekscytowane panie bibliotekarki cichutko wskazywały następnych aktywistów i ci zaczęli swoje wystąpienie. Pod

koniec zazwyczaj wstawał purpurowy dzieciak i bezlitośnie mnąc w ręku cienki zeszyt pytał, czy trudno zostać pisarzem. Żarow kłamał, że już w dzieciństwie próbował pisać i że to bardzo pomogło mu zostać...

– Niekoniecznie – zdecydował Wizytor. – To już drobiazg, czy plan robi się na papierze, czy w głowie.

– Chłopcy, mogę wam podać nazwiska dziesięciu pisarzy, którzy od razu wymyślają całą fabułę, i dziesięciu, którzy nie wiedzą, co wydarzy się na następnej stronie. Mogę wymienić wspaniałe książki, które pisano ze względu na zakład albo dla pieniędzy, i brednie, które tworzono w natchnieniu. To wszystko bzdura.

– A... – Wizytor machnął ręką. – Dobrze. Nie chce pan, to nie. Kirył naprawdę był ciekaw. On przecież sam wymyślił, co było dalej. Nie kop mnie!

Żarow poczuł złość.

– Nie chcę? Ależ dlaczego. Słoneczny kotek zginął. W walce. Lenowi znudziła się włóczęga po świecie, otworzył sklep i zaczął handlować okularami przeciwsłonecznymi i lampami naftowymi. A Danił do tej pory wędruje, próbując wrócić do domu. Tylko mu się nie udaje, już dawno zapomniał, gdzie jest jego dom. I zaczął pić.

Wizytor zastygł mrugając oczami.

Kirył odłożył niedojedzoną kanapkę i powiedział:

– To nieprawda.

– Prawda, mały. Gdy napiszę, stanie się prawdą. Na zawsze. Możesz się ciskać i podrzeć książkę, ale już nigdy od tego nie uciekniesz. Wszystko przemieni się w prawdę.

Jarosław rozłożył ręce w przeproszającym geście. Chciało mu się śmiać.

Dzieciaki chciały wyzwąć go na pojedynek? Na jego własnym polu?

W świecie, który narysował kiedyś dwoma farbami, czarną i białą, szybko i niedbale, jak zawsze pośpiesznie splatając nici opowieści i doprowadzając do pełnego napięcia i niemal szczęśliwego zakończenia?

– Nie mogło się tak stać – cierpliwie mówił Kirył. – Kotek, Len, Dańka... oni byli inni.

– Ale tacy się stali – Jarosław ze wszystkich sił walczył ze śmiechem. Wiedział, że uprawia właśnie jawny sadyzm psychologiczny, ale wisiało mu to. Ktoś śmiał dokonać zamachu na jego świat, w którym to on był Bogiem. – Ja tak to widzę. – Nie mógł się powstrzymać przed użyciem tego starodawnego, ostatecznego i bezspornego argumentu pisarza.

– Po prostu jest pan zazdrosny – powiedział Kirył.

– Co?

– Jest panu przykro – Kirył odwrócił błyszczące oczy. – Przykro, że kochają nie pana, tylko pana książki. Że bez nich jest pan nikim. Nikomu nie jest pan potrzebny, nikt nie jest pana ciekaw. Dla czytelników ważne jest nie to, jak pan żyje i o czym marzy, lecz to, co pan pisze! I pan się na nich odgrywa!

Kirył złapał oddech i wypalił:

– I jeśli jutro pan umrze, to będą żałować nie człowieka Żarowa, tylko tych książek, których nie zdążył napisać!

– Chłopcze... – Jarosław wyciągnął rękę, dotykając jego ramienia. – To, co powiedziałaś, jest bardzo przykre. Ale czy ty naprawdę myślisz, że ja tego nie rozumiem?

– Lepiej by było, gdyby pan nie rozumiał!

Kiedyś, dawno temu, pracując jako psycholog w przedstawicielstwie handlowym dużej japońskiej firmy, Skicyn musiał się przyzwyczaić do wczesnego wstawania. Wbrew sobie. To była uświęcona tradycja – cały personel przychodził przed kierownictwem i wychodził po nim. Bywało, że Skicyn spał cztery godziny na dobę.

Od czasu gdy zajął się prywatną praktyką, Stiepan mógł sobie pozwolić na wysypianie się. Ale czasami uaktywniał się wypracowany przez dwa lata program i Stiepan zrywał się bladym świtem, zaczynał pospiesznie się ubierać, gotów pędzić na drugi koniec miasta, bojąc się, że nie zdąży przed przyjazdem pana Kazufumi...

Dzisiaj też obudził się wcześnie. Leżał z rękami złożonymi na brzuchu i rozmyślał o Żarowie.

Co za mucha go ugryzła? Pewnie się obraził za tę psychologiczną etiudę... Skicyn stęknął, przekręcając się na bok. Szczerze mówiąc, myślał, że ich stosunki pozwalają na taki stopień wzajemnej ironii...

Przez kilka minut zastanawiał się, czy Żarow dojechał do Bibiriewa, gdzie się przesiadał, czy nie miał jakichś problemów... na przykład z milicją. W końcu posiadanie broni gazowej jest nielegalne.

Leżąc, starannie zaplanował wszystkie działania na wypadek, gdyby Żarowa aresztowano albo gdyby wpłatał się w jakąś bijatykę i trafił do szpitala... albo, nie daj Boże... Doskonale zdawał sobie sprawę, że podobną asekurację i „gospodarkę planową” – nie żeby były niepotrzebne – można zastąpić jednym telefonem. Skicyn nie mógł się jednak wyzbyć nadmiernej ostrożności. Przypomniawsobiesobie malutkie karteczki, które kiedyś, gdy Żarow u niego nocował, rozwiesił rano w całym mieszkaniu. „Przed wyjściem wyłącz gaz”. „Wideo włącza się najpierw do gniazdka, potem przyciskiem power”. „Drzwi zamykają się trzema obrotami górnego zamka i dwoma dolnego. Dolny w prawo, górny w lewo – nie pomyśl się!” Jarosław sumiennie dopisał na każdej karteczce: „Zrobione!”, zanotował godzinę i podpisał się...

Skicyn westchnął. Niechby nawet każdy jego dzień był oznaczony takimi niewidocznymi zapiskami, rozgałęziającymi się i ogarniającymi wszystkie możliwe ewentualności. Niech sobie przyjaciele żartują. Niech mama i siostra nie zakręcają gazowego zaworu. On i tak nie zrezygnuje z niewielkiej asekuracji.

Drzemał jeszcze kilkanaście minut, z przyjemnością wyobrażając sobie różne zabawne i przyjemne scenki, przewijając je w świadomości, utrzymując gdzieś pomiędzy snem i jawą. Potem ziewnął i wstał.

Komputer cichutko szumiał w kącie. W nocy ściągnął przez modem świeżą pocztę, tysiące listów ludzi dyskutujących o komputerach, programach, polityce, książkach, nawet o tym, co im się w nocy przyśniło. Skicynowi bardzo podobały się podobne rozmowy. Jak to mówią, mężczyźni są jak dzieci, tylko mają droższe zabawki... Stiepan włączył monitor, przejrzał pocztę. Najpierw poświęcił ulubionej fantastyce.

Od razu trafił na przesłanie Żarowa. „Jestem bardzo zmęczony”.

Skicyn prychnął. W zasadzie do podobnych smętnych wyznań służy czat pod nazwą „Depresja”. Ale Żarowowi wybaczą. Jego książki się podobają. Stiepan przełączył się na następny list.

„Jestem zmęczony”.

Najpierw pomyślał, że Jarosław po pijanemu zdublował swój krzyk duszy. Gdy zobaczył, że list pochodzi z innego adresu, doszedł do wniosku, że Żarow mimo wszystko pojechał później do Ozierowa...

Minęła kolejna minuta, zanim zrozumiał, że oba listy napisane są w odstępie trzech minut. A raczej

jednocześnie – tylko Ozierow ma pewnie źle ustawiony zegar w komputerze.

Któryś z uczestników czatu też zauważył ten drobny fakt i skomentował, że pisarze fantastyki zdobyli chyba umiejętność teleportacji bądź klonowania.

Skicyn sięgnął po telefon. Szybko wybrał numer, nie odrywając spojrzenia od monitora.

– Przepraszam za tak wczesny telefon, ale czy mógłbym rozmawiać z Timofiejem...

– To ja – mruknął sennie Ozierow.

– Tima, wybacz, chodzi mi o twój list w sieci.

– Jaki znowu list?

– „Jestem zmęczony”.

– To nie ja, to Jarek. Albo te dwie butelki wina, które wypił.

– Chcesz powiedzieć, że on jest u ciebie?

– Nie. Siedział cały wieczór, potem pojechał...

– Tima, Żarow był wczoraj u mnie!

– Ładne masz sny – powiedział Ozierow.

– Jakieś brednie... – wyszeptał Skicyn.

– O to, to – Ozierow westchnął. – Jeszcze coś? Mogę się przespać?

– Tak...

– Dobry z ciebie człowiek, Stiopa – w słuchawce rozległ się krótki urywany sygnał.

Skicyn rzucił słuchawkę. Miotał się po pokoju, pochwycił z kredensu notes. Gdzie jest telefon do tego mieszkania, które wynajął Żarow? Jeśli nie ma zapisanego numeru, to znaczy, że naprawdę mu się przyśniło! Ale jaki realny sen!

Numer był. Wybrał, zabębnił palcami w telefon. Odebrano nie od razu, a głos był nieznajomy. Chłopięcy głos, który wypalił radośnie: „halo!”.

Jakby dziecko ucieszyło się, że może wywinąć się z jakiejś nieprzyjemnej rozmowy.

– Przepraszam, czy mógłbym rozmawiać z Jarosławem?

Po chwili milczenia Stiepan dodał:

– Żarowem.

Bardzo by nie chciał obudzić imiennika Żarowa, który przypadkiem znalazł się na drugim końcu przewodu.

Ale chłopiec nie okazał zdumienia. Przerwa i głos pisarza:

– Halo.

– Jarosław, jak dojechałeś? – zapytał jak automat Skicyn.

– Stiepan?

– Tak. Jak wczoraj dojechałeś?

– Normalnie.

– A od Timofieja?

Cisza. Potem cichy śmiech...

– Tak, głupio wyszło...

– Jarek, podjadę, musimy pogadać...

– Nie! – ostro, kategorycznie.

– Co się dzieje? Kto u ciebie jest?

– Nikt... jeden znajomy chłopiec.

– Jarosław, powinniśmy pogadać.

– Dobrze – Żarow nagle zmienił zdanie. – O jedenastej. Spotkamy się na placu Teatralnym.

We śnie Ilja znowu zobaczył Ciemność.

Szybkie i naturalne przejście – ciemność zastąpił mrok. Spojrzenie przesywające na wylot, zimno płonące w środku.

Ale teraz już się nie bał.

Ciemność była w nim, żyła w jego duszy, wszystko usprawiedliwiała, na wszystko przyzwalała, część z części Ilji, bliska i swoja, piękna i potężna siła, jaka szkoda, że dostępna tylko nielicznym...

– *Zadowolony?* – zapytała Ciemność. Bez złości, ironicznie.

Uśmiechnął się. Czy był zadowolony? Chyba tak. Wszystko stało się takie nowe i dobre.

– *To dobrze, że przeżyłeś* – szepnęła Ciemność. – *Przymierze z Wysłanniczką Dobra też jest słuszne.*

Karamazow był zaskoczony.

Wszystkiego by się spodziewał, ale nie aprobaty.

– *Bywa, że i ja się myślę* – przyznała Ciemność. – *Dobro stało się wolne, odrzuciło dogmaty...*

– *Co mam robić?* – zapytał. – *Za długo się to ciągnie, miasto jest strwożone!*

– *Pracuj* – szepnęła Ciemność. – *Po ich stronie jest dużo siły. Ale oni są podzieleni. Wezyr i pisarz postanowili się spotkać, ale oni nienawidzą się nawzajem. Wykorzystaj to spotkanie. Zaczynij pracować... bez lęku i wątpliwości. Jak zawsze. Zwyciężaj.*

– A dalej?

– *Dalej – wolność...* – Ciemność zaśmiała się, znikając. Ilja odprowadził ją wzrokiem, a raczej tym, co we śnie zastępuje wzrok.

Siła niczym giętka sprężyna ścisnęła się w piersi.

Karamazow otworzył oczy.

Przez zasłonięte okna nieśmiało sączyło się światło. Skrzywił się, odwrócił. Popatrzył na śpiącą obok Marię.

Była naga. Leżała, odrzuciwszy kołdrę, z podciągniętymi do brzucha kolanami i zaciśniętą między nimi ręką...

Ilja znowu poczuł pożądanie. Jakby nie było bezsennej nocy. Ostrożnie odsunął kołdrę, popatrzył na siebie. Może rzeczywiście wszystko z nim w porządku? I nie ma powodu do strachu... jest silny jako mężczyzna...

Ręce Karamazowa zacisnęły się na biodrach Marii. Otworzyła oczy, błyskawicznie wynurzając się ze snu. Pod jej spojrzeniem Ilja stracił niedawną pewność.

– Ja...

– *Chodź do mnie...* – Maria wyciągnęła się bezwstydnie, zaśmiała. – *Chodź, chodź, chodź...*

Tym razem jakby się spieszyła. Wszystko stało się bardzo szybko, minutę później już leżał obok, ciężko dysząc i ściskając w dłoni jej rękę.

– *Dzisiaj jest ważny dzień* – powiedziała cicho Maria. – *Trzy cele spotkają się razem, nie można stracić takiej szansy.*

– Wiem.

Maria milczała gładząc go po piersi. Potem powiedziała:

– *Wczoraj wszystko poszło dobrze. Teraz ja noszę jego.*

– *Kogo?* – nie zrozumiał.

– *Tego, który da światu dobro i wolność. Naszego syna.*

Karamazow wzdrygnął się, przysiadł na łóżku.

– Bzdura!

Kobieta uśmiechnęła się.

– Tak powinno być. Zwyciężymy, ale później dopadłaby nas pokusa, żeby zabić siebie nawzajem.

On nas połączy. On połączy razem wolność ciemności i moją miłość. Da ludziom nową prawdę.

– Nie o tym mówię! – Karamazow poszukał wzrokiem ubrania. Przechylił się, podniósł z podłogi koszulę i narzucił na ramiona. – Skąd możesz wiedzieć? Następnego dnia?

Na chwile ogarnął go strach, a może rzeczywiście kobiety czują to od razu? I teraz Maria wyczuła jego niewiedzę i zacznie chichotać. Zbyt rzadko kontaktował się z kobietami, nigdy nie musiał myśleć o podobnych sprawach...

– Po prostu już go kocham – Maria pogładziła zapadnięty brzuch. – On będzie lepszy ode mnie i od ciebie. Będzie doskonałością.

Karamazow poruszał wargami, wymyślając odpowiedź. Ale nic nie zdołał wymyślić. Nigdy nie widział się w roli ojca – tym bardziej takiego syna. Dzieci nie powinny być mądrzejsze i silniejsze od rodziców!

– Gdzie Anna? – zapytał wstając. – Była z nami...

Maria zmarszczyła czoło, jakby wpatrując się w głąb siebie.

– Nie wiem. Wyszła z hotelu. Chyba po prostu spaceruje po ulicach.

– Głuptas – stwierdził Ilja. Gdyby Anna tu była, można by jeszcze chwilę poleżeć w łóżku.

– Nie śmiej źle o niej mówić – powiedziała surowo Maria. – To moja siostra. Znam całe jej życie, żyłam w niej!

– Dobrze, przepraszam. Ale po co się włóczy o świcie. Moskwa nie wierzy łzom.

– To również twoja wina – powiedziała z wyrzutem Maria. – Ale nie musimy się martwić o Annę. Z nią jest moja miłość...

– Wiesz, miłość to bardzo krucha rzecz! – Karamazow, który już miał pójść pod prysznic, zatrzymał się. – Pełno jest różnych drani. Mogą ją skrzywdzić.

– Ryzykownie jest krzywdzić tych, których kocham – z głosu Marii powiało chłodem. – Umiem wybaczać i nieść światło. Ale umiem również pozbawiać światła!

4

Żarow stał, obracając w rękę słuchawkę.

Do licha.

Głupio wyszło.

Technika go załatwiła. Zapomniał, że za każdym adresem w sieci stoją żywi ludzie. Stworzył nową legendę... a raczej temat do żartów. A Skicyn z Ozierowem będą długo dyskutować na ten temat, próbując ustalić, który z nich jest żartownisiem, i w końcu dojdą do jedyne go możliwego wniosku.

Że pisarz Żarow jest jeden w dwóch osobach.

– To dzwonił twój przyjaciel, z którym wczoraj piłeś? – zapytał Wizytor.

– Z nim pił Sława.

– Aha... – Wizytor mimo woli zerknął na drzwi łazienki. – Ciekawy mieli wieczór. Kim on jest z zawodu?

– Psychologiem.

Wizytor tylko pokręcił głową. Żarow mimo woli się uśmiechnął. Sława uciekł, odszedł, rozpuścił się w nieczynie, a na świat spadała Ciemność. Za to Jarosław znowu mógł się uśmiechać. Pokonał granicę pomiędzy prawdą i kłamstwem, pomiędzy delikatnością i cynizmem, pomiędzy litością i

bezlitosnością.

Z tego szczytu, na który wszedł, prowadziła już tylko droga w dół. Ale dopóki stał na lodowatym wietrze, cały świat miał u stóp. Małeńcy ludzie, mrówcza krzątania na ulicach odległych miast, cisza i wyblakłe bliskie niebo.

Zdobył prawo do uśmiechu.

– Wpadłem – wyjaśnił Żarow. – Wczoraj wieczorem byłem jednocześnie w dwóch miejscach. I nawet udało mi się zostawić dowody.

– Teraz będą was szukać? – Do rozmowy włączył się Kirył. Chyba czuł się trochę niewyraźnie po tamtej, przerwanej telefonem dyskusji. Nie jest normalnym dzieckiem. Dzieci nie powinny mieć kompleksów, gdy okazuje się, że są mądrzejsze od dorosłych. Powinny być dumne, że świat nadal dokądś zmierza...

– Spróbują mi pomóc – Żarow nie wytrzymał i dodał: – Pewnie żeby nie stracić przyjemności czytania nowych książek.

– Nie chciałem pana urazić. – Kirył odwrócił wzrok.

– Nieważne, chłopcze. To wszystko głupstwa. Zastanówmy się, jak zagwarantować mój powrót od Hajretdinowa.

– Jeśli zechce pan wrócić – zauważył półgłosem Wizytor.

Dzisiaj Wezyr nie miał zamiaru zajmować się politycznym trajkotaniem. Pospał jeszcze trochę po rozmowie z pisarzem, pewnie tak samo jak tamten. Krótki sen nie przyniósł już nowych informacji, ale i tak było ich wystarczająco dużo.

Zjadł śniadanie razem z Szedczenką. Pułkownik krzywił się przy każdym ruchu, prawdopodobnie bolały go żebra po wczorajszym strzale. To nic. Lekcja na przyszłość. Ryzyko jest usprawiedliwione tylko wtedy, gdy kończy się zwycięstwem.

– Spróbujemy przyciągnąć do siebie Żarowa – rzucił niedbale Wezyr, gdy pili kawę. – Zaproponowałem mu spotkanie i chyba się zgodzi.

Nikołaj odstawił filiżankę. Zapytał ostro, prawie z oburzeniem:

– Do czego pan zmierza, Wezyr?

– Uspokój się, nie mam zamiaru wymieniać przyjaciół.

Szedczenko chyba myślał o czym innym. Podniósł wzrok na Hajretdinowa i złośliwie zauważył:

– A towarzysz Stalin tym nie gardził. Ale ja pytam: po co nam pisarz?

– Jeszcze jedna głowa się przyda.

– Chyba dwie głowy?

– Jedna. Wysłannik Twórczości powiesił się wczoraj w nocy na rurze w łazience.

Teraz Szedczenko naprawdę był zakłopotany. Odwrócił wzrok, jakby powiedział coś nieprzyjemnego o bogu ducha winnym człowieku. Potem burknął:

– Sumienie się w nim odezwało?

– Może. Inteligentom często się to zdarza – Hajretdinow westchnął. – Towarzysz Stalin, jeśli już o nim mowa, sam wpadał. Zaczynasz wykańczać Berię: „Dlaczego bez rozkazu?” Okazuje się, rzeczywiście... Gwizdał na wille, „emkę”, przyjaciółki, nagrody. Strzelił sobie w łeb albo założył pętlę na szyję.

Wezyr krótko się zaśmiał i rzucił:

– Wybacz. Co to ja... a tak, właśnie, chłopaka jednak nie zabili.

Szedczenko nie dopytywał się. Szybko stworzył sobie schemat, nie wiedząc, że nie ma on nic wspólnego z rzeczywistością. Pisarz okazał się lepszy, niż sądził. Ani Wysłannik Twórczości, ani

jego własny sobowtór nie zdołali zabić dziecka. Nikogo nie byli w stanie zabić.

Dlatego Wysłannik Twórczości się powiesił. Zrozumiał – nie ma co liczyć na zwycięstwo.

– Wybacz, Raszid. Masz rację – Szedczenko znowu uznał jego wyższość. I Wezyr nie zagłębiał się już w motywy Wysłannika Twórczości.

– Na stoliku przy oknie leży kilka telefonów, przynieś dowolny – poprosił dobrodusznie Wezyr. Szedczenko przyniósł. Hajretdinow, biorąc telefon, wyjaśnił: – Bezpieczeństwo już nie to samo co niegdyś. Nie są w stanie sprawdzić całej sieci komórkowej. Mam numer, który podsłuchują, mam inne... Halo? Jarosław Sergiejewicz?

Nikołaj nie próbował przysłuchiwać się rozmowie. Wezyr sam mu powie to, co uzna za stosowne. Rzeczywiście, po chwili odłożył wyłączony aparat i popatrzył na Szedczenkę.

– Nasz literat coś wymyślił – powiedział wesoło. – Znalazł widocznie metodę zabezpieczenia!

– Ale przecież nie masz zamiaru... – zaczął Szedczenko, idąc wzdłuż ściany.

– Nie... raczej. Ale wszystko jest możliwe. Żarow prosi, żeby przysłać po niego samochód. Służbowy, z poselskimi numerami. Będzie czekał w centrum, na placu Teatralnym. Prosi, żebyś ty przyjechał.

– Jestem gotów – odpowiedział po prostu Szedczenko.

– Sam poprowadzisz – zdecydował Hajretdinow. – Chociaż to wbrew zasadom. Będę musiał pogadać z kierowcą.

– To zdyscyplinowany człowiek, łatwo go przekonasz.

– Oczywiście – Wezyr popatrzył na sufit, potem westchnął. – Chyba zrozumiałem plan Żarowa. Nie jest głupi. Spróbujemy się z nim zaprzyjaźnić, Kola.

5

Kiedy w niej zaświtała ta myśl, Anna nie wiedziała. Przecież rzadko odwiedzała cerkiew, nawet w domu. Nie na tym polega wiara.

Kilka razy pytała przechodniów, ale troje z nich było przyjezdnych, dwóch nie potrafiło nic odpowiedzieć. W końcu wskazano jej kierunek.

Do cerkwi podeszła niepewnie, zmieszana. Głupio szukać pocieszenia w słowach kapłana. Ale przecież on modlił się do swego ojca?

Trwała poranna msza. Anna stała przed wejściem, patrząc na cichy, zatopiony w modlitwie tłum. Tak wiele ludzi, i wśród nich tylu młodych. To zawsze przynosiło jej spokój i cichą radość. Świat pragnie dobra, świat chce przebaczenia.

Kupiła świece – największą z tych, które sprzedawano. Pieniądze miała, Maria wczoraj wsunęła jej do kieszeni cały plik – nawet bała się liczyć. Dziewczynie sprzedającej świece lekko drgnęła twarz na widok pogniecionej garści dolarów i rubli, potem szybko opuściła oczy.

Nie patrząc, Anna wyjęła z kieszeni może połowę, wrzuciła do skrzynki – na cerkiew. Co dla niej teraz znaczą pieniądze. Zawahała się, zanim postawiła świece.

O co właściwie chciała się pomodlić? Za spokój duszy mamy... Anna drgnęła jak od uderzenia. Dlaczego? Co się dzieje? Jak mogła tak pomyśleć? Mama przecież żyje, żyje!

Z przerażeniem popatrzyła na oblicze świętego, spoglądającego z ikony. W ciepłym blasku lampki było pełne wyrzutu i smutku.

Za zdrowie, oczywiście. Za zdrowie jej siostry, siostry i pani, Marii.

Przysunęła świecę do jednej z tych, które się już paliły, zapaliła knot, postawiła świecę...

Za zdrowie...

Świeca zgasła. Płomyk zamigotał, zaczął tajać wosk, i koniec, tylko cienki strumyczek dymu...

Anna poczuła chłód w piersi. Maria została tam z Ilją... Wprawdzie się pokajał, ale przecież to zabójca. Bzdura, nie wolno wierzyć w zabobony... wiara w nie w świątyni bożej to podwójne przestępstwo...

Znowu zapaliła świecę, tym razem starannie i bez pośpiechu, czekając, aż popłyną gorące woskowe łzy. Aż płomień stanie się równy i silny. Dopiero wtedy troskliwie postawiła świecę.

Przez jakieś pół minuty świeca paliła się posłusznie. Potem płomień zaczął się kurczyć. Nie przypominało to nieoczekiwanego podmuchu powietrza – płomyk nie trzepotał, tylko wciągał się do środka, znikał, jakby pożerał sam siebie. Żadna ze świec stojących obok nie zgasła.

To było jak sen. Niespieszne i nieuchronne. Odległy głos kapłana, słabe ruchy tłumu i jej ręce, uparcie zapalające świecę po raz trzeci. Teraz Anna była czujna. Ledwie płomień drgnął, objęła świecę, zasłoniła dłońmi, dotknęła płomyka palcami – nie umieraj, świeć!

I płomień posłuchał, płonął. Ale dotykające go palce nie czuły żaru, lecz lodowaty chłód, bezlitośnie spływający po palcach, skuwający mięśnie, zmuszający ręce, by się opuściły.

– Nie – szepnęła Anna. – Nie!

Płomień pociemniał, już nie był żółty, słoneczny. Niebieska iskra przy knocie, czarna źrenica, próbująca wyrzeć zza jej palców...

Ręce opadły, nie mając już sił osłaniać ognia. I płomień zgasł natychmiast, z głośnym trzaskiem, przypominającym westchnienie rwącego się materiału.

Świat zawirował i Anna upadła.

Wyprowadzili ją na powietrze, posadzili na ławce. Dwóch mężczyzn i kobieta, Anna nie widziała wyraźnie przez płynące bez przerwy łzy. Mężczyźni poszli, gdy upewnili się, że dochodzi do siebie. Nie wiadomo przecież, jakie nieszczęście przywiodło człowieka do świątyni. Każdy może się źle poczuć...

Kobieta nadal siedziała obok niej. Nie była młoda, w ciemnym ubraniu i włóczkowym berecie, spod którego wysuwały się siwiejące włosy.

– Lepiej się pani czuje? – zapytała. Wzięła ją za rękę.

Anna w milczeniu kiwnęła głową. Wytarła ręką łzy.

– Nieszczęście?

Nie wiadomo dlaczego skinęła głową. I od razu się zawstydziła. Przecież nie było żadnego nieszczęścia, świat był jasny i czysty. To tylko jej głupi charakter, słabe nerwy...

– Ja... ja nie wiem – poprawiła się. – Chyba nie. Po prostu postawiłam świecę za zdrowie...

– Zgasła?

Kobieta ją rozumiała. Od tego od razu zrobiło się lżej. Znowu popłynęły łzy.

– Tak.

– To nie nieszczęście, dziewczyno. Różne rzeczy się zdarzają, nie wolno z tego powodu płakać.

– Trzy razy zgasła! – wyrzuciła z siebie Anna. – Trzy razy!

– Świece robią ludzie – Kobieta zachowywała spokój. – To przypadek.

Anna skinęła głową. Wiedziała, że tamta ma rację, ale serce nadal tłukło się w piersi, a ona się bała, strasznie bała.

– Jestem głupia... – przyznała Anna. – Przepraszam...

– Nic, nic – kobieta nadal trzymała jej dłonie, grzała w swoich rękach, patrząc gdzieś w dal, ze smutkiem i beznadzieją.

Kobieta skinęła głową i powiedziała:

– Siostra umarła... zabili ją. Jechała w gości i prosię... nie dojechała.

W jej głosie nie było nienawiści ani złości. Pewnie były na początku, ale teraz już znikły, rozplynęły się. Został tylko smutek.

– Zadzwonili wczoraj, a myśmy się już szykowali witać. Znalazła pieniądze, przyleciała...

Anna nie wiedziała, co powiedzieć. Nawet w szpitalu zawsze było jej ciężko rozmawiać z krewnymi tych, którzy odeszli, brali to na siebie inni lekarze. Ale kobieta nie oczekiwała współczucia, mówiła dalej:

– I to jest nieszczęście, dziewczyno. A świeca... świeca to przypadek.

Nie chwaliła się swoim nieszczęściem, ale Anna mimo wszystko zaprotestowała:

– Przypadek też jest w rękach bożych.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Czy Bóg miałby czas czuwać nad każdą świecą? Kiedy za ludźmi nie nadaża...

– Przepraszam – szepnęła Anna. – Bardzo mi przykro, naprawdę.

Kobieta w milczeniu kiwnęła głową.

– Pójdę już – powiedziała Anna. – A pani niech wraca do cerkwi, tam będzie lżej.

– Czy o to chodzi, gdzie lżej?

Znowu nie wiedziała, co powiedzieć. Była tylko głupią, zbłąkaną dziewczyną, starannym, pozbawionym talentu lekarzem, człowiekiem, który nie umie nawet przyjąć szczęścia, które do niego przyszło.

– Proszę, niech pani to wrzuci w cerkwi – Anna wyjęła z kieszeni resztę pieniędzy, podała kobiecie.

Ta popatrzyła na nią zdumiona.

– A nie będziesz żałować? To dużo.

– Wiem. Nie będę.

Kobieta wzięła pieniądze, pokręciła głową.

– Dobrze. Ale nie rób tak na przyszłość. Ludzie bywają różni.

– Pani jest dobra, to przecież widać!

– No i co z tego? Dobra czy zła, to o niczym nie świadczy. To tylko słowa. Dajesz mi tyle pieniędzy, ile ja przez rok nie zarobię.

– To niech pani weźmie sobie! – wykrzyknęła radośnie Anna. – Pani się przydadzą!

Kobieta uśmiechnęła się po raz pierwszy, gorzko, ale z wdzięcznością.

– Nie, nie trzeba. Ze smutkiem każdy walczy sam. Póki sił wystarcza. A ja jeszcze mam siły.

Nachyliła się nad Anną, musnęła wargami jej czoło.

– Szczęścia, dziewczyno. I nie bój się niczego.

– Czy to możliwe?

– Nie. Ale i tak się nie bój.

6

Śniadanie przynieśli im do pokoju. Karamazow z przyjemnością zszedłby z Marią do restauracji – to musi być upajające uczucie siedzieć obok pięknej kobiety, obok swojej kobiety, i chwycić obce spojrzenia skierowane na nią. Ale Marii chyba teraz to przeszkadzało.

To nie. Jeszcze zdąży poznać to uczucie. I nie tylko z Marią. Miał przed sobą bezkresną wolność. Na pewno zwyciężą. Będzie miał każdą kobietę, której zapragnie. A może – słodki ból w piersi – również każdą dziewczynkę? Przecież świat przyjmie jego wolność i dobroć Marii...

I nikt nie ośmieli się z niego śmiać!

– Muszę zadzwonić w jedno miejsce – powiedział Ilja, podchodząc do telefonu. Ten ranek był pełen telefonów, negocjacji i intryg Wysłanników, ale on o tym nie myślał.

– Do kogo? – zapytała Maria.

– Do dyspozytora – uśmiechnął się.

Kobieta zrozumiała. Zapytała lodowatym tonem:

– Masz zamiar kontynuować poprzednie zajęcie?

– To raczej nie jest konieczne. Ale muszę powiadomić o rezygnacji. Etyka zawodowa.

– Jak chcesz – Maria nadal wyglądała na niezadowoloną. Popatrzyła w okno, zmarszczyła brwi i rzuciła: – No i gdzie jest ta dziewczyna?

W jej głosie było znacznie więcej rozdrażnienia niż pół godziny wcześniej w głosie Ilji. Ale on nie ironizował. Wykręcił numer, poczekał na ciamkające starcze „halo”.

– Dzień dobry, Romanie Emiljewiczu. Mówi Georgij.

– Dobry, dobry – wymamrotało na drugim końcu przewodu. – Hydraulik?

Emeryt, który dorabia na chleb i tanią gorzałkę pracą w telefonie kontaktowym, raczej nie domyślał się prawdziwego zajęcia jednego ze swoich klientów. Zresztą, to była norma.

– Hydraulik – powiedział Ilja uśmiechając się.

– Zara, zara – głos staruszka stał się mniej uprzejmy. Hydraulika, niechby nawet najlepszego, nie uznawał za klienta godnego uwagi. – Zapnę sobie rozporek, z toalety mnie wyciągnąłeś.

Karamazow świetnie się bawił.

– Wszystko mam zapisane, dzwonili do ciebie, zaraz...

Ilja stał się czujny. Generalnie nie spodziewał się zamówienia. Zbyt mało czasu minęło od dwóch ostatnich akcji. Ani Romanów, ani drugi stały pośrednik, którego nazwiska na razie nie znał, tak często go nie niepokoił.

Pozostali kontaktowali się z nim innymi drogami.

– Mam. Jest zamówienie – staruszek szeleścił papierami. – Duże zamówienie od Nikołajaja.

Romanów...

– Założyć pięć wanien, krajowych, z dzakuzi – odczytał dziadek. – Słuchaj, a takie bywają?

– Bywają – powiedział Ilja mrużąc oczy. – Ale bardzo rzadko.

Wanny oznaczały likwidację. Krajowe – łatwe zadanie. Dzakuzi – opłatę wyższą niż standardowa.

Do licha, aż żal odmawiać!

– Dawno dzwonił? – zapytał.

– Trzy dni temu. – Staruszek się zająknął. – Czekaj no, coś pokręciłem. Pięć par wanien, krajowych z dzaku...

Cele w parach? Dziesięciu klientów? I to pięć razy dwa, a nie po prostu dziesięć? Ilja ucieszył się. Co za zbieg okoliczności! Więc Romanów, który zlecił zabójstwo Wysłanników dwóm frajerom, próbował wcisnąć zamówienie również jemu!

– I numer mam zapisany! – zakończył staruszek. – Tego... pejdżera...

Zazwyczaj numer pejdżera zostawiano Karamazowowi dopiero po potwierdzeniu zlecenia. On dzwonił i podawał numer, pod którym mogli go znaleźć w ciągu pół godziny. Ale tym razem zleceniodawca najwyraźniej się spieszył.

– Niech pan dyktuje, Romanie Emiljewiczu.

Staruszek posłusznie podał numer. Potem zapytał:

– A może byś ode mnie przyjął zlecenie, co? Rezerwuar mi cieknie drugi miesiąc. Prawie że się wysikać nie można. Rezerwuar radziecki.

Ilja zatrząsł się ze śmiechu. Naprawdę? Rezerwuar cieknie? Akcja – ostrzeżenie – zniszczenie samochodu albo mieszkania klienta, wystrzał pod nogi, groźba kidnapingu...

– Nie, staruszk. Nie zreperuję twojego rezerwuaru. Nie jestem specjalistą. Zresztą, nie wypłaciłbyś się do końca życia, drogo biorę.

– Jak chcesz – odparł z urazą Roman Emiljewicz. – Jakoś przeżyję.

Pożegnał się chłodno i odłożył słuchawkę. Karamazow popatrzył na Marię. Siedziała smarując bułkę dżemem i całą sobą demonstrując pogardę wobec rozmowy.

– Wiesz co, przyjaciółko... – Ilja podszedł do niej, położył rękę na ramieniu. – Chyba trzy dni temu zamówili u mnie zabójstwo pięciu par Wysłanników.

Wysłanniczka Dobra podniosła głowę.

– Tylko pięciu? – Znalazła drobniejszy powód do zdumienia niż sam fakt zlecenia. – No tak, ty się jeszcze wtedy nie ujawniłeś... kto?

– Pomyśl. Komu starczyłoby pieniędzy i kontaktów?

– Wezyr.

Karamazow skinął głową, usiadł przy stoliku.

– Gdyby trochę wcześniej – westchnął. – Odrobinę wcześniej! Mógłbym umówić się na spotkanie...

– Nie sądzę.

– Zbliżyć się...

– On by poznał twoją twarz. Wyczułby, że jesteś jednym z nas.

– Taka szansa!

– Ilja – Maria wzięła go za głowę i potrząsnęła, jak pan, który pieści swojego psotnego, ale wiernego psa. Karamazowowi nie spodobała się ta czułość. – Całe życie składa się z utraconych szans, prawda? Za późno, żeby się przejmować!

– Ale i tak szkoda – odrzekł z uporem.

– Wezyr spotyka się dzisiaj z Żarowem – Maria złożyła ręce na kolanach, naciągnęła na kolana krótką sukienkę i tak zastygła. Wyglądała teraz na pilną i skromną uczennicę... Pogrywa sobie z nim... Karamazow udał, że mu wszystko jedno. – Będą omawiać alians. On i Szedczenko postarają się przekonać pisarza o swoich racjach. Na pewno będą pić. To też dobra szansa.

– Wiem! – Ilja poczuł rozdrażnienie. Sam chciał to wszystko powiedzieć. Czy Maria naprawdę sądzi, że jej zdolności są większe niż jego? – Ale w willi zostaje ochrona.

– Nie poradzisz sobie? – wydawało się, że kobieta szczerze się zdumiała. – Z tobą jest nasza wspólna Siła!

Karamazow nie odpowiedział. No tak, przecież nie zamierza szturmować jednostki wojskowej. Pięciu czy sześciu ochroniarzy, może kilka psów. To ostatnie nawet gorsze.

– Właśnie, tam na pewno jest kilka wyszkolonych piesków – zauważyła Maria, jakby czytając w jego myślach.

– Mówisz tak, jakby to dawało nam przewagę!

– Bo tak jest. Będę z tobą – przynajmniej do zewnętrznego ogrodzenia. Zwierzęta czują moją miłość. Będą służyć dobru.

– Wesoła rzecz ta twoja miłość – wyszeptał Karamazow, patrząc jej w oczy. – Bardzo skuteczna... ale mnie się to podoba.

Skicyn kupił puszkę jasnego holsteina, i teraz mógł spokojnie czekać na Żarowa. Nie najlepszy napój jak na zimny jesienny dzień, ale Stiepan uważał, że piwo jest dobre przy każdej pogodzie.

Jego wygląd wzbudzał w przyjezdnych zaufanie. Trzy razy pytano go już o drogę, a on z przyjemnością wyjaśniał. Nawet pomógł jakiejś dziewczynie znaleźć cerkiew.

Żarow oczywiście się spóźniał. To było w jego stylu. Skicyn zaczął się właśnie zastanawiać nad drugim piwem, gdy spostrzegł pisarza.

* * *

– Kirył, znasz swoje wiersze na pamięć? – zapytał Jarosław, gdy wyszli z metra. Zatrzymał się przy kiosku i kupił papierosy. Chłopcy cierpliwie czekali.

– Niektóre – Kirył od razu sposepniał. – To zemsta, tak?

– Nie. Powiedz mi coś na drogę.

Chłopiec bladł tak szybko, że Żarow skoczył do niego, żeby go złapać. Ale Kirył tylko się cofnął, oparł o ścianę i wyszeptał:

– Chce się pan dowiedzieć, co jest we mnie?

– Tak.

– Arkadij Lwowicz... też prosił. Zanim go zabili...

– Mnie nie zabiją – Jarosław zmusił się do uśmiechu, ale po plecach przebiegł mu dreszcz. – Jestem mocniejszy od Wizarada. Naprawdę.

Kirył patrzył na niego badawczo i ze smutkiem. Wizytor zrobił krok do przodu, zasłaniając prototypa, i gniewnie powiedział:

– Nie będzie nic mówił!

Ale Kirył odsunął go.

– Tylko trochę. Dobrze?

– Zasuwasz – Żarow zapalił. Dzieci wygłaszające swoje wiersze albo czytające opowiadania to nieodmiennie zabawny widok. Zdaje im się, że wszystkie słowa są słuszne, że przynieśli światu coś niebywałego, nowego. Swojego. Dzieci są głupie.

Po co jestem? Nie na próżno?

Tyle rzeczy do zrobienia,

Napisania, powiedzenia,

Już się robi późno.

Już czekają światła plamy,

Moja droga i zakręty,

Nowe wyspy, mórz odmęty

I zamknięte bramy.

Kirył deklamował bardzo dziwnie. Nieprawidłowo. Jakby po prostu mówił. Czasem na chwilę pojawiała się intonacja jak u aktora, widocznie ktoś zatroszczył się o to, żeby nauczyć chłopca deklamacji artystycznej. Ale po chwili znowu się zapominał i mówił.

Czysty zeszyt przypomina.

Masz pytanie w odpowiedzi:

Dziesięć lat na świecie siedzisz.

Dobrze. Czas zaczynać!

Żarow patrzył na Kiryła, mnąc w rękę niedopałek.

– Dawno to napisałem – powiedział chłopiec.

– Gdy miałeś dziesięć lat?

– Aha. Już nie piszę wierszy. Od roku.

Jarosław uśmiechnął się.

– No to co? A ja od pięciu lat nie latam we śnie. Ale kiedyś latałem. I dokładnie to pamiętam.

Żarow nie był sam. Obok niego szło dwóch chłopców, chyba dwunastoletnich, podobnych do siebie jak dwie krople wody.

Skicyn aż stęknął, wyobraziwszy sobie moskiewski zjazd bliźniaków i Jarosława, który przyjechał, żeby wziąć w nim udział razem ze swoim starannie ukrywanym bratem. Genialne. Doskonałe wyjaśnienie jego pracowitości, na przykład. Piszą we dwóch, a po wydawnictwach chodzi tylko Jarosław. Albo nie, pisze jeden, a drugi sprzedaje rękopisy...

Stiepan poszedł w ich stronę, z zalem odrzucając wymyśloną przed chwilą wersję. Różnie w życiu bywa. Ale trudno sobie wyobrazić, że jeden z bliźniaków jest całkowicie pozbawiony ambicji, podczas gdy drugi bynajmniej nie cierpi na jej brak.

– Witaj! – Żarow wyciągnął rękę. Zawahał się i dodał: – Dawno się nie widzieliśmy.

– Od wczorajszego wieczoru? – powiedział Skicyn, mając szczerą nadzieję, że usłyszy potwierdzenie.

Żarow pokręcił głową.

– Dobrze wiesz, że wczoraj mnie u ciebie nie było.

Chłopcy stali z boku, obserwując mężczyzn. Skicyn niezdecydowanie wskazał na nich:

– Kto to?

– Po prostu dzieci. Stiepan, zapomnij o wczorajszym wieczorze. Nie widzieliśmy się.

– Co się dzieje? – Skicyn podszedł bardzo blisko. – Jarek, co się stało?

– Nic. Jesień. – Żarow obejrzał się. – Stiopa, kiedy u was przyjdzie zima?

– Wkrótce. – Skicyn rozejrzał się mimo woli. Woda bryzgająca spod kół samochodów, szara zasłona chmur, ludzie pod parasolami albo w kapturach.

– Dobrze by było – Żarow zerknął na pustą puszkę w jego rękę. – Może jeszcze kiedyś posiedzimy przy piwie.

– Spieszysz się? – Skicyn nie znalazł lepszego pytania.

– Tak, chyba tak. Zaraz jeszcze ktoś podejdzie... o, już są.

Dwaj mężczyźni, którzy wysiedli z łady zaparkowanej nieopodal, byli Skicynowi skądś znani. Jakby ich gdzieś przelotnie widział.

– To z „Basreliefa” – oznajmił Żarow, machając rozglądającym się mężczyznom. Jeden miał aparat fotograficzny, dość ciężki profesjonalny sprzęt. – Rozmawiałem dzisiaj z redaktorem, fajnie, że w niedzielę też ktoś pracuje.

– Masz zamiar na ulicy prowadzić rozmowy o biznesie? Jarek, u nas to nie jest przyjęte...

– U nas też nie.

Dziennikarze podeszli, przywitali się bez szczególnego entuzjazmu. Chyba nie mieli specjalnej ochoty sterczeć na deszczu. Jarosław skinął im przyjaźnie głową.

– Zaraz podjadą.

Skicyn nic nie rozumiał. Jeszcze na kogoś czekają?

– Jarosław, wdepnąłeś w jakąś historię?

- Tak.
- Potrzebujesz...
- Nie. Bywają sytuacje, gdy pomoc nie jest potrzebna. Wierzysz?
- I to jest właśnie taka sytuacja?
- Tak.
- Jarek, kto był u mnie wczoraj?

Żarow uśmiechnął się.

- Wizytor.

Nie kłamał. Po prostu nie uważał, że to potrzebne. Skicyn wiedział, że normalnego wyjaśnienia się nie doczeka.

Chociażby dlatego, że obok żiguli zatrzymał się jeszcze jeden samochód, czarna wołga. Takimi do tej pory jeździli niektórzy deputowani. Jakby odcinając się starym symbolem władzy od limuzyn nowych Rosjan.

- Na razie, Stiepan – Żarow lekko pchnął go w bok.
- Słuchaj, wyjaśnisz mi to kiedyś? – zapytał z determinacją Skicyn.
- Może – odparł bez przekonania Żarow. Skinął ręką dziennikarzom i ten z aparatem zaczął zdejmować futerał, czule osłaniając sprzęt od deszczu.

Przechodząc obok chłopców, Jarosław poklepał jednego po ramieniu. Tylko jednego. Przy czym Skicyn odniósł wrażenie, że pisarz wybrał tego, z którym chciał się pożegnać.

Z wołgi wysiadł kierowca. Ocieężały, niemłody mężczyzna, surowością przypominający wojskowego. Zapalił, stojąc na chodniku i nie zamykając drzwi. Z uśmiechem popatrzył na dziennikarzy, obrzucił obojętnym spojrzeniem Skicyna, potem zaczął wpatrywać się w chłopców.

Wyglądało to na spotkanie starych wrogów, nawet nie wrogów, lecz raczej żołnierzy wrogich armii, odczuwających wobec przeciwnika zawodowy szacunek, ale nie mających żadnych złudzeń co do jakiegokolwiek sympatii. W tym spotkaniu uczestniczyły trzy strony – kierowca, pisarz i dwóch chłopców.

Żarow przywitał się z mężczyzną, zamienili kilka słów, potem pisarz odwrócił się. Patrzył nie na Skicyna i nie na dzieci, z którymi przyszedł, lecz w obiektyw aparatu. Dziennikarz dwa razy leniwie pstryknął, potem jeszcze raz, gdy pisarz wsiadał do samochodu.

Wołga ruszyła.

Skicyn pomyślał, że to mógłby być znakomity i całkowicie surrealistyczny sen. Bardzo często miewał długie, barwne i ciekawe sny, czasem je zapisywał, czasem opowiadał przyjacielom – jak urywki filmów.

Ale w żadnym śnie deszcz nie padał mu za kołnierz.

- Ale pozer – powiedział dziennikarz spluwając. Zerknął na Skicyna.

– Przepraszam, co pan powiedział?

– Mówię, że pański znajomy to pozer! On naprawdę dobrze pisze?

– Całkiem nieźle, tak sympatycznie – powiedział szybko Skicyn. – A o co chodzi?

– On uważa, że to bardzo śmieszna fabuła – pisarz fantasta, którego wynajmuje polityk w celu przygotowania programu przedwyborczego – fotoreporter uśmiechnął się. – Może to zabawne. Ale raczej polityk nie będzie zadowolony, jeśli materiał się ukaże. Załatwił sobie ciepłą posadkę!

– Wystarczy tej gadaniny – uciał drugi dziennikarz, zerkając na Skicyna. Skinął głową, ni to żegnając się, ni po prostu strząsając z kaptura wodę, i poszli do samochodu.

Stiepan nic nie mówił. Z tych nie wyciśniesz więcej ani słowa, i tak się rozgadali. Może uda się w redakcji czegoś dowiedzieć, znał tam kilka osób. Najlepiej wypytać chłopców, kupić im lody,

porozmawiać...

Ale bliźniacy już znikli. Odeszli cichutko, gdy Skicyn rozmawiał z dziennikarzami. Zirytowany Stiepan aż klasnął w ręce.

Do diabła, co się dzieje?

8

W samochodzie było ciepło. Jarosław usiadł z tyłu, jakby odgradzając się od Szedczenki oparciem fotela, rozpiął mokrą kurtkę. Pułkownik musiał zobaczyć w lusterku kaburę pod jego pachą, ale nic nie powiedział. Skręcili w ulice Roźdiestwienską, potem na most Kuzniecki. Szedczenko chyba chciał się przekonać, czy nie mają ogona.

Żarow milczał. Nie on zacznie ten dialog.

– Dlaczego prosił pan, żebym to ja przyjechał? – zapytał w końcu pułkownik.

– Bo trochę pana lubię.

Nikołaj skrzywił się, jakby na znak swojego stosunku do tej sympatii.

– Poza tym, obaj jesteśmy nieudacznikami. Nasi Wizytorzy woleli popełnić samobójstwo niż walczyć.

– Ten, który przyszedł do mnie, zginął w boju – odciął się pułkownik.

– Niech pan da spokój, Szedczenko. Po prostu wybrał inny sposób. Godniejszy. Aż do jego śmierci nie mógł pan podnieść ręki na kobietę. Zresztą, potem też nie było panu łatwo.

Nikołaj nie spierał się. Zapytał:

– Skąd byli ci dziennikarze?

– Zrozumiał pan?

– Oczywiście. Skąd?

– Z Moskwy – uśmiechnął się Żarow.

– Jasne. Niepotrzebnie się pan wysilał, Raszid nie ma zamiaru pana zabić.

– Do czasu, gdy ma nadzieję na alians.

– Ale jest mu pan potrzebny! Po co zbędne ofiary, niech pan sam pomyśli!

– Przecież z panem jadę. To znaczy, że mu ufam. A mała osłona nie zaszkodzi.

– Nie przypuszczałem, że od pisarza usłyszę wykład o taktyce – burknął bez złości Szedczenko. –

Dokąd poszli chłopcy?

– Nie mam bladego pojęcia. Dla ich własnego dobra.

Nikołaj zaśmiał się cicho.

– Jarosławie, czy pan sobie wyobraża, że jest pan Stirlitzem? Spodziewa się pan przesłuchań i tortur?

– Dlaczego nie?

Zahamowali przed światłami. Szedczenko odwrócił się, przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Skinął głową.

– Rzeczywiście, dlaczego nie? Masz rację, pisarzu.

– W takim razie, proszę mnie nazywać literatem. To określenie znacznie bardziej mi się podoba.

Szedczenko prychnął, samochód znowu ruszył.

– Będziemy jechać jeszcze z pół godziny – oznajmił pułkownik. – Jak pan chce, to niech pan pali.

Żarow wyjął papierosa, zapalił, zaciągnął się i lekko opuścił szybę. Mokry wiatr uderzył go w twarz.

– Szedczenko, lubił pan w dzieciństwie siedzieć w samochodzie przy otwartym oknie? Żeby wiatr

sprawiał, że trzeba mrużyć oczy, i wdychało się go ciężko, jak wodę?

– W dzieciństwie rzadko siedziałem w samochodzie – Nikołaj milczał chwile, wreszcie kiwnął głową. – Ale w ogóle tak. Lubilem.

– A ja nadal lubię – powiedział w zadumie Jarosław.

Wyjechali za obwodnicę, gdy pułkownik znowu się odezwał:

– Czego chciał pana Wizytor?

– Wszystkiego co najlepsze – odparł błyskawicznie pisarz. – Szczęścia, radości i powszechnego dobrobytu. Śmieszne?

– Nieszczególnie. Wychodzi na to, że wszyscy Wizytorzy to wspaniali, dobrzy ludzie.

– A czego się pan spodziewał? Że któryś z nich oświadczy: „Jestem bydlakiem, psychopata, gotowym utopić świat we krwi?” To nie ich pragnienia są niebezpieczne. Niebezpieczne są metody, którymi planują osiągnąć szczęście.

– Dobrymi chęciami...

– Przeciwnie, pułkowniku. Złymi metodami wybrukowany jest raj. Na tym polega problem. Nie boję się myśli, że zamiast setek zadowolonych, sytych polityków rządzić będzie jeden okrutny i cyniczny dyktator. Od tego na ziemi bólu nie przybędzie. Ale kto odda swój kawałek władzy?

– Myśli pan, że Hajretdinow nic nie osiągnie?

– Osiągnie, ale jak? Twoimi metodami, Nikołaj? Czołgi i kule?

– Najwidoczniej – zgodził się nieoczekiwanie Szedczenko. – Ale bez tego nigdy nie można się było obejść. Drużyna z mieczami, rycerze w zbrojach, puszkarze – to zawsze stało za Władzą.

– Dobrze, że pan mówi „za”.

– Szansę stania na czele już straciłem.

Pisarz skinął głową i wyjął papierosy.

– Zapalisz?

Szedczenko wyciągnął rękę, wziął papierosa, przypalił elektryczną zapalniczką, podał do tyłu. Niechętnie powiedział:

– Lepiej by było, gdybyśmy się nie spotykali. Nigdy. Nie przyszliby ci... nadzy dobroczyńcy.

– To nie zależało od nas.

– Jesteś pewien, literacie? – Szedczenko uśmiechnął się. – Janie. Chcieliśmy zmian. Marzyliśmy o nich. Wiedzieliśmy, że nie ma w nas siły, ale nie chcieliśmy się do tego przyznać. Sami ich wezwaliśmy! Już dawno, leżąc z głową w gnoju, uśmiechając się do łajdaków i zaciskając zęby, szeptaaliśmy: przyjdźcie! Przyjdźcie, Siło i Władzo, Wiedzo i Dobro! Modliliśmy się o to piękno, które uratuje świat, które ty, literat, nam podarujesz! Marzyliśmy o trzeciej drodze, nowej prawdzie, którą niewinne dziecko przyniesie światu! Chcieliśmy ich, chcieliśmy! I dostaliśmy!

– Wysłannika Ciemności też my wzywaliśmy – powiedział pisarz. Szedczenko popatrzył na niego, ale Żarow nie kpił. – Żebyśmy mieli kogo nienawidzić. Brawo, pułkowniku. Tylko po co o tym teraz mówić? Za późno.

– Teraz możemy wybrać mniejsze zło.

9

Siemion wszedł do gabinetu, gdy Wezyr kończył rozmowę przez telefon. Zastygł u drzwi. Wysłannik Władzy nie zwracał na Siemiona uwagi. Kogo on, Wysłannik, choćby przypadkiem, poddał presji Siły, ten nie zdradzi już nigdy.

– Reszta sumy? – zapytał Wezyr. Wysłuchał przepaszającego wyjaśnienia człowieka zajmującego

w Wołżańskim Mazucie skromne stanowisko konsultanta do spraw przewozu. – Dobrze, to nie twoja wina. – Hajretdinow miał minę nie wróżącą nic dobrego winnym zwłoki. Cholera! Musiał się grzebać w niedoróbkach prototypu. Niezbyt poważnych, ale wymagających jego uwagi. Pieniądze będą potrzebne. Chce wejść do Kremla legalną drogą, a na takiej drodze zawsze są wysokie opłaty. – Załatwię to, taka sytuacja więcej się nie powtórzy.

Odłożył słuchawkę. Dobrecowa trzeba będzie wymienić. Za jakiś czas. Kim Rodionowicz jest już trochę przestraszony i pragnie odzyskać zaufanie. Teraz będzie w terminie przelewał pieniądze za nielegalne operacje reeksportowe. Liczy na przebaczenie... głupiec.

Władza nie przebacza tym, którzy choć raz próbowali ją oszukać.

– Co, Siemion?

– Szedczenko wrócił.

– Sam?

– Nie, z jakimś mężczyzną.

– Niech wejdą – rzucił gniewnie Wezyr. – A właśnie, Siemion, wzmocnijcie ochronę terytorium.

Siemion stał się czujny.

– Mam poważne podstawy przypuszczać... – Wezyr postanowił być szczery – że dziś dojdzie do próby aktu terrorystycznego.

Ochroniarz próbował połączyć sens zdania i spokojny ton Hajretdinowa. Wyciągnął zły wniosek.

– Na czym skoncentrować uwagę, Raszidzie Gulamowiczu?

– Siemion... – Wezyr pokręcił z wyrzutem głową. – Nie potrzebuję kapitału politycznego, zbitego na fałszywych zamachach. Wcześniej czy później zaczęto by podejrzewać... naprawdę sędzę, że ktoś szykuje zamach.

– Skontaktować się z wydziałem ochrony parlamentu? Jest nas tylko sześciu, Raszidzie Gulamowiczu!

– Zamachowiec będzie jeden. Wprawdzie to bardzo utalentowany samotnik, ale samotnik. Nie warto odstraszać go tłumem bojowników OMON-u, bo zaczął się i ponowi próbę. Lepiej skończyć z nim raz na zawsze.

Siemion niepewnie skinął głową.

– Poradzicie sobie?

– Z samotnikiem – poradzimy.

– To zawodowiec. Najemny killer wysokiej klasy.

– To on ostrzelał samochód?

– Tak.

Siemion o nic więcej nie pytał, a Wezyr wolał nie wdawać się w szczegóły. W zasadzie nie był do końca pewien swojej prognozy. Ale dzisiejsze spotkanie było sporą szansą dla Wysłannika Ciemności, nie zechce jej zmarnować.

Najważniejsza sprawa – skończyć z killerem. Zamach w każdym wypadku, nawet w razie niepowodzenia, przyniesie nieodwracalną szkodę – przyciągnie uwagę służb specjalnych i dziennikarzy. Nieczęsto poluje się na deputowanych z takim zapałem i energią. Nieuchronnie pojawiają się wersje o jego udziale w mafijnych porachunkach, KNB wzmocni kontrolę, zaczną się pytania o Szedczenkę: co robi ukraiński pułkownik w otoczeniu rosyjskiego polityka? Wypłynie fakt wydania Nikołajowi broni, ktoś powiąże jego osobę z wydarzeniami na WDNCH...

I będzie cholernie trudno zakończyć grę z pozostałymi konkurentami...

Szedczenko wszedł do gabinetu pewnym krokiem, nawet nie zapukał. Widocznie demonstruje pisarzowi ich przyjacielskie stosunki. Wezyr wstał i podszedł do nich.

Twarz Żarowa znał doskonale. Ale w rzeczywistości okazała się nieoczekiwanie pomięta, zmęczona. Ciemne kręgi pod oczami, widoczny brzuszek, opryskane krwią dżinsy, workowaty sweter. Nie dba o siebie... a przecież bywało, że Wysłannik Twórczości był zgrabnym, eleganckim piękniśm; mieczem władał nie gorzej niż Wysłannik Siły, a językiem... podrywał tłumy i rzucał je na śmierć.

– Cieszę się, że pana widzę, Jarosławie – wyciągnął rękę. Żarow odpowiedział uściskiem. Dobry znak. Nawet jeśli sam sobie tego nie uświadamia, jest samotny i boi się. Pragnie silnych sprzymierzeńców, obrony, pewności, pochwały. – Przede wszystkim, potwierdzam wszystkie swoje gwarancje. Może pan nas w każdym momencie opuścić. Zostanie pan odwieziony do dowolnego punktu miasta, nikt nie wyrządzi panu najmniejszej krzywdy.

– Skąd ten humanitaryzm, Wezyrze?

– Zasady gry, Jarosławie.

– Zawsze uważałem politykę za grę bez zasad.

– Nie jestem politykiem – Wezyr popatrzył mu w oczy i powiedział, podnosząc głos, wymacując jego duszę: – Jestem Władzą.

Żadnej reakcji. Kpina w spojrzeniu. Zmęczenie i drwina. Nie da się go tak łatwo złamać jak porucznika.

To jednak prototyp. Tym bardziej prototyp Twórczości. Zawsze nienawidził Władzy, chyba że niósł ją sam. W tym był bliższy Wysłannikowi Ciemności, nawet jeśli walczył z nim bardziej zaciekle od innych. Różnica między nimi legła na cienkiej krawędzi moralności, którą łatwo wyczuć, ale nie sposób określić.

– Brawo – powiedział prawie szczerze Wezyr. – Trzyma się pan, uznaje swoje błędy, chce pan szukać kompromisów... – i natychmiast się poprawił: – Dopóki nie są one sprzeczne z sumieniem.

Wezyr podszedł do biurka, wyjął koniak.

– Napije się pan?

Pisarz skinął głową.

Wysłannik Władzy odmierzył do trzech kieliszków po odrobinie koniaku. Pisarz wypił pierwszy – albo ufał, albo rozumiał, że Hajretdinow nie ma powodu, by truć go we własnym gabinecie. Na razie.

– Przejdziemy na „ty”?

– Jak pan sobie życzy.

Wezyr gestem zaprosił jego i Szedczenkę do kominka. Tam już stały trzy fotele i malutki stolik. Koniak wziął ze sobą, cała reszta została przygotowana wcześniej. Pisarz usiadł, wyciągnął do ognia nogi w brudnych butach. Zaśmiał się:

– Ogień w kominku, dobry koniak, plasterki cytryny... dyskusja z mądrymi ludźmi... Jaka miła atmosfera. Aż się nie chce wychodzić.

– To wcale nie jest konieczne – Wezyr dolał koniaku. – Ale jeśli boi się pan utracić w ciepłe czujność, możemy przejść do ogrodu. Zimno, błoto, mży deszcz...

– Nie, po co? – pisarz obracał w rękach kieliszek, patrząc w ogień. – Proszę zaczynać. Niech mi pan opowie, czego pan chce od świata. I dlaczego miałbym być z panem.

– To będzie długa opowieść.

– Czy gdzieś nam się spieszy?

nie martwiło. W budce przy metrze Krasnopriesnienka kupili po wielkim hamburgerze i kubku gorącej kawy. Z jakiegoś powodu nie było cukru, ale tak zmarzli, że nawet gorzka kawa wydawała się smaczna. Potem Wiz kupił jeszcze jednego marsa i uczciwie przełamali go na pół.

– Może pójdziemy do zoo? – pół żartem, pół serio zaproponował Wizytor.

– Po co?

– Musimy przecież gdzieś poczekać, aż się wszystko wyjaśni.

Kirył jadł batonik i rozmyślał. Na ulicy było nieprzyjemnie i niebezpiecznie. Jakiś milicjant mógł sobie przypomnieć ich zdjęcie. W metrze to samo ryzyko, poza tym nie chciał wchodzić pod ziemię. Teraz to już pewnie na zawsze.

Strach przed wąskimi przejściami, przed strumieniem ludzi, w którym tak łatwo poczuć się bezpiecznie i tak łatwo przekonać się, że to błąd. Strach przed pociskami, miotającymi się pomiędzy ścianami, przed wykrzywionymi przerażeniem szalonymi twarzami. Gdy uciekali, ludzie omal nie zdeptali Wizytora. Arkadij Lwowicz dosłownie wyrwał go z tłumu, przycisnął do ściany, pozwolił złapać oddech.

– Chodźmy – zgodził się Kirył.

Opłata za wejście była symboliczna – pięćset rubli za dziecko. Ludzi było dużo mimo niesprzyjającej pogody. Szkoda tylko, że wiele zwierząt już przeniesiono do pomieszczeń na zimę. Chłopcy postali chwilę przed klatką z niedźwiedziami. Było coś zwodniczego w tych zwierzętach. Oszukańcza pokora i utajone okrucieństwo. Jak w ludziach.

A jednak dobrze wymyślili z tymi ogrodami zoologicznymi. Cyrk mu się nie podobał – Kirył nigdy nie rozumiał tej sztuki, zawsze robiło mu się smutno, gdy patrzył na napięte uśmiechy gimnastyków, sztuczną wesołość klaunów, a na widok słynnego tresera z wymusztrowanymi kotami brała go złość. To głupota urządzać widowiska, na których widzowie uważają śmiech za swój obowiązek. Ogrody zoologiczne są uczciwsze.

Krata – niczym granica.

My to nie zwierzęta.

Zwierzęta to nie my.

– Chodź, popatrzymy na wilki – zaproponował Wiz.

Ale najpierw jeszcze się przepchali do klatki z tygrysami. Zwierzęta drzemały w kamiennej grocie, wyraźnie nie mając ochoty wychodzić na deszcz. Tylko od czasu do czasu jeden unosił powieki, obrzucał ludzi za ogrodzeniem drapieżnym żółtym spojrzeniem i drzemał dalej. Nie miał zamiaru uznawać niewoli. Złapali go, odgradzili od zdobyczy, ale pozostał zwierzęciem, uczciwym i bezlitosnym zabójcą. Zebranie to dobre dla niedźwiedzi i małą. I ludzi.

Tygrys zawsze będzie tygrysem.

Kirył chciał się dowiedzieć, ile zwierząt jest na wybiegu, ile mają lat, ale nie znalazł nigdzie tabliczki. Pewnie zabrał ją jakiś kolekcjoner. Kirył znał jednego takiego zbieracza – cały pokój miał obwieszony metalowymi, plastikowymi, drewnianymi tabliczkami: „Pracuje laser!” „Uwaga, miny!” „Jasnowidz międzynarodowej sławy”... Może na tabliczkę „Amurskie tygrysy” też znalazło się miejsce.

Poszli dalej, kupili lody. Wizowi skończyły się pieniądze, płacił Kirył. Było koło drugiej. Pisarz jest już chyba u Hajretdinowa. Kirył miał nadzieję, że się dogadają.

To by było super mieć takiego sprzymierzeńca. Choćby na jakiś czas pozbyć się strachu. Polityków zawsze się ochrania, a Hajretdinow to w dodatku biznesmen. Na pewno ma mnóstwo ochroniarzy, mocnych facetów z automatami i skąpymi uśmiechami – jak z amerykańskich filmów. I zawsze zwyciężają wrogów. Ani jego, ani Wiza nie skrzywdzą. Mieszka sobie Hajretdinow gdzieś za

miałem, wokół domu na pewno jest ogród. Tam nawet deszcz powinien padać inaczej. Może jest też pies, wściekły, bojowy. Kirył bardzo lubił psy i nie rozumiał, jak można się ich bać. Nawet pitbuli. To nie ich wina, że są takie brzydkie.

Idących za nimi małolatów nie zauważyli od razu. Jakoś tak sobie wbili w głowę, że bać się należy tylko jednego człowieka – chłopaka z oczami w kolorze jesiennego nieba.

A to byli ich rówieśnicy, może trochę starsi. Trzej, wyluzowani, w specjalnie podartych dżinsach. Tak bardzo chcieliby się nazywać chuliganami... sami siebie oczywiście. Oni też byli drapieżnikami, chociaż nie takiego kalibru jak tygrysy. Trzy dorastające szakale wypróbowały zęby.

– Wiz – szepnął Kirył. Wizytor odwrócił się i popatrzył na niego. W oczach miał lekki przestraszenie – odbicie tego strachu, który dotknął Kiryła. Chłopaki przyspieszyli kroku. Może nawet początkowo nie mieli zamiaru się ich czepiać. Ale teraz dostrzegli strach i chłopcy bliźniacy przemienili się w zdobywców. Łatwą zdobyczą – zbyt czysto i inteligentnie wyglądali.

Jak na złość nikogo nie było. Szli pomiędzy ogromnymi pustymi klatkami dla ptaków, z kamiennymi wzniesieniami pośrodku, odgradzającymi je od odwiedzających.

– Hej! – krzyknął jeden z podrostków. – Stójcie!

Drugi szybko się obejrzał, sprawdzając, czy ktoś za nimi nie idzie.

Nie uciekali – na to było za późno. Tylko rozpaliliby hazard w tych szakalach.

Podobno gdy ofiara próbuje ratować się ucieczką, podnieca to drapieżnika.

– Pieniądze i możecie spadać – powiedział szybko chłopak, który kazał im się zatrzymać. – Szybko.

Nawet nie groził, po prostu wydawał rozkazy. I żadnej nienawiści. Ot tak, nawinęło się dwóch czystutkich chłopaczków. Na piwo i papierosy wystarczy. Dlaczego by nie skorzystać?

– Nie mamy – Wiz demonstracyjnie wywrócił kieszenie. – O!

W błoto upadła sturublowa moneta. Chłopak nachylił się, podniósł, troskliwie wytarł.

– Nie rzucaj się, gnojku. Ty, szybko!

Chyba wszyscy trzej już zrozumieli, że oporu nie będzie. Rozluźnili się. Jeden szczyrzył zęby w uśmiechu, wyraźnie mu się to wszystko podobało. Pewnie miałby ochotę się bić – a raczej pobić bliźniaków.

Kirył cofnął się o krok.

– Nie szarp się, bo wrócisz do domu bez spodni – powiedział chłopak. Nadal był spokojny. Nawet dobroniosny. Jednak napiją się piwa...

– Chłopaki! – Wizytor szybko wsadził rękę do kieszeni kurtki. Kirył już wiedział, co zobaczy.

„Chłopaki” zamarli, patrząc na rewolwer.

– Jeśli chociaż raz kichnę od twojej pukawki... – powiedział przywódca i zrobił krok do przodu. – Wyrwę ci jaja i wsadzę do nosa...

Nie zdążył dokończyć tego wykładu z chirurgii. Wizytor wystrzelił.

Pomiędzy nimi były dwa metry. Kirył miał wrażenie, że wyrzut prochu uderzył chłopaka w twarz. Pewnie nawet mu rzes nie opaliło, ale mieszanina, którą Wizard wsadził do naboju, zadziałała.

Twarz chłopaka nagle się rozluźniła, rozlała, stała się miękka, dobra, niemal ładna. Odchylił się, jakby miał ciało z waty, i upadł na plecy.

Czy potrzebny jest strzał, żeby zobaczyć, jaki powinien być człowiek?

Wszyscy rzucili się do ucieczki – Kirył, Wizytor i tamtych dwóch. Oczywiście tamci myśleli, że ich przywódca nie żyje. Gaz nie daje takich efektów.

Dwieście metrów dalej Kirył zatrzymał się, łapiąc oddech. Nikt ich nie gonił. Dorośli nie zwracali na dzieciaki żadnej uwagi.

- Ale numer! – Wiz chichotał. – Aleśmy ich!...
- Sprowadzą milicję – powiedział przestraszony Kirył.
- I co z tego? Za dziesięć minut ten drań będzie wyglądał jak nowy.
- Lepiej stąd chodźmy.

– Dobrze – Wiz chwycił go za rękę. Był pobudzony i dumny z własnego wyczynu. – Widziałeś? Od razu! Bum – i leży!

– Bałem się, że tam jest kula ze śrutem – przyznał się Kirył.

– Nie, pamiętałem. Rano sprawdzałem, jak idą pociski. Jest jeszcze jeden z trucizną, a potem trzy ze śrutem. – Wizytor przestał się śmiać. – Mogło nie wystarczyć, gdyby się nie przestraszyli...

– Mógłbyś wystrzelić ostrym? – zapytał Kirył. Już wychodzili z zoo i nikogo, kto mógłby usłyszeć ich rozmowę, obok nie było. Ale Wizytor nie odpowiedział. Kirył przeszedł dziesięć metrów, przypominając sobie całe zajście. Podniesiony pistolet, trzask, twarz chuligana, która stawiała się dobra... – Ja bym nie mógł – przyznał się.

11

Ten niemłody człowiek z delikatną twarzą o wschodniej urodzie umiał być czarujący. Zresztą, Wezyr nie był człowiekiem. Był więcej niż człowiekiem.

Pisarz trzymał kieliszek w dłoni. Ciemny, stary koniak zostawiał na szkle oleiste smugi. Szkoda, że nie ma tu Sławy, Wysłannika Twórczości, złośliwego i nerwowego, znajdującego Wysłannika Władzy z poprzednich przyjsć, mającego doświadczenie w tych strasznych grach. Gotowego w każdej chwili osądzić przeciwnika, znaleźć nitkę kłamstwa w barwnym gobelinie szczęśliwej przyszłości.

Wezyr był czarujący, ale łatwo mógł stać się bezlitosny i okrutny. Niósł swoją prawdę – prawdę silnej ręki i żelaznej władzy. Jaką postać przyjmie, gdy osiągnie cel – nieważne.

A może ważne? Dla tych, którym przyjdzie decydować, po czyjej stronie stanąć.

– Nad czym się tak zamyśliłeś, Jarosławie?

– Piękne słowa, Wezyr. Porządek i sprawiedliwość. Zbrodnia i kara, rozwój i tradycje. Niech rozkwitają kwiaty, chwastami się zajmiemy...

Hajretdinow prychnął:

– Coś ci się nie podoba, pisarzu?

– Nie wierze. Jeśli mam być szczery – po prostu nie wierze w słowa.

– A w czyny?

– Jakie? Nielegalny handel, skorumpowani śledczy, sprzedajni dziennikarze? Zabójstwa na zamówienie?

– Byłem bardzo szczery – powiedział sucho Wezyr. – Powiem tylko, że to wszystko są postęпки prototypu. Śmiesznie byłoby obwiniać o to mnie.

– Ale przecież przyszedłeś do niego? Więc to była również twoja droga!

– To jest obecnie jedyna droga! I zawsze tak było – idąc w górę, musisz się ubrudzić! Za to ja znam drogę. I sprawię, że nikt inny nią nie przejdzie.

– Boisz się konkurentów?

– Wybawię ich od moralnych mąk. Setki cierpiące na przerost ambicji i walczące o tron nie sprawiają, że życie stanie się lepsze. Ja ustawię ich na swoich miejscach.

– Zdarzało ci się być królem?

Wezyr tylko się uśmiechnął.

– Łatwiej? – Żarow kontynuował przesłuchanie.

– Nie. Nikt nie wątpi, że jesteś wybrańcem. Prócz innych pomazańców bożych. A tylko oni coś znaczą.

– Dobrze. Odrodzisz imperium. Dalej? Zadowolili cię jedna szósta lądu?

Wezyr pokręcił głową.

– Nie zadowolili mnie nawet kula ziemską, Jarosławie. Władza nie ma granic. Gdyby Stalin został przy władzy jeszcze dziesięć lat, ludzie już chodziliby po Marsie.

– I szykowali się do wylądowania na Słońcu – Żarow rozumiał, że prowokuje Wezyra, ale nie było innego sposobu. – Nie odpowiedziałeś. Imperium. Co dalej?

– Jarosław, ty uparcie uważasz mnie za hybrydę Stalina, Napoleona i Czyngischana...

– A nie mam racji? – Żarow napotkał spojrzenie Szedczenki. Pułkownik też się zainteresował.

– Oczywiście, że nie. Świat się zmienił. Ziemia brzemenna jest w śmierć. Broń jądrowa, broń chemiczna, „stelsy”, lasery na orbitach.

– No, to ostatnie na razie... – Żarow zamilkł, widząc kpiący uśmiech Wezyra i odwrócone oczy Szedczenki. No tak. Skąd on może wiedzieć, co zdążyło się już przenieść z powieści fantastycznych do realnego życia?

Władza nigdy nie lubiła fantastyki. Właśnie dlatego, że ta czasem odgadywała prawdę.

– Jarosławie Siergiejewiczu, świat jest bardziej wybuchowy, niż sądzisz – Wezyr nie kpił, nie chwalił się swoją wiedzą, po prostu informował. – Mógłbym opowiedzieć kilka wesołych historyjek, a Kola uzupełniłby opowieść. Wirusy zabijające wybiórczo z orientacją na rasę, wiek czy płeć. Psychotropowa broń, o której tak lubią pisać bulwarowe gazety. Grupy jasnowidzów na służbie rządów.

– W takim razie, czego chcesz? Wezyr, nie dojdiesz do władzy! Pozostali gotowi są zadowolić się cichym zwycięstwem. Ale tobie potrzebna jest właśnie władza – otwarta i nieograniczona!

– Zależy, co się rozumie pod pojęciem władzy, pisarzu – Wezyr nalał sobie odrobinę koniaku, Żarowowi znacznie więcej, Szedczenko został z pustym kieliszkiem. – Kola, ty musisz być w formie... Jarosławie, władza bywa różna.

– To znaczy?

– Związku Radzieckiego nie rozwały czołgi czy lotniskowce. Nawet ambicje wodzów. Informacja, Jarosław. Zachodnie czasopisma i piękne filmy, ideologia humanizmu – kłamliwa, ale pociągająca, sieci komputerowe i łączność satelitarna. Informacja jest teraz silniejsza od czołgów. Informacja obala prezydentów i zmusza naród do głosowania. Informacja kształtuje marzenia i cele.

– I masz zamiar ograniczyć informacje?

– Coś ty, pisarzu! Najbardziej niebezpieczne i bezsensowne zajęcie. Informacja to tylko broń. Można ją ująć w ręce i zmusić do służenia. Udowodnić ludziom, że jedzenie piany mydlanej co rano jest pożyteczne i odżywcze, że plemię buszmenów w liczbie czterdziestu ludzi to przywódcy światowego terroryzmu, że w wieku siedemdziesięciu lat człowiek osiąga szczyt fizycznej i umysłowej formy. Wszystko można udowodnić. Wschód nazwać północą, na miejscu Chramu Zbawiciela znowu wykopać basen i zalać święconą wodą, samochody koloru „mokrego asfaltu” ogłosić przyczyną trzęsienia ziemi. Pole informacyjne nie zna granic i ras. Odrzuca wszystkie zakazy – i na tym polega jego główna słabość. Łatwo manipulować tym brakiem ram. Nie ma punktów orientacyjnych, nie można zauważyć, jak zmieniły się cele.

– Chcesz władać umysłami – powiedział Żarow.

– Oczywiście. Ten, kto włada duszami ludzkimi, ten włada światem. To prawda, kiedyś było na odwrót. Trzeba było ujarzmić kraje, żeby podporządkować ludzi. Teraz nastały inne czasy. Ludzkie podejście. Indywidualność najwyższą wartością. Nie odszedł jeszcze czas Siły – nie gardzę nią. Siła

ochroni Władzę dopóty, dopóki ludzie nie zobaczą we mnie uosobienia swoich ideałów. Mogę być różny. Już towarzysz Stalin to rozumiał, tylko brakowało mu techniki... i zdrowego rozsądku. Mnie wystarczy. Ja też będę najlepszym przyjacielem sportowców i wojskowych, emerytów i dzieci. Opiekunem gospodyń domowych, opiekunem debilów, nauczycielem kosmonautów. Każdy zobaczy we mnie siebie. I każdy będzie miał rację.

Żarow popatrzył na Szedczenkę. Ten napotkał jego spojrzenie i skinął głową.

Siła zgadzała się służyć Władzy.

Więc jaki on miał wybór?

Czy w ogóle kiedyś miał wybór?

– Rzeczywiście jestem ci potrzebny – powiedział Żarow z lekkim zdumieniem.

– Tak. Mógłbym cię zamienić na kogoś innego, ale z tobą łatwiej się porozumieć. Będziemy potrzebować wielu takich jak ty. Sam ich wybierzesz.

– I pomogę stworzyć legendę...

– Właśnie legendę. Nie image, nie program przedwyborczy. Legendę, która stanie się prawdą. Widzisz, nawet będziesz miał możliwość wpływu. Przecież ja też będę zmuszony podporządkować się strumieniowi informacyjnemu.

Wezyr uśmiechnął się dobrodusznie.

– Co ci nie odpowiada, pisarzu? Zawsze z czymś walczyłeś, narzucałeś swoje myśli i marzenia otoczeniu. Pisałeś książki, żeby zmienić świat. Teraz to będzie prostsze.

– I rzeczywiście będę miał wpływ?

– W określonych granicach, ma się rozumieć. Będziemy pamiętać o tych granicach, Jarosławie, dla nas informacja zawsze będzie instrumentem. Ale sądzę, że nieprzyjemne zjawiska będziesz mógł... zaniżyć do zera.

Żarow wypił koniak. Płásający w kominku płomień uśmiechał się do niego.

Nie sprzedają się tylko ci, których nie chciano kupić.

Zdoła ograniczyć wygłaszane przez Wezyra brednie do minimum. Możliwe, że przyniesione dobro przeważy zło. Na jakiejś idiotycznej wadze światowej sprawiedliwości.

– Wezyr, jest jeszcze jedna kwestia.

– Kirył i Wizytor?

Żarow przytaknął.

– Nie mam nic przeciwko chłopcu – powiedział uspokajająco Wezyr. – Jestem gotów mu pomóc, jakoś zrekompensować nieprzyjemności... jeśli nawet zdarzyły się nie z mojej winy.

– A Wysłannik Rozwoju?

Wezyr westchnął.

– Gdyby był młodszy i bardziej plastyczny, Jarosławie... rozmawiał pan z nim – niech pan powie, czy on może zrezygnować ze swojej linii? Podporządkować się mnie?

Jarosław milczał, wspominając Wiza. Nawet zapragnął skłamać.

– Nie, Wezyr. Jego prawda jest zbyt odległa od pańskiej. I on już zbyt wiele przeszedł. Wizytor się nie wycofa. A Kirył... Kirył go nie zdradzi.

– Wobec tego decyduj, pisarzu – powiedział po prostu Hajretdinow. – Jeśli zechcesz odejść, nie będę cię powstrzymywał. Szedczenko zawiezie cię do miasta. Zawieziesz, Kola?

Szedczenko w milczeniu skinął głową.

Żarow zamknął oczy. Trochę ciemności, bardzo mało. Odrobina. Ciemne zakurzone lustro w poprzek duszy. Podejść i zetrzeć pył, spojrzeć na siebie.

– Nie warto po alkoholu siadać za kierownicę, pułkowniku – powiedział.

– Czy to znaczy, że zostajesz, literacie? – zapytał Szedczenko.

czy to znaczy, że porzucasz bezbronne dzieci, pismaku?

Informację można wypowiedzieć w różny sposób. Ale oni znają gładką skorupę słów i gorzkie jądro prawdy w środku.

– Tak.

12

Maria nie umiała się złościć.

Złość i kłamstwo to nie były jej mocne strony.

To, co czuła teraz do Anny, można by raczej nazwać urazą.

– Chciałam się tylko przejść – mamrotała dziewczyna, nie podnosząc oczu. – Tylko się przejść.

– I gdzie spacerowałaś? – Maria ubierała się, poprawiała uczesanie, nawet nie patrząc na Annę.

Ta stała przy ścianie, tłumacząc coś z miną winowajczynie...

W końcu Maria usłyszała.

– Cerkiew? Byłaś w cerkwi?

– Tak.

– Po co? Po co ci to, gdy jesteś ze mną?

Anna milczała. Włączył się Karamazow, podszedł do niej, wziął za ramiona. Anna drgnęła, ale nie wrywała się.

– Mario, daj spokój. Dziewczynie jest ciężko. Zbyt szybko się wszystko dzieje. Poszła posłuchać popów, i co takiego?

– Po co jej to? Anno, co z tobą?

– Boję się – powiedziała dziewczyna.

– Dlaczego? Nie wierzysz w nasze siły? Pamiętasz, nawet nas nie mogli zastrzelić!

– Dlatego się boję – tępo powtórzyła Anna.

– Dziewczyny, przestańcie! – Karamazow zaczynał się złościć. – Pora na nas. Zaraz zacznie się ściemniać.

Maria podeszła do nich. Ilja się cofnął. Prototyp i Wysłanniczka patrzyły na siebie. Potem Maria pocałowała dziewczynę w usta, szepnęła:

– Nie trać mojej miłości, Aniu. Nie trać! Jesteś dobra, niepotrzebny ci cerkiewny blichtr!

– Dobra czy zła, co za różnica. To tylko słowa. – Anna uśmiechnęła się, ale Marii nie spodobał się ten uśmiech.

Zawsze to samo... dajesz człowiekowi dobro i miłość, a on próbuje rozdzielić prezent na wszystkich.

Z samochodem nie było problemów. Znowu Karamazow i Anna stali z boku, a Maria zatrzymywała pojazdy. Stał potężny, staromodny ford. Ale coś jej się nie spodobało, trzasnęła drzwiami i samochód odjechał.

– Za dużo chciał? – uśmiechnął się złośliwie Karamazow podchodząc. Maria skrzywiła się.

– Prowadził Czeczen. Większe ryzyko, że nas zatrzymają.

Ilja ze zrozumieniem skinął głową. Słusznie. Lepiej nie ryzykować.

Następna zatrzymała się stara toyota. Maria pokręciła głową i obrażony kierowca ruszył. Dopiero sportowa lancia zyskała jej aprobatę.

Minutę później, gdy Karamazow i Anna wsiadali, kierowca już był posłuszny. Młody elegancki

chłopak, w drogim garniturze i krawacie wartym tyle, ile garnitur. Ilja z przyjemnością pomyślał, ilu takich złodziejskich nuworyszów posłał w Ciemność – na ciche polecenie znacznie mniej rzucających się w oczy, jeżdżących komunikacją miejską biznesmenów.

– Jak się nazywasz? – zapytał Ilja.

Chłopak zerknął na Marię, jakby pytał o pozwolenie na odpowiedź. Wysłanniczka Dobra skinęła głową i twarz młodzieńca rozjaśnił błogi uśmiech.

– Igor...

– Słuchaj, Igor. Musimy dojechać do rządowych willi. Znasz drogę?

– Aha. – Chłopak ostro ruszył z miejsca. Prowadził dobrze, ale ryzykownie.

Karamazow odchylił się na miękkie oparcie, rozluźnił. Wkrótce będą potrzebne wszystkie siły.

– Tam są patrole przy wjeździe – powiedział nieoczekiwanie kierowca. Przepęniało go pragnienie, by dobrze służyć.

– Wiem. Przed patrolem nas wysadzisz.

– Dalej nie chcecie? Mam przepustkę.

Ilja roześmiał się – wszystko się tak pięknie układało. Brawo, Mario, brawo.

– W takim razie przewieziesz nas za posterunek. Dobry z ciebie chłopak, Igor.

Maria też się uśmiechnęła, wyciągnęła rękę i lekko objęła młodzieńca za ramiona. Ilja poczuł ukłucie zazdrości, ale nic nie powiedział.

Po co być zazdrosnym o trupa?

– Mieszkasz tam? – spytała Maria. Chłopak pokręcił głową, zmartwiony, że Wysłanniczka Dobra się pomyliła.

– Nie, narzeczona tam mieszka.

Karamazow ze zrozumieniem skinął głową. Rozmnożenie w wąskim kręgu. Ciekawe, po ilu pokoleniach u nowych Rosjan zacznie się hemofilia i zwyrodnienie?

– Kochasz ją? – indagowała Maria.

Młodzieniec przepaszająco przytaknął. Wysłanniczka popatrzyła na Uje, jakby pytając o radę.

– Wszystko jedno – powiedział Karamazow. – Nie ma sensu zostawiać śladów.

Maria westchnęła. Chłopak popatrzył na nią przestraszony – czy czasem nie obraził takiej pięknej dziewczyny?

– Widzisz stację benzynową? – zapytała Maria.

Igor zerknął w lewo.

– Tak. Tankowałem tu.

– To dobrze. Zawieziesz nas i przyjedziesz tutaj. Bardzo szybko. Przecież masz szybki samochód?

Chłopak z dumą przytaknął.

– Zuch. Potem ci wyjaśnię, co trzeba zrobić.

Maria nie wydawała ostatecznego rozkazu. Po co ma się chłopak zawczasu denerwować? Oczywiście, i tak posłucha, ale będzie się niepokoił...

Anna chlipnęła na tylnym siedzeniu. Wysłanniczka Dobra nie odwróciła się.

Głupia dziewczyna... i po co ona poszła do tej cerkwi?

O szóstej wieczorem zadzwonili po raz drugi. Kirył zabrał Wizowi słuchawkę, sam wykręcił numer. Rozmowa z politykiem musiała być długa. Ale Żarow powinien zwyciężyć, powinien przekonać Wezyra. Przecież umie przekonywać. Teraz pisarz wrócił do mieszkania i czeka na ich

telefon. Spotkają się gdzieś i pojedą razem do Hajretinowa.

Albo, jeśli pisarz nie mógł się dogadać, znajdą inne schronienie. Może kupią bilety do Magadanu albo do Nowosybirsk, i wyjadą na zawsze. Schowają się. Przemienia łowy w chowanego. Kto ich znajdzie?

– Kirył, powieś słuchawkę – powiedział Wizytor. – Ile można czekać? Nie wrócił.

– Zabili go? – zapytał chłopiec.

Wizytor wyrwał mu słuchawkę z rąk i rzucił na widełki. Krzyknął:

– Uspokój się! On nas zdradził, zdradził!

Stali obok siebie pod plastikowym daszkiem automatu. Kirył Korsakow łykał łyzy, patrząc na Wizytora. Pokręcił głową.

– Nie wierzę!

– Dlaczego? Bo lubisz jego książki? To wszystko łgarstwo! Przecież sam powiedział, że książki to jedno, a życie co innego! Jacy z nas sprzymierzeńcy? Co mu da nasze zwycięstwo!

– Nie wiem.

– Nic mu nie da! Gdybym ja zwyciężył, nam byłoby dobrze! Mama... – Wiz drgnął, zamilkł.

– Mama i tak nie zrozumie, skąd się wzięłaś. Nie uwierzy w ciebie.

Przez chwilę chłopcy gotowi byli rzucić się na siebie. Potem Wiz wyszeptał:

– To również moja mama! Nawet... nawet, jeśli będę musiał wyjechać... kiedyś. Czasami bym przyjeżdżał i zamieniał się z tobą miejscami. Ty byś w tym czasie mieszkał u Wiesnina albo u kogoś innego.

– Wybacz – Kirył rozumiał, że Wizytor gada głupstwa, ale w jego głosie było tyle bólu... – Wiz, ja nie wierzę! Nie wierzę! On jest zły, ale nie podły!

Wizytor objął go za ramiona.

– Kirył, powiedzcie ci szczerze?

– Tak...

– Nie chodzi o to, że my nie mamy szans. Szansę są zawsze. Gdyby Żarow z nami został...no, mogło nam się udać!

– A co wtedy? – tępo zapytał Kirył.

– On nas po prostu nienawidzi.

– Dlaczego?

– Dlatego, że on nikogo nie kocha! W ogóle nikogo, tylko swoich bohaterów! Dla nich Żarow jest dobry, oni są dla niego prawdziwi. Bo nie są podli, bo są w jego mocy. Pamiętasz, jak się rano nakręcił? Nieźle go podpuściłeś!

– Może właśnie dlatego...

– I co jeszcze! – krzyknął Wizytor. – Zaczynaj, obwiniaj siebie! On jest pewien, że wszyscy chcą zła. Że nikomu nie można wierzyć.

Kirył zaszlochał. Koniec. Świat stracił ostatni punkt oparcia, zaczął się rozpadać. Pisarz był złym człowiekiem. Ale przecież wczoraj płakał po śmierci Wysłannika Twórczości. Płakał całkiem prawdziwie. Kirył sam miał ochotę się rozryczeć i przytulić do niego, ale tego nie można było robić. Dlatego że on by oczywiście nie płakał po Sławie. Tylko po mamie...

– Wiz, jesteśmy razem? – zapytał.

– Tak.

– Naprawdę? Nie... nie porzucisz mnie?

– Nie. A ty mnie?

Kirył pokręcił głową.

– Zwyciężymy – powiedział Wizytor.

– Wiz, jeśli... jeśli ja... – Kirył Korsakow wiedział, że nie powinien tego mówić. W ogóle nie powinni rozmawiać na ten temat. W piersi pojawił się trwożny chłód, ale chłopiec już nie mógł się zatrzymać. Za dużo było wokół chłodu.

potrzebował kogoś, kto miałby ciepło w oczach.

– Jeśli mnie zabiją, a ty zwyciężysz... Wiz, nie mów nic mamie. Niech myśli, że jesteś prawdziwy. Wizytor skwapliwie kiwnął głową.

– Kirył, nic ci się nie stanie. Zwyciężymy, sami zwyciężymy! Mama jest tylko ranna i szybko wyzdrowieje. Zostaniesz z nią, a ja gdzieś wyjadę.

W jego oczach było ciepło. Kirył sekundę patrzył, potem objął Wiza, niezręcznie, zawsze obejmował tylko mamę. A chłopcy obejmują się jedynie w głupich książkach dla dzieci. Ale musiał się do kogoś przytulić. Poczuć, że ktoś się martwi o niego – małego poetę i przestraszonego chłopca Kiryła Korsakowa.

W oczach Wali Wiesnina też żyło takie ciepło. Tylko on uważał, że dzieci w niczym nie ustępują dorosłym. Że mają prawo o wszystkim decydować i postępować tak, jak chcą.

To bardzo przyjemne kłamstwo, ale mimo wszystko kłamstwo.

I Jarosław Żarow, który uważał dzieci za zdolne do każdego świństwa, który nie umiał kochać i bał się być dobry, też się mylił.

Dlatego, że świat jest taki, jakim go widzisz.

Jeśli nie spodziewasz się miłości, nie otrzymasz jej.

– Wiz, przebijemy się – wyszeptał Kirył.

– Tak.

– Wiz, wszystko będzie dobrze... prawda?

Wysłannik Rozwoju, który miał ciało dziecka, a w duszy ból i strach, wtulił się w ramię Kiryła.

– Nie wiem.

14

Ogrodzenie okazało się mniejszym problemem, niż Ilja sądził. Zwykły drewniany płot, wprawdzie mocny i wysoki, opleciony na górze drutem kolczastym, ale w sumie niepoważny. To nie stalowa, ostra jak brzytwa taśma Jegoza, której powinni zabronić konwencją genewską. Zwykły zardzewiały drut.

Ilja zdjął płaszcz, podciągnął się, narzucił go na płot. Wpatrzył się w sad. Drzewa były nagie, ale rosło tu zbyt dużo świerków i zbyt duża była przestrzeń, żeby go zauważyli.

– Daj rękę, Masza – polecił, wdrapując się na ogrodzenie.

W pokoju ochrony siedziało trzech mężczyzn. Czterech innych dyżurowało na zewnątrz, jeden przy bramie. Gdy niewidoczna nić laserowego czujnika została naruszona, Siemion nawet się nie zdziwił. Tylko uśmiechnął się, przypominając sobie człowieka z automatem na WDNCH.

To nic. Teraz on też ma w rękę karabin i jest na terenie, który powierzono jego ochronie. Prawo jest po jego stronie.

– Pasza, siódmy czujnik wyje.

Były specnazowiec skinął głową, wstając. Obaj poczuli już Władzę, i jeśli pozostałymi ochroniarzami kierował obowiązek, nimi – służba.

– Spuszczę psy – powiedział Paweł.

To był błąd – jedyny, jaki popełnili. Ale nikt by nigdy nie przypuszczał, że to może być wpadka. Psy są nieprzekupne. Psy też służą.

– Leć – Siemion wstał, chwytając ze stołu kedra. Popatrzył na trzeciego towarzysza, chudego Tatara Rinata. Chłopak był niezbyt silny, ale za to doskonały strzelec. – Powiadom Wezyra i wychodź. Ja uprzedzę chłopaków.

Wyjął z kieszeni krótkofalówkę i wybiegł z domu.

Anna nie chciała iść. Nie mogła. Było jej słabo, mdliło ją na wspomnienie spojrzenia kierowcy. Speszony i obrażony, jak u dziecka, któremu matka czułym głosem każe stanąć w kącie. Stropione i posłuszne.

Tylko Igora czekał nie kąt, lecz stacja benzynowa, w którą wjedzie z prędkością dwustu kilometrów na godzinę.

Przecież tam będą ludzie. Samochody i ludzie. Samochody czekające na benzynę, ludzie oczekujący miłości i dobra. Doczekają się tylko płomienia... światła... palącego i śmiercionośnego. Maria mówi, że ich męki nie są daremne. Męki przywiodą ich do wiecznej szczęśliwości.

Czy raj wart jest śmierci?

– Szybciej! – krzyknęła Maria. Anna posłusznie wyciągnęła rękę i Wysłanniczka Dobra pomogła jej wejść na płot. Jaka ona silna... pchnięcie i Anna leci w dół, już jest po tamtej stronie płotu. Ziemia była miękka i dobra, nie chciało się wstawać. Ilja podniósł ją szarpnięciem, potem wyciągnął rękę, pomógł Marii. Przez chwilę się rozglądali, ale było cicho.

– Może razem? – Karamazow trzymał automat w lewej ręce, niedbale, ale pewnie.

Maria pokręciła głową.

– Nie mogę zaryzykować jego życia.

– Tam jeszcze nie ma czego ryzykować! – Karamazow zaklął brzydtko. – Mam w spodniach milion takich, tylko poproś!

Zdobyta pewność męskich zdolności potrzebowała pochwały i cynizmu.

– Już jest – powiedziała Maria równym głosem. – Nie mam zamiaru czekać dziewięć miesięcy. On urodzi się znacznie wcześniej.

Karamazow nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie można było zwlekać. Jeszcze ich nie zauważyli, ale jeśli teren jest patrolowany...

W tym momencie zobaczył psy. Dwa potężne rottweilery, biegnące w ich stronę. Karamazow podrzucił automat, odbezpieczył, ale Maria dotknęła jego łokcia, krzyknęła: – Nie! – i rzuciła się do przodu – na prostującą się sprężynę zwierzęcej nienawiści.

Przed nimi był wróg. Przed nimi był cel.

Szkolono je, by zabijały, i one umiały odróżniać pana od wrogów.

Mężczyzna był bardziej niebezpieczny. Wiedziały, że najpierw trzeba likwidować mężczyzn, potem kobiety, na końcu dzieci. Poza tym mężczyzna miał w rękach tę metalową rzecz, która zadaje śmierć szybciej niż kły.

Ale dwa miały szansę. Któryś zdąży wczepić się w gardło. To, że drugi zginie, tylko przydawało wściekłości. Znały smak ludzkiej krwi – kiedyś pijany włóczęga z głupoty przeszedł przez ogrodzenie...

Kobieta wyszła na przód. Jeden pies skręcił, zachodząc mężczyznę z prawej strony, drugi przyspieszył biegu. Zbije kobietę z nóg jednym skokiem, chlaśnie zębami po gardle, a potem rzuci się na wroga z automatem.

strach. Strach z ciemnych głębi, z pradawnych czasów.

Przed nimi stała nie kobieta, przed nimi był Pan. Ten, którego nienawidziły i bały się tak samo jak ludzie. I tak samo chętnie mu się podporządkowały, jak ludzie. Nie najważniejszy pan, raczej ten, który miałby go przyprowadzić na świat. Ale główny pan był gdzieś obok, jeszcze bezsilny i maleńki, lecz już patrzył na nie spojrzeniem z wnętrza, pełnym bezlitosnej miłości i rozkazu.

Psy zaskomlały, zatrzymały się i podpełzły do kobiety-pana, wlokąc brzuchy po opadłych liściach.

– Moje malutkie – powiedziała Maria. Poklepała jednego po zjeżonej sierści. Zaskomlał. Jakby chciał tej pieczyoty i bał się jej, i nienawidził Marii, i nie mógł jej tego okazać.

– Brawo – wyszeptał Ilja.

– Zauważyli nas. Może tu była sygnalizacja – Maria nachyliła się, zaglądając w oczy psu. Zerwał się, skoczył do Ilji – ten omal nie wystrzelił – i zamarł u jego stóp. – To twój – wyjaśniła Maria. – Drugi zostanie z nami.

Karamazow nie uważał takiego rozkładu sił za sprawiedliwy, ale nie było czasu na dyskusje. Pobiegł w głąb ogrodu i pies rzucił się przodem, jakby dostał od Marii wyraźny rozkaz.

Paweł zobaczył, że z naprzeciwka biegnie pies. Charon, starszy i silniejszy. Biegł spokojnie i Paweł zwolnił, opuszczając broń. Więc to fałszywy alarm. Więc przy ogrodzeniu nikogo nie ma. Drugi rottweiler, Hamlet, pewnie jeszcze biega, chwyta zapachy, szuka wroga. Był młodszy, miał więcej zapału.

Gdy ochroniarz dostrzegł idącego za psem uzbrojonego mężczyznę, nie miał już czasu, by zareagować. Charon już był przy nim, już skoczył – i jego szczęki zamknęły się na gardle dawnego pana, wrywając krtań.

Zachłystując się krwią, Paweł upadł. Pies już go puścił. Był zabójcą, a nie głodnym kundlem. Ale jednak oblizwał mordę.

Ochroniarz umierał jeszcze kilka sekund, z bulgotem wciągając powietrze i krew, patrząc w psie oczy, nadal mądre i wierne.

Wierne komu innemu.

– Dobry pies – wyszeptał Ilja, patrząc na umierającego ochroniarza. Pies posłusznie przyszedł do nogi.

Jak tak dalej pójdzie, ochrona okaże się niezbyt dużym problemem. Gdyby miał drugiego psa, zmietliby ochroniarzy bezszelestnie, czysto, nie zostawiając śladów.

– Idziemy – rozkazał. Przez drzewa było już widać stary dom, ukrywający trzech klientów. Czy Wezyr na niego czeka? Czy dopuszcza podobną bezczelność – atak na jego legowisko?

To już nie miało znaczenia.

CZEŚĆ ÓSMA

FINAŁ

0

Na stole zadzwonił stary telefon i Wezyr podniósł słuchawkę.

– Tak? Kiedy? Uprzedzałem. Pracujcie.

Jarosław niczego nie podejrzewał – głos Hajretdinowa był spokojny, normalny. Ale Szedczenko wstał pospiesznie, patrząc pytająco.

– Ktoś przeniknął na teren – oznajmił Wezyr i uśmiechnął się. – Zbyt łakomy kąsek – trzy cele w jednym miejscu.

Słowa nie dotarły do świadomości Jarosława. Dopiero gdy Wysłannik Władzy wyjął z szuflady stołu mały pistolet, przeładował i schował do kieszeni, pisarz poczuł strach.

– Killer?

– Tak... Kola, weź broń.

Szedczenko szybko wyszedł.

– Wezyr! – Żarow wstał, czując zwodniczą lekkość ruchów. Ile wypił? Dwieście gramów? – Potrzebuję broni.

– Przecież masz – powiedział Wezyr, zerkając na jego odstającą marynarkę.

– Dobrze wiesz, że to gazowy!

– Jarosław, poradzimy sobie sami. Ty... jesteś trochę nie w formie.

– To po co mi dolewałeś! Wiedziałeś, że będzie atak!

– Żebyś nie laź pod kule – powiedział szczerze Wezyr. – Tutaj jest wystarczająco dużo doświadczonych zabójców.

Żarow drgnął jak od uderzenia.

– Myślisz, że zabijanie jest łatwe? – Wezyr stał w głębi pokoju, wpatrując się w okno. – Nie, ty byś co prawda zdołał... ale po co? To nie twoja sprawa. Pozostaw ręce czyste, sumienie dziewicze. Na zewnątrz jest siedmiu zawodowców. Plus Kola. Ochłoń, nie musimy leżeć pod kule.

Siemion zobaczył ciało z odległości pięciu metrów. Leżący na wznak trup z rozerwanym gardłem. Twarz we krwi, krew wokół. Człowiek był w takim samym jak on półwojskowym mundurze,

widocznie założył go dla kamuflażu.

Poczuł natychmiastową ulgę. Nawet jeśli zabójca umiał łykać kule, od psich kłów nie uciekł. Szybko się to skończyło. Ale gdzie są psy? Zostały nauczone, by stać przy ciele. Może atakujących było kilku i pobiegły za pozostałymi?

Na wszelki wypadek obejrzał się, podchodząc do ciała. Zobaczył migający pomiędzy drzewami psi grzbiet. Charon warczał. Dobry, dobry piesek...

Siemion pochylił się nad ciałem, spojrzał w wykrzywioną bólem twarz.

Paweł.

Szok był zbyt wielki. Patrzył na zagryzionego towarzysza, próbując pojąć, co się dzieje. Słyszał nadbiegające z tyłu zwierzę, a jednak nie mógł się odwrócić, by powitać oszalałego psa wystrzałem...

Trzask – niegłośny, miękki. I przedśmiertny pisk.

Siemion odwrócił się.

Rinat stał dziesięć metrów od niego. Przytrzymał dłoń z pistoletem drugą ręką. Rottweiler turlał się po ziemi, kark psa był rozwalony kulą ze steczki.

– Jak... jak na to wpadłeś? – zapytał Siemion ochroniarza.

– Zapytaj lepiej, jak trafiłem – Rinat wyciągnął rękę z pistoletem i wsadził w wijącego się psa jeszcze dwie kule. Charon ucichł. – Chciał na ciebie skoczyć. Co się dzieje?

Karamazow usłyszał wystrzał niemal od razu po tym, jak pies rzucił się z powrotem do ciała. To jeszcze nic nie znaczyło, strzelec mógł spudłować.

Ale dwa następne strzały rozwiały nadzieję.

Zabili psa, dranie.

Już podbiegał do domu, całym ciałem czując swoją bezbronność. Mogli go zastrzelić z ciemnych otworów okien, ktoś mógł zacząć się pośród służbowych budynków albo na dachu. Psiakrew, Wezyr spodziewał się ataku. I jego ochroniarze nie okazali się tłustymi darmozjadami. Zresztą, można to było wywnioskować już ze starcia na szosie. Władza umie się ochraniać...

Dwóch w łaciatych mundurach wybiegło zza rogu... Pewnie spieszyli się, by zająć te samą pozycje przy garażach, którą on dostrzegł. Za bardzo się spieszyli do swojego celu, nie spodziewali się, że wróg zdołał się już tak przybliżyć.

Karamazow ukląkł, otwierając ogień. Pierwszego ochroniarza ściął od razu – ten nawet nie zdążył niczego zrozumieć. Drugi wystrzelił raz i odleciał do ściany, natykając się na ołów.

Dwóch załatwionych...

Ilja wstał, zastanawiając się, czy warto podejść do ciał i sprawdzić. Ochroniarz zagryziony przez psa nie miał kamizelki. Ale jeśli ci dwaj założyli...

Coś poruszyło się w piersi, trwożnie i ostrzegawczo. Ilja skoczył do przodu, a kule zagwizdały mu za plecami. Dzięki, Ciemność... odwrócił się i długą histeryczną serią rozstrzelał jeszcze jednego ochroniarza. Tym razem zobaczył krew i zrozumiał, że ochrona postawiła nie na kamizelki, lecz na swobodę ruchów.

Trzeci załatwiony... i jeszcze ten, którego pies... czterej ochroniarze zabici. Ilu jeszcze zostało?

Wezyr drobnymi krokami podszedł do okna. Przycisnął twarz do szyby, szybko się rozejrzał i cofnął, szarpiąc za sznur. Na okno opadły ciężkie zasłony.

– Trzech załatwionych – powiedział do Żarowa.

– Trzech napastników?

– Nie, ochroniarzy – Hajretdinow uśmiechnął się krzywo. – Jak lepiej powiedzieć: niedocnienie przeciwnika czy przecenienie siebie?

– Lepiej powiedzieć: zbyt pewność siebie. – Jarosław wyjął kretański pistolet gazowy i poprosił: – Daj mi broń, Wezyr.

– Nie mam więcej broni – Wezyr szarpnął się, wycelował w stronę otwierających się drzwi. Ale to był Szedczenko z masywnym pistoletem w ręku. – Kola, oni już są przy domu! Straciliśmy trzech! Pułkownik skinął głową.

– Wezwalesz posiłki?

– To sprawa ochrony!

– Sprawdź! Obłoczyłeś się telefonami, to chociaż na policję zadzwoń!

– Znam lepsze numery – Wezyr posłusznie podniósł słuchawkę. – Gnoj, a nie ochrona...

– Nie ja ją wybierałem – Szedczenko wyjrzał na korytarz i skinął na Żarowa. – Idziemy, literacie! Coś działo się tuż przed domem. Siemion usłyszał strzały z pistoletów, potem gdakanie automatu. Ci trzej, którzy dyżurowali przy domu, byli uzbrojeni jedynie w pistolety.

– Rinat, zaraz wróć.

Tatar skinął głową, mając zamiar iść za nim.

– Poczekaj. Sprawdź, skąd on przyszedł. Jeśli za płotem jest samochód, zniszcz, przebij opony.

– Po co?

Myślał kategoriami ochroniarza, a nie zabójcy. Jeszcze nie dotknęła go Władza, która wyjaśniała, co należy robić. Trzeba nie tylko odeprzeć atak, ale zniszczyć wroga, nie pozwolić mu odejść.

– Wykonać! – warknął Siemion. Odblask siły, którą skierował na niego Wezyr, żył w jego duszy. Rinat drgnął, kiwnąwszy głową.

Siemion już biegł do willi. Nie miał złudzeń, widział killera w walce. Trzech młodziaków dyżurujących pod domem było martwych.

Jeśli się zawaha, jeśli się pomyli, Wezyr zginie.

A to znaczy, że całe życie straci sens.

1

– Pracuje – powiedziała Maria, gdy rozległy się wystrzały. – Pracuje...

W jej głosie było zadowolenie. Czy Karamazowowi uda się zlikwidować ochronę i wykończyć wrogów? Nieważne. W każdym razie ten atak zwiąże Wezyrowi ręce i nogi. Stanie się tym, kim powinien być – skorumpowanym politykiem pod czujnym nadzorem służb specjalnych. Niech spróbuje kontynuować polowanie, gdy będą pilnować każdego jego kroku.

– Siostró...

Popatrzyła na Annę. I czego ona znowu chce? Głupia dziewczyna...

– Mario, on zabija...

– Zabija wrogów.

– Mario, czy tego uczyłaś? – głos dziewczyny drżał. – Przypomnij sobie... niosłaś przebaczenie i miłosierdzie. W imię swojego życia nie przelewałaś cudzej krwi...

– To był błąd – ucieła Maria. – Nie można przynieść dobra, jeśli nie zniszczy się zła. Nie zetrze go na proch. Świat jest przed nami, światło i dobro również. W imię jego wszystko jest dozwolone.

Anna zaszlochała, wyciągnęła rękę, chwytając Marię.

– Nie mów tak, proszę cię! To nie twoje słowa!

– Dlaczego?

– Dobro nie wyrasta na krwi...

– Mylisz się! – Maria potrząsnęła dziewczyną, zajrzała jej w oczy. Trzeba ją złamać. Trzeba dać jej światło, od którego się uchyla... – Życie zawsze rośnie na krwi. Przyszedłeś na świat w mękach i cierpieniach! Z bólem poznawałeś różnice między Dobrem i Złem. To ja podarowałam wam tę umiejętność – odróżniania Dobra od Zła.. Dałam wam prawo do walki o Dobro!

Anna odsunęła się, z nieoczekiwaną siłą wyrwała z jej rąk.

– Ty...ty...

– Tak, ja! – krzyczała Maria, zapominając o ostrożności, już wiedząc, że powiedziała za dużo. – Dałam wam to, co najważniejsze – Dobro! Czy to moja wina, że nie ma Dobra bez Zła? O co walczyliby niewinni i czysti, mówiące zwierzęta rajskich sadów?

Maria zaśmiała się. Jak potworne muszą być dla Anny te słowa. Jak ciężko będzie jej przyjąć Prawdziwe Dobro.

– Tysiąclecia, stulecia, lata... – szła do Anny, a posłuszny pies wił się u jej nóg, żałośnie zaglądając w oczy. – Jak nauczyć Dobra, nie znając Zła? Co warte są przykazania bez grzechu? Najważniejsze, najważniejsze wam pokazałam – różnicę pomiędzy nimi! Czy to mało? Bycie bezgrzesznym to marzenie idiotów! Mądrzy grzeszą w imię Dobra! W imię moje!

– Jesteś szatanem! – wyszeptała Anna.

– Ja? – Maria pokręciła głową. – Jestem tylko granicą. Różnicą pomiędzy Dobrem i Złem. Objawieniem, na które czekaliście.

Anna zasłoniła twarz rękami.

– Nie bój się, głupia – wyszeptała Maria. – Jestem tobą. Twoim bólem i twoją krzywdą. Twoim marzeniem, by czynić Dobro i karać Zło. Przyszłam! Wzywałam mnie, siostrze, więc przyszłam!

– Nie ciebie wzywałam...

– Mnie, dziewczynko. Nienawidząc zła, wzywałam mnie. Znajdując wrogów, wzywałam mnie. Przeklinając zabójców, wzywałam mnie. Przyszłam!

– Więc... – Anna podniosła głowę, łzy zalewały jej oczy, ale nadal patrzyła na Marię. – Więc trzeba dać Zło? Żeby czynić Dobro?

– Zrozumiałaś.

– Zdradziłam...

Pies zaszczekał przy nogach Marii. Podniósł mordę, odsłaniając kły.

– Cicho, on rozumie! – krzyknęła Maria. – Cicho!

Ale pies nie patrzył na Annę, lecz na chłopaka w burym kombinezonie z pistoletem w ręku.

– Dziewczynki, później sobie pogadacie. – Chłopak celował w psa. Wąska twarz o wystających kościach policzkowych. Zmrużone oczy. Bezlitosne, prawie takie jak u Ilji. Maria pomyślała, że tych dwóch byłoby godnymi przeciwnikami. – Znajdujecie się na terenie prywatnym. Podnieście ręce i podejdźcie do ogrodzenia.

– Kim jesteś? – spytała Maria. Miętko i czule. Chłopak powinien opuścić broń, poczuć jej miłość.

Ale w nim też żył cień cudzej siły... może nawet tylko cień jej cienia, ale tutaj, na cudzej ziemi, wystarczyło i chłopak wytrzymał.

– Nie wiem, co zrobiliście z psami – powiedział – ale lepiej go nie szczujcie. Nie lubię zabijać. Psów...

Maria podniosła ręce. Niechętnie, powoli...

Ale on umiał zabijać. Przeprowadził własną granicę pomiędzy Dobrem i Złem, i bardzo trudno było ją przesunąć...

Hamlet nie wytrzymał.

Zbyt wiele uczuć złączyło się w prościutkiej psiej świadomości jak na jeden dzień. Pan, któremu oddany był bez reszty, już nie żył. Nowy pan, tak nienawistnie kochany, milczał. Główny pan skrywał się w miękkich ciepłych głębiach kobiecego ciała.

A ten, który przedtem był przyjacielem, stał z żelazem w rękach. Urywki rozkazów wirowały w umyśle psa, nigdy nie znajdującego granicy między Dobrem i Złem...

Rinat powitał skaczącego rottweilera długą serią. Psu rozwalilo łeb i oderwało łapę. Upadł pod nogi ochroniarza – podrygujący kłębek krwawiącego ciała.

– Zabiję was z wielką przyjemnością – wyszeptał Rinat. Brakowało mu tchu. – Suki! Po co go poszczułaś?

– To nie ja – powiedziała szybko Maria. – On sam!

Czasem wszystko zależy od przypadku. Teraz wściekły ochroniarz mógł ściąć je obie jedną serią.

I nie starczy sił, by uratować Annę i siebie.

– Pod ścianę, kurwy!

Niepotrzebnie pozwolił sobie na gniew.

Pomóż mi, Dobro...

– Za co nas wyzywasz? – spytała Maria, posłusznie cofając się do ściany. – Za co... czy to my jesteśmy winne?

Lufa patrzyła jej prosto w oczy.

– ... że zdradziłaś kobietę?

Krótki ból w jego oczach.

– Myślałaś, że to ona cię zdradziła? Rinat... masz na imię Rinat? Ona nazywała się Dina. Dinka!

Dzwoneczek! Tak ją nazywałeś, prawda?

W oczach ochroniarza zapłonął obłęd.

– Wiem, wiem, chłopcze! Przekonali cię, matka i ojciec powtarzali jedno i to samo... i ty uwierzyłeś... A ona cię nie zdradziła. Ona cię kochała. Do dziś cię kocha. Byłeś dla niej wszystkim

– uwierz mi! Dwa lata śmierć deptała ci po piętach, a Dina czekała! Znała słabość miłości, ale tylko twojej! Przyjaciele i rodzina – postanowiłeś im uwierzyć? Nasłuchałeś się doświadczonych

mężczyzn w koszarach? Głuptasie, połowa z nich nigdy nie miała kobiety! Ona była ci wierna, chłopcze! Odepchnąłeś ją. I dlatego teraz nienawidzisz nas... ja wiem, jestem trochę do niej

podobna... Skoro zdradziłeś swoją miłość, czy masz prawo teraz nas zabić?

– Nie... – zajęczał ochroniarz.

– Mogłeś wszystko naprawić, ale już za późno, za późno! Ona go nie kocha, ale ich dziecko już jest na świecie. Dała synkowi twoje imię, chłopcze. Zabiłeś w niej miłość na zawsze...

Ruchy Rinata były płynne, jak baletowe pas na zwolnionym filmie. Upadł twarzą w kałużę psiej krwi.

– Nie zabijaj miłości – Maria opuściła ręce. – Sam jesteś sobie winien, chłopcze. Sądziłeś, że masz serce z kamienia. Ono nie jest z kamienia. Teraz...

– Nienawidzę cię!

Odwróciła się do Anny, zapominając o ochroniarzu.

– Pokazałam mu tylko granicę pomiędzy Dobrem i Złem. Sam jest sobie winien, Aniu...

– Ja wiem, po której stronie granicy stoisz.

Bez nienawiści. Nawet bez strachu.

Anna Kornilowa też przekroczyła granicę.

– A ty, siostrze moja... czy jesteś godna, by żyć? – zapytała Maria. Serce pękało jej z bólu. Ale jest silniejsza niż ochroniarz. Wytrzyma ten ból. W imię Dobra.

W imię swoje.

– Nie jestem godna. Sprowadziłam cię na świat.

Dlaczego nie ma strachu w jej oczach?!

– Anno, nie mów tak...

– Nienawidzę cię!

2

Drzwi było troje, Szedczenko sprawdził to zaraz pierwszego dnia.

Killer nie będzie tłuł szyb, nie będzie ryzykował kulki w łeb.

Przez drzwi, połączone krótkim korytarzem z garażami, też nie wejdzie. Zbyt dużo kątów i zakrętów, za którymi mógłby się ktoś zaciąć. Killer nie wie, że w domu został tylko jeden ochroniarz.

Szedczenko stał w malutkim pustym pokoju niewiadomego przeznaczenia. Może miał służyć do takich zasadzek. Dwoje drzwi wychodzących na dwa korytarze. Bez względu na to, czy zabójca wtargnie przez wejście główne czy służbowe, Nikołaj go usłyszy.

Byłoby znacznie lepiej, gdyby Żarow miał normalną broń. Dobry pistolet może zabić nawet w nieudolnych rękach.

Ale nie zdążyli zatroszczyć się o takie drobiazgi... i teraz pisarz był tylko blotką. Dobrze chociaż, że atutową – o to zatroszczył się Nikołaj.

Gdzieś skrawkiem świadomości liczył czas. Wezyr na pewno wezwał posiłki, gdy tylko się przekonał, że jego ochrona sobie nie radzi. Czyli zostało jakieś pięć minut na operację i dziesięć na odwrót.

Trzeba było przytrzymać samochód, Maria niepotrzebnie się pospieszyła.

Karamazow kopnięciem otworzył drzwi. Dobrze, że nie są zamknięte – mało hałasu. Czy w środku jest ochrona?

Szedł korytarzem, próbując wyłowić szelest za drzwiami, kołysał lufą, żeby nie osłabły ręce. Wezyr był obok, i pisarz tu był, i pułkownik też – czuł ich, ale zbyt słabo, żeby określić kierunek. Przeszkadzała obca siła, wroga i doświadczona. Potrzebował pomocy w tym labiryncie nieznanego domu, choćby odrobinę pomocy...

– *Strzelaj!* – szepnęła Ciemność. – *Strzelaj!*

To przypominało pisk, zduszony odległością, ale wystarczająco głośny, chłoszczący, rozpaczliwy. Wycie, które przebiło się przez obcą siłę, dopadło go w ostatniej sekundzie.

Gdzie strzelać? Korytarz był pusty!

– *Strzelaj...* – jęknęła Ciemność, znikając.

Nacisnął na spust – nie zastanawiając się, podporządkowując znajomemu głosowi, błaganiu. Przez niego Ciemność przysłała na świat – będzie go chronić.

Kule przebiły drzwi w końcu korytarza w momencie, gdy zaczęły się one otwierać. Szedczenko już miał strzelić, ale Karamazow wyprzedził go o ułamek sekundy. Ołów przeszył pułkownika. Zamachał rękami, wypuszczając broń, złapał się za futrynę, niezgrabnie, głupio, jakby postanowił do końca udawać cel. Ilja aż krzyknął z zachwytu. Co za nieoczekiwane zwycięstwo. Najgroźniejszy wróg usunięty z gry!

Skowyt Ciemności usłyszał zbyt późno.

Drzwi za jego plecami otworzyły się i dostrzeżony kątem oka człowiek podniósł rękę z bronią. Karamazow zaczął się odwracać. Pisarz nie umie strzelać, spudłuje!

Rozległ się wystrzał i strumień gazu uderzył go w twarz.

Psiakrew!

To było takie idiotyczne... Zwijać się na podłodze od wystrzału z pistoletu gazowego, drapać zgiętymi palcami załzawione oczy, nie móc ani nacisnąć na spust, ani wycelować. Żarów nie trafiłby w niego ostrymi nabojami. Ale gaz nie wymaga celności.

I za co taka kara! Rozstrzelali go z gazowca jak małego chuligana w ciemnej bramie!

Karamazow cofnął się, pełznąć z powrotem do drzwi, na powietrze. Automat wypadł mu z rąk, nawet nie mógł go podnieść, nic nie widział przez łzy. Dlaczego musiał płakać, on, Wysłannik Ciemności? Za co?

Z tyłu rozległ się kolejny wystrzał. Karamazow zebrał wszystkie siły, zerwał się i pobiegł.

Nie, nie minus trzy, jak już uwierzył. Tylko minus jeden. I to jedynie pod warunkiem, że zdoła uciec, że przed domem nie powita go kulami reszta ochrony.

Wyskoczył z budynku, z wysiłkiem otworzył oczy, wpatrując się w ogród. Pusto... Karamazow zrobił kilka kroków, zacisnął powieki, nie mógł patrzeć. I niemal od razu stracił orientację, wpadł na kłującą szczecinę jałowca rosnącego przed wejściem. Pobiegł, szorując o gałęzie, potknął się, upadł w mokrą trawę. Chwilowa ulga...

– *Zastygnij* – szepnęła Ciemność.

Siemion zobaczył otwarte na oścież drzwi i serce mu się ścisnęło. Trzeba było kogoś zostawić w środku. Czy stary pułkownik i pisarz zdołają obronić Hajretdinowa?

Biegnać, zarejestrował pomięte krzaki, ale się nie zatrzymał. Możliwe, że był tam trup któregoś z towarzyszy. Teraz najważniejsza rzecz to uratować pana.

Omali nie strzelił do człowieka pochylającego się nad ciałem w końcu korytarza. Dopiero w ostatniej chwili zrozumiał, że to Żarów.

– Ręce! – krzyknął Siemion, podnosząc automat. – Ręce!

Żarów nawet się nie przestraszył. Odwrócił się i zapytał:

– Czy w domu jest apteczka?

Siemion zrobił krok, drugi. Coś zaszczypało go w oczy.

– Leć szybko, strzelałem gazem!

Podszedł do nich, już z opuszczoną bronią. No tak, przecież to nie pisarz strzelał do Szedczenki...

– Hajretdinow?

– Zamknął się w gabinecie...

– Gdzie tamten!

– Uciekł... przed chwilą. Nawet automat upuścił! – Pisarz zachichotał nerwowo. – Apteczkę przynieś!

Siemion przypomniał sobie pomięte krzaki. Chyba gałęzie jeszcze drżały, gdy wbiegał do domu...

– Apteczkę! On się wykrwawia!

Niekończący się moment, gdy Siemion próbował dokonać wyboru. Szedczenko, na którego przestrelonej piersi pulsowały pęcherzyki krwi, i wróg Wezyra, już pozbawiony broni, półślepy, uciekający...

– Szybciej, draniu! – Wrzasnął Jarosław. W jego głosie też coś było... siła, inna niż u Wezyra, ale jednak siła, przytłaczająca, zmuszająca do dokonania wyboru... Siemion rzucił się do pokoju

ochrony.

Ale najpierw zamknął drzwi wejściowe. To było takie proste, zatrzasnąć ciężką zasuwę... zatrzymać wroga na sekundę... gdyby zrobił to wychodząc, zdążyłby dogonić killera. Strzelić mu w plecy, podziurawić kulami.

Niepotrzebnie się tak spieszyli.

Wieczór był granicą. Kirył wiedział to bardzo dokładnie.

Tak się układało, że wcześniej zawsze ktoś był obok niego. Wiesnin, Arkadij Lwowicz, Żarow. Oczywiście, nie wszyscy byli prawdziwymi przyjaciółmi. Żarow na przykład okazał się zdrajcą.

A jednak obok był ktoś dorosły i silny. Gotów jeśli nie pomóc, to choćby odbić cios. Można było zapomnieć o wszystkim, poczuć się dzieckiem.

Teraz trzeba być dorosłym.

I to na zawsze.

Kirył zerknął na Wizytora. Chyba drzemał. Jechali metrem do stacji Domodiedowska. Tak postanowił Wiz i Kirył nie domagał się wyjaśnień. Wiz wie lepiej, on pamięta to, o czym Kirył zapomniał.

Teraz tak będzie zawsze.

Będą decydować za niego.

3

Składanie zeznań nie było łatwe. Przykra sprawa nawet dla absolutnie niewinnego człowieka.

Jarosław Żarow nigdy nie uważał się za wzór uczciwości.

Opowiadał o swojej podróży służbowej do Moskwy, o spotkaniu ze starym miłośnikiem swoich książek – politykiem Raszidem Hajretdinowem. Jak się u niego zatrzymał poza Moskwą i z tego powodu nie dokonał rejestracji, obowiązkowej dla mieszkańca innego miasta – obywatela drugiej kategorii. O tym, jak zaczęła się strzelanina, jak został ranny Szedczenko, jak zdążył zobaczyć nadbiegającego zabójcę...

O tym, jak Wezyr podszedł do niego, gdy już zakładał opaskę na pierś Szedczenki, jak pokręcił głową, pochylił się nad nim i popatrzył pytająco – nie opowiadał. Po co? To był tylko moment, krótki i ważny jedynie dla Wysłanników. „Nagroda za wierność?” – zapytał wtedy Żarow i twarz Wezyra drgnęła. Szedczenko stracił wartość. Stał się nawet niebezpieczny – w gorączce człowiek może nagadać wiele rzeczy...

Ale Hajretdinow nie ośmielił się dobić pułkownika przy nim, przy prototypie Twórczości, słabym człowieku.

Ostatnim pomocniku Władzy...

Jarosław siedział w pustym pokoju – chyba przedtem mieszkał tu Szedczenko. Ładny pokój, przytulny, spodobał mu się. Dom był pełen obcych ludzi. Śledczy, oficerowie operacyjni, specnaz w maskach na twarzach. Wezyr siedział w swoim gabinecie z jakimś bardzo ważnym człowiekiem, chyba generałem MWD*. Wracając z ostatniego przesłuchania – a może to się jednak nazywa składanie zeznań? – Żarow usłyszał głosy zza drzwi. Niezadowolony głos generała: „Pięcioro zabitych, Raszid! Czterech pańskich ochroniarzy i dziewczyna-cywil! Jeden na reanimacji z zawałem! Co się tu, kurwa, dzieje?!” I stłumiony, serdeczny głos Wezyra: „To wam powierzono zagwarantowanie bezpieczeństwa deputowanym Dumy...”

Oho, ho, generale... jeszcze nie wiesz, w co wdepnąłeś. Jeszcze osłania cię wysokość twojego

stanowiska, wiara w siebie, silnego i nietykalnego stróża porządku i prawa w państwie rosyjskim... Poczekaj chwilę. Pogadaj z tym, który jest Władzą.

Jarosław próbował zasnąć. Nawet się rozebrał, położył do łóżka i wyłapał w starodawnym radiu jakąś łagodną bluesową muzykę. Daremny trud. Teraz pomogłaby mu usnąć jedynie butelka wódki albo garść środków nasennych. Nie miał ani jednego, ani drugiego. Nie czuł nic prócz strachu, że rozlegnie się stukanie do drzwi i ludzie w maskach zatrzasną na jego nadgarstkach kajdanki, no i idiotycznej, bezsensownej litości.

Dla Szedczenki, który leży teraz na stole operacyjnym, nagi i nieruchomy, z otwartą klatką piersiową i wprowadzoną w krtań rurą aparatu anestetycznego. Dla chłopców, snujących się nocą po ulicach Moskwy.

Nawet nad sobą się litował. Nigdy nie podejrzewał, że to możliwe.

Doczekałeś się, literacie. Twoje fantazje stały się rzeczywistością i uderzyły nieubłaganie. Przyjmij swój Cud. Poczuj to, o czym przekonywałeś innych.

Życie to nie gra.

Wstał, gdy wskazówki zegara dowlokły się do dwunastej. Naciągnął dzinsy, włożył sweter na gołe ciało. W radiu zaczęli puszczać kawałki w wykonaniu rosyjskich zespołów, skrzywił się, poznając znajome melodie.

Na końcu korytarza stał chłopak z automatem. Spojrzał na niego – pod maską pozbawiona emocji twarz, jak u Robocopa. Odwrócił się. Żarów wyminął go, starając się utrzymać twardy krok. Jakby przechodził obok złego psa, trzymanego na cienkiej smyczy...

– Przepraszam...

Jarosław odwrócił się.

– Nie ma pan papierosa? – zapytał półgłosem chłopak.

– Chwileczkę...

Wrócił do pokoju, znalazł paczkę, przyłapując się na tym, że robi wszystko zbyt pośpiesznie. Wyszedł, podał specnazowcowi papierosa.

– Dziękuję – chłopak zsunął maskę, przypalił podaną zapalniczką. – Cholera, zerwali mnie na alarm, wyskoczyłem z pustą paczką...

– Niech mi pan powie, co z nami będzie? – zapytał Żarów. Chyba niepotrzebnie, chłopak od razu spoważniał.

– Zwierzchnictwo zadecyduje. Będą was przesłuchiwać... Dokąd pan idzie?

– Wysikać się! – powiedział ze złością Jarosław. – Muszę mieć przepustkę?

Chłopak się chyba zmitygował.

– Na mieście taki kociokwik... – mruknął pojednawczo. – Normalny terror. Nigdy czegoś takiego nie było. Wszystkich postawili na nogi.

– Rozumiem. To co, mogę przejść?

– Proszę.

Żarów pobiegł do łazienki, czystej, lśniącej. Wysikał się, wyszedł. Trzy korytarze w trzy strony domu. Wszędzie ludzie z bronią. W miejscu, gdzie leżał Szedczenko, narysowany kredą kontur.

Wujowizna, Wezyr... Wolność działań została utracona.

Ale czy ta wolność była ci potrzebna?

Poszedł w kierunku gabinetu. Dyżurował tam jeszcze jeden ochroniarz, najwyraźniej starszy od niedawnego rozmówcy, ze złym błyskiem w oczach. Jarosław szarpnął drzwi gabinetu i ochroniarz warknął:

– Nie wolno!

Ale drzwi już się otworzyły. Żarow zobaczył w fotelu przy kominku generała, przynoszącego powoli szklany wzrok z Wezyra na niego. Wysłannik Władzy przechadzając się po pokoju mówił:

– Zadania nie wykonali. Zamachowców wypuścili. Na konstruktywne propozycje nie zareagowali. Jak to nazwać?

Zerknął na Żarowa, którego ochroniarz chwycił za ramię, by go zatrzymać.

– Generale, dlaczego nie chcą tu wpuścić naszego przyjaciela?

– Co jest? – generał skoczył jak rażony prądem.

– Towarzyszu generale, melduje się sierżant Samojlenko – stalowy uścisk na ramieniu zelżał. – Próbował wejść...

– Do diabła, sierżancie! – warknął generał. – Dlaczego zatrzymujecie naszego przyjaciela?

Jarosław z trudem powstrzymał nerwowy śmiech. Za jego plecami ochroniarz powoli tracił rozum.

– Zgodnie z regulaminem...

– Wpuścić! Dziesięć dni paki! Zameldować dowódcy!

– Tak jest... – powiedział ochroniarz głosem obłąkanego.

Żarow wszedł, rzucił sierżantowi współczujące spojrzenie. Ten chyba żałował, że go nie zastrzelił.

– Wszystko w porządku, Raszidzie Gulamowiczu? – zapytał generał.

– Tak. Już lepiej... – Wezyr skinął na Jarosława. – Siadaj. Ja i towarzysz generał omawiamy tu właśnie... co?

– Jak zniszczyć terrorystów! – generał znowu się zerwał.

– Grupa jest nieduża, ale bardzo niebezpieczna – ciągnął Wezyr nieco łagodniej. – Najemny zabójca. Jego kochanka. Prawdopodobnie mają zakładników, których gotowi są zabić w każdej chwili. Dwoje dzieci. Rozumie pan całą powagę sytuacji?

– Weźmiemy ich żywcem – zaraportował generał.

– A to już nie jest potrzebne. Po co kolejne ofiary? Łajdaków trzeba usunąć. To wasz obowiązek!

Oczy generała nawet nie były szklane. Raczej mętne, jak skrzepnięty klej silikonowy. Długo go Wezyr musiał łamać, generał był zbyt wysoko postawiony, zbyt przywykł do wiary w swoją władzę.

Za to teraz już wszystko jest jasne.

U Wezyra gościł nie stary pułkownik obcej armii, lecz specbrygada, która w Moskwie miała prawo do wszystkiego. Co najwyżej nie mogła szturmować Kremla.

Tam Wezyr i tak wejdzie. Legalnie.

Jeśli Maria i Ilja chcieli związać ręce Wysłannikowi Władzy, to się przeliczyli. Bardzo się przeliczyli.

– Zastanówmy się – powiedział Wezyr. – Przedyskutujmy sytuację. Chcemy jednego – porządku w stolicy. Jakimi siłami pan rozporządza, Juriju Dmitrijewiczu?

4

W centrum już od dawna budowano inaczej.

Ogradzano plac budowy wysokim płotem, naciągano jakąś syntetyczną taśmę, zamieniając nie ukończony dom w gwiazdkowy prezent.

A tutaj wszystko było po staremu. Jak dziesięć, dwadzieścia lat temu. Zresztą tego Kirył nie wiedział, jego doświadczenie tak daleko nie sięgało. Weszli na budowę przez dziurę w ogrodzeniu, zatrzymali się, rozejrzeli.

Cztery wieżowce były już prawie skończone. W dwóch dalszych nawet wstawiono szyby.

– Tam pójdziemy? – zapytał Kirył. Było zimno, wiał wiatr, mżący deszcz dawno przemoczył cienką kurtkę. Chłopiec był przemarznięty, pragnął dachu nad głową, ścian wokół...

– Nie, tam obok jest stróż. – Wiz pociągnął go za rękę. – Uciekajmy, zauważy nas.

Kirył nie spierał się, chociaż nie wierzył, że ktokolwiek mógłby ich zauważyć w cieniu betonowych bloków. Dwa słabe reflektory na dachu jednego z domów oświetlały bramę i budkę obok. Pewnie właśnie tam siedział stróż. Pił herbatę, oglądał w starym telewizorze dziennik albo meksykański serial...

– Chodźmy.

Pobiegli do klatki, drzwi były nie domknięte. Nasunęła się ciemność, przez wąskie otwory okien światło prawie nie wpadało. Wiz uparcie szedł w górę, przesuwając ręką po poręczy. Raz, na półpiętrze, cicho krzyknął:

– Kurde, tam jest otwarty szyb windy! Kirył, uważaj!

Kirył przywarł do ściany. Weszli na drugie piętro. Wiz zawahał się chwilę, potem zaczął szarpać drzwi do mieszkań.

– Zamknięte? – zapytał Kirył. Nie wiadomo dlaczego zapragnął, żeby żadne drzwi się nie poddały. Lepiej włóczyć się po dworcach, gdzie jest dużo ludzi. Schować się w jakimś parku, w jakiejś budce i drzemać do rana. Ale nie tutaj, nie w tym nie ukończonym domu.

Gdyby Kirył próbował sformułować przyczynę, nie zajęłoby mu to dużo czasu.

Te betonowe jaskinie szykowały się, żeby stać się domem. Wpuścić do siebie tysiące ludzi, dzieci i dorosłych, rodziny i samotników, złych i dobrych. Stać się miejscem śmiechu i kłótni. Przemienić się w małe klatki – twierdze cudzego ciepła i zazdrosnej miłości.

Tu będzie to, co on tracił na zawsze.

A nocowanie tu to jak zagłądanie do cudzych okien. Ale Kirył nie chciał się nad tym wszystkim zastanawiać.

– O, jest!

Wiz znalazł jednak nie zamknięte drzwi. Może miał szczęście. A może zaczął wyczuwać, gdzie znaleźć przytułek. To umiejętność właściwa żułom i dzieciom ulicy. Zazwyczaj przychodzi nie od razu i tylko do tych, którzy przetrzymali rok czy dwa.

Ale Wizytor bardzo szybko się uczył.

Elektryczności w mieszkaniu oczywiście nie było, chociaż Kiryłowi wydało się, że w przedpokoju wisi żarówka na kablu. Wyciągnął ręce i po omacku dotarł do okna. Spojrzał w dół.

W budce stróża paliło się światło. W zasłoniętym okienku migały cienie – ktoś tam chodził. Kirył stłumił szloch. Koniec. Zapomnieć. To już nie dla niego. Przedtem, wracając późno do domu, patrzył pobłaźliwie na takie światła w oknach biur czy sklepów – ktoś musi zadowalać się państwowym ciepłem zamiast domowego. Teraz przeciwnie – stara budka, zapadnięte żelazne łóżko, gorący czajnik będą mu się wydawać niedostępnym rajem.

– Kirył, nie rycz! – powiedział surowo Wizytor.

– Gdzie będziemy spać?

– Zaraz coś wymyślimy. Kurde, czemu tu jest linoleum, a nie parkiet? Pewnie spółdzielczy dom... a na linoleum nie da rady, zaziębimy się. Chodź.

W drugim pokoju też było pusto i zimno. Okno wychodziło nie na budowę, lecz na sąsiednie domy, od dawna zamieszkane. Niemal we wszystkich oknach świeciło się światło.

– Dobra, pomóż mi – powiedział rzeczowym tonem Wizytor.

Zdjęcie drzwi z zawiasów, chociaż działali we dwóch, zajęło im kilka minut.

– Trzymaj! – krzyknął Wiz, gdy drzwi zaczęły opadać na niego.

Jakimś cudem udało im się nie narobić rumoru. Mimo wszystko płyta nabita na ramę była niezbyt ciężka, nawet dla chłopców. Opuścili drzwi na podłogę. Przesunęli w róg, jak najdalej od okna. Tutaj prawie nie wiało.

– Super – powiedział raźnie Wizytor. – Gdyby jeszcze kłamkę oderwać, byłoby więcej miejsca...

Zdjął kurtkę, położył na drzwi.

– Twoją się przykryjemy. Jeszcze nie jest tak zimno, kilka nocy wytrzymamy.

Kirył posłusznie zdjął kurtkę, przysiadł, zaczął rozsznurowywać adidas.

– Głupi – powiedział bez złości Wizytor. – Jak zdejmiesz, przeziębienie murowane.

– Wiz, a co robi reszta?

– Rano będę wiedział.

– Powiedz...

– Wezyr pewnie pije wódkę z pułkownikiem i pisarzem. Maria pieprzy się z killerem.

Zazwyczaj od podobnych słów Kiryłowi robiło się nieswojo. To śmieszne, ale dopiero całkiem niedawno dowiedział się, jak wyglądają szczegóły owego procesu. I jeśli wcześniej mógł opowiadać nieprzyzwoite dowcipy wesoło, bez zagłębiania się w nie, jakby rozwiązywał równanie z dwoma niewiadomymi, których sens jest mało ważny – no, dlaczego kochanek był bez ubrania, gdy mąż przyjechał z delegacji, może chciał się wykapać – to teraz zaczął się czerwienić przy podobnych rozmowach.

Ale teraz słowa Wiza nie wywołały w nim żadnych emocji. Wizytor i Żarow piją, Maria i killer uprawiają seks. Jakie to ma znaczenie, gdy ty będziesz spał na zdjętych z zawiasów drzwiach, w pokoju, w którym nie ma szyb.

Pewnie dorósł.

– Śpijmy.

– Aha. O rany, poczekaj, wyjmę ciastka z kurtki, bo się rozgniotą!

– Już je chyba rozgniotłem – przyznał się Kirył.

5

Rano w willi zostało z piętnaście osób – ochrona, którą Wezyrowi przydzielił generał. Nawet jeśli to specnazowców zdziwiło, nie okazali tego. Pozdejnowali maski, rozeszli się po pomieszczeniach. Siemion blady i niewyspany wyjaśniał im jakieś zawodowe szczegóły, oprowadzał po terenie. Po ogrodzie, gdzie znaleźli martwą dziewczynę, rozstrzelanego psa i jeszcze żywego Rinata, chodziło trzech kryminologów. Ciało oczywiście zabrano.

Jarosław jadł śniadanie z Hajretdinowem w jego gabinecie. Stolik przy kominku był zbyt niski, trzeba się było nachylać, ale Wezyr wyraźnie nie chciał opuszczać tego pokoju. Był milczący i zamyślony. Sucho oznajmił, że killer i Maria o czwartej rano opuścili hotel i teraz mogą być w dowolnym miejscu. Z pieniędzmi problemów nie mają. Wezyr znał już adres Karamazowa i podał generałowi, ale wątpi, by przeszukanie czy nawet zasadzka cokolwiek dały.

Przeciwnicy widzieli posunięcia Wezyra tak samo wyraźnie, jak Wysłannik Władzy – ich.

Chłopcy, według słów Wezyra, nocowali na jakiejś budowie. Za jedyny interesujący fakt Hajretdinow uznał to, że prawie nie mają pieniędzy. Jeśli coś zjedzą – do wieczora nie będą mieli nawet na metro.

Żarow w milczeniu grzebał widelcem w jajecznicy na bekonie. Wyglądało na to, że Hajretdinow nie ma zamiaru polować na dzieci. Pozwoli na to życiu. W sumie było to tak sarno pewne jak kula.

Za to dawało złudzenie czystych rąk.

– Jarosław, musimy się spieszyć – odezwał się posepnie Wezyr. – Wczorajsze wydarzenie już narobiło hałasu. Muszę zacząć pracować... z górą. W przeciwnym razie za bardzo wyhamuję.

– I co?

– Dziś albo jutro trzeba tych sukinsynów wykończyć.

– Jak?

– Jeszcze nie wiem. Wymyśl, ty jesteś pisarzem – zaśmiał się Hajretdinow. – Aha, dzwonił do mnie redaktor z „Bas-reliefa”. Co im tam nagadałeś? O przygotowaniu mojego programu przedwyborczego?

– Asekuracja.

– Aa... te zdjęcia, gdy wsiadasz do samochodu... poprosiłem, żeby przysłali mnie.

Żarow nie zdziwił się: specjalnie. Cóż, mimo wszystko próbował wczoraj zagwarantować sobie bezpieczeństwo. Próbował zagrać w nie swoje gry.

– Co zrobimy z twoim Wysłannikiem?

Jarosław podniósł głowę.

– Pytam, co zrobimy z ciałem?

– Nie wiem.

– Aha. Towarzysz Hajretdinow powinien rozwiązywać milion spraw jednocześnie... bezimienna mogiła niezbyt cię zmartwi?

– O czym ty mówisz, Wezyr?

– Wysłannika ubiorą w łachmany i powieszą w parku. Bezdomny, który ze sobą skończył – nic interesującego dla milicji. Wyraźnie śmierć od powieszenia, czego szukać? Twojej twarzy nie znają, poszukiwany nie jesteś, zgłoszenia zaginięcia człowieka nie było... za tydzień wszyscy o nim zapomną.

Żarow milczał, patrząc na skupioną twarz Wezyra. Mieszkanie jest wynajęte na jego dokumenty. Za dwa dni ciało zacznie cuchnąć...

– Trudno to zrobić, Wezyr?

– Mniej więcej tak, jak zlecić zabójstwo. Kwestia ceny. Będiesz mi trochę winien – Wezyr kiwnął głową, jakby podejmując decyzję. – Jeśli chcesz, dowiem się potem, gdzie pochowali zwłoki. Będiesz mógł przychodzić, kłaść kwiaty...

Jeszcze tydzień temu Żarow dałby mu w mordę.

Nie za samą propozycję, oczywiście. Za cynizm. A teraz nie.

Pewnie się postarzał.

– Jak chcesz, Wezyr.

– Dobrze, porozmawiajmy o poważnych sprawach. Jak się łowi szczupaka?

– Na żywca.

– Słusznie. Mamy dwa szczupaki i dwie płotki. Co zrobimy?

Rzeczywiście się postarzał.

– Raszid, to głupota. Nie wiemy, gdzie jest Maria z Ilją ani gdzie są chłopcy.

– Za to oni wiedzą, gdzie jesteśmy my. I spróbują się skontaktować. Możemy naprowadzić ich na siebie.

– Nie uwierzą ci.

– Mnie – nie.

Żarow poczuł chłód w piersiach. Prawie normalnie, prawie bez bólu.

– Jarosławie, przecież nie proszę cię, żebyś brał pistolet i strugał bohatera. Minał czas, gdy było to potrzebne. Teraz trzeba grać o duże stawki. Rozumiesz? Będziemy zostawiać ślady, dowody. A

jeśli skupię się na najważniejszym, za miesiąc stanę się nietykalny. Zajmiemy się normalną, uczciwą, słuszną pracą. I przyniesiemy światu wystarczająco dużo dobra.

– Wystarczająco dużo, żeby zapomnieć?

– Na to nie licz, mój drogi. Zapomnieć nie zdołasz nigdy i niczego. W życiu nie istnieje klawisz „delete”.

– W poprzednim przyjsciu powiedzialabyś, że nie istnieje gumka-myszka.

– Wszystko się zmienia, Jarosławie. Decyduj. Muszę się jeszcze dogadać co do twojego Wysłannika.

To nie był szantaż, po prostu informacja. Wezyr nie miał zamiaru ochraniać człowieka, który nie chciał zrobić swojej części roboty. Władza nie lubi darmożjadów.

– A jeśli nie zadzwonią?

– Wtedy nie będziesz musiał tego brać na swoje sumienie.

Wezyr powiedział to tak szybko i niedbale, że Żarow zrozumiał – nie ma nadziei. Żadnej.

– Umowa stoi?

Łatwiej było skinąć głową niż powiedzieć. Ale Wezyrowi to wystarczyło.

– Wiedziałem, że nie pomyliłem się co do ciebie. – Hajretdinow przechylił się, protekcjonalnie poklepał go po ramieniu. Gest rekompensaty słabego fizycznie człowieka.

– Wezyr, mogę zadzwonić na międzymiastową?

– Do przyjaciółki?

– Do żony... byłej.

– Dzwon. – Wezyr gościnnie wskazał na telefon. – Nie zbankrutuję.

Żarow podszedł, podniósł słuchawkę. Wykręcił numer. Miał słabą pamięć do cyfr, ale ten numer, pod który dzwonił dwa razy do roku, pamiętał.

Ciekawe, co chce usłyszeć?

I czy zastanie Galę – w Ałma Acie jest teraz południe, może być w pracy. Zresztą, może nie być, wykładowcy mają dość luźny grafik...

Nikt nie podnosił słuchawki. Naliczył sześć sygnałów, nacisnął na widełki. Zerknął na Wezyra. Ten w skupieniu jadł śniadanie. Nabierał sił przed pracą.

Wykręcił własny numer. Po co? Chyba po prostu chciał przeciągnąć cienką nić do swojego domu. Sprawić, że pusty pokój drgnie od cichych treli telefonu...

– Halo?

Drgnął on sam.

– Gala?

– Jarek? Witaj.

– Ty... – Jarosław zająknął się. – Co robisz?

– Zbieram się na wykład. Miałaś szczęście, już byłam w przedpokoju.

– A... w ogóle?

– Co w ogóle? Kto mnie prosił, żebym pełniła wartę przy jego drogocennym komputerze?

„Pewnie Wizytor” – omal nie powiedział.

– Wybacz, jeszcze się nie obudziłem.

– Jasne. Jak kontakty – kontrakty?

– Dobrze. – Znowu popatrzył na jedzącego Wezyra. Hajretdinow sprawiał wrażenie, jakby rozmowa w ogóle go nie interesowała.

– Wczoraj przyszedł do ciebie list. Dostarczyli do domu. Wysłany przedwczoraj z Moskwy.

– Od kogo?

– Na kopercie jest tylko imię – Sława. Jarek, spieszę się. Jeśli chcesz, zadzwoń...

– Gala! – krzyknął, zaciskając do bólu palce na słuchawce. – Gala, proszę cię, otwórz i przeczytaj!

To pilne!

– Znasz nadawcę? – Gala chyba postanowiła go pomęczyć.

– Tak! Bardzo cię proszę!

Przerwa. Z przerażeniem czekał na urywany sygnał, ale rozległ się szelest rozrywanej koperty.

Dobłą mają łączność ci deputowani.

– Już. A ile kosztuje wysłanie takiego listu?

– Nie wiem.

– Niedużo tekstu. Jarek! – zrobiła przerwę. – To jakieś brednie.

– Proszę cię...

– *Jarek! Jednak wróciłeś. To znaczy, że wszystko zrozumiałeś. Zrozumiałeś i podolałeś. Cieszę się nawet nie za siebie. Bać się o siebie to los tchórzy, cieszyć się ze swojego zwycięstwa – zabawa idiotów. Nie sądzę, że będzie mi łatwo odejść. Ale przecież nikt nie obiecywał, że będzie łatwo. Nie sądzę, żeby tobie było łatwo. Ale tak wyszło. Nie ma bohaterstwa w zabijaniu kobiet i dzieci, ale przecież nikt nie obiecywał, że staniemy się bohaterami. Najważniejsze, że zrozumiałeś i podolałeś. Czyli nie przyszedłem na próżno. Jesteśmy zdolni tylko do tego, do czego są zdolne prototypy. Dobrze, że o tym nie zapomniałeś. Zegnaj. To były ciekawe dni. Twój nieproszony gość.*

Jarosław milczał.

– Co to wszystko znaczy?

W głosie Gali nie było pytania, lecz trwoga.

– Że przeczytałem list o tydzień za wcześnie – wyszeptał Żarow.

– To źle?

– Nie wiem.

– Jarek, co się z tobą dzieje? Gdzie jesteś?

– Zadzwoń później. Dobrze? Jeśli będę mógł. – Wcisnął słuchawkę w aparat. Unikanie rozmowy

– to też nawyk tchórzy.

Wezır patrzył na niego z uwagą.

– Jarosław, co się stało?

– Sława... wysłał list. Zanim... prawdopodobnie pocztą kurierską.

– I co napisał? – Wezır był szczerze zainteresowany.

– Jak zrozumiałem, popiera tę decyzję.

– Jaką?

– Łowić szczupaki na żywca.

6

Doroślemu człowiekowi wystarczyłyby te pieniądze co najmniej na dwa dni.

Kirył i Wizytor wydali je w pół godziny na obiad złożony z hot-dogów, snickersów i coca-coli.

– Będziemy jeździć metrem – powiedział Wiz, przebijając w dłoni pomięte banknoty tysiącrublowe. – A w ogóle można prześliznąć się na twój miesięczny.

– Wieczorem znowu tam? – zapytał Kirył.

– Aha. A co, miejsce spokojne! Przyniesiemy jakieś gazety...

– Wiz, na co właściwie czekamy?

Wizytor podniósł wzrok.

– Nie wiem. Może, aż się nawzajem pozabijają?

W jego głosie nie było szczególnej nadziei.

– Zadzwońmy, co?

– Do kogo?

– Do Jarosława.

– Po co? – Wiz wzdrygnął się. – Przecież ci mówię – zdradził nas! Został z Wezyrem!

– I chce nas zabić?

Wizytor pokręcił głową.

– Może on coś wymyśli? – Kirył wiedział, że to brzmi nieprzekonująco, naiwnie, ale ciągnął dalej:

– Namówi Wezyra...

– Żarow najwyżej będzie się chciał wykupić – uśmiechnął się złośliwie Wiz. – Wciśnie nam pieniądze, żeby nas zabili wesołych i najedzonych.

Zamilkł, potem wzruszył ramionami.

– A co? Chodź, poruszymy czyjąś czułą strunę. „Tak na pana czekaliśmy”...

Wiz zaczął kaszleć, przycisnął rękę do ust.

– Kurde, żeby chociaż spiwór kupić!

Popatrzył na tysiąc rubli w ręku i dodał:

– I uciec do Władystoku. Niech sobie szukają. Chodź.

Telefony były obok metra. Kupili w kiosku żeton, weszli do starej budki. Kirył podniósł słuchawkę i popatrzył na Wizytora.

– Dzwon, przecież umiesz.

Chłopiec odetchnął głęboko, zaczął wybierać numer. Nie patrząc na blokującą się metalową tarczę... ile lat ma ten telefon... może nawet więcej niż on... wszystko jedno, jakie cyfry się wybierze, numer to tylko etykieta, przypadki triumfują...

Przypomniał sobie twarz Sławy, który uczył go dzwonić na chybił trafił, i ręka mu drgnęła, nie dokręciła tarczy na ostatniej cyfrze. Ważne czy nie?

– Halo?

To nie był Żarow, ale ktoś inny, znajomy...

– Kirył, to ty? Kirył!

Przypadki triumfują. Dodzwonił się do Wiesnina. Czy to znaczy, że powinien poprosić go o pomoc? Czy to znaczy, że nie wolno rezygnować ze wsparcia przyjaciół?

Czy to znaczy, że trzeba im pozwolić umrzeć zamiast siebie?

Kirył odłożył słuchawkę.

– Pomyliłem się.

– Głupek! – Wizytor popatrzył na niego z wyrzutem. – Prawie nie mamy pieniędzy!

Wyskoczył z budki, pobiegł do kiosku. Kirył podążył za nim wzrokiem. Potem spojrzął na sąsiednią budkę – stał tam młody chłopak z bukietem kwiatów pod pachą. Mama zawsze mówiła... mówi... że mężczyźni nie umieją nosić kwiatów. Jakby nieśli miotłę...

Chłopak pochwycił jego spojrzenie, mrugnął. Kirył odwrócił się.

Oni nie potrzebują pomocy.

Wszyscy kłamią.

Swoje trzeba brać kłamstwem albo siłą. Sił mają niewiele.

Znowu odwrócił się do chłopaka, wskazał oczami telefon, uśmiechnął się przeproszająco. Chłopak, nie przestając rozmawiać, wyjął z kieszeni żeton. Kirył wyszedł, zajrzał do jego budki. Chłopak wsunął mu żeton i szepnął:

– Trzymaj.

Gdy Wizytor wrócił, Kirił już wykręcił numer. Stał, słuchając długich sygnałów.

– Halo?

– Jarosław?

Długa, bardzo długa przerwa.

– Tak, Kirił.

– Poznał mnie pan? – zdumiał się trochę.

– Tak. Gdzie jesteś?

– Nie powiem.

Znowu cisza.

– Kirił, przecież ty wszystko rozumiesz. Co mogę dla was zrobić?

Chciało mu się krzyknąć, ochrzanić tego dorosłego człowieka, który tak łatwo gwizdnął na ten cień zaufania, który pojawił się między nimi.

Czy to znaczy, że umiesz płakać tylko nad sobą, pisarzu Jarosławie Żarowie?

– Chcemy wyjechać – powiedział – daleko. Do Władywostoku. Ale nie mamy pieniędzy.

– Jesteście głodni? – zapytał głupio Żarow.

– Na razie nie – odparł Kirił. Wiz pokazał wyciągnięty w górę kciuk: „Dobrze!” Odpowiadał, jak trzeba, naciskał na tę oszukańczą litość, która jeszcze pozostała w Żarowie.

– Kirił, ja wiem, że nocowaliście na budowie...

– Skąd pan wie?

– Od Wezyra. Wieczorem tam podjadę. Tylko wyjaśnij, jak dojechać, nie chcę pytać jego... zacznij podejrzewać...

– O ósmej. Dojedzie pan do metra Domodiedowska – zaczął Kirił – potem przejdzie pan pół osiedla...

7

– Tylko nie rób takiej tragicznej miny – powiedział Wezyr. – Życie...

– I śmierć.

– Cóż zrobić? Nie miał chłopak szczęścia, że został prototypem. Ale kto z was jest z tego powodu szczęśliwy? Wiem, z Szedczenką też pan o tym rozmawiał.

– Skąd pan wie?

– Nietrudno się domyślić. Ludzie, którzy wpadają pomiędzy żarna losu, nie mogą być zadowoleni.

– Mimo wszystko to niktzemne.

Wezyr skinął głową. Po chwili ostro zapytał:

– A masz inną możliwość? Chcesz zwycięstwa Wizytora? Po drodze, którą on przeszedł? Uważasz, że wyrządzi mniej nieszczęścia niż stary, okrutny i podły Wysłannik Władzy?

– Nie, Wezyrze. W przeciwnym razie nie byłoby mnie tutaj.

Hajretdinow przewiercał go badawczym spojrzeniem.

– Przynajmniej to jedno zrozumiałeś, literacie... O której przyjdą na budowę?

– O dziewiątej.

– Punkt?

– Dokładnie o dziewiątej. Chyba chcą tam znowu nocować...

– To już nieważne. Dzieci. – Wezyr wzruszył ramionami. – Mogą jeszcze sto razy zmienić zdanie.

Mogą w ogóle nie przyjść, nie masz się co na razie denerwować.

– Co będziesz teraz robił?

– Będę czekał na telefon od Marii – Wezyr zdziwił się pytaniu. – I zarzucał przynętę.

Zmienili hotel nad ranem. Teraz przez jakiś czas będzie to normą. Chłopców można nie traktować poważnie, ale Wezyr nie powinien wiedzieć, gdzie są.

„Złoty pierścień” prezentował niższy standard. I pokój nie był już tak przyjemny. Ale w imię bezpieczeństwa warto pocierpieć.

Wynajęli pokój i położyli się spać. Nie na długo, do ósmej. Zeszli do restauracji, niezbyt sympatycznej, za to drogiej. Maria przebrała się, przeobrażając się w inną kobietę. Elegancki kostium, spódnica za kolana, pantofle na wysokich obcasach... Karamazow obserwował ją, ściągając brwi.

Bardziej podobała mu się poprzednia, sportowa i ostra Wysłanniczka Dobra.

Jedli w milczeniu, szybko, jak chyba wszyscy w restauracji.

– Zadzwonimy dziś do Hajretdinowa – stwierdziła Maria.

– Po co?

Maria skrzywiła się.

– Zapytać o wrażenia z wczorajszego wieczoru. Przejdziemy się?

Oczywiście nie dzwonił z pokoju. Weszli tam na chwilę, ubrali się i wyszli na plac Smoleński. Karamazow miał wrażenie, że ulice są bardziej puste niż zazwyczaj. I przyczyną nie była brzydka pogoda – miasto zdążyło się już przyzwyczaić do wiatru i deszczu. Raczej wieści o tym, co zaszło wczoraj, stały się dla wielu kroplą przepełniającą czarę. Miasto kurczyło się, wciągało, niczym ślimak, w skorupę swoich domów.

Miasto się bało.

– Myślisz, że Wezyr skapituluje? – zapytał Ilja. – Nie wydawało mi się, żeby miał taki zamiar.

– Mnie też nie. Ale jest przestraszony, mocno przestraszony. Wczoraj omal go nie dostałeś.

– Żarow... sukinsyn! – Ilja zaklął szpetnie. – Bohaterstwa mu się zachciało!

Maria dotknęła uspokajająco jego ramienia.

– Najważniejsze, że uciekliśmy. Szedczenko jest na reanimacji. Wezyr pod nadzorem służb specjalnych.

– Ścisłym?

– Nie wiem. Dobrze się osłania w swojej norze. Wiem tylko, że do rana przesiedział z generałem.

Tłumaczył się.

Karamazow miał wrażenie, że Maria jest rozdrażniona. Nawet się domyślał dlaczego.

– Twoja siła słabnie?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Przeszli jakieś dwadzieścia metrów, gdy Ilja zauważył:

– Niepotrzebnie zabiłaś Annę.

– Nie zabijałam jej! – Maria skoczyła jak uządlona. – Sama pozbawiła się mojej miłości! Sama! I odeszła!

– Uciekła.

– To nieważne – Wysłanniczka Światła znowu zamknęła się w sobie. – Odeszła. Nie chciała miłości i światła. Zdradziła mnie.

– Czym to nam zagrażał

– Gdybyś ty umiał kochać – powiedziała jadowicie Maria – to niczym.

Karamazow poczuł, jak serce zatłukło się w piersi.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Uspokój się. Nie mówię o twoich wyczynach w łóżku, jesteś silny jak byk. Mówię o miłości.

– Kocham cię po swojemu – oznajmił ugodowo Ilja.

– Na tym właśnie polega problem, że po swojemu.

Maria stanęła i zaczęła się wpatrywać w idącego z naprzeciwka mężczyznę. Rozmawiał przez komórkę.

– Bardzo dobrze – powiedziała i zrobiła krok w jego stronę. – Przepraszam, potrzebny mi telefon.

Ilja miał wrażenie, że mężczyzna pokręcił głową, zawahał się, potem niepewnie nacisnął guzik i podał słuchawkę Marii. Nie patrząc na mężczyznę, dziewczyna zaczęła wykręcać numer.

Gdzieś w duszy Ilji sennie przeciągnęła się Ciemność...

– *Słabość miłości* – szepnęła. – *Miłość słabnie w pojedynkę... słabnie. Tobie to nigdy nie grozi...*

Karamazow wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Wiedział o tym.

8

Kiedy Żarow znowu wyciągnął rękę do dzwoniącego telefonu, Wezyr pogroził mu palcem.

– Sadze, że to już do mnie. Przepraszam, Jarosławie.

Podniósł słuchawkę i przyłożył do ucha, nie mówiąc ani słowa. Pisarz usłyszał niegłośny odległy szept.

– Czego chcesz, suko? – wysyczał Wezyr.

Jego twarz pozostała obojętna. Tylko palce wystukiwały na stole jakiś skomplikowany rytm.

– To nie obraza, Mario. To odpowiednie dla ciebie imię.

czy on zwariował? Jak chce zwabić Wysłanniczkę Dobra po takiej rozmowie?

– Dobrze, porównajmy pozycje. Żyje. Jest ze mną prototyp Twórczości. Wysłannik Rozwoju i jego prototyp też szukają kontaktu. Nie. Nie, Mario. Za to możesz podziękować Ilji – w alians z tobą nie wejdą nigdy.

Wezyr mrugnął do Żarowa. Czy rozmowa szła we właściwym kierunku?

– Tak? Nasz przyjaciel z Ciemności próbował już zasadzki, próbował szturmu... Co dalej? Głowica atomowa? – Wezyr zaśmiał się. – Wiem, że moglibyście. Ale głowice ochraniają inni ludzie, Mario. Nie weźmiesz ich swoją dobrocią – oni nie wierzą w Dobro. Tutaj potrzebna by była moja siła... To co zrobimy?

Wysłannik Władzy poklepał się po kieszeni, skrzywił się, wyciągnął rękę. Żarow podał mu papierosa.

– Nie, nie wierzę. Wysłannika Ciemności może wzięlbym na służbę, ale tobie nie ufam. Ach, przeciwnie? – Wezyr zmrużył oczy, jakby rozmowa sprawiała mu przyjemność. – Nie da rady! Mario, poczekaj!

Przerwa. Twarz Hajretdinowa wykrzywiła się, zrobiła się żalosa i płaczliwa. Żarow odwrócił się.

Coś podobnego czuł, gdy pokazywali, jak powstaje dubbing latynoamerykańskich seriali. Przy mikrofonie stali wybitni aktorzy, których lubił od dzieciństwa, i niezrozumiałemu bredzeniu próbowali nadać choćby cień życia.

Wezyr też był niezłym aktorem. Przez telefon rozmawiał teraz nie potężny rosyjski polityk, lecz drobny handlarz ze słonecznego południa, schwytyany na sprzedaży azotanowych pomidorów.

– Poczekaj... Tak. Mario, musimy dobrze przemyśleć sytuację. Rozumiesz? Nie, proszę cię...

Jakie gwarancje mogę ci dać?

Z tą płaczącą miną Wezyr zaciągnął się papierosem, podłubał w ustach palcem. Smętnie popatrzył na stół, na plastikowe pudełko z wykałaczkami.

– Mario, mogę ci oddać chłopców.

Jarosław wstał i odprowadzany zaskoczonym spojrzeniem Wezyra podszedł do biurka. Zaczął wysuwać szuflady.

Papiery, papiery... dwie paczki pieniędzy. Funty szterlingi. Oho, Wezyr, ale z ciebie pozer... pisemko z dziewczyną w skórze i z pejcem w ręku na okładce. Cha, cha. To ci się podoba? Przewiązana gumką paczka dyskietek. Mój Boże, o jakiej informacyjnej władzy mówisz, jeśli ufasz starym nośnikom? Nie przetrwają roku. Będziesz musiał przejść komputerowe szkolenie.

Lewy rząd szuflad. Pistolet. Kurczę, piękny! Jak dobrze leży w ręku. Żarow naprowadził broń na Hajretdinowa:

– Paf!

Wezyr zmarszczył brwi, odwrócił cię. Ufa mu. Żarow patrzył chwilę na pistolet. Odłożył na miejsce i zaczął wysuwać kolejne szuflady.

To, czego szukał, było z prawej strony. Tam był cały barek. Whisky, gin, wódka, koniak. Lżejszych napojów Wezyr widocznie nie uważał za rzecz codziennego użytku i nie trzymał w biurku.

Żarow wyjął znajomą porcelanową butelkę ormiańskiego koniaku, już odkorkowaną i do połowy opróżnioną. Łyknął, podszedł do Hajretdinowa. Ten złościł się, ale prawie niezauważalnie. On teraz pracował, a pisarz zagłuszał sumienie.

– Chcesz, Raszid? – zapytał.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, napił się sam.

– Tak, tak – mamrotał do słuchawki Hajretdinow. – Tam jest budowa, sprawdziłem na mapie – cztery municypalne wieżowce. Tak, tam, gdzie nocowali! O dziewiątej. Mam zamiar wysłać swoich ludzi...

Jarosław znowu siadł przy kominku. Szkoda, że ogień się nie pali. Wczoraj, gdy siedzieli we trzech i rozmawiali, szukając punktów stycznych, ogień był jeszcze jednym uczestnikiem. W płomieniu tkwi tysiącletnia magia. Granica pomiędzy zwierzęciem i człowiekiem. Czy to jabłko podała Ewie wąż? A może listek ognia?

– Mario, jestem szczerzy. Oddaję ci potencjalnych sprzymierzeńców. Proszę tylko o jedno – nie działajmy zbyt pochopnie. Dobrze?

Wezyr odłożył słuchawkę. Twarz powoli rozluźniała się i jakby lepiała od nowa, szukając poprzedniej formy. Bezlitosnej i silnej.

– Bieda z wami, inteligencją – burknął. Podszedł, wziął od Żarowa koniak i tak samo swojsko łyknął z butelki. – Literacie, wiesz, czym się różni inteligent od normalnego człowieka?

– Czym?

– Tym, że normalny człowiek zapija popełnioną podłość szklanką wódki, a inteligent butelką.

– Dwa litry wódki – dawka śmiertelna – powiedział Żarow.

– Co?

– Kiedyś, bardzo, bardzo nieprędko – tłumaczył cierpliwie Jarosław – zapłatą za podłość będzie taka dawka trucizny, której człowiek nie wytrzyma.

– I co?

– Nie wiem, Wezyrze. Ale jeśli podłość zacznie się równać śmierci, to może świat się zmieni.

Mężczyzna z telefonem poszedł dalej, chyba trochę zdumiony własną dobrocią. Maria patrzyła przez chwilę za nim.

– Wezyr panikuje? – spytał Ilja.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Panikuje, blefuje, wciąga w pułapkę. Może wszystko razem.

Karamazow skrzywił się, przypominając sobie twarz chłopca. Pełną przestrochu i nienawiści zarazem. Kopniak w twarz...

Żaden człowiek, który go uderzył, nie uniknął zapłaty.

– Z chłopcami trzeba skończyć.

– Przemawia przez ciebie złość – powiedziała sucho Maria.

– No i co z tego?

– Ilja, dzieci muszą umrzeć, ale nie dlatego, że tak długo wodziły cię za nos. Po prostu teraz zebrało się w nich całe zło naszego świata. Nawet Wezyr, nawet pisarz tak uważają. Ale tobą kieruje zemsta.

– Wolność nie potrzebuje usprawiedliwień, Mario. Oto cała różnica – popatrzył jej w oczy. – Ty zabijasz w imię dobra, ja – posłuszny swoim pragnieniom. Ale czy ta różnica istnieje poza naszymi duszami?

Wezyr chyba rozumiał, że prawdziwej władzy nad nim nie będzie miał. Nigdy. Żarowowi w jego rzadkim zawodzie podobały się dwie rzeczy – to, że mógł mówić prawdę, i to, że nie miał zwierzchników.

– Czego ty właściwie chcesz? – zapytał Wysłannik Władzy. – Pieniędzy?

– Wiary w siebie. Obiecałem.

– Co obiecałeś? Napisać książkę? O złych Marsjanach i dzielnych Ziemiach? Ocknij się! Nastal czas wielkich dzieł!

– Raszid, ja dotrzymuję obietnic. Nie podoba ci się to?

– Podoba, pisarzu.

Żarow chciał powiedzieć: mów do mnie literacie, ale zmilczał. Mówił to tylko przyjaciołom.

Był sprzymierzeńcem, partnerem, nawet panem Hajretdinowa. Ale nie przyjacielem.

– Dobrze. Jedź. – Wezyr nagle ustąpił. Jakby złożył coś w umyśle, przewidział przyszłość i uznał swój błąd. – Jarosławie, jedyne, co chcę ci powiedzieć...

– No?

– Na pewno poczujesz pokusę. To nieuniknione. Zechcesz pójść na to spotkanie, dać dzieciom pieniądze, zatrzymać Ilję i Marię, jeśli przyjdą.

– Uważasz mnie za większego idiotę, niż jestem.

– Wybacz, ale ja znam tę słodycz – słodycz dobrych uczynków. Odłożonego grzechu, odsuniętej podłości – Wezyr podszedł do niego, malutki, zwarty w sobie, ruchliwy, taki nieszkodliwy człowiek, który nie był człowiekiem. – Pisarzu, nie pomył się, dobrze? Zawsze chce się zostać czystym. Dobrym... nie brudzić się krwią niewinnych niemowląt... nie czynić zła swoimi rękami. Zrozum, gdy umywamy ręce, otwieramy drogę znacznie większej ilości krwi!

– Wiem.

– Wiedza nie jest tu najważniejsza. Jarosławie, mądry z ciebie facet. Lubisz przyjemne życie i dobre uczynki. Taka praca, tak? Więc zrozum, że piękna i dobra nie przyniesie Wysłanniczka Dobra.

Nie chłopiec, który w nic już nie wierzy, lecz ja – niczemny człowiek narodowości uzbeckiej...

– Raszid, nie musisz mnie tym kłuć w oczy. Wiesz, że nacjonalistów i szowinistów jednakowo... lubię.

– Wiem. Ale to właśnie ja, obcy, wysunięty przez klan na stanowisko partyjne, ja, który polubiłem demokrację, zrusyfikowałem się i stałem się świętszy od papieża – przyniosę temu krajowi pokój! Pokój i wiarę w siebie! Godność i siłę! Rozumiesz? Nie obmycie butów w obcych oceanach, nie kartki na masło, nie wyprzedanie wszystkiego wszystkim! Podźwignę ten kraj z kolan! On na mnie czeka! Na mnie, na Władzę! Na Siłę! Tak, tysiące zginą bez śladu! Tak, miliony zatkają sobie usta! Pisarzu, co cię bardziej boli – tysiąc miłośników prawdy czy miliony głodnych i poniżonych?

Żarow nie odpowiedział.

– Nadal myślisz, jak mnie oszukać – powiedział już spokojnie Hajretdinow. – Mieć ciastko i zjeść ciastko. Ocknij się!

– Już dawno się ocknąłem, Raszidzie.

– Naprawdę?

– Po prostu dotrzymuję obietnic, rozumiesz?

– Dać ci samochód? – zapytał Wezyr.

– Daj.

Hajretdinow podszedł, położył mu ręce na ramionach.

– Jarosławie...

– Chcę dojść do końca – powiedział po prostu Żarow. – Rozumiesz? Tworzę czytadła. Bawię publiczność. Pozwól mi... zagrać swoją rolę do końca.

– Żebyś się tylko za bardzo nie zapędził.

10

Samochód prowadził Siemion. Gdy przecięli obwodnicę, Żarow nie wytrzymał i zapytał:

– Słuchaj, kim jest dla ciebie Hajretdinow?

Siemion podejrzliwie zerknął na niego, ale odpowiedział spokojnie:

– Silnym człowiekiem.

– Zgadzam się z tobą w połowie.

Chyba nie zrozumiał. Pewnie to i lepiej.

– Ulica Chmielowa – powiedział Żarow. Chciał wytłumaczyć, jak dojechać, ale Siemion dobrze znał swoje miasto. Prowadził samochód po cichych, pustych ulicach. Z rzadka widzieli bawiące się dzieci, idących do domu dorosłych. Stare domy, nowe bloki, drzewko rosnące na dachu ceglanego monstrum, trawa, która przebiła się pomiędzy balkonami wieżowca. Hej! Może w tym domu żyją Kaj i Gerda końca dwudziestego wieku? Oto ich ogródek pomiędzy balkonami. Mocne pętle chwastów. Żywe i wesołe, przebijające kamień, pijące deszcz, kwitnące bladymi płatkami nikomu niepotrzebnych kwiatów.

– Gdzie się zatrzymać? – zapytał Siemion.

– Powiem ci – Jarosław pochylił się do przodu, wypatrując znajomego budynku. – Siemion... jesteś szczęśliwy?

Aż przyhamował, ten nieszczęsny, złamany przez Władzę człowiek, który poczuł powiew śmierci.

– A ty jesteś szczęśliwy, Żarow?

– Nie mam do tego prawa.

– No... – Siemion chyba się trochę zmieszał. – Jestem.

– Szczęście jako brak nieszczęścia?

– Czytałem Strugackich – powiedział Siemion. – Ty przecież też piszesz książki?

– Próbuję... – stropił się. Zbyt się przyzwyczyił do świadomości, że ta praca potrzebna jest jakiemuś abstrakcyjnemu, na w pół realnemu kręgowi ludzi. Okazuje się, iż ten najemnik, ochroniarz umie czytać.

– Zawsze wymyślcie głupoty – powiedział bezlitośnie Siemion. – Tworzycie problemy tam, gdzie ich nie ma. Życie jest proste. Jeśli jakiś łajdak strzela do ludzi, trzeba zastrzelić jego. Skoro Raszid Gulamowicz chce porządku, to zwisa mi, czy on zdradza żonę i handluje kradzionymi rzeczami. W książkach zawsze są wymyślone problemy. To dobre dla smarkaczy. Gdy dorosną, sami zrozumieją, co i jak.

– Miałeś kiedyś w ręku książkę, w której wszystko jest proste i słuszne?

– Tak. Telefoniczną – Siemion zaśmiał się. – Gdzie się zatrzymać?

– Tutaj – Żarow poznał dom, stary czteropiętowiec – Dziękuję, Siemion.

– Nie ma za co. Służymy jednej sprawie, nie?

– Nie.

Siemion popatrzył na niego zdumiony.

– Widzisz, żeby dla ciebie wszystko było takie proste i jasne, dziesięciu idiotów musi zdychać z udręki. I myśleć, co na tym świecie jest prawdą, a co kłamstwem.

– Pisarzu... – powiedział pobłaźliwie Siemion. – Poczekać na ciebie?

– Nie trzeba – Żarow otworzył drzwi. – Dziękuję.

– Za co?

– Za to, że przyniosłeś wczoraj apteczkę. Może Kola z tego wyjdzie.

Ulica była cicha i niemal pusta. Dwie dziewczynki grały na podwórku w piłkę, śmiesznie, jak chłopcy. Kobieta z torbą pełną butelek po mleku wyminęła Jarosława, spiesząc się do domu.

Dobra rzecz taki dom.

Żarow wszedł do klatki. Zadzwoił do pancernych drzwi. Tym razem ochroniarz go poznał, otworzył szybko i z uśmiechem.

– Niech pan wchodzi...

Ludzie nadal potrzebują bajek, potrzebują kłamstwa. Żarow wszedł, znowu zerkając na znajome nazwiska na okładkach. Jak śmiesznie znać drugą stronę słów.

W gabinecie redaktora szumiał klimatyzator. Lidia Wasiljewna oderwała się od teczek z nikomu na razie nie znanymi kłamstwami, uśmiechnęła się.

– Jarosław Siergiejewicz... myślałam, że przyjdzie pan później... proszę, niech pan siada.

Usiadł pod szafą z dumnymi, barwnymi rzędami książek. Produkcja Lodura. Oto one, słowa. Zrodzone z bólu, miłości, braku pieniędzy, nadmiaru wolnego czasu. Kto zdoła znaleźć między nimi różnice, oddzielić suche wyrachowanie od krzyku duszy? Komu potrzebna jest dusza? Dla kogo ważna jest istota, gdy patrzy na okładkę? Wezyr daje ludziom spokój i kawałek chleba – jakie to ma znaczenie, że nie jest człowiekiem?

Śława, ty umiałeś patrzeć w przyszłość, umiałeś układać z fałszywych słów przyszłą prawdę. A wiesz, to wcale nie jest trudne. Po prostu gorzkie. Nauczyłem się tej gry. Wiem, co jest przed nami. Przyjdzie dyrektor wydawnictwa, podpiszemy umowę. W mojej kieszeni znajdzie się plik banknotów, uczciwe pieniądze, nie upačkane rękami Wezyra. Wypijemy po kieliszku szampana, wyjdę z gościnnego biura i powlokę się do metra. Dojadę do Domodiedowskiej, skąd tyle razy wsiadałem do autobusu jadącego na lotnisko. Dojdę do budowy, gdzie będzie na mnie czekać

dwóch chłopców. Dam im plik pieniędzy, szczęśliwy i dumny z tego drobnego oszustwa, z godziny w zapasie, wygranej dla nich od Wysłanników. Powiem – uciekajcie! I wrócę do Wezyra, który dogoni chłopców – wcześniej czy później.

– Mogę zapalić? – zapytał Żarow.

11

W głowie mu szumiało. Pewnie nerwy. Nigdy nie upijał się dwoma kieliszkami szampana. Na Domodiedowskiej wysiadło sporo osób, Żarow włączył się w strumień ludzi, wjechał ruchomymi schodami na powierzchnię i ruszył ciemną ulicą. Za piętnaście ósma.

Sława, ja jednak zrobię to głupstwo. Dam chłopcom szansę. Nie zwyciężyć – uciec. Niech Ilja z Marią rozpoczną polowanie, niech Wezyr szczuje swoje nowe psy. Ja będę miał czyste ręce. To przecież nie tak dużo – czyste ręce.

– Jarosławie!

Staął. Powoli odwrócił się do zaparkowanego na poboczu samochodu. Z jednej strony wysoki płot, z drugiej cicha ulica, za nią wieżowce.

Nikt nawet nie usłyszy strzałów.

– Jarosławie, podejdź.

Żarow podszedł, zatrzymał się przy samochodzie. Silnik był wyłączony, światła też. Siemion popatrzył na niego i odwrócił się.

Hajretdinow wychylił się z tylnego siedzenia, skinął ręką. Jarosław otworzył drzwi, zanurzył się w ciepło.

– Przecież nie jestem głupi – powiedział Wezyr.

Żarow przytaknął. Oczywiście. Nie on będzie wygrywał w takich grach.

– Wyliczyłeś, że godzina w zupełności wystarczy – powiedział Wezyr. – Pomyliłeś się. Ilja i Maria już tam są. Wiem.

– A dzieci?

– Pewnie zaraz będą. One wierzą w dokładny czas. Tak samo jak ty.

Pisarz nie spierał się.

– Co wymyśliłeś? Dotrzymać obietnicy? Niech uciekają, niech kontynuują grę? Jarosław, nie ma nic gorszego niż półśrodki. Trzeba wybrać raz na zawsze.

Wezyr był bardzo poważny. Malutki człowiek w przestronnym wnętrzu drogiego samochodu.

Ten, który powinien zwyciężyć.

– Nie wiem dlaczego, ale Wysłanniczka Dobra postanowiła przyjść. Jarosławie, nadszedł czas. Czas ostatniej prawdy. Dzieci już w nic nie wierzą. Maria i Ilja wierzą tylko w siebie. Zejdą się... znasz, wynik.

Żarow znowu przytaknął.

– Targa tobą głupia rzecz o nazwie sumienie – powiedział Wezyr. Wyjął papierosnice, zapalił. – Spójrz w przyszłość.

– Właśnie to robię.

– Jarosławie, pięć kilometrów stąd właśnie wsiadają do samochodów ludzie z automatami. Umiejący zabijać. Na twarzach mają maski, a w duszach wiarę. Taką samą jak Siemion. Sioma!

Ochroniarz odwrócił się.

– Jeśli wróg się nie poddaje?...

– Likwiduje się go – dokończył Siemion.

– Taka jest prawda, Jarosławie. Takie jest życie. Dwoje zabójców na miejscu przestępstwa. Dwa świeżutkie dziecięce trupy. Oni się nie poddadzą.

– Dlaczego przyszli, Wezyrze?

– Nie wiem. Kontrolne posunięcie – podstawić słabszych. Zwykłe posunięcie. Nie wiem, czemu uwierzyli. Chciałbyś się dowiedzieć?

– Tak.

– W tym celu trzeba przejść przez płot, pisarzu.

– Są jeszcze drzwi.

Wezyr wzruszył ramionami.

– Przecież ciebie też to ciekawi, Wysłanniku Władzy – powiedział Żarow. – Zwycięstwo w kieszeni. Zdobyte cudzymi rękami. Ale tak chciałoby się zrozumieć, dlaczego je oddają.

– Nie.

– Chciałoby się, Wezyrze, nie kłam.

Żarow otworzył drzwi. Powietrze wilgotne i zimne, ale nie padało.

– Jesień się kończy, Wezyrze...

– Jesteś pewien, że dobrze robisz?

Jarosław spojrzał na Wysłannika Władzy.

– Oczywiście, że nie.

Siemion przyglądał się im, cichy i nieruchomy. Manekin w fotelu kierowcy.

– Daj mi pistolet – powiedział Żarow.

Wezyr milczał. Chyba był zaintrygowany.

– Potrzebna mi broń – Żarow nie odwracał spojrzenia.

Ochroniarz powoli wsunął rękę pod pachę, wyciągnął pistolet. Po chwili wahania podał go – rękojęścią do przodu. Wezyr uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

Pisarz wysiadł z samochodu i ruszył wzdłuż płotu. Szeroka brama obliczona na ciężarówkę była zamknięta, ale wycięte w niej wąskie drzwiczki kołysały się, otwarte na oścież.

Jarosław przekroczył je.

W stróżówce świeciło się światło. Zaczął wchodzić po ażurowych schodkach. Spod budki wyskoczył piesek, kundelek, z tych, co to jedynie szczekają.

Ale ten chyba uważał się za wilczurę.

Żarow kopnął w wyszczerzony pysk i zdumiał się, że trafił. Pies zapiszczał i poturlał się.

– Ochłoń – powiedział pisarz. Pies kręcił się pod budką, ale już nie podchodził. Pisarz otworzył drzwi, rozejrzał się.

Na łóżku leżał mężczyzna około czterdziestki, w znoszonym garniturze i brudnych butach. Twarz miał spokojną. Na stole syczał elektryczny czajnik. Żarow wyjął wtyczkę z gniazdka, podniósł czajnik – pełny.

Woda się niedawno zagotowała.

Wyszedł na wieczorny zmierzch, spojrzał na zegarek – ósma.

Dzieciaki, ja naprawdę chciałem odroczyć rozwiązanie...

Budowa była senna, pusta. Żarow obszedł najbliższy dom, wyjął papierosy. Wciągnął gorzki dym.

– Jarosławie.

Tak ją sobie wyobrażał. Zwyczajną. Sympatyczną, ładnie zbudowaną, z dobrymi oczami. Z takich dziewcząt mogą być wspaniałe żony.

– Wezyr jest tutaj?

– Tak, Mario.

– Co on wymyślił?

– Pułapkę.

Nie miał zamiaru kłamać. Nikczemne zajęcie. Kobieta przytaknęła, uśmiechnęła się. Dobry miała uśmiech.

– Cudzymi rękami?

– Oczywiście. Czy kiedykolwiek Władza postępowała inaczej?

– Jarosławie! – zrobiła krok w jego stronę, i pisarz cofnął się do ściany, do bloku, do zbawczej ciemności klatki. – Wiesz, że jeszcze wszystko można zmienić?

– Tak.

– Granica jest tuż obok – kobieta rozłożyła ręce, odmierzając jakąś odległość. – Wiesz, jak się wszystko skończy?

– Nie

– A powinieneś był przewidzieć. Wezyr nie wytrzyma, przyjdzie tu. Będzie strzelanina i krew. Będzie ból. Ale czy kiedykolwiek Dobro zwyciężało bez bólu?

– Taka jesteś pewna, że przeżyjesz?

Maria uśmiechnęła się.

– Śmierć nie jest straszna, pisarzu. Najważniejsze jest zwycięstwo. Teraz jakby zastępujemy się nawzajem, pisarzu. Myślisz, że zwycięży ostatni z nas?

Żarow milczał.

– Kim stałby się twój Wizytor, gdyby nie skończył ze sobą?

– Teraz już nie wiem.

– Jarosławie! – szła do niego, spokojna i pewna. Wysłanniczka Dobra, którego nie było. – Wezyr do tej pory żyje w epoce kamienia łupanego. Pałka i posłuszny tłum z ostrymi kopiami. Chce się zmienić, ale jego czas jeszcze nie nadszedł. Ilja... on też jest dobry. Też jest silny. Ale i on się przeliczył.

Żarow obejrzał się i zanurkował w klatkę schodową, Maria szła za nim.

Biegł po schodach, ciemnych, nie kończących się. Błyski reflektora wpadające przez otwory okien kładły się na stopniach jak matowy lakier. I kroki z tyłu, niespieszne, doganiające go, jak w koszmarnym śnie. Ucieczka nie ma sensu.

Nie uda mu się uciec.

Nawet nie zauważył, kiedy skończyły się piętra. Betonowa klatka, zimny metal drabiny, otwarty luk nad głową. Wdrapał się na górę. Małutka budka nad lukiem – dalej... Nie ma gwiazd. Chmury, szara zasłona, wiszący nad miastem wymięty całun.

Wzdłuż krawędzi dachu ciągnęło się ogrodzenie. Śmiesznie symboliczne, do kolan, jakby zachęcające, żeby się przez nie przechylić. Żarow odsunął się od luku i zobaczył Marię.

Przecież ona nie ucieka... więc dlaczego go goni?

– Jarosławie, naprawdę nie ma innego wyjścia. Już nie ma.

Skinął głową. To była prawda.

– Wszyscy się przenikamy. Władza, Dobro, Ciemność, Rozwój... śmieszne linie, wyraźne, jak w podręczniku...

Jej jasna twarz niemal lśniła w półmroku. Jarosław zatrzymał się. Krawędź dachu kusiała. Ogrodzenie do kolan – niziutkie, jak na cmentarzu, tak samo bezsensowne i symboliczne.

Nie pilnujcie martwych i samobójców.

– Wiedziałam, że Wezyr urządzi zasadzkę. Kto z nim jest? Dziesięciu zabójców? Rota omonowców? Co za różnica, Jarosławie. On już mówi moimi słowami. Jego zwycięstwo stanie się

moim zwycięstwem. Ilja czy Wizytor, Wezyr czy ja – teraz to już wszystko jedno. Trochę więcej Ciemności, trochę więcej Władzy...

Zatrzymała się o krok od pisarza.

– A jednak wolałabym zwyciężyć sama.

– Mam pistolet – powiedział Żarow.

– Ciebie boli dusza, Żarow, a ona zabija szybciej, uwierz mi. Znacznie szybciej. Mogę ją obudzić – dwoma słowami. I po prostu skoczysz w dół... gdy znienawidzisz siebie.

– Jaka bezlitosna jest dobroć.

– Oczywiście, literacie. Spójrz w dół.

Jarosław spojrział. Plac budowy nadal drzemał. Gdzieś tam jest Karamazow, chłopcy i może Wezyr. Wokół zamyka się pierścień legalnych zabójców.

– Wysoko – powiedział.

– To tylko złudzenie, literacie. Dotkniesz ziemi bardzo szybko. Ziemia też umie kochać.

Żarow skinął głową. Podniósł rękę, dotykając ramienia Marii. Kruchego i delikatnego.

– Nie masz nade mną władzy, dziewczyno.

Oczy Marii zwały się.

– Kula, kolba, nóż w plecy – to znacznie słabsze od twojej siły – powiedział Jarosław. – Na pewno. Ale ich się boję. A ciebie nie.

– Nie możesz się nie bać!

Żarow pokręcił głową. Poczuł, jak jej ramię zgniata się pod jego dłonią.

– Wysoko, dziewczyno... – Czekał, aż w jego głosie przebije się nienawiść, ale nie było już dla niej miejsca. Zostało tylko zmęczenie. – Jedenaście pięter. Każde zajrzy ci w oczy. I ty poznasz te spojrzenia.

– Nie jesteś godzien żyć! – zapiszczała, próbując wyrwać się z jego rąk, ale mocno trzymał Wysłanniczkę Dobra, bardzo powoli nachylając ją nad krawędzią. – Nikt nie jest godzien żyć!

– Zapewne. To niesprawiedliwe, ale cóż począć! – Nawet mógł się do niej uśmiechnąć. – Dobro to taka wspaniała broń. Taka silna.

Żarow pochylił głowę. Coś mokrego musnęło jego twarz. Kropla wody albo płatek śniegu. Jeszcze raz.

Jednak śnieg.

– Trzeba przejść długą drogę, Mario, żeby nie bać się ani dobra, ani zła. Ale ty tego nie zrozumiesz. Twoja droga będzie szybka.

Zajrzał jej w oczy.

– Leć, dziewczyno.

12

Śnieg, śnieg, śnieg...

Jeszcze słaby, jeszcze topniejący na lepkim błocie kałuż, jeszcze niezdolny zwyciężyć.

Żarow ominął rozrzucone wokół budynku betonowe kręgi. Pordzewiałe rury już pokrył szron. Przycisnął czoło do chropowatej lodowatości, czekając, aż ucichnie ból.

Ale bolało zbyt głęboko w środku.

– Sława – wyszeptał. – Sława, czy o tym mówiłeś? Tak?

Co zobaczyłeś tego ostatniego wieczoru, co sobie wyobraziłeś? Jak odgadłeś zwycięstwo, jeśli to rzeczywiście było zwycięstwo?

– Jednak nie ona – powiedział Jarosław. – To już sporo, prawda?

Śnieg padał i cisza gęstniała, zbliżała się do tej granicy, za którą mógłby usłyszeć. Ale jeszcze wiele spraw nie zostało doprowadzonych do końca i nie było czasu na wsłuchiwanie się w szept spoza granicy. Żarow ominął betonowe kręgi i ślizgając się na zmrożonym błocie podszedł do ciała.

Maria patrzyła w niebo. Oczy miała otwarte, śnieżynki topniały na jej twarzy i wydawało się, że Wysłanniczka Dobra płacze. Pika rury, która przebiła brzuch, połyskiwała.

– Niepotrzebna nam taka miłość – powiedział Żarow. – Zabierz ją ze sobą... do piekła.

– Jesteś pewny, że przyszła stamtąd?

Jarosław odwrócił się.

Ilja Karamazow trzymał pistolet opuszczony, nie celując, ale w tym uchwycie była lekkość i spokój.

– Jestem – Jarosław popatrzył mu w oczy. – Jeszcze się o tym przekonasz.

Karamazow rozciągnął usta w uśmiechu.

– Z pewnością. Ale ty wcześniej, masz to jak w banku. Gdzie jest Wezyr i chłopcy?

Jarosław wzruszył ramionami:

– Szukaj.

Karamazow podniósł pistolet, poruszył lufą, jakby decydując, gdzie strzelać. Zaśmiał się cicho.

– Boisz się, pisarzu...

– Tak.

– Jakie to uczucie stać pod lufą?

– Nigdy ci się nie zdarzyło?

– W ten sposób nie. Opowiedz, przecież umiesz.

– Zimno – powiedział po prostu Żarow.

– I to wszystko? – Karamazow był rozczarowany.

– Mięśnie się napinają. Jakbyś miał nadzieję odbić kulę.

Na twarzy Ilji pojawiła się dziecięca ciekawość.

– Zabawne. Nie zamykaj oczu, nigdy nie strzelałem w głowę.

– Może mam się jeszcze uśmiechnąć?

Karamazow zaśmiał się, cofając się o krok.

– Dowcipniś... idź przodem. I nie oglądaj się.

Żarow nie drgnął.

– Idź, idź – powtórzył dobrodusznie Karamazow. – Nie mam zamiaru strzelać ci w plecy.

Potrzebuję tarczy, i ty nią chwilowo będziesz.

– Gdzie mam iść?

– Na razie wokół domu. Powoli, krokiem spacerowym.

Żarow odwrócił się. Między łopatkami natychmiast pojawił się łaskoczący chłodek. Ale Ilja rzeczywiście nie strzelał, szedł z tyłu. Pod nogami ciamkało błoto. Przechodząc obok ciała Marii, zatrzymał się na chwilę i Żarow usłyszał cichy dźwięk. Gdy zrozumiał, że to strzał, było już za późno na strach.

– Nie narobiłeś w spodnie? – zainteresował się Ilja. – W tej pracy trzeba mieć pewność. Zwłaszcza z takimi damulkami.

– Naprawdę ci jej nie żal? – zapytał Żarow, zwalniając kroku.

– Żal. Bardzo mi pomogła. – W jego głosie dało się słyszeć ciepło. – Ale sam widzisz, Jarosławie, że na szloch nie ma tu miejsca. Zbyt wysoka stawka. Szybciej, dobrze?

Szli przez plac budowy. Żarow mimo woli zaczepiał wzrokiem o każdy drobiazg. Wagonik, nie

wiedzieć czemu pomalowany na jasnoróżowo, sterta nadpalonych desek, stary zepsuty budzik, który wysunął z kałuży pognieciony bok, długi wąż zastygłej smoły, pełznący po ścianie domu, rozlewający się po ziemi grubym kleksem. Poletko błyszczących kawałków sterczących z ziemi, jakby ktoś obsiał szkłem zmęczoną miejską glebę i ta z wdzięczności dała dziwny urodzaj.

Jego świat, jego źródło, jego ostatnia arena.

Miasto jak scenografia do filmu „Stalker”, ziemia, która chętniej rodzi szkło niż zboże, ludzie gotowi darować swoją prawdę – jedynie słuszną – całemu światu.

Już o tym nie napisze. Już nie zdąży opowiedzieć.

Może zdołają inni.

Skręcili za róg.

– Stój, pisarzu – powiedział Ilja.

Posłusznie się zatrzymał, podniósł głowę, wpatrując się w wieczorny mrok. Chłopcy stali pod ścianą, oparli o nią rękami, absolutnie identyczni, nie do odróżnienia. I Wezyr z małym pistoletem, przechadzający się z boku.

A jednak zechciał osobiście postawić kropkę...

– Hajretdinow! – zawołał Ilja.

Wezyr wzdrygnął się, odwrócił, ale widocznie zrozumiał, że konkurowanie w szybkości z Wysłannikiem Ciemności nie ma sensu. Powoli opuścił rękę z bronią.

– Dobrze – powiedział Ilja. Nawet nie zażądał rzucenia pistoletu, jakby bawiła go sama myśl o próbie stawiania oporu.

Chłopcy ani drgnęli.

– Idź do dzieciaków – powiedział Karamazow. Lufa dotknęła Jarosława pod łopatką, pisarz posłuchał. Stał pomiędzy Kiryłem i Wizytorem, oparł się o ścianę. Ilja noskiem buta kopnął go w stopy, rozsuwając mu nogi. Pozycja była niewygodna, nieporęczna. Jarosław zerknął w lewo i prawo, pochwycił spojrzenie obu chłopców.

Da licha, który z nich jest który?

Karamazow szedł powoli – jakby szukając punktu, z którego można będzie kontrolować wszystkich czterech. Zatrzymał się i powiedział z zadowoleniem i spokojem:

– No i co, Wezyrze, będziemy się żegnać?

13

Wieczór gęstniał, jakby nad miastem ktoś rozlał ciemność, a ta sączyła się w dół, na najeżone świecącymi się oknami bloki, na spieszących do domu ludzi, na opuszczoną budowę z trzema Wysłannikami.

– Nie popełnij błędu, Ilja – Hajretdinow wydawał się spokojny. – Możesz mnie zastrzelić, ale czy sam przeżyjesz?

– O czym mówisz, Wezyrze?

– Za dziesięć minut będzie tu setka ludzi. Teren jest otoczony.

– Kłamiesz.

– Nie, Ilja. Nie przeceniałem swoich możliwości. Jedna sprawa – zabić chłopców i pisarza, całkiem inna poradzić sobie z tobą i Marią.

– Pisarz już sobie z nią poradził.

Jarosław niemal fizycznie poczuł, że obaj Wysłannicy na niego patrzą. Spocły mu się plecy.

– Naprawdę? – w głosie Wezyra pojawiło się zaciekawienie. – Tego się nie spodziewałem!

– Wezyrze, już czas.

– Poczekaj! Nie możesz odejść beze mnie!

– Być może, ale nie mam innego wyjścia. Alians z tobą jest niemożliwy. Żelazne prawo i drut kolczasty. Rozkazy i posłuszeństwo. Świąteczne demonstracje i żywe panneau na stadionach. Wszyscy jak jeden. A ja... – Karamazow zaśmiał się cicho. – Ja jestem wolnością. Chaosem. Prawem każdego do wszystkiego.

Jarosław poruszył się nieznacznie, rozsuwając kurtkę na piersi i obnażając pistolet, założony za pasek. Popatrzył na chłopców.

Zauważyli.

Który z nich jest który?

– Ilja, jest pewna droga do zgody...

– Po prostu grasz na zwłokę.

Chłopcy wyciągnęli ręce synchronicznie, ale jeden odrobinę się zawahał, dotykając broni, i wtedy pistolet wziął drugi. Wyciągnął, przycisnął na moment do brzucha, palce przesunęły się po metalu. Potem chłopiec odwrócił się powoli.

I zastygł.

Karamazow chichotał.

– Ruchy w szeregu? Wezyr, dzieciak ma więcej odwagi niż ty! Nie wstyd ci?

– Nie zdołasz uciec!

Żarow wyprostował się, odwrócił. Psiakrew. Dosyć tego rozkrzyżowania na betonie.

Hajretdinow, blady i spocony, nadal wydawał się triumfujący.

– Zdechniesz, Wysłanniku Ciemności! Zdechniesz, nafaszerowany ołowiem! Zabij mnie i dzieci, i spróbuj wydostać się z okrążenia!

– Maria wskazała mi pewną drogę... dobrą drogę – Ilja był spokojny. – Jeśli nie możesz zwyciężyć sam, kontynuuj siebie w innym.

Wystrzelił dwa razy, prawie nie celując. Wezyr zachwiał się, zdumiony opuścił głowę, wpatrując się w przebite na piersi palto. Powoli podniósł rękę z zaciśniętym w niej pistoletem, jakby próbował zatkać metalem rany.

– Jakie to wszystko proste, prawda, Wezyrze? Wystarczy, że pojawi się człowiek, który nie wierzy we Władzę, i nadchodzi jej koniec.

Hajretdinow opadł na kolana, potem przewrócił się na bok. Tak w niskobudżetowych filmach umierają starzy aktorzy, bojący się gwałtownych ruchów.

Raszid Hajretdinow, Wezyr, Wysłannik Władzy, trzeci z pozostałych, odszedł.

– Zostało nad dwóch. – Karamazow odwrócił się. – Kirył, naprawdę masz zamiar strzelić?

Chłopiec z pistoletem cofnął się o krok.

– Nie będę ci mówił, że to trudne. – Ilja nadal stał z niedbale opuszczoną bronią. – To nie tak. Wystarczy lekko nacisnąć spust i kula nas zrówna. A ty masz wystarczająco dużo powodów, żeby mnie nienawidzić.

Powoli podszedł do Kiryła.

– Ale mimo wszystko sędzę, że nie wystrzelisz. Prócz prostoty i nienawiści potrzebna jest jeszcze wolność.

Ilja zatrzymał się pół metra od Kiryła. Gdyby chłopiec wyciągnął rękę, pistolet oparłby się o zabójcę.

– Zabiłem twoją matkę, chłopcze. Zniszczyłem twoje życie – na zawsze. Lew Tołstoj nie osądziłby cię za ten wystrzał. Ale...

Karamazow wyciągnął rękę, złapał chłopca za nadgarstek, zmusił, żeby wypuścił pistolet.

– Ale prócz prostoty i nienawiści potrzebna jest jeszcze wolność...

Jarosław zerwał się z miejsca. Wydawało mu się, że to było bardzo szybkie i nieoczekiwane.

Szykował się do tego ruchu już od minuty.

Karamazow skwitował to jednym jedynym krótkim ciosem i Żarow zgiął się, przyciskając ręce do brzucha. Ból był potworny, rozdzierał całe ciało, ból zadany niedbałym ruchem zawodowca, którym pisarz nie był.

Ilja chwycił go za włosy, przyciągnął do siebie. Wysyczał:

– Ochłoń, pismaku.

Kolanem w krocze. Nawet nie zabolalo. Nie było już więcej miejsca na ból. Żarow upadł, skulony, zobaczył, jak unosi się pistolet, rozświetla na chwilę źrenica lufy, kula uderza w biodro, sprawiając, że ślizgasz się na lepkich, brudnych śnieżnych krupach.

– No i jak, udało się odbić kulę? – zapytał z ciekawością Ilja.

– Nie... nie zdążyłem napiąć mięśni – wyszeptał Żarow.

Karamazow już przestał się nim interesować. Znowu odwrócił się do Kiryła, zmierzwił mu włosy.

– Staraleś się, mały...

Uderzył Kiryła w twarz, chłopak krzyknął. Odrzuciło go pod ścianę. Osunął się po niej, przyciskając dłonie do rozbitego nosa.

– To za tamto przy ogrodzeniu – powiedział Ilja. Kopnął leżący na ziemi pistolet, odsyłając go w stronę sterty śmieci. – Wizytor. Ty jesteś bardzo zdyscyplinowany.

Leżący w błocie Jarosław widział, jak chłopiec powoli odrywał się od ściany. Popatrzył na Ilję – w jego spojrzeniu nie było nic prócz nienawiści.

– Wracaj do domu, chłopcze – Ilja szedł do niego tak samo spokojnie i nieuchronnie, jak do Kiryła minutę temu. – Wracaj do swoich czarnych statków i przestrzeni kosmicznych...

Pochwycił Wizytora za kołnierz. Przez chwilę Żarow myślał, że Ilja chce udusić chłopca. Ale Karamazow rzucił go po prostu na ziemię, nachylił się i znowu podniósł jak kociaka.

– Do statków i przestrzeni, do mórz gwiezdneho ognia – wyszeptał. – Do bajek o mądrych kosmitach...

Znowu pchnięcie i Wizytor poturlał się po błocie, wypačkany od stóp do głów. Przestał już przypominać tego inteligentnego czystego chłopczyka, który przyszedł na świat.

– Nie ma gwiazd, chłopcze. Tylko cienie ciemności... nie ma rajy, nie ma miłości... nie ma nic prócz wolności, ale ona jest nie dla ciebie...

Znowu podrzucił Wizytora w powietrze jedną ręką i pchnął. Chłopiec upadł obok ciała Wezyra i zastygł.

Karamazow popatrzył na upačkana dłoń i wsunął pistolet pod pachę, niedbale i demonstracyjnie wyjmując z kieszeni czystą chusteczkę. Wytarł rękę i popatrzył na Jarosława.

– Tak to właśnie jest, pisarzu. To nie książka...

Dźwięk wystrzału był głuchy, jakby wchłonał go wirujący śnieg. Karamazow skrzywił się, podnosząc głowę. Z prawej strony, pod żebrami, jego płaszcz stawał się czarny.

Druga kula trafiła Karamazowa w krocze.

Wydał niezrozumiały dziki dźwięk, ale jednak utrzymał się na nogach.

Żarow uniósł się na łokciach, zobaczył Wizytora z malutkim pistoletem Hajretdinowa w rękach. Twarz chłopca była zachłapana błotem i krwią Wezyra. Mrugał oczami, celując.

– No, no... – powiedział Karamazow.

Wizytor znowu wystrzelił.

Pomiędzy oczami Ilji pojawiła się mała czarna dziurka, twarz przeszył skurcz, a z tyłu głowy chlusnął strumień. Wysłannik Ciemności zwałił się na Jarosława i pisarz szarpnął się, próbując wypełznąć spod ciężkiego ciała. Głowa Karamazowa odchyliła się, do ust przykleił się grymas dziwnego, kpiącego uśmiešku.

Ilja Karamazow, Korektor, Wysłannik Ciemności, drugi z pozostałych, był martwy.

– Zdołałem – wyszeptał Wizytor, opuszczając pistolet. – Zdołałem.

Płakał, rozmazując łzy po brudnej twarzy. Chlipiący maty książę czarnych statków, Wizytor. Wysłannik Rozwoju, ostatni z pozostałych, który teraz musiał żyć.

Dać światu swoją prawdę.

Prawdę, w której nie będzie już ani zaufania, ani światła, ani miłości.

Prawdę w kolorze ołowiu.

Kirył wstał, odrywając się od ściany. Z nosa ciekła mu krew. Popatrzył na nieruchomego Karamazowa, na Jarosława, ciągle wygrzebującego się spod trupa, na płaczącego Wizytora.

– Zdołałem! – znowu krzyknął Wizytor. – Zabiłem go!

Żarow w końcu wydostał się spod zabitego killera, wciągnął zimne powietrze, łowiąc ustami śnieżynki. Krew nadal płynęła z przebitego biodra, w głowie się kręciło, ale trzeba było zrobić jeszcze jedno i w żadnym wypadku nie wolno się pomylić, a pistolet Karamazowa był taki ciężki, dobrze chociaż, że martwe palce udało się rozgiąć, odebrać im broń...

– Nie ruszaj się, Kirył – powiedział do chłopca. – Nie ruszaj się.

Ten zamarł posłusznie, jakby rozumiejąc, że Żarow ma rację, jakby przyzwalając mu na to.

– Wizytor! – krzyknął Żarow. Chłopiec pochylony nad ciałem Hajretdinowa jakby go nie słyszał. Nadal chlipał, patrząc na martwego killera, który uśmiechał się do Jarosława z tamtej strony Ciemności. Ale najważniejszą rzeczą było nie myśleć o Wizytorze jak o człowieku, jak o dziecku, nawet jak o wysłanniku obcej cywilizacji – tylko o prawdzie, którą on przyniesie światu...

– Nie mogę! Nie mogę ci pozwolić, rozumiesz?! – krzyknął Żarow. Wizytor w końcu spojrzał na niego, na drgający w rękach pisarza steczkin, uśmiechnął się bezbrinnie. Zaczął wstawać.

Przecież ty wszystko widziałeś, Sława. Wszystko wiedziałeś, szykując sobie pętlę.

Nie ma bohaterstwa w zabójstwie kobiet i dzieci, ale nikt nie obiecywał, że będziemy bohaterami...

Jarosław nacisnął spust.

Pistolet skoczył, wyrывая się z rąk. Trafił Wizytora w ramię, i chłopiec znowu upadł, zakrzyczał cienkim, zachłystującym się głosem – po prostu dziecko, nieumiejętnie zabijane przez dorosłego człowieka, nieszczęsny Wysłannik Rozwoju, który pojawił się na tym świecie i zdołał nauczyć się tylko śmierci.

Dlaczego nie umiem strzelać celnie?

Gdzieś za ogrodzeniem budowy narastał szum, podjeżdżały samochody, chyba rozległ się nawet klekot helikoptera. Wezyr nie kłamał, nie sądził tylko, że wszystko skończy się tak szybko.

Żarow poczuł, że traci rozum. Wycelował w głowę chłopca, a Wizytor ciągle próbował coś powiedzieć, ale nie mógł przestać krzyczeć, jednak nie przywykł do bólu, to musiał być dla niego straszny ból, i pewnie się bał, ale co on dałby światu, jeśli już teraz umiał zabijać...

– Jarosławie Siergiejewiczu, niech go pan nie męczy. – Kirył stojący posłusznie z boku pociągnął rozbitym nosem. – To przecież proste...

Potrafimy tylko to, co potrafia prototypy – dobrze, że o tym nie zapomniełeś...

Idiota!

Kirył mógł zabić Ilję.

Wizytor – nie.

Żarow odwrócił się, i pistolet jakby się nad nim zlitował, przestał drżeć. W oczach prawdziwego Wizytora mignęła irytacja i złość, złość sportowca, który potknął się przed samą metą...

Trafił.

Wizytor, Wysłannik Rozwoju, ostatni z pozostałych, upadł na zimną ziemię.

Kirył już nie krzyczał – szlochał, zaciskając rękę na ramieniu.

– Wybacz – powiedział Żarow. – Kiryłka, wybacz...

Prośba o wybaczenie była nieuczciwa i tchórzliwa. Wybaczenia i tak już nie było na całym ogromnym świecie, gdzie żyli szczęśliwi ludzie, którzy nie musieli nigdy zabijać kobiet ani dzieci, którzy nie musieli dokonywać wyboru, do kogo strzelić, którym nie zdarzyło się zdejmować samego siebie ze stryczka ani patrzeć w zakurzone lustro. Żarow przeszedł drogę, na której nie było ani zaufania, ani miłości, ani gwiazd. Wybierając mniejsze zło i uświęcając celem środki.

– Ja... Jarosławie Siergiejewiczu... – Kirył dyszał ciężko i jakby sennie. – Pistolet... niech pan wytrze... i włoży... w rękę Ilji... a ja ten... Wizytorowi... spróbuję...

Żarow odwrócił głowę, wpatrując się w Kiryła, lewą ręką wycierającego berettę o palto Hajretdinowa.

– Myślisz, mały, że nam ktoś uwierzy?

– Przecież umiemy kłamać.

Palce Karamazowa były zaciśnięte w pięść, pewnie nie chciał już dotykać broni. Ale Żarow w przeciwieństwie do niego jeszcze żył i killer musiał jednak wziąć pistolet.

A najważniejsze było to, że Karamazow już się nie uśmiechał.

Gdy reflektor w końcu zamknął ich w kręgu światła, po prostu leżeli, patrząc na siebie. Ryk megafonu rozkazał martwym rzucić broń, a oni dwaj zwyczajnie patrzyli sobie w oczy. Zawsząd wyskakiwali ludzie w kamuflażach, i Jarosław wiedział bardzo dokładnie i jasno, że najpierw założą im kajdanki, a dopiero potem przypomną sobie o miłosierdziu.

Ale na razie mieli jeszcze kilka sekund, i nie odrywali do siebie spojrzenia, szukając w cudzych oczach zrozumienia, a może głupiej litości, dla której jednak znalazło się miejsce.

Śnieg w kołyszącym się stożku światła był kłujący i czysty, jak brylantowy pył. Pod jego kruchą pokrywą nadal jednak była jesień i chlapa.

Ale nie mieli zamiaru wpatrywać się tak głęboko.

* – FSB (fiedieralnaja służba biezopasnosti) Federalna Służba Bezpieczeństwa. KNB (komitet nacjonalnoj biezopasnosti) – Komitet Bezpieczeństwa Narodowego.

* – Oryssza arak (kazach.) – rosyjska wódka.

* – „Antipolizei” – autentyczna nazwa pastylek zabijających nieprzyjemne zapachy, sprzedawanych w Rosji.

* – Otriad milicijii osobogo naznaczenija – oddział milicji specjalnego przeznaczenia.

* – WDNCH – (Wystawka Dostizenij Narodnogo Choziajstwa) Wystawa Osiągnięć Gospodarki Narodowej, otworzony w 1959 roku olbrzymi park, mieszczący pomniki socjalizmu, m.in. rzeźby, fontanny i przede wszystkim pawilony, w których prezentowano osiągnięcia gospodarcze. Obecnie pawilony wykorzystywane są jako sklepy.

* – MWD – Ministerstwo Wnutriennich Dieł – Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

Spis treści

[STRONA TYTUŁOWA.. 1](#)

[CZEŚĆ PIERWSZA.. 4](#)

[PRZYJŚCIE.. 4](#)

[0. 4](#)

[1. 7](#)

[2. 9](#)

[3. 12](#)

[4. 14](#)

[5. 17](#)

[6. 19](#)

[7. 21](#)

[8. 23](#)

[9. 26](#)

[10. 29](#)

[11. 32](#)

[12. 35](#)

[13. 37](#)

[14. 41](#)

[CZEŚĆ DRUGA.. 44](#)

[WERSJE.. 44](#)

[0. 44](#)

[1. 46](#)

[2. 49](#)

[3. 52](#)

[4. 54](#)

[5. 58](#)

[6. 60](#)

[7. 63](#)

[8. 65](#)

[9. 68](#)

[10. 71](#)

[11. 73](#)

[12. 78](#)

[13. 80](#)

[14. 83](#)

[CZEŚĆ TRZECIA.. 88](#)

[MINUS PIERWSZY.. 88](#)

[0. 88](#)

[1. 89](#)

[2. 92](#)

[3. 95](#)

[4. 97](#)

[5. 100](#)

[6. 102](#)

[7. 104](#)

[8. 106](#)

[9. 112](#)

[10. 116](#)

[11. 119](#)

[12. 124](#)

[CZEŚĆ CZWARTA.. 130](#)

[ALIANSE.. 130](#)

[0. 130](#)

[1. 132](#)

[2. 135](#)

[3. 138](#)

[4. 141](#)

[5. 145](#)

[6. 148](#)

[7. 153](#)

[8. 155](#)

[9. 158](#)

[10. 161](#)

[11. 164](#)

[12. 167](#)

[13. 169](#)

[14. 173](#)

[CZEŚĆ PIĄTA.. 176](#)

[ETYKA ABSTRAKCYJNA.. 176](#)

[0. 176](#)

[1. 178](#)

[2. 180](#)

[3. 182](#)

[4. 185](#)

[5. 187](#)

[6. 190](#)

[7. 193](#)

[8. 197](#)

[9. 198](#)

[10. 200](#)

[11. 205](#)

[12. 209](#)

[13. 212](#)

[14. 218](#)

[CZEŚĆ SZÓSTA.. 221](#)

[MINUS DRUGI, MINUS TRZECI..... 221](#)

[0. 221](#)

1. 223
2. 226
3. 229
4. 232
5. 236
6. 239
7. 242
8. 246
9. 248
10. 254
11. 257
12. 259
13. 262
14. 264
CZEŚĆ SIÓDMA.. 268
MIŁOŚĆ.. 268
0. 268
1. 271
2. 274
3. 276
4. 278
5. 281
6. 284
7. 286
8. 290
9. 292
10. 295
11. 298
12. 302
13. 304
14. 306
CZEŚĆ ÓSMA.. 310
FINAL.. 310
0. 310
1. 313
2. 316
3. 319
4. 322
5. 324
6. 328
7. 330
8. 333
9. 335
10. 337
11. 339

[12. 343](#)

[13. 345](#)

*

—